

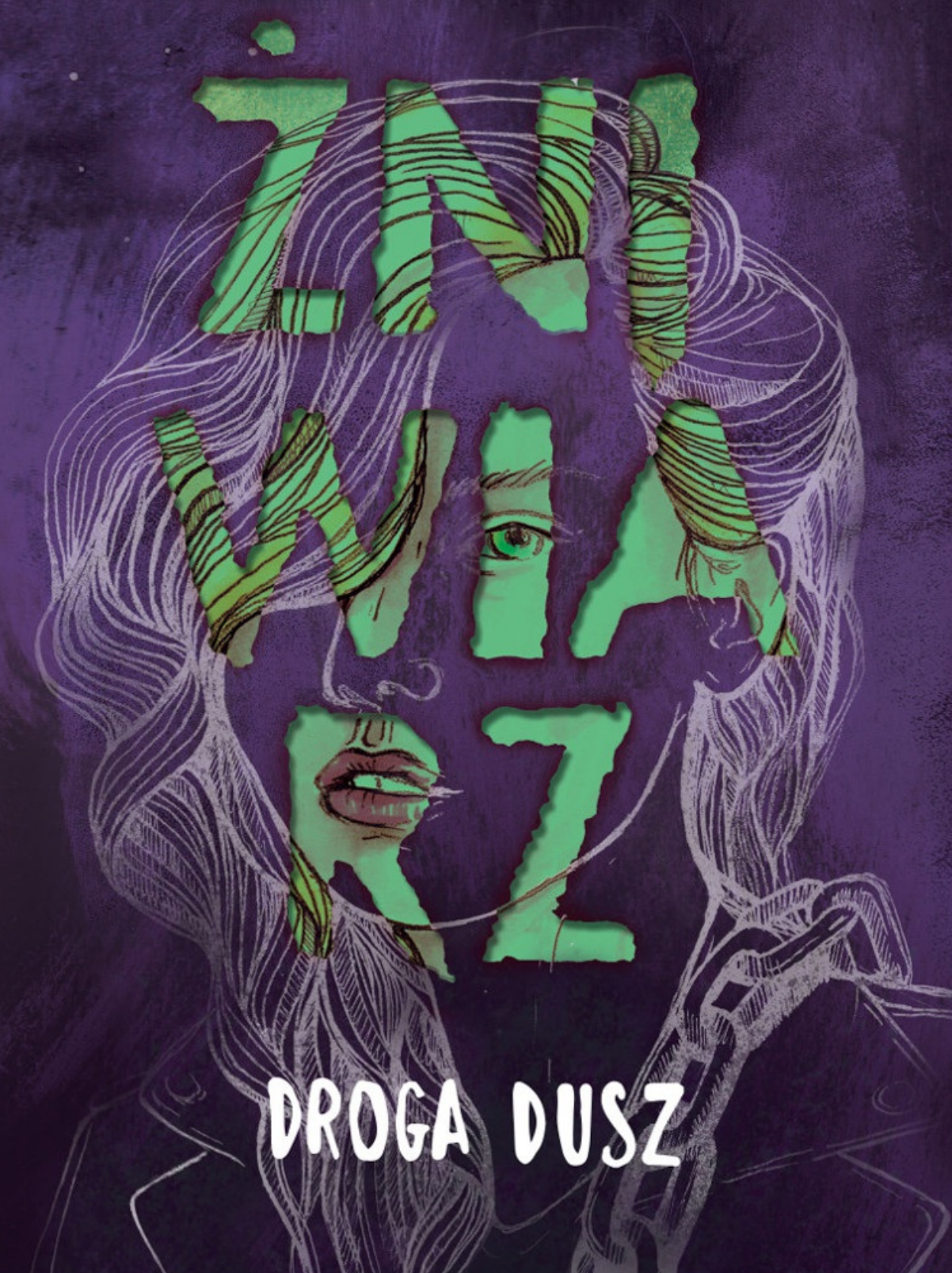
PAULINA HENDEL

MIAMI

MIAMI

MIAMI

DROGA DUSZ



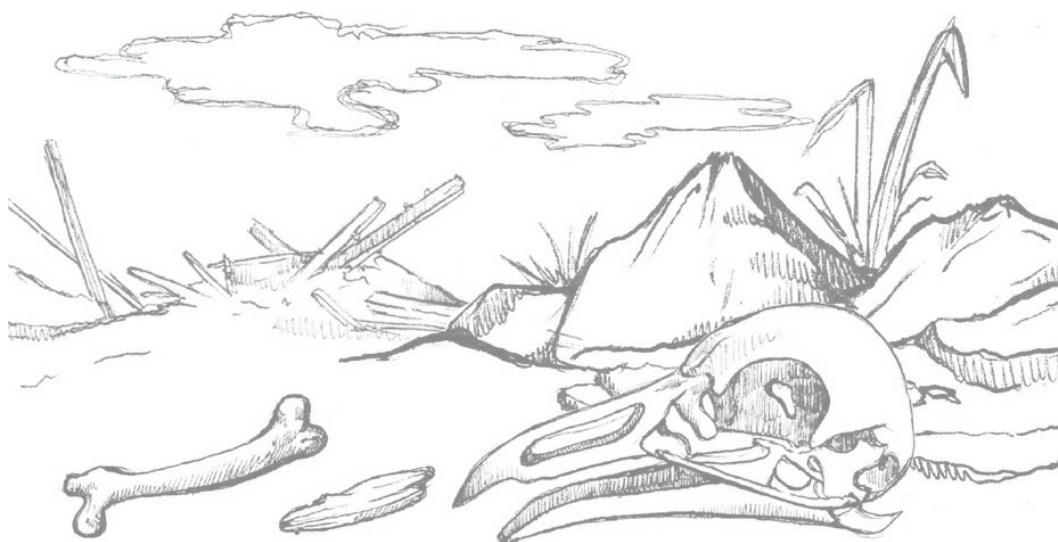
ŻNIWIARZ

DROGA DUSZ

PAULINA HENDEL

ŻNIWIARZ

DROGA DUSZ



 CZW-
ARTA
STRO
NA

Copyright © Paulina Hendel, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: NABU Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Jamróż

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2019

eISBN 978-83-66381-07-0

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-2519

fax: 61 853-8075

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

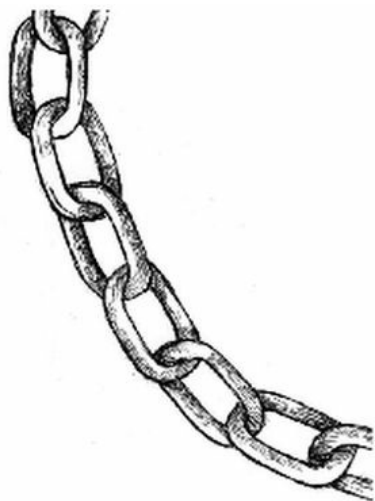
[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

Inie i Hubertowi

Rozdział 1



Michał był wściekły. O to, że zgodził się tej nocy być kierowcą swojej starszej siostry i jej chłopaka, że nie sprawdził żadnych ostrzeżeń pogodowych i nikt go tak naprawdę nie słuchał.

– No chodź! – zawołała Aśka.

Jej ukochany, Paweł, wzorcowy przykład nadętego buca, ciągnął ją za rękę w stronę przewróconego drzewa. Michał dałby głowę, że gdyby postanowił jednak poczekać w samochodzie mamy, zaparkowanym na poboczu, zostawiliby go tu samego bez mrugnięcia okiem. W końcu w południe mieli we dwoje jechać na żagle i oczywiście nie było mowy o tym, żeby się spóźnili. No i Paweł jak prawdziwy macho stwierdził, że woli iść niż czekać na ratunek w aucie.

Michał pociągnął za klamkę, upewniając się, że samochód jest zamknięty, i powoli ruszył za siostrą oraz jej tępy facetem. Wspięli się na gruby pień leżący w poprzek drogi. Paweł zeskoczył po drugiej stronie i udając dżentelmena, pomógł Aśce zejść. Żadne z nich nie obejrzało się, aby sprawdzić, jak radzi sobie Michał.

Zza pędzących po nocnym niebie chmur na chwilę wyrzał księżyc. Osiemnastolatek stanął jak wryty, nie mogąc nawet wykrztusić z siebie ani słowa. To, co zobaczył, przerosło jego wyobrażenia. Myśleli, że tylko ten jeden wielki świerk zagroził im drogę i gdy po nim przejdą, spokojnie będą mogli dotrzeć pieszo do domu, choć czekał ich spory kawał drogi. Nie mogli bardziej się mylić.

Nawet Paweł i Aśka się zatrzymali; droga przed nimi była zaścielona poprzewracanymi sosnami i brzozaami. Po obu ich stronach zaś to, co jeszcze wieczorem było

lasem, teraz wyglądało na setki kikutów drzew ukreconych jak zapałki kilka metrów nad ziemią.

– Widzisz? Miną całe godziny, zanim ktoś to uprzątnie – przerwał ciszę Paweł.

– Całe godziny miną, zanim dojdziemy do domu – burknął Michał. – Nie wiem, czy to jest bezpieczne, żeby iść po tych drzewach. A jak coś się na nas przewróci?

– Nie sraj po gaciach, tylko chodź.

Młodszy chłopak wzruszył ramionami i zeskoczył z pnia.

Zachciało im się imprez na odludziu – utyskiwał w myślach. Sam już nie wiedział, dlaczego zgodził się pojechać na tego grilla. Nie lubił ludzi, z którymi mieli się tam spotkać, to nie byli jego znajomi. Ba, to nawet nie byli znajomi Aśki.

Podniósł wzrok na plecy siostry. Kiedy się tak zmieniła? Jako dzieci byli nierozłączni. Razem wspinali się na drzewa, razem grali w gry komputerowe, razem się kłócili i bili o głupoty. Nagle ona wydorosłała i stała się lepem na takich tępaków jak Paweł.

Michał właśnie solennie sobie poprzysiągł, że już nigdy nie będzie jej kierowcą, kiedy Aśka nagle się zatrzymała i o mało na nią nie wpadł.

– Słyszycie to? – szepnęła.

– Wydaje ci się – stwierdził Paweł.

– Ciii – syknęła.

– Nie bój się, przy mnie nic ci nie grozi – zapewnił ją bohatersko, a Michał nie potrafił powstrzymać ironicznego parsknięcia.

– Tam coś jest! – Wskazała trzęsącą się ręką gęste gałęzie przewróconego drzewa.

– Pewnie królik. – Paweł wskoczył na pień i wyciągnął

rękę do Aśki.

– Od kiedy to króliki żyją w lesie? – burczał Michał.

– Znowu to słyszałam! – pisnęła Aśka.

– Siostrzyczka tchórzy?

Przeszyła go morderczym spojrzeniem.

– Nie będę przypominać, kto przez ponad dziesięć lat nie schodził do piwnicy, bo bał się mieszkającego tam potwora – powiedziała mściwie.

– Nie moja wina, że opowiadałaś o nim z takim realizmem – mruknął.

Michał jak dziś pamiętał te rozjarzone w ciemności ślepie, o których mówiła mu siostra. Kiedy miał siedem lat, zamknęła go w piwnicy i dostał ataku hysterii, a Aśka zarobiła porządny opieprz od mamy. I choć już od dawna wmawiał sobie, że wyleczył się z tego irracjonalnego strachu, wciąż miał gęsią skórkę za każdym razem, kiedy schodził po słoiki.

Coś ponownie zaszeleściło w zaroślach i tym razem usłyszeli to wszyscy.

– Zwierzęta są przerażone po takiej burzy – oświadczył Paweł głosem zoologa specjalisty. – Uciekną przed nami. Zresztą w naszych lasach nie ma niebezpiecznych zwierząt.

– A dziki? – zapytał Michał.

– To wielkie tchórze.

Nastolatek uniósł brwi. Skąd ten pajac czerpał takie informacje? Ale to było to – o czymkolwiek Paweł by nie mówił, wyrażał się z tak absolutną pewnością siebie, że nawet jeśli znało się prawdę, jego kłamstwo było zbyt przekonujące, żeby w nie nie uwierzyć. A Aśka łykała przy nim wszystko jak pelikan żabę.

Przedzieranie się przez drogę zawałoną przewróconymi

pniami okazało się dużo bardziej czasochłonne, niż mogli podejrzewać. Michał zastanawiał się, jakim cudem przegapili całą tę wicherę. Kiedy byli na grillu, rozpętała się całkiem potężna burza, ale to wszystko. Skryli się w małym domku i ją przeczekali. Gdyby wiedzieli, w jakim stanie jest okolica, Michał w życiu by się stamtąd nie ruszył. A do domu prowadziła tylko ta jedna droga.

– No i gdzie są strażacy? – zaczął utyskiwać Paweł. – Oczywiście zaspali zamiast zabrać się do sprzątnięcia tych drzew.

– Jest środek nocy – zauważył Michał. – Pewnie pomagają ludziom, których domy ucierpiały podczas wicherury, albo pracują na głównych trasach. Jesteśmy na drodze gminnej, ona zawsze jest ostatnia w każdej kolejce.

– Dobra, już się tak nie wymądrzaj.

Mam nadzieję, że nie zostaniesz moim szwagrem.

Po prawej stronie rozległ się hałas. Cała trójka zamarła, nasłuchując.

– Trzeba było zostać w aucie – szepnął Michał.

– Przestań w końcu marudzić! – wybuchnęła Aśka. – Nic innego ostatnio nie robisz! Nic ci nie pasuje! Wszystko jest źle!

Wciąż krzyczała na Michała, ale chłopak przestał jej słuchać. Dudnienie było coraz bliżej. Coś dużego biegło w ich stronę do wtóru łamanych gałęzi.

– Jeżeli to rozjuszony dzik, to chyba powinniśmy zejść mu z drogi – powiedział, przerywając monolog siostry.

Aśka i Paweł zapatrzyli się na ciemny las kikutów. Tym razem nie zaprotestowali i szybkim krokiem ruszyli w stronę najbliższego przewróconego drzewa. To coś

przemieszczało się w zastraszającym tempie.

– Szybciej! – krzyknął Michał.

Wyprzedził ich, po czym jednym susem przesadził gruby pień sosny. W życiu nie posadziłby samego siebie o taką sprawność. Błyskawicznie się odwrócił i złapał siostrę, która poślizgnęła się na wilgotnej korze. Sekundę później dołączył do nich Paweł i wszyscy skulili się za drzewem.

Trzask łamanych gałęzi był coraz bliżej. Rozległo się ciężkie sapanie. Michał zaryzykował wychylenie się zza pnia i ujrzał wielki, szary kształt pędzący przez drogę. Z ust Aśki wydobył się cichy pisk. Zwierzę zatrzymało się gwałtownie.

Michał przypadł do siostry i zatkał jej dłonią usta. Serce dudniło mu w klatce piersiowej jak nigdy wcześniej. Miał wrażenie, że słyszy, jak ta bestia przestępuje z nogi na nogę, węsząc. Otoczył ich smród nie do zniesienia. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

W końcu Paweł podniósł się nieco i zapatrzył na ciemny las.

– Poszedł sobie – szepnął.

Michał powoli odjął rękę od ust siostry, wciąż czując, jak dziewczyna drży.

– Wracajmy do auta – zaproponował jej chłopak.

– Pogrzało cię?! – wybuchnął nastolatek. – Właśnie w tamtym kierunku pobiegło to coś!

– C-co to by-było? – zapytała Aśka łamiącym się głosem.

– Nie wiem i nie chcę się dowiedzieć. – Michał jakimś cudem odnalazł w sobie spokój. – Chodźmy w stronę domu.

Złapał siostrę za rękę i pociągnął za sobą. Po kilku sekundach dołączył do nich Paweł. Najwyraźniej nie miał ochoty ani na chwilę zostawać sam.

Szli powoli, często przystając i nasłuchując. Michał miał wrażenie, że kilka razy rozległ się w oddali chichot, ale nie chciał straszyć pozostałych i postanowił to przemilczeć. *Zresztą zmęczony umysł potrafi wymyślać najróżniejsze rzeczy* – przekonywał sam siebie.

Nagle gdzieś w pobliżu trzasnęło, rozległ się łomot. Paweł okręcił się wokół własnej osi, wymachując znaną przed momentem gałęzią. Michał miał wrażenie, jakby serce podeszło mu do gardła.

– To tylko drzewo – powiedział, a jego głos zabrzmiał nienaturalnie wysoko. Odchrząknął, starając się odzyskać normalny ton. – Było nadłamane, a teraz runęło...

Po huk zapadła martwa cisza.

– Chodźmy już – poprosiła Aśka.

Piasek zachrząścił pod ich butami, co jakiś czas trzaskała złamana przez nich gałązka, a zniszczony las wokół wydawał się martwy.

Michał miał już serdecznie dość tej nocy. Jego nerwy były na granicy wytrzymałości. A do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Po raz setny zadawał sobie pytanie, po cholere jechał na tego przeklętego grilla.

Nagle coś zawyło rozdzierająco na drodze tuż przed nimi. Cała trójka zamarła.

– To... to tylko zwierzę... – Michał spróbował przekonać siebie i siostrę, która jakby wrosła w ziemię.

– Ono umiera – szepnęła.

Wycie zamieniło się w ciche pojękiwanie.

– Pewnie drzewo je przygniotło.

– Ominiemy je i tyle – postanowił Paweł.

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie Aśka. – To pewnie sarna i jeżeli umiera, trzeba ją dobić.

– Zwariowałaś?! Sądząc po odgłosach, zaraz sama zdechnie.

Jej chłopak ruszył po przewróconym pniu w stronę lasu, ale ona nawet nie drgnęła.

– Michał? – Spojrzała na brata.

Przez chwilę walczył sam ze sobą. Z przyjemnością zrobiłby na przekór Pawłowi, jednak wiedział, że ranne zwierzęta potrafią być niebezpieczne.

Aśka podjęła decyzję za wszystkich, ruszając w stronę powoli zamierających jęków.

– Akurat teraz musiała sobie jaja wyhodować – narzekał Paweł, zawracając.

– Nic nie widzę – rzuciła dziewczyna, przedzierając się przez gęste gałęzie przewróconego świerka. – Kto ma dobrą latarkę w telefonie?

Paweł wzruszył ramionami, najwyraźniej nie zamierzając użyć jej swojej komórki. Gdy coś szło nie po jego myśli, zawsze obrażał się na innych jak pięciolatek.

– Gdzie jesteś? – Michał wszedł między gałęzie, strzelając na boki wątlą wiązką światła.

Prawie wpadł na plecy Aśki.

– Zamilkła. Myślisz, że już nie żyje? – zapytała dziewczyna.

Chciał zaproponować, żeby po prostu ominęli to przekłete miejsce, kiedy nagle zamiast cichego skomlenia rozległo się mlaskanie i ich uszu doszedł dźwięk dartego materiału. Ze zgrozą poświecił przed siebie. Najpierw ujrział drobny jasnobrózowy grzbiet

sarny, a po chwili wyłoniła się zza niego zakrwawiona, chyba ludzka głowa. Z ust zwisał jej ociekający kawał mięsa, jeszcze pokryty sierścią.

Aśka wrzasnęła wniebogłosy i dopiero to go otrzeźwiło. Cofnął się o krok i zleciał z pnia świerku. Grzmotnął plecami o asfalt pokryty gałęziami, ale nie poczuł bólu. Natychmiast pozbierał się na równe nogi. Złapał siostrę za rękę i wybiegli z gęstwiny wprost na Pawła.

– Co wy, do cho... – zaczął chłopak.

– W nogi! – krzyknął Michał i popędził dalej.

Na wpół biegli, na wpół szli, przedzierając się przez gęste gałęzie; przeskakiwali przez przewrócone pnie byle dalej od tego, co ujrzeli.

– Stójcie! – wysapał wreszcie Paweł, zatrzymując się.

Był umięśniony i silny, ale szybkością nigdy nie dorównywał swojej dziewczynie ani jej bratu.

– Powaliło was? – zapytał, dysząc ciężko. – Dlaczego uciekamy? Co to było?

Aśka nabrała powietrza w płuca, ale nie potrafiła ubrać w słowa tego okropieństwa.

– Zombie – rzucił pewnym głosem Michał.

– Że co?!

– Pożerał tę sarnę i wyglądał jak martwy człowiek. Na pewno zombie. Był cały pokrwawiony...

– Czy ty go słyszysz?! – wybuchnął Paweł. – Co on wygaduje?!

– Ciszej – syknął osiemnastolatek. – Hałasy je przyciągają.

– To nie jest jakiś głupi film! Aśka!

– Ja... on... – zająknęła się dziewczyna. – Młody ma rację. To nie wyglądało jak człowiek.

– Paranoja – sapnął jej chłopak.

– Na szczęście zombiaki są powolne, najgorzej, jak trafimy na horde. – Michał schylił się po ułamaną grubą gałąź. – Jakby co, celujcie w głowę.

– Dobrze, że gry komputerowe zrobiły z ciebie takiego specjalistę – rzucił ironicznie Paweł.

Tuż za nimi rozległ się szelest.

Michał uniósł bojowo gałąź, Aśka zacisnęła palce na jego ramieniu, a Paweł skoczył, by skryć się za nią. Perspektywa bycia zjedzonym przez zombie najpewniej go przerosła.

Na pniu sosny stanęła ciemna postać i spojrzała na nich z góry.

– Nie dajcie się ugryźć – szepnął Michał. Lodowaty pot lał mu się po plecach.

– Wrzeszczycie tak, że słychać was z kilometra – odezwał się zombie damskim głosem.

W taką upiorną noc usłyszenie kolejnej ludzkiej istoty zdawało się czymś na tyle niezwykłym, że cała trójka nawet nie drgnęła.

– Opuść tę gałąź – zwróciła się do Michała. – A ty, bohaterze – spojrzała na Pawła – możesz już wyjść zza pleców dziewczyny.

Osilek natychmiast odzyskał dawny rezon. Stanął przed Aśką, wyjął z kieszeni telefon i włączył latarkę, po czym skierował światło na przybysza. Była to młoda, wysoka dziewczyna. Jej ubrania znaczyły plamy krwi. Jasne, długie włosy były rozczochrane. Na jej czole widniał guz, a gładka skóra była brudna, poorana licznymi zadraśnięciami.

– Nie świeć po oczach – warknęła, zeskakując zgrabnie z pnia. W jej dłoni błysnęło ostrze noża.

– Nie zbliżaj się! – Michał odzyskał głos.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ugryzł cię? – zapytał.

Zamrugła powiekami.

– Musimy to wiedzieć! – Osiemnastolatek wyklinał siebie w duchu, że jego głos zadrżał.

– Co ty wygadujesz?

– Jeżeli zombie cię ugryzł, to jesteś zakażona!

Potrząsnęła głową.

– Jaki zombie?

Michał wskazał gałęzią za siebie.

– Tam był. Zabił sarnę i ją zjadał.

– Jak wyglądał?

– Jak martwy człowiek, cały we krwi...

– Jak daleko stąd?

– Nie wiem. Kilkadziesiąt metrów. – Machnął ręką za siebie.

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę, po czym wsunęła nóż za pasek, zdjęła z ramienia torbę i upuściła ją na ziemię. Przykucnęła obok i zaczęła przetrząsać jej zawartość, wciąż bacznie obserwowana. W końcu uśmiechnęła się do siebie i wyciągnęła składaną wojskową saperkę.

– Był przygotowany na prawie wszystko – powiedziała do siebie, rozkładając ją.

– Kto? – zapytał Michał.

– Pierwszy – odparła, nawet nie patrząc na chłopaka.

Wyprostowała się i zmierzyła wzrokiem trójkę ludzi, jakby chciała ich ocenić. Paweł napiął mięśnie.

– Jeżeli podejdziesz do was, sypnijcie mu tym w gębę. – Podała Michałowi mały, lekki woreczek. – A potem uciekajcie, bo zioła powstrzymają go tylko na chwilę.

– To ma zadziałać na zombie? – oburzył się chłopak.

– Taaa... Przypilnuj mi tego. – Wcisnęła Aśce swoją torbę.

– A ty gdzie idziesz? – zapytał Paweł, gdy postąpiła kilka kroków we wskazanym kierunku.

– Zabić go – rzuciła i zniknęła w ciemnościach.



Magda po raz ostatni zerknęła na trójkę ludzi. Na pewno stracili ją już z oczu, ale ona przecież miała lepszy wzrok. Stali nieruchomo, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. I dobrze, będą bezpieczniejsi, jeśli nie zbliżą się do upióra. Choć czy tej nocy ktokolwiek był bezpieczny?

Już od długiego czasu ściagała tego przekłętogo demona. Zabijanie nawich było jej pracą, jej życiem, a dodatkowo napędzała ją chęć pomszczenia Pierwszego. I starała się nie myśleć o tym, że zaledwie kilka godzin wcześniej ten sam upiór omal jej nie zabił.

Szła powoli i niemal bezszelestnie drogą zasłaną połamanymi drzewami. W życiu nie widziała ani nie słyszała o wicherze na północy kraju, która byłaby tak niszczycielska. Ale przecież to nie było zwyczajne zjawisko atmosferyczne. Nie, tym razem palce w tym maczał Nija, władca pogańskich zaświatów. Przez ułamek sekundy Magda poczuła się bezsilna. Nie pokonali go, gdy towarzyszyli im Pierwszy oraz Mateusz. Jak mieli poradzić sobie z nim teraz?

Potrząsnęła głową, odpędzając od siebie te myśli. To nie był czas na ponure rozważania ani na wahanie.

Według tego, co mówił chłopak, upiór powinien być już gdzieś tutaj. Przystanąła na chwilę, nasłuchując,

jednak żaden podejrzany dźwięk nie zwałcił ciszy, co było tym bardziej niepokojące. Upiór mógł się czaić za każdym drzewem, w każdej chwili gotów rzucić się do ataku.

Ciekawe, co by się stało, gdyby mnie zabił? – Niespodziewane pytanie przemknęło Magdzie przez głowę. Jeżeli wierzyć słowom Pierwszego, miała w sobie cząstkę demona. Co to znaczyło? Czy znów wróciłaby jako żniwiarz? A może jej dusza utknęłaby gdzieś indziej? Albo zupełnie zmieniłaby się w nawiego? Nie bardzo miała chęć, żeby to sprawdzić.

Cisza dzwoniła jej w uszach, a myśl, że lada moment może usłyszeć rozdzierający wrzask, wcale nie dodawała jej animuszu. Wszystkie zmysły postawiła w stan alarmowy, mięśnie ramion, napięte do granic możliwości, zaczęły lekko drżeć – z emocji lub strachu.

Wtem poczuła zapach krwi. Czyżby upiór rzeczywiście pożerał sarnę? Nie, to niemożliwe, upiory piją tylko ludzką krew. To na pewno człowiek padł jego ofiarą, a tamtym coś się przywidziało. Umysł będący w szoku wymyśla najróżniejsze wymówki, żeby tylko nie dopuścić do siebie okrutnej prawdy.

Zatrzymała się i przymknęła oczy, skupiając się na zmyśle węchu. Czuła ozon po burzy, ziemię, która została wyrwana wraz z korzeniami drzew, żywicę ze świeżo połamanych sosen, a także krew. Metaliczny zapach wypełnił jej nozdrza. Wciągnęła głęboko do płuc przesiąknięte nim powietrze. Jeszcze chyba nigdy nie czuła go tak wyraźnie.

Gwałtownie otworzyła oczy. Już wiedziała, w którym kierunku iść. Wspięła się na pień świerka porośniętego gęstymi gałęziami i delikatnie je rozchyliła. U jej stóp

leżało ciało sarny, przygniecione drzewem.

Magda po raz ostatni rozejrzała się uważnie dookoła, zeskoczyła na drogę i przykucnęła przy zwierzęciu. Na asfalcie rozlała się kałuża krwi. Częściowo wywleczone wnętrzności błysnęły w świetle księżyca. Martwe oko wpatrywało się w gwiazdy.

– To niemożliwe – szepnęła dziewczyna. – Upiory nie atakują saren...

A jeżeli nie upiór, to co to w takim razie było?

¢

– Po cholere czekamy? – niecierpliwiał się Paweł. – Bo jakaś obca laska kazała nam stać tu jak kołki?

Michał nie potrafił znaleźć żadnego kontrargumentu. Było w tamtej dziewczynie coś, co nakazywało być jej posłusznym. Jednak dopiero kiedy odeszła, zdali sobie sprawę, że wykonali rozkaz zupełnie obcej osoby, która nie mogła być starsza od Aśki.

– Bo tam jest niebezpiecznie? – odezwał się Michał. – Jeżeli już zombiak ma kogoś pożreć, niech to nie będzie żadne z nas.

Choć ciebie mógłby – dodał w myślach, patrząc na Pawła.

– A jak ona już nie wróci? – zapytała Aśka, ściskając jej torbę.

– W takich chwilach każdy dba o siebie – ocenił jej chłopak, po czym wziął od niej torbę i zajrzał do środka. – Po kiego groma jej to? – Wyciągnął sierp, który zaśnił w poświacie księżyca.

– Może była w drodze na żniwa – rzucił ironicznie

Michał.

Paweł zdawał się go nie usłyszeć. Wrzucił sierp i kilka woreczków o mniej lub bardziej cuchnącej zawartości z powrotem do torby, zarzucił ją sobie na ramię i się wyprostował.

– Idziemy do domu – zdecydował. – Okrążymy miejsce, w którym była sarna, i nie będziemy na nikogo czekać.

Tym razem Michał nie protestował. Zeszli z drogi w las, choć po wichurze nie było między nimi prawie żadnej różnicy. Ostrożnie lawirowali między nadłamanymi drzewami, obawiając się, że w każdej chwili mogą zostać przygnieceni. Paweł prowadził, tuż za nim podążała Aśka, a Michał, nie wypuszczając z rąk swojej gałęzi, zamykał pochód.

Wszyscy troje modlili się tylko o to, żeby ta okropna noc wreszcie się skończyła. Chmury zupełnie zniknęły z nieba i księżyc w pełni zalewał las zimnym blaskiem. Każda plama cienia zdawała się skrywać potwora rodem z koszmarów.

Nagle kilka rzeczy stało się równocześnie. Jedno z drzew runęło na ziemię z trzaskiem, Michał bojowo uniósł gałąź, omal nie uderzając nią siostry, a z gardła Pawła wydobył się niezbyt męski wrzask.

Młodszy z chłopaków potrzebował zaledwie sekundy, żeby ochłonać. Choć śmiertelnie niebezpieczne, to tylko drzewo, a nie horda zombie. Już chciał zacząć naśmiewać się ze swojego być może przyszłego szwagra, że krzyczy jak mała dziewczynka, kiedy zorientował się, że Paweł był zwrócony twarzą w zupełnie innym kierunku i stał, jakby wkopało go w ziemię, wielkimi oczami wpatrując się w coś między poszarpanymi

kikutami pni.

Osiemnastolatek podążył za jego spojrzeniem. Serce podeszło mu do gardła, nogi odmówiły posłuszeństwa. Jedna sprawa to uwielbiać horrory, a zupełnie inna – w jednym się znaleźć. Kilka metrów dalej stała możliwe, że kobieca postać o prawie łysej głowie, z której zwieszało się kilka poplątanych strąków brudnych włosów. Jej przeraźliwie chude ręce i nogi wyglądały jak same kości obciążone szarą skórą. Palce u dłoni były nieproporcjonalnie długie, lekko zagięte i nawet nie można było dostrzec miejsca, gdzie przechodziły w czarne szpony jak u drapieżnych ptaków. Jednak najgorszy był brzuch, a raczej jego brak. Stwór wyglądał, jakby ktoś częściowo obdarł go ze skóry, dla zabawy poprzecinał kiszki i wyciągał ich końce tak, aby zwisały niemal do kolan jak jakaś ohydna ozdoba. Dwie z nich musiały wcześniej zahaczyć o gałęzie, gdyż były mocno poszarpane i wlekły się po ziemi. Michał poczuł mdłości.

To nie może istnieć! – odezwał się głos w jego głowie. To zaprzecza wszelkim prawom biologii! Nie można chodzić sobie po świecie z flakami na wierzchu!!!

Jednak stwór nie dość, że chodził, to jeszcze zdawało się, że nic mu w tym nie przeszkadzało. Rozdziawił szeroko paszczę, ukazując zepsute, zaostrome zęby.

Trójka ludzi stała niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. W przerażeniu wpatrywali się w potwora, który postąpił krok w ich stronę. I dopiero to ich otrzeźwiło.

– W no... – zaczął Michał, jednak Paweł był szybszy.

Złapał za ramiona Aśkę stojącą bliżej niego i popchnął ją w stronę stwora. Błyskawicznie odwrócił się i rzucił do ucieczki. Dziewczyna runęła na ziemię, a zombie

ruszył prosto na nią.

Michał zadziałał instynktownie. Doskoczył do siostry i zamachnął się gałęzią. Celował w głowę, trafił jednak w ramię. Potwór zachwiał się, więc chłopak, wykorzystując moment, chwycił Aśkę za bluzę na karku i odciągnął ją w bok.

– Nie zbliżaj się! – krzyknął, dźgając gałęzią powietrze. Może jego groźba zabrzmiałaby lepiej, gdyby głos mu się nie łamał, a ręka nie drżała jak w febrze.

Kobieta zombie wyszczerzyła zęby jakby w uśmiechu. Najdłuższe jelito, wlekące się po ziemi, zahaczyło o gałęzie i się napięło. Kilka kropel krwi skapnęło na ziemię. Aśka wstała i przywarła do Michała, wlepiając przerażone spojrzenie w potwora, który przystanął, oglądając się na blokującą go gałąź. Zaskrzeczał ze złością i gwałtownie szarpnął ciałem. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk, gdy kawałek jelita się oderwał.

– Idź w bok i odwróć jej uwagę – szepnął Michał.

– Nie... – jęknęła Aśka.

– A ja przebiję jej mózg.

Lekko odepchnął od siebie siostrę, która nieporadnie zamachała rękoma.

– Tu jestem – powiedziała łamiącym się głosem. – Chodź tu.

Potwór przez chwilę obserwował dwójkę ludzi, a potem ruszył na Michała.

– Cholera – rzucił chłopak, po czym zaatakował.

Chciał wbić ostry koniec gałęzi w oko stwora, jednak drewno tylko ześlizgnęło się po skroni, zostawiając za sobą krwawą bruzdę.

Ręka zombie wystrzeliła do przodu, ostre pazury leciały wprost na brzuch Michała, żeby go przebić.

Chłopak zadziałał instynktownie. Gwałtownie się obrócił, a gałęzią uderzył przedramię kreatury. Trzasnęło łamane drewno, posypały się drzazgi.

Aśka z wojowniczym okrzykiem na ustach uniosła rękę nad głowę. W jej dłoniach znajdował się duży kamień. Opuściła go prosto na plecy stwora. Rozległ się skowyt, a zombie odwrócił się i trzasnął dziewczynę w twarz, aż jej głowa odskoczyła nieco w bok i Aśka osunęła się na ziemię.

– Nie!!! – wrzasnął Michał. Nie miał już broni, ale nie mógł pozwolić, żeby jego siostra zginęła. Rzucił się w stronę potwora, kiedy ten nagle wywinął piruet.

Osiemnastolatek dopiero po chwili dostrzegł napięte jak struna jelito, którego koniec trzymała wysoka blondynka. Przez kilka sekund mierzyła się wzrokiem ze stworem, a potem uniosła lekko wargę, ukazując zęby. Michał nie miał pojęcia, czy był to uśmiech, czy próba warczenia. A potem szarpnęła.

Zombie zachwiał się, jednak nie upadł. Dziewczyna wykręciła rękę i zawinęła wyslizgujące się jej z palców jelito o nadgarstek, po czym znów pociągnęła. Rozległ się dźwięk podobny do darcia dżinsu i prawie wszystkie kiszki wylały się z brzucha; zwiślały teraz w okolicach kostek kreatury.

Stwór postąpił krok w stronę dziewczyny, ale zaplątał się we własne wnętrze i stracił równowagę. Blondynka wypuściła z ręki jelito i błyskawicznie doskoczyła do przeciwnika. Uniosła saperkę, a następnie opuściła ją prosto na chudy kark. Ostrze wbiło się głęboko. Zombie zaskrzeczał. Dziewczyna zaparła się stopą o plecy stwora i przycisnęła go do ziemi, jednocześnie wyszarpując swoją broń.

Wyprostowała się, nim znów uderzyła saperką z taką siłą, że oddzieliła głowę od reszty ciała. A potem, jakby na wszelki wypadek, kopnęła ją na bok.

Spojrzała na wciąż przerażone rodzeństwo.

– Kazałam wam czekać – powiedziała, wskazując ich saperką. – Gdzie ten trzeci?

– Uciekł – powiedział sennym głosem Michał. Jego siostra opadła na kolana i zwymiotowała.

– Moja torba?

– On ją miał.

Nieznajoma zmeła w ustach przekleństwo.

– W którym kierunku pobiegł?

– Chyba tam. – Aśka wskazała za siebie, wycierając drugą dłonią usta.

– No to właśnie tam pójdziemy. Tak przy okazji, jestem Magda.

– Michał, a to moja siostra, Aśka.

– Miło poznać – rzuciła tamta jakby nigdy nic, jakby przed chwilą nie zabiła morderczego zombie i nie była umazana jego krwią.

¢

Waldemar stanął za barem, oświetlając latarką kolejne butelki z najróżniejszą zawartością – połowy z nich nie potrafił nawet nazwać. No i na cholere komuś tyle kolorowych soków, które wyglądały, jakby dopiero co przywieziono je z laboratorium chemicznego? Czy nikt już nie pił zwykłej, taniej wódki?

Wybrał na chybił trafił jakąś butelkę, sięgnął po szklanekę, z przyzwyczajenia raczej niż z potrzeby

wydmuchał z niej kurz i nalał bursztynowego trunku.

Paskudna burza połączona z wichurą sprawiła, że utknęli w tym barze na całą noc. W Wiatrołomie zabrakło prądu, na ulicach leżały przewrócone drzewa. Do rana nie było możliwości, żeby się stąd wydostać.

Gauza sobie nie krzywduje – pomyślał z przekąsem lekarz, patrząc na swojego przyjaciela.

Emerytowany nauczyciel siedział przy stoliku i już od godziny pocieszał tę różową harpię.

– Mój dom, moje rodzinne dziedzictwo... – narzekała płaczliwym tonem. – Co ja pocznę, jeżeli został zniszczony? Gdzie się podzieję z moimi chłopcami?

Dodaj jeszcze: Olaboga! Ja biedna, bezdomna staruszka..., a nawet Gauza już tego nie kupi.

Waldemar podejrzewał, że kobiecina po prostu lubiła znajdować się w centrum uwagi, a emeryt był na tyle szarmancki – albo też łatwowierny – że dał się nabrać.

– I gdzie są moi chłopcy? To trwa już zbyt długo... – Tym razem w głosie Janiny zabrzmiał prawdziwy niepokój.

Lekarz spojrział na zegarek. Czy miasto było w aż tak złym stanie, że przedostanie się do domu oddalonego o dwa kilometry mogło zająć więcej niż półtorej godziny?

– To dorośli, silni faceci, na pewno sobie poradzą – zapewnił Gauza.

Kiedy tylko ulewa się skończyła i okazało się, że telefony nie mają zasięgu, właściciele baru, a zarazem jakimś dziwnym trafem kuzyni Magdy, zgodnie stwierdzili, że muszą iść do domu sprawdzić, czy nic się nie stało jakimś dwóm dziewczynom, które z nimi mieszkały.

Gdy tylko Janina to usłyszała, niemal wpadła w histerię, że chcą ją zostawić samą, ale właśnie wtedy Gauza bohatersko zaproponował jej swoje towarzystwo. A Waldemar nie narzekał, bo mógł w tym czasie skosztować zawartości butelek za barem.

Nagle ciszę i spokój przerwało walenie do drzwi. Janina podskoczyła na krześle, Gauza zerwał się na równe nogi.

– Ludzie, nie tak nerwowo – wymamrotał Waldemar.

Sięgnął po łom, który bliźniacy w niewiadomych celach trzymali za kontuarem – ale przecież to rodzina Wojnów, więc nie było czemu się dziwić – i ruszył w stronę wejścia.

– Kto tam? – zawołał.

– Otwórz, to ja!

– Czyli kto?

– Adrian! Otwieraj natychmiast, bo...

Waldemar spokojnie wysłuchał wiązanki przekleństw, a następnie otworzył drzwi.

Do baru wpadł jeden z braci, ciągnąc za rękę trupio bladą dziewczynę.

– Gdzie Sebastian?! – Janina poderwała się z krzesła.

– Nie wiem, rozdzieliliśmy się, coś nas zaatakowało...

– Co ty wygadujesz?! – huknęła na niego babcia.

– Demon – powiedziała lekko nieprzytomnym tonem dziewczyna. – Widzieliśmy co najmniej dwa.

Waldemar wrócił za bar i haustem dopił resztkę tego, co miał w szklance. Najwyraźniej spełniły się obawy Feliksa. A to znaczyło...

– Czy to krew? – Janina wskazała przedramię wnuka.

Adrian spojrzał na długie rozcięcie, jakby w ogóle go nie czuł.

– To jakaś gałąź mi odstrzeliła...

Staruszka przeszła wzrokiem Waldemara, który zamarł podczas uzupełniania płynem swojej szklanki.

– Ponoć jest pan lekarzem, więc radzę zająć się moim wnukiem zamiast opróżniać mu bar – wysyczała, mrużąc lekko oczy.

– Do usług. – Skinął głową.

¢

– Skąd się ten zombie wziął? – dopytywał chłopak, drepcząc krok w krok za Magdą.

– To nie zombie.

– Skąd wiesz?

– Bo się na tym znam. – Magda myślała, że uda jej się w ten sposób uciąć dyskusję, ale Michał najwyraźniej otrząsnął się już z pierwszego szoku i teraz chciał wiedzieć o demonie wszystko.

– Ale skąd?

– Zabijam takie stwory.

– Więc co to było?

Magda przystanęła. No właśnie, to było bardzo dobre pytanie.

– Na początku myślałam, że upiór, którego tropiłam...

– Upiór? – powtórzyła głucho Aśka.

– Tak, upiór, ale najwyraźniej był to inny demon.

Taki, którego nie znała ani nawet o nim nie słyszała. I była prawie pewna, że ani Feliks, ani Wanda nie wiedzieli, czym on był.

Pierwszy by wiedział – podszepnął jej zdradziecki umysł.

Tak długo chciała zabić żniwiarza; jeszcze niedawno zdawało się to jej jedynym planem na życie. A tej nocy już po raz wtóry poczuła smutek na myśl o jego śmierci.

– Demon – odezwał się Michał. – Jaki znowu demon?!

Magda zatrzymała się, a chłopak prawie na nią wpadł.

– Słuchajcie, mamy mało czasu, więc zrobię wam tylko krótkie wprowadzenie. Demony z opowiadań ludowych istnieją. A dziś przypadła trzynasta pełnia w roku, kiedy to granica między światami jest bardzo cienka, co całkiem nieźle zgrało się z tym, że Nija, władca pogańskich zaświatów, urósł w siłę i wypuścił z Nawii całe zastępy demonów.

Rodzeństwo wymieniło niedowierzające spojrzenia. Stwierdziła, że będą mieli mnóstwo czasu, żeby przetrwać jej słowa, jeśli przetrwają do rana. Teraz Magda musiała odzyskać torbę Pierwszego. Chociaż tyle jej po nim zostało.

Wtem poczuła zapach zepsutego mięsa.

– Cholera – warknęła.

– Co tak cuchnie? – zapytała Aśka.

Ciszę nocy przerwał ludzki wrzask.

– Zostańcie tu! – rozkazała Magda i zerwała się do biegu.

Jednak chwilę później usłyszała za sobą kroki. Najwyraźniej rodzeństwo zgodnie postanowiło nie zostawać już samotnie w ciemnym, zniszczonym lesie. Nie mieli szans jej dogonić, ale może to i lepiej, że trzymali się blisko.

Magda przesadziła przewrócone drzewo i zatrzymała się, gdy znów poczuła smród zgniłego mięsa. Ziemia była zalana krwią. Nikt, kto stracił jej tyle, nie mógłby tego przeżyć. Mimo to dziewczyna ruszyła powoli

naprzód. W oddali ujrzała torbę Pierwszego z zerwanym paskiem. Metr dalej leżał zakrwawiony skrawek ubrania.

Rozległo się tupanie i trzask łamanych gałązek, gdy do Magdy dotarła dwójka nowych towarzyszy.

– Co się stało? – zapytała Aśka, choć tak naprawdę musiała już znać odpowiedź.

Magda nabrała w płuca powietrza, ale dziewczyna schyliła się i podniosła z ziemi czerwony od krwi but.

– On nie żyje, prawda? – powiedziała bezbarwnym tonem.

– Przykro mi. – Magda pokręciła głową.

– Popchnął mnie wprost pod nogi tamtego... demona.

– Dziewczyna wciąż wpatrywała się w but.

– Czasem tak jest, że sytuacja zagrożenia wywołuje w ludziach to, co najgorsze. Chodźmy.

Magda nie chciała tropić bezkosta. Najadł się i pewnie gdzieś się ukrył. Minie co najmniej doba, zanim znów wylezie. Woląta odprowadzić tę dwójkę do domu. Poza tym miała już torbę Pierwszego i musiała jak najszybciej znaleźć się w Wiatrołomie. Strach ścisnął jej serce za każdym razem, gdy myślała o tym, co mogło wydarzyć się w domu w taką noc.



Sebastian przyłożył palec do ust, a blada Tosia pokiwała głową. Coś się zbliżało, a wraz z nim pomarańczowa łuna mknęła ulicami.

Skryli się pomiędzy wysokim kamiennym murem a przewróconym kasztanowcem. Kilka metrów dalej

leżały połamane parkowe pergole. Na końcu ulicy rozległ się tętent kopyt, zahuczał ogień, wreszcie zza budynku wypadł koń cały w płomieniach.

Zwierzę pędziło asfaltem na oślep, a spod jego kopyt wystrzeliwały rozżarzone węgielki. Przeskoczyło nad pergolami, które wkrótce zajęły się ogniem. Zarzuciło grzywą z płomieni i zniknęło za rogiem.

– To nie mógł być prawdziwy koń – szepnęła Tosia.

Sebastian, wciąż patrząc na palące się drewno, z wolna pokręcił głową. Nie rozumiał tego, co właśnie działo się w Wiatrołomie. Skąd te przeklęte demony? Czy to ta cholerna wichura je obudziła i teraz szalały po mieście? Dlaczego było ich aż tyle? Miał nadzieję, że jego brat i Klara dotarli bezpiecznie do baru.

– Chyba możemy już iść – powiedział, lustrując wzrokiem pustą ulicę. Wszystkie okna budynków były czarne.

W oddali zabrzmiał warkot piły łańcuchowej. Straż pożarna zaczęła już usuwać drzewa z ulic, ale oczyszczenie całego miasta zajmie im więcej niż jedną noc. Zwłaszcza gdy ich też zaatakują demony.

– Czy ta piła nie ściągnie na nich nawich? – zapytała Tosia, kiedy ruszyli ulicą, omijając płonące pergole.

Sebastian właśnie pomyślał o tym samym. Jednak jego ucieszył fakt, że w takim przypadku demony będą daleko od ich dwójki. Obiecał Magdzie, że zaopiekuje się jej siostrą, i zamierzał dotrzymać słowa.

Weszli w cień wysokiej kamienicy i ruszyli wzdłuż jej ściany. Coś zachrząściło pod ich butami, a gdy spojrzeli w dół, ujrzeli księżyc odbijający się w tysiącach odłamków szkła. Okna nad ich głowami były powybijane.

Doszli do rogu budynku i się zatrzymali.

– Tam ktoś leży! – szepnęła Tosia, wskazując palcem na środek drogi.

Sebastian wysilił wzrok i rzeczywiście ujrzał ludzką sylwetkę.

– Powinniśmy mu pomóc – powiedziała dziewczyna, kiedy on jeszcze toczył wewnętrzną walkę.

– No dobra – odezwał się. – Ale trzymaj się blisko mnie.

Człowiek leżał na drodze z szeroko rozpostartymi ramionami i wyglądał, jakby po prostu spał, jednak jego głowa znajdowała się pod nienaturalnym kątem.

– Idziemy – zdecydował szybko Sebastian. – Jemu już nie pomożemy.

Tosia przytaknęła, nie mogąc oderwać wzroku od zwłok. Był wdzięczny, że nie rozplakała się ani nie wpadła w histerię, bo obawiał się, że mężczyzna nie był ofiarą wichury, ale że to, co go zabiło, może jeszcze kręcić się w okolicy.

Dopiero po przejściu kilkunastu metrów Sebastian zdał sobie sprawę z tego, że piły ucichły, a miasto pogrążyło się we złowróżbnym milczeniu.

Nie znam się na demonach – myślał. Nie mam pojęcia, co robić, żebyśmy żywi dotarli do baru.

Jeszcze nigdy nie pragnął towarzystwa Magdy tak bardzo, jak tej nocy. Wyklinał siebie i brata, że zabrali dziewczyny z względnie bezpiecznego domu. Trzeba było razem tam siedzieć. Jednak nie mogli zostawić babci w barze w towarzystwie dwóch podstarzałych dziwaków.

W oddali rozległ się upiorny wrzask. Tosia podskoczyła i od razu przypadła do swojego towarzysza.

– Co to było? – szepnęła, gorączkowo rozglądając się na boki.

Sebastian nie potrafił jej odpowiedzieć.

– Już blisko baru, tam będziemy bezpieczni – zapewnił ją.

Wtem usłyszeli łomot i zgrzyt wyginanego metalu.

Sebastian pociągnął Tosię za przewrócony pomnik, który stał na skwerku. Przypadli do ziemi, nasłuchując, lecz znów nastąpiła cisza.

Bliźniak wychylił się odrobinę zza kamienia i zlustrował okolicę. Nie dostrzegł nic podejrzanego. Naraz wielki cień na dachu zaparkowanego samochodu poruszył się nieznacznie, gdy zaś mężczyzna wysilił wzrok, ujrzał coś wielkiego, o niemal ludzkich kształtach, siedzącego w kuckach na aucie. Długa łapa zwieszała się nisko, a pazury lekko stukały w szybę.

Sebastian zamarł ze strachu. Poczuł strużkę lodowatego potu spływającą po plecach, a jego serce zdawało się opaść aż do samego żołądka.

Wielki stwór powoli obracał głowę, wężąc za ofiarą. Sprawiał wrażenie, jakby całe miasto należało tylko do niego, stało się jego terenem łowieckim i nie było w nim nikogo, kto mógłby mu zagrozić. Dało się słyszeć świst wciąganego przez nozdrza powietrza. Pazury wciąż stukały o szybę.

Sebastian nie śmiał się ruszyć, w obawie, że zostanie zauważony. Wiedział, że przed taką bestią nie zdołają uciec, a próba stawienia jej czoła z pewnością skończy się dla nich śmiercią.

Demon uniósł się lekko na umięśnionych nogach i wychylił do przodu, jakby złapał trop. Zgrabnie zeskoczył z samochodu i wylądował na czterech łapach,

a potem powoli ruszył przed siebie prosto na przewrócony pomnik.

Idź w inną stronę – błagał w myślach bliźniak. Skręć, odejdz...

Jeszcze tylko kilka metrów, a dotrze do kamiennej figury. Zobaczy ich... albo jeszcze wcześniej ich wywęszy. Sebastian miał wrażenie, że z kilometra czuć go było smakowitym człowiekiem. Krew szumiała mu w uszach. Czy ten potwór potrafił to wychwycić? Czy słyszał walenie jego serca?

Bestia zatrzymała się, uniosła wielki łeb i niuchała.

Co ja powiem Magdzie? – pomyślał nieracjonalnie Sebastian.

Naraz po mieście znów poniósł się warkot piły łańcuchowej. Stwór natychmiast odwrócił głowę i bez zastanowienia popędził w stronę hałasu.

Serce Sebastiana wróciło na swoje miejsce. Poczł ogromną ulgę i ukłucie żalu czy wyrzuty sumienia. Strażacy nieświadomie uratowali im dziś życie, ale sami znaleźli się przez to w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Biegniemy do baru, to już niedaleko. – Złapał Tosię za rękę i pociągnął ją przez skwerek.

Tuż za nimi rozległ się tupot ciężkich łap.

Zdążmy, jesteście już tak blisko...



Magda kątem oka zerknęła na swoich towarzyszy. Dziewczyna całkiem nieźle się trzymała, zważywszy że jej facet dopiero co został zeżarty przez bezkosta. Pewnie nadal była w szoku albo wciąż trzymała ją

wściekłość, że popchnął ją wprost na demona i sam uciekł. Z kolei jej brat chyba nadal nie był przekonany do istnienia nawich. Łatwiej było mu uwierzyć w apokalipsę zombie.

Dzięki ci, Hollywood – pomyślała z przekąsem.

Nagle przystanąła i zaczęła nasłuchiwać.

– Co się dzieje? – zapytała przestraszonym głosem Aśka.

– Piła.

– Jaka piła? – zdziwił się Michał.

– Ludzie uprzętają drogę. Idziemy.

– Ja nic nie słyszę. Jesteś pewna? – dopytywał chłopak.

Magda go zignorowała. Czy zwykli śmiertelnicy rzeczywiście mieli aż tak słaby słuch? Czy ona też kiedyś była taka głucha?

Przeszli jakiś kilometr, nim nagle przestali słyszeć równomierny warkot piły tnącej drewno; teraz brzmiała raczej tak, jakby ktoś zaczął nią wymachiwać. Po chwili jej silnik zakrztusił się i zgasł.

– Bądźcie cicho i trzymajcie się z tyłu – nakazała Magda.

Powoli wspięła się na przewrócony pień i odchyliła gałęzie. Na ulicy, oświetlony reflektorami samochodu, pośrodku pociętego drewna stał mężczyzna z piłą łańcuchową w ręku. Wszędzie wokół leżały trociny.

Magda zeskoczyła z pnia i wtedy ją zobaczył. Zamiast ucieszyć się na widok innego człowieka albo chociaż zdziwić się, co młoda dziewczyna robi w nocy w lesie, natychmiast wycelował w nią ostrza piły, gorączkowo usiłując odpalić silnik.

– Dobry wieczór – odezwała się, unosząc dłonie.

Mężczyzna zamarł, opuścił nieco narzędzie.

– Stój! – krzyknął, kiedy postąpiła krok w jego stronę.

– Spokojnie, nic panu nie zrobię.

Zza jej pleców wychylił się Michał, a tuż za nim Aśka.

– Wszystko w porządku? – zapytała Magda.

Mężczyzna nie potrafił odpowiedzieć. Nogi się pod nim ugięły i usiadł na kołku.

Dziewczyna podeszła do niego i zobaczyła krwawą szramę ciągnącą się przez jego policzek.

– Coś mnie zaatakowało – powiedział cicho. Jego głos zadrżał.

– Tak? – zachęciła Magda.

– Ciąłem pień, odwróciłem się i... i to tam było...

– Jak wyglądało?

Spojrzał na nią wielkimi oczyma.

– Ja nie... nie wiem.

Magda podała mu chusteczkę, aby wytarł krew z twarzy. Wtedy jej uwagę przyciągnęło coś innego. Na piersi mężczyzny widniały duże plamy, które z pewnością nie były częścią wzoru moro. Wyciągnęła rękę i przetarła jedną z nich palcami. W świetle reflektorów na jej opuszkach zaśniła niebieska ciecz.

Serce podeszło jej do gardła. Tylko raz, dawno temu, czytała o czymś takim. Pierwszy nie powiedział jej wszystkiego o trzynastym księżycu.

Musiała się spieszyć. Musiała dotrzeć do domu, odnaleźć Feliksa.

– Dokąd prowadzi ta droga? – zapytała dość obcesowo, wskazując za samochód.

– Do mojej leśniczówki – powiedział mężczyzna. – Już ją oczyściłem. Chciałem dotrzeć do głównej, bo na pewno jest przejezdna. Strażacy musieli już o to

zadbać.

Magda miała wątpliwości. Po takiej wichurze, z wygłodniałymi demonami krążącymi po świecie, nie mogło pójść tak szybko.

Co robić? Miała tak mało czasu, a tak wiele do zrobienia.

– Daleko do tej leśniczówki?

– Niecałe dwa kilometry – odparł mężczyzna.

– Wsiądzie pan w samochód, zabierze tę dwójkę. – Zerknęła na Michała i Aśkę. – I pojedziecie do niej. Zaryglujcie drzwi i nie wyglądajcie przez okna. I nie opuszczajcie jej do świtu.

– Nie, my musimy iść do domu – zaprzeczył Michał. – Zobaczyć, czy z rodzicami wszystko w porządku.

– Jedyne, co musicie w tej chwili, to przeżyć – ucięła wszelkie dyskusje. – Chyba że chcecie skończyć jak wasz kolega. – Wiedziała, że jej słowa nie były ani delikatne, ani taktowne, zamierzała jednak przemówić im do rozsądku.

– Muszę oczyścić drogę – odezwał się trochę nieprzytomnie leśniczy.

Magda przymknęła oczy i zrobiła głęboki wdech.

– Wszędzie wokół czają się istoty, o których istnieniu nie macie pojęcia – powiedziała spokojnie. – Takie jak ta, która pana właśnie zaatakowała. Jedźcie do domu, przetrwajcie noc. Rano powinno być już bezpiecznie.

Oby tak było – dodała w myślach, obawiając się, że po tej nocy już nigdzie tak nie będzie.

– A ty dokąd pójdziesz? – zapytał Michał.

– Ja? – Spojrzała w ciemne niebo. – Do Wiatrołomu. A jak dopisze nam szczęście, to może za dnia się tam zobaczymy. – Uśmiechnęła się lekko.

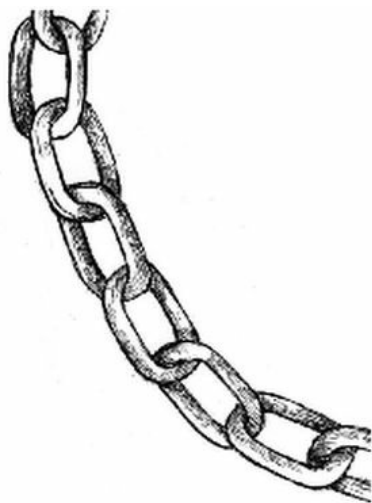
Poczekwała, aż wszyscy troje wsiedli do auta i odjechali. Chciała mieć pewność, że przeżyją, modliła się o to, aby w leśniczówce byli bezpieczni.

Po chwili światła samochodu zniknęły jej z oczu, wreszcie przestała słyszeć silnik. Została zupełnie sama, otoczona przez ciemność i wiatrołomy.

– Jesteś żniwiarzem – szepnęła do siebie. – Do dzieła.

Mocniej złapała torbę Pierwszego i zerwała się do biegu.

Rozdział 2



Feliks przekroczył granicę Wiatrołomu, gdy pierwsze promienie słońca wystrzeliły zza horyzontu. Samochód zostawił na poboczu kilkanaście kilometrów wcześniej i przez kawał nocy biegł do domu.

Na podjeździe nie było auta Magdy. Ale to niewiele znaczyło, mogła być bezpieczna w wielu innych miejscach. Czereśnia nadal stała w ogrodzie, za to jabłoń przewróciła się, a jej korzenie sterczały ku niebu. Jedna z gałęzi uderzyła w okno i wybiła szybę. Kilka dachówek zostało wyrwanych. Żniwiarz się tym nie przejmował. Dom zawsze można naprawić.

Wyjął z murka obluzowaną cegłę, pod którą zawsze znajdował się klucz. Otworzył drzwi. W nozdrza uderzył go zapach liści i drewna.

– Magda! – krzyknął.

Odpowiedziała mu cisza.

– Jest tu kto?!

Przeszedł do kuchni, odkręcił kran. Rury zakrztusiły się i do zlewu spadło zaledwie kilka kropel. Rozejrzał się; na stole stała butelka z wodą mineralną. Łapczywie wypił pół litra, po czym wyszedł z domu. Zamknął drzwi, schował klucz i ruszył przez zniszczone miasto.

Ludzie zaczęli wylegać na ulice, by ocenić szkody wyrządzone przez burzę. Kilka domów nie miało dachów, wszędzie leżały przewrócone drzewa i latarnie. Stary kasztanowiec przygniół samochód, w wysokiej skarpie woda wydrążyła głębokie tunele, a na asfalt spłynęła łącha jasnego piasku. Na ulicy leżało szkło z wybitych szyb, liście, drobne gałązki i wszelkiego rodzaju śmieci. A między tym wszystkim kręcili się mieszkańcy Wiatrołomu, na razie jeszcze nie wiedząc,

jak zabrać się do uprzątnięcia swojego ukochanego miasteczka.

W oddali zamigotały światła karetki. Feliks przyspieszył kroku i zobaczył ratowników zakrywających ciało mężczyzny. Asfalt barwiła rozległa plama krwi.

– Co mu się stało? – zapytał żniwiarz jednego z ratowników.

– Idź stąd! – rzucił opryskliwie mężczyzna.

Nie dyskutował, już był przyzwyczajony, że w tym ciele jeszcze nikt nie traktował go poważnie.

– Widziała pani? – Podszedł do starszej kobieciny stojącej w kapciach i podomce na chodniku.

– Pewnie dostał jakąś gałęzią – odparła. – Biedak.

Feliks skinął jej głową i oddalił się pośpiesznie. Minął wóz strażacki i mężczyzn usuwających z drogi przewrócone lipy. W całym mieście rozlegał się warkot pił.

Dom rodziców Magdy już z daleka zdawał się nienaruszony przez wicher. Feliks wpadł do środka bez pukania. Z kuchni wyjrzała zaskoczona Emilia.

– Cześć, tak wcześnie na nogach? – zapytała. – Chodź na śniadanie.

Żniwiarz zamrugął oczami. Była taka spokojna, jakby bez problemów przespała całą noc.

– Niezła burza była, co? – zagadnął Jakub znad parującego kubka kawy.

– Burza? – powtórzył żniwiarz. – Czy wy widzieliście, co...

Jak ubrać w słowa ten ogrom zniszczeń?

– Musiało przewrócić linie energetyczne, bo nie ma prądu i coś z wodociągami jest nie tak.

– A u sąsiadów przewróciła się ta stara brzoza – dodała niezbyt przejętym tonem Emilia. Zawsze narzekała, że przez to drzewo było za dużo cienia w jej ogródku i liście sypały jej się na linki z praniem. Nie żałowała szkody.

Feliks opadł na krzesło.

– Magda się z wami kontaktowała? – zapytał.

Oboje pokręcili głowami.

– Telefony nam się rozładowały – powiedział Jakub.

– To nie ma jej w waszym domu? – Dopiero teraz w głosie Emilii pobrzmiała nuta niepokoju.

Feliks tak naprawdę nie miał zielonego pojęcia, gdzie się podziała dziewczyna. Dzwonił do niej poprzedniego ranka i zdawała się w dobrym humorze, planowała nawet wyjść wreszcie z domu, ale co potem się z nią działo, nie miał pojęcia. Przez głowę przeleciało mu kilka czarnych myśli. Magda wciąż była w żałobie po śmierci Mateusza. Miał nadzieję, że nie zrobiła niczego głupiego.

– Pewnie jest w barze – powiedział, siląc się na spokój. Nie miał sumienia martwić jej rodziców.

– Drogi są już przejezdne? – odezwała się Emilia, wkładając pusty kubek do zlewu. – Powinnam zobaczyć, czy księgarnia nie ucierpiała.

– A ja podskoczę do kliniki – dodał Jakub. – Dobrze, że żaden zwierzak nie został tam na noc.

Feliks wreszcie otrząsnął się z zaskoczenia, w jakie wpędziło go ich beztroskie zachowanie.

– Poczekajcie – powiedział, wstając. – To nie była zwykła wichura. Setki hektarów lasów wokół Wiatrołomu zniknęły. Wszędzie leżą przewrócone drzewa. Tej nocy z Nawii wylazło więcej demonów niż

kiedykolwiek wcześniej.

– Co ty mówisz? – Emilia pokręciła głową.

– Wolałbym, żebyście nie wychodzili z domu.

– Daj spokój, nic nas nie zaatakuje w biały dzień w środku miasta – powiedział Jakub.

– Nie jestem taki pewien. A skoro wasze telefony nie działają...

– Nie no, ja muszę iść do kliniki. Skoro to była aż taka burza, na pewno będę miał dziś sporo pacjentów.

– A jeżeli w księgarni coś wybiło witryny, ja muszę zabezpieczyć książki.

Feliks przetarł dłońmi twarz. Gdy przez okna wlewały się do domu promienie czerwcowego słońca, koszmar nocy zdawał się coraz bardziej odległy i nierealny.

– Tylko nie idźcie nigdzie indziej, żebym w razie czego mógł was odnaleźć – zastrzegł. – I zanim zapadnie zmrok, macie być w domu, za zaryglowanymi drzwiami.

– Tak jest. – Emilia skinęła głową.

Zrobią tak, jak żniwiarz im kazał, ale nie uważali tego za rzecz konieczną. Nie mieli pojęcia o trzynastej pełni, zresztą co się dziwić, sam Feliks nie był przekonany, czy przepowiednie Pierwszego rzeczywiście spełniły się właśnie tej nocy.

Kawałek odprowadził Emilię, a potem skręcił do domu Jadwigi, z którym wichura obeszła się znacznie gorzej – zwiało kawał dachu, który leżał teraz w ogrodzie, częściowo przykrywając starą gruszę.

Feliks przeszedł nad połamanym płotem i zapukał do drzwi, jednak nikt mu nie otworzył. Zerknął pod doniczkę, która chyba od zawsze stała przy wejściu, ale nie było pod nią klucza. No tak, Janina wprowadziła własne porządki.

Zajrzał do ciemnego wnętrza przez okno, mimo to nikogo nie dostrzegł. Wobec tego zostało jeszcze tylko jedno miejsce, w którym mógł znaleźć Magdę. W drodze Feliks pożałował, że nie wziął od Emilii żadnej butelki z wodą. Znów poczuł pragnienie, a wszystkie sklepy były zamknięte.

Do baru dotarł o siódmej rano. Poranne słońce zaczęło grzać.

Pchnął drzwi, ale te nawet nie drgnęły. Zapukał. Ze środka dobiegło szuranie.

– Kto tam? – usłyszał stłumiony głos.

– Feliks.

Głośniejsze szuranie, jakby ktoś przesuwiał meble. Wreszcie drzwi rozchyliły się na tyle, że mógł przecisnąć się do środka. Widok, jaki zastał, był dość niecodzienny.

Wszędzie panował bałagan – krzesła i stoły w nieładzie, po posadzce walały się jakieś ubrania. Kanapę w rogu okupowały drzemiące Tosia i Klara. Na dwóch złączonych stolikach spał rozłożony Waldemar. Adrian właśnie podnosił się z podłogi. Na samym środku baru przy stoliku siedziała zaś Janina – z nienaganną fryzurą i w swojej ulubionej różowej garsonce. Popijając z filiżanki, prowadziła rozmowę z Gauzą. Nauczyciel wyglądał znacznie gorzej – miał podkrążone oczy, rozczochrane włosy i wymięte ubrania.

– Spędziliście tu noc? – zapytał zniwiarz Sebastiana, który otworzył mu drzwi.

– Można tak powiedzieć – odparł bliźniak. – Wreszcie ktoś, kto nam wyjaśni, co, u diabła, działo się w nocy – odezwała się władczy tonem Janina, odstawiając

filizankę na spodek.

– Magda u was była? – Feliks ją zignorował.

– Tak, ale wyszła wieczorem.

Żniwiarz poczuł mdłości wywołane strachem.

– Pojechała na polowanie – odezwała się Tosia, podnosząc się z kanapy. – Na porońca. Zadzwoił do niej jakiś Igor.

– Potem się z wami kontaktowała?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Dzwoniłem do niej, ale albo ma wyłączony telefon, albo jest poza zasięgiem – powiedział Sebastian.

Dziewczyna jest żniwiarzem – zaczął przekonywać siebie Feliks. Nie mogę wciąż jej niańczyć. Gdziekolwiek jest, na pewno poradzi sobie ze wszystkim.

Tak bardzo chciałby w to wierzyć...

– A wy co tu robicie? – Zerknął na Gauzę, przysuwając sobie krzesło.

– Musicie tak hałasować? – warknął Waldemar i przykrył sobie głowę kurtką.

– Przyjechaliśmy do was w odwiedzinę – odparł emeryt. – Nie było was w domu, więc zatrzymaliśmy się na kolację w barze, trochę się zasiedzieliśmy, a potem rozpętała się ta burza.

– Nadal czekam na wyjaśnienia – odezwała się urażonym tonem Janina.

– Przez cały powiat przeszła w nocy wichura – powiedział Feliks.

– Dziecko, czy ty masz mnie za idiotkę? – obruszyła się.

Żniwiarz uniósł brwi. Dawno nikt tak się do niego nie zwracał.

– Skąd wzięły się te demony? – Feliks spojrzał

pytająco na bliźniaków.

– Po wichurze poszliśmy do domu po dziewczyny – powiedział Adrian, unosząc zabandażowaną rękę. – I coś nas zaatakowało.

– Widzieliśmy płonącego konia galopującego przez miasto – dodał Sebastian.

– Jest szansa, że to było zwykłe zwierzę, które wyrwało się z pożaru? – zapytał ze złudną nadzieją Feliks.

Tosia prychnęła głośno.

– Przez prawie miesiąc wyszukiwałam nawich dla Pierwszego i umiem odróżnić zwierzę od demona – powiedziała dobitnie.

– Ona ma rację – przytaknął Adrian.

Feliks westchnął ciężko.

– Pierwszy opowiadał Magdzie o Niji, władcy pogańskich zaświatów; że się obudził. Myśleliśmy, że go zabiliśmy... tej nocy, kiedy zginął Mateusz.

– Zaginął – poprawiła go automatycznie Tosia.

Nie sprzeczał się. Też chciałby w to wierzyć.

– I to on wypuścił na świat demony – kontynuował. – Ta burza to było albo jego dzieło, o ile może wpływać na pogodę, albo czysty przypadek, który niestety sprzyjał wszystkim nawim.

– Jak bardzo jest źle? – zapytał Sebastian.

Feliks nie był w stanie odpowiedzieć.

– O wichurze usłyszałem już po fakcie w radiu. Byłem na polowaniu z Wandą. Wydało mi się to dość podejrzane, więc zostawiłem wisielca jej, a sam ruszyłem do Wiatrołomu. Po drodze musiałem zostawić samochód i iść pieszo. Natknąłem się na błędy, zabiłem zwida i chyba widziałem dzikiego myśliwego.

– Czy za dnia jesteśmy bezpieczni? – zapytała konkretnie Janina.

– Wydaje mi się, że tak.

– Wydaje ci się? Chłopcze, ponoć to ty jesteś specjalistą!

– Ale coś takiego nigdy się nie wydarzyło! – wybuchnął. – Nigdy! Żaden żniwiarz nie wymordował innych żniwiarzy. Nija nigdy nie był taki potężny. Ba, przez setki lat mało kto podejrzewał, że on w ogóle może istnieć!

Janina pokiwała głową.

– No dobrze – stwierdziła, jakby chwilowo wybaczała mu brak wiedzy. – Czy w takim razie możemy założyć, że w dzień jesteśmy bezpieczni, iść do domu i się ogarnąć?

– Zerwało wam kawał dachu.

Staruszka poruszyła ustami, jakby coś przeżuwała.

– I tak był do wymiany – oznajmiła. – Siostra zaniedbała swój dom.

– Wolałbym, żebyście na razie zatrzymali się u mnie – powiedział Feliks, nie wierząc we własne słowa.

– W tej ruderze?

– Jeszcze półtora miesiąca temu uważałaś to za szczyt swoich marzeń – wytknął jej.

– Przestańcie się kłócić. – Adrian zaczął odsuwać stoły i krzesła od drzwi. – Mamy cały dzień, żeby zorientować się w sytuacji. Wieczorem zdecydujemy, co robić dalej. Teraz trzeba ogarnąć bar.

– A może by tak najpierw śniadanie? – zaproponował Waldemar, podnosząc się ze swojego zaimprovizowanego łóżka.

– A może by tak najpierw zaproponować pomoc i nie

być darmozjadem? – zapytała uszczypliwie Janina, chcąc wyładować na kimś złość.

Adrian otworzył na oścież drzwi, wpuszczając do środka świeże powietrze pachnące ziemią i drewnem. W progu stanęła Magda. Zmierzyła wszystkich nieco zaskoczonym spojrzeniem, jakby nie spodziewała się zobaczyć tu naraz tylu bliskich jej osób całych i zdrowych.

– Moich rodziców nie ma w domu – odezwała się, patrząc na Feliksa.

– Nic im nie jest, poszli do pracy.

Skinęła powoli głową.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

Żniwiarz zerknął na kanapę stojącą w rogu.

– Na osobności – dodała, wychodząc z baru.

– A tej co? – zapytała urażona Janina. – Ani dzień dobry, ani pocałuj mnie w cztery litery...

– Babciu! – odezwał się z wyrzutem Sebastian.

Feliks już nie usłyszał, jak staruszka dalej wyklinała. Gdy tylko opuścił bar, w oczy poraziło go ciepłe, czerwcowe słońce. Magda usiadła na murku kilka metrów dalej i wpatrywała się w niebo.

– Zabiłeś kiedyś demona z niebieską krwią? – zapytała, gdy podszedł do niej.

Pokręcił głową, siadając obok.

– A takiego, który nie miał brzucha i flaki ciągnęły się za nim po ziemi?

– Niektóre źródła podają istnienie takich nawich – powiedział ostrożnie.

Dopiero teraz zauważył niebieskie plamy na jej ubraniach.

– Wiesz, co się stało tej nocy? – kontynuowała.

– Mam swoje przypuszczenia, ale podejrzewam, że ty mi wszystko powiesz.

– To był prawdziwy niebieski księżyc. – Dopiero teraz spojrzała mu w oczy. – Trzynasta pełnia w roku. Ta sama, której tak bardzo obawiał się Pierwszy. Nie zabiliśmy Niji, nawet nie odesłaliśmy go do Nawii. A on wypuścił demony.

Feliks milczał przez chwilę. Podejrzewał, że to właśnie się stało, ale do ostatniej chwili wolał wierzyć, że wszystko było tylko przypadkiem, zbiegiem okoliczności – pełnia, burza i ataki nawich.

– Gdzie Nija może teraz być? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. – Magda wzruszyła ramionami.

W oddali wciąż było słycać warkot pił, krzyki ludzi, na końcu ulicy błyskały niebieskie światła straży pożarnej.

– On wygrał, wiesz? – odezwała się dziewczyna. – Myśleliśmy, że go pokonaliśmy, ale to wszystko było tylko okrutnym żartem z jego strony. Może właśnie w tej chwili obserwuje nas gdzieś z cienia – mimowolnie zlustrowała wzrokiem otoczenie – i się po prostu śmieje, o ile potrafi się śmiać. Może następnej nocy nas zabije... Albo uznał, że zrobił już swoje, uwolnił demony i będzie tylko patrzył, jak kończą jego dzieło.

– Coś wymyślimy – odezwał się Feliks.

Magda przecesała palcami brudne włosy.

– Jak mamy się równać z bóstwem? – westchnęła.

– Nie patrz na to w ten sposób. Pomyśl, że to przecież nie koniec świata. – Uśmiechnął się lekko, ale mina szybko mu zrzędła, kiedy spiorunowała go wzrokiem. – W ostateczności udamy się po pomoc do Pierwszego. Może tym razem okaże się bardziej przydatny.

Wzruszyła ramionami.

– Pierwszy nie żyje. Walczyliśmy z upiorem...

Feliks nie dopytywał, choć był bardzo ciekaw, dlaczego Magda tej nocy mu towarzyszyła.

– A więc jednego wroga mniej – oświadczył.

– Przecież mówiłaś...

– Magda, musimy zabezpieczyć dom, ściągnąć na noc do niego rodzinę, choćby i siłą, bo coś czuję, że gdy tylko zapadnie zmierzch, będziemy mieć ręce pełne roboty. – Wstał z murka i skierował się z powrotem do baru.

– Jest jeszcze coś. – W jej głosie zabrzmiała nuta, która natychmiast kazała mu się zatrzymać.

Obrócił się bez słowa. Jakie jeszcze rewelacje mogła mieć do przekazania? Czy już nie wystarczająco wiele problemów posypało się na ich głowy?

– Pierwszy twierdzi, że jestem po części demonem – wyrzuciła z siebie, a potem spojrzała mu wyzywająco w oczy, jakby spodziewała się awantury.

W pierwszym odruchu Feliks chciał prychnąć lekceważąco, ale jej mina mówiła, że Magda podchodzi do tego całkiem poważnie.

– Skąd taki wniosek? – zapytał ostrożnie.

– Wróciłam, skąd nikt już nie wraca. W innych czasach albo bym po prostu umarła, albo została żniwiarzem. Ale teraz żniwiarze nie są nieśmiertelni, a mnie udało się prześlizgnąć tuż pod nosem Niji, bo... bo mógł pomyśleć, że jestem demonem.

– Tak naprawdę niewiele wiemy o tym, dlaczego żniwiarze nie wracają. A te skrawki wiedzy, które mamy, pochodzą od Pierwszego. Nie twierdę, że nie mówił prawdy, ale ty chyba najlepiej wiesz, jaki z niego

kłamca. Poza tym... nigdy nie słyszałem o czymś takim.

Magda westchnęła głośno.

– Nie słyszałeś też nigdy o Pierwszym ani o tym, że można zabić żniwiarzy. Nie rozumiesz tego, że poprzedni rok udowodnił nam, że tak naprawdę nic nie wiemy o nas samych ani o tym, co robimy?!

Niestety Feliks zbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Po raz pierwszy od stu lat miał wrażenie, jakby błądził w gęstej mgle.

– Dobrze, podejźmy do tego trochę inaczej – powiedział po chwili. – Czy czujesz nieodpartą chęć rozerwania komuś gardła?

Magda spojrzała na niego z wyrzutem.

– Masz wrażenie, że zaraz znikniesz i pojawisz się w Nawii? Albo może wypiłabyś sobie szklaneczkę ciepłej krwi?

– Porąbało cię?! – wybuchnęła.

– A więc chyba na razie nie musimy się martwić twoją demoniczną stroną, o ile taka w ogóle istnieje. – Uśmiechnął się lekko.

Pokręciła głową, ale w jej oczach zabłyśły iskierki rozbawienia. A więc osiągnął swój cel. Nie chciał bowiem, żeby Magda zauważyła, jak bardzo zaniepokoiły go jej słowa.

– Muszę znaleźć kogoś, kto podwiezie mnie do mojego auta. – Skierowała się na powrót do baru. – Mam nadzieję, że drogi są już przejezdne.

¢

– Jak zjemy, odwiozę was do domu – powiedział

leśniczy.

Michał pokiwał głową, a potem znów nastała cisza. Wszystko, co mogli powiedzieć, zostało powiedziane szeptem w nocy, kiedy siedzieli przy świecach w leśniczówce, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. To były jedne z gorszych czterech godzin w życiu chłopaka. Wcześniej wiele razy fantazjował, że został bohaterem filmu, w którym roło się od potworów. Że był silny, szybki i praktycznie jedną ręką pokonywał różne mutanty. No i miał wypasioną broń, a gdzieś tam zawsze była jeszcze ładna dziewczyna do uratowania. Rzeczywistość jednak była ponura, bolesna i przerażająca. Michał nigdy wcześniej nie poznał strachu tak paraliżującego ciało, nikt go nie ostrzegł, że zombie, upiór, czy co to tam było, może cuchnąć tak bardzo, aż żołądek chce się wywrócić na lewą stronę. Wiedział za to, że do końca życia będzie miał koszmary, w których będzie uciekał w ciemnościach przed stworem wlekącym za sobą własne flaki. I wciąż będzie prześladowała go wizja śnieżnobiałego markowego buta umazanego krwią.

Zerknął na siostrę. Zawinęła się w koc, a przecież ranek wstał naprawdę ciepły. Otoczyła dłońmi kubek z herbatą i co chwilę odpływała myślami, patrząc w przestrzeń. Michał chciał jej jakoś pomóc, pocieszyć ją, ale do głowy przychodziły mu tylko wyświechtane frazesy, których nie miał zamiaru wypowiadać.

Leśniczy wyszedł z kuchni, a Aśka uniosła niespodziewanie przytomne spojrzenie na brata.

– Co ja powiem jego rodzinie? – zapytała. – Przecież nie mogę... ja...

Głos jej się załamał.

– Powiemy wszystko zgodnie z prawdą – odezwał się Michał, a Aśka od razu otworzyła usta, żeby zaprotestować. – Powiemy, że byliśmy na grillu, a kiedy wracaliśmy, musieliśmy porzucić samochód, bo droga była zawałona drzewami. Potem straciliśmy orientację, pokłóciliśmy się z nim, w którą stronę iść, i się rozdzieliliśmy. Od tamtej pory nie widzieliśmy Pawła.

Dziewczyna z wolna pokiwała głową.

– Bo w resztę prawdy nikt nam nie uwierzy – zakończył.

A ja muszę się dowiedzieć, kim była tamta blondynka – dodał w myślach.

– Gotowi? – Do kuchni wszedł leśniczy. – Droga powinna już być w miarę oczyszczona, a jak nie, to spakowałem piłę.



– Przecież to niemożliwe, żeby facet znał nasz adres – stwierdził Sebastian.

Przez otwarte okno przybijał właśnie gałązki głogu do parapetu. Tosia stała tuż przy nim, podając mu rośliny i pinezki.

– A masz ochotę sprawdzić to na własnej skórze? – zapytała Magda. – Uwierz, że nie chciałbyś, żeby Nija zapukał do twoich drzwi wraz z hordą demonów. Zresztą wasz dom jest przecież bez dachu.

– To tylko niewielka dziura, ale babcia i tak dostała białej gorączki – mruknął.

Tosia zaśmiała się pod nosem. Staruszka rzeczywiście była wściekła. Nie tyle na dach, ile na straż pożarną,

która odmówiła pomocy, bo miała ręce pełne roboty. Janina obdzwoniła też wszystkich majstrów w okolicy i dowiedziała się, że ktoś może do niej przyjść najwcześniej za tydzień. Potem dopadła swoich wnuków i kazała im zabezpieczyć dziurę grubą folią. Gdy się z tym uporali, po długich i męczących deliberacjach zgodziła się na pewien czas przeprowadzić do domu żniwiarzy, choć na każdym kroku okazywała, jak bardzo jest z tego faktu niezadowolona.

– Zadzwoiłem do Tomka i Mai. – Do pokoju wszedł Adrian, chowając telefon do kieszeni. – Powiedziałem im, że na razie mają wolne i zadzwonimy, kiedy znowu otworzymy bar albo będziemy potrzebować ich pomocy.

– Ta nasza knajpa to ma pecha – westchnął Sebastian. – Miał być dochodowy, uczciwy interes. A już mieliśmy u siebie bójkę, trupa, demona i co najmniej dwa razy lokal został zdemolowany...

– To ile minęło od otwarcia? – zagadnęła Tosia.

– Trzy tygodnie – mruknął Adrian.

– Wow, to naprawdę niezły wynik. – Podała Sebastianowi kolejną gałązkę i przeszli do drugiego okna w salonie. Magda upewniła się, że głóg dobrze się trzymał, zamknęła okno, rozsypała na wewnętrznym parapecie sól, a na niej położyła świeżą pokrzywę.

– Czy to nie jest lekka przesada? – zapytał Sebastian wymachując jedną z gałązek. – Jak niby takie coś, z tak małymi kolcami, ma powstrzymać demony?

Magda uniosła brwi. Zabezpieczył już trzy okna według poleceń Feliksa i dopiero teraz wzięło go na przemyślenia.

– Kiedyś miało to powstrzymać czarownice oraz zmory przed włożeniem do domów. Głóg wbijano też w żołądek

zmarłego podejrzanego o to, że w grobie obudzi się jako wampir.

– Ludzie kiedyś to dopiero wymyślali głupoty.

– Jeszcze do końca lat sześćdziesiątych w niektórych miejscowościach rzucano gałązki głogu na trumnę podczas pogrzebu – dodała Tosia, zerkając na swoją przyszywaną siostrę w oczekiwaniu na aprobatę.

Magda pokiwała głową.

– No mówię przecież, że kiedyś – burknął Sebastian.

– Sypanie garści ziemi na trumnę też ma korzenie w antywampirycznych pochówkach – oznajmiła dziewczyna.

– W ciągu miesiąca stałaś się specjalistką. – Magda się uśmiechnęła.

– Odkąd zaatakował mnie wisielec, przeczytałam wszystko, co znalazłam w internecie na temat dawnych zabobonów. Sporo też powiedział mi Adam...

Tosia spuściła wzrok. Wciąż używała jego nieprawdziwego imienia, tak jakby nazywanie go Pierwszym miało oznaczać akceptację faktu, że wcale nie był taki dobry, jak jej się wydawało, i że po prostu ją wykorzystał, żeby szantażować Magdę. Wieść o jego śmierci przyjęła zaś ze łzami.

– A może to wszystko ostatecznie okaże się dziś w nocy niepotrzebne – zmieniła temat i zamachała gałązkami. – W końcu trzynasta pełnia już minęła...

Magda zmarszczyła brwi.

– Pełnia trwa trzy noce – wyjaśniła.

– Nie, tylko jedną, na fizyce tak się uczyłam.

– Źle do tego podchodzisz. – Dziewczyna uśmiechnęła się. – Owszem, tak naprawdę księżyc znajduje się w pełni tylko przez jedną noc, ale dzień przed i dzień po

dla gołego oka wygląda, jakby też był w pełni. Nieważne, co mówią na ten temat fizyka czy astronomia, ważne, w co wierzyli nasi przodkowie.

Nastolatka zamyśliła się.

– To już wiem, dlaczego nic mi się wcześniej nie zgadzało...

– Nie rozumiem, dlaczego niby to ja miałabym być na świeczniku! – Do pokoju wparowała Janina.

– Na jakim świeczniku? – zdziwiła się Magda.

– Nic nie zrobiłam temu Niji, czego może ode mnie chcieć?!

– Przez cały czas śledził Pierwszego i nasyłał demony na tych, z którymi się spotkał – wyjaśniła ze znużeniem dziewczyna.

– Ale przecież ja nigdy nie poznałam tego człowieka!

Staruszka opadła na fotel.

– Jest pani pewna? – odezwała się Tosia. – Był wysoki, szczupły, trochę zaniedbany...

– Dziecko, opisujesz mi właśnie ćwierć populacji Wiatrołomu.

– Mógł przedstawiać się jako Adam i miał niewielką bliźnię o tu. – Nastolatka pokazała palcem na własne czoło tuż nad brwią.

Janina zmarszczyła brwi.

– A nie mówiłam? – zapytała retorycznie Magda, zastanawiając się, kiedy Pierwszy znalazł czas, żeby spotkać się ze staruszką.

– Niemożliwe – oświadczyła po chwili kobieta. – Niedawno poznałam pewnego Adama, ale był miłym, czarującym mężczyzną. Na pewno nie jednym z was! – Ostatnie słowo wypłynęło z siebie, jakby żniwiarz w rodzinie był czymś wstydlivym.

Magda wzniosła oczy ku sufitowi i wyszła na korytarz; nie było sensu kłócić się z tą kobietą. Z kuchni z kolei doleciała ją zażarta dyskusja Feliksa i Waldemara.

– Uwierz, że tak będzie bezpieczniej – przekonywał zniwiarz.

– Nie zamierzam mieszkać tu z wami jak w jakiejś komunie! – wybuchnął lekarz. – Poza tym po tej wicherze na pewno będę miał u siebie mnóstwo pacjentów.

– Burza minęła Czarną Wodę, sprawdziłem. – Feliks pomachał mu przed nosem telefonem.

– Ponoć wszyscy mieli oszczędzać baterie, skoro nie ma prądu! – zdenerwował się Waldemar. – Muszę sprawdzić mój dom. A jeśli jakaś zabłąkana gałąź wybiła okno?

– Z domem w porządku – wtrącił Gauza, czym zasłużył sobie na gromiące spojrzenie przyjaciela. – Zadzwoń do sąsiadki.

– A ty niby skąd masz jej numer?!

– Bo ja wychodzę do ludzi i z nimi rozmawiam – obruszył się emeryt.

Lekarz sapnął głośno z niezadowoleniem.

– Wracam do domu, a jak będziecie mnie potrzebowali, dzwońcie. Ten tu mnie przywiezie. – Wskazał brodą na Gauzę.

¢

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, na niebie pojawiły się ciemne chmury, zwiastując deszcz.

Przynajmniej ludzie będą siedzieć w domach, a nie

włóczyć się po ulicach – pomyślała Magda.

– Słuchasz mnie w ogóle? – zdenerwował się Feliks, kończąc zaklejanie wybitego okna grubą folią malarską.

– W kuchni leżą sierp, twoja saperka, zioła i sól – wyrecytowała.

Żniwiarz skinął głową, zaskoczony, że jednak uważała.

– Mam też dopilnować, żeby nikt nie wychodził z domu.

– Mam nadzieję, że to jednak będzie spokojna noc – powiedział, zarzucając plecak na ramię.

Magda wzruszyła ramionami. Podejrzewała, że już żadna noc nie będzie spokojna.

– Zaopiekuj się moimi rodzicami – poprosiła, kiedy wujek był już na progu.

– Będzie dobrze – zapewnił. – Trzymaj się i do zobaczenia rano.

Stała jeszcze chwilę w drzwiach, patrząc, jak Feliks odjeżdża jej samochodem. Po długiej dyskusji udało im się namówić najbliższą rodzinę mieszkającą w okolicy Wiatrołomu, aby tymczasowo przenieśli się do rodziców Magdy. Nikt tak naprawdę nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy zapadnie zmrok, ale żniwiarze woleli dmuchać na zimne niż się zamartwiać, że coś grozi ich bliskim. W pierwszym odruchu Magda również chciała przenocować u rodziców, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że w razie czegokolwiek rodzina prędzej posłucha Feliksa niż jej. Ponadto bała się, że gdyby walczyła z demonem, rodzice, zapominając, że sama jest żniwiarzem, rzuciliby się jej na ratunek, ryzykując własne życie.

Obejrzała się za siebie na ciemny przedpokój. Czy

chowanie całego arsenału w jednym miejscu jest dobrym pomysłem? Zdecydowanie nie. Żwawym krokiem ruszyła do piwnicy, a niecałe pół godziny później odłożyła na miejsce szpadeł i wytarła w spodnie dłonie brudne od ziemi. Musi tylko pamiętać, żeby rano powiedzieć Feliksowi o tym, co zrobiła.

Usiadła na betonowych schodkach wiodących do domu. Przymknęła oczy, wsłuchując się w odgłosy miasta, a w palcach obracała zapalniczkę Feliksa. Wciąż tu i ówdzie pobrzmiwały warkot piła łańcuchowych, uderzenia młotkiem, pokrzykiwania. Rozległy się kroki – ktoś szedł po chodniku. Magda otworzyła oczy.

– Wszystkie duże sklepy są zamknięte – powiedziała Tosia.

– Ale udało nam się kupić na zeszyt trochę jedzenia w tamtym sklepiku – dodała Klara, machnąwszy ręką za siebie.

Magda skinęła głową. Nie martwiła się o jedzenie. W piwnicy znajdowało się mnóstwo przetworów i konserw, część pewnie zepsutych, ale na kilka dni wystarczy. Teraz było jej trochę głupio, że często naśmiewała się z wujka, kiedy robił te zapasy, jakby się na wojnę szykował. A wystarczyła jedna burza, żeby Wiatrołom pogrążył się w ciemności i zabrakło w nim podstawowych artykułów spożywczych. Dobrze, że studnia za domem była czynna, bo z tego, co twierdziły dziewczyny, w żadnym sklepie nie było już butelkowanej wody.

– Na pewno nie możemy zrobić nic więcej? – zapytała Tosia, przysiadając się do Magdy.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Pewnie nawet nie będę mogła usnąć – westchnęła jej siostra.

– Powinnaś przynajmniej spróbować. Sebastian i Adrian staną po kolei na warcie, tak na wszelki wypadek. Możecie z Klarą ewentualnie im towarzyszyć, żeby czasem nie zasnęli.

– A ty?

– Co ja?

– Spałaś? Wciąż masz podkrążone oczy. Jak chcesz bronić nas i całego miasta, kiedy pewnie sama padasz na twarz?

– Dam radę. – Magda uśmiechnęła się, chowając zapalniczkę do kieszeni spodni. – Zdrzemnęłam się po południu.

I najwyraźniej demony nie muszą spać tyle, ile ludzie – dodała w myślach. *Albo wciąż jestem nabuzowana adrenaliną.*

Na podjazd wjechało lśniące bmw. Całe miasto było zakurzone, pełne przewróconych drzew, połamanych gałęzi, zerwanych liści, ale samochód bliźniaków nadal prezentował się nienagannie.

– Przywieźliśmy trochę ubrań z domu – powiedział Sebastian trzymający sporą torbę.

Tuż za nim szedł Adrian, niosąc na wieszaku fioletową i zieloną garsonkę.

– Babcia zawsze lubi być elegancka – rzucił cicho, jakby się usprawiedliwiając.

Nie minęło kilka minut, a przez otwarte drzwi do Magdy dotarł rozzłoszczony głos Janiny.

– Przecież mówiłam wam! Miała być seledynowa! I łososiowa! Czy wy jesteście daltonistami?!

– A może jeszcze w kolorze fuksji? – burknął Adrian.

Na sekundę zapadła cisza, a potem rozległ się łomot.

Czy ona właśnie tłucze klapkiem swojego wielkiego jak byk wnuka? – zastanowiła się dziewczyna, a następnie poczuła nagły przyływ jeszcze większej sympatii do swoich kuzynów, którzy z całą pewnością nie mieli łatwego życia.

– Co tam się dzieje? – zapytała Sebastiana, który chyłkiem wymknął się na dwór.

– Babcia przypadkiem przewróciła krzesło.

Magda uniosła lekko brwi, ale nie skomentowała.

– Myślisz, że prądu długo nie będzie? – zagadnął.

– Diabli wiedzą. – Wzruszyła ramionami. – Dlaczego pytasz? – zapytała, kiedy kuzyn widocznie podupadł na duchu.

– Bo siłownia będzie zamknięta – odparł ze smutkiem.

– Serio? To jest twoje największe zmartwienie?

Sebastian potarł dłonią biceps, jakby sprawdzając, czy już nie zaczął znikać.

– Feliks ma w piwnicy ławeczkę, sztangę i jakieś ciężary, jeżeli aż tak bardzo tego potrzebujecie – powiedziała z pewnym rozbawieniem.

– Dzięki! – Kuzyn rozpromienił się jak dziecko na widok prezentów pod choinką.

Po chwili podszedł do samochodu, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego maczetę.

– Na co ci to? – zdziwiła się Magda, patrząc, jak wymachuje ostrzem.

– Na demony – odparł nieco speszony Sebastian. – Wczoraj przyszło.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz rzucać się na pierwszego nawiego, jakiego spotkasz.

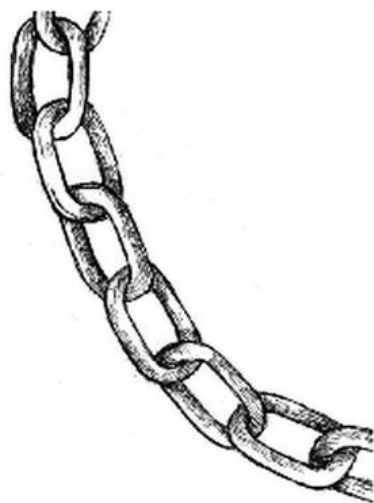
– No nie, ale wiesz, skoro mamy dziś stać na warcie

i pilnować domu, to pomyślałem, że przyda nam się broń. A wiesz, jaka jest ostra? Patrz. – W jego oczach pojawiły się isierki, kiedy machnął maczetą, ścinając kilka gałązek krzewu rosnącego przy płocie. – Wyobraź sobie, co to zrobi z głową takiego upiora! – rozmarzył się, wycierając ostrze o spodnie.

– Upiór jest bez szans – powiedziała z powagą.

– Jak chcesz, mogę załatwić ci taką samą – zapewnił entuzjastycznie kuzyn.

Rozdział 3



Feliks okrążył dom, stanął na chodniku i zapatrzył się na ciemną ulicę. Słońce zaszło już kilka godzin temu, a Wiatrołom zdawał się spokojny jak zawsze. Wciąż nie było prądu, więc większość mieszkańców spała już w swoich domach. I dobrze, tam będą bezpieczniejsi.

Ale czy na pewno? – zapytał podstępny głosik w głowie żniwiarza.

Znał przecież demony, dla których żadne drzwi ani alarmy nie stanowiły wyzwania. Od wieków zakradały się do domostw i mordowały niczego nieświadomych ludzi.

Feliks zerknął na okna, w których wciąż paliły się świece, i poklepał się po pełnym brzuchu. Odbiło mu się obiadem i pożałował, że zjadł aż tyle. Emilia nałożyła mu na talerz zbyt wielką porcję, mimo że była na niego obrażona. Chyba wyszła z założenia, że można gniewać się na żniwiarza, ale nakarmić go trzeba. A o co się wściekła? O to, że Magda nie miała spędzić nocy w rodzinnym domu, co tylko utwierdziło Feliksa w przekonaniu, że była to dobra decyzja. Wcale by się nie zdziwił, gdyby rodzice nie chcieli jej wypuścić po zmroku z pokoju. Nieważne, że była żniwiarzem, że zamieszkiwała ciało obcej dziewczyny. Dla nich wciąż była ich małą córeczką.

W oddali zaszczekał pies.

Może się myliliśmy? – pomyślał z nadzieją Feliks. *Może Pierwszy się mylił?*

– A inwazja demonów na nasz świat to tylko jakaś pomyłka – dodał sarkastycznie.

Wtem usłyszał huk wystrzałów. Jeden, drugi, a po chwili trzeci. Żniwiarz na sekundę zamarł w bezruchu.

W kilku oknach pojawiły się nieco zdziwione twarze, jakby pytające, komu przyszło do głowy w taką noc odpalać fajerwerki. Pies sąsiadów zaczął wyć, a Feliks zerwał się do biegu.

Strzały dochodziły ze wschodu, gdzieś z obrzeży miasta. Po nich nastąpiła zaś podejrzana cisza, przerywana jedynie ciężkimi uderzeniami butów biegnącego żniwiarza oraz jego szybkim oddechem.

Feliks nagle poczuł smród starych ubrań. Gwałtownie się zatrzymał. Z uliczki po prawej dotarł do niego cichy klekot. Czyżby ktoś strzelał do zmory? Choć wydawało mu się, że strzały dochodziły z nieco innego kierunku...

Przeklął się w duchu za brak szklanej butelki. Rozejrzał się i skręcił w wąską uliczkę. W oddali na chodniku stał przepelniony kosz. Na pewno powinien w nim coś znaleźć. Czy da się zamknąć demona w plastiku?

Nagle kilkanaście metrów przed nim pojawiła się zmora – jak zwykle wysoka, jakby wpół przeźroczysta, w poszarpanych ubraniach, z kilkoma strąkami brudnych włosów zwieszających się z okrągłej głowy.

A w oddali po lewej rozległy się wrzask ścinający krew w żyłach i kolejny strzał. Żniwiarz wahał się tylko przez sekundę. Rzucił przekleństwo i popędził w stronę starej fabryki rękawiczek. Nie miał pojęcia, kto i do kogo strzelał, miał za to paskudne podejrzenia. Zmora w gruncie rzeczy nie była zresztą śmiertelnie niebezpieczna.

Zanim dotarł do końca miasta, stracił oddech. Jego serce waliło jak młot. Spojrzał na pobrużdżoną drogę zjazdową. Zapomniał, że na jej końcu nie zobaczy już starego budynku fabryki zamkniętej przed piętnastoma

laty. Teraz teren był rozkopany pod przyszłą budowę supermarketu i otoczony czerwoną taśmą. W ciemnościach wyrastały ponure kształty maszyn.

Feliks powoli ruszył w dół. Na poboczu stał zamknięty radiowóz, w środku nie było nikogo. Gdzieś między maszynami rozległ się krzyk. Żniwiarz natychmiast popędził w tamtą stronę. Jego palce mocno zaciskały się na trzonku siekiery. Nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się mierzyć, ale miał nadzieję, że ta broń wystarczy.

Wbiegł pomiędzy spychacz i inną ogromną maszynę, której nawet nie potrafił nazwać. Krzyk, skowyt małego stworzenia, błysk i... wystrzał. Żniwiarz wykazał się refleksem, rzucając się na ziemię. Nad jego głową świsnęła kula. Przeturlał się po wilgotnej glinie, przyklęknął na jednym kolanie i uniósł ręce.

– Nie strzelać! – krzyknął.

Zapomniał, że wciąż trzyma w dłoni siekiere. Oby strzelec nie uznał tego za atak.

– Wyrzucić siekiere!

– Dobrze, już ją odkładam – powiedział spokojnym głosem, kładąc ostrożnie broń na ziemię. – Nazywam się Feliks. Nie zrobię ci krzywdy.

Bardzo powoli wstał z klęczek i opuścił ręce.

Nagle rozległ się pisk i coś małego, białego śmignęło w jego stronę. Błyskawicznie schylił się, jego ręka wystrzeliła do przodu i chwyciła za skórę na karku małego psa. Uniósł zwierzę na wysokość twarzy. Nie miało najmniejszego zamiaru go gryźć, było po prostu przerażone.

– Trzymajcie tego przeklętego psa! – warknął mężczyzna, wychodząc z cienia.

Jego słowa były skierowane do dwóch nastoletnich dziewczyn kryjących się za jego plecami.

Feliks oddał jednej z nich szarpiącego się zwierzaka, wciąż uważnie lustrując wzrokiem otoczenie. Na razie nie widział żadnego demona.

– Co wy tu robicie? – zapytał.

– Nie; co ty tu robisz? – warknął mężczyzna.

Feliksowi wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, żeby zaklasyfikować go jako policjanta po czterdziestce, z nadwagą, sumiastymi wąsami i niechęcią do kogokolwiek, kto przejmuje inicjatywę.

– Usłyszałem krzyki, strzały i przybiegłem na pomoc.

Policjant zmrużył podejrzliwie małe oczka.

– Wyprowadzałyśmy psa – odezwała się cicho jedna z dziewczyn. – A ktoś... coś wciąż czai się w krzakach.

Druga pokiwała głową, mocno ściskając w ramionach nieszczęsne zwierzę.

– Tylko wy tu jesteście?

Policjant sapnął gniewnie.

– Gdzie pana kolega? – Feliks strzelił w ciemno, powoli schylając się po siekierę. Mężczyzna udał, że tego nie zauważył.

– Poszedł się wysikać, a potem usłyszałem wrzaski tych dziewczyn. Jakiś szaleniec z nożem skoczył mi na plecy.

Dopiero teraz Feliks dostrzegł krew ściekającą po palcach lewej ręki policjanta.

– Pójdziemy teraz do radiowozu – zdecydował mundurowy. – Ten świr chyba już uciekł. A ty, bohaterze, możesz wracać do domu i nie biegaj więcej po ulicach z siekierą.

Żniwiarz skinął głową, patrząc, jak powoli się

oddalają. Najważniejsze to umieścić ludzi we w miarę bezpiecznym samochodzie. Wtedy będzie martwił się demonem. Niepokoiło go tylko to, że znów nie wiedział, z czym przyjdzie się mu mierzyć.

Jedna z dziewczyn potknęła się w głębokiej koleinie i straciła równowagę. Policjant przeklął głośno, a Feliks wznosił oczy ku niebu.

Rzucił spojrzeniem za siebie; nie zauważył nic podejrzanego, jednak uczucie, że ktoś ich obserwuje, nie opuszczało go ani na chwilę. Powoli ruszył za pozostałymi, pilnując, żeby dzieliło ich kilka metrów – nie chciał za bardzo stresować funkcjonariusza. Gdy znalazł się w cieniu dużego walca drogowego, dotarł do niego metaliczny zapach krwi. Czy to mężczyzna aż tak krwawi? A może...

Feliks zadarł głowę i zobaczył cień na dachu pojazdu. Serce podeszło mu do gardła.

– Do auta!!! – wrzasnął, odskakując.

Ciemna postać oderwała się od maszyny i wylądowała na ziemi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed ułamkiem sekundy stał żniwiarz.

Feliks ponownie odskoczył, gdy człekokształtna bestia zaatakowała go długimi łapami. Uchylił się, wziął zamach siekierą, jednak nie trafił. Nawi był równie szybki. Uderzał zewnętrzną stroną łap, zupełnie jakby chciał spoliczkować żniwiarza wierzchem dłoni.

Feliks zablokował trzonkiem uderzenie łapy i nagle broń została mu wyrwana z rąk, jakby przykleiła się do przedramienia nawiego.

Demon strząsnął z siebie siekierę, która z pluskiem wpadła w kałużę. Rozległ się huk. To policjant wrócił z radiowozu sam i ostrzegawczo strzelił w niebo. Nawi

zmierzył go wzrokiem z odrobiną zainteresowania.

Jakby wszystko wokół było czymś nowym i ciekawym – pomyślał Feliks, zanim rzucił się w błoto po siekierę. Gdy tylko jego palce zacisnęły się na mokrym trzonku, nawet nie podnosząc się z ziemi, wziął zamach i wbił ostrze głęboko w łydkę nawiego.

Demon zawył i opadł na cztery łapy. Feliks odturlał się na bok i błyskawicznie poderwał na równe nogi. Księżyc w pełni wyszedł zza chmur, oświetlając plac budowy oraz potwora, który uciekł prosto z Nawii. Miał ludzkie kształty, długie, mocne kończyny, przerażającą twarz starca i nienaturalnie szerokie usta. Gdy je rozdziawił, zniwiarz ujrzał dwa rzędy cienkich jak igły zębów. Jego plecy były wygięte w pałąk, pod ciemną skórą grały chude żebra. Wzdłuż jego kręgosłupa, od samej szyi po koniec ogona, ciągnął się zaś pas ostrzy przywodzących na myśl brzeszczot piły. Podobne wypustki wyrastały z przedramion i zewnętrznych części dłoni aż po palce.

– Co ten idiota narobił – szepnął Feliks z przerażeniem.

Przez Pierwszego z Nawii uciekły bestie, których istnienie nawet zniwiarze wkładali między bajki. Co prawda Wojna słyszał już wcześniej o demonach o ludzkich kształtach, które zamiast kręgosłupa miały piłę, do tej pory jednak nawet nie potrafił sobie czegoś takiego wyobrazić.

Czarna krew lała się z rany na nodze, ale nawii zdążył się już opanować. Ponownie się wyprostował i teraz wodził wzrokiem za swoimi potencjalnymi ofiarami, jakby zastanawiając się, którą zabić pierwszą.

Policjant z nadwagą najwyraźniej wydawał się

łatwiejszym celem. Demon ruszył w jego stronę. Mężczyzna wystrzelił dwa razy prosto w jego klatkę piersiową, ale to nie powstrzymało przeciwnika.

– Uciekaj! – wrzasnął Feliks.

Jednak funkcjonariusz nie zamierzał okazać tchórzostwa lub też był na to zbyt przerażony i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Strzelił jeszcze dwa razy; najpierw spudłował, ale drugi strzał trafił demona w pysk i roztrzaskał mu kawałek kości policzkowej. Na ziemię połała się czarna posoka. Nawi zawył i rzucił się na człowieka.

Policjant cofnął się o krok, jego stopa trafiła w bruzdę i mężczyzna runął na plecy.

Feliks wystartował w stronę kreatury. Uniósł wysoko siekierę i wbił ją w obojczyk demona, a potem pociągnął go do siebie. Stwór stracił równowagę i padł na grzbiet, jednak ledwie zniwiarz wyciągnął z niego siekierę, ten odwrócił się i stanął na czterech łapach, z nienawiścią wpatrując się w Feliksa. Z jego gardła wydobył się charczący, urywany śmiech.

Zwykła stal na niego nie zadziała... Głupio byłoby zginąć w drugą noc inwazji demonów.

Przez głowę zniwiarza przelatywały najróżniejsze myśli. Dlaczego nie wziął włóczni dzikiego myśliwego? Czy ten stwór ma dwa serca jak bezkost? A może wystarczy odrąbać mu głowę? Jak z nim walczyć?!

Demon wystartował. Feliks w akcie desperacji sięgnął do kieszeni i sypnął mu suszonymi ziołami prosto w oczy, po czym odskoczył w bok. Nawi zawył z bólu, zaczął trzeć pysk łapami i miotać się, rozchlapując na boki błoto wymieszane z czarną krwią. Wokół śmigwały ostrza wyrastające z jego rąk i kręgosłupa, czyniące

z niego maszynę do siekania mięsa.

Tymczasem policjant zdążył się pozbierać i znów wycelował.

– Nie! – krzyknął Feliks, wysuwając w jego stronę rękę z siekierą. – To na niego nie działa.

– A co, kurwa, zadziała?! – zdenerwował się mężczyzna.

– Dobre pytanie – mruknął żniwiarz.

Nawi uspokoił się, choć zdawało się, że zioła go oślepiły. Opadł na cztery łapy i zaczął węszyć. Feliks ponownie natarł. Wbił siekierę w jego szyję, lecz ułamek sekundy później został odepchnięty i przeleciał dobre dwa metry do tyłu, a następnie potoczył się w błocie oraz po kamieniach, aż zabrakło mu tchu. Wstał na czworaka i mrugając powiekami, starał się odzyskać ostrość widzenia. Potrząsnął głową, ale słyszał tylko jakieś szumy.

Nagle został brutalnie kopnięty w brzuch i upadł na plecy. Odzyskał wzrok akurat, żeby ujrzeć lecącą wprost na niego rękę z ostrzami. W ostatniej chwili się odturlał. Demon zawarczał gardłowo; w jego szyi wciąż tkwiła siekiera. Wtem jego łeb odskoczył nieco na bok. To policjant uderzył go grubym prętem.

Nawi na odlew machnęła ręką naszpikowaną ostrzami. Na ziemię polała się krew, a mężczyzna padł, jęcząc głośno.

Feliks spróbował sięgnąć siekierę, śmiercionośna kończyzna jednak go powstrzymała. Niewiele brakowało, a demon rozorałby mu cały bok.

Żniwiarz wykonał unik i odsunął się od przeciwnika. Nie miał już bronii, a stwór nawet oślepiony stanowił śmiertelne zagrożenie. W pewnym momencie Feliks

wyczuł coś twardego w błocie pod palcami. Chwycił to, podniósł i obrócił w dłoni. Zachciało mu się śmiać.

Musiał pokonać tego diabła uzbrojony zaledwie w śrubokręt.



Magda już dawno temu wysłała wszystkich do łóżek, ale – tak jak podejrzewała – nikt oprócz Janiny nie zdołał zasnąć. Siedzieli w kuchni przy świecach, a staruszka drzemała na kanapie w salonie.

Feliks strzegł jej rodziców, tuż za ścianą czuwali jej kuzyni, przyszywana siostra i dobra koleżanka, ale tej nocy dziewczyna czuła się samotna. Brakowało jej Mateusza. Usiadłby obok niej, złapał za rękę, rzucił żartem, a przyszłość nabrałaby jaśniejszych kolorów. Gdy byli razem, miała wrażenie, że nic nie mogło ich powstrzymać. A jeżeli Pierwszy miał rację i Mateusz naprawdę zginął, nigdy już go nie zobaczy. Było jeszcze tyle rzeczy, które chciała mu powiedzieć, za które chciała przeprosić. Żałowała, że go okłamywała. Może gdyby od samego początku wiedział o wszystkim, inaczej zachowałby się na koniec? Może nie zaatakowałby Niji, a teraz razem planowałiby, jak poradzić sobie z nim i jego demonami.

Jej oczy zrobiły się wilgotne. Szybko przetarła je wierzchem dłoni. Nie mogła teraz się rozklejać. Miała tyle rzeczy na głowie. Ciekawe, czy rodzeństwo i leśniczy z poprzedniego wieczoru przeżyli. Szkoda, że nie wzięła do nich numeru telefonu...

Oparła włócznię o płot i spróbowała podrapać się pod

sznurem wisielca oplatającym jej dłonie. Co prawda Pierwszy twierdził, że nie potrzebowała go, ale w taką noc wołała tego nie sprawdzać. Zapatrzyła się na ciemną ulicę. Ostatni raz miasto bez prądu widziała dawno temu. Jeden dom to coś normalnego, ulica też, ale gdy mrok ogarniał całą miejscowość, zdawało się, jakby ona umierała. Ludzie bali się wychylić głowy za drzwi, a spokojny Wiatrołom nagle zaczął przypominać cmentarzysko. Kto wie, może w taką noc to porównanie okaże się nad wyraz trafne.

Coś zaszeleściło w ogrodzie za domem. Magda, wciąż zaciskając dłoń na włócznie, ruszyła przez podjazd. Drugą ręką poklepała się po kieszeniach, upewniając się, że ma tam suszone zioła i sól. Nagle nadepnęła na coś małego; chrupnęło, więc gwałtownie cofnęła stopę. Schyliła się po szyszkę i obróciła ją w palcach, jednocześnie zadzierając głowę. Wiedziała, że w okolicy nie rosło żadne drzewo iglaste, ale musiała się upewnić. Upuściła szyszkę, postąpiła kilka kroków w przód i znalazła następną.

– Co jest? – Zmarszczyła brwi.

Ktoś sobie żarty stroił? Nie były zbyt zabawne.

Ruszyła dalej w stronę ogrodu. Zlustrowała wzrokiem drzewa, krzaki i szczątki szopy, którą niedawno spalili jej kuzyni. Nic się tam nie ukrywało. A potem spojrzała w stronę domu i zamarła. Coś siedziało na parapecie i zaglądało do środka. W pierwszej chwili Magda stanęła jak rażona piorunem, ale już po kilku sekundach się opanowała. Ostrożnie zrobiła krok w stronę ściany budynku. To coś, co na razie wyglądało jak bezkształtny worek z głową, drgnęło nerwowo i spojrzało prosto na nią. Dziewczyna znów

znieruchomiła, przestała nawet oddychać, a stwór raz jeszcze odwrócił się do szyby.

Aha, słaby wzrok, dobry słuch... Tylko co to, u diabła, jest?!

Musiała bardzo szybko podjąć decyzję, co robić. Jaka taktyka będzie najlepsza? Sól? Zioła? Ogień?

Pod palcami czuła drzewce, wręcz promieniujące ciepłem. Ponoć demoniczna stal działa na wszystko. *Nic na siłę, wszystko młotkiem* – nie wiadomo dlaczego akurat w tej chwili przypomniały jej się słowa Sebastiana naprawiającego ekspres do kawy.

Powoli zaczęła przesuwając się wzdłuż ściany domu, coraz bliżej stwora. Dojrzała chudą łapę dotykającą szyby i opalizujące żółte ślepia wpatrujące się w szczelinę między zasłonami. Jak dużo demon mógł zobaczyć? Po drugiej stronie okna pewnie przy świecach drzemała Janina, a to coś się na nią gapiło. Ile razy zdarzało się, że niczego nieświadomy człowiek odpoczywał we własnym domu, a jakiś demon siedział w ciemnościach na parapecie i go obserwował?

Kolejny ostrożny krok; pod butem zachrząściło szkło z wybitej noc wcześniej szyby. Cholera, przy sprzątaniu nawet nie sprawdzali, czy coś wypadło na zewnątrz.

Głowa nawiego powoli się obróciła i żółte ślepia spojrzały wprost na Magdę.

Dziewczyna rzuciła pod nosem przekleństwo, a potem ruszyła do ataku. W kilku susach dopadła demona i dźgnęła go włócznią, jednak ten odskoczył. Dźgnęła znów, a stwór stracił równowagę i zleciał z parapetu. Cóż, gracji to mu z całą pewnością brakowało. Usiłował pozbierać się z ziemi, ale wyglądało na to, że zaplątał się we własne kończyny, a miał ich chyba więcej, niż

natura przewidziała dla większości nawich.

Magda dźgała i uderzała, ale stwór, sycząc gniewnie, wciąż się od niej odsuwał. W pewnej chwili dziewczynie udało się drasnąć chudą nogę. Po ogrodzie poniósł się skowyt. Demon odturlał się i rozwinął błoniaste skrzydła, które Magda do tej pory brała za przykurczone łapy. Machnął nimi, wybił się z ziemi i przywalił w grubą gałąź czereśni. Runął w dół.

Dziewczyna przypadła do niego, ale kopnął ją tak mocno, że poleciała na plecy. Potrzebowała ułamka sekundy, żeby zerwać się na równe nogi, lecz demon wykorzystał ten czas i wzbił się w powietrze. Wyglądał jak pijana czapla, która zapomniała, jak się lata. Odbił się nogami od płotu, przywalił bokiem w ścianę domu, wreszcie wylądował z łomotem na dachu samochodu bliźniaków, skąd poleciał dalej w stronę miasta.

– Niech cię szlag trafi! – zawołała, a potem pobiegła za nim.

Mimo tego, że się o wszystko obijał, demon poruszał się dość szybko i dogonienie go stanowiło wyzwanie nawet dla żniwiarza. W pewnym momencie Magda straciła go z oczu. Wybiegła za róg sklepu i zatrzymała się. Ciężko oddychając, rozejrzała się dookoła, przeczesawsza wzrokiem niebo, jednak nigdzie go nie dostrzegła.

Zakłęta cicho, a w jej głowie zaczęły pojawiać się obrazy, jak nawi włamuje się do domu zwykłych mieszkańców Wiatrołomu, do pokoju, w którym śpi dziecko...

– Znajdę cię – warknęła.

Przez ponad godzinę błąkała się po mieście, szukając latającego demona, aż w końcu opadły ją wątpliwości.

A może już odleciał? Zaszył się gdzieś i nie wylezie stamtąd do następnej nocy? Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna już wracać. W końcu miała stać na straży rodziny i domu Feliksa.

– Jeszcze jedna rundka i wracam – postanowiła.

Minęła kolejna godzina i Magda kierowała się już w stronę domu, kiedy usłyszała szelest w koronie drzewka rosnącego przy chodniku. Stało ukryte w cieniu bloku i uniknęło złamania podczas wichury. Dziewczyna ostrożnie zbliżyła się do niego na trzy metry. Coś siedziało na gałęzi. Wysunęła lewą rękę do przodu, prawe ramię uniosła i wycelowała. Wypuściła z płuc powietrze, a następnie cisnęła włócznią prosto w cień. Usłyszała skrzek, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że trafiła. W koronie doszło do szamotaniny i kilka liści spłynęło na ziemię; tuż po nich spadła i włócznia – z głośnym stuknięciem.

Magda natychmiast do niej podbiegła i wycelowała ostrze w górę. Nawi zleciał z gałęzi i rozpostarł skrzydła. Dziewczyna z satysfakcją zobaczyła na chodniku plamy krwi.

Nagle coś huknęło w oddali, a stwór ze skrzekiem uniósł przednie łapy do uszu i zaczął je pocierać.

– Nie lubisz hałasu? – zapytała Magda, po czym z mściwą satysfakcją stuknęła drzewcem włóczni w ozdobne metalowe pręty okalające pień drzewka.

Demon zaskomlał i rzucił się do ucieczki.

– Nie tak szybko! – Znów uniosła włócznię i cisnęła nią. Trafiła stwora prosto w grzbiet.

Demon padł i przeturlał się po chodniku.

Magda podbiegła do niego, wyszarpnęła broń i wbiła mu ostrze w miejsce, gdzie, jak przypuszczała,

znajdowało się serce, a potem jeszcze w czaszkę, tak na wszelki wypadek. Rozejrzała się, dysząc ciężko.

– I co ja mam z tobą zrobić?

Nie chciała zostawiać truchła nawiego w centrum miasta. Może rozłożyłoby się do rana, a może nie i wtedy dopiero wybuchłaby panika. Wyjęła z kieszeni zapalniczkę i na próbę przysunęła płomień do sterczącego w górę skrzydła. Nic się nie stało.

– Cóż, zawsze warto było spróbować – westchnęła, chwytając demona za tylną łapę. – Tatuś się nie ucieszy, jak zostawię cię w lecznicy, ale tam mamy najbliżej.

Na szczęście miała przy sobie klucz do gabinetu ojca. Od dawna prawie zawsze nosiła go ze sobą, na wypadek gdyby Feliks nagle potrzebował jakichkolwiek leków, bandaży czy szwów. W końcu to, co było dobre dla pupili mieszkańców Wiatrołomu, musiało nadawać się również dla żniwiarza.



Feliks leżał w błocie i patrzył w gwiazdy. Ten przekłety trzynasty księżyc nadal tkwił na niebie, oświetlając ziemię zalaną krwią ludzi i demona. Żniwiarz potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie, co się przed chwilą stało. Nawi rzucał nim po całym placu jak szmacianą lalką i już miał rozharatać mu całą klatkę piersiową, kiedy Feliks wbił mu znaleziony śrubokręt w oko, sięgając mózgu i tym samym znajdując sposób na zabicie stwora.

Żniwiarz rzucił spojrzeniem w bok. Martwy demon

leżał tuż przy nim. Rękojeść śrubokrętu wręcz komicznie sterczała z jego oczodołu. Gdzieś z boku rozległ się jęk.

Policjant! – przypomniał sobie Feliks.

Poderwał się na chwiejne nogi i dopadł do mężczyzny. Ten miał rozorane ramię.

Żniwiarz oderwał rękaw koszuli jego drugiej ręki i nie zważając na krzyk bólu, mocno zawiązał go wokół rany.

– Wstajemy – powiedział, ciągnąc go w górę.

Funkcjonariusz zachwiał się, ale Feliks go podtrzymał.

– Musisz jechać do szpitala.

– No raczej – burknął mężczyzna.

Nie było źle, skoro trzymał go jeszcze humor. Albo facet był w totalnym szoku.

Od radiowozu dzieliło ich tylko kilka kroków. Widzieli już czubki głów dwóch dziewczyn wyglądających ostrożnie przez okna, gdy zza auta wyszła ciemna, potężna postać.

Feliksowi serce podeszło do gardła; pożałował, że zostawił za sobą zarówno siekiere, jak i śrubokręt, wciąż wbite w ciało demona. Już miał odepchnąć od siebie rannego i stanąć do walki z kolejnym nawim, kiedy usłyszał ludzki głos.

– Co się, kurwa, stało?

– Gdzieś ty, do cholery, był?! – wybuchnął policjant, prostując się nieco.

– Wysikać się, a gdzie?! Ktoś mnie chyba zdzielił po łbie. – Pomacał się po potylicy i skrzywił z bólu.

– Po okolicy lata jakiś świr z nożem – powiedział ten grubszy.

Feliks pogratulował mu w duchu zachowania zimnej

krwi.

– Ale zwiął – dodał żniwiarz. – Pana kolega uratował te dziewczyny. – Wskazał brodą na samochód. – Niestety został ranny i trzeba zawieźć go na pogotowie.

Drugi policjant odzyskał werwę. Najwyraźniej głupio mu się zrobiło, że on leżał nieprzytomny w krzakach, kiedy jego partner bohatercko ratował cywilów. Pomógł Feliksowi zapakować rannego do samochodu.

– Najpierw odwieziemy je do domu – powiedział grubawy funkcjonariusz. – Zanim ten kundel zasika nam radiowóz.

– A ja zajmę się trupem – szepnął Feliks.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Jak na razie policjant najwyraźniej wołał nie rozgłaszać wszem wobec, że walczył właśnie z demonem z piekła rodem, który miał ostrza wyrastające z pleców, a do tego był kuloodporny.

Żniwiarz patrzył, jak odjeżdżają, a gdy tylko czerwone światła zniknęły mu z oczu, wrócił do truchła nawiego. Wyciągnął z jego ciała siekierę oraz śrubokręt, a potem wyjął zapalniczkę. Spróbował podpalić jego łapę, ale ta ani myślała zająć się ogniem.

– Szkoda – westchnął.

Wyprostował się i rozejrzał. Nie miał czasu, aby iść po samochód, wywieźć truchło do zapomnianego lasu i zakopać między kośćmi zwierząt wyrzuconych z rzeźni.

Kopniakiem odwrócił je na brzuch. Ostrza na grzbiecie błysnęły w świetle księżyca. Jednego brakowało. Feliks rozejrzał się – leżało kilka metrów dalej, obok sporego kamienia. Najwyraźniej odłamało się, kiedy nawi wylądował plecami na głazie.

Niewiele myśląc, schował ostrze do kieszeni i zaciągnął truchło do większego dołu. Potem wzruszył ziemię na szczycie tak, aby się osunęła i zakryła demona.

Nie był to najlepszy pomysł, ale Feliks musiał wracać do rodziny. No i liczył, że zanim ktokolwiek weźmie się do wykopów akurat w tym miejscu, truchło zdąży się rozłożyć w przyspieszonym tempie, jak to się działo z większością nawich.



Sebastian wciąż stał przy oknie. Tkwił tu od chwili, gdy usłyszał odgłosy szamotaniny w ogrodzie. Nie podobało mu się, że coś usiłowało zakraść się do domu i że Magda za tym popędziła. Tak długo jej nie było...

– Pewnie już dawno go zabiła – odezwała się cicho Tosia. – Tylko natknęła się na następnego.

– Może – westchnął nie do końca przekonany.

– Szkoda, że Adam zginął. On wiedział o wszystkim.

Sebastian mocniej zacisnął szczękę, aż zaboląły go zęby. Niby taka rozgarnięta, a dała się nabrać temu... Nawet nie umiał znaleźć odpowiedniego przekleństwa opisującego Pierwszego. Potarł palcami oko, które ten mu podbił zaledwie cztery tygodnie wcześniej, kiedy porwał Magdę. Czy naprawdę wystarczyły zaledwie dwa miesiące, żeby ich życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni? Czasem zastanawiał się, czy przyjazd do Wiatrołomu był dobrą decyzją. Od przeprowadzki nieraz byli blisko śmierci, jeszcze nigdy nie bał się tak, jak zdarzyło się to już kilka razy w tym przeklętym mieście,

a jednocześnie jeszcze nigdzie nie czuł się tak jak tu, gdzie wreszcie znalazł swoje miejsce na ziemi. Tutaj byli jego dom i jego rodzina. A jeżeli wiązało się to z atakami demonów, to cóż... ze wszystkim można nauczyć się żyć.

Wtem zmarszczył brwi i wyteńczył wzrok. Coś małego błysnęło na ulicy. Kiwnął palcem na Tosię, która podeszła do okna.

– Nic nie widzę – szepnęła.

Obiema rękoma złapał ją za głowę i nakierował ją na nienickną w mroku drogę.

– Czy to... płomień? – zastanowiła się na głos.

– Dobrze, nie wydawało mi się.

– Ale czy to możliwe, żeby tak pełzał po asfalcie?

– Pilnuj go – rzucił, wychodząc z kuchni.

Wbiegł na piętro i wpadł do jednego z pokoi, zapominając, że wypadałoby zapukać.

– Adi! – syknął. – Wstawaj.

– Co? – Jego brat otworzył zaspane oczy.

– Już!

Adrian ostrożnie wysunął się z objęć śpiącej Klary.

– Nadal tam jest? – zapytał Sebastian, kiedy obaj zbiegli do kuchni.

– Idzie w naszą stronę. – Tosia skinęła głową.

Bliźniacy wyjrzeni przez okno, a potem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Na trasie płomienia stało ich bmw, zaparkowane na poboczu.

– O nie, nie spali nam kolejnego auta – warknął Sebastian.

– Magda zabroniła nam wychodzić z domu! – Tosia błyskawicznie oderwała się od okna i zagroziła drzwi.

– W naszych żyłach płynie krew żniwiarzy – powiedział

Sebastian, chwytając ją za ramiona i przestawiając na bok. – Nie będę stał bezczynnie, patrząc, jak to coś pali nam samochód, no i do tego idzie w stronę miasta!

– Pewnie nawet nie wiecie, jak z tym walczyć!

Bliźniacy zatrzymali się i spojrzeli po sobie.

– Bagno! – olśniło Adriana. Odwrócił się do nastolatki.

– Idź do piwnicy i przynieś nam suszone bagno. Na pewno wiesz, jak wygląda.

Tosia zawahała się. Wiedziała, Magda pokazała jej wszystkie zapasy ziół i broń, jaką mieli w domu. Ale...

– Leć! – pospieszył ją Sebastian. – To tylko spaleniec, jak będzie bardzo niebezpiecznie, to po prostu uciekniemy.

Brat posłał mu ironiczne spojrzenie. To mogło wcale nie być aż tak proste.

Trzy minuty później, zaciskając w rękach suszone bagno, jeden z maczetą, drugi z kijem bejsbolowym wyszli przed dom, powtarzając w myślach egzorcyzm. Ognik wciąż powoli pełzał w stronę bmw. Gwiazdy i księżyc w pełni odbijały się w lśniącej karoserii.

– Musimy kupić sobie skórzane kurtki – szepnął Adrian.

Mimo że od płomyka dzieliło ich dobrych kilka metrów, obu zrobiło się bardzo gorąco.

– Co teraz? – zapytał cicho Sebastian.

Stanęli na samym środku ulicy, a ognik, klucząc między asfaltem i poboczem, wciąż parł w stronę miasta, zostawiając za sobą ścieżkę wypalonej trawy.

– Ziołem go czy najpierw egzorcyzm? – zastanowił się jego brat.

Płomyk był coraz bliżej, a oni zdali sobie sprawę z tego, że tylko w teorii wiedzieli, co należy robić.

– *Exorcizámos te...* – zaczął Adrian, po czym się zająknął.

Nagle płomień zaczął się powiększać. Zmienił kolor z błękitnego na pomarańczowy.

Sebastian rzucił przekleństwo.

– No mów ten egzorcyzm! – warknął na brata. Jemu cała ta łacina wyleciała z głowy.

– *...ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas...*

– kontynuował Adrian.

Płomień osiągnął już metr wysokości, kolor pomarańczowy coraz bardziej jaśniał, aż przeszedł w żółty.

Sebastian cisnął w niego całą garść suszonego bagna, dzięki czemu ognik nieco przygasł.

– *...ómnis infernális adversárii, ómnis légio... ómnis congregátio et sécta diabólica...*

Zachęcony małym sukcesem brata Adrian, nie przestając recytować, również rzucił w nawiego suszonymi ziołami. Płomień prawie zgasł. Bliźniacy wymienili zachwycone spojrzenia. To wcale nie było tak trudne, na jakie wyglądało w wykonaniu żniwiarzy. Najwyraźniej bracia urodzili się po to, aby zabijać demony.

– *...in nómine et virtúte Dómini nóstri Jésu Chrísti!*

Wtem ognik zajaśniał intensywnie i rozrósł się do rozmiarów dorosłego człowieka.

– O cholera – sapnął Sebastian.

Ogień osiągnął prawie biały kolor, aż bracia musieli przesłonić oczy i cofnąć się o krok. A gdy ponownie na niego spojrzeli, na środku ulicy stał spaleniec. Jego kończyny były powyginane, jakby ktoś połamał mu wszystkie kości, skóra była czarna, zwęglona,

poprzecinana nitkami gorejącej czerwieni. Łysa głowa bez oczu, nosa i ust w ogóle nie przypominała ludzkiej istoty.

– *Non últra áudeas, sérpens callidíssime, decípere humánum genus Dei Ecclésiam pérsequi...* – mówił Adrian coraz bardziej piskliwym głosem.

Spaleniec uniósł dłoń, nad którą pojawiła się niewielka kula ognia, a potem cisnął nią od niechcienia w ludzi.

Bracia padli na ziemię, ogień trafił w płot i rozszedł się po drewnianych sztachetach.

Sebastian właśnie zdał sobie sprawę z tego, że wyrzucenie naraz całego bagna mogło być błędem. Zamaszystym ruchem wyciągnął maczetę z pokrowca przymocowanego do paska i stanął na ugiętych nogach.

– *...ac Dei eléctos excútere et cribráre sicut tríticum!*

Spaleniec ponownie wyciągnął przed siebie dłoń.

Jak ci ją upitolę, to nie będziesz już taki cwany – pomyślał Sebastian.

Miał doświadczenie w posługiwaniu się sztachetami i kijem bejsbolowym, dla niego maczeta niewiele się od nich różniła. Całkiem szybko – jak na swoje potężne rozmiary – doskoczył do demona, uniósł broń i opuścił ją na jego przedramię.

Ostrze przeszło jak przez masło, spaleniec zaczął skwierczeć, z kikuta buchnął ogień.

– *Ímperat tibi Deus altíssimus!* – krzyczał Adrian.

Spaleniec odwrócił się i drugą dłonią odepchnął od siebie człowieka. Sebastian upadł na plecy, jego koszulka zajęta się ogniem. Klepał ją rękoma, usiłując ugasić płomień, jednak nic to nie dawało. Krzycząc z bólu i oszołomienia, zerwał z siebie ubranie.

Demon postąpił krok w jego stronę. Tym razem planował już zabić.

– *Recéde ergo in nómine Patris et Fílii, et Spíritus Sancti!* – wrzasnął Adrian.

Spalenię wyprostował się zdziwiony, jakby zapomniał o drugim człowieku. Czerwone nitki przecinające jego pobrużdżone ciało rozgorzały. Jego nogi ugięły się, czaszka pękła z trzaskiem, klatka piersiowa się zapadła. Coraz mniej przypominał ludzką postać, wszystkie jego kości pękały, tworząc bezkształtną masę, która z hukiem wystrzeliła, obsypując wszystko wokół popiołem i nadpalonymi kawałkami mięsa.

Z domu wypadła Klara z gaśnicą. Tuż za nią biegła Tosia.



– Jak ty się będziesz przyszłej dziewczynie tłumaczył, skąd to masz? – zastanawiał się Adrian.

Klara właśnie zmieniała jego bratu chłodzący okład. Cała jego klatka piersiowa była zaczerwieniona, a na mostku znajdował się odcisk dłoni pokryty bąblami.

– Po prostu zazdrościsz – mruknął Sebastian.

– Boli? – zapytała dziewczyna, kiedy się skrzywił. – I dobrze, powinno – dodała mściwie. – To był najbardziej idiotyczny pomysł, jaki mogliście mieć. Cieszcie się, że przeżyliście.

Bohatersko obronili swój samochód, dom i całe miasto, a taka czekała ich pochwała. Do tego jeszcze Janina, gdy tylko się obudziła, nawrzeszczała na nich i zdzieliła klapkiem po głowach.

– Martwię się o Magdę – odezwała się cicho Tosia.

Siedziała przy oknie, obejmując ramionami kolana.

– Dlaczego tak długo nie wraca? – Spojrzała na pozostałych.

– Pewnie spotkała jakiegoś ciekawego demona – zażartował Sebastian.

– Tobie już chyba wystarczy tego znieczulacza. – Klara odsunęła od niego pusty kieliszek. – A ty się nie martw.

– Uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Magda to najtwardsza babka, jaką znam. Poradzi sobie ze wszystkim.

– Moja maczeta! – sapnął nagle Sebastian. Poderwał się z fotela, krzywiąc się z bólu. – Zgubiłem ją gdzieś na ulicy.

– Daj sobie spokój, poszukamy za dnia – powiedział jego brat.

– Nie ma mowy! Jeszcze jacyś złomiarze mi ją sprzątną!

Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wyszedł przed budynek.

– Pójdę z nim. – Tosia oderwała się od okna.

– Tylko uważajcie! – krzyknęła za nimi Klara.

Sebastian krążył po drodze i jedną ręką przytrzymując opatrunek, wpatrywał się pod nogi. Tosia zaś odszukała miejsce, gdzie leżało najwięcej prochu oraz spalonych kawałków mięsa, i od tego skrawka ziemi zaczęła poszukiwania. Jednak maczety nigdzie nie było widać.

Pięć minut później nadal nie znaleźli broni, a zataczali kręgi coraz dalej od domu. W pewnej chwili od strony miasta dotarł do nich krzyk. Oboje wyprostowali się gwałtownie i zamarli, patrząc na siebie.

– Słyszałeś to? – zapytała dziewczyna.

Sebastian wykonał krok do przodu.

– Nie! Nie możemy tam iść! – Tosia złapała go za ramię. – Jesteś poparzony, a nie wiesz, czy to demon, no i nie mamy pojęcia jaki. A może Magda już tam jest i z nim walczy? Ona sobie poradzi.

Zawahał się, ale nastolatka miała rację. Mądrzejszym rozwiązaniem było zostać w domu. Ktokolwiek krzyczał, musiał poradzić sobie sam, nie trzeba było łązić po ulicach w taką noc.

Coś zaszeleściło w krzewach na poboczu. Sebastian postąpił w stronę zarośli, przyglądając się im.

– Wracajmy do domu – poprosiła Tosia.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak daleko odeszli od bezpiecznego budynku. Noc zalana srebrzystym światłem trzynastej pełni przyprawiała ją o dreszcze.

Świat wydaje się obcy, jakby nie należał już tylko do ludzi.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Głupie myśli...

Złapała Sebastiana za nadgarstek i pociągnęła w stronę domu, ale nawet nie drgnął, wciąż wpatrując się w krzewy. Między liśćmi błysnęły żółte ślepie, rozległy się pisk, odgłosy szamotaniny i na pobocze wypadł niewielki pies. Nie zaszczycił ludzi uwagą i popędził w stronę miasta.

– To tylko pies – powiedział rozbawionym tonem Sebastian.

Odwrócił się do Tosi, ale dziewczyna, wciąż zaciskając palce na jego nadgarstku, stała nieruchomo, jakby wrosła w asfalt. A tuż przed nią znajdowała się istota prosto z sennych koszmarów. Kiedyś może była człowiekiem, teraz zaś wyglądała, jakby przymierała

głodem: miała zapadnięty brzuch, skórę wiszącą na żebrach, można było policzyć każdą jej kość. Miała nienaturalnie wielkie dłonie, a długie palce przechodziły w ostre pazury ciągnące się po ziemi. Kręgosłup wygiął się, jakby pod ciężarem rąk. Łysa głowa, brak nosa i duże czarne oczy dopełniały makabrycznego obrazu. Szeroka paszcza była splamiona krwią, a w spojrzeniu potwora można było dostrzec wieczny głód.

Sebastian zaklął pod nosem. Z tym czymś nie poradzą sobie tak łatwo. Pociągnął Tosię za rękę i ustawił ją za sobą.

Ostre pazury zazgrzytały po asfalcie.

Już po nas – pomyślała nastolatka, przetykając ślinę.

Nagle usłyszeli świst, uderzenie, a demon stracił równowagę i zrobił kilka kroków w bok, wyglądając niemal jak komiczny krab. Spomiędzy jego żeber wystawała włócznia.

Tosia zerknęła w bok. Kawałek dalej stała Magda. Kilka kosmyków złotych włosów wymknęło się z upięcia, okalając twarz brudną od krwi. Ciemne oczy, z daleka niemal czarne, z nienawiścią wpatrywały się w demona. Teraz to ona wyglądała jak zwiastun śmierci.

– Uciekajcie! – krzyknęła, zrywając się do biegu.

W ułamku sekundy dopadła upiora, który ledwie odzyskał równowagę. Uchylając się przed pazurami, złapała włócznię. Oparła stopę o biodro demona i pociągnęła drzewce.

Nawi zawył. Jego ręka wystrzeliła do przodu, by przebić serce dziewczyny, ale Magda była dla niego za szybka. Pchnęła włócznią, przebijając jego brzuch.

Pazury świsnęły tuż nad jej głową. Wyciągnęła ostrze,

cofnęła się o krok i wbiła je w klatkę piersiową tam, gdzie powinno znajdować się serce. Niestety to nie powstrzymało potwora, tak samo jak uderzenie trzonkiem w łeb i wbicie ostrza w szyję.

– Oni są gorsi niż zombie – szepnął Sebastian, powoli skradając się w stronę domu. Niestety musieli przy tym ominąć walczących.

Nagle Tosia wyrwała rękę z jego uścisku, odbiegła dwa kroki w bok i schyliła się po coś. Gdy się wyprostowała, zaciskała palce na rękojeści maczety.

Sebastian spojrzał na nią, a potem obejrzał się na Magdę zajęętą walką. Dziewczyna żniwiarz zdawała się stracić na szybkości i sile. Jej ciosy były coraz wolniejsze i słabsze. Tymczasem demon wyglądał, jakby w ogóle się nie męczył.

Sebastian wahał się tylko przez chwilę.

– Odwróć jego uwagę, a ty uciekaj do domu – powiedział Tosi, wyjmując z jej dłoni maczetę.

Nastolatka mocno zacisnęła usta, ale skinęła głową.

Bliźniak powoli ruszył w stronę walczących, pilnując, żeby wciąż znajdować się za plecami demona. A kiedy podszedł wystarczająco blisko, uniósł maczetę i opuścił ją prosto na łeb nawiego.

Jednak demon odchylił się, a ostrze ześlizgnęło się po jego ramieniu.

– Nie!!! – krzyknęła Magda, kiedy nawi gwałtownie odwrócił się do Sebastiana i uniósł potężną łapę.

Wypuściła z rąk włócznię, rzuciła się na demona i złapała go za przedramię, zapierając się stopami o ziemię. Jednak potwór był silny, przełamał jej chwyt i powalił ją na asfalt.

– Magda!!! – wrzasnęła Tosia, zatrzymując się. Nogi

wrosły jej w ziemię, krew ścięła się w żyłach; nie potrafiła już uciec.

Sebastian opuścił maczetę na wielką łapę. Niestety, ostrze zablokowało się, a demon szarpnął ramieniem, wrywając mu broń z rąk. Maczeta z brzdękiem uderzyła w asfalt.

Nawi rzucił się na leżącą na ziemi Magdę. Dziewczyna złapała go za zdrową łapę, trzymając z dala od siebie ostre pazury. Druga kończyna kreatury bezwładnie wisiała na kawałku złamanej kości.

– Zabierz... stąd... Tosię... – wycodziła przez zęby dziewczyna, wciąż siłując się z przeciwnikiem.

Wyrzuciła rękę w bok i udało jej się sięgnąć końcówkę ostrza maczety. Podrzuciła ją odrobinę i złapała za rękojeść. Paszcza nawiego znalazła się tuż przy jej twarzy. Tymczasem Sebastian odbiegł do Tosi, a Magda odchyliła rękę na bok, biorąc zamach. Przeciągnęła bronią po gardle demona. Połała się na nią czarna, zimna posoka.

Kopnęła demona, który zachłysnął się własną krwią. Wylądował na czworakach, a potem ostrze opadło na jego kark, oddzielając głowę od ciała.

Magda stała niepewnie, patrząc, jak cielsko nawiego przewraca się na ziemię. Paszcza jeszcze kilka razy kłapnęła w powietrzu, zanim znieruchomiła.

Sebastian i Tosia ostrożnie zbliżyli się do niej. Jej klatka piersiowa unosiła się, jakby dziewczyna właśnie ukończyła maraton.

– Mieliście uciekać do domu – sapnęła Magda, podając kuzynowi maczetę.

– I miałem cię samą zostawić? – zapytał z wyrzutem.

– No raczej. Gdzie masz koszulkę i co to za oparzenia?

Sebastian spojrział po sobie, jakby zupełnie o nich już zapomniał.

– Potem ci opowiem.

Nagle Magda drgnęła, jakby coś uderzyło ją w plecy. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie, usta się rozchyliły. Z jej klatki piersiowej wystawały ostre pazury, a wokół nich rozkwitały plamy ciemnej krwi.

Tosia zaczęła krzyczeć. Sebastian nie był w stanie się ruszyć.

Oczy Magdy zaszyły mgłą, z jej gardła nie wydobył się nawet jęk, kiedy bezgłowy demon stojący za nią opuścił łapę. Dziewczyna osunęła się na ziemię martwa.

Rozdział 4



Ciemna krew spływała powoli po czarnych pazurach i skapywała na rozsypane na asfalcie złote włosy Magdy. Jej ciało leżące na boku nawet nie drgnęło, szeroko otwarte oczy zionęły pustką, z ust pociekła strużka czerwieni.

Tosia wreszcie zamilkła, choć do tej pory miała wrażenie, jakby to wcale nie ona krzyczała. Czuła się niezdolna do żadnego ruchu. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Magda zaraz się podniesie, nakrzyczy na nich, że nie są w domu, i zabije tego demona.

Nawi wydał gardłowy dźwięk, jakby się krztusił albo próbował się zaśmiać. Tosia skierowała na niego zatrwożone spojrzenie. *To niemożliwe! On nie może żyć!* – chciała znów krzyczeć na widok zalanego czarną krwią torsu i głowy, którą trzymał pod pachą. Jakby chcąc zadał kłam jej myślom, paszcza otworzyła się kilka razy, ukazując dwa rzędy ostrych zębów. Czarne oczy prześwidrowały dwójkę przerażonych ludzi.

Dopiero widok ostrych pazurów lecących wprost na nią otrzeźwił Tosię. Przykucnęła, uchylając się przed nimi, usłyszała świst nad głową, poczuła pęd powietrza, a kilka kosmyków jej włosów zafalowało. Długa łapa znów zaatakowała, a dziewczyna tym razem straciła równowagę i poleciała na plecy.

Sebastian zaatakował demona maczetą. Zdołał nawet dwa razy go trafić, ale wydawało się, że ostrze nie imażo się nawiego. Ułamek sekundy później łupnęło głucho i bliźniak leżał na ziemi, walcząc o oddech.

Od strony domu doszły ich hałasy. Do dwójki pokonanych ludzi zbliżała się jasna łuna. Zanim Tosia zorientowała się, co się działo, ujrzała przed sobą plecy

Adriana, który zawzięcie wymachiwał pochodnią, żeby odpędzić nawiego. I co dziwne, demon stracił nieco rezon. Cofnął się o krok; paszcza, którą nadal trzymał pod pachą, kłapnęła ze złością. Ogień huczał głośno. Ktoś złapał Tosię za ramiona i szarpnął w górę. Już chciała się bronić pięściami i paznokciami, kiedy zorientowała się, że to Klara przyszła jej z pomocą. Sebastian sam pozbierał się na nogi.

Nawi wciąż usiłował zaatakować ludzi, ale jak tylko ruszył się do przodu lub w bok, Adrian dźgał tam pochodnią powietrze. Na kilka sekund znaleźli się w patowej sytuacji. Czwórka ludzi nie zamierzała się poddać, demon zaś nie chciał odejść bez kolejnej ofiary.

Stwór zamarkował atak. Adrian od razu stanął mu na drodze, lecz zbyt późno zdał sobie sprawę z tego, że demon nagle zmienił kierunek i rzucił się na dziewczyny. Bliźniak zdołał jedynie zdzielić go pochodnią po plecach. Rozniósł się swąd palonego zepsutego mięsa. A potwora dzieliły już tylko centymetry od Klary.

Wtem rozległ się brzęk metalu, a tuż po nim wrzask przepelniony wściekłością, żalem i strachem. To Sebastian odrzucił maczetę i całym ciałem wpadł na nawiego. Sam chyba nie wiedział, dlaczego to zrobił – przecież był bez szans. Jednak rozpędzone sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi, napędzane wściekłością i strachem, sprawiły, że demon stracił równowagę. Przewrócił się, wypuścił z łapy głowę, która potoczyła się po asfalcie.

Adrian nie czekał, zaczął okładać stwora pochodnią. Sebastian pozbierał się z ziemi i odkopnął głowę z wściekle kłapiącą paszczą na dobrych kilka metrów.

Coś strzeliło mu w wielkim palcu, może nawet kość, ale adrenalina tak buzowała w jego ciele, że nic nie poczuł.

Reszta ciała demona wiła się w konwulsjach. Nie był on w stanie się podnieść, więc wymachiwał rękoma i kopał nogami, a to wszystko na ślepo, odkąd jego głowa leżała dalej. Może nawet wyglądał w tej chwili komicznie, niczym potwór z kreskówki, ale nikomu nie było do śmiechu.

– Uważaj! – krzyknęła nagle Klara.

Adrian, w zapamiętaniu okładający nawiego pochodnią, nie zauważył nawet, kiedy ogień rozszedł się po zasuszonej skórze. Cofnął się, a płomienie ogarnęły wciąż szarpiące się cielsko. Stwór okazał się łatwopalny jak łepi.

Głowa leżąca dalej skrzeczała z bólu. Sebastian podniósł maczetę, wbił ostrze w skroń, sięgając mózgu – czy co tam innego potwór miał pod czaszką – przeniósł ją i rzucił na dopalające się ciało. Wkrótce cały nawi znieruchomiał, a po ulicy zaczął snuć się gryzący czarny dym.

Gdy demon nie stanowił już zagrożenia, Tosia przypomniała sobie o Magdzie. Ze szlochem rzuciła się do jej ciała. Ułożyła jej głowę na swoich kolanach i zaczęła klepać ją po policzkach. W martwych oczach odbijał się trzynasty księżyc.

– Nie, proszę, nie... – jęczała nastolatka.

Pozostali podeszli do niej.

– Dlaczego? – Podniosła na nich załzawione oczy. – Przecież ona nie mogła...

Sebastian pociągnął nosem, Adrian zacisnął szczękę tak mocno, aż zaczął drgać mu mięsień na żuchwie, po policzkach Klary lały się łzy. Po demonie zaś został

zaledwie proch.

– Chodźmy do domu, tu nie jest bezpiecznie – odezwał się stłumionym głosem Adrian.

Tosia wyglądała, jakby nie zamierzała się ruszyć z miejsca, więc delikatnie ujął ją za dłonie i pociągnął w górę. Zachwiała się, po czym wpadła w ramiona Klary.

Sebastian delikatnie uniósł ciało Magdy. Na asfalcie została kałuża krwi.



Feliks powitał świt z wielką ulgą. Nocny koszmar się skończył. Mieli około szesnastu godzin na obranie jakiegokolwiek taktyki, zastanowienie się, co dalej, zanim znów zapadnie zmrok. Wbrew pozorom to wcale nie było dużo czasu.

Gdy szedł spiesznym krokiem przez miasto, już z oddali ujrzał niebieskie światła karetki. Czy to znaczyło, że kolejna osoba padła ofiarą demonów? Znów nie zdążyli komuś pomóc? A może to tylko zwykły wypadek? Osoba potrącona przez samochód, alkoholik, który tej nocy wypił za dużo, ktoś chory na serce...

Zbliżył się do ratowników medycznych akurat w chwili, kiedy zakrywali ciało. Ujrzał kikut odciętej ręki, na chodniku ciemniała plama zaschniętej krwi. Żniwiarz przymknął oczy; wyrzuty sumienia uderzyły w niego ze zdwojoną siłą. Czuł się odpowiedzialny za mieszkańców Wiatrołomu niemal jak za własną rodzinę. Osobiście znał wielu z nich, a także ich dziadków i pradziadków. Zawsze łudził się, że dzięki niemu byli

bezpieczniejsi. Jakże się mylił! Dwójka żniwiarzy nie miała szans obronić piętnastu tysięcy ludzi.

Zanim nadjechała policja, żniwiarz odszedł od miejsca wypadku. Nie miał pojęcia, jakie logiczne wyjaśnienie znajdą na tę śmierć, ale kiedy będą nad nim myśleli, wolał być daleko stąd.

W końcu zabraknie im wymówek – pomyślał. I zaczną się kolejne kłopoty z policyjnym dochodzeniem.

Szybko dotarł do swojego domu. Z zewnątrz budynek zdawał się wymarły.

Pewnie odsypiają noc.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Pchnął je lekko do wtóru głośnego skrzypnięcia zawiasów. Wewnątrz panowała grobowa cisza. Zajrzał do kuchni, lecz zastał tam jedynie bałagan. Z butelki nalał do kubka chłodnej wody zaczerpniętej wcześniej ze studni i przeszedł do salonu.

Gdy tylko stanął w progu, podniosło się na niego pięć zmęczonych głów. Od razu wiedział, że coś się stało. Tosia i Klara miały zapuchnięte, czerwone oczy, Sebastian był wręcz zielonkawy na twarzy i nawet Janina jakoś zbladła.

– Gdzie jest Magda? – zapytał dużo surowszym tonem, niż zamierzał.

Bliźniacy spuścili głowy. Tosia otworzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk, a już po chwili po jej policzkach potoczyły się łzy.

– Nie żyje – odezwała się Janina.

Feliks nawet nie drgnął. Kiedy tylko ich zobaczył, wiedział to... podejrzewał najgorsze...

Na zmianę zaciskał i rozprostowywał palce. Jego serce zaczęło bić w przyspieszonym tempie.

To niemożliwe – kołatało mu się w głowie. Ona nie mogła zginąć... To jakiś głupi żart.

A jednocześnie gdy tylko spojrział w ich oczy, pełne poczucia winy, wiedział, że to prawda. Nie miał już siły stać na własnych nogach, czuł, że jeszcze chwila, a kolana się pod nim ugną i runie na ziemię. Jednocześnie nie był zdolny do żadnego ruchu.

– Co się stało? – zapytał ochrypłym głosem.

– Jakiś demon zaatakował nas na ulicy – odezwał się Sebastian, uciekając wzrokiem w bok. – Magda nas uratowała. Ucięła mu głowę. Myśleliśmy, że go zabiła, ale ten wstał, podniósł swój łeb i zaszedł ją od tyłu. A potem... potem wbił w nią swoje szpony... – Głos mu się załamał.

Po cholere zostawiłeś ją samą?! – Feliks chciał krzyczeć sam na siebie. Przecież wiesz, że choć miała dobre chęci, była niedoświadczonym żniwiarzem! Do tej pory ślizgała się na szczęściu, ale w końcu musiała trafić na silniejszego przeciwnika...

Gdyby z nią został, teraz na pewno by żyła. Gdyby z nią został, zginęliby tylko policjant i dwie nastolatki z psem. Życie Magdy było warte więcej niż ich...

Potrząsnął głową. Oboje mieli chronić ludzi, oboje postanowili ryzykować własne życie dla innych, znali cenę bycia żniwiarzem. Tylko dlaczego ona musiała zapłacić ją tak szybko?

– Gdzie ona jest? – zapytał.

Wszyscy spojrzeli na ścianę, za którą był mały pokój.

Bez słowa wyszedł z salonu. Jeszcze zanim pchnął drzwi do drugiego pomieszczenia, poczuł zapach krwi i śmierci. Stał w progu i zobaczył na stole ludzki kształt przykryty białym prześcieradłem.

To nie może być ona. Błagam, żeby to nie była ona. Dlaczego to nie ja zginąłem tej nocy?

Po raz drugi przeżywać jej śmierć – to było ponad jego siły. Miał wrażenie, jakby coś zakradło mu się do serca, a teraz rozrywało je na strzępy. Czuł się za nią odpowiedzialny i znów nie podołał zadaniu. Żniwiarze umierali już na dobre. Raz zdarzył się cud i Magda wróciła. Wiedział, że na drugi nie ma co liczyć.

Jego nogi były ciężkie niczym z kamienia, ledwie stawiał stopę za stopą, a te dwa metry między drzwiami i stołem wydawały się najdłuższą wędrówką w jego życiu.

Zapach krwi stał się nie do zniesienia. Nie potrafił już nawet wyczuć jej perfum. A przecież sam kiedyś zabronił jej używania ich przed polowaniem.

Powoli wyciągnął przed siebie drżącą dłoń. Chwycił prześcieradło i zdarł je z połowy ciała.

Była blada, miała zamknięte oczy i wyglądała, jakby spała. Jej długie, jasne włosy spływały delikatnymi falami ze stołu. Ktoś musiał je rozczesać, umyć jej twarz i zmienić bluzkę. Poczował wdzięczność, że nie musiał oglądać jej ran.

– Moja maleńka – szepnął, a nogi się pod nim ugięły.

Opadł na podłogę, a jego ciałem wstrząsnął szloch. Kochał ją jak własną córkę, była dla niego najlepszą towarzyszką, tylko ona potrafiła rozbawić go do łez i rozzłościć, aż krew się w nim gotowała. A teraz odeszła. I już nigdy nie wróci.

– Przestań ciągle tak się oglądać za siebie! – wybuchnął Waldemar.

Wracali z Gauzą ze sklepu i przyjaciel co chwilę gwałtownie się obracał, jakby już coś ich atakowało.

– Masz manię prześladowczą!

– Czy ty słuchałeś w ogóle radia?! – zdenerwował się emeryt. – Przeglądałeś internet?!

Lekarz wzruszył ramionami.

– To, co dzieje się we Wiatrołomie i w okolicy, jest zatrważające. Znalazłem informacje o co najmniej trzech zgonach! Myślisz, że ta fala nawich nie dotrze do Czarnej Wody? O ile już tego nie zrobiła!

– Nie widzisz, że u nas jest spokojnie? – stwierdził mniej pewnym tonem Waldemar.

– Na jak długo? Poza tym myślę, że Feliks potrzebuje naszej pomocy.

– Gdyby potrzebował, toby zadzwonił.

– Zachowujesz się jak obrażona nastolatka! – nie wytrzymał były nauczyciel. – Nie odbierał twoich telefonów miesiąc temu, bo walczył z władcą zaświatów!

Waldemar burknął pod nosem coś niezrozumiałego.

– Dobrze by było, gdyby w takiej chwili mieli lekarza na miejscu – powiedział ciszej Gauza. – Ja nie chcesz zatrzymać się u Feliksa, Janina zaproponowała nam nocleg...

Lekarz prześwidrował przyjaciela spojrzeniem.

– To o to chodzi?! – olśniło go. – Zabujałeś się w tej wiedźmie!

– To jest bardzo miła kobieta i nie, nie zabujałem się – powiedział z godnością nauczyciel.

– Aha, jasne. Łapa? Co ty tu robisz?

Dwaj przyjaciele zatrzymali się gwałtownie. Na progu

ich domu siedział potężny kibol z miną skopanego szczeniaka. Odkąd jego kolega został zabity na jego oczach przez upiora, Łapa nigdzie nie potrafił znaleźć sobie miejsca.

– Dzień dobry. – Zerwał się na równe nogi. – Bo ja... Ja słyszałem o Wiatrołomie.

– A kto nie słyszał? – Lekarz otworzył drzwi i pierwszy wszedł do domu. – Dziura zabita dechami tak samo jak Czarna Woda, a stała się popularna na cały kraj przez jedną wichurę.

– Ale to nie była prawdziwa wichura, prawda?

Gauza pokręcił głową, Waldemar zaś nie raczył odpowiedzieć. Wyciągnął z reklamówki najtańsze piwo, jakie było w sklepie, i poczęstował nim gościa. Drugą butelkę otworzył dla siebie.

– Wezwali nawet wojsko do usuwania szkód. Tak czytałem. A co, jeśli to przyjdzie do nas?

Gauza zerknął znacząco na lekarza.

– Dajcie spokój! Dwie trujdupy się znalazły! Wy przynajmniej wiecie, że demony istnieją, i może nawet będziecie potrafili się przed jakimś obronić. Gorzej mają ci wszyscy sceptycy, którzy w nie nie wierzą. A jak uwierzą, to może w końcu nie będą patrzeć na mnie jak na wariata.

Z hukiem odstawił butelkę piwa na stół i zaczął z powrotem pakować do reklamówki to, co Gauza zdążył schować do lodówki.

– Co ty robisz? – zdziwił się emeryt.

– Wygrałeś. Niech ci będzie, pojedziemy do tego Wiatrołomu. Żniwiarze sami wkurzyli tego przekłętego Niję i muszą posprzątać swój bałagan, ale najwyraźniej beze mnie z niczym sobie nie poradzą.

Gauza uśmiechnął się pod nosem, za co został zgromiony spojrzeniem.

– Muszę się spakować. – Waldemar skierował się do drzwi.

– A ja? Co ja mam robić? – zapytał nieśmiało Łapa.

– Siedzieć grzecznie w domu, jak Bozia przykazała – rzucił lekarz. – Nie wychodzić po zmroku, a jak bardzo chcesz, to idź do kościoła i daj na tacę, żeby fala demonów nie zalała Czarnej Wody.

Kibol z zapalem pokiwał głową, a Waldemar podał mu słoiczek z suszonymi ziołami.

– Rozsyp to na parapetach i na progu. Możesz dodać też soli. I nie pozwól matce wciągnąć tego odkurzaczem, bo więcej ci nie dam.

– I zajrzyj co jakiś czas, czy nasz dom jeszcze stoi – poprosił Gauza.

Jak na gust Waldemara, przyjaciel był zbyt ucieszony na wieść, że ma jechać w sam środek wojny między zniwiarzami a demonami. To ta harpia na pewno rzuciła na niego jakiś urok.



Feliks nie miał pojęcia, ile czasu spędził, siedząc na podłodze tuż przy ciele Magdy. Wiedział, że powinien się spieszyć, obmyślać plan, jak zatrzymać demony, jak uchronić mieszkańców Wiatrołomu i jak zabić Niję. Jednak teraz wszystko straciło znaczenie. Zginęła najważniejsza osoba w jego życiu. To dla niej chciał uczynić świat bezpieczniejszym, a gdy jej zabrakło, nic już nie miało sensu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Chciał na nie odpowiedzieć, krzyknąć, żeby dali mu spokój, ale z jego gardła wydobył się jedynie charkot. Po chwili do pokoju weszła Tosia. Przez kilka sekund patrzyła na niego ze współczuciem, a potem odezwała się spokojnym tonem:

– Trzeba ją pochować.

Feliks wiedział o tym doskonale, ale jak miał to zrobić, skoro nawet pozbieranie się z podłogi przekraczało jego siły?

– Gdzie to zrobimy? – drażzyła dziewczyna.

W końcu udało mu się wstać.

– Sam to zrobię – prawie warknął, po czym zarzucił prześcieradło na twarz Magdy.

– Nie – powiedziała ostro Tosia. – To jest moja siostra, a przynajmniej miała jej ciało, i ja też chcę przy tym być.

Feliks spojrzał na nią umęczonym wzrokiem. Jej zacięta mina i zapuchnięte oczy dały mu do myślenia. Przecież osiemnastolatka była w podobnej sytuacji. Raz już pożegnała się z własną siostrą, pogodziła z jej śmiercią, a potem w cudowny sposób ją odnalazła i teraz musi przechodzić przez to ponownie.

Z ociąganiem skinął głową, a potem wsunął dłonie pod zimne już ciało.

– Otwórz mi drzwi – rzucił.

Bliźniacy bez słowa pożyczyli mu swój samochód. Ostrożnie wyrazili chęć pomocy, ale odmówił. Sam musiał się tym zająć. Sam z Tosią.

Przez całą drogę nie odzywali się do siebie. Nie było słów, które można powiedzieć w takiej chwili. Mijali całe połacie lasów zniszczonych przez wicher, ale żadne z nich nie potrafiło wyrazić zdumienia.

Miejsce, do którego się kierowali, na szczęście zostało ominięte przez wicher i mogli zjechać pożyczonym samochodem dość daleko w zarośniętą drogę. Resztę trasy musieli pokonać pieszo.

Feliks ostrożnie niósł Magdę na rękach, dziwiąc się, że dziewczyna prawie nic nie waży. Kiedyś słyszał o przesądzie, że waga ciała zależy od tego, jakie życie prowadził zmarły. Wiele osób, które niosły trumnę na cmentarz, zarzekało się, że choć nieboszczyk był szczupły, ledwie można było go unieść, ponieważ za życia był grzesznikiem, a po śmierci to właśnie jego przewinienia były tak ciężkie.

Żniwiarz miał wrażenie, że ta nowa Magda, wysoka, szczupła, o długich blond włosach, była z nim od lat. Jednak gdy się nad tym zastanowił, uzmysłowił sobie, że nowe ciało zajmowała raptem przez dwa miesiące. Dwa miesiące – i zaznała tyle bólu oraz strachu. Bez zastanowienia stawiała czoło niebezpieczeństwu i choć czasem zdawała się nieco zadufana w siebie, była tak naprawdę dobrą osobą. Czyżby właśnie dlatego była tak lekka?

Wkrótce dotarli na miejsce, w którym niegdyś znajdowało się cmentarzysko zwierząt. To tutaj wywożono resztki z pobliskiej rzeźni. Kości, kiedyś bielejące w słońcu, dziś były przykryte mchem, a nad nimi piętrzyły się krzaczki jagód. Kilka metrów dalej spoczywało ciało Nadii. Nie minęło półtora roku, a Feliks znów tu był i znów musiał pochować kolejnego żniwiarza.

Delikatnie złożył ciało na ziemi, wziął od Tosi szpadel i zaczął kopać. Dziewczyna oddaliła się.

Ziemia była twarda, a korzenie gęste. Po raz kolejny

przeklinał sam siebie, że nie wybrał jakiegoś miejsca na polu. Jednak tutaj nikt nie będzie orał, nie zrobi wykopów, a nawet jeśli trafi na ludzką kość, może pomylić ją ze zwierzęcą.

Kopał i kopał, nie zważając na upływ czasu. Coraz bardziej zagłębiał się w ziemię i nie potrafił się zatrzymać. Pot kapał mu z czoła, w ramionach i plecach odezwał się ból, więc skupił się na nim, chcąc czuć tylko napięte do granic możliwości mięśnie i zapomnieć o tym drugim bólu – serca rozszarpywanego na drobne kawałki.

Tosia przyniosła olbrzymie naręcze świerkowych gałęzi i gdy Feliks wreszcie oderwał się od pracy, wrzuciła połowę z nich do dołu. Wiedział, że to nie miało znaczenia, Magdy już tu nie było, ale nastolatka robiła to dla samej siebie oraz dla swojej zmarłej siostry. Delikatnie złożył ciało w grobie. Tosia wrzuciła na ciało resztę świerkowych gałązek, a potem żniwiarz zaczął zsypywać do dołu ziemię.

– Zrobię krzyż – szepnęła dziewczyna.

– Nie – zatrzymał ją.

– Ale powinien być, tak się robi.

Pokręcił głową.

– Ciała żniwiarzy zawsze spoczywają w bezimiennych, nieoznakowanych grobach. Magda o tym wiedziała. Wiedziała, na co się pisze – dodał, jakby chciał przekonać samego siebie.

– Ale Oliwia... – Po policzkach Tosi zaczęły płynąć łzy.

Feliks znieruchomiał. Chciał do niej podejść i ją przytulić, pocieszyć, ale nie był w stanie wykonać nawet kroku; jego ramiona nie uniosły się choćby o centymetr.

– One obie odeszły – powiedział. – A my musimy nauczyć się żyć bez nich.



W domu panowała grobowa cisza, której Tosia miała już serdecznie dosyć. Wszyscy wokół starali się zachowywać normalnie, ale ze względu na żałobę wychodziło im to bardzo sztucznie. Nastolatka wypłakała już chyba wszystkie łzy, jakie miała, w lesie, nad grobem swojej prawdziwej, a zarazem przyszywanej siostry. Teraz pozostało jej tylko trwanie w otępieniu i czekanie, aż życie wróci do normy. Siedziała w salonie przy oknie i patrzyła na ulicę, wcale jej nie widząc.

A może po prostu powinna wrócić do domu i zapomnieć o tym wszystkim? Przekonać samą siebie, że wszystko, co wydarzyło się od chwili, kiedy wyruszyła na poszukiwania ciała Oliwii, było tylko snem? Może nawet koszmarem, z którego najwyższy czas się obudzić?

Spakować ubrania, wsiąść w autobus, wrócić do normalnego życia i nigdy więcej nie wspominać o Wiatrołomie? Zapomnieć o tym, że istnieją demony, wymazać z pamięci twarze nowych przyjaciół: Klary, Feliksa, bliźniaków... i tę jedną, która niegdyś należała do jej siostry, bladą i jakby zdziwioną, gdy ostre szpony przebiły jej serce. Wiedziała jednak, że obraz umierającej Magdy będzie prześladował ją do końca życia. Miała wrażenie, jakby śmierć rozpostarła swoje olbrzymie skrzydła nad całym Wiatrołomem. A to znaczyło, że jeszcze nie koniec tego piekła, w jakie

zamieniło się małe, spokojne miasteczko.

W pewnej chwili zobaczyła młodego chłopaka, który z wahaniem wszedł na ścieżkę wiodącą do domu. Czego mógł tutaj szukać? Tosia na chwilę wyrwała się z odretwienia, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

Zaskoczony Sebastian poderwał się z kanapy.

– Jakiś dzieciak stoi na progu – wyjaśniła nastolatka.

Bliźniak wyszedł na korytarz, po domu rozniósł się dźwięk jego ciężkich kroków oraz skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Jest Magda albo Feliks? – Tosia usłyszała niepewne pytanie.

– Feliks wyszedł, a Magda... – Głos Sebastiana się załamał.

– Nie! – jęknął chłopak. – Nie znowu.

Tosia oderwała się od okna i wyszła na korytarz.

– Wejdz. – Skinęła głową.

Chłopak podążył za nią do salonu.

– Kim jesteś? – zapytała, kiedy usiadł na skraju kanapy.

– To kuzyn Mateusza – odezwał się Sebastian, stając w progu.

– Aleks jestem – przedstawił się. – Co się stało?

Tosia poczuła do niego cień sympatii. Był młodszy od niej, a los już doświadczył go praktycznie tak samo ciężko jak ją. Zaczęła opowiadać mu o trzynastym księżycu. Kiwał głową, jakby właśnie potwierdziła jego przypuszczenia. A gdy mówiła o Magdzie, jego oczy zaszkliły się i po policzku spłynęła mu łza. Nawet nie próbował jej ukryć.

– Mogę wam jakoś pomóc? – zapytał, kiedy w domu ponownie zaległa cisza.

– Dzięki, nie trzeba. – Uśmiechnęła się słabo. – Twój dom jest zabezpieczony przeciw nawim?

– Do tej pory nie byłem nawet pewien, czy to demony.

– Pokręcił głową.

Tosia wymieniła spojrzenie z Sebastianem.

– Zaprowadź nas do siebie, pomożemy ci.



Feliks z rezygnacją przestąpił przez próg domu rodziców Magdy.

– Chciałbym wiedzieć, co w mojej lecznicy robi kupa zgniłego mięsa – odezwał się Jakub. – I co niby mam z nią zrobić? Przecież nie mogę oddać do utylizacji.

Żniwiarz zmarszczył brwi niepewny, o co chodziło.

– Ja... nie wiem... zakop?

Mężczyzna chciał chyba kontynuować tyradę, ale musiało do niego właśnie dotrzeć, że Feliks wcale nie przyszedł w sprawie truchła.

– Co się stało? – Emilia wstała zza stołu. Jej ręce zaczęły się trząść, oczy zrobiły się wielkie.

Szybko zorientowała się, że Feliks przyszedł z najgorszymi wieściami, jakich mogli się spodziewać. Robił to już po raz drugi, tak jakby powinien mieć wprawę, ale nic nie jest w stanie przygotować człowieka na rozmowę o śmierci dziecka z jego rodzicami. Tak niedawno ją odzyskali, przyzwyczaili się do jej nowego ciała, zaakceptowali ją, a teraz znów musieli się z nią pożegnać.

– Gdzie ona jest? – zapytała Emilia łamiącym się głosem. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Na cmentarzu żniwiarzy – odparł Feliks, patrząc w bok.

Kobieta prychnęła. Doskonale wiedziała, co znaczy ta szumna nazwa.

– Co ty robisz? – zapytał jej mąż, kiedy chwyciła swoją torebkę. Wciąż stał na środku pokoju w szoku, niezdolny do żadnego ruchu.

– Wybieram się do córki, pożegnać ją, jak należy.

Feliks nabrał powietrza w płuca i położył dłoń na jej ramieniu.

– Jej ciało znajduje się na cmentarzu w Wiatrołomie – powiedział dobitnie. – Tam możesz zanieść kwiaty.

Emilia spojrzała na niego z wrogością. Uniosła pięść i uderzyła go w klatkę piersiową.

– Dlaczego jej nie pilnowałeś?! – wybuchnęła. – Dlaczego jej nie uratowałeś?!

Spuścił głowę, pokornie przyjmując kolejne ciosy. Tak, to wszystko było jego winą.

– Przepraszam – odezwał się cicho.

Emilia zaniósła się szlochem i oparła czoło o jego ramię. Delikatnie ją objął.

Jakub osunął się na kanapę i ukrył twarz w dłoniach.

– Czy kiedykolwiek wróci? – zapytał zdławionym głosem.

Emilia opanowała płacz i spojrzała wyczekująco na żniwiarza. Tak bardzo chciał dać im pocieszającą odpowiedź, powiedzieć, że wszystko jest możliwe... Ale przecież sam w to nie wierzył.

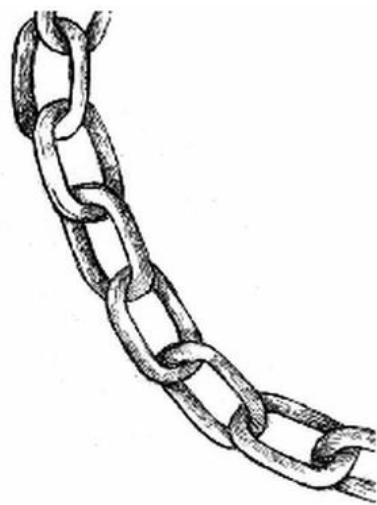
– Nie sądzę – westchnął.

Kobieta na sztywnych nogach podeszła do męża i usiadła na kanapie. Jakub zacisnął dłoń na jej szczupłych palcach. *Dopóki są razem, przetrwają*

wszystko – przemknęło Feliksowi przez myśl.

I razem będą się łudzić, że ich córka ma jeszcze szansę na powrót.

Rozdział 5



Magda otworzyła oczy. Pierwsze, co zobaczyła, to gęsty baldachim dębowych liści, przez który prześwitywało błękitne niebo. Leżała na miękkim mchu, wyraźnie czuła go pod dłońmi. Jakiś korzeń uciskał ją w plecy. Przez dłuższy czas usiłowała zebrać myśli. Gdzie była? Co się stało?

A potem napłynęły wspomnienia.

Raptownie poderwała się do pozycji siedzącej i zaczęła wodzić palcami po brzuchu i klatce piersiowej. Kiedy nie wyczuła żadnych ran, sięgnęła za plecy. Powinny tam się znajdować dziury po długich, ostrych pazurach demona, lecz skóra pod koszulką była gładka.

Gdy tylko zamknęła powieki, widziała przerażenie w oczach Sebastiana, w uszach wciąż pobrzmiwał jej krzyk Tosi. Czuła pazury rozdzierające jej ciało, zagłębiające się w serce i płuca. Jej dłonie i stopy wciąż były lodowato zimne.

Zginęła. Na pewno. Czegoś takiego nie można przeżyć.

Jednak czy to możliwe, aby znalazła nowe ciało?

Spojrzała na swoje dłonie. Nie rozpoznawała ich. Długie palce miały inny kształt, niż zapamiętała. Skóra była bledsza. Dotknęła opuszkami własnej twarzy. Była inna, miała delikatniejsze rysy niż ta, która niegdyś należała do Oliwii. Mniej wydatne kości policzkowe, mały nos i węższe usta. Przeczesała palcami włosy, znacznie krótsze i o ciemniejszym odcieniu. Długi jasny warkocz zniknął.

Poderwała się na równe nogi. Prawdopodobnie nie była już taka wysoka ani tak bardzo chuda. Zatęskniła za ciałem Oliwii, które nadawało się na wybieg dla modelek. Jednak już po chwili doceniła nowe – silne

ramiona, umięśnione nogi.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że jeżeli bezgłowy demon ją zabił, już nic nie stało pomiędzy nim a Tosią i Sebastianem. Magdę zdjął paniczny strach. Wybiegła z cienia rzucanego przez stary dąb i się rozejrzała. Otaczały ją łąki porośnięte trawami i kolorowymi kwiatami falującymi na delikatnym wietrze. Dalej ciemnił się gęsty las. Po błękitnym niebie leniwie sunęły małe, białe obłoki. Słońce wisiało wysoko na firmamencie.

Był dzień. Diabli wiedzą który. A co, jeśli znów szukała ciała przez rok?!

Uniosła do ust pięść i zacisnęła na niej zęby. Czy jej siostra i kuzyn mieli jakąkolwiek szansę na przeżycie? Może Feliks wrócił szybciej do domu? Albo Adrian przyszedł im z pomocą?

W gardle zaczęła dławić ją wielka gęstwa. Jak mogła być tak nieostrożna? Jak mogła tak łatwo dać się zabić?!

Uspokój się! – nakazała samej sobie. Tak, jak zrobiłaby to kiedyś, kiedy była jeszcze zwykłym człowiekiem. *I weź się w garść. Cokolwiek się zdarzyło, już po wszystkim.*

– Teraz muszę ich tylko odszukać. – Sama zdziwiła się, jak spokojny był jej ton.

Zawróciła pod drzewo. Jej nowe ciało jakoś musiało umrzeć. Z pewnym niepokojem znów powiodła wzrokiem po okolicy, tym razem rozglądając się za mordercą, jednak była sama.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżała, mech był nieco wgnieciony, lecz nie znalazła tam nic – ani narzędzia zbrodni, ani choćby kropli krwi. Może to było samobójstwo? Jednak nie było tam też żadnego

opakowania po tabletkach, żyłki, niczego, co wskazywałoby na rodzaj zgonu.

– No przecież nie mogła ot tak usiąść sobie pod drzewem i umrzeć – rzuciła głośno.

Nagle spłynęła na nią lodowata świadomość, że niczego nie pamięta. Miała obce ciało, ale nic o nim nie wiedziała. Nie miała żadnych wspomnień ani o śmierci, ani o życiu. Miała jakąś rodzinę? Skąd pochodziła? Gdzie mieszkała? Ile miała lat?

– Jak miała na imię? – szepnęła.

Totalna pustka w głowie, co jeszcze bardziej ją zmartwiło. Potrafiła dotrzeć tylko do własnych wspomnień. Przecież gdy znalazła ciało Oliwii, od razu wiedziała o niej prawie wszystko. Co prawda mieszało jej się to z jej własną śmiercią, ale nadal czuła ból każdego dźgnięcia ostrym nożem. Oczyma wyobraźni widziała twarz mordercy.

Potrząsnęła głową. Może to ciało było uszkodzone w taki sposób, że nie udało jej się naprawić wszystkiego? Może postradała zmysły?

Serce zaczęło jej bić w przyspieszonym tempie. To nie było normalne. Tak nie powinno się stać. Przecież żniwiarze już nie wracają. Tylko jakim cudem znów jej się to udało?! A może stała się już demonem?! Tak jak mówił Pierwszy...

Usiadła na mchu i wyrównała oddech.

Czy czujesz nieodpartą chęć rozerwania komuś gardła? – zabrzmiały jej w głowie słowa Feliksa. *Albo może wypita byś szklaneczkę ciepłej krwi?*

Pomysł ten wydał jej się tak samo odpychający, jak w przeddzień jej śmierci.

A może tylko wydaje jej się, że jest człowiekiem, a tak

naprawdę stała się jakąś zmorą czy czymś jeszcze gorszym? Nigdy nie zastanawiała się nad tym, co mogły myśleć demony.

– Bez sensu – rzuciła. – Muszę się ogarnąć.

Spojrzała na siebie. Była ubrana w bawełnianą bluzkę z krótkim rękawkiem, rozpinaną bluzę, czarne spodnie, a na nogach miała wygodne trampki. Dzięki Bogu, że nie miała spódnicy i szpilek, tak jak ostatnio. Wyjęła na mech zawartość kieszeni. Znalazły się tam zapalniczka, kawałek sznurka i jakiś wyblakły papierek. Nie za dużo. No i nie dowiedziała się nic o poprzedniej właścicielce swojego nowego ciała. Szkoda, że nie miała telefonu. Za to do paska była przytroczona pochwa z nożem. Był dobrze naostrzony, a rękojeść przypomniała jej własny nóż, ale przecież kupiła go kiedyś w sieciówce. Nie ona jedna miała ten model.

– A więc jaki mam plan? – zapytała na głos, dodając sobie otuchy.

Najpierw trzeba dowiedzieć się, gdzie jest, potem pożyczyć bądź ukraść telefon i zadzwonić do Feliksa.

Wyszła spod drzewa i zaczęła nasłuchiwać. Miała nikłą nadzieję, że usłyszy szum samochodów albo ludzkie nawoływania, jednak polana musiała być znacznie oddalona od cywilizacji.

– Nic to – westchnęła. – W końcu trafię na jakichś ludzi.

Ruszyła w losowo wybranym kierunku.

¢

– Martwię się o niego. – Tosia potarła dłońmi ramiona,

jakby było jej zimno.

– Jest w żałobie – odparła Klara.

– Ja też – burknęła nastolatka, gniewnie krążąc wokół starej studni.

Jej koleżanka uciekła wzrokiem w bok. Kiedy Feliks i Tosia opuścili cmentarzysko zwierząt, na dziewczynę spłynął dziwny spokój. Wciąż czuła ból rozrywający serce, ale przecież już raz przez to przechodziła. Jednak tym razem wiedziała, co stało się z ciałem jej siostry, wreszcie mogła je należycie pożegnać. A Magda, jej przyszywana siostra... *Wróci, na pewno wróci* – przekonywała samą siebie. Nie знаła zbyt wielu żniwiarzy, ale spędziła wystarczająco dużo czasu z Pierwszym, żeby odkryć, że uważał Magdę za kogoś szczególnego, kogoś, kto przeżyje własną śmierć, choć zdawało się to już niemożliwe.

– Tylko że ja nie jestem żniwiarzem i nie mam na głowie całego miasta do uratowania! – wybuchnęła. – A on co robi?! Chleje!

– Czuł się za nią odpowiedzialny – zauważył cicho Sebastian, który też uważał się za winnego śmierci swojej kuzynki. A to, że nikt nie zamierzał go o to oskarżyć, wcale nie poprawiało mu humoru.

– Trzeba mu to zabrać! – Tosia oskarżycielsko skierowała palec w kąt ogrodu, gdzie pod drzewem siedział Feliks i opróżniał drugą butelkę domowego wina.

Adrian złapał dziewczynę za rękę, a kiedy skierowała na niego rozzłoszczone spojrzenie, pokręcił głową.

– Daj mu jeszcze czas. Do wieczora kilka godzin...

– Ale trzeba wymyślić jakiś plan! Jak walczyć z demonami, jak ratować ludzi!

– Jeden żniwiarz nie zabije wszystkich demonów – przyznała cicho Klara. – Oni walczą z wiatrakami. Dlatego giną...

Zrezygnowana Tosia opadła na gruby pień i oparła brodę na dłoniach.

– Zginiemy, wszyscy zginiemy – westchnęła.

Sebastian otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale uniosła palec wskazujący i spojrzała na niego wrogo.

– Nawet się nie waź wspominać o odsyłaniu mnie do domu! – zagroziła, po czym bliźniak zamknął usta.

Poprzedniego dnia dzwoniła do rodziców. Byli cali i zdrowi; zmartwili się, kiedy usłyszeli o wicherze, ale byli przekonani, że to tylko zwykłe zjawisko pogodowe. U nich nawi się nie pojawili.

Klara westchnęła ciężko. Feliks w oddali właśnie sprawdzał, czy coś wycieknie z pustej butelki, a gdy okazało się, że nie, odrzucił ją i sięgnął po kolejną.

– Skąd on je w ogóle bierze?

– Nie wiem, ale na wszelki wypadek zamknąłem piwnicę – powiedział Adrian.

– Głupi jesteś?! – Brat uderzył go w ramię. – Przecież on tam ma broń na demony!

– A wygląda, jakby zaraz miał się poderwać do walki?

Cała czwórka niechętnie pokręciła głowami. Podupadli na duchu. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Nagle usłyszeli trzaśnięcie zamykanego okna.

– Co to? – Tosia podskoczyła.

– Babcia chyba podsłuchiwała – wyjaśnił zrezygnowanym tonem Sebastian.

Szła przez cały dzień. Bolały ją już nogi, męczyło pragnienie, w brzuchu wciąż burczało. Jakim cudem jeszcze nie trafiła na żadną drogę? Na ani jeden znak obecności innych ludzi? Miała wrażenie, jakby znalazła się w bezkresnej puszczy.

Stała przed niewielkim strumykiem wijącym się między drzewami. Woda zdawała się czysta, a Magdzie tak bardzo chciało się pić. Do tej pory wciąż rozglądała się za jakąkolwiek porzuconą puszką, żeby w niej przegotować wodę. Mogłaby zrobić to nawet w plastikowej butelce, ale najwyraźniej w okolicy byli sami porządni ludzie, którzy nie zaśmiecają lasu. O ile w ogóle ktoś mieszkał w tej puszczy.

– Mam to gdzieś – burknęła, pochylając się nad strumykiem. – Najwyżej się pochoruję, umrę i znajdę sobie inne ciało, w jakimś dogodniejszym miejscu.

Bo nie wątpiła już w to, że wróci. Może pozostali nie wracali, ale ona w końcu była inna. A po całym dniu łążenia po lesie czuła nowe ciało całą sobą. Ból w nogach, w poranionych przez buty stopach, głód i pragnienie. Złożyła dłonie, nabrała w nie wody i zbliżyła je do ust. Ani pierwszy, ani kolejny łyk jej nie zaalarmował. Woda była zimna, ale i dobra. Kilka chwil trwało, zanim dziewczyna wreszcie ugasiła pragnienie.

Wierzchem dłoni wytarła usta i usiadła na ziemi, opierając się plecami o pień drzewa. Niebo pociemniało, słońce skryło się za horyzontem, a Magda nie była ani odrobinę bliżej odkrycia, w jakim miejscu się znalazła, ani nawet jaki był dzień.

Zapatrzyła się na liście wysoko nad głową. Były ciemnozielone, co sugerowało lato. Poza tym Magda

miała wrażenie, że od chwili, kiedy obudziła się w nowym ciele, minęło wiele godzin, co również wskazywało na tę samą porę roku. Czerwiec? A może lipiec? W sumie mógłby być też sierpień. Trudno jest stwierdzić coś takiego, gdy zostaje się brutalnie wyrwanym z własnego ciała i rzuconym Bóg jeden wie gdzie.

Ile czasu minęło? Kilka dni? Może nawet lat?

Westchnęła ciężko i wstała z ziemi. Pora poszukać miejsca na schronienie.



Janina doskonale wiedziała, jak to jest być w żałobie. Jak to jest stracić kogoś bliskiego. Jak człowiek się czuje, stojąc nad grobem własnego dziecka...

Wiedziała również, że ten przekłety Wiatrołom stał się epicentrum demonicznych ataków, i nie mogła pozwolić, aby jedyny żniwiarz w okolicy zachlał się do nieprzytomności.

Bojowym krokiem wymaszerowała z domu, okrążyła budynek i minęła swoich wnuków wciąż debatujących z dziewczynami. Karki jak u byka, łapska jak łopaty, a bali się podejść do niewielkiego pijanego chłopaka. Niemal słyszała, jak cała czwórka wstrzymała oddech, kiedy tylko zbliżyła się do Feliksa.

Odkorkował właśnie kolejne wino i zdawał się w ogóle jej nie dostrzegać. Staruszka rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby usiąść. Niestety nic takiego nie znalazła, więc z wielkim poświęceniem usadowiła się z gracją na trawie. Jak nogi odmówią jej posłuszeństwa i nie będzie

mogła wstać, chłopcy ją podniosą.

– Tobie chyba już wystarczy. – Pewnym ruchem wyjęła butelkę z rąk żniwiarza.

Podniósł na nią przekrwione oczy, ale zdawał się w ogóle jej nie widzieć.

I to on ma nas chronić? – przemknęło jej przez myśl. *Boże najdroższy, naprawdę wszyscy zginiemy.*

– Drugi raz ją pochowałem – powiedział w przestrzeń.

– Masz szczęście, niektórzy nie mają nawet jednego razu.

– Musiałem powiedzieć jej rodzicom... – Głos na chwilę uwiązał mu w gardle. – Musiałem powiedzieć Wilkom o śmierci Mateusza. Dlaczego zawsze ja przynoszę złe wieści?

– Bo ktoś musi to robić? A ty żyjesz najdłużej z nas wszystkich.

Nie zareagował, a Janina zmarszczyła brwi. Jej słowa chyba jednak nie pomagały.

– A jeśli już nie chcę? Jeśli mam dość tego wszystkiego? Żniwiarze już i tak są wymarłym gatunkiem.

– Chłopie! Ogarnij się! – Janina chwyciła go za brodę i skierowała jego wzrok na czwórkę siedzącą przy studni. – Magda na pewno by się nie ucieszyła, gdyby usłyszała, że postanowiłeś sobie odpuścić i olałeś jej siostrę, posłałeś na śmierć jej ulubionych kuzynów, zostawiłeś jej... – Staruszka zawahała się. – Kim, u licha, była dla niej Klara?

– Koleżanką ze studiów – wyjaśnił zrezygnowanym tonem.

– No właśnie!

– I tak nie uratuję wszystkich. – Wyrwał brodę z jej

palców i wyciągnął dłoń po butelkę.

Janina straciła cierpliwość. Jedną ręką odwróciła butelkę do góry nogami, wylewając wino, a drugą wymierzyła mu siarczysty policzek. Sądząc po dźwięku, chyba włożyła w niego zbyt dużo siły. Za plecami usłyszała syknięcie dziewczyn.

Feliks przyłożył dłoń do czerwonego śladu na twarzy i przeszył staruszkę spojrzeniem pustych oczu, a Janina po raz pierwszy w życiu przestraszyła się, że tym razem przeciągnęła strunę.

– Pozbierasz się. Jeżeli nie jesteś w stanie iść, chłopcy zaprowadzą cię pod zimny prysznic, a dziewczyny zrobią coś do jedzenia. – Teraz nie było czasu, aby się wycofywać, więc poszła za ciosem. – Prześpisz się, a w nocy staniesz do walki z demonami, bo od tego, do licha, w końcu jesteś!

Staruszka była wzburzona i jeszcze bardziej przestraszona, niż byłaby w stanie przyznać – na tyle, że bez niczyjej pomocy podniosła się z ziemi i wyciągnęła rękę do Feliksa.

Nastąpiło kilka chwil wahania, ale żniwiarz przyjął jej dłoń, pozbierał się i ruszył do domu. Janina zaś, nieco bledsza niż zwykle, podeszła do swoich wnuków. Patrzyli na nią wielkimi oczami.

– Babcia, ty to masz jaja ze stali – powiedział Adrian, zanim ugryzł się w język.

Staruszka skinęła głową, z godnością przyjmując komplement wątpliwej jakości.

– Myślałam, że on pani odda – dodała Klara.

– A ja już szedłem babcię ratować – zapewnił Sebastian.

– Dobrze, dość obijania się – oświadczyła Janina. – Wy

sprawdźcie, czy wszystkie zabezpieczenia domu z wczoraj się trzymają. – Spojrzała na wnuków. – Ty zrób jakieś konkretne jedzenie dla Feliksa. – Wycelowała palec w Klarę. – A ty idź dopilnować, żeby nie poślizgnął się czasem w wannie i się nie zabił.

– A... ale jak to? – wykrztusiła z siebie Tosia.

– No stań pod drzwiami i nasłuchuj, czy żyje. I znajdź mu jakieś czyste ubrania, bo jego obecne cuchną. No już! – huknęła, po czym cała czwórka ruszyła pędem do domu.

Janina pokręciła głową. Jakim cudem oni wszyscy przeżyli do tej pory bez niej?



Magdę zbudził hałas. Gwałtownie otworzyła oczy i uniosła głowę. Musiało minąć kilka sekund, zanim zdała sobie sprawę z tego, gdzie się znajdowała. Błysnęło, a po niebie przetoczył się grom.

– Bez żartów – jęknęła.

Małe ognisko, które rozpałała przed snem, zgasło dawno temu. Znad gałęzi nie unosił się nawet dym. Dziewczyną wstrząsnęły dreszcze. Noc była bardzo zimna, a ona miała na sobie tylko bluzę, cienkie spodnie i trampki. Leżenie na ziemi w wysokiej trawie również nie pomagało.

Znów błysnęło i na czoło Magdy spadła zimna kropla.

Powiodła wokół wzrokiem. Wciąż była na niewielkiej polance, ale poza tym niewiele widziała, gdyż niebo przysłoniły ciemne chmury. Kilkanaście metrów dalej znajdowała się granica czarnego lasu. Jednak podczas

burzy wołała nie szukać tam schronienia. Zarzuciła na głowę kaptur i usiadła, obejmując ramionami kolana. Pochyliła głowę, zdmuchując kroplę, która zawisała na czubku jej nosa. Pożałowała, że nie ma przy sobie żadnej chusteczki. Nie minęło kilka minut, a przemokła do suchej nitki.

Do rana nie zmrużyła oka. Burza rozszalała się na dobre, co chwilę błyskało i grzmiało. Wiatr szarpał pobliskimi drzewami, pnie skrzypiały głośno, wysoka trawa wokół dziewczyny pochyliła się ku ziemi.

Poranek wstał pogodny – w przeciwieństwie do przemarzniętej Magdy. Wyprostowała się i spojrzała na parującą w słońcu polanę. Nadal żadnych śladów ludzi.

Mogła ruszyć naprzód i szukać jakiejś wsi, gdzie zdobyłaby ubrania i jedzenie, lub też rozpalić ognisko, ogrzać się i wysuszyć. Jeszcze wczoraj spieszyła się do domu, ale myślała, że droga zajmie jej góra dwa, trzy dni. Teraz nie była już pewna niczego.

Wszystko wokół było wilgotne, a zapalniczka zaczęła szwankować, więc wzniesienie choć niewielkiego płomienia trwało mnóstwo czasu. Lecz gdy tylko poczuła ciepło płynące od ogniska, humor nieco jej się poprawił. Wysuszyła ubrania i buty. Wciąż jednak była głodna.

– Ciekawe, ile czasu musi minąć, zanim zacznę jeść robaki? – zastanowiła się na głos.

Podniosła spory kamień i spojrzała na dwie wijące się dżdżownice. Ponoć trzeba było mocno ścisnąć je palcami i przeciągnąć nimi wzdłuż całego ciała robaka, żeby wycisnąć z niego zawartość wnętrza.

– Niedoczekanie! – burknęła, odkładając kamień na miejsce.

Przecież dziś musi trafić na jakąś wioskę!

Wróciła do strumyka i zaczęła iść wzdłuż niego. Po jakiejś godzinie dostrzegła w oddali zielony dywan utkany z krzewów jagodowych upstrzonych ciemnymi owocami.

– Lepszy byłby schabowy, ale co tam... – stwierdziła, jedząc.

Wkrótce jej palce były ciemnofioletowe, a żołądek choć odrobinę zapełniony. Jeszcze nigdy nie widziała tak dużych jagód.

– Ludzie tu nie łążą i ich nie zbierają – oceniła.

Szkoda tylko, że były praktycznie bez smaku, ani kwaśne, ani słodkie. Może to wina zbyt częstych deszczy? Po chwili znalazła roślinę, której nie potrafiła nazwać, zerwała jeden duży liść i nazbierała do niego owoców na później.



Podporucznik szedł szkolnym korytarzem, głośno tupiąc. Nacisnął klamkę i bardzo powoli otworzył drzwi. Chciał dać swoim żołnierzom czas na pochowanie butelek z alkoholem. Na takich akcjach wszyscy pili, żeby się odstresować czy łatwiej zasnąć. Tym bardziej że choć usuwanie wiatrołomów z miasta i okolic jest ciężkim, ale w miarę spokojnym zajęciem, w tej dziurze panowała bardzo napięta atmosfera. Krążyły też najróżniejsze plotki dotyczące zgonów. Jednak podporucznik był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi i w przeciwieństwie do swojego młodszego brata, który wszędzie doszukiwał się drugiego dna, wiedział,

że najbardziej szokujące wydarzenia najczęściej miały bardzo przyziemne wytłumaczenie.

O dziwo, gdy mężczyzna wszedł do klasy, nie dostrzegł żadnych gwałtownych ruchów sugerujących chowanie kontrabandy. Żołnierze leżeli na swoich materacach albo siedzieli na ławkach, zbyt zmęczeni, żeby mieć ochotę na wyprawę do sklepu po alkohol.

– Siadajcie – rzucił, kiedy poderwali się równe nogi. – Odwaliliście dziś kawał dobrej roboty.

Młodzi mężczyźni pokiwali głowami, wracając na swoje miejsca.

– Jutro kończymy, pakujemy się na stara i wracamy do jednostki.

– A co z Koniecznym? – zapytał kapral Waszkiewicz.

– A co ma z nim być? Odtransportowali go do szpitala.

– Ale przeżyje?

– Taa... Ma złamaną nogę, pęknięte żebra i kilka guzów. Dlaczego tak bardzo oddalił się od was i polazł sam do lasu?

Żołnierze wymienili się spojrzeniami.

– Bo musiał... iść za potrzebą.

– Ale taki kawał?

– No bo on nie lubi... w towarzystwie.

Podporucznik wzniosł oczy ku sufitowi i pokręcił głową. Będzie się jeszcze musiał grubo z tego tłumaczyć.

– Czy to prawda, że coś go zaatakowało? – zapytał Waszkiewicz.

– Zwierzęta nadal są przerażone po tej wichurze – rzucił wymijająco dowódca. – Lekarz mówił, że ten idiota musiał trafić na jelenia, który tak go poturbował. Zresztą chłopak miał więcej szczęścia niż rozumu. Rogi

takiego jelenia ponoć potrafią przebić człowieka na wylot.

Żołnierze pokiwał głowami. Mimo to podporucznik miał wrażenie, że nie przekonał ich do tej wersji wydarzeń. Oni woleli wierzyć w teorię o jakiejś bestii z piekła rodem, o której krzyczał ranny, kiedy pakowali go do karetki. Dorosłe chłopcy, a zabobonne bardziej niż ich babcie.

– No nic, idźcie spać, bo pobudka o piątej trzydzieści – powiedział na odchodnym.

– Tak jest, podporuczniku – rzucił Waszkiewicz.

Orłowski skinął głową i wyszedł, ciesząc się, że jutro spędzą ostatni dzień na tym wygwizdowie.



Jeszcze chwila i słońce skryje się za horyzontem, a z cienia wypełzną demony. Feliks, idąc szybkim krokiem przez miasto, czuł się zmęczony, ale jeszcze bardziej zdeterminowany.

Wrócił do rodziców Magdy, upewnił się, że ich dom jest dobrze zabezpieczony, że rodzinie, która zatrzymała się u nich, nic nie groziło. Jednak w głębi duszy wiedział, że jeśli zaatakują ich demony, będą bezsilni, tak samo jak reszta mieszkańców Wiatrołomu.

Gdy szedł chodnikiem, mijając prawie identyczne domki, jego uwagę przykuła pewna scena: dzieci ganiające się wokół samochodu, zdenerwowany ojciec pakujący do bagażnika zbyt wielkie torby i matka biegnąca od auta do budynku, prawdopodobnie by sprawdzić, czy wszystko zabrali, czy woda i gaz były

zakręcone...

Cóż, niejedna osoba uciekła z Wiatrołomu w obliczu braku prądu i wody, ale było coś znajomego w sylwetce mężczyzny, w jego ruchach, głosie przywołującym do porządku syna i córkę. A w jego oczach krył się strach. Nie obawa o status życia w mieście po niewielkiej katastrofie, ale pierwotny, prymitywny strach – taki, który ogarniał ludzi stłoczonych ciasno w cuchnącej lepiance, bo wszystko było lepsze niż stawienie czoła czarnej nocy pełnej potworów. Feliks przystanął i zaczął się przypatrywać, a gdy mężczyzna spojrzał prosto na niego, żniwiarz od razu go rozpoznał. Był to policjant, który ubiegłej nocy, ryzykując własnym życiem, usiłował uratować dwie dziewczyny przed demonem. O dziwo wyglądał całkiem nieźle, tylko rękę miał na temblaku.

Mężczyzna zerknął na żonę, która właśnie chwyciła za nadgarstek córeczkę i zaczęła ciągnąć ją do domu, bo ta wsadziła obie rączki w błoto. Przez chwilę policjant wyglądał, jakby podejmował naprawdę trudną decyzję, a potem podszedł do Feliksa.

– Czego chcesz? – zapytał oskarżycielskim tonem.

– Wyjeżdżacie – stwierdził niezbyt rezolutnie żniwiarz.

– Po tym, co widziałem... Muszę zabrać stąd rodzinę.

– Mówiłeś komuś?

Funkcjonariusz prychnął.

– A niby kto by mi uwierzył?

Feliks skinął głową. Gdyby mężczyzna komukolwiek powiedział o tym, co widział, zostałby wyśmiany. Ale też nie zamierzał pozostawać bezczynny i postanowił zabrać rodzinę z miejsca, w którym rozpętało się piekło.

– I pozwalają ci teraz wyjechać? – Miasto było

pogrążone w chaosie, potrzebowało każdego człowieka w mundurze.

– Mam pięć lat zaległego urlopu, głównie kogokolwiek obchodzi, kiedy go wykorzystam. – Jeżeli postawił sprawę na ostrzu noża, może i go wypuścili. A może wcale się tym nie przejmował, bo już nigdy nie chciał tu wracać? – Poza tym mam L4 – dodał, unosząc rękę na temblaku.

– Podaj mi swój numer. – Feliks z przyzwyczajenia wyjął telefon z kieszeni.

– Po co?

– Jakbyś kiedykolwiek znalazł się w tarapatach...

I dopiero kiedy policjant niechętnie dyktował mu ciąg cyfr, Feliks zdał sobie sprawę, że nawet gdyby ten zadzwonił do niego jeszcze tej nocy, żniwiarz nie będzie miał czasu ani możliwości, żeby mu pomóc.

Nacisnął zieloną słuchawkę, a w samochodzie rozległ się dzwonek.

– Tata! – rozdarł się chłopiec. – Telefon!

Feliks się rozłączył. Policjant machnął do syna, że słyszał.

– Dam ci znać, jak to wszystko się skończy – obiecał żniwiarz i natychmiast tego pożałował. Jak śmiał składać jakiegokolwiek obietnice, skoro już tej nocy mógł zginąć?

Mężczyzna w milczeniu skinął głową.

– Wojtek! Jedziemy?! – Jego żona zapakowała właśnie do auta córeczkę i stała niecierpliwie przy drzwiczkach.

Policjant odwrócił się na pięcie i bez pożegnania odszedł.

– Kto to był? – Feliks z daleka usłyszał pytanie jego żony.

– Nikt. Wsiadaj.



Mówią, że człowiek może przeżyć bez jedzenia długie dni.

– Niech sobie sami tak żyją – stwierdziła Magda przy akompaniamencie burczącego brzucha.

Drugi dzień dobiegał końca, a ona zjadła jedynie trochę jagód i malin, piła wodę ze strumienia, wzdłuż którego wędrowała, i wciąż nie spotkała ani jednego człowieka.

– Gdzie są grzybiarze, jak ich człowiek potrzebuje? – zapytała w przestrzeń. – Albo myśliwi? I gdzie ja, do cholery, jestem?!

Ostatnie zdanie wykrzyczała w stronę nieba i gęstych koron drzew.

Jej nowe ciało zdawało się silne i wysportowane, ale tak naprawdę czuła się słaba. Nogi się pod nią ugięły z bezsilności i osunęła się na ziemię usłaną zeszłorocznymi liśćmi. Tuż nad nią rozległo się krakanie. Uniosła wzrok na wielką siwą wronę.

– Czego chcesz?! – krzyknęła do ptaka, ale ten, wcale niezrażony, dalej krakał donośnie, więc rzuciła w niego kamieniem, aż oburzony zerwał się z gałęzi i odleciał.

Wiedziała, że w końcu musi spotkać ludzi. Ale gdzieś z tyłu głowy wciąż pojawiała się ta natrętna myśl, że wylądowała w obcym kraju, w jakiejś nieprzebytej puszczy, i prędzej umrze z głodu, niż trafi do jakiegokolwiek wsi czy miasta.

– Buk, sosna, brzoza, jeżyna... – wymieniła na głos,

patrzac na rosliny najblizej niej. – Twojej nazwy nie znam. – Przymruzyła oczy, wpatrując się w rozłożysty krzew. – Ale jestem prawie pewna, że rośniesz w polskich lasach. Poza tym to się nie zdarza, żeby żniwiarz wylądował za granicą.

Nie zdarza się, że żniwiarz morduje żniwiarza. Nie zdarza się trzynasty księżyc. Nie zdarza się żniwiarz o duszy demona... – zabrzmiało w jej myślach niczym mantra.

Ze złością rzuciła patyk w bystry prąd strumyka.

– A ja myślałam, że to średniowiecze było idealną epoką na inwazję nawich – burknęła.

Żeby zagłuszyć żołądek domagający się jedzenia, napiła się wody. Już nie przejmowała się tym, co w niej mogło pływać i jakie choroby wywołać. Po chwili namysłu zdjęła buty i zanurzyła obolałe stopy w chłodnym nurcie.

– Feliks będzie miał radochę, kiedy usłyszy, że się zgubiłam w lesie – powiedziała do siebie.

Starła się nie myśleć o tym, że jej wujek może już dawno nie żyć. Druga noc trzynastego księżyca była ciężka. Ona sama zginęła. Co, jeśli Feliks również nie przetrwał? Poczwała lodowaty dreszcz na całym ciele na samą myśl o jej bliskich samotnie stawiających czoła nawim. O Tosi i Sebastianie ginących w szponach tego przeklętego demona, który żył nawet po obcięciu głowy.

Jej oczy się zaszklily. Zamrugala, odpędzając łzy. Wyjęła stopy z wody i pomachała nimi w powietrzu, żeby je osuszyć.

Co, jeśli od tamtej nocy minęło kilka lat i demony zabiły wszystkich ludzi na ziemi? A ona była ostatnim człowiekiem? – pomyślała, zerkając na własne ciało.

Zabił ją nawi, dlatego nigdzie w pobliżu miejsca jej śmierci nie było narzędzia zbrodni...

Jednak nic nie tłumaczyło utraty wspomnień ciała.

Przymknęła oczy, na próbę przywołując w pamięci obrazy swojej rodziny, Wiatrołomu, bliskich Oliwii... Wszystko było w jej głowie, nie zapomniała niczego ważnego.

– Powiedz mi chociaż, jak miałaś na imię – poprosiła.

Nic. Pustka. Tak jakby to ciało od zawsze należało do niej. A przecież było inne. To nie były jej ręce i dłonie ani nogi. Odbicie jej twarzy w strumieniu było bardzo niewyraźne, ale i tak wiedziała, że było ono obce.

Wieczorem dostrzegła między drzewami srebrzyste refleksy. Z trudem przedarła się przez gęste jeżyny i stanęła na brzegu jeziora. Jasnozielone trzciny zaszumiały na lekkim wietrze. Kilka olchowych liści zawirowało w powietrzu i spokojnie osiadło na błyszczącej od słońca tafli. Powietrze pachniało lasem i mułem.

Magda uśmiechnęła się do siebie. Nad wodą prawie zawsze mieszkali ludzie, może gdzieś na brzegu ktoś biwakował lub łowił ryby. Zaczęła nasłuchiwać. Liczyła, że zaraz usłyszy odległe szczekanie psa, nawoływania, warkot samochodu lub traktora. Przecież dźwięk niesie się daleko po tafli.

Nic. Tylko szum drzew, bzyczenie owadów, plusk ryby w wodzie.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że czegoś jej brakuje. Co prawda wzrokiem sięgała tylko części jeziora, a jego reszta ginęła za zakrętem, ale nigdzie nie dostrzegła ani jednego pomostu, ani jednej kładki. Tak jakby żaden człowiek nie dotarł do tego miejsca. A może

znalazła się w jakimś rezerwacie? Albo parku krajobrazowym?

Jednak nawet w takim miejscu musiały istnieć drogi lub chociażby ścieżki prowadzące do wody. Niestety zapadł już zmierzch, a bała się, że nawet jeśli trafi na jakieś ślady ludzkiej obecności, w ciemnościach je przegapi. Rozpaliła więc ognisko niedaleko brzegu i znów poszła spać z pustym brzuchem.

Wstała z samego rana. Była głodna, zmarznięta i zmęczona, miała serdecznie dość tego wszystkiego, lecz mimo to zebrała w sobie siły i ruszyła wzdłuż brzegu.

Jeziro okazało się znacznie większe, niż przypuszczała. Rynnowe, podłużne niczym rzeka, kusiło orzeźwiającą kąpielą w szmaragdowej wodzie. Otaczały je wysokie zalesione zbocza, wyglądające, jakby nigdy nie dotknęła ich ręka człowieka.

Godzina marszu i ani śladu wsi czy drogi. Dwie godziny i Magda prawie zgubiła buty w niewielkim bagienku, bo nie chciało jej się go okrążyć. Trzy godziny i nadal żadnego dźwięku sugerującego, że ktokolwiek przebywa w okolicy, za to chaszcze nad wodą stały się tak gęste, że dziewczyna wyszła z nich cała podrapana. Cztery godziny i wróciła do miejsca, z którego wyruszyła.

– To jest przecież niemożliwe! – powiedziała łamiącym się głosem i usiadła z rezygnacją na trawie. Tak wielkie, piękne jezioro i nikt oprócz niej się tu nie zapędził.

Położyła się na ziemi, rozrzucając szeroko ramiona. Pomiedzy liśćmi widziała błękitne niebo, upstrzone białymi chmurkami. Pewna myśl przeleciała jej przez głowę. Do tej pory nie patrzyła zbyt często w niebo, ale

ani razu nie dostrzegła białych smug, jakie ciągną się za samolotami. Jak często widywała je wcześniej? Nie miała pojęcia. Należały do grona tych rzeczy, które przyjmuje się do wiadomości bez większego zastanowienia.

Magda poczuła suchość w ustach. Jej myśli znów krążyły wokół bardziej doczesnych spraw – długa wędrówka nadszarpnęła jej siły i choć żołądek przestał domagać się jedzenia, pragnienie dopadło ją ze zdwojoną mocą.

Wiedziała, że w jeziornej wodzie mogły znajdować się bakterie wywołujące co najmniej rozstrój żołądka, ale była zbyt zmęczona trzydniową głodówką i niepewnością co do przyszłości. Zdjęła buty, podwinęła nogawki, weszła do jeziora i napiła się, a woda zachlupotała jej w żołądku.

Wyprostowała się i rozejrzała. Na razie słońce przyjemnie przygrzewało, wieczorem miło jednak byłoby wypić coś ciepłego.

Tylko w czym zagotować wodę? Przez całą drogę rozglądała się za porzuconą butelką lub puszką, lecz nie znalazła nic. Dlaczego nigdy nie zainteresowała się choć pobieżnie surwiwalem? Wszyscy mówią, że w polskich lasach późną wiosną i latem jest mnóstwo pożywienia, można przeżyć wiele dni, tylko kto potrafiłby powiedzieć Magdzie krok po kroku, co zrobić w takiej sytuacji, gdy ma się jedynie nóż i zapalniczkę?

W szuwarach rozległ się plusk. Dziewczyna ze złością rzuciła tam kamieniem.

– Zamknij się! – krzyknęła.

Jeszcze będziesz się z tego śmiać, zobaczysz – spróbowała przekonać samą siebie, żeby nie zacząć wyc

z wściekłości.

– Na co dzień zabijam demony – odezwała się po chwili pewnym głosem. – Nie padnę tu z głodu.

Jej wzrok padł na przewróconą brzozę, a w głowie zaczął się klarować pewien pomysł. Znalazła najgrubszą ułamaną gałąź i zaczęła w niej dłubać nożem. Do kieszeni schowała garść cienkich niczym pergamin zwitków białej kory. Po dwudziestu minutach straciła zapal. Wgłębienie pomieściłoby zaledwie kieliszek wody, nie wspominając nawet o możliwości zagotowania jej.

Magda zmarszczyła brwi. Musiała znaleźć bardziej wydajny sposób, bo do nocy się nie wyrobi.

Przy brzegu jeziora ułożyła okrąg z kamieni, przywlekła z lasu trochę grubych gałęzi, po czym w miarę możliwości je połamała. Nazbierała suchego igliwia, cienkich gałązek i za pomocą brzozowych zwitków oraz zapalniczki rozpałała ognisko. Poczekwała kilka minut, a potem dwoma patykami przeniosła kilka żarzących się drewniek do swojej „miski”. Żar zaczął powoli wypalać coraz większą dziurę. Magda, wciąż na niego dmuchając, zaczerwieniła się na twarzy, z jej oczu poleciały łzy od dymu. Gdy się wyprostowała, aby złapać oddech, przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. Delikatnie odłożyła gałąź na ziemię, zerwała się na równe nogi i pobiegła kilkanaście metrów dalej, gdzie na niewielkiej łączce rósł dziki koper. Zerwała ususzoną łodygę, kilka razy w nią dmuchnęła, sprawdzając, czy jest pusta, i z uśmiechem zadowolenia wróciła do ogniska. Teraz wypalanie gałęzi szło o wiele sprawniej.

Dwie godziny później okrągła dziura w niej mogła pomieścić prawie litr płynu. Magda umyła zwęglone

drewno w jeziorze, nabrała wody i usiadła przy ognisku. Patykami wyjęła z ognia kamień i włożyła go do „miski”. Woda zbulgotała, po czym natychmiast się uspokoiła. Magda ostrożnie włożyła w nią palec. Była ledwie letnia.

– Jest dobrze – powiedziała do siebie dziewczyna przekonującym tonem.

Dzięki nieustannemu zmienianiu rozgrzanych kamieni udało jej się zagotować wodę. Była brudna i mętna od popiołu. Magda dorzuciła do niej kilka młodych gałązek świerkowych, bo kiedyś słyszała, że mają dużo witaminy C.

Ostatecznie napój smakował popiołem i żywicą, a do tego był kwaśny. Jednak wypełniał żołądek. Do zachodu została jeszcze co najwyżej godzina. Nie było już sensu dokądkolwiek iść.

Magda w znacznie lepszym humorze stanęła nad brzegiem. Z daleka widziała błyskające na srebrno boki ryb, a na samą myśl o nich pociekła jej ślinka. Jednak w życiu nie łowiła gołymi rękoma. Czy to, że była żniwiarzem, mogło pomóc? Była wystarczająco szybka?

Jak się okazało chwilę później, nie była. Zabrakło jej umiejętności. Gdy po raz chyba setny musnęła koniuszkami palców śliskie łuski, ze złością uderzyła dłonią w powierzchnię wody. Miała wrażenie, że herbatę piła całe lata wcześniej.

Wyszła z wody, ubrała się i z nadzieją przeczesła wzrokiem wysokie olchy. Jeżeli ktokolwiek kiedykolwiek łowił tu ryby, istniała niewielka możliwość, że zaczepił żyłką o gałęzie i nie chciało mu się jej zdejmować. Do tego wystarczyłyby już tylko giętki, długi patyk i robak, a na kolację Magda zje pieczoną rybę.

– Mam cię – szepnęła, gdy coś kolorowego mignęło

wysoko między gałęziami tuż przy pniu.

Ugięła nogi, wybiła się i wyskoczyła wysoko, chwytając się najniższych konarów. Z trudem się podciągnęła, zarzuciła nogę na gałąź i przykucnęła na niej. Czyżby głód aż tak nadwerżył jej siły, że wejście na drzewo sprawiało jej problem? Dysząc ciężko, pięła się dalej. Co prawda straciła blaszkę bądź spławik z oczu, ale pamiętała, gdzie mniej więcej był zawieszony, aż dotarła do...

– No żeż...

Tuż przed nią delikatnie powiewało kolorowe piórko, które zaczepiło się o korę.

– Dlaczego? – jęknęła, biorąc piórko w rękę.

Miała ochotę płakać. Gdy zeskoczyła z ostatniej gałęzi na ziemię, powstrzymała łzy i wrzasnęła ze złością.

W jednym krzyku zawarła cały swój strach o rodzinę i wściekłość na miejsce, w którym wylądowała. Gdzieś z szuwarów wystartował przestraszony perkoz. Po chwili zamilkła i zaczęła nasłuchiwać. Istniała nikła szansa, że ktoś ją usłyszał i może coś odkrzyknie. Jednak okolica nadal milczała. Oprócz plusku wody i szumu tataraku Magda nie słyszała nic.

Znów przyciągnęła z lasu drewno na opał, a gdy zaszło słońce, umęczona i głodna usiadła przy ognisku. Długi czas wpatrywała się w płomienie. Żeby dodać sobie otuchy, spróbowała zanucić jakąś piosenkę, ale jej głos tak się łamał, że bardzo szybko zamilkła. Dorzuciła do ognia, wzięła pod głowę chudy pień i położyła się na trawie, wpatrując się w czarne niebo upstrzone zimnymi gwiazdami. Był nów. Kiedyś, jeszcze przed powrotem Pierwszego, noc, gdy księżyc zniknął z nieboskłonu, były bardzo spokojne. Demony jakby

przechodziły w stan uśpienia, a Feliks mógł odpocząć choć przez te trzy doby.

Czy gdyby nie było ludzi, istniałyby demony? – przyszło jej na myśl pytanie Pierwszego, które zadał tak dawno temu.

Nagle Magda poczuła się, jakby krew zamarzła w jej żyłach. Gdyby nie było ludzi...

Odległe gwiazdy mrugały do niej, nieczułe na jej los. Droga Mleczna lśniła tak, jak jeszcze nigdy. *Gdyby nie było ludzi...*

Żniwiarz nigdy nie wie, ile czasu zajmie mu szukanie nowego ciała po śmierci. Ostatnio Magdy nie było prawie rok, ale ona sama miała wrażenie, jakby minęły sekundy od chwili, kiedy zginęła – i już otworzyła oczy w ciele Oliwii. Jak długo teraz jej nie było? Czy to możliwe, że...?

Czy Nija wraz ze swoimi demonami mógł zabić wszystkich na ziemi? A gdy zabrakło ludzi, nawi wyginęli? Czy to właśnie dlatego nie znalazła żadnych śladów? Ile lat musiałyby minąć, żeby wszystkie drogi zarosły, a budynki obróciły się wniwecz? Czy to znaczy, że Feliks, jej rodzice, cała rodzina i przyjaciele nie żyją od dziesiątek, setek lat?

Do oczu napłynęły jej łzy i nawet nie miała siły, żeby podnieść rękę i je otrzeć. Spłynęły po skroniach i zatoneły w gęstych włosach.

– Moje ciało – szepnęła.

Czy zaledwie przed dwoma dniami należało do ostatniej dziewczyny na świecie?

Gałązka w ognisku pękła z trzaskiem, a ona znów zatęskniła za Mateuszem. Sama jego obecność dodawała jej siły. Gdy była w jego ramionach, wierzyła,

że razem mogą zwyciężyć wszystko. Teraz on nie żył, podobnie jak jej rodzina, jak Feliks, a Magda była na świecie zupełnie sama.

– Nie – powiedziała stanowczo.

Może i nie miała żadnych wspomnień dziewczyny bez imienia, ale buty, dżinsy i bawełniana bluza nie biorą się z powietrza. Przecież wczoraj wyglądały jeszcze na całkiem nowe. A skoro miała na sobie normalne ubrania, gdzieś musiała być cywilizacja.

Przewróciła się na bok, żeby ogrzać plecy. Dziś zagotowała herbatę w misce z gałęzi, jutro zdobędzie jedzenie, a potem znajdzie innych ludzi.



Wanda w ostatniej chwili ostro skręciła kierownicą. Bokiem samochodu zahaczyła o metalową barierkę; rozległ się nieprzyjemny zgrzyt. Odbiła na drugi pas, o mało nie zderzając się z nadjeżdżającą ciężarówką. Po kilku sekundach grozy udało jej się odzyskać panowanie nad pojazdem. Zjechała w boczną drózkę i zatrzymała się na poboczu, rzucając pod nosem przekleństwo.

– Niewiele brakowało – westchnęła. – Jak zginę, nie pomogę ani Feliksowi, ani Magdzie.

Martwiło ją to, że oboje mieli wyłączone telefony. Co prawda ponoć cały Wiatrołom i okolica nie mają prądu, więc komórki pewnie im się rozładowały, mimo to miała złe przeczucia. Media podawały różne informacje na temat wichury, liczby zgonów oraz ich przyczyn, niektóre wręcz się wykluczały. A to znaczyło jedno –

źniwiarze mylili się co do trzynastego księżyca i śmierci Niji.

Wanda od razu chciała jechać do Wiatrołomu, ale co chwilę coś stawało jej na drodze. Najpierw bezkost... Po walce z nim zostało jej kilka olbrzymich siniaków na żebrach, które bolały przy każdym wdechu. A potem to dziecko... Gdyby na własne oczy nie zobaczyła, jak śliczna dziewczynka o wyglądzie małej królowny Śnieżki zaatakowała dwójkę smarkaczy bawiących się w piaskownicy... Pokręciła głową. Jedna sprawa to zabijać paskudne, krwiożercze demony, a zupełnie inna atakować takiego, który wygląda jak mały aniołek.

Nie spała przeszło dwie doby i choć naprawdę była przyzwyczajona do trudnych warunków pracy, to to, co wydarzyło się ostatnio, mocno nadwątliło jej siły. Odchyliła oparcie fotela i ułożyła się wygodnie. Zdecydowanie potrzebowała kąpieli i porządnego odpoczynku, jednak nie było jej teraz stać na taki luksus. Na jej dłoniach wciąż był zawiązany sznur wisielca, nie miała nawet siły, żeby go zdjąć. Zamknęła oczy. Musiała przespać się chociaż chwilę, bo inaczej nie dojedzie do Wiatrołomu ani nie da rady stanąć do walki z demonami.



Przez całą noc Magda budziła się co chwilę, żeby dołożyć do ognia, a mimo to piekielnie zmarzła – chyba jednak za rzadko wstawiała. Z ulgą, ale i zmęczeniem powitała pierwsze promienie słońca. Tą samą metodą, co poprzedniego dnia, zagotowała wodę, lecz tym razem

wrzuciła do niej kilka pędów pokrzywy. Rozgrzała się, więc humor też nieco jej się poprawił. Za to w brzuchu wciąż burczało.

Nie знаła się na zwyczajach zwierząt ani na polowaniu, więc nawet nie łudziła się, że wyposażona zaledwie w nóż zdoła cokolwiek upolować czy złapać w pułapkę. Będzie za to musiała rozglądać się za gniazdami ptaków na drzewach. Pewnie jest już za późno, ale może jakimś cudem znajdzie jajka. Teoretycznie najłatwiej będzie złowić rybę. Już wiedziała, że łapanie w gołe ręce odpada. A może zrobić dzidę? Tak też pewnie jest trudno. Jej spojrzenie powędrowało po wysokich tatarakach. Da się z nich upleść siatkę – cokolwiek na kształt podrywki?

– Tatarak! – Nagle ją olśniło.

Całe wieki temu widziała jakiś filmik, na którym facet wpięprzał kłacza tataraku.

Bez zastanowienia zrzuciła z siebie ubrania. I tak nie było w pobliżu żywej duszy, więc mogła swobodnie kąpać się nago. Z brzegu wydawało się blisko, ale okazało się, że musiała wejść do wody po pas. Złapała jedną łodygę, zaparła się i... wyrwała kilka liści bez korzenia.

Westchnęła ciężko, zanurzyła się po szyję, wymacała palcami grubą łodygę w mulistym dnie i zaczęła ciągnąć. Czowała, jak ta zaczyna wychodzić z ziemi, napina się do granic możliwości, a potem pęka z podwodnym trzaskiem. Magda wyprostowała się i obejrzała krytycznie korzeń. Oskubała go z zewnętrznej piankowatej warstwy, aż dotarła do białego rdzenia. Nie bez obaw ułamała kawałek i wzięła do ust.

Słyszała, że kłącze powinno być lekko słodkawe – jak świeże nasiona słonecznika. Jednak okazało się zupełnie bez smaku.

– Żadna rewelacja – oświadczyła Magda, ale jej żołądek zaczął upominać się o więcej.

Po kilku minutach zorientowała się, w jaki sposób kłącza rosną w mule i jak najlepiej je wyciągać, aż na brzegu zebrała się duża sterta zielonych liści i brązowo-białych korzeni.

Większość zjadła na surowo, potem spróbowała upiec korzenie na ogniu, ale nabrały łykowatej faktury i gorzej się je przeżuwało. Wypiła resztkę porannej, już zimnej herbaty, a jej żołądek zaczął się buntować i wydawać podejrzane dźwięki.

Przed południem znów spróbowała złapać rybę gołymi rękoma, jednak bez sukcesu. Już miała wyjść z wody, żeby podjąć wyzwanie uplecenia sieci z liści tataraku, gdy jej wzrok padł na ubranie wiszące na gałęzi. Wyskoczyła z jeziora niemal jak oparzona.

Sięgnęła po bluzę, zawiązała rękawy i włożyła w nią dwie gałęzie. W wodzie okazało się jednak, że prowizoryczna sieć spadała z gałęzi przy nawet najmniej próbie poderwania, więc musiała zrobić w niej niewielkie dziurki i przywiązała ją sznurówką.

Po kilku minutach chciało jej się krzyczeć z radości, kiedy złapała kilka malutkich, srebrzystych rybek. Nie miała zielonego pojęcia, jak się nazywały, ale to się nie liczyło. Wyrzuciła je na brzeg, zabiła i wróciła do wody po więcej.

Trzy godziny później jadła gorącą zupę, która cuchnęła rybą, a smakowała jak jezioro. Po posiłku znalazła kilka dżdżownic, zanęciła nimi wodę i przez pół

godziny kusiła dorodnego okonia, aż naiwnie dał się złapać. Oskrobała go, wypatroszyła i upiekła nad ogniem na patyku.

Wrzucając ości do ognia, przypomniła sobie, że kiedyś słyszała o tym, jak to można zrobić z nich haczyk. Nie miała jednak pojęcia, czy akurat te się nadają ani nawet jak się do tego zabrać.

Do wieczora złowiła kilka płotek, upiekła je i odłożyła na później. Pozbierała jeszcze kłaczka tataraku, gdy zaś się ściemniło, z jego liści uplotła krzywy koszyk i włożyła do niego swoje skromne zapasy.

Tej nocy na czarnym niebie zabłysnął chudy sierp księżyca. Magda leżała na plecach, ogień oświetlał połowę jej twarzy i puste oczy zapatrzone w niebo.

– Chciałabym wrócić do domu – szepnęła, choć żadna gwiazda nie spadała.

Znów znaleźć się w Wiatrołomie, ujrzeć znajome i kochające twarze rodziców, Feliksa, Mateusza... Zamrugąła, odpędzając łzy. Mateusza przecież już nigdy nie zobaczy. Nie przytuli się do niego, nie zwierzy mu się z największych sekretów, nie podzieli niepokojem o przyszłość. Gdyby tylko był tutaj z nią... Wszystko byłoby lepsze. Wiedziałyby lepiej od niej, jak poradzić sobie w takiej sytuacji. Zapewniłyby im lepsze jedzenie, pokazałyby, jak przeżyć i do tego nie zwariować.

Pociągnęła nosem. Z żalu, a może z zimna. Nieważne, co myślała kiedyś, nie była samotnikiem, brakowało jej kogokolwiek, do kogo mogłaby się odezwać, kto zapewniłby ją, że nie jest ostatnim człowiekiem na ziemi.

Nagle ciszę nocy rozdarł przeraźliwy wrzask. Trwał i trwał w nieskończoność, jakby obdzierano kogoś

żywcem ze skóry. Magda stężała, nasłuchując, a gdy krzyk się urwał, nadal rozbrzmiewał w jej uszach. Była sama, przestraszona w obcym lesie, ale jeśli gdzieś tam znajdował się inny człowiek, musiała go odnaleźć.

Zerwała się na równe nogi. Upewniła się, czy ma przy pasku nóż, i pędem ruszyła w stronę, skąd – jak jej się wydawało – dobiegał wrzask. Przedzierała się przez gęste krzaki, kolce jeżyn szarpały jej spodnie, cienkie gałązki chłostały po rękach i twarzy.

Po przebiegnięciu kilkuset metrów zatrzymała się. Musiała odetchnąć. Otaczała ją gęsta ciemność, nieprzenikniona nawet dla oczu żniwiarza. Magda widziała zaledwie pnie najbliższych drzew, słyszała bicie własnego serca. Poza tym las spowiła martwa cisza. W powietrzu wisiało napięcie jak przed burzą, miała wrażenie, jakby cały świat wstrzymywał oddech. Wtem rozległ się gwizd, zupełnie obcy i dziwny. Na kilka sekund Magda zupełnie znieruchomiała. Gwizd wydawał się ludzki, zbyt ludzki. Dlaczego tak głupio założyła, że skoro nie spotkała żadnego człowieka, nie natknie się również na demona? Dlaczego jak szalona pobiegła w las, uzbrojona zaledwie w nóż?

Jesteś żniwiarzem – zaczęła przekonywać samą siebie. Zabijasz demony. Tylko po to się urodziłaś.

Gwizd zabrzmiał z zupełnie innej strony. Obróciła się wokół własnej osi. Palce zacisnęła mocno na rękojeści noża. Nie pozwoliła, żeby strach przed nieznanym ją sparaliżował.

Nie jesteś już człowiekiem – powtarzała w myślach niczym mantrę. Jednak świadomość, że była zupełnie sama, zdana wyłącznie na siebie, nie polepszała sprawy. Znów czuła się jak mała, przerażona

dziewczynka, czekająca na ratunek wujka. Tyle że tym razem nikt nie miał przyjść jej z pomocą.

Coś zaszeleściło w koronach drzew. Chciałaby wierzyć, że to tylko sowa, ale wiedziała, że nie może na to liczyć. Znów rozległ się gwizd. Zabrzmiał, jakby ktoś chciał wygwizdać jakąś prymitywną melodię. A może sprawdzić, czy świeżutkie i mięciutkie ludzkie mięso złapało przynętę?

Jak walczyć z nieznanym wrogiem, którego się nie widzi? A może trzeba podkulić ogon i uciec do pozornie bezpiecznego ogniska?

Magda cofnęła się o krok i oparła plecami o gruby pień sosny. Poczowała zapach żywicy i coś jeszcze – coś, czego nie potrafiła nazwać. Wszystkie jej zmysły były postawione w stan alarmowy.

Gwizd, szelest, złamana gałązka i... coś wystrzeliło z mroku wprost na dziewczynę. Zasłoniła się przedramieniem, cięła nożem, lecz trafiła w pustkę. Ból rozbłysnął w niej niczym wybuch. Potrzebowała ułamka sekundy, żeby dojść do siebie. Ciepło spłynęło od jej ramienia do łokcia, poczuła zapach krwi, zamiast jednak uciekać, spięła się. Cokolwiek ją zaatakowało, nie było wielkie. Może było podobne do psa albo małpy. Co z tego, że miało ostre pazury. Bezkost był gorszy, a niejeden raz zdołała przebić jego serce.

– No, chodź tu – szepnęła mściwym tonem.

Miała nadzieję, że stal zabije demona. Ból w ramieniu ją otrzeźwił. Zmysły wyostrzyły się jeszcze bardziej. Słyszała każdy szelest, ugięcie gałązki, cichy oddech przeciwnika, pazury wbijające się w korę drzew.

Błyskawicznie obróciła się wokół własnej osi i wbiła ostrze noża w twarde ciało. Usłyszała skrzek i świst

wciąganego z bólem powietrza. Zalała ją fala satysfakcji. Skoro to coś odczuwało ból, można było je również zabić.

Najpierw usłyszała gwizd, następnie poczuła podmuch powietrza i zanim zdążyła zareagować, coś podcięło jej nogi i z głuchym łupnięciem wylądowała na plecach. Przeciwnik uderzył w nią z siłą, jakiej nie powstydzilby się bezkost. Choć unieruchomił jej rękę trzymającą nóż, Magda z dzikim wrzaskiem zaczęła uderzać go na oślep lewą pięścią. Trafiła w twarde, chropowate ciało i wielką głowę. Przeciwnik zdawał się mieć kilkanaście łap, każda zakończona długimi palcami z ostrymi pazurami. Miażdżący ból w prawym nadgarstku stał się nie do zniesienia. Zaczęła wierzgać nogami. Lewa pięść otworzyła się, palce szukały jakiegokolwiek punktu zaczepienia, aż trafiły na coś miękkiego na pysku intruza. Prawdopodobnie oczy, ale czy to możliwe, aby były aż tak wielkie? Bez zastanowienia wbiła palce w miękką tkankę; coś ciepłego połało się jej na rękę do wtóru dzikiego skowytu. Uścisk na klatce piersiowej zelżał, prawa ręka uwolniła się i automatycznie uniosła, aby wbić nóż w ciało. Jednak znów trafiła w pustkę.

Demon odszedł, chrapliwie pogwizdując. Odpuścił sobie. Zostawił ją w spokoju.

Magda wciąż leżała na ziemi, ze świstem wciągając w płuca powietrze. Wszystko ją bolało. Prawa ręka bezwładnie osunęła się na suche liście, a dziewczyna bała się chociażby poruszyć palcami. Lękała się bólu, a jeszcze bardziej tego, że nie poczuje nic.

Drzewa nad nią zaszumiały cicho, jakby właśnie otrząsnęły się po krwawym widowisku. Życie wokół wróciło do normy.

Nie możesz tu zostać – odezwał się głos w głowie dziewczyny. Wróc do ogniska, tam będziesz bezpieczniejsza.

Chciała mu odpowiedzieć „zaraz”, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Zamiast tego odwróciła się na bok, a potem dźwignęła się na obolałych rękach. Podtrzymując się pnia drzewa, powoli stanęła na nogach, a świat wokół zawirował.

To małe dziadostwo było jeszcze bardziej zażarte niż bezkost, ale pokonała je i teraz zasługiwała na odpoczynek, tylko rzeczywiście musiała wrócić do ogniska.

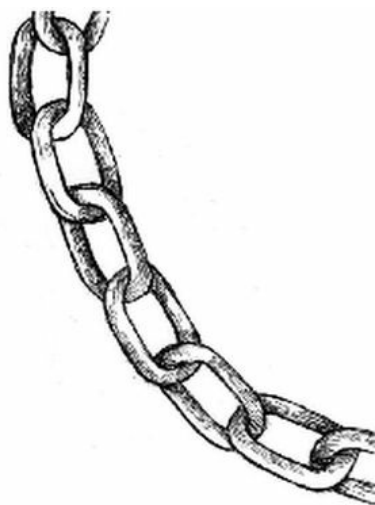
Droga powrotna trwała co najmniej godzinę. Magda była wykończona, co chwilę potykała się i musiała wspierać się o pnie mijanych drzew. Jeżyny bezlitośnie szarpały ją za ubrania.

Wtem między gęstymi krzewami dostrzegła żarzące się gałęzie. Wstąpiły w nią nowe siły. Przyspieszyła kroku i już po kilku minutach osunęła się na trawę przy ognisku. Ciepło i światło dały jej złudne poczucie bezpieczeństwa. Miała wrażenie, że jest cała posiniaczona i zalana krwią. Tak bardzo chciała po prostu się położyć i zasnąć. Mimo to zdjęła z siebie porwaną bluzę. Lewe ramię bolało jak diabli; delikatnie dotknęła go opuszkami palców i wyczuła nierówną powierzchnię, jednak w tych ciemnościach nie miała szans sprawdzić, jak głębokie były rany. Ostrożnie obmyła je wcześniej przegotowaną wodą z jeziora, oderwała mankiet bluzy i przyłożyła go do rany, a potem przewiązała go sznurkiem z tataraku.

Przymknęła oczy ze zmęczenia. Może nazajutrz okaże się, że nie jest z nią wcale tak źle, jak jej się wydaje.

Może następnego dnia znajdzie ją jakiś wędkarz
i kolejną noc spędzi w miękkim, bezpiecznym łóżku...

Rozdział 6



Promienie wschodzącego słońca padły na twarz Magdy, budząc ją z niespokojnego snu. Dosłownie wszystko ją bolało, z jej gardła wydobył się nieartykułowany dźwięk. Tak bardzo chciało jej się pić. Przekręciła się na bok, sięgnęła po pieniek służący za miskę i wypła z niego kilka ostatnich łyków pokrzywowej herbaty.

Podniosła się do pozycji siedzącej i spojrzała na swoje ręce. Prawy nadgarstek był cały siny, ale wymoczy go w chłodnej wodzie i będzie dobrze, taką przynajmniej miała nadzieję. Gorzej było z lewym ramieniem. Prowizoryczny opatrunek z mankietu bluzy był złym pomysłem. Materiał przykleił się do rany i gdy spróbowała go oderwać, odszedł z dopiero co zaschniętymi strupami, a z dwóch podłużnych, głębokich zadrapań na nowo zaczęły się sączyć krew i osocze. Na ten widok zrobiło jej się słabo. Nieraz opatrywała Feliksa, Mateusza czy nawet Pierwszego, ale tutaj nie miała nawet czystej wody, żeby przemyć rany. Przydałyby się stripy albo chociaż żyłka z haczykiem, żeby złapać brzegi rozcięć. Udało jej się jednak nazbierać trochę listków krwawnika, które przyłożyła bezpośrednio do ran. Roślina ta powinna zahamować krwawienie, ponadto miała działanie przeciwzapalne i przyspieszała gojenie.

Na chwiejnych nogach nabrała wody z jeziora, rozpałała na nowo ognisko i z trudem zrobiła sobie herbatę świerkową. Zagryzła ją pieczonymi rybami z tatarakowego koszyka. Dobrze, że przynajmniej powiesiła go na drzewie i nic nie dobrało się do jej zapasów.

Kiedy zjadła, ukryła się w cieniu drzew i poszła spać.

Obudziła się późnym popołudniem, spragniona i głodna. W misce było jeszcze trochę herbaty, ale do jedzenia miała zaledwie kilka kłaczy tataraku. Zbyt mało, żeby napełnić pusty żołądek, a nie miała siły, żeby złowić jakąkolwiek rybę.

Rozebrała się i weszła do wody w nadziei, że może uda jej się zdobyć raka. Nagle nadepnęła na coś ostrego. Z sykiem podniosła stopę, sprawdzając, czy się nie skaleczyła. Na szczęście skóra nie była rozcięta. Czyżby stanęła na jakimś szkle? A skoro było tu szkło, całkiem niedawno w pobliżu musieli przebywać ludzie. Przykucnęła i zaczęła badać opuszkami palców dno. Natrafiła na ostrą krawędź. Zacisnęła na niej dłoń i wyciągnęła na powierzchnię ułamaną muszlę małża.

Przekląła głośno i już chciała rzucić małżem w głębiny, kiedy zdała sobie sprawę, że to przecież mięso. Miała tylko nadzieję, że jadalne. Dość szybko nazbierała więcej zamkniętych muszli i wrzuciła je do gotującej się wody.

– Coś było, że jeżeli wypłyną na wierzch, to są zepsute – powiedziała do siebie, marszcząc brwi nad ogniem. – A może jak się otworzą? Diabli wiedzą...

Ostatecznie wyskrobała patykiem z muszli wszystkie małże i je zjadła. Smakowały jak przeżuta dętka, ale były ciepłe i zaległy ciężko na żołądku.

Kolejną noc spała bardzo niespokojnie. Dręczyła ją gorączka, a w pobliskim lesie wciąż słyszała krzyki i gwizdy i nie miała pojęcia, czy były majakami, czy realnym zagrożeniem.

Księżyc wrócił, a wraz z nim demony – pomyślała sennie, wpatrując się w ciemność.

Następny dzień chciała przevegetować, ale skończyło

jej się drewno na opał i jedzenie. Uplotła spory koszyk z liści tataraku i wrzuciła go do wody jako pułapkę na ryby. Zbierając drewno, natknęła się na krzaczki z jagodami i zapełniła żołądek owocami.

Gdy z trudem wlekła gałęzie do swojego miejsca nad jeziorem, usłyszała szelest w pobliskich świerczkach. Na chwilę zamarła. Potem rzuciła w tamto miejsce niewielki kołek. Gęste gałęzie zatrzęśły się, ale nic więcej się nie wydarzyło. Magda chciała wierzyć, że to tylko jej się wydawało, że od gorączki ma zwidy lub że był to zwykły zając, którego przestraszyła, jednak zmysł zniwiarza podpowiadał jej coś całkiem innego. Od tamtej chwili wciąż miała wrażenie, że coś ją obserwuje, wodzi za nią niezbyt przyjaznym wzrokiem, jakby zastanawiało się, czy ją zabić, czy też zostawić w spokoju.

Wyjęła z wody swoją pułapkę, w którą złapały się dwie małe płotki, i usiadła przy ognisku, żeby załatać w niej dziury. Uparte spojrzenie wciąż wwiercało się w jej plecy. Kilka razy próbowała gwałtownie się odwrócić, żeby przyłapać intruza, lecz nic nie zobaczyła, jedynie przypłacała te próby bólem w ramieniu.

W nocy przyszła taka ulewa, że Magda zupełnie przemokła. Gdy siedziała skulona pod wysoką olchą, trzęsąc się z zimna i przysypiając co chwilę, w ciemnościach błyskały do niej zielonkawe oczy. Bała się, bo nie czuła się dość dobrze, by stawać przeciw potworowi ukrywającemu się w krzakach. Ulewa przybrała na sile, ramię bolało jak diabli, a głowa wciąż opadała jej na klatkę piersiową. Miała już serdecznie dość wszystkiego.

– Zrób coś wreszcie – powiedziała słabo w kierunku

błyszczących oczu, które natychmiast zniknęły. – Albo mnie zabij, albo daj mi spokój!

Oczy znów błysnęły, tym razem znacznie bliżej, a serce dziewczyny podeszło do gardła. Szybko zrejterowała. Tak naprawdę wcale nie miała ochoty stawać się czymkolwiek łupem. Wstała i krzesząc z siebie resztki siły, wspięła się na drzewo. Usiadła na wysokiej gałęzi, stopy postawiła na sąsiadujących konarach i oparła się plecami o pień. Żałowała, że nie miała nawet kawałka liny, żeby się przywiązać. Bała się, że uśnie zbyt mocno, zleci na ziemię i połamie wszystkie kości.

Jednak bestia z krzaków zadbała o to, żeby dziewczyna nie zmrużyła oka. Kiedy tylko deszcz przeszedł w mżawkę, stwór wylazł ze swojej kryjówki i podszedł pod sam pień drzewa. Magda niewiele widziała, jedynie duży, ciemny kształt przemierzający jej małe obozowisko. W końcu bestia straciła zainteresowanie i po prostu odeszła.

Deszcz ustał dopiero nad ranem. Magda z trudem zeszła z drzewa i usiadła na mokrej ziemi, grzejąc się w słońcu. Kichnęła głośno i zaczęła rozglądać się za czymś, co mogło posłużyć za chusteczkę.

– No jasna cholera! – zdenerwowała się po następnym kichnięciu; już czuła nadchodzący katar. – Jak nie urok, to sraczka! – zacytowała ze złością jedno z powiedzonek Feliksa.

Rany na ramieniu wyglądały tego dnia nieco lepiej, choć nadal bolały.

– Nie pożyję za długo, jak będę tkwić w jednym miejscu – podsumowała. – A tym bardziej nie znajdę innych ludzi.

Pozbierała swoje skromne zapasy w postaci kłaczy tataraku oraz kilku pieczonych ryb i ruszyła na zachód. Nie miała zbyt wielkich oczekiwań co do tej podróży, ale ciągły brak dróg i innych śladów ludzkości doprowadzał ją do szału.

– Może naprawdę wywiało mnie do innego kraju? – zastanawiała się, maszerując. – Poznałabym, gdyby rzuciło mnie do Rosji? Prowincjonalna gęś, która nigdy nie wyjechała za granicę! – zezłościła się na siebie.

Koło południa zjadła jedną rybę i zagryzła ją znalezionymi jabłkami. Były bez smaku, ale napełniła nimi swój tatarakowy koszyk i ruszyła dalej. Gdy słońce zaczęło świecić jej prosto w twarz, zmartwiła się, że nie natrafiła jeszcze na wodę. Może nie trzeba było oddalać się od jeziora? Jabłka gasiły pragnienie tylko odrobinę. Jeżeli nie znajdzie żadnego źródła do wieczora, będzie musiała zawrócić.

– Bo przecież marzyłam o całodziennym spacerze – mruknęła, rzucając za siebie ogryzek.

Nagle krzewy, w które trafiła, zaszeleściły i ku niebu wzniosł się przestraszony ptak. Magda odprowadziła go tęsknym wzrokiem. Pewnie nie było na nim zbyt wiele mięsa, ale nie wątpiła, że byłoby smaczne.

Po południu złapał ją przelotny deszcz. Miała szczęście, że szybko udało jej się znaleźć roślinę o dużych liściach, prawdopodobnie łopian, i nałapała w nie dostatecznie dużo wody, by ugasić pragnienie. Gdy przestało padać, zjadła łodygi liści, modląc się, żeby to rzeczywiście był jadalny łopian.

Świat spowiła szarówka, kiedy Magda zatrzymała się na nocleg. Na suche bukowe liście zaścielające ziemię rzuciła kilka gęstych gałęzi świerkowych. Przygotowała

drewno na opał i miejsce na niewielkie ognisko. Zmrok zastał ją, gdy ostrzyła koniec długiej, prostej gałęzi, która w założeniu miała stać się włócznią. Choć ostrością i wytrzymałością daleko było jej do prawdziwej broni, Magda czuła się z nią nieco pewniej.

Szykowała się do snu, gdy całkiem niedaleko usłyszała szczeknięcie, a zaraz po nim skrzek ptaka. Zerwała się na równe nogi, złapała swoją włócznię i pobiegła w kierunku dźwięków. Potykała się o wystające korzenie, wpadła na nisko zwieszające się gałęzie; jej wzrok żniwiarza zawodził ją jak nigdy. Ponadto wiedziała, że przyjdzie jej jeszcze zapłacić za ten gwałtowny zryw i bieg bólem w ranionym ramieniu, ale na razie o tym nie myślała. Wypadła na polanę zalaną poświatą księżyca i jej oczom ukazał się rudy, tłusty lis biegnący przed siebie z czymś dużym w pysku.

Magda nie zastanawiała się wiele. Stawiała czoła demonom, mogła w desperacji odebrać lisowi zdobycz. Rzuciła się do biegu, chcąc przeciąć mu drogę, jednak zwierzę zbyt szybko zorientowało się, że jest ścigane, i zmieniło kurs. Duży ptak w jego pysku obijał się o ziemię i zahaczał o trawy, utrudniając ucieczkę przed człowiekiem.

Magda zatrzymała się gwałtownie, uniosła rękę dzierżącą włócznię i rzuciła nią. Wiedziała, że nie zabije tym lisa, ale osiągnięty efekt i tak był satysfakcjonujący. Trafione zwierzę straciło równowagę i wypuściło łup z pyska.

Dziewczyna rzuciła się w jego stronę, porwała włócznię z ziemi i wrzasnęła głośno. Lis przestraszył się i odskoczył na bok, ale również nie zamierzał łatwo

odpuścić. Magda znów krzyknęła dziko, wymachując włócznią. Obły, opierzony kształt leżał na ziemi pomiędzy nią a drapieżnikiem. Małe oczka błysnęły na zielono, mierząc wzrokiem swojego przeciwnika.

– Won! Wynoś się! – wrzeszczała Magda, dźgając powietrze tuż nad martwym ptakiem. – Upoluj sobie coś innego! Spieprzaj!

W końcu lis odpuścił. Odbiegł i schował się w wysokich trawach. Najwyraźniej również doszedł do wniosku, że lepiej zdobyć nowe pożywienie niż mieć do czynienia z rozwrzeszczaną wariatką.

Magda schyliła się po swoją zdobycz, uniosła ją za nogi i przyjrzała jej się w świetle księżyca. Czuła zapach krwi spływającej po brązowym upierzeniu. Łepok bażanta był prawie odgryziony, trzymał się zaledwie na kawałku skóry. Jedno skrzydło było połamane, możliwe, że jeszcze przed atakiem lisa.

Dziewczyna zawyła do księżyca, a z jej twarzy nie schodził uśmiech – do czasu, aż gdzieś z oddali odpowiedziało jej wycie. Może lepiej nie chwalić się, że zdobyła jedzenie, żeby nikt ani nic nie wpadło na pomysł rozprawienia się z nią tak, jak ona to zrobiła z lisem.

Wróciła do ogniska, które już prawie wygasło, dołożyła do niego drewna i zabrała się do wyrywania piór. Szło znacznie trudniej, niż gdyby je sparzyła, ale jej to nie przeszkadzało. Po diecie składającej się z jagód i małych ryb bażant pieczony na ognisku zdawał się iście królewską ucztą.

Była późna noc, kiedy Magda po raz pierwszy z prawdziwie pełnym żołądkiem schowała resztki bażanta do koszyka z tataraku i zawiesiła je wysoko na

drzewie. Położyła się na swoim skromnym pościeliu, wyciągnęła spod łopatki uwierającą ją szyszkę i założyła zdrową rękę za głowę. Czuła przyjemny zapach żywicy, palonego drewna, spróchniałych gałęzi leżących tuż obok. Ognisko przyjemnie rozgrzewało jeden jej bok, po drugim zaś wspinał się chłód lasu. Stopy szybko zmarzły, miło byłoby mieć chociażby koc. Poruszyła palcami w butach w nadziei, że choć trochę się rozgrzeją. Wzrok wciąż miała utkwiony w niewielkim prześwicie między koronami drzew; obserwowała fragment Drogi Mlecznej. Nadal była jasna, jakby bliższa Ziemi.

Feliks nieraz utyskiwał na satelity krążące wokół planety. On chyba najlepiej pamiętał, że jeszcze tak niedawno niebo było nieruchome.

Magda uniosła się na łokciach, marszcząc brwi. Poprzednią noc spędziła na drzewie, modląc się o przeżycie, zresztą ciężkie chmury zawisły nisko nad ziemią i nie widziała żadnych gwiazd. A jak było wcześniej? Mogła przegapić samoloty, może nie latały nad tą puszcza, ale te przekłete satelity było chyba widać z każdego zakątka planety!

Poderwała się na równe nogi i szybkim marszem ruszyła w stronę polany. Gdy tylko wyszła spomiędzy drzew, zadarła głowę i obróciła się wokół własnej osi. Straciła równowagę, zachwiała się, a gwiazdy rozmyły się jej przed oczyma. Potrząsnęła głową, zrobiła wdech, stanęła na pewnych nogach i spojrzała na czarne niebo usiane srebrnymi kropkami. Żadna z nich nawet nie drgnęła.

– To niemożliwe – szepnęła.

Usiadła na wilgotnej trawie, nie odrywając oczu od

nieba. Jednak nieważne, jak bardzo wysilała wzrok, nie dostrzegła żadnego jasnego punktu mknącego w ciszy po czarnym firmamencie.

– Gdzie ja, do cholery, jestem?! – zapytała na głos, nawet nie oczekując odpowiedzi.

A może... może umarłam i już nie wróciłam? Tak, jak przepowiadał Pierwszy? – przestraszyła się.

Serce zabiło jej szybciej, w żołądku zaległa bryła lodu, a włoski na karku się zjeżyły.

– Bzdura! – burknęła.

Zbyt dobrze czuła serce walące w jej klatce piersiowej, słyszała tętno bębniące w uszach, palce stóp skostniały z zimna w mokrych od trawy trampkach, rany na ramieniu bolały i swędziały jednocześnie. Jedyne, czego była pewna, to to, że nie tak wygląda życie po śmierci. Gdyby umarła definitywnie, poszłaby do piekła, nieba, zamieniłaby się w niematerialny byt lub po prostu zniknęła, przestała istnieć.

Na kilka chwil tęsknota za drugim człowiekiem przygniotła ją do samej ziemi. Miło byłoby, gdyby ktokolwiek zapewnił ją, że żyła, a to wszystko nie było urojeniem. Może ktoś mądrzejszy szybciej odkryłby, gdzie się znajdowała, i potrafiłby odpowiedzieć na wszystkie nurtujące ją pytania.

Nagle jakby na jej własne życzenie poczuła czyjaś obecność. Ktoś lub coś czaiło się na skraju lasu. Obserwowało i czekało.

Magda sięgnęła do paska po nóż. Pożałowała, że zostawiła w obozowisku włócznię. Stanęła twarzą do czarnej ściany lasu i przymrużyła oczy, ale nic nie zobaczyła. Nawet błysku ślepi. Wiedziała, doskonale wiedziała, że nic dobrego nie może na nią tam czekać,

lecz mimo wszystko gdzieś na samym dnie swojej duszy łudziła się, że to człowiek. Ludzka istota, do której będzie mogła się odezwać, która ją zrozumie, a może nawet pocieszy.

Nie było sensu się ukrywać. Cokolwiek było w lesie, doskonale widziało Magdę. Dziewczyna zacisnęła więc zęby, oplotła palcami rękojeść noża i wyszła na spotkanie nieznanego.



Feliks wszedł do domu; z kuchni wychyliła się głowa Tosi, po czym natychmiast zniknęła.

– Wrócił – usłyszał jej dyskretny szept. – Jest chyba trzeźwy.

– I ma dobry słuch – mruknął do siebie.

Przekroczył próg kuchni, gdzie piątka jego nowych współlokatorów spożywała kolację. U szczytu stołu siedziała Janina. Spojrzała na niego, jakby oczekiwała, że zaraz padnie na kolana i będzie jej dziękował za wykład moralny oraz policzek sprowadzający na ziemię.

Z Janiny żniwiarz przeniósł wzrok na Sebastiana. W jego oczach zobaczył winę i determinację. Podobnie było z Adrianem. W oczach Klary kryło się pytanie: *Co ja tu tak naprawdę robię?* i odpowiedź: *Ale skoro już tu jestem, to jakoś się przydam.* W Tosi ujrzał zaś dawną Magdę, jakby dziewczyny były prawdziwymi siostrami. Wysunęła wojowniczo podbródek i skrzyżowała ręce na piersi. Była drobna, krucha i taka śmiertelna... Poza tym nie zamierzała stąd wyjeżdżać.

– Dom zabezpieczony antydemonicznie – oświadczyła

Janina, odkładając sztucze na talerz. Chusteczką wytarła kącki ust, jakby była w drogiej restauracji. Dopiero teraz do Feliksa dotarło, co mogło w niej pociągać Gerarda. Oprócz tego, że kiedyś musiała być młoda i ładna, tę kobietę cechowała prawdziwa siła. To Janina kreowała świat wokół siebie. Naginała go do swojej woli, a gdy coś nie szło po jej myśli, przestawała to dostrzegać.

– Dziewczyny przeszły się po okolicy, zawiadamiając sąsiadów, że o osiemnastej będziemy wydawać wodę – kontynuowała staruszka.

– Wydawać wodę? – powtórzył zniwiarz, nie rozumiejąc.

– Chłopcze, masz działającą studnię, a ludzie zaraz zaczną padać z pragnienia.

– Beczkowozы jeżdżą po mieście...

– Chcesz odmówić pomocy innym? – zapytała grobowym tonem.

Kątem oka dostrzegł, że słysząc tę nutę w jej głosie, bliźniacy odruchowo się przygarbili i schowali głowy w ramiona.

– Róbcie, co chcecie. – Machnął ręką. – A ty – wycelował palec w Tosię – usiądziesz zaraz w salonie i będziesz pisać pamiętnik.

– Co? – Dziewczyna zakrztusiła się kompotem.

– Zacziesz od dnia przed tym, jak poznałaś Pierwszego. Napiszesz wszystko. Co robiłaś, gdzie byłaś. Potem jak on wyglądał, w co był ubrany, co mówił i co robił.

– Dlaczego?

– Bo drań wiedział więcej, niż nam zdradzał, a w tej chwili każda informacja nam się przyda.

Magda zatrzymała się krok przed cieniem rzuconym przez drzewa. W porównaniu z czarną ścianą lasu polana zalana światłem sierpa księżycy zdawała się jasna jak w dzień. Natarczywe uczucie, że ktoś czai się w pobliżu, nasiliło się. Coś poruszyło się za krzewami. Zwierzę? Demon? Człowiek?

– Widzę cię – skłamała na głos.

Tylko w przybliżeniu podejrzewała, gdzie ukrywał się intruz. Zwierzę powinno się spłoszyć, demon zaatakować. I tylko człowiek był zupełnie nieobliczalny.

Magda postąpiła krok naprzód. Pochłonęła ją ciemność, a jej wzrok powoli przyzwyczajając się do cienia. Usłyszała ciche westchnienie, niemal jak ludzkie.

– Nie zrobię ci krzywdy – odezwała się dziewczyna.

W duchu parsknęła ironicznym śmiechem. Jak mogła o czymś takim zapewniać? Bardziej prawdopodobne było to, że cokolwiek kryło się tuż przed nią, skrzywdzi ją, zanim zdąży się obronić. Zaschło jej w gardle, mięśnie drżały z napięcia, rękojeść noża zaczęła ślizgać się w ręce mokrej od potu.

– Ja... – usłyszała zachrypnięty głos.

Czy mógł być ludzki? A może się przesłyszała? Tak bardzo tęskniła za innym człowiekiem, że jej umysł zaczął płatać figle i doszukiwał się tego, czego tak naprawdę nie było?

– Pomożesz mi? – Nieśmiałe, ciche pytanie.

Tym razem zyskała pewność, że nie mogła go sobie

wymyślić.

– Kim jesteś? – zapytała ostrzej, niż zamierzała.

– Ja... nie mogę... umieram...

Głos był wysoki i słaby. Może jego właściciel rzeczywiście konał? Może nie miał wystarczająco sił, żeby zabić Magdę?

To jest głupie, to naprawdę kretyński pomysł. – Obijało jej się po głowie z każdym ostrożnym krokiem.

Teraz słyszała już ciche rżenie, szelest ręki drżącej na liściach.

– Proszę... – Westchnięcie umierającej osoby.

Magda lewą ręką powoli rozchyliła gałązki krzewu. Przed nią na wpół leżała, na wpół siedziała oparta o pień buku ludzka postać, ubrana w szmaty. Dziewczyna wyraźnie widziała dwie chude nogi, jasną, niemal białą dłoń leżącą na ziemi, zapadniętą klatkę piersiową unoszącą się pod ubraniem w rytm płytkich oddechów, wychudzoną twarz z głębokimi cieniami pod oczami, siwe włosy opadające na ramiona.

Jednak nie rzuciła się na pomoc starej kobiecie. Stała w miejscu i patrzyła na nią, powoli i rozważnie podejmując decyzję, co robić dalej.

– Jeść... – jęknęła staruszka. – Masz jedzenie?

Magda pokręciła głową, co wywołało jęk zawodu.

– Kim jesteś? – ponowiła pytanie, jednak zdawało się, że do kobiety nie docierały jej słowa.

Czy to możliwe, że zaledwie kilkanaście minut wcześniej Magda przeszła niedaleko niej? Dlaczego jej nie zobaczyła ani nie usłyszała? A może ta leżała wtedy nieprzytomna?

Tęsknota za ludzką istotą przewyciężyła obawy. Magda podeszła do kobiety i przyklękła obok, nie

chowając jednak noża. Poczula zapach potu, niemytego ciała i krwi.

– Co ci jest? – zapytała. – Jesteś ranna?

– Moje rany nigdy się nie zagoją – jęknęła płaczliwym tonem staruszka. – Umieram z głodu i pragnienia.

Magda rzuciła spojrzeniem na boki, westchnęła ciężko i podjęła decyzję.

– Niedaleko stąd jest moje obozowisko – powiedziała. – Mam tam trochę owoców i mięsa.

– Naprawdę? – Staruszka ożywiła się nieco.

– Tak, możesz wstać? – Złapała ją za chudy nadgarstek, mając wrażenie, że ten zaraz się połamie.

Kobieta, pojękując cicho, stanęła na nogach. Chwiała się, więc Magda musiała ją podtrzymywać za ramiona. Zrobiło jej się niedobrze, a gdy jeszcze wyraźniej poczuła smród, z trudem powstrzymała odruch wymiotny.

Po kilku krokach okazało się, że ranna jest dużo cięższa, niż wskazywałby na to jej niepozorny wygląd. Zaczęła się też coraz bardziej opierać na Magdzie, aż dziewczynie zaczęło braknąć tchu.

– Jeszcze tylko kawałeczek – zapewniała bardziej siebie niż nową znajomą.

Kobieta dyszała ciężko jej do ucha. W pewnym momencie potknęła się o coś i zawisła na Magdzie całym swoim ciężarem. Zacisnęła przy tym chude palce na ramieniu dziewczyny, zrywając jej opatrunek.

– Cholera! – sapnęła Magda, sadzając ją na ziemi.

Jej rany na nowo się otworzyły, poczuła ciepłą kroplę spływającą w dół do łokcia. Ledwie się powstrzymywała, żeby nie zacząć głośno kląć z bólu. Pochyliła się lekko i oparła prawą rękę na kolanie; lewą trzymała

przyciśniętą do ciała. Dopiero po chwili usłyszała ciche węszenie. Spojrzała na staruszkę, która siedząc na ziemi, wlepiła w nią spojrzenie szeroko otwartych oczu.

– Czujesz to? – szepnęła kobieta.

Magda zmarszczyła brwi.

– Krew – wyjaśniła staruszka, oblizując wargi.

Dziewczyna zrozumiała za późno. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, wątpła staruszka błyskawicznie poderwała się z ziemi i rzuciła na nią.

Magda poczuła uderzenie i runęła na ziemię. W jej ramieniu na nowo rozbłysnął ból. Ta durna starucha ją ugryzła! Natychmiast spróbowała ją z siebie zrzucić, ale zabrakło jej sił. Czuła zęby wpijające się w jej ciało. Krzyknęła z bólu i wściekłości. Dźgnęła przeciwniczkę nożem pomiędzy żebra. Na jej rękę połała się ciepła jucha, ale to nie powstrzymało kobiety.

Magda, wciąż krzycząc, wbijała nóż raz po raz w jej tors, wierzgała nogami, żeby tylko ta się od niej odczepiła. W końcu udało jej się trafić ostrzem w siwą głowę. Ból w ramieniu zelżał. Po kilku długich minutach szarpaniny dziewczyna zrzuciła z siebie staruchę i stanęła na chwiejnych nogach.

Dyszając ciężko, nie spuszczała z przeciwniczki wzroku. Jej lekko ugięte kolana drżały ze zmęczenia, prawa dłoń ślizgała się od krwi na rękojeści noża, lewa ręka bezwładnie zwisała wzdłuż ciała.

Jak mogła dać się tak oszukać?! Jak mogła być tak głupia?! Przecież na pierwszy rzut oka widać, że to przeklęty demon! Kobieta nie przypominała już ludzkiej istoty. Jej twarz zapadła się, oczodoły stały się niemal czarne, długi język przesunął się po cienkich, obleśnych

wargach, zlizując z nich krew. Chude, obciągnięte skórą ręce były silniejsze, niż na to wyglądały, palce w kształcie szponów zaciskały się co chwilę w pięści. Koszula na jej brzuchu podwinęła się, ukazując ciemną dziurę, w której jaśniały zwoje jelit. Już raz Magda widziała takiego demona, flaki wylewały się z niego, przecząc wszelkim prawom rządzącym ludzkim światem.

Zginiesz tu – podszeptował złośliwy głos w jej głowie. Zginiesz i nikt się o tym nie dowie, a ty nie będziesz wiedziała, co się stało z twoją rodziną...

To koniec. Ile mogła jeszcze walczyć? Była już wykończona pobytym w tym miejscu. Głodna, spragniona, niewyspana.

Nawi sprężył się do skoku.

Feliks nigdy się nie poddawał, Mateusz walczył do końca, a Pierwszy wiedział, kiedy uciec. Wybaczyliby jej, gdyby się poddała?

Uchyliła się, uniosła rękę i wbiła nóż w szyję demona. Jednak to go nie powstrzymało. Wpadł na Magdę i przewrócił ją na plecy. Dziewczyna usiłowała zasłonić się przedramieniem, ale czuła, że słabnie, jej nogi nie mogły znaleźć punktu zaczepienia, żeby strącić z niej przeciwnika. Demon zaś był szybki, za szybki i za silny, a jego paszcza znajdowała się coraz bliżej szyi Magdy.

Nagle dziewczyną lekko szarpnęło, nawi przestał zajadle atakować. Oprócz jego smrodu i zapachu własnej krwi poczuła coś jeszcze. Delikatny aromat ziół.

Zrzuciła z siebie demona, który jakby stracił nią zainteresowanie. Zaczął skrzeczeć, tarzać się po ziemi, zostawiając za sobą krwawe ślady. Ręce przykładał do gęby, jakby ktoś właśnie polał go kwasem. Z jego gardła

wydobyło się wycie, gdy wbił ostre pazury we własną skórę i przeciągnął nimi w dół, zostawiając głębokie bruzdy.

Magda uniosła się do pozycji siedzącej, nie odrywając przerażonego spojrzenia od nawiego. Odsunęła się, nie czując się na siłach, żeby wstać. A demon wrzeszczał, wił się i zachowywał, jakby próbował zdjąć z twarzy maskę, która przykleiła się do jego skóry.

Wtem rozległy się świst i stuknięcie. Zanim Magda zdążyła się zorientować, co się dzieje, zobaczyła długą strzałę wystającą z klatki piersiowej stwora. Ten zawył i odbiegł na czterech łapach w mrok.

Dziewczyna wykrzesła z siebie resztkę siły, żeby podnieść się na chwiejne nogi. Obróciła się i ujrzała ciemną postać. Chciała coś powiedzieć, przybrać pozycję obronną, ale nóż wysunął się ze zmartwiałych palców. A potem Magdę przytuliła gęsta, ciepła czerń. Zanim uderzyła o ziemię, straciła przytomność.



Kłótnia w przedpokoju stawała się coraz głośniejsza, aż Feliks nie potrafił jej zignorować.

– Mam prawo wiedzieć, co się dzieje! – krzyczała jakaś kobieta.

– Może pani porozmawiać z nami – przekonywała Klara.

– Dziecko, nawet nie wiem, kim jesteś ani dlaczego tu mieszkasz! Chcę rozmawiać ze żniwiarzem!

Feliks odłożył sierp oraz ostrzałkę i już miał wstać z fotela, żeby sprawdzić przyczynę kłótni, ale afera

sama przyszła do niego w postaci sąsiadki, Krystyny Jabłońskiej. Wparowała do salonu z poważną miną. Tuż za nią kroczyła jeszcze bardziej oburzona Janina. Każdego innego dnia ta sytuacja by go rozbawiła. Dziś tylko zmierzył kobiety świdrującym spojrzeniem.

– Chcę wiedzieć, czy to sataniści, czy demony! – oświadczyła sąsiadka.

Żniwiarz uniósł w zdziwieniu brwi.

– Tyle, kobieto, to i ja mogłam ci powiedzieć – stwierdziła urażonym tonem Janina.

Usiadła na kanapie, wygładziła spódnice na kolanach i spojrzała na Krystynę niczym królowa oświadczająca, że przyjmie wizytę plebsu.

Sąsiadka zignorowała ją i wlepiła spojrzenie w Feliksa.

– Kto zamordował tych ludzi? Miasto aż huczy od plotek! A ja chcę znać prawdę.

– Bramy piekieł zostały otwarte i na świat wylały się hordy demonów – powiedziała ponurym głosem Janina.

– Takie bzdury proszę wciskać innym.

– Przykro mi, że jest pani ślepa na wyższe moce jak nietoperz. Może nie jest pani godna...

Janina, choć zaledwie przed kilkoma dniami dołączyła do niekoniecznie szczęśliwego grona ludzi widzących nawich, czuła się z tego powodu bardzo wyróżniona.

– Idź pani lepiej szukać swoich rodowych sreber – odgryzła się Jabłońska.

Janina aż się zapowietrzyła, a Klara ledwie powstrzymała się od wybuchu śmiechu. Cały Wiatrołom słyszał o aferze o spadek i o tym, jak to cała rodzina Wojnów chciała „okraść biedną staruszkę”.

– Cóż, z tymi demonami to prawda – odezwał się żniwiarz. – Zaatakowały nas tak, jak jeszcze nigdy.

– Wiedziałam! – oświadczyła Krystyna.

– A jakie są plotki?

Sąsiadka usiadła w fotelu i zerknęła z satysfakcją na Janinę.

– Różnie mówią. Na początku o nieszczęśliwych wypadkach, potem o jakimś wariacie z siekierą. Ale po dzisiejszej nocy... Wiecie, ilu zginęło?

Feliks pokręcił głową.

– Wczoraj rano mówiono o co najmniej trzech zgonach. Droszczaka znaleziono na ulicy z przetrąconym kręgosłupem, ponoć samochód w niego uderzył.

– Jasne, samochód – prychnęła Janina.

– Na jakiegoś strażaka runęło drzewo. Ktoś wjechał autem w mur, ktoś inny zmarł na zawał... zupełnie jak mój mąż. – Krystyna podniosła wyzywające spojrzenie na żniwiarza, jakby czekając, aż potwierdzi jej przypuszczenia, ten jednak milczał. – Wczoraj w nocy ktoś inny miał zawał, szukają jakiegoś chłopaka, który zaginął albo zachlał podczas wichury. Ale to wszystko można sobie jakoś wyjaśnić...

– A czego nie można? – zapytał Feliks.

– No... jest jeszcze ten facet z wyrwanym ramieniem. I kolejny, ponoć porąbany siekierą. No i jeszcze jeden, ale tu nikt nie wie, czy po prostu dostał spadającą gałęzią, czy ktoś roztrzaskał mu nią głowę.

Żniwiarz spuścił wzrok. Czuł się winny, że nie zapobiegł tym tragediom.

– A że mieszkańcy Wiatrołomu nie są głupi, potrafią dodać dwa do dwóch. I wyliczyli sobie, że jedna osoba w życiu by nie zdążyła jednej nocy zabić dwóch czy trzech ludzi w tak oddalonych od siebie miejscach. Ktoś

rzucił hasło o bandzie satanistów. Co prawda większość puka się w czoło, jak to słyszy, no ale w końcu ktoś musiał ich zabić. Znajoma, której zięć jest policjantem, mówiła, że policja podejrzewa co najmniej dwóch seryjnych morderców. Ponoć nawet parę lat temu gdzieś na południu grasował zabójca, który miał podobny *modus operandi*. – Zerknęła na Janinę jakby dumna, że lata oglądania seriali kryminalnych nie poszły na marne.

– To znaczy jaki? – zapytał Feliks.

– No... urwane kończyny – zawahała się przez chwilę.

– Spuszczona krew z ciała...

– Dobrze, niech na razie tak myślą.

Po raz pierwszy od ponad roku żniwiarz ucieszył się ze swojego obecnego ciała, które wyglądało zbyt niepozornie, żeby od razu podejrzewać go o brutalne mordy, gdyby przypadkiem znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie.

– Jesteś pewien, że to dobrze? – zapytał cichy głos tuż przy nim.

Nawet się nie zorientował, w którym momencie Tosia stanęła za jego fotelem.

Pierwszy nie żyje, Magda nie żyje. – Na samą myśl o bratanicy ścisnęło go w żołądku. *Naprawdę powinniśmy odesłać dziewczynę do domu. Pał sześć jej pamiętnik.*

Tylko wtedy pojawiała się pytanie: czy tam będzie bezpieczna? Ze względu na Magdę czuł się w obowiązku chronić osiemnastolatkę.

– Dlaczego pytasz? – odezwał się.

– Bo Pierwszy naprawdę bał się tej trzynastej pełni...

– Dziwisz mu się?

– I co, jeśli to wszystko nie skończy się po dzisiejszej nocy? Jeżeli wraz z ubywającym księżycem demony wcale nie wrócą do Nawii?

Feliks milczał. Też się tego obawiał. Jakoś przetrwają jeszcze tę jedną noc, ale jeżeli to wcale nie koniec? Może od tej pory świat, jaki znają, zupełnie się zmieni?



Magda otworzyła oczy. Świat był rozmazany, widziała plamy zieleni, brązu i czerni. Leżała na boku na miękkiej ziemi. Po chwili jej wzrok skupił się na suchych liściach buku znajdujących się tuż przy jej twarzy. Zagubiona mrówka niespokojnie kręciła się w koło.

Przez długi czas zastanawiała się, gdzie jest, kim jest i dlaczego, u diabła, leży w środku lasu. Choć lepiej byłoby chyba pozostać w błogiej nieświadomości, bo gdy uderzyły w nią wspomnienia, poczuła ból niemal w całym ciele. Czy naprawdę spotkała w nocy demona wyglądającego jak zagłodzona staruszka?

Jęknęła cicho.

– Musisz być albo ślepa, albo głupia. – Usłyszała głos pełen nagany, jakby jego właściciel przez pół nocy myślał nad tym, co powiedzieć.

– Eee? – wydusiła z siebie Magda.

Kawałeczek dalej kucała przy ognisku młoda dziewczyna. Była drobnej postury, miała krótkie, kręcone, kasztanowe włosy i twarz dziecka usianą piegami. A może była dzieckiem? Ile mogła mieć lat? Na pewno nie więcej niż szesnaście. Ubrana była w brudne

spodnie i zdecydowanie za dużą zieloną kurtkę.

Magda podniosła się do pozycji siedzącej; zsunęła się z niej bluza śmierdząca jeziorem i dymem z ogniska. Dopiero teraz zobaczyła kawałek szarego płótna owiniętego wokół jej ramienia.

– To ty zabiłaś tego... – zaczęła Magda.

– Upiora.

– To nie był upiór. To było... – usiłowała znaleźć odpowiednie słowo, ale nie знаła takiego demona. Kiedyś słyszała o czymś takim, ale nikt nigdy nie wspomniał nazwy.

Dziewczyna spojrzała na nią z politowaniem.

– Chyba wiem, jak wygląda upiór – oświadczyła. – I nie, nie zabiłam go. Tylko przepędziłam. Nie można zabić go ot tak, jedną strzałą.

Wzrok Magdy padł na krótki łuk i podłużny lniany worek ze strzałami. Tysiące pytań kotłowało jej się w głowie, a nie była w stanie zadać ani jednego. Dziewczyna rzuciła jej bukłak. Magda wyjęła korek i ostrożnie powąchała jego zawartość. Poczowała zapach starej skóry, wody i nagle zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo była spragniona. Chciwie przyłożyła do niego usta i zaczęła pić, aż się zakrztusiła. Jej nowa znajoma wstała od ogniska i z siłą poklepała ją po łopatkach.

– Dzięki – sapnęła Magda. – I za tego upiora też.

Nastolatka wzruszyła ramionami i wróciła do ogniska. Zamieszała łyżką w rondelku ustawionym na żarzących się gałęziach.

– Jak masz na imię? – zapytała Magda.

– Żywia. A ty?

– Magda.

I właśnie wtedy z całego natłoku myśli wyłoniło się to

jedno najważniejsze pytanie.

– Gdzie my jesteśmy?

Nastolatka spojrzała na nią, jakby usłyszała najgłupsze pytanie na świecie.

– W lesie? – odpowiedziała.

– Nie, chodzi mi ogółem... – Magda zatoczyła ręką krąg w powietrzu. – To miejsce. To wszystko. Jaki to kraj? Który mamy rok? Dlaczego nie ma tu żadnych dróg? Gdzie są inni ludzie?

Żyvia przez dłuższy czas jej się przypatrywała.

– Upiór użarł cię w ramię. W głowę też dostałaś?

Magda odruchowo uniosła dłoń do czoła.

– Nie – zaprzeczyła. – Chyba... Jestem tu od sześciu, nie, ośmiu dni i nic nie rozumiem!

Żyvia nabrała na łyżkę tego, co gotowało się w rondlu, spróbowała odrobinę i zamlaskała zadowolona. Jej spokój i opanowanie coraz bardziej Magdę denerwowały. W kącikach jej oczu zaczęły czaić się zdradzieckie łzy.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia? – Nastolatka wreszcie na nią spojrzała.

Magda pokręciła głową.

– Umarłaś.

– Tyle to i ja wiem.

– I jesteś w Nawii.

Teraz dziewczynę zatkało.

– Że co, proszę?

– Jesteś w Nawii, zaświatach, tu przychodzą ludzie po śmierci.

Tego było już za wiele.

– To... nie, to niemożliwe. Tak nie mogą wyglądać zaświaty... – Powiodła wzrokiem wokół. Wszystko było

zbyt realne, zbyt pospolite, żeby mogło należeć do innej rzeczywistości. Magda czuła powiew lekkiego wiatru poruszającego jej włosami, słońce delikatnie ogrzewało jej twarz, wszędzie wokół coś szeleściło, po niebie latały ptaki. A ramię wciąż bolało jak diabli.

– A czego żeś się spodziewała? – rzuciła Żywia.

Zdjęła z ognia rondel, postawiła go przed Magdą i usiadła skrzyżnie po drugiej stronie.

– Chmurek i aniołków grających na harfie? – zapytała.

– A może kotłów z siarką i grzesznikami?

Z kieszeni wyjęła drugą aluminiową łyżkę i podała zagubionej towarzyszcze.

– Nie wiem – jęknęła Magda. – Ale na pewno nie tego!

Z otchłani pamięci wypłynął widok grubego tomiszczaka, które czytała, mając ze dwanaście lat, gdy marzyła o chodzeniu na polowania ze swoim ukochanym wujkiem. A że nie zamierzał nigdy zabierać jej ze sobą, postanowiła nauczyć się wszystkiego z książek.

Nawia to odbicie realnego świata. Trafiał tam każdy, nieważne, czy dobry, czy zły człowiek.

– Jedz, bo wystygnie – powiedziała Żywia.

Sama pochłonęła już kilka łyżek potrawy o brązowym kolorze. Pływały w niej kawałki mięsa, jakieś zielsko i trochę warzyw. Jednak Magdę zupełnie zemdliło.

Nikt już nie wraca – pomyślała. Nie wraca, bo wszyscy zniwiarze trafiają do tej przeklętej Nawii!

I nagle ją olśniło. Czy to znaczy, że spotka innych zniwiarzy? Gerarda? Nadię? Antoniego? Poczowała iskrę podekscytowania, która szybko zgasła. Nie, przecież gdy umierali, ich dusze pożerał Nija – i dlatego tak rósł w siłę.

Już nigdy nie zobaczy Feliksa, rodziców ani pozostałych bliskich? Nie takiego końca się spodziewała. Jej kariera żniwiarza była doprawdy bardzo krótka.

Pomimo tego, że tak naprawdę nie żyła, jej żołądek upomniał się o swoje i zaczął głośno burczeć. Rondelek był już w połowie pusty. Najwyraźniej Żywia miała wilczy apetyt. Magda nabrała na łyżkę trochę potrawy, podmuchała na nią i wsunęła do ust. Danie pachniało cudownie, lecz smakowało... w ogóle nie smakowało. Mięso było jak guma, warzywa zbyt twarde, a sos mdły. Jednak było ciepłe i pożywne, więc nie minęło pięć minut, a pochłonęła całą resztę.

Nastolatka wytarła ronderek trawą i schowała go do plecaka.

– Ty też umarłaś? – odezwała się Magda, chcąc zagaić rozmowę.

Żywia spojrzała na nią jak na idiotkę.

– No raczej.

– Kiedy?

Wzruszyła ramionami.

– Dawno. To i tak nie jest ważne.

– Są tu też inni ludzie?

Żywia uciekła wzrokiem.

– Muszą być, prawda?

– Są – odburknęła w końcu.

– I?

– I to daleko stąd.

– Dlaczego? Dlaczego jesteś tu sama?

– Zadajesz za dużo pytań. – Nastolatka ucięła dyskusję.

Zapięła plecak, rozgarnęła ogień i podniosła z ziemi

łuk ze strzałami. Na ten widok Magda poderwała się z ziemi.

– Dokąd idziesz?

– Do domu.

Po ostatnich kilku dniach spędzonych w głodzie, zimnie i samotności Magda nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić jej odejść.

– Mogę iść z tobą?

Żywia udała, że się zastanawia. Może jej również doskwierał brak towarzystwa?

– No dobra – łaskawie się zgodziła. – Ale nie będziesz gadać i będziesz mnie słuchać.

Przez chwilę Magda miała ochotę powiedzieć coś na temat rządzących się dzieciaków, ale rozsądnie przemilczała sprawę. Sięgnęła po swoją włóczęgę i stanęła wyprostowana, starając się wyglądać godnie.

Jej nowa towarzyszka zmierzyła ją wzrokiem.

– Gdzie jest twój obóz? Możemy pójść po twoje rzeczy.

Magda pomyślała o skromnym posłaniu z gałązek świerku i krzywym koszyku z tataraku. Resztki pieczonego bażanta zostały już pewnie przez coś zjedzone.

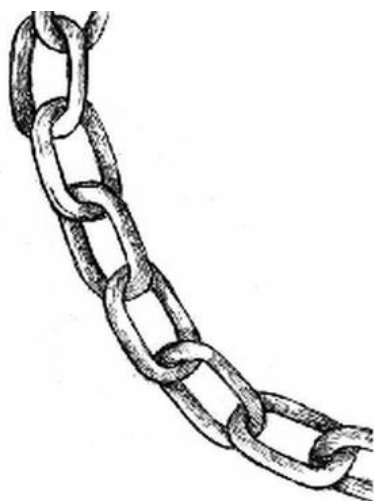
– To wszystko, co mam. – Wzruszyła ramionami.

Przez moment twarz Żywii zdawała się bez wyrazu, a potem dziewczyna ze smutkiem skinęła głową.

– Przykro mi. – Położyła dłoń na jej ramieniu, a potem szybko cofnęła ją jak oparzona.

Magda nie zrozumiała do końca tego gestu. Cóż, niewesoło było mieć tylko ubrania na grzbiecie, nóż i zapalniczkę, ale nie był to powód do aż tak głębokiego smutku.

Rozdział 7



Waldemar pospiesznie wysiadł z samochodu i ruszył prosto do żywopłotu Feliksa. Picie piwa w drodze nie było najlepszym pomysłem. Gauza w ogóle nie chciał się zatrzymywać – bo zmrok zapada, bo demony – a pęcherz lekarza był już bliski eksplozji.

– Ich dom nie należy do najpiękniejszych – skomentował pod nosem nauczyciel, zamykając auto. – A jak jeszcze ich krzewy zwiędną, to już w ogóle będzie tu paskudnie.

Waldemar, lżejszy o co najmniej litr, wspiał się po schodkach prowadzących do drzwi i zapukał. Otworzyła mu jedna z tych młodych dziewczyn.

– Jest Feliks? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Pewnie już na nocnym polowaniu, co? – Bez zaproszenia wszedł do środka i skierował się do kuchni.

– Pomyślałem sobie, że mogą z Magdą potrzebować dziś pomocy lekarskiej i oto jestem.

Oczy dziewczyny się zaszklily. *Powiedziałem coś nie tak?* – zastanowił się. Całe życie zdarzało mu się używać niewłaściwych słów, ale raczej nie tym razem.

– Co się stało? – zapytał Gauza drepczący mu po piętach.

– Magda nie żyje – powiedziała dziewczyna.

Lekarz osunął się na krzesło.

– Dobry Boże! – westchnął jego przyjaciel.

Waldemar już raz przez to przechodził, jednak teraz wcale nie było przez to łatwiej. Przed oczami stanęły mu miła, pewna siebie brunetka oraz piękna, nieco butna blondynka. Zbyt młodo... zbyt szybko...

– Co się stało? – dopytywał Gauza.

– Demon... – zaczął jeden z tych wielkich bliźniaków.

– A czy to ważne?! – zdenerwował się lekarz.

Czy gdyby tylko zostali tu na jeszcze jedną noc, mógłby ją ocalić? Załatać rany, poskładać kości? Może to przez niego...? Ukrył twarz w dłoniach.

– Obcięła demonowi głowę – odezwała się cicho dziewczyna. – A on tę głowę podniósł i przebił... przebił Magdę szponami...

A więc nawet lekarz nic by tu nie poradził. Co wcale nie znaczyło, że zrobiło mu się źlej na duszy.

– Zostaniemy w Wiatrołomie na kilka dni – oświadczył, opanowując własne emocje. – Może się przydamy...

– Pościelę panom łóżka w salonie... – Dziewczyna zerwała się z krzesła, ale Waldemar powstrzymał ją gestem dłoni.

– Dużo was tu jest, a chyba będzie lepiej, jak ulokujemy się w centrum wydarzeń.

– To znaczy? – zapytał podejrzliwie jeden z bliźniaków; lekarz w ogóle ich nie odróżniał. Jeden i drugi był obity, ale który był który...

– Daj mi kluczyki do baru, tam się zatrzymamy.

Bracia wymienili niechętnie spojrzenia.

– Jeżeli Feliks ruszył na miasto, to gdyby potrzebował pomocy lekarskiej, stamtąd będzie najbliżej – odezwał się Gauza.

– Chłopcy, słyszeliście pana. – W progu kuchni stanęła tamta stara harpia w kremowej podomce.

Jeden z bliźniaków niechętnie podał nauczycielowi klucze.

– To lecimy, zanim zrobi się zupełnie ciemno. – Waldemar podniósł się z krzesła.

To, o czym właśnie usłyszał... Magda... potrzebował czegoś mocniejszego. Ponadto czuł, jakby zaczynał się dusić w tym zatłoczonym domu. Żalobę jego zdaniem przeżywało się w samotności. Ewentualnie w towarzystwie przyjaciela natręta, którego i tak by się nie pozbył w tej chwili.



Magda z podziwem i odrobiną zazdrości patrzyła na sprawne ruchy Żywii.

Jak, skubana, złapała tego zająca?

Po południu zatrzymały się niedaleko wartkiego strumyka. Nowa znajoma kazała Magdzie nazbierać drewna i rozpaścić ognisko, sama zaś oddaliła się w gąszcz. Wróciła po dwóch godzinach z martwym zającem.

– A ja zaledwie przed kilkoma dniami byłam bliska tego, żeby jeść robaki – rzuciła pod nosem Magda.

Żywia spojrzała na nią zaskoczona. Chyba miała całkiem niezły słuch.

– Umiesz zrobić pułapkę na ptaki? – zapytała.

– Cóż...

– Aha, czyli nie.

Żywia szybko sprawiła zwierzę. Jak magik wyciąga królika z kapelusza, wyjęła z kieszeni kurtki kilka małych dzikich cebul i dorzuciła je do potrawki.

– Skąd masz ten garnek? – zapytała Magda, którą od rana męczyło to pytanie. – I kurtkę?

Jakoś nie wyobrażała sobie, żeby w Nawii były sklepy.

Nastolatka podniosła na nią spojrzenie orzechowych

oczu.

– Znalazłam – odparła, jakby była to oczywista oczywistość.

– Ale gdzie? Ktoś musi te rzeczy produkować, prawda?

– Ty naprawdę nic nie wiesz. – Żywia pokręciła głową, a Magda po raz kolejny tego dnia poczuła się jak głupiutka blondynka. – Nawia jest odbiciem świata żywych.

– Wcale że nie jest! – obruszyła się Magda. – Nie ma tu dróg, samolotów ani satelitów! Ani ludzi... – dodała ciszej.

– Kiedyś było lepiej, wiesz? – westchnęła z nostalgią Żywia. – Wszystkiego było pod dostatkiem, nie musieliśmy pracować. Wielu trafiało do Nawii...

– A teraz?

– Prawie nikt. – Dziewczyna pokręciła głową. – Bo i nikt nie wierzy w Nawię.

Czy to jest naprawdę takie proste? – zastanowiła się Magda. I czy ja wierzyłam?

Miała wrażenie, że uznawanie istnienia czegoś to zupełnie inna sprawa niż wiara w to. Tak bardzo brakowało jej Feliksa. On wiedziałby, skąd się tu wzięła i po co tu jest.

Kiedy zjadły, Żywia pokazała Magdzie kilka sposobów na zrobienie prostej pułapki na ptaki, z użyciem patyków i sznurka.

– Tylko czekanie, aż coś się w nią złapie, wymaga naprawdę dużo cierpliwości – zastrzegła.

Mimo wszystko Magdzie było głupio, że sama nie wpadła na coś tak prostego, kiedy przymierała głodem.

Zmrok zastał je przy ognisku. Magda przysunęła się bliżej ognia i z zazdrością spoglądała na wełniany koc,

którym owinęła się Żywia. Było zimno, ale nastolatka najwyraźniej uznała, że nie były w wystarczającej zażyłości, aby podzielić się z nią okryciem. A sama Magda też nie miała zamiaru okazywać słabości i o to prosić.

– Dlaczego mówisz w tym samym języku co ja? – zagadnęła po chwili, grzejąc dłonie przy płomieniach.

– A nie ty w moim?

Magda zamilkła.

– W Nawii wszyscy mówią tak samo – wyjaśniła pokrótce Żywia.

– Hmm... A można wrócić stąd do świata żywych?

– Zdużniałaś? Jak ktoś umarł, to umarł, nie ma powrotów.

– A słyszałaś może o żniwiarzach?

Nastolatka splunęła do ognia. Jej ślina wylądowała na grubszej kłodzie i zawrzała.

– Taa – warknęła.

– Skąd taka reakcja?

– Bo to banda idiotów, którzy odsyłają demony do Nawii. I to my mamy z nimi problem.

– Ale demony zabijają ludzi, a wy tutaj chyba nie możecie umrzeć...?

Żywia parsknęła.

– Nie wiem, jak ty mogłaś się tu znaleźć, skoro nic nie wiesz o Nawii. Kiedyś może i byliśmy nieśmiertelni, ale potem demony zaczęły wybijać nas jak kaczkę.

Magdę drażnił ton nastolatki, to, że denerwowała się za każdym razem, gdy zadawała pytania. Ale przecież musiała dowiedzieć się wszystkiego o miejscu, w którym się znalazła. Po to, żeby znaleźć drogę ucieczki.

– Dlaczego zaczęły was zabijać? – drażyła.

– Kiedyś do Nawii trafiał każdy człowiek – powiedziała w końcu Żywia. – I dopóki pamiętano o nim w świecie żywych, mógł wieść tu spokojne, dostatnie życie. Ale gdy o nim zapomniano, stawał się śmiertelny. Każdy demon mógł go zabić. Jak myślisz, ilu ludzi pamięta dziewczynę o imieniu Żywia? – zapytała ironicznie.

– Co się dzieje, jeżeli zginiesz w Nawii?

Żywia podniosła na nią spojrzenie. W jej oczach odbijał się ogień.

– Koniec. Przestajesz istnieć.

– Tak po prostu?

Nastolatka strzeliła palcami.

– Tak po prostu. Wciąż żyją tylko ci, którzy mają najsilniejszy instynkt przetrwania.

To nie było w porządku. To nie tak powinny wyglądać zaświaty.

– I tylko demony mogą wrócić do świata żywych – dodała ciszej dziewczyna.

Nieprawda, Pierwszy wrócił... – przemknęło przez myśl Magdzie.

– Wystarczy tego gadania, jutro mamy kawał drogi do przejścia. – Żywia szczerzej owinęła się kocem i położyła na ziemi plecami do ognia.

Magda patrzyła na nią przez dłuższy czas, a potem sama ułożyła się do snu, dorzuciwszy kilka gałązek do ogniska.

¢

Michał zapukał delikatnie do drzwi. Nie usłyszał

odpowiedzi, więc nacisnął klamkę i powoli wszedł do pokoju. Jego siostra leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Zarówno żyrandol pod sufitem, jak i nocna lampka były włączone. Od tamtej nocy, kiedy pojechali na grilla, oboje spali przy zapalonym świetle.

– Jak tam? – zapytał chłopak, przysiadając na skraju łóżka.

Aśka wzruszyła ramionami.

Poprzedniego dnia zadzwonili do niej rodzice Pawła, szukając syna, który od doby nie dawał znaku życia. Tak jak wcześniej ustaliła z bratem, dziewczyna powiedziała, że pokłócili się i poszli w różne strony. Możliwe, że w innych okolicznościach nikt nie siałby paniki, ale w obliczu takiej wichury od razu wszczęto poszukiwania.

Aśka i Michał nie mieli innego wyjścia jak dalej brnąć we własne kłamstwo. Zgłosili się na ochotników i razem z innymi ruszyli do lasu. Pierwszego dnia wszyscy byli przekonani, że Paweł się odnajdzie. Może wkurzony na własną dziewczynę udał się do jakiegoś kolegi i u niego zalewał smutki? A nie odzywał się do rodziców, bo wciąż nie było prądu, więc telefon mógł mu się rozładować. Nieco gorsza możliwość zakładała, że zgubił się w lesie albo utknął przygnieciony przez jakieś drzewo. Nikt nawet nie wspomniał, że mogłoby zdarzyć się coś gorszego, choć każdy o tym myślał. I tylko rodzeństwo wiedziało, że tak naprawdę wszyscy szukają trupa.

Wieczorem przerwano poszukiwania. Niebezpiecznie było się błąkać po zniszczonym lesie w ciemnościach. Aśka pocieszała swoich niedoszłych teściów, zapewniała, że Paweł się odnajdzie. A gdy wróciła

z bratem do domu, pozapalała wszystkie światła w domu i zamknęła się w łazience.

Przez cały następny dzień odgrywania tej szopki Michał wyłapywał westchnienia siostry, które znaczyły tylko jedno – przyznać się i zapomnieć.

– Nie zrób czegoś głupiego – rzucił półgębkiem, kiedy oddalili się nieco od innych poszukiwaczy.

Spojrzała na niego umęczonym wzrokiem.

– Jego rodzina powinna znać prawdę – powiedziała.

– Którą prawdę? Tę o zombie, upiorach czy innych bestiach z piekła rodem? Nie jesteśmy winni jego śmierci, ale jeżeli zaczniemy opowiadać o tym, co naprawdę się wydarzyło, od razu będziemy pierwszymi podejrzanymi!

– Wszyscy się martwią...

– Nie, Aśka. – Pokręcił głową. – Nikomu ani słowa.

Michał bał się, że wystarczy kolejny dzień poszukiwań, jeszcze jedna rozmowa z odchodzącymi od zmysłów rodzicami, a jego siostra się złamie i wszystko wygada. I dopiero wtedy będą mieli poważne kłopoty. Jednak los się do nich uśmiechnął. Po południu grupa strażaków oczyszczająca leśną drogę natknęła się na szczątki młodego mężczyzny. Rodzice Pawła, wezwani na miejsce, od razu rozpoznali jego ubrania. Poszukiwania zakończono.

On był idiotą, pchnął cię na potwora, żeby zasłonić samego siebie, a potem spierdzielił! – Michał tak bardzo pragnął wykrzyczeć te słowa prosto w twarz swojej siostry. Może nawet zaryzykować stwierdzenie, że Pawłowi się to wszystko należało. Jednak wiedział, że nie poprawi tym nikomu nastroju.

– Wiesz, kiedy pogrzeb? – zapytał.

– Nie wiem, jak to się odbywa, kiedy nie ma całego ciała, a szczątki zbiera się z kilkudziesięciu metrów kwadratowych lasu – odparła gorzko.

Położył dłoń na jej udzie i niezdarnie ją poklepał.

– Przykro mi – powiedział.

Aśka niespodziewanie podniosła się i zarzuciła rękę na ramiona brata.

– Dziękuję – szepnęła.

– Za co? – zdziwił się.

– Dzięki tobie żyjemy.

Nie tylko dzięki mnie.

Do pokoju zajrzała ich mama, ale kiedy ujrzała swoje dzieci trwające w uścisku, wycofała się. Najwyraźniej uznała, że jej obecność i słowa pocieszenia nie są już niezbędne.

– Obejrzyjmy coś. – Michał wstał z łóżka i włączył na komputerze siostry komedię.

W trakcie filmu humor Aśki nieco się poprawił, jednak chłopak nie potrafił skupić się na perypetiach bohaterów. Słyszał o kolejnych zgonach poprzedniej nocy. Miał wrażenie, że tylko on z siostrą wiedział, że to nie była robota satanistów, a nocą po Wiatrołomie krążą bestie z najgorszych koszmarów. I nikt nic z tym nie robił. Gdzie podziała się tamta dziewczyna? Jak ją znaleźć?



W środku nocy Magda obudziła się z głośno bijącym sercem przepelnionym strachem. Coś było nie tak, czuła to całą sobą. Wokół panowała niezmacona cisza.

A tak przecież nie powinno być. Ognisko dogasło już jakiś czas temu i tylko kilka drobin wciąż żarzyło się wśród popiołów. W oddali zaskrzypiało drzewo, jakiś ptak zerwał się z krzykiem z gałęzi. Magda, cała stężała z poczucia niepokoju, obróciła głowę. Żywia spała twardo. Zatem to by było na tyle, jeżeli chodzi o instynkt przetrwania.

A może nic im nie groziło? Może Magda miała po prostu zły sen?

Dupa, nie zły sen – pomyślała, kiedy całkiem niedaleko rozległ się szelest.

Jednym zwinnym ruchem podniosła się z ziemi i przykucnęła, sięgając po swoją włócznię.

– Żywia! – szepnęła.

Nic, nastolatka nawet nie drgnęła, więc Magda stuknęła ją lekko tępym końcem drzewca.

– Co? – jęknęła dziewczyna.

– Wstawaj, coś tam jest – syknęła Magda.

Żywia poderwała się na równe nogi. Koc zsunął się z jej ramion, a w rękach zaraz pojawił się łuk. Założyła cięciwę i przyszykowała strzałę.

Wtem po lesie poniósł się metaliczny dźwięk, jakby ktoś potrząsał łańcuchem.

– Cholera – sapnęła nastolatka. – Rozpal ogień.

Magda nie ruszyła się z miejsca. Stała na lekko ugiętych nogach, dzierżąc przed sobą włócznię, gotowa do ataku.

– Ogień! – warknęła Żywia.

Magda uważała się za doświadczonego żniwiarza, ale Nawia już nie raz zdążyła ją zaskoczyć. Tylko dlatego nie kłóciła się, ale przypadła do ogniska i zaczęła dmuchać na buraczano czerwone węgielki.

Szybko pojaśniały, ale wciąż dawały zbyt mało światła i ciepła. Łańcuch rozbrzmiał bliżej. Coś powoli skradało się po suchym poszyciu lasu.

Magda gorączkowo połamała małe gałązki, przyłożyła je do żarzącego się drewna i zaczęła dmuchać.

– Szybciej! – popędzała ją Żywia z napiętym łukiem i strzałą wycelowaną w czerń lasu.

– Co to jest? – zapytała Magda w przerwach między dmuchaniem.

DREWNIENKA ZAPALIŁY SIĘ, A MAŁY PŁOMIEŃ POŻERAŁ JE W ZASKAKUJĄCYM TEMPIE. DZIEWCZYNA DORZUCIŁA DO NIEGO WIĘKSZE GAŁĄZKI, AŻ Ogień PRZESKOCZYŁ NA WYGASŁE GRUBE ŻAGWIE.

– Zwid – powiedziała grobowym tonem Żywia.

Jakby na potwierdzenie jej słów, znów zadzwonił łańcuch. Magda rozluźniła się. Nieraz walczyła ze zwidem.

– To tylko trochę przerośnięty pies...

– Przerośnięty? Głupia jesteś?!

W ciemności błysnęły czerwone oczy. Zbyt wysoko, żeby mogły należeć do psa.

– Co do... – zaczęła Magda, lecz nie zdążyła skończyć, gdy zza drzew wypadła wielka bestia. Strzeliła cięciwą, świsnęła strzała.

Żywia powoli się cofała, wypuszczając jedną strzałą za drugą. Każda wbijała się w potężne cielsko, nie wyrządzając mu krzywdy.

Magda pewnie stanęła na nogach, złapała włócznię obiema dłońmi i wbiła ją tuż pod łopatkę czarnej bestii. Demon zawył i natychmiast zwrócił się w stronę dziewczyny. Drzewce zahaczyło o pień i wyrwało się

z ciała. Nawi potrząsnął łbem i wlepił czerwone ślepia w Magdę. Powoli ruszył w jej stronę, miękko stawiając potężne łapy na suchych liściach. Łańcuch wił się za nim niczym wąż.

Stwór był rozmiarów kuca; Magda w życiu nie widziała tak wielkiego zwida. Cofnęła się o krok, czując się zupełnie bezbronna. Zdążyła wyszarpnąć zza paska nóż, ale jego ostrze wydawało się śmiesznie małe.

Zwid to pokutująca dusza, a symbolem jej przewinień był łańcuch. W świecie żywych wystarczyło zdjąć go z szyi demona, żeby go uwolnić. Lecz teraz Magda nawet nie wyobrażała sobie, że byłaby w stanie to zrobić. Zresztą w Nawii panowały inne zasady, o czym boleśnie zdążyła się już przekonać.

Mimo to odruchowo zerknęła na łańcuch wijący się na ziemi. Potem znów podniosła wzrok i utkwiała spojrzenie w nienaturalnie wielkim łbie, czerwonych ślepiach i obnażonych zębach, po których ściekała ślina.

Nagle świsnęło. To strzała Żywii śmignęła ku zwidowi i wbiła się w jego kark. Demon zawył i natychmiast zwrócił łeb ku nastolatce.

W ciągu następnej sekundy wydarzyło się kilka rzeczy. Demon z wściekłością ruszył prosto na Żywię, a Magda zdała sobie sprawę, że nie może pozwolić dziewczynie zginąć. Nastolatka stała się jej jedyną towarzyszką niedoli, jaką była Nawia.

Bez zastanowienia rzuciła się w stronę ogniska, które zdążyło już zapłonąć. Chwyciła wystającą grubą gałąź, której drugi koniec pochłaniał ogień, i zamachnęła się.

Łupnęło głucho, gdy uderzyła zwida prosto w pysk. Na ziemię posypały się iskry i żar. A demon zawył z bólu. Magda, celując w niego żagwią, zasłoniła sobą Żywię.

W końcu była żniwiarzem i urodziła się po to, aby zabijać demony. A przynajmniej je przepędzać.

Olbrzymi nawi tarł łapą pysk niczym zwykły pies.

– Wynocha stąd! – rzuciła twardo Magda.

Zwid rzucił jej spojrzenie pełne urazy, po czym odszedł, a łańcuch podzwaniał w rytm jego kroków.

Dopiero gdy zniknął między drzewami, Magda wypuściła powietrze z płuc. Nagle zdała sobie sprawę, że jej dłoń prawie dotyka rozgrzanego do czerwoności kawałka gałęzi, i szybko rzuciła ją z powrotem do ognia. Potem odwróciła się do Żywii.

– No i straciłam tyle dobrych strzał – poskarżyła się nastolatka.

– Ciesz się, że żyjesz. – Magda usiadła skrzyżnie na ziemi. – Wróci? – Rzuciła spojrzeniem na czarny las za sobą.

– Dziś na pewno nie.

– A jutro?

– Kto wie, co siedzi w łbach nawich.

– Jak go zabić?

– Najłatwiej włócznią. Ale taką prawdziwą. – W jej oczach kryła się odrobina kpiny, gdy wskazała splamione ciemną krwią drzewce leżące na ziemi.

– A co z łańcuchem? Nie odpina się go?

– A po cholere? No i jestem ciekawa, jak chciałabyś to zrobić.

Magda wzruszyła ramionami.

– Zwidy w świecie żywych są na ogół mniejsze.

– Bo tam nie są na swoim terenie.

– Czy to znaczy, że każdy demon tutaj jest bardziej przypakowany? – Magda poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka na samą myśl o tym.

– Nie wiem, nie pamiętam już wielu rzeczy z życia tam. Ale podejrzewam, że bardzo szybko sama będziesz mogła to sprawdzić.



Wiatrołom pograżył się w mroku, a zza budynków wyrzała tarcza księżycyca, zalewając wszystko srebrzystym blaskiem. Mieszkańcy, którzy przez cały dzień nadal wytrwale naprawiali szkody po wichurze, pochowali się w budynkach, szóstym zmysłem przeczuwając, że na zewnątrz nie jest już bezpiecznie. Tym bardziej że wciąż brakowało prądu. Z tego, co Feliks słyszał, zniszczeniu uległo co najmniej kilkanaście głównych punktów zasilania, setki linii przesyłowych oraz stacji średniego napięcia. Tak naprawdę te liczby mówiły żniwiarzowi niewiele, ale Janina oczywiście pospieszyła z wyjaśnieniami: Wiatrołom i wszystkie okoliczne miejscowości były odcięte od energii i długo jeszcze potrwa, zanim zostanie ona do nich doprowadzona. Dobrze, że chociaż szpital miał niezależne zasilanie, podobnie jak lokalna gazeta, co już nie było aż takim pozytywem.

Miasto bez prądu zdawało się zimne i nieprzyjazne, a wyobraźnia potrafiła podsunąć coraz to bardziej makabryczne obrazy tego, co mogło wydarzyć się w nim po zmroku. Zresztą wyobraźnia wcale nie była tu konieczna. Wystarczyło zerknąć do tego szmatławca, który w niezwykle obrazowy sposób opisywał ludzkie zwłoki znalezione po poprzedniej nocy. Nikt niczego nie sugerował dosłownie, ale już na trzeciej stronie pojawił

się obszerny artykuł na temat praktyk satanistycznych. Ludzie zaś bardzo szybko podchwycili temat. Na murach kamienic niemal w magiczny sposób pojawiły się napisy: *Wiara to światło. Tylko Bóg może nas ocalić*, i wiele innych. Mieszkańcy Wiatrołomu bali się i nie rozumieli tego, co działo się w ich zazwyczaj bezpiecznej miejscinie.

Feliks przytroczył do paska sierp, poklepał ręką pochwę z nożem, upewnił się, że w jednej kieszeni ma sól, a w drugiej zioła. Na ramionach czuł ciężar plecaka zawierającego linę, zapas suszonego błota, ruty, dziurawca, leszczyny i innych ziół oraz małej apteczki. Tym razem musiał liczyć sam na siebie. Magda nie przyjdzie mu z pomocą, gdy zadzwoni do niej ranny, ledwie stojący na nogach.

Zacisnął mocno zęby z bólu, jaki wciąż odczuwał po jej stracie, i utkwivszy wzrok w punkcie przed sobą, owinął obie dłonie sznurem wisielca. Najgorsze było w tym wszystkim to, że czuł się, jakby walczył z wiatrakami. Jego miasto nie liczyło nawet dwudziestu tysięcy ludzi, ale wciąż było ich zbyt wielu, aby mógł ich ochronić jeden żniwiarz. Emilia i Jakub ponownie zapewnili go, że zabezpieczyli swój dom oraz zadbali o pozostałych członków rodziny, więc nie musiał ich strzec, mimo to miał wrażenie, że tak naprawdę nie mogli na niego patrzeć po tym, jak znów przyniósł im wieści o śmierci córki. Z kolei Janina z jego pozostałymi lokatorami stwierdziła, że poradzą sobie ze wszystkim i kazała mu iść ratować „nieoświeconych”, jak ich określiła.

Przemierzał puste ulice, gdy jego uwagę przykuł cień przemykający za witryną niewielkiego lombardu.

Żniwiarz chyłkiem dopadł ściany budynku, przywarł do niej plecami i ostrożnie zajrzał przez szybę. Było wiele człekokształtnych demonów, ale żaden nie interesował się telefonami komórkowymi. A brak prądu sprzyjał w szczególności złodziejom.

Feliks rozejrzał się po pustej ulicy. W pobliżu nie było ani jednego demona. Równie dobrze mógł się trochę zabawić.

Powoli wszedł do sklepu przez dziurę w szklanych drzwiach. Złodziej szybko się uwijał, pakując do torby biżuterię i sprzęt z potłuczonych gablot. Jego pierwszy błąd – stał plecami do drzwi. Drugi – na głowie miał kaptur ograniczający mu widoczność i tłumiący wszelkie dźwięki. Trzeci – włamał się do sklepu w mieście żniwiarza.

Feliks podszedł do niego, sięgnął po sznur i samą końcówką uderzył go po pośladkach. Włamywacz wrzasnął wniebogłosy, wyskoczył na godną podziwu wysokość i wywinął coś na wzór piruetu, którego nie powstydziałaby się profesjonalna baletnica.

Żniwiarz wywrócił oczami. Jednym ruchem podciął nogi złodzieja, aż ten z głuchym hukiem wylądował na plecach, a następnie przycisnął mu do piersi kolano i przyłożył sierp do szyi tępą stroną – w końcu nie chciał podrzynać chłopakowi gardła.

– Kiedy ci powiem, powoli wstaniesz, zostawisz swoją ładną markową torbę i wrócisz grzecznie prosto do domu, nie oglądając się za siebie.

Żniwiarz widział błyski białek oczu oraz czarne źrenice wpatrzone w niego w niemym przerażeniu. Złodziej natomiast musiał być w tych ciemnościach niemal ślepy. Za to bardzo dobrze czuł ostrze przy szyi

i kolano na piersi.

– Pamiętaj – szepnął Feliks, nachylając się nad nim mocniej. – Prosto do domu. W końcu po okolicy grasują sataniści.

Chłopak trząśnął się pod jego kolanem jak osika.

Żniwiarz wstał i cofnął się o krok, żeby nie zasłaniać wyjścia. Niedoszły złodziej poderwał się na równe nogi i nawet nie zerkając na przeciwnika, zerwał się do biegu.

Feliks syknął cicho, kiedy chłopak zamiast w drzwi, trafił głową witrynę i z głuchym hukiem się od niej odbił.

– Podejście numer dwa – rzucił, a włamywacz otrząsnął się i tym razem uciekł przez dziurę w drzwiach.

Feliks odczekał dwie minuty i sam opuścił sklep, a potem ruszył w stronę centrum. Mijał pocięte pnie drzew przygotowane do wywózki, sterty śmieci usunięte ze zniszczonych domów i wystawione na chodniki. A z okien wylewała się ciepła poświata świec.

Wyszedł za róg budynku, strzelił spojrzeniem w jedną, a potem w drugą stronę i zamarł. Sierp wysunął się z jego ręki i z brzękiem uderzył w chodnik. Żniwiarza ogarnęły poczucie beznadziei i świadomość tego, jak kruche jest ludzkie życie. Nigdy nie zdoła równać się z przeciwnikiem, z którym przyszło mu się zmierzyć.

Na samym środku ulicy stał... Nija, bo któż inny mógłby to być? Wielka, człekokształtna istota zbudowana z czarnego dymu. Pochylała się lekko, zaglądając w okna kamienic na trzecim piętrze. Długie, chude palce długości ramienia zwykłego człowieka kreśliły niedbałe wzory na szybach. Stwór przywodził

na myśl troskliwego gospodarza przechadzającego się wśród klatek z królikami. *I tym właśnie dla niego jesteśmy* – przemknęło przez myśl Feliksowi. *Niemądrymi zwierzętami, które można hodować i... zabijać.*

Tuż obok żniwiarza rozległo się skomlenie. Zerknął w bok i zobaczył małego kundelka, chowającego się pod ławką. Psiak z trwogą spoglądał na Niję, a potem rzucił błagalne spojrzenie człowiekowi. *Ratuj mnie!* – zdawały się mówić jego przerażone, bursztynowe oczy.

Feliks schylił się po sierp. Jeśli będzie trzeba, to zginie, próbując chronić swoich.

Nagle wielka głowa odwróciła się, zaśniły czerwone ślepia. Władca zaświatów dostrzegł swojego przeciwnika. Żniwiarz przygotował się do ataku, pewien, że sierp, zioła i wszystko inne, co miał w plecaku, na nic się nie zdadzą.

Wielki stwór wyprostował się, górując nad budynkami. Feliks nerwowo przełknął ślinę i przestąpił z nogi na nogę. Wtedy właśnie na twarzy utworzonej z czarnego dymu rozciągnął się szeroki uśmiech. Zupełnie jakby Nija był zadowolony z takiego obrotu spraw, jakby spotkał dawnego, nieco nieogarniętego znajomego.

Żniwiarz wystartował. W biegu sięgnął do kieszeni po zioła oraz sól. Gdy tylko zbliżył się do bestii, która wciąż obserwowała go z zainteresowaniem, sypnął mieszanką prosto w dym. Ciął sierpem po kostce i... przeleciał na drugą stronę, nie wyrządzając przeciwnikowi żadnej krzywdy.

Nija obrócił się i cofnął o krok. Uśmiechnął się pobłaźliwie, po czym jego postać zatraciła kształt

i runęła w dół niczym rzeźba z suchego piasku. Czarny pył rozszedł się po ziemi na wszystkie strony – jak fala po wybuchu – opłynął nogi Feliksa, ławkę, skomlącego psa i popłynął dalej, rozlewając się po całym mieście.

Żniwiarz opuścił ręce. Ten stwór z niego zakpił. Doskonale wiedział, że żniwiarz nie był godnym go przeciwnikiem, i nawet nie zadał sobie trudu, żeby go zlikwidować.

Feliks podszedł do ławki i opadł na nią. Kundelek wyczołgał się spod siedziska i polizał go po dłoni z wdzięcznością.

– Nie pokonałem go – odezwał się cicho żniwiarz. – Nawet nie przepędziłem, nie masz za co mi dziękować.

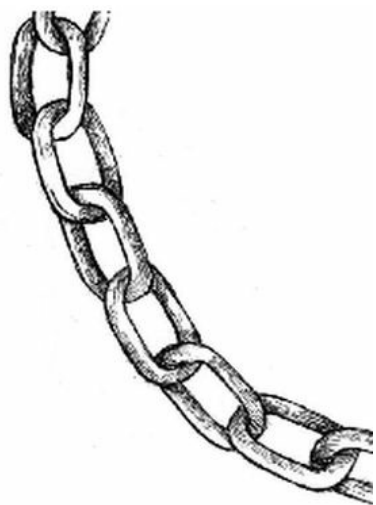
Pies wywalił jęzor, postawił uszy i przekręcił głowę, słuchając.

– Nie powinieneś szwendać się po ulicach nocą. Wiatrołom już nie jest bezpieczny. Gdzie mieszkasz? – Feliks sięgnął do obroży, by sprawdzić zawieszoną na niej adresówkę, jednak zanim zdążył ją odczytać, kundelek wyrwał się i odbiegł. Zaszczekał radośnie na podejrzanie wyglądający kołek leżący na chodniku i zniknął za rogiem.

Żniwiarz przejechał palcem po ostrzu sierpa, po czym się roześmiał. Nagle cała ta sytuacja wydała mu się zabawna. Był jak dziecko, które ledwie nauczyło się chodzić i atakowało plastikową łyżeczką dorosłego, zaprawionego w bojach mężczyznę.

– Wszyscy zginiemy.

Rozdział 8



To, co Żywia szumnie określiła mianem domu, okazało się skromną budowlą z belek zaklejonych polepą. Może nie był to prymitywny szałas, ale na nazwę chaty też nie zasługiwało. Przy wejściu stała niesolidna drewniana konstrukcja, która miała być prawdopodobnie regałem. Leżały na nim poukładane najróżniejsze przedmioty, od glinianych naczyń po zwykłe śmieci.

– Chyba dawno cię tu nie było, co? – zagadnęła Magda, patrząc na dziurę w dachu. W kątach leżały wysuszone liście. Z powały zwisały pęki poszarzałych ziół.

Dziewczyna zignorowała jej komentarz. Schyliła się i spomiędzy liści wyciągnęła dużą plastikową butlę.

– Idź do strumienia po wodę – rozkazała, wskazując palcem kierunek.

Jestem zniwiarzem, nie muszę przyjmować rozkazów od dzieciaka...

– Chyba że wolisz iść na polowanie?

– Zaraz wracam. – Magda wzięła butelkę i wymaszerowała z chatki, starając się zachować resztki godności.

Gdy tylko oddaliła się od obozowiska, poczuła zapach wody i mokrej ziemi. Miała wrażenie, że jej węch trochę się wyostrzył w ciągu ostatnich dni, choć nadal był daleki od tego, którym dysponowała tuż przed swoją ostatnią śmiercią. Może to z głodu?

Szybko odnalazła bystry strumyk wijący się w głębokim kanionie porośniętym wysokimi bukami. Wąska ścieżka prowadząca do niego była częściowo zasypana ziemią i liśćmi, ale nadal rzucała się w oczy. W pewnym momencie Magda stanęła na grubym

patyku, który obrócił się pod jej butem, i dziewczyna resztę drogi przejechała na tyłku.

– Durny badył – rzuciła, podnosząc się.

Pochyliła się nad wodą i zanurzyła w niej rękę, obmywając je z brudu. Przyjrzała się paznokciom, które były w stanie godnym pożałowania. Gdyby Oliwia to zobaczyła, dostałaby ataku hysterii...

Magda spróbowała spojrzeć na swoją twarz w bystrym nurcie. Bez powodzenia. Mimo to wiedziała, że nie ujrzałaby swojej twarzy. Czyje ciało otrzymała, lądując w Nawii? Nie była sobą ani Oliwią, a na logikę nie mogła być kimś innym.

Nabrała wody w butelkę i pospiesznie wróciła do obozu. Kiedy przekraczała niewidoczną granicę terenu należącego do koleżanki, poczuła nieprzyjemny zapach. Po jej ciele przebiegły ciarki.

– Żywia! – zawołała.

W odpowiedzi mały wróbel zerwał się do lotu. Nastolatka musiała już pójść na polowanie. Z braku zajęcia Magda spróbowała wypełnić czas ogarnięciem całego miejsca. Przygotowała palenisko, wymiotła z chaty liście za pomocą miotły z witek brzozowych, poukładała porozrzucane przedmioty. Wszystko wokół sugerowało, że Żywii nie było tutaj przez długi czas, a zwierzęta, wiatr i deszcz nieźle musiały się tu zabawić.

Niebo poszarzało, zrobiło się chłodno. Magda rozpałała ognisko i usiadła przy nim, zawijając się w pachnący dymem koc Żywii. Okolica tchnęła spokojem i ciszą. Dziewczyna zapatrzyła się na płomień. Odkąd tylko dowiedziała się, gdzie wylądowała, w jej głowie kształtowała się pewna myśl. Było to zaledwie ziarenko

piasku na pustyni, kropla wody w oceanie, ale wciąż rosła, wciąż przepychała się coraz bliżej powierzchni, aby w końcu ukształtować się w słowa: Mateusz żyje. W każdym razie jest na to nikła szansa. Zniknął w świecie żywych, nie umarł, ale został wciągnięty gdzieś przez Niję. Równie dobrze mogło rzucić go tutaj, do królestwa umarłych.

Jakie były jednak szanse na to, że w odstępie zaledwie dwóch tygodni oboje znaleźli się w Nawii? Jakie były szanse na to, że znów się zobaczą?

Magda nie chciała robić sobie nadziei, bo nie przetrwałaby zawodu, gdyby mimo wszystko okazało się, że się myliła. Jej serce znów zostałoby roztrzaskane na drobne kawałeczki.

A nawet jeśli tu trafił, dał radę przeżyć te dwa tygodnie? Przecież ona sama prawie umarła z głodu, no i jeszcze te demony.

W Nawii żyją ci, o których pamiętają w świecie żywych...

Feliks na pewno o niej pamiętał. I rodzice. Czy to znaczyło, że była nieśmiertelna? Prawą dłońią potarła opatrunek na lewym ramieniu. Jakoś nie czuła się niezwykła, a na pewno krwawiła i nie zamierzała sprawdzać całej tej teorii o nieśmiertelności.

Zapatrzona we wnętrze własnej duszy nie zauważyła, że zapadł zmrok. Małe ognisko oświetlało niewielki krąg wokół niej. Drzewa zaszumiały złowieszczo, w oddali odezwał się puchacz. Nagle zrobiło się późno. Żyvia nadal nie wracała, więc Magda zaczęła się martwić. Trudno było lubić nastolatkę z tym jej butnym zachowaniem i złośliwymi odzywkami, ale przecież były jedynymi ludźmi w promieniu diabli wiedząc ilu

kilometrów. Były skazane na siebie.

Spokojnie. – Magda zrobiła głęboki wdech. *Dziewucha przeżyła tutaj kupę lat. I jakoś sobie radziła, na pewno nie dała się zabić.*

Mimo to obawy jej nie opuściły. Wwiercały się w mózg, pojawiały przy każdej myśli. Magda nie śmiała ruszyć się od ogniska, wciąż nasłuchując z nadzieją, że każdy kolejny szelest oznajmi przybycie Żywii. A może powinna iść jej szukać? Szkoda tylko, że nie miała zielonego pojęcia, w którym kierunku dziewczyna poszła.

Po raz kolejny dorzuciła do ognia. Kilka iskier wzniosło się ku niebu upstrzonemu gwiazdami. Droga Mleczna znów świeciła jasno, wyznaczając szeroki trakt przez sklepienie niebieskie.

– No nie – odezwała się cicho Magda. – Serio?

Dopiero teraz dotarło do niej, dlaczego tak było. Według starych wierzeń gdy ktoś umierał, jego dusza pod postacią ptaka ulatywała ze świata żywych, a kierunek wyznaczała jej właśnie Droga Mleczna. Nazywana również ptasią drogą albo...

– Drogą dusz – szepnęła.

Od początku, gdy obudziła się pod wielkim dębem, wszystko podpowiadało jej, że umarła, odeszła ze świata żywych. I w głębi serca ona sama również o tym wiedziała. Tylko nie chciała tego do siebie dopuścić.

Zaakceptowała już własną śmierć, teraz nauczy się żyć w Nawii, a potem dowie się, jak stąd uciec.

W pobliżu rozległo się stłumione jęknięcie. Magda poderwała się na równe nogi, koc zsunął się z jej ramion.

– Może byś tak raczyła mi pomóc? – usłyszała.

Żywia wyszła z mroku, targając coś dużego. Magda poczuła zapach krwi, sierści i potu. Natychmiast podbiegła do koleżanki i ściągnęła z niej truchło młodego koziołka.

Nastolatka dopadła butli z wodą i zaczęła pić tak łapczywie, aż się zachłysnęła. Otarła usta wierzchem dłoni i usiadła na ziemi. Magda zrzuciła z ramion martwe zwierzę.

– Jak udało ci się go upolować? – zapytała z podziwem.

– Nie pytaj – mruknęła Żywia, kręcąc głową. – Trzeba go wypatroszyć.

Na chwilę zapadła cisza, gałąź przełamała się z trzaskiem w ognisku.

– Co? Że ja? – zdziwiła się Magda.

– No raczej.

Dziewczyna spuściła wzrok i zaczęła skubać zadartą skórę przy paznokciu.

– Nie umiem – przyznała z odrobiną wstydu.

– W jakich czasach ty żyłaś?

– W których nie musiałam robić takich rzeczy.

Żywia wyciągnęła zza paska nóż.

– Pokażę ci.

– A nie możemy zrobić tego rano, jak wstanie słońce?

– Nie, bo się zaparzy.

Magda westchnęła ciężko i wzięła do ręki swój nóż.

– Mów, co mam robić.

– Połóż go na grzbiecie.

Wykonała polecenie, a potem patrzyła, jak Żywia przecina skórę na mosznie zwierzęcia.

– Myślałam, że zaczyna się od głowy?

– Jak nie wyjmiesz mu jajek, to mięso będzie potem

śmierdziało.

– Aha – odezwała się. – Ty jesteś myśliwym, ty się znasz.

Żywia nie skomentowała. Przejechała nożem od mostka do gardła, przecinając mięśnie oraz odsłaniając przetyk, krtani i tchawicę. Wyciągnęła je i ucięła tuż przy samej głowie. Przetyk zawiązała, żeby nic się z niego nie wylało.

Sprawnymi ruchami otworzyła jamę brzuszną, wyjęła narządy wewnętrzne. Na haku powiesiła truchło głową do góry i ponacinała pachwiny. Odłożyła serce, płuca i wątrobę, żołądek i jelita wsadziła zaś do wiadra i podała Magdzie.

– Pójdiesz i to zakopiesz.

– A nie można wyrzucić gdzieś dla padlinożerców?

– A chcesz, żeby z padlinożercami przyszły demony?

Magda sięgnęła po saperkę i oddaliła się od obozowiska. Wkrótce nie widziała już ogniska, a drogę oświetlały jej gwiazdy. Nie wiedziała, jak daleko miała iść, ale skoro flaki mogłyby sprowadzić nawich, wołała dmuchać na zimne. W końcu doszła do niewielkiej polany i zabrała się do kopania głębokiego dołu.

Ziemia była twarda, a saperka tępa, więc szybko się zmachała.

Albo mi się wydaje, albo po śmierci jestem dużo słabsza – przemknęło jej przez myśl. Może to wina nowego ciała, może klimatu Nawii, może niedawnej głodówki.

Kiedy dół był wystarczająco głęboki, wrzuciła do niego wnętrzności i zaczęła zakopywać. Prawie już kończyła, kiedy poczuła czyjeś spojrzenie na plecach.

To na pewno Żywia z jakimś uszczypliwym

komentarzem, że Magda tak się guzdrze. Ułamek sekundy później z siłą rozpedzonej ciężarówki uderzyła w nią świadomość, że przecież sama jest żniwiarzem i jeśli czuje, że coś wlepia ślepią w jej plecy, to na pewno nie po to, aby z nią pogadać.

Powoli wyprostowała się, strzelając spojrzeniem na boki. Niczego nie widziała, ale to wcale nie znaczyło, że nic nie czaiło się w lesie. Między drzewami panował nieprzenikniony mrok, ale ona była dobrze widoczna na łysej polance. Żadnego podejrzanego dźwięku, tylko zwyczajne odgłosy nocy, mimo to wwiercające się w podstawę czaszki odczucie, że coś ją obserwuje, nadal jej nie opuszczało.

Cholera, naprawdę pogorszył mi się wzrok! – stwierdziła ze złością, lustrując granicę lasu.

Wcześniej była zagłodzona i nie miała okazji, żeby to przemyśleć, ale teraz nagle poczuła się, jakby straciła co najmniej połowę swoich zdolności żniwiarza. Gorzej słyszała, była słabsza i wolniejsza. Prawie jak człowiek... Co było równie irytujące, jak i przerażające.

Pora wracać. No dobrze, była żniwiarzem, ale nie zamierzała stawać naprzeciw nie wiadomo czego uzbrojona zaledwie w tępą saperkę. Dlaczego, głupia, zostawiła nóż? Nawet nie pamiętała, w którym momencie patroszenia koziołka dała go Żywii.

Skierowała się do obozu. Trawa szeleściła pod jej butami, krople rosy osiadały na spodniach. Im bliżej lasu, tym lepiej widziała ciemne pnie i krzaki, a mimo to, gdy tylko przekroczyła jego granicę z polaną, musiała zatrzymać się na kilka sekund, żeby przyzwyczać wzrok do ciemności. Słyszała własny, nieco urywany oddech, serce biło w przyspieszonym

tempie.

Starając się robić jak najmniej hałasu, ruszyła przed siebie.

Nagle usłyszała trzask. Obróciła się gwałtownie, uniosła nieco saperkę, gotowa do odparcia ataku.

Puchacz zahukał i zerwał się do lotu z trzepotem skrzydeł.

Magda wypuściła z płuc powietrze. Obniżyła spojrzenie i zobaczyła błysk czerwonych oczu.

Cholera...

Zwid wyszedł powoli z cienia. Łańcuch ciągnął się z grzechotem po ziemi. Demon miękko stawiał łapy na ziemi, wciąż zbliżając się do dziewczyny. Obnażył wszystkie zęby, łeb spuścił poniżej karku.

Magda ugięła lekko kolana, uniosła saperkę. Spojrzenie czerwonych oczu hipnotyzowało, sprawiało, że miała ochotę się poddać. Opuścić ręce, odstłonić szyję i pozwolić, aby nawi zakończył jej bezsensowną egzystencję w tym miejscu. Przecież była zbyt słaba, żeby stawić mu czoła. To był jego teren, jak miała bronić się przed demonem na jego własnym podwórku? Był o tyle potężniejszy niż jego odpowiednik w świecie żywych. Nawet Feliks by nie dał...

Feliks padłby ze śmiechu, jakby usłyszał, że pokonał mnie zwid. – Ta myśl wypłynęła na wierzch, zakrywając wszystkie inne.

Magda potrząsnęła głową, ocknąwszy się z tego dziwnego odrętwienia akurat w chwili, kiedy nawi skoczył.

Błyskawicznie wykonała obrót wokół własnej osi, unikając potężnych łap i pazurów. Schowała się za drzewem, zwid ruszył na nią. Przez kilka sekund

mogłoby się zdawać, że bawili się w berka wokół potężnego pnia. Jednak zabawa szybko się skończyła – dziewczyna straciła rytm i demon wypadł prosto na nią.

Padła na ziemię i przeturlała się pod wielkimi łapami. Zwid przez chwilę wyglądał jak kot zdziwiony tym, że właśnie umknęła mu mysz. Magda chwyciła koniec łańcucha i zahaczyła go o drzewo. Nawi ze złością ruszył na nią. Odskoczyła, metal naprężył się, drewno zaskrzypiało, a wielka paszcza kłapnęła tuż przed twarzą dziewczyny.

– Na co dzień zabijam takich ja ty. – Nie powstrzymała się od komentarza, kiedy rozwścieczony zwid rzucał się na łańcuchu.

Co teraz? Zabić go? Czym? Chyba nie tępą saperką. Zdjąć łańcuch?

Jasne, już lecę – pomyślała z ironią.

Drzewo zatrzęszczało niebezpiecznie. Łańcuch poluzował się, a demon zbliżył o kilka centymetrów. Magda, niewiele myśląc, z całej siły zdzieliła go po łbie saperką, a potem rzuciła się do ucieczki.

Nie oglądała się za siebie, żeby sprawdzić, czy bardzo go zamroczyło. Bez tchu pędziła przed siebie, aż w końcu ujrzała w oddali błysk ogniska. Gdzieś daleko za nią rozległy się trzask i skowyt.

Może rozbił sobie o coś ten durny łeb – przemknęło jej przez myśl z nadzieją.

– Wreszcie – stwierdziła Żywia, kiedy wpadła na teren obozowiska. – Wyglądasz, jakby diabeł cię gonił.

– Zwid – sapnęła, rzucając się po swój nóż, wbity w pień drzewa. – Musimy go jakoś...

– Załatwić? Proszę, droga wolna. Ja się stąd nie ruszam. – Nastolatka usiadła przy ogniu.

– Ale on tu idzie! – Magda miała ochotę potrząsnąć tą głupią, zadufaną dziewczuchą.

– Co ty myślisz, że nie zabezpieczyłam własnego domu? Nie wejdzie tu.

– Tu, to znaczy gdzie?

Żywia wyjęła z ogniska patyk i zatoczyła w powietrzu okrąg. Końcówka gałązki rozżarzyła się, zostawiając za sobą czerwony ślad.

– Jesteś pewna? – Magda odwróciła się do lasu, gdzie rozbrzmiało wściekłe ujadanie.

– Uhm. – Jednak w głosie nastolatki zabrzmiało wahanie.

Żywia, wbrew temu, co twierdziła, podniosła się i wyjęła z ognia grubą gałąź.

Stały się ramię w ramię. Magda czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z klatki piersiowej, Żywia przestąpiła z nogi na nogę. Nie miały już gdzie uciekać przed demonem.

Jeśli sędzić po trzaskach i po brzęczeniu łańcucha, zwid był już zaledwie kilka metrów od nich. I nagle zapadła cisza. Magdzie krew szumiała w uszach, włoski na karku stanęły dęba. Widziała w oddali potężną sylwetkę nawiego. Słyszała, jak węszył, a potem zaczął parskać. Przeszedł najpierw w prawo, a potem w lewo, jakby wzdłuż jakiejś niewidzialnej bariery. Kilka razy ze złością uderzył łapami w ziemię.

– Mówiłam przecież, że zabezpieczyłam dom. – Odezwała się Żywia z nutką pretensji.

Z powrotem usiadła przy ognisku.

– Jak to zrobiłaś? – Magda jeszcze nigdy nie widziała czegoś takiego. Ileż było rzeczy, o których nie miała pojęcia!

– Różne takie. – Żywia wzruszyła ramionami. – Okadzanie dymem, zioła... Gdzie jest moje wiadro?

Dopiero po chwili do Magdy dotarł sens pytania.

– Zostawiłam.

– Jutro po nie wrócisz.

Z drugiej strony obozowiska rozległo się warczenie.

– Wkurzył się. – Żywia uniosła kąciki ust.

Jej uśmiech był zaraźliwy. Bo jak tu nie cieszyć się, skoro demon nie mógł ich dopaść?

– Musisz mnie nauczyć, jak zabezpieczyć obóz – powiedziała Magda. Gdyby potrafiła to zrobić jeszcze za życia, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

– Jak będzie czas – rzuciła Żywia.

– Możesz powiedzieć mi coś o Niji?

Nastolatka ewidentnie uciekła wzrokiem. Podniosła z ziemi listek i zaczęła go skubać.

– Proszę... – szepnęła Magda.

– Po co ci to?

– Wiesz, zginęłam przez niego. To jeden z jego demonów przebił mnie na wylot.

Magda poczuła nieprzyjemny dreszcz na samo wspomnienie własnej śmierci. Klatka piersiowa zabolęła w miejscu, w którym przebiły ją ostre pazury.

– No i co z tego? Nie ciebie jedną zabił demon. Najważniejsze, że on teraz ma inne zajęcia i dał nam spokój.

– Ty wiesz! – Magdę olśniło. – Wiesz o tym, co się stało. Wiesz o trzynastym księżycu!

– No i co z tego? – obruszyła się dziewczyna. – Nasze życie tak czy siak nie jest usłane różami, bez Niji na karku. A ci idioci żniwiarze musieli go obudzić! Razem z resztą demonów! Ty wiesz, co tu się działo?!

– To nie wina żniwiarzy! – zdenerwowała się Magda. – Przecież nie dawali się zabijać na własne życzenie!

– Nie mów, że im jeszcze współczujesz. A może jesteś jednym z nich?

Żywia wlepiła w nią świdrujące spojrzenie.

– Mój wujek jest. – Magda jakoś nie potrafiła zdobyć się na całą prawdę. Nigdy nie przypuszczała, że istnieje druga strona medalu. Poza tym doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że potrzebowała Żywii, aby przeżyć.

– No i dobrze, niech teraz radzi sobie z demonami, które na nas zsyłał.

Magda ze złością zacisnęła pięści. Głupia dziewczucha...

– Spojrzenie Niji jest skierowane na świat żywych. To już nie nasz problem.

– Jak można go zabić?

Żywia wybuchnęła śmiechem.

– Głupia jesteś, nie można go zabić.

– Ale trzeba coś z nim zrobić, on przecież zabija ludzi.

– A co cię to obchodzi? Tamten świat już ciebie nie dotyczy.

Magda miała ochotę wykrzyknąć prosto w jej twarz, że owszem, wciąż ją obchodzi, że tam jest jej rodzina, jej bliscy, a poza tym zamierza tam wrócić.

– Najważniejsze, że my mamy spokój. I nikt z nas nie musi już zginąć.

– Przecież wy i tak już nie żyjecie.

Żywia poderwała się i stanęła nad Magdą.

– Dla twojej wiadomości: ty też już nie żyjesz. – Uszczypnęła ją w ramię, aż Magda syknęła. – A to boli tak samo jak tam. Dobranoc.

Obróciła się na pięcie i zniknęła w swojej chatce. Magda miała ochotę wyrzucić jej, że była egoistką, ale

jaki był w tym sens? Dla Żywii istniała tylko Nawia, nie obchodził jej świat żywych. Wzięła kilka głębokich wdechów. Musiała się uspokoić. Potrzebowała tej dziewczyny, wytrzyma jej fochy, nauczy się wszystkiego o zaświatach i wróci do rodziny.

Sięgnęła po koc, który zsunął się z nastolatki, kiedy ta odeszła od ogniska wściekła jak osa. Zawinęła się w niego i ułożyła na ziemi do snu.

Rano obie wstały wraz ze wschodem słońca i udawały, że rozmowa poprzedniego wieczoru nie miała miejsca. Były wobec siebie uprzejme do przesady, aż Magdę to drażniło, ale na razie nie widziała innego sposobu, aby żyć w zgodzie.

Wokół całego obozu znajdowało się mnóstwo śladów po nocnym ataku wściekłości zwida. Widząc odcisk jego łap na ziemi, Magda nie mogła się nadziwić, jakim cudem mógł być taki wielki. A po plecach spłynęła jej strużka potu, gdy wyobraziła sobie, jak w Nawii może wyglądać łepi czy wieszczy.

Żywia poporcjowała koziółka. Część mięsa miała zostać uwędzona, a część zasolona. Magda była w szoku, kiedy nastolatka wyciągnęła ze swojej chaty kamionkowy garnek pełen soli. Zapytana, skąd go ma, wruszyła ramionami, twierdząc, że go „zdobyła”, cokolwiek miało to znaczyć.

Nastolatka pokazała, jak przygotować skórę, żeby się nie zepsuła. Razem oskrobały ją z resztek mięsa, natarły bukowymi trocinami i rozciągnęły na prawiłkach. Poszło im bardzo sprawnie, a na koniec Żywia wysłała jeszcze Magdę po wiadro, które ta zgubiła poprzedniej nocy.

Maja odłożyła książkę na stolik. Oczy już bolały od czytania przy świetle latarki, a poza tym lektura była naprawdę nudna. Wyciągnęła na kanapie nogi i poruszyła palcami stóp, aż strzeliły jej stawy. Nagle jej skarpetki zostały zaatakowane przez rudą kulkę zmierzwionej sierści.

– Burbon, ty baranie! – Krzyknęła, kiedy ostre jak igły zęby wbiły się w jej piętę. – Poszedł! Już! – Machnęła ręką, ale kot ani myślał zostawiać swojej „zwierzyny łownej”. Objął stopę dziewczyny czterema łapkami, wbijając w nią wszystkie pazury.

Maja nie wytrzymała i dała mu klapsa, na co kot, głośno prychnąwszy, w podskokach przemierzył pokój i schował się pod szafą.

– Głupi sierściuch! – Rzuciła za nim poduszką, która po chwili również została zaatakowana.

Jeszcze do wczoraj wakacje wyglądały wprost idealnie, nawet biorąc pod uwagę fakt, że musiała wrócić do Wiatrołomu. Jej rodzice wybrali się na wymarzone dwumiesięczne wczasy, ale ktoś musiał zaopiekować się Burbonem – kotem, na którego najwyraźniej przelali całą swoją miłość po wyjeździe córki na studia, a co za tym idzie, rozpuścili go jak dziadowski bicz.

Nie po to wyjechałam z tej dziury, żeby wrócić tu na dwa miesiące! – myślała ze złością zaledwie trzy tygodnie wcześniej. Jednak to rodzice płacili za jej studia, więc nie miała innego wyjścia.

Sytuacja znacznie się poprawiła, kiedy jej dawny znajomy, Tomek, zaproponował jej pracę kelnerki

w jakimś nowo otwartym barze. Od tej pory jej życie stało się znacznie ciekawsze. Właściciele baru, dwaj bliźniacy o wyglądzie prawdziwych typów spod ciemnej gwiazdy i stałych bywalców siłowni, okazali się sympatycznymi miškami. Gorzej z ich babcią, tą upiorną kobietą, która zawsze i wszędzie się szarogęsiła. Druga kelnerka, Klara, była bardzo fajna, podobnie jak ta nowa dziewczyna, Tosia.

No i najważniejsze – Tomek. Już kiedyś podejrzewała, że się w niej podkochał, i nie miałyby nic przeciwko, gdyby jej coś zaproponował, ale on nigdy nie miał odwagi, żeby zrobić pierwszy krok. Skoro teraz o niej pomyślał, to najwyraźniej mimo wszystko chciał się z nią widywać częściej.

Odłączyła telefon od kabla. Jak dobrze, że ojciec zapomniał zabrać swój powerbank i że naładował go przed wyjazdem. Inaczej bateria dawno by już jej padła. A tak mogła zadzwonić do Tomka.

– Co porabiasz? – zapytała, kiedy tylko odebrał.

– Nic takiego.

– Też ci się nudzi na tym przymusowym wolnym? Szkoda, że musieliśmy zamknąć bar.

– Nooo. – Tomek wcale nie brzmiał na zmartwionego.

– A może spotkalibyśmy się na mieście, co? – zaproponowała, nie owijając w bawełnę.

– Przecież nie ma prądu i wszędzie pewnie czają się złodzieje.

Maja wywróciła oczami.

– Nie wydziwiał. To może wpadniesz do mnie i... nie wiem, pogramy w jakieś planszówki przy świecach?

W słuchawce zapadła cisza.

– Wiesz, jestem teraz trochę zajęty...

Stopa Mai zaczęła nerwowo drgać. To w końcu chciał ją poderwać czy nie?!

– Mam dobrą kawę – kusiła. – I wodę z beczkowitzu. Jak mocno ją posłodzisz, to nie czuć metalu...

– Maja, ja bardzo chętnie, ale teraz nie mogę... naprawdę...

Od dwóch tygodni Tomek zachowywał się dość dziwnie. Był jakiś taki przygaszony i niewiele mówił, co było u niego co najmniej podejrzane.

– Stało się coś? – zapytała ciszej. – Chcesz o czymś pogadać?

Zawahał się, była tego pewna. Usiadła sztywno na kanapie, oczekując na odpowiedź.

– Nie, nic takiego – zapewnił nieszczerze.

Coś musiało zajść pomiędzy nim a szefami. Od jakiegoś czasu Tomek nie czuł się komfortowo w ich towarzystwie. Chyba nawet ich unikał. Tak jakby można było unikać kogoś, dla kogo się pracowało. A raz, kiedy do baru przyszła ta blondyna, ich kuzynka, od razu zwał na zaplecze. A może coś było między nimi...? Nie, bzdura, Tomek od dawna był zapatrzony tylko w Maję.

– Słuchaj – rzuciła do słuchawki. – Nie mogę pracować, nie mam prądu i mieszkam sama z głupim kotem. Jeżeli nie chcesz, żebym zwariowała, musisz zapewnić mi zajęcie.

Wstała z kanapy, podeszła do regału i zaczęła grzebać zapalką w płynnym wosku świecy.

– Jutro rano mogę podskoczyć do szefów, wziąć klucze od baru i trochę tam ogarniemy, co ty na to?

Sprzątanie baru. Nie tak wyobrażała sobie randkę, ale co tam, mogła się poświęcić.

– Ale sprawdzimy, czy zawartość barku się nie popsuła? – zapytała.

Tomek zaśmiał się do słuchawki.

– Pewnie.

Świeczka zgasła, ku sufitowi zaś uniosła się czarna smużka dymu. Maja, nie wypuszczając słuchawki z ręki, otworzyła drzwi na balkon.

– W takim razie jesteśmy umówieni.

Nagle coś rudego przemknęło między jej nogami.

– Burbon, chodź tu! – syknęła.

Ale kot zaczął nerwowo krążyć po balkonie.

– Co się dzieje? – zapytał Tomek.

– Nie wiem, kot świruje, jakby zobaczył ducha – rzuciła.

W słuchawce zapadła cisza. I tylko kot miauczał jak opętany. Co chwila zerkał to na piaskownicę niedaleko balkonu, to na Maję.

– Nic tam nie ma – zapewniła go.

Ale kot nadal darł się, jakby go ze skóry obdzierali.

– Maja? W porządku? – zapytał Tomek.

– Taa, tylko kotu coś odbiło.

Burbon po raz ostatni spojrział na piaskownicę, zamiauczał przeraźliwie, po czym... wyskoczył z balkonu.

– Nie!!! – wrzasnęła Maja.

Dopadła barierki w ostatniej chwili, żeby zobaczyć rudą smugę, która prysnęła w krzaki.

– Maja?! Co się stało?! – Rozbrzmiało w słuchawce.

– Ten głupi kot wyskoczył z balkonu!

– Nic mu nie jest?

– Chyba nie, to tylko pierwsze piętro, niby nie jest daleko od ziemi, ale co mu odbiło? Zamorduję

sierściucha! – Wróciła do mieszkania i zaczęła wkładać buty.

– Co robisz? – zapytał Tomek. W jego głosie zabrzmiał... niepokój?

– Idę po niego. Rodzice mnie zabiją, jak się zgubi. Nigdy czegoś takiego nie zrobił!

– Nigdzie się stamtąd nie ruszaj!

Mają zaskoczył jego nagły wybuch.

– Spokojnie, na pewno jest gdzieś przy bloku.

– Nie idź, tam może być niebezpiecznie!

– Daj spokój, muszę go znaleźć – rzuciła, po czym się rozłączyła.

Pięć minut później krążyła wokół budynku, nawołując kota. Jednak ten albo się schował, albo miał ją gdzieś.

– Burbon! Chodź, dostaniesz tuńczyka – zachęcała. – No chodź, kici kici, przeklęty kocie. Jak rodzice mnie wydziedziczą, to będzie twoja wina.

Zawędrowała w pobliże piaskownicy. Skoro już tu była, równie dobrze mogła sprawdzić, co wywołało u kota tak skandaliczne zachowanie. Podeszła do drewnianej skrzyni wypełnionej złocistym piaskiem.

– No i? Nic tu nie ma – westchnęła. – Słyszysz, Burbon?! Nic tu nie ma!

Gdzieś daleko rozległ się dziki skowyt. Maja błyskawicznie odwróciła się w tamtą stronę. Drżącymi rękoma wyjęła z kieszeni telefon i włączyła latarkę.

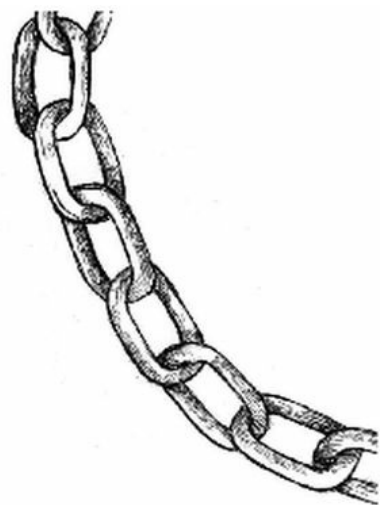
– Burbon? – zapytała niepewnie, robiąc krok do przodu.

Uniosła nieco rękę, żeby oświetlić drogę przed sobą. Zobaczyła brązowy, chropowaty pień lipy, a tuż koło niego coś wielkiego, szaro-czerwonego... Wielka paszcza naszpikowana zębami otworzyła się. Z przepastnego

gardła dobył się niski warkot.

Maja zaczęła wrzeszczeć tak, jak jeszcze nigdy. Jednak nikt jej nie usłyszał, a potwór zaczął biec w jej stronę. Odwróciła się, gotowa do ucieczki. Coś nią szarpnęło. Poczowała rozrywający ból. Telefon wypadł jej z ręki, latarka oświeciła soczyście zieloną trawę.

Rozdział 9



Magda przez cały dzień miała wrażenie, że coś ją obserwuje. Jak tylko oddalała się od obozu, słyszała podejrzane szelesty i powarkiwania. Kilka razy zobaczyła kątem oka cień czający się w zaroślach, jednak gdy tylko spojrzała w jego stronę, znikał.

– Ten zwid nie da nam spokoju! – zdenerwowała się późnym popołudniem. – Musimy coś z nim zrobić! Bo jeszcze trochę, a nie będziemy mogli w ogóle opuścić tej przeklętej chaty. – Machnęła ręką w stronę małego domku.

– Jak coś ci się nie podoba, zbuduj sobie lepszą – odgryzła się Żywia, zalepiając błotem dziury w ścianach. – I niby co byś chciała z nim zrobić?

– Nie wiem, mogłybyśmy zastawić na niego jakąś pułapkę...

– Ty chcesz zastawiać pułapkę? – Nastolatka uniosła brwi. – Ty, która prawie dałaś się zabić upiorowi, bo myślałaś, że to potrzebująca pomocy staruszka?

Magda się zaczerwieniła. Nadal było jej z tego powodu nieco wstyd. A miała siebie za prawdziwego żniwiarza. Jasne!

– Owszem – odparła godnie. – Ja z twoją pomocą. Bo nie uwierzę, że nigdy czegoś takiego nie robiłaś.

Żywia udała, że się zastanawia, tak jakby miała na ten wieczór inne plany.

– A gdybyśmy zastawiły na niego wnyki, podobne jak na ptaki, tylko dużo większe? Na pewno masz gdzieś ukrytą wystarczająco grubą linę.

Nastolatka powoli skinęła głową.

– Ale jeżeli chcemy zrobić to dziś, musimy się spieszyć.

Tytus, Mamut i Siwy nieco chwiejnym krokiem szli do domu. Mamuta wzięło na śpiew, ale noc była z tych cichych i wywołujących gęsią skórę pomimo dość wysokiej temperatury, więc koledzy szybko go uciszyli.

– Dajcie spokój, chyba się nie boicie tych całych saatanistów – celowo przeciągnął ostatnie słowo. – Przecież to ściema.

– Ty, Mamut, jesteś kretyn – warknął Siwy. – Mój wujek widział jednego trupa i to nie była żadna ściema. Koleś nie miał ramienia! Całego pieprzonego ramienia! Wyglądał jak jakiś cholerny Grendel!

Mniej odcytani koledzy spojrzeli na niego z tępych wyrazem twarzy.

– Pewnie wpadł pod samochód – ocenił Tytus. – Kiedyś oglądałem filmiki z wypadków samochodowych. To, że człowiek wyskakuje wtedy z butów, to małe piwo jest.

– Wyobrażacie sobie satanistów rozjeżdżających ludzi jak w GTA? – zaśmiał się Mamut.

Przez chwilę wszyscy wizualizowali sobie ten pomysł, aż Siwy pokręcił głową, a Tytus przyłożył Mamutowi pięścią w ramię.

Cała trójka przyjaźniła się od dzieciństwa. Byli od siebie zupełnie różni, a mimo to najlepiej bawili się zawsze w swoim towarzystwie. Największą ambicją życiową Tytusa było przepracować wystarczająco dużo czasu, żeby załapać się na rentę i móc całymi dniami majsterkować w garażu. Niektórzy twierdzili, że był geniuszem w naprawach – problem polegał na tym, że

nigdy niczego nie doprowadzał do końca. Mamut był rudym chudzielcem i jedynym, co ratowało go przed ksywką Rudy, było obfite owłosienie na klatce piersiowej i plecach. Nie grzeszył intelektem, ale wszyscy go lubili, więc ślizgał się przez życie po płatkach stokrotek. Siwy z kolei wyróżniał się na ich tle tym, że lubił czytać, oglądać programy dokumentalne i wiedział, że w internecie można znaleźć coś więcej niż filmy pornograficzne. Za to od dziecka prześladował go pech, który objawiał się w drobnych, mściwych złośliwościach losu, które nie pozwoliły mu wyrwać się z Wiatrołomu, aby otworzyć własną firmę.

O wszystkich trzech matki mówiły: *To dobry chłopiec, tylko mu się nie chce.*

Dawno temu skończyli już pracę w swoim zakładzie, zresztą kiedy nie było prądu, i tak tylko siedzieli beczynnie w hali produkcyjnej. Jednak po południu musieli załatwić pewną bardzo ważną sprawę. Woleli o tym nie rozpowiadać, bo ludzie dziwnie na to reagowali, ale co najmniej dwa razy w tygodniu wpadali do pewnej kobiety, żeby pomóc jej w pracach domowych, zrobić zakupy czy po prostu zjeść u niej kawałek ciasta.

Pani Mariola była samotna, czasem potrzebowała towarzystwa i drobnej pomocy. Mało kto już o tym pamiętał, ale nierozłączne trio było niegdyś tak naprawdę kwartetem, tylko Krakera zginął w wypadku na motocyklu dwa miesiące po swojej osiemnastce, zostawiając zrozpaczonych kumpli i pogrążoną w żałobie matkę. Od tej pory trzech przyjaciół systematycznie odwiedzało panią Mariolę.

Przez całe popołudnie rozbierali u niej na podwórku

dużą szopę, na którą przewróciło się pobliskie drzewo. Kobieta odwdzięczyła się im butelką bimbrowa, którego zapas zawsze trzymała dla „swoich chłopców” w piwnicy.

– Ja myślę, że to jakiś seryjny zabójca – odezwał się po chwili ciszy Tytus.

– Chyba trzech. To niemożliwe, żeby poćwiartował kogoś na jednym końcu miasta, a potem poleciał na drugi, żeby koleśowi urwać ramię – odparł Siwy.

– Może samochodem pojechał? – podsunął Mamut.

– Niby tak, ale ty wiesz, ile zajmuje wyrwanie komuś ramienia? – naskoczył na niego Tytus.

Rudzielec rozmasował własny bark, jakby zastanawiał się, z jaką siłą musiałby pociągnąć, aby go wyrwać.

– Nie, w sumie to nie wiem. Koleś musiał być naprawdę silny.

– Albo mieć dobrą dźwignię – mruknął Siwy.

– Ale po co?

– Ja zawsze mówiłem, że w pysk to najczęściej nie dostaje się za darmo – powiedział Tytus. – I żeby wyrwać koleśowi ramię, to trzeba być naprawdę wkurzonym. Może to jakaś zemsta?

– Z zemsty to byś mu szyby w aucie powybił – ocenił Mamut.

– Ja tak, ale...

– Ale taki prawdziwy świr wcale nie potrzebuje powodu – dokończył Siwy.

Każdy z nich namalował sobie właśnie w głowie obraz szalonego mordercy olbrzymia i jakoś tak ścieśnili się w marszu. Oczywiście nie na tyle, żeby się nawzajem dotykać.

– Wiecie, chyba trzeba było dokończyć tę szopę jutro –

odezwał się ściszym głosem Tytus.

Pozostali pokiwali głowami. Tak często kroczyli tymi ulicami po zmroku, we trzech nie bali się nikogo ani niczego, jednak zawsze było inaczej. Okolica nigdy nie była tak milcząca, a blask księżyca tak zimny. Wszędzie leżały sterty śmieci i pociętego drewna, w których tak łatwo można by się schować, jeśli byłoby się wariatem z siekierą.

– Nie chce mi się tak daleko iść – odezwał się Tytus, który mieszkał najdalej. – Siwy, mogę przenocować u ciebie?

– Nooo – zgodził się kolega, który jakoś też nie chciał zostawać w mieszkaniu sam.

– To może kimniecie się u mnie? – zaproponował z nadzieją Mamut, który mieszkał w garażu obok domu rodziców; z dwóch stron do ich ogrodu przylegał ciemny las.

– Tak, to dobry pomysł – ocenił Tytus.

– Ciii – syknął nagle Siwy. Wyciągnął rękę w bok, żeby zatrzymać Mamuta, do którego wszystko docierało dwa razy wolniej. – Co to za koleś?

Kilka metrów przed nimi siedział na ławce znudzony, szczupły chłopak. Wodził wzrokiem wokół siebie, nawet nie zaszczycając spojrzeniem trzech przyjaciół.

– Ja wiem – odezwał się Mamut. – To ten świr, co mieszka za Wiatrołomem, wicie, w tym rozwalającym się domu.

– Ten od Wojnów? – upewnił się Siwy.

– Dlaczego on tak teraz tu siedzi? – zastanawiał się Tytus odrobinę wyższym niż zazwyczaj głosem. – Co, nie słyszał o satanistach?

– Może słyszał? I może się nie boi, bo jest jednym

z nich?

– A ja słyszałem, że on zabił własnego ojca, żeby przejąć jego dom.

Krażyło wiele historii na temat nowego mieszkańca upiornego domu Wojnów, jednak ta wielu ludziom szczególnie pasowała. Czterdziestoletni Feliks, poważny i zrównoważony człowiek, pewnego dnia po prostu zniknął, a w jego domu zamieszkał ten chudy chłopak, przedstawiając się tym samym imieniem. To był na pewno jego bękart, który zabił własnego ojca w odwecie za to, że ten nigdy się do niego nie przyznał i nie płacił alimentów.

– Co on...? – zaczął Mamut.

Chłopak postawił na czubku palca dziwaczny nóż i zaczął go obracać. Księżyc oświetlił czarne, zakrzywione ostrze.

– To chyba... sierp – powiedział Siwy.

Nagle trzech przyjaciele porozumieli się bez słów. Oto mieli przed sobą prawdziwego świra. Bo tylko człowiek niezrównoważony siedziałby w taką noc na ławce w środku miasta i bawił się sierpem. Nie wyglądał na takiego, który potrafiłby wyrwać komuś ramię gołymi rękoma, ale przecież ze świrami różnie to bywa.

– Ej ty, koleś! – zakrzyknął Mamut, który od dawna sądził, że elokwencja to egzotyczny przyrząd z damskiej kosmetyczki, a zalotka to łagodne określenie na panią lekkich obyczajów.

Chłopak powoli obrócił głowę w ich stronę. W jego spojrzeniu było coś takiego, że cała trójka cofnęła się o krok. I właśnie to utwierdziło ich w przekonaniu, że mają do czynienia z prawdziwym psychopata. Trzej przyjaciele rzadko kiedy na własną rękę szukali

kłopotów, to one zazwyczaj znajdowały ich. Uważali się też za dobrych ludzi, może nie do końca porządnych, ale dobrych, takich, którzy dbają o swoich. A tej nocy „swoimi” byli wszyscy mieszkańcy Wiatrołomu, zjednoczeni w obliczu katastrofy i ataków seryjnych morderców. Młodzi mężczyźni poczuli obowiązek.

W bojowym nastroju ruszyli przed siebie. W końcu było ich trzech przeciw jednemu szczupłemu psychopacie. Jednak chłopak ze znużeniem wywrócił oczami.

– Po pierwsze jestem Feliks, a po drugie idźcie zająć się sobą – powiedział lekceważąco, co wywołało przyływ złości w samozwańczych obrońcach Wiatrołomu.

Nie będzie jakiś wypierdek diabli wiedzą skąd nimi pomiatał!

Mamut wysforował się przed kumpli. Tuż za nim kroczył potężny Tytus, a Siwy zamykał korowód.

Koleś niespiesznie przytroczył sierp do paska i się podniósł. Poza tym nie wykonał żadnego innego gestu, nie zaatakował pierwszy, czego się spodziewali, co trochę zbiło ich z tropu.

– To ty zabiłeś tych ludzi? – Mamut odzyskał mowę.

Chudy zmarszczył lekko brwi, jakby liczył w myślach swoje ofiary.

– Nie – rzucił w końcu.

– Nie kłam!

– Chłopaki, naprawdę... dajcie spokój i idźcie do domu – powiedział lżejszym tonem. – Niebezpiecznie jest tu w nocy.

– Nie będzie, jeśli dostaniesz – zagroził Tytus. – I wyniesiesz się z Wiatrołomu!

Feliks westchnął ciężko.

– Jestem tak samo tutejszy jak wy – powiedział. – Na przykład wiem, że cuchnie od was bimbrem, który wypiliście u pani Marioli.

Trójka przyjaciół zapowietrzyła się. Niby skąd on mógł to wiedzieć?!

– Ty jesteś Mamut, tak? – Spojrzał na rudzielca. – Zapytaj swoją matkę o tego dzikiego psa, który ją prześladował.

– Nie będziesz groził mamie! – wybuchnął Mamut.

To był odruch. Zacisnął pięść i posłał ją wprost na szczękę tego bezczelnego kolesia. Kilka lat przepracowanych przy noszeniu i szlifowaniu stalowych regałów nadały jego sierpowemu moc miażdżenia przeciwnika. Pod warunkiem, że trafił, co nie zdarzało się aż tak często, jak by sobie tego życzył. Dalej w przyszłość nie wybiegał. Wiedział, że jego ciało przejmie kontrolę nad umysłem i za kilka sekund koleś będzie zwijał się z bólu na chodniku.

Jednak to, co się stało, było dla niego zupełnie nie do przewidzenia. Szybciej, niż zdążył zarejestrować jego umysł, Feliks uchylił się i wymierzył mu cios w splot słoneczny, aż Mamut zatoczył się do tyłu. Potem podciął mu nogi, łupnęło i rudzielec leżał na chodniku, powoli zdając sobie sprawę z tego, że wbrew oczekiwaniom to jego boli głowa i to jemu brakuje tchu.

Nieustraszony Tytus rzucił się przyjacielowi na ratunek. Zanim się obejrzał, wywinał piruet, a psychol wykręcał mu ramię za plecami.

Dzielny, acz bardziej roztropny Siwy uniósł obie dłonie w pojednawczym geście. Nagle zdał sobie sprawę, że to od niego zależy, czy wyjdą z tej potyczki żywi, z kilkoma

siniakami, czy ktoś rano znajdzie ich rozczłonkowane ciała.

– Dobra, dobra, będziemy już grzeczni – zapewnił pospiesznie.

– To bolało! – poskarżył się Mamut, leżąc na ziemi.

– Aua, aua – popiskiwał Tytus z wykręconym ramieniem.

Zimny pot wystąpił mu na czoło, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że koleś trzyma go jak imadło. Ile jeszcze potrzeba, żeby oderwał mu rękę od ciała? Zrobiło mu się słabo...

– Tytus? – przestraszył się Siwy, widząc, jak jego kolega pozieleniał na twarzy.

– Ej, co z tobą? – zdziwił się psychol, kiedy Tytus osunął się na ziemię.

– Zabiłeś go! – wrzasnął Mamut, podczołgując się do przyjaciela.

– On tylko zemdłał. Nie wykręciłem mu tej ręki aż tak mocno.

– Ty psycholu!

– Mamut, zamknij się! – warknął Siwy.

Lecz przeciwnik niespodziewanie stracił nimi zainteresowanie. Zadarł nieco podbródek, jego oczy zwięzły się i przez chwilę wyglądał jak pies węszący za tropem.

– Koniec zabawy – rzucił grobowym tonem. – Pozbierajcie go i marsz do domu.

– Nigdzie nie idziemy! – Mamut bardzo wolno uczył się na własnych błędach.

Jednak Feliks już nie zwracał na nich uwagi. Jego ciało napięło się jak struna; chłopak sięgnął do paska po sierp i wypatrywał czegoś w ciemnościach.

– Co jest? – zapytał nieprzytomnie Tytus, otwierając oczy.

Teraz i do trójki przyjaciół dotarł cichy, niski warkot.

Feliks zaklął pod nosem.

– Za późno. – Strzelił spojrzeniem na boki. – Ukryjcie się w bramie! – rozkazał, wskazując sierpem ciemną plamę w murze starej kamienicy.

– Ty chyba sobie żartujesz! – oburzył się Mamut.

– Zamknij się – warknął Siwy, wlepiając wzrok w coś czającego się pod drzewem. – Co to, do cholery, jest?!

Z cienia najpierw wychyliła się wielka łapa. Czarne pazury z nieprzyjemnym zgrzytem rozprostowały się na asfalcie. Chwilę później jak na zwolnionym filmie w świetle księżyca pojawił się wielki, paskudny łeb należący do prymitywnej istoty, która wyglądała, jakby po raz pierwszy w życiu wylazła z jaskini.

Reszty potężnego cielska Siwy wcale nie chciał oglądać, ale jego mięśnie stężały, zdawał się zupełnie niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Z gardła Mamuta wydobyło się stłumione stęknięcie.

Feliks rzucił pod nosem przekleństwo, pchnął Siwego w stronę bramy, wyciągnął zza paska sierp i powolnym krokiem ruszył ku bestii. Tytus jęknął cicho, gdy przyjaciele wzięli go za ramiona i zaczęli wlec do ciemnej bramy.

– Co się...? – zaczął, ale Siwy syknął, żeby był cicho.

Za plecami usłyszeli trzask i zgrzyt metalu, ale żaden nie miał odwagi, żeby się obejrzeć za siebie. Najważniejsze to schronić się w cieniu bramy, stać się niewidocznym. Siwy miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z klatki piersiowej. Został już tylko kawałeczek.

Z tyłu rozległy się warkot i stłumiony ludzki krzyk, przepętniony wściekłością. Tytus doszedł nieco do siebie i zaczął samodzielnie iść.

W końcu dopadli do ciemnej bramy i przywarli plecami do muru pokrytego graffiti.

– Co to, do kurwy nędzy, było?! – Mamutowi jakoś udało się krzyczeć szeptem.

– Zamknij japę, baranie, bo cię jeszcze usłyszysz! – wycedził przez zęby Siwy.

Tytus, nie do końca rozumiejąc zachowanie przyjaciół, wyjrzał zza muru. Zanim koledzy chwycili go za bluzę na ramionach i zaciągnęli z powrotem w cień, zdążył zobaczyć, jak Feliks tnie stwora sierpem w bark, a sekundę później ten mutant pchnął go na jakiś samochód tak, że w drzwiach powstało wgniecenie.

– Co ty wyprawiasz?! – wściekli się kumple.

– Ja... co... do... – jękał się Tytus.

– Musimy stąd spadać – szepnął Mamut.

Koledzy pokiwali głowami. Ich twarze były trupio blade, a wielkie ciemne oczy upodobniały ich do upiorów. Zerknęli w głąb bramy, a potem na siebie. Wszyscy trzej wiedzieli, że dalej znajduje się zamknięty dziedziniec starej kamienicy. Nie było stamtąd wyjścia – no, chyba że włamałoby się do czyjegoś mieszkania i uciekli przez okno. Ale jakoś nie chcieli zwracać na siebie dodatkowej uwagi. Jeżeli stąd uciekną, mogą zamknąć się w domu i udawać, że nigdy ich tu nie było, nigdy nie widzieli świra ojcobójcy z sierpem ani żadnego mutantą.

Siwy ostrożnie wyjrzał z bramy. Feliks i ten stwór zniknęli z pola widzenia, ale słyszał odgłosy zacieklej walki toczącej się za samochodami.

– Teraz albo nigdy – szepnął do przyjaciół.

Wyszli z cienia i ruszyli wzdłuż budynku. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bali. Żaden z nich nie chciał iść pierwszy ani ostatni, co było dość trudne do wykonania przy trzech osobach. Mimowolnie złapali się za ręce i lekko pochyleni przemykali przed siebie.

Nagle usłyszeli zgrzyt. Wszyscy trzej zamarli i spojrzeli w bok. Ujrzeni wielką bestię, która wlaźła na maskę samochodu i zaczęła się rozglądać, węsząc w powietrzu. Wtem jej wzrok zatrzymał się na nich.

– Chodu! – krzyknął Mamut.

Jego przyjaciele wystrzelili do przodu, on sam jednak potknął się o coś i wylądował na chodniku, rozbijając sobie brodę. Na ułamek sekundy go zamroczyło, ale gdy tylko usłyszał ciężki tupot, natychmiast oprzytomniał. Pozbierał się z ziemi i już miał rzucić się za przyjaciółmi, kiedy kątem oka zobaczył wielki cień. Szarpnęło nim w bok, aż strzeliły mu kręgi w szyi, stracił równowagę, uderzył w coś bokiem; zabolalo jak diabli. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Potoczył się po ziemi, nie wiedząc już, gdzie góra, a gdzie dół.

Zatrzymał się przygnieciony przez coś ciężkiego. Nie mógł złapać oddechu, miał wrażenie, że jeszcze chwila, a pękną mu wszystkie żebra.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał tuż nad sobą czarną paszczę pełną pożółkłych zębów. Chciał krzyczeć, ale nie był w stanie dobyć z gardła dźwięku, nie mógł się ruszyć, nie czuł własnych rąk, jedna noga za to bolała jak diabli. Owionął go cuchnący oddech.

Feliks dźwignął się na nogi i potrząsnął głową. Zupełnie go zamroczyło. Uniósł lewą rękę do skroni i poczuł lepłą krew spływającą mu po twarzy. Nieprzytomnym wzrokiem spojrzął na sierp trzymany w drugiej dłoni.

– Wieszczy! – sapnął.

Lekko się zataczając, wyszedł z samochodu i rozejrzał się po ulicy. Zobaczył ciemną plamę w ścianie jednego z budynków, gdzie powinny znajdować się szklane drzwi prowadzące do małego marketu. Na ziemi leżały kawałki szkła.

Żniwiarz od razu ruszył w tamtą stronę, wciąż usiłując zebrać myśli. Nie powinien był tak łatwo dać się podejść wieszczemu, i to w samym środku miasta. Jednak zmęczenie, stres i żałoba po śmierci Magdy najwyraźniej mocno dały mu się we znaki. Stracił czujność, stał się bardziej powolny.

Wszedł do sklepu i usłyszał warkot dobiegający gdzieś spomiędzy regałów. Przystąpił nad chłopakiem leżącym w odłamkach szkła. Później sprawdzi, czy ten żyje. Kilka metrów dalej, opierając się plecami o stanowisko kasowe, siedział na ziemi kolejny ranny, trzymając się za zakrwawione ramię. Podniósł przerażone spojrzenie na Feliksa i otworzył usta do krzyku.

– Cicho, to ja! – syknął Feliks. Błyskawicznie ukucnął przy nim i zatkał mu usta dłonią.

Trwało to dobrych kilka sekund, zanim łepiek go rozpoznał – a czy się ucieszył na jego widok, to zupełnie inna sprawa.

– Gdzie ten trzeci? – zapytał żniwiarz.

Ten zrobił jeszcze większe oczy.

– To coś rzuciło się na Mamuta – szepnął ze strachem.
– Pobiegliśmy go ratować... i... i... – Zaciął się, a Feliks nie miał na to czasu.

– Sprawdź, czy tamten żyje. – Kiwnął głową w stronę rudego. – I zawiń sobie czymś tę rękę.

Żniwiarz wyprostował się i spojrzał w głąb ciemnego sklepu. Znów usłyszał cichy warkot, szelest plastikowej torebki. Wieszczy z całą pewnością nadal był w sklepie i najwyraźniej postanowił trochę pobawić się ze swoimi ofiarami, zanim je zabije. To dobrze, istniała zatem szansa, że waleczne trio wyjdzie z tego żywe.

Powoli i bezszelestnie ruszył między wysokimi regałami przed siebie. Dzięki Bogu miasto wciąż było pozbawione prądu i żadne kamery nie działały, bo później musiałyby się z tego wszystkiego gęsto tłumaczyć. Miał tylko nadzieję, że nikt ich nie widział, jak tu wpadli, i nie wezwał policji. Dobrze, że większość ludzi i tak miała rozładowane telefony.

Ostrożnie stawiał stopę za stopą, trzymając sierp w pogotowiu. Wieszczy przestał warczeć, w sklepie zapanowała głucha cisza. Żniwiarz stanął plecami do jednego z regałów, przymknął oczy i uspokajając własny oddech, wsłuchał się w otoczenie. Od strony wyjścia dotarły do niego szelest ubrań chłopaka czołgającego się do swojego kumpla i cichy jęk. Z drugiej zaś strony usłyszał sapanie bestii, która niespiesznie przemierzała sklep, szukając ofiary. Feliks ruszył ku niej i wychylił się zza regału.

Odwrócony do niego plecami wieszczy powoli szedł wzdłuż prostopadłej alejki, z ciekawością rozglądając się na boki. Feliks nie miał ani chwili do stracenia. Nawi zaraz go wyczuje, a wtedy koniec z elementem

zaskoczenia.

Wyskoczył zza regału i rzucił się na demona: lewą rękę zacisnął na krótkim owłosieniu na czubku głowy, drugą zakreślił półokrąg w powietrzu, jakby chciał objąć stwora, i przesunął ostrzem sierpa po jego gardle.

Niestety demon odchylił łeb i uderzył nim Feliksa w bark. Potem gwałtownie odwrócił się w jego stronę, mierząc pazurami w jego brzuch. Żniwiarz w ostatniej chwili odskoczył. Na podłogę lała się krew z przeciętego gardła – zaledwie centymetry dzieliły Feliksa od zabicia nawiego. Ponownie rzucił się do ataku. Ranił wieszczego w ramię, uchylił się przed potężną łapą. Przypadł do ziemi i przeciągnął sierpem pod kolaniem demona, przecinając mu ścięgna.

Wieszczy zawył z bólu, odskoczył i zaczął się wspinać na półki, strącając na podłogę paczki ze słodyczami, a potem ruszył pędem po szczycie regału.

Feliks rzucił się do biegu, nie spuszczając z niego wzroku. Nagle wieszczy przeskoczył na kolejny regał. Żniwiarz dobiegł do końca alejki, ostro wziął zakręt, o mało nie poślizgnął się na posadzce i pędził dalej. Niespodziewanie, kiedy nawi chciał znów skoczyć, regał, z którego się wybijał, niebezpiecznie się przechylił. Demon stracił równowagę, nie doleciał do następnej półki. Feliks nie widział więcej, bo sam musiał się ratować przed przewracającym się meblem. Rzucił się do przodu, przejechał na brzuchu dobrych kilka metrów i podkulił nogi akurat w chwili, kiedy sterta metalowych półek wypełnionych produktami kosmetycznymi runęła na kolejną, tworząc efekt domino. Na szczęście trzecia wytrzymała.

W uszach jeszcze rozbrzmiewał mu huk, kiedy

pozbierał się z ziemi. Zaczął przeklinać w duchu – tym razem ktoś na pewno usłyszał ten łomot. Oby tylko nie chciało mu się wstawać z łóżka i dzwonić na policję.

Wieszczy gramolił się właśnie spomiędzy półek. Zdawał się lekko oszołomiony.

Teraz albo nigdy!

Feliks wskoczył na przewrócony regał. Lekko stąpał po krawędziach półek, starając się nie wpaść pomiędzy nie. Dopadł do demona. Tym razem go zabije. Uniósł sierp, gotów do zadania ostatecznego ciosu, ale nagle usłyszał jęk i dźwięk przesuwanych po podłodze plastikowych buteleczek. Spod drugiego regału, opierającego się na kolejnym, wyczołgał się człowiek. Żniwiarz nie zdążył nawet zakląć ani ucieszyć się na widok największego typa z tamtej trójki.

Wieszczy za to najwyraźniej nie posiadał się z radości. O centymetry unikając ostrza sierpa, rzucił się w stronę człowieka. Przebiegł po przewróconym regale, a Feliks od razu ruszył za nim. Demon uniósł przednie łapy, gotów do skoku i zmiążdżenia ofiary.

Żniwiarz wypuścił z ręki sierp i rzucił się wprost na nawiego. Złapał go za potężne ramię, razem przelecieli nad mężczyzną i z łomotem wylądowali na ziemi.

Feliks natychmiast stoczył się z demona. Kopnął go prosto w rozharatane gardło. Po jego bucie pociekła krew. Wieszczy zaczął się dławić, a żniwiarz, korzystając z tej chwili, niedelikatnie odtrącił na bok Siwego, padł plackiem na ziemię i wsunął rękę głęboko pod regał, próbując sięgnąć upuszczony sierp. Nadal słyszał charkot za plecami; wyciągnął ramię jeszcze dalej i koniuszkami palców dotknął drewnianej rękojeści, ale gdy tylko spróbował ją chwycić, ta

przesunęła się poza jego zasięg. Żniwiarz zaklął – bez sierpa nie mógł pokonać wieszczego. Już chciał wysunąć się spod regału i spróbować dostać się do broni od góry, kiedy coś chwyciło go za kostki i mocno pociągnęło. Odruchowo chwycił się metalowej rurki, ale nie miał wystarczająco siły, żeby się na niej utrzymać. Pozwolił więc wyciągnąć się spod regału, gwałtownie obrócił się na plecy, krzyżując nogi w kostkach, i uniósł tułów. Stracił broń, ale wieszczy również miał w tym momencie pewien słaby punkt. Prawa ręka Feliksa wystrzeliła do przodu prosto w rozcięte gardło. Palce zatopiły się w ranie i zacisnęły na czymś. Nawi zrobił wielkie oczy i od razu puścił stopy żniwiarza. Demon nie demon, ale najwyraźniej nawet wieszczy ma tchawicę. A Feliks nie miał żadnych skrupułów, żeby mocno za nią szarpnąć. Na rękę polała mu się czarna krew. Usłyszał trzask, a jego palce ześlizgnęły się i żniwiarz poleciał nieco do tyłu. Natychmiast stanął na nogach i wyjął zza paska łom. Wiedział, że nie zabije nim wieszczego, ale przynajmniej nieźle go ogłuszy. Wziął zamach i zdzielił go w łeb.

Kątem oka dostrzegł z boku ruch. To tamten koleś spod regału powoli odczołgiwał się z pola walki.

– Podaj mi sierp! – powiedział ostro Feliks.

Facet spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Sierp spod regału! Już!

Chyba wreszcie zrozumiał, bo wlaź na przewrócone półki i zaczął szukać, jednak dla niego w sklepie panowała prawie nieprzenikniona ciemność i wszystko musiał robić po omacku. W międzyczasie żniwiarz okładał nawiego łomem. Niestety sekunda mijała za sekundą, a stwór zdawał się powoli dochodzić do siebie

i pomimo kolejnych ciosów bronił się z coraz większą zawziętością.

Nagle Feliks kątem oka dostrzegł ruch od strony wyjścia ze sklepu. *Tylko nie kolejny demon!* – pomyślał.

Ciemna postać szybko okazała się drobną kobietą z sierpem w dłoni. Na jej widok żniwiarz poczuł niewypowiedzianą ulgę. Wieszczy chyba poczuł nowy zapach, bo nagle jego oczy się rozszerzyły. Już miał obrócić łeb, kiedy Feliks zebrał w sobie wszystkie siły i spróbował wbić ostry koniec łomu w jego klatkę piersiową.

Rezultat nie był zbyt efektywny; metal wszedł w ciało zaledwie na centymetr. Ale przecież i tak nie miał go zabić, tylko odwrócić jego uwagę. Wreszcie żniwiarz ujrzał sierp wbijający się w szyję demona. Łeb stwora zawisł na kawałku skóry; Wanda poprawiła cięcie i głowa spadła na posadzkę, a tuż za nią przewróciło się masywne cielsko.

Feliks uśmiechnął się i skinał jej głową.

– Miło cię widzieć – powiedział.

– A ja znów muszę ratować ci tyłek – odparła z podejrzaną wesołością.

– Mam sierp! – Siwy nagle się wyprostował.

Feliks wziął od niego broń i poklepał go po łopacie.

– Dzięki, już po wszystkim. Myślę, że powinniśmy się stąd zbierać, zanim przyjedzie policja.

Wanda rozejrzała się wokół i znacząco pokiwała głową.

Na ulicy, niedaleko wyjścia, znaleźli dwie niedoszte ofiary demona. Obaj żyli, choć nie wyglądali najlepiej. Mamut chyba po raz pierwszy w życiu nic nie mówił. Wciąż miał lekko wybałuszone oczy. Nikt nie

skomentował jego mokrych spodni. Tytus z kolei nadrabiał za niego gadatliwością. Usta mu się w ogóle nie zamykały, ale wylatywały z nich tylko i wyłącznie przekleństwa.

– Wstawać, idziemy – pogonił ich niezbyt delikatnie Feliks. Nieważne, w którą stronę ruszą, jeżeli nie chcieli mieć więcej kłopotów, musieli znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

– Powinniśmy zaprowadzić ich na pogotowie – powiedziała Wanda, oceniając wzrokiem stan trzech mężczyzn.

Potrzebowali lekarza, jednak Feliks nie był pewien, czy pogotowie to taki dobry pomysł. Cała trójka była nadal w szoku. Niewiele trzeba było, żeby się wygadali o tym, co wydarzyło się w nocy. A potem to żniwiarz będzie musiał odpowiadać za zdemolowanie sklepu. Biorąc zaś pod uwagę to, co działo się w mieście, nie potrzebował kłopotów z policją.

– Idziemy do baru – zdecydował. – Potem wezwiemy Waldemara...

– Nie idę do żadnego baru! – Tytus nagle przypomniał sobie, że są inne słowa niż te, które zaczynają się na „k”.

– Bez dyskusji – uciął Feliks. Złapał za łokieć Mamuta, który wciąż był w szoku, i pociągnął go za sobą. Przyjaciele rudego siłą rzeczy powlekli się za nimi.

Na wschodzie niebo poszarzało, gdy dotarli wreszcie do baru. Na szczęście cały Wiatrołom był nadal pogrążony we śnie. Feliks odszukał w plecaku klucze, które poprzedniego ranka dostał od bliźniaków, i już miał otwierać drzwi, kiedy usłyszał za drzwiami jakiś hałas. Syknął na Tytusa, żeby się zamknął, po czym

wziął do ręki łom. Wewnątrz brzęknęło tłuczone szkło.

Żniwiarz wymamrotał pod nosem przekleństwo, porozumiał się wzrokiem z Wandą, żeby była gotowa odeprzeć atak czegokolwiek, co mogą znaleźć za drzwiami, i przekręcił klucz w zamku. Ostrożnie nacisnął klamkę i pociągnął za nią.

Na progu stał Waldemar z tulipanem zrobionym z butelki po piwie.

– A ty co tu robisz? – naskoczył na niego Feliks.

– A ty? Postanowiłem tu się zatrzymać na noc.

– Dobrze – przyznał żniwiarz. – Im bliżej barku, tym lepiej – dodał cicho pod nosem.

– Synek, nie przeginaj – ostrzegł lekarz. – Kogo my tu mamy? – Spojrzał na trzech mężczyzn.

Feliks przesunął się w progu i dosłownie wepchnął ich do środka.

– Zajmij się, proszę, nimi.

Z zaplecza wyszedł Gauza. Zacmokał niczym stara kwoka.

– Chodźcie tu, chłopcy – powiedział, odsuwając krzesła przy jednym stoliku. – Zaparzę wam herbatki.

Feliks wyjął zza lady dwie butelki wody, jedną podał Wandzie i opadł na krzesło. Wszystko go bolało.

– No i? – odezwał się. – Jak mnie znalazłaś?

– Nietrudno było. Przepraszam, że dopiero tak późno przyjechałam, ale najpierw ten wisielec, potem natrafiłam na bezkosta i coś, co, dałabym głowę, było cichą. Przynajmniej wyglądało jak cicha z opowieści Magdy. Właśnie, gdzie ona jest? Nie potrzebuje pomocy?

W gardle Feliksa pojawiła się ogromna gęsia skórka. Pokręcił głową.

– Magda nie żyje – wydusił z siebie.

– Boże kochany... Tak mi przykro. – Wanda położyła dłoń na jego ręce.

Żniwiarz poczuł napływające do oczu łzy. Zamrugął powiekami, żeby je odpędzić.

– Jak wygląda sytuacja poza miastem? – zapytał, opanowując głos. – Jesteśmy trochę odcięci czy wszędzie tak jest?

Wanda pokręciła głową.

– Zdaje się, że Wiatrołom był epicentrum wichury i nawich. Zauważyłam większą liczbę wypadków w całym kraju, ale ludzie dali radę to wszystko sobie jakoś logicznie wytłumaczyć. Co prawda wyszło to dość naciągane, ale powiem ci, że nigdy nie przestaną mnie zadziwiać tym, że zrobią naprawdę wszystko, żeby nie dopuścić do siebie prawdy o istnieniu demonów.

Feliks skinął głową. Przecież łatwiej uwierzyć w grupę szalonych satanistów morderców niż w nawich.

– Ale im bliżej Wiatrołomu, tym gorzej – dodała Wanda.

Żniwiarz opróżnił całą wodę i zgniótł z trzaskiem butelkę. Na ten dźwięk Mamut podskoczył jak oparzony, Siwy poderwał się z krzesła, a Tytus znów zaczął kląć.

– Nie ruszaj się! – zdenerwował się Waldemar, opatrując rękę Tytusa.

Gauza spróbował uspokoić całą trójkę.

– Feliks, co teraz? – zapytała Wanda.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Nie mam pojęcia, co robić. Jak niby mamy tylko we dwojkę unicestwić wszystkie te demony? Jak zabić Niję? Przecież jeszcze miesiąc temu nawet nie wiedziałem, że on naprawdę

istnieje!

Poczuł się tak samo zagubiony jak wtedy, gdy po raz pierwszy zginął i znalazł nowe ciało. Wszystko wokół było nowe i niezrozumiałe.

– Zrobimy to, co zawsze – odezwała się Wanda. – Damy z siebie wszystko i zabijemy tyle demonów, ile tylko zdołamy. Pamiętaj, że ta trójka – wskazała na pozostałych – żyje dziś tylko i wyłącznie dzięki tobie.

– A ilu ludziom nie zdążyliśmy pomóc tej nocy? – zapytał.

– Licz tylko tych, którzy przeżyli.

Podszedł do nich Gauza z dwiema filiżankami herbaty.

– Potrzebujecie pomocy Waldemara? – zapytał.

Feliks zaprzeczył. Był poobijany i obdrapany, ale poza tym nie ucierpiał w walce.

– Wypijcie w takim razie to i idźcie do domu się wyspać. My zajmiemy się tymi chłopakami.

Feliks uśmiechnął się do niego z wdzięcznością. Nawet nie zauważył, kiedy przerażony nauczyciel ze schizofrenią stał się pomocnikiem lekarza i dobrym przyjacielem zniwiarzy, w każdej chwili gotowym zadbać o te najdrobniejsze i z pozoru błahe sprawy.



Magda drżała z zimna i emocji. Las pograżył się w złowieszczym mroku.

– A jak go nie znajdę?

– To on znajdzie ciebie – odparła lekko Żywia. – Uwziął się na nas i nie odpuści tak łatwo. Tylko sama nie wbiegnij w te wnyki. Mam nadzieję, że sznurek

wytrzyma...

– To teraz zebrało ci się na wątpliwości?! – Magda oderwała wzrok od pułapki i spojrzała na swoją towarzyszkę.

– No już, spadaj stąd, zanim zwid sam tu przylezie.

Magda chciała jeszcze o coś zapytać, ale Żywia zajęła już miejsce z boku pułapki, oparła się o drzewce swojej włóczni i zmarszczyła groźnie brwi.

Magdzie nie pozostało nic innego jak po prostu odejść. Wcześniej ustaliły, że to ona będzie przynętą na zwida. Plan zakładał, że zwabi nawiego do pułapki, którą ona przeskoczy, a demon się w nią złapie. Wtedy Żywia go wykończy.

– Nic prostszego! – westchnęła Magda, maszerując między drzewami. Niestety teraz, gdy zostawiła za sobą bezpieczne obozowisko, nie była tego już taka pewna. Miała wrażenie, że co najmniej tysiąc rzeczy mogło pójść źle. Jednak musiały pozbyć się demona i wołały to zrobić, kiedy to one miały nad nim przewagę.

Z przyzwyczajenia ostrożnie stawiała stopy na suchych liściach, starając się nie robić żadnego hałasu. Ale przecież nie o to chodziło. Zatrzymała się, obejrzała przez ramię na ciemność za plecami. Gdzieś tam czekała na nią Żywia i Magda nie miała najmniejszego zamiaru się poddać.

Wtem ujrzała błysk czerwonych oczu między czarnymi pniami. Zrobiła głęboki wdech, powoli sięgnęła po niewielki patyk leżący na ziemi. Ślepią wciąż bacznie ją obserwowały. Usłyszała cichy, gardłowy warkot. A więc to już. Może nie zginie rozszarpana zębami demona.

– No chodź, cwaniaczku – mruknęła.

Zwid nie poruszył się, ale wiedziała, że cała jego

uwaga jest skupiona na niej. Cisnęła patykiem prosto między czerwone ślepie. Nawet nie sprawdziła, czy trafiła, tylko odwróciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki. Pędziła na złamanie karku prosto przed siebie. Wiedziała, że nawi jest szybszy od niej i tak naprawdę liczyła jedynie na element zaskoczenia.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie słyszała nic oprócz własnych kroków i ciężkiego oddechu. Zwolniła, wciąż nasłuchując, aż w końcu się zatrzymała.

– Co jest? – szepnęła zdziwiona. Czyżby nawi przejrzał ich plany? A może nie był głodny? To po cholere przez pół dnia kręcił się wokół ich obozu?!

Zmartwiło ją, że demony w Nawii były najwyraźniej inteligentniejsze niż w świecie ludzi. Obróciła się wokół własnej osi niezdecydowana, co robić dalej. Żywią się wścieknie...

Trzask łamanych gałęzi, błysk oczu i... nagle wielki cień wypadł spomiędzy drzew zaledwie kilka metrów od niej.

– Cholera! – sapnęła, zrywając się do biegu.

Spięła wszystkie mięśnie do granic możliwości; musiała być szybsza niż kiedykolwiek w życiu. Miała wrażenie, że zaczęła unosić się nad ziemią, ledwo dotykając jej stopami. Nie liczyło się teraz nic innego niż szaleńcza ucieczka.

Mimo to zwid był coraz bliżej. Słyszała jego sapanie i ciężkie kroki tuż za nią. Jeszcze chwila, a poczuje gorący oddech na karku. Dopadł ją strach. A co, jeśli się nie uda?

Wtem ujrzała w oddali znajome pnie drzew. W końcu spędziła przy nich kilka dobrych godzin, pomagając Żywii przy konstrukcji pułapki.

Kilka myśli pojawiło się w jej głowie niczym błyskawica. Jak samej nie wpaść w pułapkę? Jak uniknąć zębów, od których dzieliły ją już tylko centymetry? I gdzie się podziała ta przeklęta dziewczyna?!

Było już za późno, żeby się rozmyślić. W biegu wybiła się z ziemi, rękoma do przodu przeleciała nad całą konstrukcją, skuliła się w locie, wykonała przewrót przez bark, a następnie wylądowała na suchych liściach nie tak miękko, jak by sobie tego życzyła. Jej zęby zadzwoniły o siebie, w ręce coś boleśnie przeskoczyło, a przed oczyma pojawiły się mroczki. Jednak to nie miało znaczenia, ponieważ z satysfakcją usłyszała trzask gałęzi i napiętej liny, a tuż po nich skowyt zaskoczenia.

Magda pozbierała się z ziemi. Sznurek trzeszczał napięty do granic możliwości. Zwid szarpał się dziko, złapany w pętlę. Z cienia wreszcie wyszła Żywia.

– Hej! Pchlarzu! – krzyknęła.

Demon od razu zogniskował na niej spojrzenie czerwonych oczu, po czym ruszył prosto na nią. Dziewczyna odskoczyła, a nawim szarpnęło, gdy lina ponownie się napięła i prawie wylądował na grzbiecie.

– Nie pozwól mu się zerwać! – wrzasnęła Magda.

Zwid spojrzał prosto na nią.

– Cholera – rzuciła dziewczyna, zajmując pośpiesznie odpowiednie miejsce. – No chodź tu!

Nawi ruszył do ataku. Magda przebiegła tuż obok niego, ledwie unikając zębów, i stanęła po drugiej stronie drzewa, do którego był przywiązany.

Obie dziewczyny już wcześniej ustaliły, że demon, nawet na uwięzi, nie da się tak łatwo zabić. Musiały go

unieruchomić. A pomysł szczucia go tak, żeby sam owinął sznur wokół pnia drzewa, jeszcze kilka godzin wcześniej wydawał się naprawdę dobry. Jednak aby do tego doprowadzić i nie pozwolić mu zerwać sznura, nieraz trzeba było znaleźć się blisko jego paszczy.

Pałeczkę przejęła Żywia. Włócznią dźgnęła powietrze tuż przed demonem, ponownie doprowadzając go do szału. Zwid rzucił się na nią, ale dziewczyna wciąż trzymała się w bezpiecznej odległości i cofała się tak, aby kolejne centymetry liny zawinęły się na pniu.

Zerwie się! – myślała w panice Magda. Sznur trzeszczał, a zwid zajadle kłapał zębiskami.

– Tutaj! – wrzasnęła, machając rękoma.

Zaślepiiony wściekłością demon ruszył na nią. Magda wykonała piruet i odskoczyła. Chciała, żeby jak najdłuższy kawałek owinął się o drzewo, a lina przy tym nie napięła się za bardzo. I pewnie to by się jej udało, gdyby nie obliczyła źle odległości.

Nagle zwid znalazł się tuż przy niej. Jeszcze kilka milimetrów, a zacisnąłby paszczę na jej dłoni i pogruchotał jej wszystkie kości. Gwałtownie rzuciła się do tyłu i padła na ziemię. Nawi wyciągnął przed siebie jedną łapę, a ostre pazury ześlizgnęły się po bucie dziewczyny.

– Tu jestem, przeklęty kundlu! – wrzasnęła Żywia. Dziko wymachując włócznią, wyrzuciła z siebie całą wiązanekę wyzwisk, która zawstydziłaby grono budowlańców.

Zwid zawahał się, a Magda zdążyła się odczołgać na bezpieczną odległość. Żywia nadal się wydzierała, nawi jednak zamarł tak, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Co on robi?! – krzyknęła nastolatka.

Magda powoli pokręciła głową, stając na nogach. Nie miała pojęcia, jakie myśli mogły kryć się za tymi czerwonymi ślepiami.

Demon powoli powiódł wzrokiem po luźno teraz zwisającej linie – aż do pnia.

Czy to możliwe, żeby zorientował się, co planowały dziewczyny? Magda poczuła ukłucie strachu w tym samym momencie, w którym zwid szarpnął łbem i z rozpędem rzucił się prosto na Żywie. Łańcuch wlekący się za nim zabrzączał, a lina trzasnęła.

Nastolatka, wciąż się cofając, próbowała uniknąć wielkiej paszczy i wbić grot włóczni prosto w jego serce.

– Hej! Tutaj! – krzyknęła Magda, chcąc choć na sekundę odwrócić uwagę nawiego.

Jednak ten najwyraźniej uczył się na własnych błędach. Nawet na sekundę nie spuścił wściekłego wzroku z Żywii. Jego łańcuch pobrzękiwał głośno. Dziewczyna pchnęła włócznią, ale zwid ponownie szarpnął łbem i ostrze zjechało po jego karku, co najwyraźniej wpędziło go w furję. Nastolatka odskoczyła i posłała przestraszone spojrzenie Magdzie.

Obie doskonale wiedziały, że nie miały najmniejszych szans uciec do obozu. Zdawało się, że cokolwiek zrobią, i tak już są na przegranej pozycji. A skoro wszystko zawiodło, pora zebrać się w sobie i zachować jak prawdziwy żniwiarz. Ryzykując własnym życiem, spróbować zabić demona.

Magda gwałtownie wystartowała. Wybiła się, odepchnęła stopą od pnia drzewa, chwyciła niską gałąź, podciągnęła się i złapała równowagę. Przed nią zwid wciąż usiłował podejść Żywie, która rozpaczliwie broniła się włócznią.

Magda wyciągnęła z za paska nóż i rzuciła się prosto na czarny, szeroki grzbiet. Wbiła ostrze między łopatki. Zwid zawył i stanął na tylnych łapach, ale dziewczyna mocno trzymała się rękonożki. Demon zaczął się rzucać niczym byk na rodeo. Magda chciała wyciągnąć nóż i wbić go pod łopatkę, sięgając serca, ale zdała sobie sprawę, że w chwili, kiedy tylko go wyjmie, sama spadnie z hukiem na ziemię. Przez myśl przemknęło jej, że ten heroiczny atak był znacznie głupszy, niż przypuszczała.

I wtedy jej wzrok padł na łańcuch owinięty wokół szyi. Cóż, nie miała innego wyjścia.

Podciągnęła się nieco bliżej łba demona, który wciąż rzucał się na boki. Jedną ręką puściła nóż i zacisnęła palce na zmierzwionej sierści, przesuwając się jeszcze kawałek. Wciąż bała się, że nawi w końcu otrzeźwieje na tyle, aby wpaść na pomysł przeturlania się po ziemi na grzbiecie. Wtedy ją zmiażdży, a potem zagryzie.

Mocno zacisnęła uda na grzbiecie demona i przesunęła się jeszcze kawałeczek bliżej głowy, aż koniuszkami palców mogła chwycić łańcuch. Pociągnęła za niego, lecz nic to nie dało. W świecie żywych każdy zwid, jakiego spotkała, miał obrozę i kłamrę, którą wystarczyło odpiąć. Ale najwyraźniej w Nawii nic nie było takie proste.

Magda przesunęła się na miotającym się demonie jeszcze dalej. Powiodła opuszkami po metalu, aż znalazła większe ogniwo na samym końcu, przez które był przewleczony łańcuch tworzący pętlę. Ale żeby ją poluźnić, potrzebowała obu rąk.

Zastanawiała się tylko przez ułamek sekundy. Gwałtownym ruchem wyciągnęła z ciała demona nóż.

Chciała wbić go jeszcze bliżej szyi, ale wtedy nawi stanął dęba. Wypuściła broń z ręki i obie jej dłonie wystrzeliły w kierunku końcówki łańcucha. Zacisnęła je na pętli, chcąc ją poluźnić, i nawet jej się chyba udało, ale wtedy nawi gwałtownie opuścił łeb. Przednimi łapami uderzył w ziemię, aż się pod nim ugięły, a Magda wywinęła salto i wylądowała na plecach tuż przed demonem.

Natychmiast skuliła się i zasłoniła rękoma głowę, czekając na atak. Nic się jednak nie wydarzyło; jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała, był odgłos łańcucha zsuwającego się z łba demona; najwyraźniej musiała go pociągnąć za sobą. Powoli uniosła jeden łokieć, żeby zobaczyć, co się dzieje. Olbrzymi nawi stał nad nią i dyszał ciężko. W jego oczach zaś zamiast żądy mordy kryło się zaskoczenie. Kilka razy zamrugał, jakby niepewny, gdzie w ogóle jest i co ma robić.

Magda nie śmiała nawet drgnąć. Tylko modliła się o to, żeby w końcu zaczął płonąć, jak to robiły zwidy w świecie żywych. Niestety, nic takiego nie nastąpiło. Demon zniżył łeb, a dziewczynę owionął jego ciepły, śmierdzący oddech. Kosmyki jej włosów poruszyły się, kiedy fuknął jej prosto w twarz, jakby chcąc ostatecznie ustalić, kto tu jest górą, po czym przestąpił nad nią i odszedł powolnym krokiem.

Magda dopiero po chwili usiadła, wciąż patrząc w ślad za demonem.

- Co do ku... - Żyvia pozbierała się z ziemi.
- Udało się - przerwała jej Magda.
- Udało się?! Co niby się udało?! - wybuchnęła nastolatka.
- Tylko dlaczego się nie spalił?

– A po cholere miałby się palić?! Teraz diabli wiedzą, kiedy wróci i nas pozabija!

– Nie wróci. – Pokręciła głową. – Możesz mi wierzyć.

Żyvia złapała ją za łokieć i pociągnęła w górę. Magda stanęła na chwiejnych nogach i się uśmiechnęła.

– Zgrany z nas duet – powiedziała.

– Taa, jak ginąć, to razem, co?

Nastolatka schyliła się po nóż i wręczyła go Magdzie.

– Tak szalonego ataku na demona to jeszcze nie widziałam – skwitowała.

– Wrodzony talent.

– Co ty robisz? – naskoczyła na Magdę, kiedy ta podniosła z ziemi czarny łańcuch.

– Może się przyda...

Żyvia, która właśnie zabrała się do odwiązywania liny od drzewa, nagle znieruchomiała.

– Jesteś żniwiarzem. – Słowa te zabrzmiały jak oskarżenie, lodowate ostrze wbite prosto w serce.

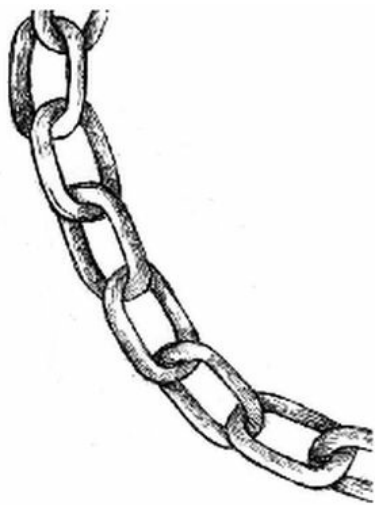
Magda odetchnęła głęboko i wreszcie zdecydowała się przyznać.

– Tak. Jestem żniwiarzem.

– Wiedziałam, że coś jest z tobą nie tak! Wiedziałam to od chwili, kiedy cię zobaczyłam!

Żyvia ze złością zaczęła zawijać linę na ramieniu. Cała radość z sukcesu, jaki Magda odniosła przed chwilą, pękła niczym bańka mydlana.

Rozdział 10



Tosia siedziała za ladą i z nudów bawiła się zapalniczką, którą roztargniony Sebastian zostawił w barze. Z samego rana Adrian poprosił ją i Klarę, żeby zerknęły tam i jeśli będzie trzeba, trochę ogarnęły w lokalu. Jednak w kącie na kanapie Waldemar drzemał przy pustym kuflu – ponoć miał ciężką noc i musiał kogoś zszywać – więc czekały z porządkami, aż lekarz się obudzi. Jego przyjaciel siedział przy oknie i czytał książkę.

Nagle drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Trzy zaskoczone pary oczu podniosły się na przybyszów.

– Zamknięte – odezwała się Klara.

– I dobrze – powiedział wcale nie speszony wysoki, umięśniony mężczyzna. Powoli przeszedł na środek baru. Dwóch drabów kroczyło tuż za nim. Z umiarkowanym zainteresowaniem powiedli wzrokiem po wnętrzu knajpy.

– Zapraszamy, jak będzie prąd – dodała Tosia, ale ją zignorowali.

– Gdzie właściciel tego przybytku? – zapytał wysoki.

– Zajęty. – Klara wyszła zza lady, dając do zrozumienia, że powinni już iść.

Atmosfera zwarzyła się. Ciszę przerwał szelest odkładanej na stolik książki. Pod powieką Waldemara można było dostrzec błysk sugerujący, że lekarz uważnie obserwuje przybyszów.

Jeden z nich powoli przeszedł pod ścianę i przejechał po niej palcem, zahaczając o ramki obrazów tak, że zaczęły się huścić. Drugiego z kolei zainteresował świecznik na stoliku: podniósł go, zważył w dłoni

i zaczął oglądać z każdej strony. Trzeci spacerowym krokiem zbliżył się do Klary i spojrzął na nią z góry.

– Powiesz swojemu szefowi, że to jest bardzo niebezpieczna dzielnica – odezwał się.

Dziewczyna skrzywiła się i cofnęła o krok, gdy owionął ją zapach z jego ust. Jej ruch uznał chyba za oznakę strachu, bo uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Z tego co wiem, jest to bardzo bezpieczna okolica – powiedziała twardo Klara.

– Morderstwa i napady są tu na porządku dziennym...

– Czy możesz tego nie ruszać? – zdenerwowała się dziewczyna, kiedy jeden z obcych odstawił na stół świecznik, wziął wazonik i wylał z niego wodę na podłogę.

– Ale za odpowiedni abonament możemy zapewnić tej knajpie i jej pracownikom ochronę – kontynuował drab.

Był tak zajęty Klarą, że nie zauważył, jak Tosia odłożyła na ladę zapalniczkę, dyskretnie wyjęła z kieszeni telefon, wyciszyła go i wysłała do Adriana wiadomość: „Pomocy bar”. Już miała schować aparat, ale coś ją tknęło, aby włączyć kamerkę i ułożyć telefon między filiżankami. Jak to dobrze, że bliźniacy pozwolili jej podładować go w ich samochodzie.

– A więc o to ci chodzi? O zwykły haracz? – zapytała lekceważąco Klara. – W takiej chwili? Połowa Wiatrołomu leży w gruzach, ludzie się jednoczą, pomagając sobie nawzajem, a ty przychodzisz tu i nam grozisz?

Tosia syknęła cicho. Jej przyjaciółka miała niewyparzony język i chyba zapomniała, że dwie dziewczyny oraz dwóch starszych panów przeciwko trzem obwiesiom takich rozmiarów mają niezbyt duże

szanse.

– Panowie, kasa świeci pustkami, bar jest zamknięty.

– Gauza wstał od stolika. – Zachęcam was, abyście przyszli w innym terminie i załatwili sprawę z właścicielami.

– Siadaj, dziadek – warknął na niego facet od świecznika i pchnął go z powrotem na krzesło.

Tosia zauważyła, jak Waldemar z wciąż przymkniętymi oczami sięga po kufel z grubego szkła i kładzie go sobie na kolanach.

Nagle rozległ się trzask; to ten trzeci strącił z półki doniczkę z kaktusem. Na podłogę wysypała się ziemia.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Wszystkie oprócz tej należącej do – jak się wydawało – przywódcy grupy, który zacisnął rękę na ramieniu Klary i szarpnął nią.

– Nie chcecie po dobroci, to będzie siłą – powiedział. – Ty, mała, otwieraj kasę. – Zwrócił się do Tosi.

– Prądu nie ma, kasa nie działa – odparła.

Facet strzelił na boki nieco zdezorientowanym spojrzeniem.

– Na pewno macie jakąś rezerwową kasę – rzucił.

– Bar jest otwarty zaledwie od trzech tygodni, jak myślisz? – odezwała się Klara, czym zasłużyła sobie na kolejne szarpnięcie, aż straciła równowagę i z hukiem wylądowała na podłodze między krzesłami.

Tosia drgnęła gwałtownie, chcąc do niej podbiec i jej pomóc, ale ten wysoki ostrzegawczo wycelował w nią wskazujący palec.

– Otwórz tę kasę – powiedział grobowym tonem. – Możesz ją nawet rozwalić.

Jego wzrok padł na zapalniczkę leżącą na ladzie.

Wziął ją do ręki, obejrzał, a potem bez słowa schował do kieszeni.

Sebastian się wkurzy – przebiegło przez myśl nastolatce. A wtedy nie chciałabym być w twojej skórze.

Nagle rozległ się szelest. To Waldemar wstał z kanapy i chwiejnym krokiem ruszył w stronę baru, ściskając w garści pusty kufel.

– Co to za pijak? – burknął dowódca bandy. Skinieniem głowy dał znać kumpłowi, żeby usadził go z powrotem na miejscu.

W tej samej chwili drzwi do baru otworzyły się i stanął w nich Adrian, przesłaniając słońce. Powiódł wzrokiem po wszystkich, a po chwili został wepchnięty do środka przez swojego brata.

– Co tu się, do ku... – zaczął Sebastian.

– Ci panowie chcieliby haracz – odezwała się Tosia. Na widok bliźniaków odzyskała rezon i dobry humor.

– Ja ci, kurwa, dam haracz! – zdenerwował się Adrian.

W kilku susach przesadził cały bar i stanął twarzą w twarz z dowódcą grupy.

– Ty tu rządysz? – zapytał.

Intruz musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Jego mina zdradzała, że jeszcze nie zdawał sobie sprawy, iż jest na straconej pozycji.

– Ta, ja – rzucił butnie.

– Już nie. – Adrian zacisnął dłonie na jego ramionach, odchylił głowę i przywalił mu czołem w nos, aż zagruchotało.

W tym samym momencie Sebastian uderzył pięścią najbliższego wyłudacza; ten zwałił się z hukiem na ziemię. Waldemar zaś wziął zamach kuflem i uderzył nim w głowę trzeciego.

Nie minęło kilka minut, a trzech obwiesi wylądowało na zewnątrz.

– Co za czasy – westchnął Gauza. – Żeby w tak trudnych chwilach napadać na ludzi?

– Pewnie właśnie z tego względu chcieli spróbować szczęścia w tej branży – powiedział Waldemar.

Adrian, mamrocząc pod nosem, z każdej strony uważnie obejrzał Klarę. Tosia wyłączyła kamerę w telefonie.

– Nic mi nie jest – burknęła w końcu Klara, lekko odpychając od siebie swojego chłopaka.

– Jak spotkam jeszcze kogoś z nich, to mu nogi połamię – odgrażał się Sebastian. – Raz w życiu człowiek chce być uczciwy, a tu przylezą takie mendy i będą nam grozić!

– Spokojnie, już nie wrócą – odparł z zadowoleniem lekarz. – Wasz bar będą omijać szerokim łukiem.



Czas w zaświatach mijał szybko. Magda wciąż martwiła się o swoich bliskich w świecie żywych, ale jak na razie nie miała szans na powrót do nich. Czasem przyłapywała siebie samą na tym, że w pamięci odtwarzała wygląd, zachowanie i głos rodziców, Feliksa, bliźniaków, a nawet Janiny. Bała się, że pewnego dnia o nich zapomni, że staną się zaledwie cieniem wspomnień, a ona pozwoli się pochłonać jej obecnemu życiu w Nawii.

Każdy dzień tutaj był naprawdę intensywny. Magda miała wrażenie, że bardzo powoli odzyskuje dawne siły,

tak jakby dochodziła do siebie po długiej chorobie. Teraz już wiedziała, jak musiał się czuć Feliks, kiedy znajdował słabe ciało i musiał zadać sobie sporo trudu, aby znów być szybkim, silnym i wysportowanym zniwiarzem. Bo nawet wśród nieśmiertelnych nie ma nic za darmo.

Dziewczyna wciąż uczyła się o nowym świecie. Niestety Żywia była kiepską nauczycielką: często traciła cierpliwość, częścią wiedzy nie chciała w ogóle się dzielić i wciąż zapominała, że dla kogoś, kto dopiero niedawno znalazł się tutaj, pewne rzeczy nie są oczywiste.

– Przecież mówiłam ci, żebyś się wyprostowała – huknęła po raz wtóry, kiedy Magda uczyła się strzelać z jej łuku. – Łokieć prosto!

– Nie drzyj się na mnie! – zdenerwowała się dziewczyna. – Możesz to samo powiedzieć dwa razy ciszej.

– Jak mówię cicho, to nic do ciebie nie dociera.

Ciągle wybuchały między nimi takie sprzeczki, ale mimo to nawiązały nić przyjaźni. Miały tylko siebie, tylko na siebie były zdane. Zanim Magda się obejrzała, zaczęła traktować ją jako nieco upierdliwą i zrzędliwą siostrę. Najbardziej lubiła chwile, kiedy siadały po zmroku przy ognisku. Gdy wokół panowała ciemność, a płomienie pożerały drewno, najłatwiej było nakłonić Żywię do mówienia.

– Dlaczego odeszłaś od innych ludzi? – zapytała pewnej nocy Magda. Nastolatka kiedyś wygadała się, że mieszkała w niewielkiej osadzie, ale nigdy nie wyznała, dlaczego wybrała życie w samotności.

Żywia wzruszyła ramionami, skubiąc niewielki kwiat

słonecznika, który znalazły wcześniej.

– Nie było łatwiej żyć w grupie?

– Nie, nie łatwiej – powiedziała w końcu. – Nie odpowiadało mi to, jak mnie traktowali, pomiatali mną i nigdy nikt nie brał mnie na poważnie. Co się szczerzysz? – zezłościła się.

Magda natychmiast się opanowała i zrobiła poważną minę. Diabli wiedzą, ile lat Żywia mieszkała w Nawii, ale czasem zachowywała się jak zbuntowana nastolatka.

– A więc pokłóciłaś się z nimi i uciekłaś z domu – podsumowała, za co towarzysza spiorunowała ją wzrokiem.

– Tak, uciekałam. Doskonale radzę sobie sama i nie zamierzam do nich wracać – oświadczyła.

– Bo nie wiesz jak.

Żywia zmarszczyła brwi.

– Co to niby ma znaczyć?

– To, że ci po prostu głupio, bo trzeba by było się tłumaczyć, może nawet przeprosić...

– Ty nic nie wiesz! – Żywia poderwała się z koca, rzuciła Magdzie na kolana kwiat słonecznika i ruszyła do chatki.

– Oczywiście, że nie, bo jestem tu zaledwie... ile? Miesiąc, dwa? Matko, straciłam już rachubę.

– No to się nie wymądrzaj. – Nastolatka zatrzymała się w połowie drogi.

– Wiem za to jedno – kontynuowała Magda. – Gdybyś tak bardzo lubiła żyć w pojedynkę, nie przygarnełabyś mnie.

– Wyglądałaś jak pobity szczeniak, który nic nie wie o świecie! Co niby miałam zrobić?

Magda uśmiechnęła się i rzuciła jej słonecznik.

– Dokładnie to, co zrobiłaś. Siadaj i się nie fochaj.

Na ten wieczór temat został zamknięty, ale wiedziała, że jeszcze nie raz do niego wróci.

Nazajutrz z samego rana Żywia wybrała się na polowanie, zupełnie jakby chciała uniknąć wszelkich rozmów na temat innych ludzi.

– Niby taka dorosła i samodzielna – orzekła Magda – a nadal zachowuje się jak dzieciak.

Skoro została w obozowisku sama, postanowiła trochę tu ogarnąć; przyniosła wodę ze strumienia, a potem wybrała się na łakę po zioła, które zawiązała w pęczki i przywiązała do naprędce skleconego stelażu. Minęło południe. Żywia nadal nie wracała, ale Magda się nie martwiła – samo znalezienie zwierzyny w lesie było dość czasochłonne. Jednak gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zaniepokoiła się. Nastolatka była naprawdę dobrym myśliwym, powinna już wrócić ze zdobyczą.

Magda rozpałała ognisko i zaczęła krążyć wokół niego. Wszystko było prawie tak samo jak pierwszego dnia, gdy dotarli do chaty. Wtedy jednak bała się, że znów zostanie sama, dziś zaś martwiła się o przyjaciółkę.

Zapadł zmrok, kiedy Żywia wreszcie wróciła, uginając się pod ciężarem młodej łani. Magda natychmiast odebrała od niej zwierzynę.

– Co tak długo? – zapytała z wyrzutem.

– A weź nic mi nie mów – sapnęła Żywia i przyłożyła do ust butelkę z wodą.

– Jesteś cała we krwi – zauważyła Magda.

Nastolatka spojrzała po sobie.

– Bo stwierdziłam, że dobrym pomysłem będzie, jak wypatroszę ją na miejscu – odparła. – Miałam kawał do

domu i bałam się, że się zaparzy. No i zawsze to mniej do niesienia.

– Za to śmierdzisz jak ubojnia.

– Powieś ją na hakach, a ja idę do strumienia się umyć.

Magda wykonała polecenie. Teraz już wiedziała, jak sprawić grubszą zwierzynę, a następnego popołudnia, kiedy jej przyjaciółka odsypiała polowanie, zabrała się do skórowania. I tylko jedna rzecz ją zastanowiła.

– Jak ty tę łanię zabiłaś? – zapytała, kiedy Żywia wreszcie wstała.

– Zastrzeliłam. A niby jak?

– To dlaczego nigdzie nie było dziury po strzale? Może i nie jestem profesjonalistką, ale powinna być gdzieś widoczna...

Żywia zmierzwiła swoje krótkie, poplątane włosy.

– No dobra, no – burknęła. – Znalazłam ją. Miała już poderżnięte gardło.

Magda się ożywiła.

– Ktoś inny ją upolował?

– Raczej coś. – Nastolatka pokręciła głową.

– To dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – zapytała z wyrzutem.

A ja byłam przekonana, że jesteś takim świetnym myśliwym... – pomyślała z odrobiną ironii.

– Bo nie wiedziałam, czy nie będziesz świrować, jak się dowiesz, że to jakiś demon mógł ją zabić.

– Dlaczego miałabym świrować?

– Inni ludzie nie tknęliby takiego mięsa. Chyba nigdy nie byli wystarczająco bliscy śmierci głodowej – dodała cicho.

– Jeżeli ty mówisz, że takie mięso jest dobre, to ci

wierzę. – Magda wzruszyła ramionami. Akurat w kwestii śmierci z głodu czuła się niemal specjalistką.

Żyvia podziękowała jej życzliwym uśmiechem. Zdawała się być w wyjątkowo dobrym humorze, więc Magda znów postanowiła poruszyć temat wyprawy do ludzi.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak bardzo chcesz do nich iść – skwitowała jej przyjaciółka.

Magda westchnęła ciężko. Choć nie narzekała na swój obecny byt – miała co jeść, gdzie spać i czuła się w miarę bezpieczna, dopóki siedziała tutaj, nie miała najmniejszych szans na to, aby dowiedzieć się, jak przedostać się do świata żywych.

– Słuchaj – odezwała się. – Jak będzie źle, to zawsze możemy we dwie wrócić tutaj.

Żyvia milczała przez dłuższy czas.

– Dobrze, zaprowadzę cię do osady, ale nie licz, że tam zostanę – zastrzegła. – Od jutra zaczniemy przygotowywać zapasy na drogę.

¢

– Poznałem ją na działce u znajomych i się zakochałem. A ona też zdawała się mnie polubić. Oczywiście wziąłem od niej numer, ale jest poza zasięgiem. Pewnie nie miała gdzie naładować telefonu. I nikt ze znajomych nie wie, gdzie ona mieszka. Wiem tylko, że ma na imię Magda.

Kolejna kasjerka pokręciła głową.

– Nigdy jej nie widziałam.

Michał wyszedł ze sklepu, ściskając w ręku kartkę

z portretem naszkicowanym z pamięci ołówkiem. Obszedł już kilka małych sklepów, które nadal były otwarte pomimo braku prądu, był w bibliotece i na stacji paliw. Wszędzie sprzedawał tę samą, niemal ckliwą historyjkę prosto z kiepskiego romansidła. Jednak nikt jej nie znał, nikt nigdy nie widział. A przecież mówiła, że idzie do Wiatrołomu! Musiała być stąd!

Po raz setny spojrzął na rysunek. Zawsze uważał, że jest niezły w te klocki. Tyle że tamtej nocy wydarzyło się tak wiele – może wszystko źle zapamiętał? Czy ona naprawdę tak wyglądała? Duże, niesamowite oczy, pełne usta, długie blond włosy. Dziewczyna z rysunku bardziej przypominała bohaterkę gier komputerowych niż prawdziwą osobę. Jak nic wyidealizował ją w swojej pamięci, więc co się dziwić, że teraz nikt jej nie rozpoznawał?

Spróbuj jeszcze szczęścia i popyta ludzi w parku, może ktoś coś będzie wiedział.



– Ja coś złapię na kolację, ty idź po drewno – zarządziła Żywia.

Magda nie protestowała. Jeżeli chodzi o polowanie, nastolatka była niczym lis, potrafiła bez problemu odnajdywać ścieżki zwierząt, „wywąchać” sarny już z daleka, a złapanie tłustego ptaka zajmowało jej podejrzenie mało czasu.

Jeszcze paręset lat w Nawii, a może i ja nabędę takich zdolności – pomyślała z ironią Magda.

Tymczasem musiała się zadowolić tym, że została sprowadzona do roli pomocnicy rezolutnej nastolatki. Przeszła wzdłuż brzegu jeziora, przy którym się zatrzymały, a potem zagłębiła się w las. Wyszarpała z młodnika świerkowego kilka chudych, wysuszonych na wiór pniaczków. Złożyła je do kupy i zaczęła wiązać, kiedy uderzyło ją poczucie *déjà vu*. Wyprostowała się i rozejrzała wokół.

To był dokładnie ten sam las i to samo jezioro, nad którym spędziła kilka dni, kiedy była jeszcze sama. Ile czasu od tego już minęło? Dawno przestała liczyć dni. Tutaj, w miejscu, gdzie nie było kalendarzy ani zegarków, a każdy, kto nie dał się zabić demonowi, był nieśmiertelny, czas leciał zupełnie inaczej.

Zaciągnęła do obozowiska pniaki i wróciła po następne, postanowiła jednak nieco zboczyć z drogi i zobaczyć brzeg, na którym kiedyś się zatrzymała. Sama nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła, ale usiadła na trawie twarzą do jeziora i zapatrzyła się na promienie zachodzącego słońca odbijające się w wodzie. Tak mało wtedy wiedziała. Była przerażona i bliska poddania się. Wiele od tego czasu się zmieniło.

Na chwilę znów pograżyła się w myślach o świecie żywych. Jak sobie dawali radę? Czy wszyscy jeszcze żyli?

– A to co? – Zmarszczyła brwi, widząc błysk na dnie jeziora.

Bez zastanowienia zdjęła buty i weszła do wody. Dno natychmiast się zamuliło, ale ona nie spuszczała wzroku z tej złocistej, kanciastej rzeczy. Sięgnęła po nią i...

– O cholera – sapnęła. – A to skąd się tu wzięło?

Rozejrzała się wokół, jakby zaraz miała spotkać kogoś, kto by jej to wszystko wyjaśnił. Jednak była sama, a w dłoni trzymała pustą puszkę po konserwie.

Jak to możliwe? Przecież tyle razy tu się kąpała! I szukała właśnie czegoś takiego, gdy chciała przegotować wodę! To musi leżeć tu od niedawna!

Znów powiodła wzrokiem dookoła. Ktoś najwyraźniej był tu po niej. Pospieszenie włożyła buty i ruszyła w stronę obozu, kiedy coś innego przykuło jej uwagę. Ręka zaciśnięta na puszcze opadła wzdłuż ciała, a Magda stanęła jak wryta.

Między drzewami majaczył ciemny kształt jakiegoś budynku.

Kilka razy zamrugowała powiekami, nie mogąc w to uwierzyć. Czyżby miała przywidzenia? A może pomyliła jeziora? Czegoś takiego z pewnością nie było tutaj wcześniej!

Bardzo powoli ruszyła w stronę czegoś, co wkrótce okazało się drewnianym domkiem. Wszystkie okna miały pozamykane ciemne okiennice, na dachu pokrytym blachodachówką rósł mech. A w drzwiach połyskiwała klamka. Zwykła, prosta klamka. Dokładnie taka, jakich były tysiące w świecie żywych. Magda odwykła już od widoku takich rzeczy. Co prawda Żyvia miała kilka „współczesnych” przedmiotów, ale jakim cudem w środku lasu wyrósł nagle drewniany domek?!

Magda z głośno bijącym sercem wspięła się po schodkach i nacisnęła klamkę, która o dziwo ustąpiła bez problemu. W twarz buchnął jej chłód i delikatny zapach stęchlizny. Bardzo ostrożnie przekroczyła próg. Jeżeli w środku czaił się jakiś demon...

Jednak panowała tutaj niczym niezmacona cisza.

Dziewczyna otworzyła jedno okno i okiennicę, a do środka wlało się odrobinę światła, które wystarczyło, żeby dostrzegła kanapę, stolik, kominek, nawet stary telewizor.

– Jakim cudem? – szepnęła. Przeciągnęła palcem po stole, zostawiając smugę w kurzu.

Uśmiechnęła się do siebie i pośpiesznie opuściła domek, a następnie pobiegła do obozowiska.

– Gdzie drewno? – Żywia podniosła na nią wzrok znad bażanta, którego właśnie skubała.

– Nie uwierzysz, co znalazłam! – sapnęła Magda. – Chodź natychmiast ze mną.

Złapała zaskoczoną nastolatkę za rękę i pociągnęła za sobą.

– Nie podoba mi się to – oświadczyła Żywia, kiedy tylko dostrzegła w oddali domek.

– Na początku myślałam, że to jest jezioro, nad którym wcześniej nocowałam, jest prawie identyczne – szczebiotała Magda. – Ale najwyraźniej się myliłam, bo wcześniej nie było tutaj żadnego domu. Ktoś tu musiał mieszkać, może znajdziemy jakieś przydatne rzeczy!

– Byłaś tu? Pamiętasz to jezioro? – Żywia nagle stanęła jak wryta.

– Nie, tu nie, nad takim samym jeziorem. To było tuż przed tym, zanim cię spotkałam...

Nastolatka przekleła.

– To jest to samo jezioro – powiedziała dobitnie.

– Nie, bo nie było tam domu, przecież bym go znalazła...

– Ten dom tu jest, bo ty tu byłaś!

Magda zatrzymała się i obejrzała na towarzyszkę.

– Nie pamiętasz, jak mówiłam ci, że kiedyś, gdy ludzie

jeszcze wierzyli w Nawię i pojawiało się tu wiele osób, nie musieliśmy pracować ani nic robić? Różne przedmioty, pożywienie, ubrania ze świata żywych po prostu się tutaj pojawiały. A potem przestały. Teraz ty się tu zjawiłaś, spędziłaś w tym miejscu trochę czasu, a więc pojawił się tu dom z twojego świata.

Przez kilka sekund Magda rozważała koncept magicznego pojawiania się rzeczy.

– I co, nic tu nie było, a potem jednej nocy nagle: puf i stoi dom?

Żywia wzruszyła ramionami.

– Chwila, skoro dom pojawił się tutaj... na marginesie: szkoda, że dopiero teraz, a nie gdy leżałam chora i przemarznięta na ziemi... pojawił się, bo ja tutaj byłam... – Magda zmarszczyła brwi i złapała kurtkę Żywii za mankiet. – To skąd dokładnie ty masz to?

– Mówiłam ci, że znalazłam.

– Więc ktoś z moich czasów jest tutaj!

– Nie wiem, nie spotkałam nikogo takiego.

– Ale gdzie to było? I kiedy? Był tam też dom? Były inne rzeczy? Musisz mnie tam zaprowadzić!

Magda знаła tylko jedną osobę z jej świata, która mogła znaleźć się w Nawii. Na samą myśl o tym jej serce zaczęło bić w przyspieszonym tempie.

– Nie tak prędko – ostudziła jej zapał Żywia. – Możemy tam iść, ale to jest jeszcze kawał za osadą. Więc najpierw pójdziemy tam, poznasz tych, których chciałaś, a potem zaprowadzę cię w miejsce, gdzie znalazłam kurtkę. Może być?

Magda z zadowoleniem pokiwała głową.

– Dziś śpimy na kanapie – powiedziała, nim ruszyła do domku.

Magda powyrzucała na środek domku wszystko, co znalazła w szafkach, i teraz z zapałem to przeglądała. Były to zaledwie stare ubrania, pachnące stęchlizną koce, porwany plecak, garść śrubek, wygięta łyżka i wiele innych przedmiotów, na które normalnie nawet by nie spojrzała. Jednak teraz cieszyła się jak dziecko, mając możliwość włożenia ciepłej kurtki i w miarę czystych spodni, nieważne, kto mógł je nosić wcześniej. Ba, tuż przy kominku suszyła się nowa bielizna, którą od razu wyprała w jeziorze.

Niestety Żywia nie podzielała jej entuzjazmu. Z początku w ogóle nie chciała wejść do domku. Usiadła na trawie tyłem do niego, jakby w ogóle nie chciała na niego patrzeć, i piekła nad ogniskiem bażanta.

– Rozłożyłam kanapę – kusila Magda po kolacji. – I napaliłam w kominku.

Żywia udawała, że nie słyszy.

– Dlaczego tak bardzo nie chcesz wejść do środka?

– Bo mi się to nie podoba – mruknęła nastolatka.

– Ale dlaczego?

– To nie jest naturalne. Ten dom nie jest z moich czasów i nie zamierzam...

– Ale jest z moich – przerwała jej Magda. Złapała ją za rękę i siłą zaciągnęła do środka. – Jakim cudem zdobyłaś swoje ubrania i garnki, skoro nawet nie chcesz tu wejść?

– Szybkie zabranie fantów a przesiadywanie w takim

miejscu to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Czasami zachowujesz się jak dziwak – skwitowała Magda, siadając na kanapie.

Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w Nawii, mogła spać w prawdziwym, ciepłym łóżku i po dłuższej dyskusji udało jej się namówić Żywie, żeby położyła się obok niej, a nie na twardej podłodze. A rano obudziła się wyspana jak chyba jeszcze nigdy. Najchętniej zostałaby tu jeszcze na trochę, ale z drugiej strony spieszyło jej się, żeby poznać innych ludzi, a potem ruszyć na poszukiwania tego, kto ściągnął za sobą do Nawii inne współczesne jej rzeczy.

Słońce znalazło się w zenicie, kiedy dziewczyny postanowiły zrobić przerwę w marszu. Dobry humor nie opuszczał Magdy. Zdjęła z ramion plecak, do którego zapakowała ubranie na zmianę, koc, łańcuch zwida i kilka innych przedmiotów. Rozmasowała barki, wciąż się uśmiechając.

Żywia z dezaprobatą pokręciła głową, po czym podała jej zimne mięso bażanta.

– Musimy się spieszyć – oznajmiła, patrząc w błękitne niebo.

– Dlaczego? – Magda powędrowała spojrzeniem za jej wzrokiem. – Zbiera się na deszcz?

– Księżyc przybywa.

Magda zmarszczyła brwi. W ogóle nie było go widać na niebie.

– A my musimy przejść przez tereny łowieckie demonów.

– To teraz na nich nie jesteśmy?

– Matko, jak ty mało wiesz – westchnęła nastolatka.

– A ty jak zwykle mało tłumaczysz – odgryzła się.

– Jest takie paskudne miejsce, nic tam nie rośnie, ziemia jest jałowa i kręci się tam mnóstwo demonów. I niestety nasza droga prowadzi właśnie przez nie.

– Nie możemy go ominąć?

– A mamy miesiąc na zbyciu?

Magda poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Skoro zabicie zwida, który był wielkości kuca, graniczyło z niemożliwością, jak będą wyglądały inne demony?



Tomek po raz wtóry nacisnął dzwonek. Nic, cisza. Znał Maję ładnych parę lat; gdyby chciała go spławić, znalazłaby lepszy sposób niż udawanie, że nie ma jej w domu. Po raz piąty tego dnia wybrał jej numer i po raz piąty nie odebrała. Z marszu mógł wyrecytować co najmniej kilka wyjaśnień. Mogła wyjść na spacer, może usnęła twardo, może zgubiła telefon i właśnie go szukała?

Miesiąc wcześniej niczym by się nie przejął, nie zamartwiał jak głupi, ale miesiąc wcześniej był zupełnie innym człowiekiem. Ateistą, który nie wierzy w żadne nadprzyrodzone siły. A potem cały jego świat zachwiało się w posadach, więcej – został wywrócony do góry nogami. Od tamtego dnia w barze, kiedy zaatakował ich człowiek zbudowany z cienia, Tomek nie przespał dobrze ani jednej nocy, każdy podejrzany dźwięk wywoływał u niego gwałtowny skurcz mięśni, każdy cień wydawał się podejrzany. Próbował wrócić do swoich dawnych przekonań, ale najwyraźniej cały demoniczny świat się na niego uparł, bo w zazwyczaj

nudnym jak flaki z olejem Wiatrołomie zaczęły dziać się dziwne rzeczy, ludzie umierali, a Maja od poprzedniego wieczoru nie dawała znaku życia.

Umysł wciąż podsuwał mu okropne wizje. W końcu każdy już chyba słyszał o człowieku, któremu ktoś lub coś wyrwało ramię. Na samą myśl o tym poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Po raz ostatni bez większych nadziei wcisnął dzwonek, następnie wyszedł przed blok i go okrążył.

Stanął pod żywopłotem i odszukał wzrokiem balkon Mai. Wyglądał zupełnie normalnie. Znów wybrał numer; najwyżej dziewczyna uzna, że ją prześladowuje.

Wtem dobiegła do niego stłumiona melodia. Rozłączył się, a muzyka ucichła. Ponownie zadzwonił i zaczął szukać źródła dźwięku. Głęboko w krzakach leżał telefon Mai.

– Wiedziałem! – W jednej sekundzie ucieszył się, że nie miał manii prześladowczej, a w drugiej zmroził go strach. Musiało stać się coś złego.

Odwrócił się gwałtownie, gdy coś rudego mignęło mu w polu widzenia.

– Kici kici – odezwał się.

Z żywopłotu zamrugały do niego przestraszone bursztynowe oczy.



Magda zerwała kolejną łądygę kwitnącego tojadu. Słońce w zenicie przygrzewało mocno, czuła, jak po plecach ścieka jej pot. A najgorsze, że nie miała nawet pewności, czy całe to zbieranie roślin nie było jakimś

głupim żartem Żywii. Oczywiście od wielu lat wiedziała, jak przydatne są zioła w walce z demonami, ale... wianek? W ogóle cały pomysł wyruszenia na tereny łowieckie nawich w wianku na głowie brzmiał co najmniej kuriozalnie.

– Powiedz mi, proszę, ale tak łopatologicznie, po jaką cholere nam te wianki? – zapytała, prostując zbolące plecy.

– A tobie znowu trzeba wszystko jak krowie na rowie...

– burknęła Żywia.

– Za moich czasów mówiło się, że wianki nosiły niegdyś dziewczęta i niezamężne kobiety, puszczały je też w Noc Kupały... Nikt nigdy nie wspomniał mi o tym, żeby miały chronić przed demonami.

– A myślisz, że po kiego grzyba kobiety przyczepiają kwiaty do włosów i czepków?

– Dla ozdoby?

Żywia westchnęła ciężko i pomasowała palcami skronie, jakby odpowiadanie na tak głupie pytania było dla niej niezwykle męczące.

– Mają odwrócić uwagę od noszącej je osoby. A że najwyraźniej dziewice są bardziej narażone na ataki... – Żywia zawiesiła na chwilę głos. – Dajmy na to, że masz we włosach kwiat i jak spojrzy na ciebie złe oko i będzie chciało cię zauroczyć, to zawiesi się na kolorowym kwiecie i...

– I nie zauroczy – dokończyła Magda. – To nie można tak? Od razu musimy pleść wianki?

– A o kole magicznym słyszałaś?

– Oczywiście – zachnęła się. – Na przykład, żeby schronić się przed błędami, wystarczy narysować na ziemi okrąg, a w nim trzy krzyże. Albo wysypać okrąg

z soli, żeby schować się w nim przed bezkostem.

Żyvia z zadowoleniem skinęła głową.

– Ale koło nie musi być tylko na ziemi. Może też być tu. – Podeszła do Magdy i niezbyt delikatnie puknęła ją palcami w czoło.

– Co to niby ma znaczyć? – oburzyła się dziewczyna, odsuwając się od niej.

– Pomyśl. Chociażby okadzanie pól i domów w koło dymem. A wieniec to magiczne koło, które wraz z roślinami ma chronić ciebie i twój durny czerep.

– Nie musisz być złośliwa – burknęła Magda.

Żyvia syknęła i uniosła dłoń, jej oczy się rozszerzyły. Rośliny na łące przechyliły się delikatnie, choć nie zawiął nawet najłżejszy wiatr. A tuż nad nimi pojawiła się jaśniejąca szaroniebieska mgła. Falowała i kłębiła się jak żywa istota. Magda zamrugła, ale dziwne zjawisko nie zniknęło. Było w nim coś niesamowitego; hipnotyzowało i przyzywało, wywołując jednocześnie uczucie głębokiego niepokoju.

– Zwijamy się. – Głos Żywii wyrwał dziewczynę z odrętwienia. – No już!

Magda ruszyła przez łąkę za przyjaciółką, po raz ostatni oglądając się na niesamowitą mgłę.

– Zniknęła – powiedziała, zatrzymując się.

– Cholera – rzuciła pobladła nastolatka. Nerwowo rozejrzała się wokół.

– Co to było?

Wtem mgła pojawiła się zaledwie kilka kroków przed nimi.

Żyvia cofnęła się, łapiąc Magdę za rękę. Gwałtownie odwróciła się i pociągnęła ją w innym kierunku, ale i tym razem podejrzanе zjawisko zagroziło im drogę.

Jednak teraz zdawało się rozgniewane. Kłębiło się znacznie szybciej, szaroniebieskie drobinki wirowały wokół jednego punktu z zawrotną prędkością. A potem zaczęły gęstnieć, obracały się coraz szybciej i szybciej, powoli tworząc ludzki kształt.

Magda patrzyła na ten spektakl szeroko otwartymi oczami. Po prostu nie mogła oderwać od niego wzroku. Aż w końcu ujrzała bardzo wysoką kobietą sylwetkę.

Żywia zaklęła siarczyście. Mgła zniknęła, w jej miejscu zaś stała...

– Południca – szepnęła nastolatka.

Demon miał ponad dwa metry wzrostu, zwieszały się z niego strzępy białej tkaniny, które niegdyś mogły być zwiewną suknią. Przerażliwie chude ciało miało kolor jasnoszarej kości. Głowa stwora wyglądała jak czaszka obleczone cienką niczym pergamin skórą. Wielkie czerwone oczy otaczała siateczka krwistych żyłek. Szare włosy okazały się ususzonymi roślinami zwieszającymi się na ramiona. Nawi wyszczerzył ostre zęby, w których błysnęło odbite słońce. Magda właśnie zdała sobie sprawę z tego, że teraz już wie, dlaczego nazywano go często babą z żelaznymi zębami.

– Co robimy? – szepnęła półgębkiem.

– Dobrze by było nie dać się zabić. – Żywia spokojnymi ruchami napięła cięciwę i sięgnęła po strzałę.

Magda wypuściła naręczę kwiatów i zacisnęła palce na rękojeści noża.

Rozległy się brzdęk cięciwy, świst i głucho łupnięcie, gdy metalowy grot wbił się w chude ciało. Południca spojrzała w dół na wystającą z jej piersi strzałę zakończoną szarymi lotkami, wówczas wbiły się w nią

kolejne dwie. Powoli uniosła wzrok na dwie przyjaciółki.

– W nogi! – krzyknęła Żywia, złapała Magdę za rękę i pociągnęła ją w stronę ciemnej granicy lasu.

Nim zdążyły przebiec kilka kroków, tuż przed nimi pojawiła się niebieskoszara, wirująca mgła, z której wyłonił się demon. Jedyнным śladem po strzałach były dodatkowe trzy niewielkie dziury w materiale na piersi.

Południca uniosła długą rękę i zamachnęła się na dziewczyny. Żywia od razu przypadła do ziemi. Magda z kolei zasłoniła się lewym przedramieniem, chcąc zablokować cios, jednak siła uderzenia była tak duża, że zwała ją z nóg. Łupnęło, gdy zderzyła się z gruntem, ale zachowała świadomość. Błyskawicznie odwróciła się na bok i kopnęła nawiego prosto w pieszczel. Południca zachwiała się i od razu skierowała spojrzenie czerwonych oczu na dziewczynę.

– Jak ją zabić? – sapnęła Magda, usuwając się spod stopy, która o mały włos nie wylądowała na jej brzuchu. Ostrzem noża przejechała po łydce demona. Skóra w tym miejscu rozeszła się, ale nic poza tym. Najwyraźniej nawi był tak wysuszony, że nie było w nim ani kropli krwi.

Wymyśl coś – modliła się w duchu Magda, uchylając się przed kolejnymi ciosami.

Dopóki cała uwaga południcy była skupiona na niej, miała nadzieję, że Żywia zdąży w międzyczasie wpaść na pomysł, jak zabić demona. Niestety nastolatka chyba nie miała bladego pojęcia, jak to zrobić. Posłała kilka strzał prosto w plecy nawiego, co zdawało się tylko go rozdrażnić. Odwrócił się do niej, znów zamienił w mgiełkę, a strzały po prostu spadły na ziemię.

– Uciekaj do lasu! – krzyknęła Żywia.

Magda zerwała się na równe nogi i zaczęła biec. Przyjaciółka była kilkanaście kroków za nią. Nagle rozległo się głucho łupnięcie.

Magda odruchowo obejrzała się za siebie. Okazało się, że południca zmaterializowała się tuż przed Żywią, która na nią wpadła. Teraz demon zacisnął chude palce na ramionach nastolatki i uniósł ją tak, aby ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Nogi dziewczyny wściekle machały w powietrzu i kopały stwora, jednak bez większych rezultatów.

Jej nowa przyjaciółka potrzebowała zaledwie sekundy, żeby podjąć decyzję, co robić dalej. Bez wahania zawróciła. Może w ciele demona nie płynęła ani kropla krwi, ale Magda miała nadzieję, że pod innymi względami będzie przypominał człowieka. W biegu schyliła się i przejechała ostrzem noża po ciele, przecinając ścięgna kolanowe nawiego.

Nogi południcy ugięły się lekko. Postąpiła kilka kroków naprzód, usiłując złapać równowagę. Zawyla głośno, ukazując metalowe zęby, po czym odrzuciła Żywią. Dziewczyna przeleciała dobry metr, nim z łoskotem wylądowała na ziemi.

Magda schyliła się, a długa ręka przeleciała nad jej głową. Przez niecałą minutę robiła uniki, usiłując wypatrzeć jakąś lukę, witalne miejsce, w które mogłaby uderzyć. Na próbę wbiła nóż w brzuch demona; szybko wyciągnęła ostrze, chcąc ponownie zatopić je w szarym ciele, ale w tym samym momencie dostała kościstą pięścią po żebrach. Uderzenie wyparło jej powietrze z płuc – padła na plecy i usiłowała złapać oddech. Nie było szans, żeby mogła się w takim stanie bronić.

Południca przykucnęła nad duszącą się dziewczyną.

Oparła jedną dłoń na ziemi tuż obok jej ramienia, drugą zaś wbiła w jej klatkę piersiową.

Magda wreszcie zaczęła oddychać, ale było już za późno – widziała rękę zatopioną w jej ciele. A mimo to nie czuła bólu, nie połała się krew. Chciała się wyrwać, odturlać, ale była zupełnie niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. I wtem jej serce ogarnął chłód. Poczowała pieczenie, jakby ktoś posypał je solą. A południca uśmiechnęła się, ukazując ostre zęby. Jej oczy stały się jeszcze bardziej czerwone, krwawe żyłki wydłużyły się, ogarniając prawie całą twarz. Potem pojawił się ból w klatce piersiowej, jakby południca zacisnęła palce na jej sercu. Magda chciała krzyczeć, ale z jej ust dobywał się jedynie charkot.

Nagle dziewczyna kątem oka dostrzegła cień. To Żywia wskoczyła na plecy demona i zatopiła nóż w jego szyi. W ułamku sekundy wyciągnęła ostrze i wbiła je ponownie, a potem przejechała nim po gardle stwora. Południca rozdziawiła paszczę, jej oczy rozszerzyły się, wszystko wokół zdawało się znieruchomieć, po czym ponownie zamieniła się w mgłę i zniknęła.

Żywia spadła na ziemię tuż obok Magdy, ale szybko pozbierała się na równe nogi i szarpnęła przyjaciółkę w górę.

– Wstawaj! Musimy zwiewać!

Magda była na wpół przytomna. Pozwoliła się postawić do pionu i zawisała na Żywii, kiedy ta zarzuciła sobie jej ramię na barki. Wolną ręką poklepała się po klatce piersiowej, szukając dziury tryskającej krwią. Nie znalazła jej, choć serce ją bolało, jakby wciąż zaciskała się na nim niewidzialna pięść.

– Ruszaj się! – sapnęła Żywia, ciągnąc ją w stronę

drzew.

Do granicy lasu zostało zaledwie kilkanaście metrów, lecz droga ta zdawała się ciągnąć w nieskończoność, kiedy Magda na wpeł szła, na wpeł była ciągnięta, a niebieska mgła mogła w każdej chwili pojawić się tuż przed nimi.

– Jeszcze kawałek – wydyszała nastolatka.

Krok za krokiem były coraz bliżej, a gdy znalazły się w cieniu rzucanym przez najbardziej wysunięte drzewo, obie padły na ziemię, ciężko dysząc.

– Jesteśmy tu bezpieczne? – zapytała Magda po kilku sekundach, gdy tylko złapała oddech.

– Tak, do cienia nie wejdzie.

– To dobrze. – Z powrotem opadła na miękkie posłanie z trawy, kwiatów i chwastów.

Przez dłuższy czas leżały w milczeniu. Choć wciąż nie było najmniejszego podmuchu wiatru, rośliny na łące nie przestawały lekko falować i gdzieś tam pojawiały się co chwilę szaroniebieska mgiełka.

– Myślałam już, że jest po mnie – odezwała się Magda, rozmasowując sobie mostek.

– Było blisko – przyznała Żywia. – Południca napada na śpiących w polu rolników i wysusza ich serca. A wtedy żaden już się nie budzi.

– Jakoś zawsze sądziłam, że powinna mieć sierp.

– Czasem chodzi z sierpem.

– Słyszałam też wersję, że ma długą szpilę, którą wbija w serce śpiącego. Delikwent od razu umiera, a szpila jest tak cienka, że nie zostawia żadnej rany.

– Nie wiem, nigdy nie widziałam czegoś takiego.

– No i czy nie powinna raczej kręcić się po polach ze zbożem?

Żyvia westchnęła.

– Zazwyczaj tak robią, ale wiesz, z braku laku i zwykła łąka jest dobra. Poza tym jesteśmy bardzo blisko pustkowi, więc tutaj demonów jest więcej.

Przez następne trzy godziny dochodziły do siebie i ukrywały się w cieniu, aż słońce zniknęło za drzewami. Wróciły wtedy na łąkę, zebrały rozrzucone kwiaty i zerwały nowe. Żyvia odszukała swoje strzały, które pomimo tego, że wbiły się w południcę, były nieuszkodzone.

– Jutro wejdziemy na pustkowie – oświadczyła nastolatka, kiedy wieczorem plotły wianki przy ognisku.

– Czego możemy się tam spodziewać?

– Dosłownie wszystkiego. Ale skoro uparłaś się poznać innych ludzi...

Magda pokiwała głową. Tak, to było zdecydowanie warte ryzyka. A może po prostu nie miała zielonego pojęcia, na co się porywała?



– Jesteś pewien, że cię nie wystawiła? – zapytał Sebastian.

Barman sapnął poirytowany, a bliźniacy wymienili spojrzenia. Lubili chłopaka, ale ich zdaniem nie miał zbyt wiele do zaoferowania kobietom. Chuchro z niego było, bić się nie potrafił, a gadkę miał taką, że niewiele z niej dało się zrozumieć.

– Jej telefon znalazłem w krzakach – powtórzył ze znużeniem Tomek. – No i jej rodzice tak uwielbiają tego kota, że w życiu nie zostawiłaby go samego! Coś

musiało się stać!

– Iść po Feliksa? – zapytała Klara.

– Widziałaś, jaki był wykończony? – odezwała się Tosia, trzymając na kolanach rudego Burbona. – Wrócił do domu nad ranem i ledwie stał na nogach. Poszukajmy jej sami, za dnia nie jest aż tak niebezpiecznie...

– Wy nigdzie się nie ruszacie. – Adrian wycelował palec w dziewczyny.

– A ty zaprowadź nas do miejsca, w którym znalazłeś jej telefon – Sebastian zwrócił się do Tomka.

Barman pokiwał głową, patrząc, jak jego szefowie pakują do torby maczetę i kij bejsbolowy.

– Zaopiekujcie się, proszę, Burbonem – poprosił jeszcze Klarę i Tosię.

– A najlepiej to weźcie go do domu Feliksa i tam na nas czekajcie – polecił Sebastian.

– Klucze do baru zostawcie panu Waldemarowi – powiedział Adrian. – Tylko dyskretnie schowajcie gdzieś najdroższe alkohole – dodał szeptem.

Kwadrans później bliźniacy krążyli pod blokiem Mai, usiłując zgrywać specjalistów. Jednak nigdy jeszcze nie szukali zaginionej dziewczyny, już prędzej to oni byli przyczyną czyjegoś zaginięcia. Po prawdzie zdarzyło się to tylko raz i wcale nie wyglądało jak w filmach. Po prostu przez trzy dni siedzieli w starym domu w lesie i pilnowali koleś, którego brat wisiał pewnemu „przedsiębiorcy” pieniądze. Fucha była całkiem fajna. Porwany koleś okazał się spoko i już po jednym dniu razem pili, obiecując, że jeżeli będą musieli obciąć mu jakąś część ciała, będzie to tylko mały palec, i postarają się zrobić to bezboleśnie. Na szczęście brat hazardzista

oddał pieniądze, porwany wrócił do domu w stanie lekko wskazującym, a bliźniacy dostali swoją dolę za przyjemny, trzydniowy urlop od babci.

Wtedy świat był prostszy – pomyślał Sebastian. Bez demonów, bez rodziny, bez swojego miejsca na ziemi...

Po raz kolejny uznał, że za nic nie wróciłyby do tamtych czasów. Adrian pokiwał głową, patrząc w pustkę. Najwyraźniej pomyślał o tym samym albo po prostu chciał wyglądać jak zawodowiec.

– No i? – przerwał im rozmyślenia Tomek.

Bliźniacy wymienili spojrzenia.

– A może powinienem iść na policję? – zastanawiał się chłopak.

– I co ci niby pomogą? – odezwał się Adrian. – Nie jesteś nawet krewnym Mai, jak znam życie, to nie potraktują cię poważnie. Takich jak my nigdy nie traktują.

– Jeżeli porwał ją człowiek, to my szybciej sobie z nim poradzimy – dodał Sebastian. – A jak demon, to policja będzie bezradna.

– A jeśli sataniści? – zapytał cicho Tomek.

– Głupi jesteś? Wierzysz w tych satanistów?!

– Wolałbym w nich niż w demony – mruknął barman.

– Ty! Patrz! – Adrian klepnął brata w ramię i wskazał coś na chodniku.

Na szarych płytkach niedaleko trawnika widniała bordowa plamka.

– Krew? – odezwał się Tomek ze strachem.

– A niby co innego? – burknął Sebastian.

Razem z bratem rozglądali się już za kolejnymi śladami. Wkrótce okazało się, że przez całe osiedle prowadzi ścieżka utworzona z krwawych plamek.

– Myślicie, że to jej? – dopytywał Tomek.

– Cholera wie, ale to jedyny ślad, jaki mamy – odparł Adrian.

– Ale jeśli jej, to nie znaczy, że stała jej się duża krzywda, prawda? Człowiek z nosa krwawi bardziej, co nie?

Bliźniacy wymienili zaniepokojone spojrzenia. To, że ktoś mało krwawił, mogło równie dobrze oznaczać, że coś zdążyło już wysączyć z niego prawie całą krew.

Spieszyli się; wiedzieli, że mieli bardzo mało czasu, o ile dziewczyna w ogóle jeszcze żyła. Prawdopodobnie szukali tak naprawdę z maltretowanego ciała, porzuconego diabli wiedzą gdzie. Jednak na razie woleli nie dzielić się swoimi obawami z barmanem, który i tak był bliski paniki.

Niestety wkrótce ślady urwały się i przez ponad godzinę błąkali się po osiedlu, zanim podjęli krwawy trop, który zaprowadził ich na skraj Wiatrołomu. Wszystko wskazywało na to, że ofiara została zawleczona do zniszczonego przez wicher lasu.

– I co teraz? – zapytał Tomek, kiedy stali na skraju asfaltu, patrząc na połamane drzewa.

– Do nocy jeszcze dużo czasu – powiedział Sebastian.

– A tu przynajmniej ludzie nie będą gapić się na nas przez okna jak na wariatów – dodał Adrian.

Wyjął z torby kij bejsbolowy, maczetę podał bratu.

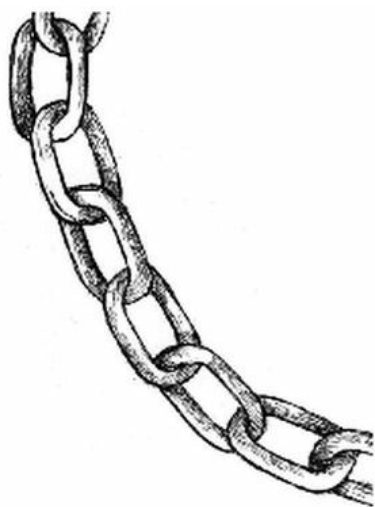
– A ty? – zapytali równocześnie barmana. – Masz broń?

– Nie, ja nie... – Tomek pokazał wnętrze dłoni.

– I ty idziesz na demony bez żadnej broni? – prychnął Sebastian.

Adrian wcisnął chłopakowi siekierę.

Rozdział 11



Magda zasłoniła usta chustą, ale kurz wciąż wdzierał się pod nią, wywołując suchy kaszel. Po kolejnym ataku Żyvia zgromiła ją spojrzeniem.

– Przez ciebie wszystkie demony będą wiedziały, gdzie jesteśmy – powiedziała.

– Nie moja... wina – sapnęła Magda, wciąż się dusząc.

– Jakim cudem ciebie ten kurz nie gryzie w gardło?

– Gryzie, tylko jestem twardsza niż ty.

Od dwóch dni wlekły się po pustkowiach. Ziemia wokół była szara i zupełnie jałowa, gdzieniegdzie wystawały z niej kikuty drzew i uschnięte, kłujące krzewy. Nigdzie wokół nie było żadnych zwierząt ani owadów. W tym miejscu zdawało się, jakby cały świat po prostu umarł, a jego wiecznego spokoju nie mącił żaden, nawet najmniejszy dźwięk. Magda nie była do tego przyzwyczajona. Za życia, nieważne, gdzie była – w lesie, na polanie czy nad jeziorem – zawsze coś hałasowało. Wiatr szumiał w gałęziach drzew, owady bzyczały w trawie, coś przemykało po suchych liściach. A tutaj po prostu nie było nic. Dzwoniąca w uszach cisza szybko zaczęła jej przeszkadzać. Czasem celowo zaszurała głóśniej butami lub chrząknęła, żeby tylko coś usłyszeć, bo jeszcze chwila, a by zwariowała.

Słońca na pustkowiach nie było. Jakby swoje promienie kierowało gdzieś zupełnie indziej, żeby tylko nie spojrzeć na te wyklęte miejsce. No i gruba warstwa ołowianych chmur nisko wiszących nad ziemią też chyba miała z tym coś wspólnego. Za dnia w najlepszym razie panował tu półmrok, a oczy męczyły się brakiem urozmaicenia – tutaj wszystko było szare, czarne albo brązowe. I niezależnie od tego, jak bardzo

człowiek się starał, po prostu nie mógł dostrzec nic w innym kolorze.

Magda przyłożyła do ust butelkę, którą znalazła w domku nad jeziorem.

– Nie oszczędzasz wody – stwierdziła Żywia, krzywiąc się na trzask wyginającego się plastiku. – Mówiłam ci, że to, co mamy, wystarczy nam na styk.

Magda ze wstydem i odrobiną poirytowania schowała butelkę do plecaka. Zresztą woda i tak nie była dobra. Tutaj wszystko było mdłe i bez smaku.

Ale najgorsze były noce. Magda nie miała pojęcia, jak jej przyjaciółka przeczuwała, że nadchodził zmrok. W jednej chwili panowała szarówka, a w następnej zamieniała się w gęstą ciemność. Zanim zapadł, Żywia zawsze pilnowała, aby obie natarły całe ciała ziołami, upewniała się, że wianek na głowie Magdy się trzyma, i znajdowała zagłębienie w ziemi, w którym rozkładała koc.

– Nie możemy rozpalić ognia? – zapytała Magda z nadzieją. Czuła już zbliżający się chłód nocy.

Nastolatka pokręciła głową, okrążając ich skromne obozowisko z miseczką kopcających ziół.

– Zobaczyłyby nas.

Tak więc ułożyły się w ciemnościach w niewielkiej zapadlinie i czerpiąc ciepło z bliskości, przykryły się drugim kocem. Magda zaczęła przysypiać. To był trudny dzień, głowa ciążyła jej coraz bardziej. Po raz ostatni dotknęła palcami wianka, upewniając się, że był na miejscu. Nie do końca wierzyła w jego moc, ale skoro Żywia się uparła, nie zamierzała się kłócić. Spod w pół przymkniętych powiek zerknęła na przyjaciółkę. Ta miała wciąż oczy szeroko otwarte, zdawały się błyszczeć

własnym światłem i z niepokojem obserwowały świat.

Magda powoli odpływała do innej rzeczywistości, kiedy nagle zbudził ją huk. Drgnęła nerwowo, otwierając oczy. Chciała poderwać się na równe nogi i stanąć do walki.

– Cii – syknęła Żywia.

Dziewczyna powędrowała wzorkiem za jej spojrzeniem i zobaczyła na niebie czarne chmury, co chwilę podświetlane od wewnątrz przez błyskawice, tak jakby gdzieś tam wysoko odbywał się jakiś okropny spektakl.

Choć niepokojąca, to tylko burza. Magda nieco się uspokoiła. Dobrze, że przynajmniej nie lunął deszcz. Przez chwilę obserwowała chmury, po czym uznała, że jednak woli się wyspać. Przymknęła oczy, gdy poczuła łaskotanie na twarzy. To delikatny podmuch poruszył kosmykami jej włosów. Sennie przetarła dłonią po policzku, gdy niespodziewanie poczuła gwałtowniejsze uderzenie wiatru. Żywia zakłęła, a chwilę potem noc rozdarło upiorne wycie. Magda stężała. Z drugiej strony coś wrzasnęło. Żywia złapała ją za rękę, żeby czasem nie poderwała się spod koca.

Coś przebiegło tuż obok, rozbrzmiał tętent kopyt. Coś innego zagwizdało niedaleko. Wszystko wokół nagle ożyło. Z każdej strony dochodziły do nich najróżniejsze dźwięki – popiskiwanie, warkot, skowyt. Kilka razy nawet Magdzie wydawało się, że słyszała odgłosy walki, rozdieranej skóry, trzask łamanych kości. Nic nie było w stanie przygotować jej na coś takiego. Czuła palce Żywii zaciśnięte na jej przedramieniu, jakby nastolatka bała się, że jej towarzyszka nagle zerwie się do ucieczki. Jednak tutaj nie było dokąd uciec. Wszędzie czaiły się demony. Drugą dłoń Magda zaciśnęła na rękojeści noża i nie potrafiła jej puścić.

W pewnym momencie tuż przed nimi pojawił się upiór. Zdawało się, jakby promieniował własnym bladym światłem. Z ran na nabrzmiałej czerwonej twarzy sączyła się krew. Palce wygięte jak szpony zdawały się szukać czegoś w powietrzu. Z gardła dobywał się cichy charkot. Nagle stwór stanął i spojrzał wprost na dwie dziewczyny ukryte pod kocem. Magda poczuła lodowaty pot na plecach. Żywia mocniej zacisnęła palce na jej przedramieniu, wbijając jej w skórę paznokcie. A upiór stał i się w nie wpatrywał... po czym nagle odwrócił się i ruszył przed siebie. Dziewczyny odetchnęły z ulgą.

Przez resztę nocy Magda nie zmrużyła oka. Nie potrafiła tego zrobić, kiedy wszędzie wokół grasowali nawi. Usnęła dopiero nad ranem, kiedy ustały burza i wiatr, a demony zamilkły.

– Wstawaj, pora na śniadanie i ruszamy – usłyszała kilka minut później.

Nie miała siły zareagować, mając nadzieję, że Żywia da jej choć chwilkę wytchnienia.

– No już, leniu. – Przyjaciółka zdarła z niej koc i kopnęła ją w kostkę.

– To bolało! – poskarżyła się Magda.

– Szkoda dnia, są tu bardzo krótkie. – Żywia podała jej kawałek suszonego mięsa i zaczęła pakować koce do plecaków.

Magda nie zdążyła jeszcze dobrze się obudzić ani przeżuć śniadania, kiedy była już w drodze. Miała wrażenie, że z każdym krokiem świat stawał się coraz ciemniejszy. Zniknęły odcienie brązu i teraz pustkowiem przypominało krajobraz oglądany w czarno-białym telewizorze. Czasem gdzieś na horyzoncie coś się

ruszało. Dziewczyny przypadają wtedy do ziemi i zamierały na kilka chwil, aż to coś zniknęło im z oczu.

W ciągu dwóch kolejnych dni wianki na ich głowach zwiędły, część roślin ususzyła się i Magda zastanawiała się, czy nie straciły swoich właściwości. Kilka razy zaś, gdy obejrzała się za siebie, ujrzała coś, co wyglądało jak czarny grzbiet wielkiego psa. Nie wspominała o tym Żywii, bo tak naprawdę nie była pewna, czy nie miała już jakichś urojeń. No i wołała, żeby przyjaciółka znów nie zaczęła jej wypominać, że Magda nie zabiła zwida, tylko puściła go wolno. Tym bardziej że z godziny na godzinę Żywia stawała się coraz bardziej nerwowa. Cechujący ją do tej pory spokój nagle się gdzieś ulotnił. Nastolatka gwałtownie reagowała na każdy dźwięk, wreszcie nałożyła cięciwę na łuk i już jej nie zdjęła, w każdej chwili gotowa bronić się przed tym, co mogło na nie czyhać za kolejnym wzgórzem.

– Mówiłam ci, nie pij tyle wody, bo zejdziesz, zanim dotrzemy na miejsce – po raz wtóry upomniała towarzyszkę.

– Te pustkowia źle na mnie działają – westchnęła Magda. Wciąż chciało jej się pić, miała dość wszędobylskiego pyłu, usta jej spierzchły i boleśnie popękały, na stopach pojawiły się obtarcia od butów. Do tego wszystkiego była przemęczona i niewyspana, a wciąż towarzyszące jej uczucie niepokoju pogłębiało się.

– Masz. – Nastolatka podała jej swój bukłak.

Do nocy Magda słała się na nogach. Nawet Żywia wyglądała na zmęczoną. Zjadły po kawałku suszonego mięsa i ułożyły się w niecce pod wielkim głazem.

– Powiedz, że jesteśmy już blisko końca – szepnęła

Magda, kiedy zapadły ciemności.

– Jesteśmy w połowie drogi.

Magda westchnęła ciężko i oparła głowę o kamień. W chmurach błysnęło, usłyszała odległe grzmoty, zawiął silny wiatr. Znów zaczął się nocny spektakl. Włoski na jej ciele stanęły dęba, zmysły zaczęły ostrzegać przed nawimi.

Żyvia zwróciła na nią opalizujące spojrzenie szeroko otwartych oczu.

W tych ciemnościach wygląda jak demon. – Magda zadrżała na całym ciele. *Ale tak naprawdę w naszym duecie jest tylko jeden demon...*

– Śpij, ja popilnuję wszystkiego – odezwała się szeptem Żyvia.

Do niedawna Magdzie byłoby głupio, że ta mała szesnastolatka jest znacznie wytrzymalsza od niej. Lata spędzone w Nawii odcisnęły na niej swoje piętno, ale i pozwoliły jej stać się silną młodą kobietą.

Sama Magda budziła się w nocy wiele razy. Trzaskające pioruny, zawodzący wiatr i krążące wokół nich demony nie sprzyjały twardym snom. I za każdym razem, kiedy unosiła powieki, widziała Żywię, która z łukiem na kolanach wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, cały czas skupiona i czujna.

Nad ranem ją zmienię – obiecywała sobie za każdym razem Magda.



Maja jęknęła głucho, budząc się z koszmaru. Skąd u niej takie sny? Tak realistyczne, że nawet teraz, po

przebudzeniu, czuła ból w całym ciele? Otworzyła oczy i ujrzała tuż przed sobą kamienną ścianę. Zamrugła, lecz dziwny obraz nie zniknął. Może nadal spała?

Powoli podniosła się na rękach; pod palcami poczuła wilgotne liście i drobne patyki. Po bladej skórze nadgarstka wędrował duży pająk. Sapnęła głośno i natychmiast strąciła go z dłoni. Po jej ciele przebiegł dreszcz, gdy usiadła na miękkim poszyciu. Otaczały ją kamienne ściany, chłód, wilgoć i zapach zgnilizny.

Jej oddech przyspieszył, oczy rozszerzyły się, ból w nodze wrócił ze zdwojoną siłą. Tak naprawdę wciąż znajdowała się w swoim koszmarze.

Chciała krzyczeć, ale głos uwiązł jej w gardle. Była zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Coś potwornego napadło na nią w nocy, chciała przed tym uciekać, bronić się, ale natychmiast została powalona na ziemię, zachłysnęła się krwią lejącą się z jej nosa, usłyszała trzask pękającej kości... a potem... co było potem?

Próbowała sobie przypomnieć, ale w głowie miała pustkę. Nie miała pojęcia, jak znalazła się tutaj. Tutaj – czyli gdzie?

Cztery kamienne ściany bez sufitu. Zadarła głowę i zobaczyła wysokie buki, a między liśćmi prześwitywało niebo. Jakaś piwnica? Ziemiańska? Fundamenty starego domu?

Podniosła się, opierając się o ścianę. Nadgarstek jej spuchł i bolał jak diabli. Spróbowała stanąć pewnie na obu nogach. Kiedy prawa się pod nią ugięła, bardziej poczuła, niż usłyszała chrupnięcie, a następnie straciła równowagę i zvaliła się na ziemię. Z jej gardła dobył się szloch pełen bólu i strachu. Skuliła się w rogu, drżąc jak w febrze, po jej policzkach lały się łzy, znacząc

brudami brudną twarz.

Nagle usłyszała hałas gdzieś na górze. Natychmiast zamarła, nasłuchując. Dźwięk się nie powtórzył.

– Jest tam ktoś?! – krzyknęła, podnosząc się. – Pomocy!

Wiedziała, że właśnie zachowuje się jak durniutka bohaterka kiepskiego horroru. Kto wrzeszczy wniebogłosy, kiedy tuż obok może znajdować się seryjny morderca? Lecz istniała też szansa, że po lesie kręcą się zwykli ludzie, a Maja nie zamierzała jej zaprzepaścić.

– Tutaj jestem! W dole! – krzyczała. – Proszę!

Nic się nie stało – oprócz tego, że wkrótce zachrypnęła. Stała na jednej nodze, wciąż opierając się o wysoką kamienną ścianę. Cóż, jeżeli nikt nie chciał jej pomóc, będzie musiała poradzić sobie sama.

Ciekawe, czy Tomek się martwi? – zastanowiła się, wiodąc wzrokiem po swojej pułapce, szukając najbardziej dogodnego miejsca do ucieczki.

Rodzice dzwonili do niej co kilka dni, szefowie zamknęli bar do odwołania, wszyscy znajomi powyjeżdżali i tylko Tomek może się zorientować, że zniknęła. W jej oczach znów zaszklily się łzy. Nikt inny nie będzie jej szukał. Jeżeli porywacz po nią nie wróci, umrze z pragnienia albo głodu w tej dziurze.

– Niedoczekanie – powiedziała, żeby dodać sobie odwagi.

Dokuśtykała do ściany, która wydawała się najlepsza do wspinaczki. Zacisnęła mocno zęby i wsunęła palce w chropowate szczeliny w zaprawie między kamieniami. Uniosła lewą nogę, powstrzymując jęk bólu, gdy prawie cały ciężar ciała spoczął na prawej. Oparła stopę na

wystającym głazie i wybiła się. Spuchnięty nadgarstek zaczął drżeć, ale go zignorowała. Uniosła rękę wyżej, szukając kolejnej szczeliny. Wbiła w nią palce, czując, jak jej paznokcie się łamią. Kolejny wystający kamień i znalazła się kilka centymetrów wyżej. Dlaczego nigdy nie ćwiczyła żadnej wspinaczki? Dlaczego nie chodziła na siłownię?! Była tak beznadziejnie słaba!

Ból w nadgarstku był porażający. Wiedziała, że jeszcze chwila, a straci czucie w prawej stopie, ale wciąż parła w górę. Jeszcze kawałeczek, a sięgnie murawy zwieszającej się ze szczytu ściany. Jeszcze tylko kilka centymetrów. Oddychała ciężko, mimo to nie zamierzała się zatrzymać. Dlaczego ta przeklęta piwnica jest tak głęboka?! Mocno zacisnęła krwawiące już palce na ostrym kamieniu. Podniosła stopę i znalazła dla niej oparcie. Teraz wystarczy wyciągnąć lewą dłoń i sięgnie szczytu. Powoli oderwała ją od ściany i przesunęła w górę, gdy nagle kamień, który trzymała prawą ręką, poruszył się ze zgrzytem. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, wysunął się z zaprawy i Maja razem z nim runęła w dół. Uderzyła plecami o ziemię, aż wyparło jej powietrze z płuc. Nie mogąc złapać oddechu, przewróciła się na bok. Z jej gardła dobywało się rżenie, oczy rozszerzyły się, a serce ścisnęło strach, że się udusi.

¢

Otworzyła szeroko oczy. Coś gwałtownie wybudziło ją ze snu. Może to cisza, jaka nastąpiła po suchej burzy? Jej serce biło w przyspieszonym tempie. Świtało, o ile

można nazwać świtem ten półmrok, jaki pojawiał się tu po nocy. Właśnie! Przecież miała zmienić Żywie.

Obróciła głowę i ujrzała puste miejsce. Natychmiast poderwała się na równe nogi i rozejrzała. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, nie dostrzegła przyjaciółki. Na ziemi leżały tylko plecak, strzały i łuk. Żywia nigdy się bez nich nie oddalała.

Szlag, szlag, szlag... – powtarzała Magda w myślach, wspinając się na kamień, w którego cieniu spały. Niestety z góry również nic nie dostrzegła.

Nagle ciszę poranka rozdarł ludzki krzyk.

Magda nie musiała się zastanawiać, co robić dalej. Zeskoczyła z głazu, złapała opartą o niego włócznię i pędem ruszyła w stronę, skąd dobiegał wrzask. Serce podeszło jej do gardła; nie mogła pozwolić, aby cokolwiek stało się Żywii. Biegła, przeskakując nad wyrwami w ziemi, zapomniawszy o swojej chuście na twarz i kurz zaczął wdzierać jej się do płuc, wywoływał łzawienie. Krzyk powtórzył się, a Magda skorygowała azymut i pędziła dalej, gotowa na wszystko.

...jednak nie na to, co zobaczyła.

Wbiegła na niewielkie wzniesienie; ktoś lub coś ruszało się na dole. Magda zjechała na podszwach butów, uniosła włócznię i zamarła z przerażenia.

Tuż przed nią leżał człowiek, a pod nim czerwona kałuża wsiąkała w szarą ziemię. Nad nim zaś klęczała Żywia. Gdy podniosła głowę, Magda zobaczyła jej twarz umazaną krwią i rozharatane gardło mężczyzny. W oczach nastolatki błysnęła pierwotna rządza mordy.

– Co... ty... – Magda nie była w stanie wykrztusić nic więcej. Opuściła nieco włócznię i cofnęła się o krok.

Żywia wyprostowała się i Magda miała wrażenie, że

rzuci się zaraz na nią.

– Dlaczego? – wydusiła w końcu. Szok mieszał się z żalem i niedowierzaniem.

W tej samej chwili nastolatka zamrugła powiekami, mordercze iskry zniknęły z jej spojrzenia. Wytarła rękawem usta, jedynie rozmazując krew.

– Spokojnie, zaraz ci wszystko wytłumaczę – powiedziała swoim zwykłym, nieco kpiącym tonem.

– Nie zbliżaj się do mnie! – Magda wycelowała w nią włócznią. W jej głosie pobrzmiwała panika.

– Daj spokój, ten facet chciał nas zaatakować. Musiałam go zabić, a nie miałam bronii...

Magda kręciła głową, cofając się. W słowach jej przyjaciółki krył się fałsz.

– Ludzie w Nawii muszą improwizować, inaczej byśmy nie przeżyli... – zaczęła Żywia.

Mówiła dalej, ale Magda przestała jej słuchać, po głowie za to zaczęły jej krążyć inne słowa nastolatki. *Ten facet chciał nas zaatakować... Spodziewałaś się aniołków z harfą? A może kotłów z siarką i grzesznikami...* Przypomniała sobie chwilę, kiedy Żywia przybiła jej piątkę. Albo gdy obdzierała ze skóry łanię, która nie miała w skórze dziur po strzale, tylko ślady zębów. Żywia okłamywała ją przez cały czas.

– Czym ty jesteś? – szepnęła Magda.

– Człowiekiem, tak jak ty. Jestem Żywia...

– Na pewno nie jesteś człowiekiem ani dziewczyną o imieniu Żywia, która zmarła setki lat temu!

Nastolatka wywróciła oczami.

– Dobra, jak chcesz. – Wzruszyła ramionami i postąpiła krok do przodu.

– Zabiję cię!

– Nie zrobisz tego, jesteśmy przecież przyjaciółkami.

Magda powoli pokręciła głową. Jeżeli znajdzie taka potrzeba, będzie się broniła.

Żywia oblizwała usta z resztek krwi, robiąc minę, jakby się nad czymś zastanawiała. A potem... zdjęła z siebie kurtkę.

– Co ty robisz?! – Magda nie przestała mierzyć w nią włócznią, ale zupełnie zbiło ją z tropu, kiedy dziewczyna zrzuciła na ziemię swój wianek, wyjęła pasek z za dużych spodni, a na koniec zdjęła buty.

Nagle coś zaczęło poruszać się pod skórą nastolatki, jakby wiły się pod nią setki węży. Oczy odsunęły się nieco od siebie, nos i usta urosły. Żywia spojrzała na swoje dłonie, które powoli stawały się coraz większe.

Magda nie mogła uwierzyć własnym oczom. Stała jak wryta, z przerażeniem wpatrując się w osobę, w którą zamieniła się jej towarzysza.

– Oddaj mi to, zanim komuś stanie się krzywda – odezwał się basowym głosem potężny mężczyzna w za małych spodniach. Po drobnej nastolatce nie został nawet ślad.

Magda w życiu czegoś takiego nie widziała. Jednak była zniwiarzem nie od dziś i pomimo tego, że chciało jej się wyc z wściekłości i żalu, zachowała zimną krew.

– Odejdę teraz – wycedziła. – A ty mnie nie powstrzymasz. Zbliź się tylko, a cię zabiję.

Powoli zaczęła się wycofywać. A ten przeklęty facet nie przestawał się lekceważąco uśmiechać.

– Nie mogę na to pozwolić – powiedział, po czym rzucił się na nią.

Dziewczyna dźgnęła włócznią, jednak udało mu się dłonią zbić drzewce. Minął je i jednym susem znalazł

się tuż przy niej. Magda kopnęła go kolanem w krocze, co niestety nie wywołało oczekiwanych efektów. Uniósł ramiona, chcąc ją pochwycić, ale mu się wymknęła. Może był zbyt przyzwyczajony do drobnego i zwinnego ciała. A to znaczyło, że Magda mogła zdobyć nad nim przewagę.

Odskoczyła na bok. Podciął jej nogi i wylądowała na ziemi. Jednak zanim zdążył ją pochwycić, odturlała się i błyskawicznie wstała. Dźgnęła włócznią, ostrze ześlizgnęło się po jego boku, na ziemię poleła się krew, której czerwień aż razila w oczy w tym szarym świetle. Facet chyba się wściekł. Do tej pory sprawiał wrażenie, jakby cała ta sytuacja go bawiła i nie chciał zabić dziewczyny, jednak szybko zrewidował swoje zamiary. Uniósł pięść i się zamachnął, Magda pochyliła się, czując podmuch powietrza, gdy wielka ręka przelatowała nad jej głową.

Wbiła ostrze w stopę przeciwnika, natychmiast je wyciągnęła i zasłoniła się drzewcem. Włócznia sprawdzała się przy trzymaniu wroga na odległość, ale w bezpośrednim starciu była prawie do niczego. Tym bardziej, gdy facet złapał za drewno i zaczęli się siłować. Z całą pewnością był dużo mocniejszy. W pewnym momencie oderwał jedną rękę i zacisnął ją na gardle dziewczyny. Poczowała przebijające się przez jej skórę paznokcie. Jeszcze chwila, a zmiażdży jej tchawicę...

Gwałtownie przesunęła prawą dłoń w stronę grotu i uniosła koniec włóczni, zbijając nią rękę przeciwnika. Paznokcie ześlizgnęły się z jej szyi, zostawiając głębokie bruzdy. Wykręciła drzewce, zupełnie mu je wyrywając. A potem dźgnęła. Ostrze przebiło się przez skórę i mięśnie na brzuchu.

Mężczyzna spojrzał w dół, jakby był zaskoczony, że sprawy przybrały taki obrót, a potem uniósł spojrzenie na Magdę. Już zaczęła cieszyć się ze zwycięstwa, kiedy nagle poczuła uderzenie w szczękę. Zęby jej zadzwoniły, głowa odskoczyła do tyłu, rozbłysnął ból, a po nim była już tylko ciemność.



Feliks, wciąż zaspany, zszedł na dół. W domu panowała podejrzana cisza. Z niepokojem zajrzał do kuchni. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, na stole leżały okruchy po śniadaniu. Przeszedł do salonu, czując, jak jego serce zaczyna szybciej bić. Na kanapie leżało rude kocisko. Gdy tylko żniwiarz przekroczył próg pokoju, zwierzę leniwie podniosło głowę i spojrzało na niego spod lekko przymrużonych powiek. Przy stole siedziała zaś Tosia, z zapalem pisząc coś w zeszycie.

– Co to za kot? – zapytał Feliks, marszcząc brwi.

– Co? To Burbon – odparła nieprzytomnie.

Żniwiarz usiadł na kanapie i przegonił kota na podłogę. Zwierzę prychnęło na niego z oburzeniem.

– Nie rób tak, on jest po przejściach. – Osiemnastolatka wzięła go na kolana.

– Możesz mi wyjaśnić, skąd się tu wziął i gdzie są wszyscy? – zapytał Feliks z rozdrażnieniem.

Z trudem akceptował to, że Magda panoszyła się po jego domu, ale nagle zdało się, że wszyscy wokół, nawet jakiś przeklęty kot, przejęli po niej tę cechę.

– Wanda nadal śpi. Ja z Klarą byliśmy w barze trochę tam ogarnąć. Ona została pilno... dotrzymać

towarzystwa panu Waldemarowi i Bronisławowi, a ja wróciłam tu z kotem.

– A bliźniacy?

Dziewczyna uciekła spojrzeniem w bok.

– Gdzie oni są? – zapytał ostrzej.

– Tomek przyszedł rano, mówiąc, że Maja zaginęła, i poszli razem jej szukać – powiedziała cicho.

– Jaki Tomek, jaka Maja? – Zmarszczył brwi.

– No, barman i kelnerka z baru.

Żniwiarz westchnął ciężko. Jeżeli wplątali się w kłopoty, to on będzie musiał ich wszystkich z nich wyciągnąć... Już miał wstać z kanapy, żeby przygotować się do kolejnego długiego i trudnego popołudnia, kiedy Tosia zatrzymała go gestem dłoni.

– Pięć minut temu dzwoniли i powiedzieli, że wszystko jest w porządku.

– To ich telefony nie padły?

– Naładowali je w samochodzie.

Feliks mruknął coś pod nosem; już zapomniał, że prąd był nie tylko w gniazdku w ścianie. Współczesność nadal potrafiła go zaskoczyć.

– Spójrz, opisałam już kilka dni w moim dzienniku – pochwaliła się Tosia, podsuwając mu pod nos zeszyt. – Tak miało być?

Żniwiarz przebiegł wzrokiem po starannym, drobnym piśmie.

– Suszyliście serce bezkosta w suszarce na grzyby z chińskiego marketu? – Uniósł wzrok na dziewczynę.

– Chciałeś każdy szczegół, pamiętasz?

– Masz rację, dziennik jest idealny.

A jak uda nam się odtworzyć recepturę trucizny na Niję, może jakoś to wszystko przeżyjemy – dodał

w myślach. Zapas pozostały po Pierwszym był naprawdę niewielki. Jeżeli chcieli stawić czoła władcy zaświatów, potrzebowali więcej. Najlepiej całego wiadra...

– Pisz tak dalej – pochwalił. – Tylko zabierz tego kota ze stołu. – Z dezaprobatą spojrział na sierściucha, który właśnie mościł sobie posłanie na stercie notatek.

– Chodź, Burbon. – Wzięła zwierzę na ręce. – Zobacz, kanapa jest znacznie wygodniejsza.

Nagle drzwi domu trzasnęły z hukiem, a chwilę później do salonu wkroczyła Janina.

– Byłam w kościele – oświadczyła.

– Gratuluję – odparł żniwiarz.

Kobieta parsknęła, jakby miała do czynienia z idiotą.

– Nie interesuje cię, czego się dowiedziałam?

Chciał ją zbyć, powiedzieć, że nie ma czasu ani siły na słuchanie streszczenia z kazania, ale uderzyła go pewna myśl. Janina nie należała do kobiet, które spijały słowa z ust proboszcza i na tacę oddawały całą swoją emeryturę. Była wierząca, tu miał pewność, ale jak wszystko inne, nawet wiarę naginała tak, aby było jej wygodniej, a do kościoła chodziła co najwyżej pochwalić się nową garsonką i posłuchać plotek.

– Zatem słucham. – Skinął głową.

– Wiatrołom ogarnęła panika.

Feliks ze zniecierpliwieniem zabębnił palcami w oparcie kanapy.

– Sama wichura, brak prądu i wody źle wpływają na morale społeczności, ale te podejrzane zgony... Ludzie boją się i idą po pomoc do kościoła.

– Jak zawsze w obliczu niezrozumiałego zagrożenia – przyznał żniwiarz.

– Tak, tylko że ten wasz proboszcz to maniak. Przez pół kazania wrzeszczał na ludzi, że są grzesznikami i sami sprowadzili na siebie zagładę.

Feliks znał lokalnego księdza i spodziewał się po nim właśnie czegoś takiego.

– Kazał ludziom po zmroku palić gromnice – dodała Janina.

– One też mają swoją moc.

– I będzie sprzedawał zioła do okadzenia domów – prychnęła staruszka, doszukując się u proboszcza chęci zrobienia dobrego interesu.

– To też nie zaszkodzi.

Od setek lat przypisywano ziołom magiczną moc, co tu się oszukiwać – żniwiarze też ich przecież używali.

– A za dwa dni chce zorganizować całonocne czuwanie w kościele. – Janina najlepsze zostawiła sobie na sam koniec.

Feliks syknął cicho. Demony raczej nie wejdą do kościoła, ale znając życie, zmęczeni i znudzeni wierni będą łązić tam i z powrotem przez całą noc. Szlag by to trafił.

– Dziś zacznie ubywać księżyc, może ten koszmar się skończy – powiedział z nadzieją.

Poczuł czyjąś obecność i zapach perfum Wandy. Kobieta stanęła w progu pokoju, lecz zanim zdążył się z nią przywitać, głos zabrała Tosia.

– Nadal uważam, że powinieneś powiedzieć ludziom o trzynastej pełni i o demonach. Jeśli będą wiedzieć, co im grozi, jak się zachować, unikniemy wielu kolejnych zgonów.

– Dziecko, to nie takie proste – odezwała się Wanda.

Tosia skrzywiła się nieznacznie, słysząc, jak została

nazwana.

– W normalnych czasach nie, ale teraz? – drążyła. – Powinni wiedzieć.

– A jak wytłumaczysz im istnienie żniwiarzy? Przecież od razu nas zlinczują za zamieszkiwanie cudzych ciał.

– Na razie nie musicie im tego mówić. Wyjaśnijcie tylko, jakie jest zagrożenie i jak się przed nim bronić.

– Nikt nam nie uwierzy. – Wanda pokręciła głową z pobłażliwym uśmiechem. – Naprawdę nie raz przez to przechodziliśmy.

Feliks zawahał się. To nie było prawdą, ich dwójka nigdy nawet nie słyszała o trzynastym księżycu i nigdy nie musieli stawić czoła Niji.

– W Wiatrołomie jest coraz więcej ludzi, którzy staną po waszej stronie – Tosia twardo obstawała przy swoim. – Tyłu już widziało demony, przekonają innych...

– Szkoda tylko, że zazwyczaj jest to margines społeczeństwa, ludzie, których nikt nie bierze na poważnie – westchnął Feliks, myśląc o walecznym trio z poprzedniej nocy, lekarzu alkoholiku, nauczycielu ze schizofrenią, barmanie filozofie i wielu innych, których nikt tak naprawdę nie zechce słuchać.

– Potrzebujecie poważanych osób? Co to za problem? – Janina wskazała na siebie.

Żniwiarz ledwie powstrzymał się od parsknięcia.

– Niestety ty jesteś tylko jedna – odparł, zachowując powagę.

– Rozumiem. – Staruszka pokiwała głową, po czym wstała.

– Dokąd pani idzie? – Tosia poderwała się z krzesła.

– Na przespiegi, a gdzie?

Nastolatka zerknęła nerwowo na Feliksa.

– Sebastian prosił, żebym jej pilnowała – szepnęła.
Skinął głową, dając jej przyzwolenie.

– Za dnia wśród ludzi jest raczej bezpiecznie – rzucił.

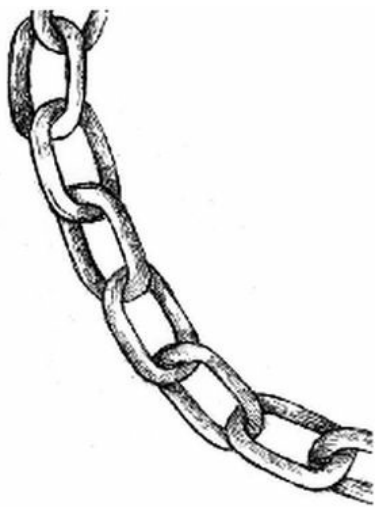
– To ja idę z panią! – zawołała Tosia, wybiegając z pokoju.

– Dobrze, czegoś się przynajmniej nauczysz – usłyszał jeszcze Feliks, zanim trzasnęły wyjściowe drzwi.

– Mam samochód wypełniony jedzeniem, jeżeli pomożesz mi go rozpakować, zjemy normalne śniadanie – powiedziała Wanda.

Żniwiarz uśmiechnął się. Może po sutym posiłku będzie gotów stawić czoła całemu światu?

Rozdział 12



Magda powoli odzyskiwała zmysły. Kołysało nią tak, jakby znajdowała się na statku. Głowa jej pękała, a boląca szczeka na pewno spuchła. Zebrało jej się na wymioty. Otworzyła oczy i zobaczyła szarą ziemię przemykającą w dole. Zamrugła powiekami. Dopiero po chwili dotarło do niej, że wisiała głową w dół, przerzucona jak worek kartofli przez ramię swojego nowego wroga. Spróbowała się poruszyć, ale miała związane ręce i nogi.

– Nie wierć się – burknął facet.

Magda oczywiście zrobiła na odwrót, co skończyło się tym, że zrzucił ją na ziemię. Łupnęło głucho, na sekundę ją zamroczyło.

Mężczyzna pociągnął ją za kołnierz bluzy i posadził, po czym wcisnął jej między wargi ustnik bukłaka z wodą. A potem bez większych ceregieli nałożył na jej głowę wyschnięty, nieco sfatygowany wianek.

Dziewczyna spróbowała go kopnąć, ale trudno było to osiągnąć z nogami związanymi w kostkach.

– Coś ty za jeden?! – wściekła się.

Nawet nie zwrócił na nią uwagi.

– Czego ode mnie chcesz?!

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął zza paska jej nóż. Na chwilę straciła rezon, kiedy zbliżył się do niej z ostrzem. Jednak tylko przeciął więzy krępujące jej nogi, po czym podniósł ją za ramię i popchnął przed siebie.

Magdzie zakręciło się w głowie; prawie upadła, ale złapał ją za łokieć i pociągnął dalej.

– Nigdzie nie idę!

– Pójdiesz, a jak nie, to zwiążę cię jak prosiaka i będę

ciągnął po piachu. – Jego oddech cuchnął zepsutą krwią i surowym mięsem.

– Dlaczego to robisz? – jęknęła, ruszając.

Znów ją zignorował.

Magda przymrużyła oczy i przekręciła głowę, zrzucając z niej wianek. Dostrzegł to dopiero po dwóch krokach. Szarpnął nią, cofnął się po kwiaty, podniósł je i ułożył na jej głowie. Dziewczyna ponownie zrzuciła je na ziemię.

– Nie rób tak, bo znajdą cię demony – powiedział, schylając się po wianek.

– I dobrze! Może będą lepsze niż ty!

– Żniwiarz, który zachowuje się jak dzieciak – skwitował.

– Chcę wiedzieć, kim jesteś i czego ode mnie chcesz!

– Nie drzyj się! – syknął.

– Będę się darła! – wykrzyczała na cały głos.

Przytknął brudną dłoń do jej ust, więc go ugryzła, ale miała wrażenie, że mogłaby połamać zęby, a on nie poczułby bólu. Pokręcił tylko głową tak samo, jak robiła to Żywia, kiedy przyłapała Magdę na jakimś głupim błędzie. Gdy zobaczyła ten gest, zawrzał w niej gniew, a przede wszystkim smutek. Osoba, z którą spędziła wiele tygodni, z którą polowała na demona, którą zaczęła traktować jak siostrę, okazała się oszustem. Nawia była okropnym miejscem i tylko świadomość, że ma kogoś bliskiego, pozwoliła Magdzie przetrwać. A teraz znów była sama i miała całkiem poważne kłopoty.

Oceń siły przeciwnika, nie działaj pochopnie, dowiedz się, jaki ma słaby punkt – tak powiedział jej kiedyś Feliks. Zdążyła już co prawda ocenić jego siły i wyszło,

że ją nimi znacznie przewyższa, a do tego nie czuł bólu i nie przeszkadzała mu utrata krwi, której zapas najwyraźniej uzupełnił na tamtym biedaku! A może właśnie zadziałać pochopnie? Skoro nic innego jej nie zostało...

Zaczęła znów się szarpać i krzyczeć. Ze dwa razy udało jej się go kopnąć, ale ją to chyba bardziej zabolalo. Do szału doprowadzało ją, że w Nawii była słaba i powolna jak zwykły człowiek!

W końcu jej przeciwnik chyba się zmęczył wleczeniem jej w tylko sobie znanym kierunku. Popchnął ją, aż się przewróciła, i pociągnął za ramię do pozycji siedzącej. Znów dał jej się napić i gdyby nie to, że była bardzo spragniona, plunęłaby mu tą wodą w twarz.

– Ty mnie naprawdę nie poznajesz – stwierdził po chwili.

Magdę zatkało. W życiu go na oczy nie widziała!

– Mówili na mnie Biały.

Dziewczyna pokręciła głową. Nie słyszała nigdy wcześniej takiej ksywki.

– Twój chłopak zabił mnie, to znaczy moją powłokę, w barze!

Przez kilka sekund Magda składała wszystko do kupy.

– Jesteś potępieńcem przywołanym przez Blanka! – Olśniło ją.

Nawi uśmiechnął się perfidnie, usłyszawszy to nazwisko.

– Nija go zabił, jak tylko facet trafił do Nawii. Należało mu się. Nie miał prawa nami rządzić.

– I to wszystko ma być jakąś chorą zemstą na mnie? – zapytała.

Pokręcił głową, złapał ją za bluzę na ramionach

i pociągnął w górę, żeby wstała.

– A więc co? Czego ode mnie chcesz?! – zdenerwowała się.

– Będiesz moją kartą przetargową. Moim ułaskawieniem.

Magda odruchowo zaczęła iść za nim. Nie musiał nawet jej ciągnąć. Jej umysł za to pracował na najwyższych obrotach. Potępieńcy wyglądali jak wielkie, obrzydliwe szczury. Nie mieli ludzkiego ciała, potrafili jedynie je „budować” z mięsa. Jeżeli uda jej się przebić jego serce, będzie musiał opuścić swoją powłokę, na powrót stanie się demonem w postaci gryzonia, a z nim powinna łatwiej sobie poradzić! Tylko dokąd on ją prowadził?

Powiodła wzrokiem wokół siebie i wszystko nagle stało się jasne. Pustkowie, szalejące tu demony. Nie prowadził jej do innych ludzi. On prowadził ją do władcy tej krainy!



Maja już dawno temu przestała płakać. Zapatrzona w pustkę, siedziała w rogu swojego więzienia i trzęsła się z zimna. Podjęła jeszcze kilka prób wydostania się z dołu, jednak noga odmówiła jej posłuszeństwa, a nadgarstek zaczął tak boleć, że nie była w stanie nim ruszyć. Jeszcze jakąś godzinę wcześniej była przerażona, ale i zdeterminowana, aby się uwolnić. Teraz zaś wpadła w stan zupełnego odrętwienia. Trwała w zawieszeniu między snem a jawą, życiem a śmiercią. I jedyne, czego pragnęła, to to, żeby ten koszmar

wreszcie się skończył.

Coś zaszeleściło wysoko w górze. Usłyszała ten dźwięk, ale w żaden sposób nie zareagowała. Już od dłuższego czasu ją prześladował. Wcześniej bała się, że to jej porywacz wrócił, jednak kiedy nic się nie stało, nikt nie wychylił się znad krawędzi kamiennej ściany, zaczęła wołać o pomoc z nadzieją, że to może zwykły człowiek. A gdy nie otrzymała żadnej odpowiedzi, nawrzeszczała na kogokolwiek lub cokolwiek, co tak hałasowało, żeby dało jej spokój.

Jednak tym razem dźwięki zamiast po pewnym czasie ucichnąć, nasiliły się. Z góry posypało się kilka suchych liści i grudek ziemi. Maja zogniskowała wzrok na miejscu, z którego spadły, i w tym właśnie momencie coś wychyliło się zza krawędzi ściany. Dziewczyna była zbyt zaskoczona, żeby zacząć krzyczeć. Zobaczyła bury, obły kształt i dopiero po chwili doszło do niej, że wpatruje się w głowę jakiegoś stworzenia. Oczy tak wielkie, że zajmowały niemal połowę pyska, zamrugały, wpatrując się w nią. Chuda łapka wysunęła się do przodu, a potem w dół, jakby badając zejście do ziemianki. Właśnie w tym momencie w głowie Mai do głosu doszły strach i przekonanie, że wcale nie chciała, aby to coś zlazło na dół. Stworzenie może i było niewielkie, ale z całą pewnością nie wyglądało na przyjazne.

Zaczęła krzyczeć. Chuda łapka cofnęła się, głowa nieco schowała za krawędzią. Dziewczyna nabrała garść ziemi i liści i rzuciła nimi w stwora. Jej pocisk ledwie doleciał do połowy ściany, ale najwyraźniej poskutkował. Zwierzę, czy cokolwiek to było, wycofało się. Rozległ się szelest, który szybko zamarł. W oddali

dało się słyszeć upiorny chichot.

Jeżeli jeszcze przed chwilą Maja była otępiała, obawa przed nieznanym na nowo rozpałała w niej strach. Powróciły również ból i łzy. Ta huśtawka nastroju skończyła się zaś tak, że dziewczyna w końcu przysnęła, wciąż siedząc skulona w rogu ziemianki.

Całą wieczność później obudził ją głuchy łomot. Otworzyła oczy, niepewna, gdzie się znajdowała. Ujrzała kamienne ściany, zadarła głowę i zobaczyła szarzące niebo prześwitujące pomiędzy strzelistymi bukami. Za krawędzią zniknął właśnie duży, szary kształt. W jednej sekundzie świadomość tego, co się wydarzyło, uderzyła w nią kolejną falą mdlącego strachu. Wcisnęła plecy w ścianę, jakby chciała stać się jej częścią. Wstrzymała oddech, nie śmiać się poruszyć.

Jej porywacz wrócił, jednak nie był sam. Wepchnął kogoś innego do głębokiego dołu. Maja zatrzymała szeroko otwarte oczy na leżącym do niej plecami człowieku. Widziała czarną kurtkę, brudne dżinsy i krótkie jasne włosy. Mężczyzna nie poruszył się. Dziewczyna również nawet nie drgnęła, dopóki szelest liści nie zamilkł.

– Hej – szepnęła w końcu.

Mężczyzna nadal leżał bez ruchu. Może nawet nie oddychał?

– Żyjesz?

Nic, tylko cisza dzwoniąca w uszach. Może stracił przytomność przy upadku do ziemianki?

Przez długi czas Maja walczyła sama ze sobą. Bała się chociażby drgnąć, ale obecność innego człowieka w tej dziurze była zbyt przytłaczająca. Powoli oderwała się więc od ściany i na czworakach zaczęła zbliżać do

towarzysza swojej niedoli. Przystawała co chwilę, niepewna, czy mężczyzna się poruszył. A może szykował się do ataku?

W końcu znajdował się już tylko na wyciągnięcie ręki.

– Hej! – sapnęła Maja. – W porządku?

Zdawała sobie sprawę z tego, że jej pytania nie były zbyt sensowne, ale co innego można powiedzieć w takiej sytuacji?

Ostrożnie wysunęła przed siebie dłoń i delikatnie wbiła palec wskazujący w plecy mężczyzny, po czym natychmiast się cofnęła. Nic się nie wydarzyło. Trochę ośmielona, położyła całą dłoń na ramieniu obcego i nim potrząsnęła.

– Kim jesteś? – zapytała.

Mężczyzna nie odpowiedział. Najwyraźniej był nieprzytomny. A może został ranny i trzeba było mu natychmiast pomóc? Maja przestraszyła się; nie miała zielonego pojęcia, jak udzielić pierwszej pomocy.

Zacisnęła palce na kurtce na ramieniu i pociągnęła do siebie. Mężczyzna odwrócił się na plecy, a z jego płuc ze świstem wyleciało powietrze.

Maja odskoczyła ze strachu, lecz nic się nie stało. Otaksowała go wzrokiem, od ubłoconych dzinsów przez porwaną kurtkę, aż do twarzy, na której zastygł wyraz przerażenia. Otwarte mętne oczy wpatrywały się w niebo. Dopiero po chwili Maja zdała sobie sprawę, że całe ubranie człowieka było przemoczone od krwi.

Ze szlochaniem na ustach i paniką w oczach rzuciła się do tyłu. Cofała się i cofała, aż trafiła plecami na ścianę. Jeszcze przez chwilę ryła piętami ziemię, chcąc znaleźć się jak najdalej od trupa. Przytuliła się do kamieni, po jej policzkach lały się łzy, a spojrzenie wciąż wędrowało

do mężczyzny, jakby się bała, że zaraz się podniesie i na nią rzuci.

Ten atak paniki trwał kilkanaście minut. Poza tym nic się nie wydarzyło, a Maja bardzo powoli przyzwyczała się do widoku zmarłego, aż zdała sobie sprawę, że gdzieś w jego zakrwawionych kieszeniach może znajdować się coś, co pomoże jej w obronie, a może nawet w ucieczce z tego przeklętego miejsca.

Na czworakach bardzo powoli zbliżyła się do trupa. Powstrzymując odruch wymiotny, poklepała go po dzinsach. Nic nie wyczuła, więc krzywiąc się z obrzydzenia, wsunęła dłonie w kieszenie. Nic w nich nie znalazła. Sięgnęła do kurtki, ale tu było zaledwie kilka papierków. Wreszcie jej spojrzenie zatrzymało się na klatce piersiowej i prostokątnym kształcie wybijającym spod materiału. Telefon? Jej serce zabiło szybciej, oddech stał się płytki i urywany. Drżącymi rękoma rozpięła zamek błyskawiczny i odchyliła połę kurtki, odsłaniając porwaną koszulkę. Pod nią znajdowała się zapadnięta klatka piersiowa, naznaczona licznymi krwawymi bruzdami. Krztusząc się własnymi łzami, Maja wsunęła dłoń do wewnętrznej kieszeni na piersi i zacisnęła palce na chłodnym telefonie komórkowym. Pospiesznie wyciągnęła go, nie zważając na ręce ubrudzone krwią. Ekran znaczyła gęsta pajęczynka pęknięć.

– Proszę, działaj – szepnęła, próbując odblokować aparat.

Niestety – ekran pozostał czarny i głuchy na wszelkie jej prośby.

– Nie! – krzyknęła z frustracją. Już chciała cisnąć telefonem w kamienną ścianę, ale powstrzymała się

i schowała go do własnej kieszeni. Nie miała pojęcia do czego, lecz uznała, że może jeszcze się przyda.

Nagle usłyszała szelest. Wtuliła się w swój ką, po czym zamarła, nasłuchując. Powoli, niczym księżyc w pełni, zza krawędzi wyłoniła się mała bura głowa. Wielkie ślepia spojrzały najpierw na przestraszoną Maję, potem na nieboszczyka. Dziewczyna dałaby słowo, że usłyszała cichutki chichot tuż przedtem, jak stwór się oblizał.

Ręka Mai wystrzeliła w bok, palce zacisnęły się na krótkim patyku, po czym rzuciły nim w stwora. Ten gwałtownie uchylił się, a potem zaczął niecierpliwie łązić w jedną i w drugą stronę wzdłuż krawędzi. Dziewczyna ciskała w nim wszystkim, co wpadło jej w ręce, ale stworzenie wcale się tym nie przejmowało. Co chwilę przystawało i węszyło w powietrzu, jakby rozkoszując się zapachem krwi nieboszczyka.

– Pójdiesz ty! – huknęła Maja, kiedy stwór wychylił się mocniej nad krawędzią. – Won!

Najwyraźniej jednak nie wyglądała wystarczająco groźnie, żeby go przepędzić.

Nie minęło kilka minut, a stwór zaczął powoli schodzić po kamiennej ścianie niczym jaszczurka.

– Wynocha! Precz! – zaczęła krzyczeć dziewczyna.

Rzucała w niego wszystkim, co znalazła, jednak większość jej pocisków nawet do niego nie dolatywała. A to diabelstwo było... było czymś niemożliwym. W życiu nie widziała takiego stworzenia ani nawet o nim nie słyszała. Było nieco większe od kota, trochę pokraczne, a mimo to bardzo szybkie. Miało dużą głowę, wielkie oczy, a całe jego ciało było pokryte grubymi łuskami. Gdy zeszło ze ściany i stanęło na

ziemi, wlepiło spojrzenie w nieboszczyka i zamlaskało głośno.

– Nie – jęknęła Maja.

Nie miała już siły, aby walczyć. Tępym wzrokiem patrzyła, jak stwór, wciąż się czając, podpełzła do zmarłego, wspina się na jego klatkę piersiową i zaczyna zlizywać z niego krew.

Dziewczyna zamknęła oczy; wstrząsnął nią szloch, któremu wtórowało głośne mlaskanie.



Potępieniec zwany niegdyś Białym wcisnął w Magdę trochę suszonego mięsa na kolację, a sam zjadł surowy kawałek tamtego mężczyzny. Głośno przy tym mlaskał i ostentacyjnie oblizywał usta. Miała wrażenie, że robił to tylko z czystej złośliwości.

Zanim zapadła ciemność, dziewczyna oświadczyła, że musi udać się na stronę. Nie liczyła, że puści ją samą, ale miała nikłą nadzieję, że może choć na chwilę straci czujność. Co prawda rozwiązał jej ręce, ale od razu spętał je z przodu i przez cały czas stał tuż przy niej.

– Czy kiedykolwiek istniała prawdziwa Żywia? – zapytała cicho, kiedy Biały zabezpieczył miejsce na obóz i kazał jej się położyć na kocu.

Spojrzał na nią i już była pewna, że zamierza ją zignorować, ale właśnie wtedy odpowiedział:

– A myślisz, że skąd wziąłem tamto ciało? – Wskazał na siebie. – I jej ubrania? Przez długi czas cię obserwowałem, a kiedy ona zdobyła twoje ślepe zaufanie, wystarczyło tylko się pod nią podszyć.

Magdzie zrobiło się niedobrze. Poczwała, jakby po raz drugi straciła bliską przyjaciółkę.

Potępieniec usiadł tuż przy niej, pełniąc straż. Nienawiść wprost się w niej gotowała, mieszając się ze strachem. Przymknęła oczy, chcąc uspokoić nerwy. Powoli zaczęła obmyślać plan, jak wydostać się z tej beznadziejnej sytuacji.

Zanim się obejrzała, zapadła w niespokojny sen. Jednak co chwilę gwałtownie się z niego budziła, niepewna, czy już coś ją atakuje; czy te wszystkie wrzaski i jęki, które słyszała, stworzyła jej wyobraźnia, czy też demony wciąż krążące wokół nich.

Późną nocą usnęła twardo ze zmęczenia, ale w pewnym momencie wybudził ją potworny wrzask. Drgnęła nerwowo i gwałtownie otworzyła oczy. Otaczała ją ciemność odrobinę tylko rozpraszana przez gwiazdy. Ile czasu minie, zanim nastanie świt, a demony odejdą i znów będą mogli ruszyć w drogę ku jej pewnej śmierci? A co, jeśli to już? Jeżeli tego dnia dotrą do Niji?

Ukradkiem zerknęła na Białego. Siedział oparty plecami o kamień, ale oczy miał zamknięte. Udawał? Czy to możliwe, że i jego zmogło zmęczenie? Ile tak naprawdę potrzebował snu?

Magda poruszyła się nieznacznie. Szelest jej kurtki nie wywołał żadnej reakcji u potępienca. Rozprostowała zdrętwiałe nogi, wciąż uważnie obserwując rysy jego twarzy. Żaden mięsień nie drgnął. Równie dobrze mogła już teraz zacząć wprowadzać w życie swój plan.

Uniosła związane nadgarstki do twarzy i zacisnęła zęby na sznurze. Szarpnęła mocno. Rozległ się trzask, ale lina nawet się nie poluzowała. Biały drgnął we śnie.

Magda zamarła, on jednak się nie obudził. Odetchnęła z ulgą i sprawdziła językiem, czy nadal ma wszystkie zęby. Zatem trzeba sięgnąć po bardziej żmudną metodę.

Ponownie uniosła ręce i powoli zaczęła przegryzać kolejne włókna. Przez cały czas bała się, że potępieniec w końcu się obudzi, a ona nie zdąży się uwolnić i straci jakąkolwiek szansę na ucieczkę.

W pobliżu przemknął prawie ludzki kształt poruszający się na czterech kończynach. Z jego chudych pleców wyrastały kolce na kształt zębów piły. Nagle zatrzymał się i spojrzał prosto na Magdę.

Nie widzisz mnie – przekonywała go w myślach. Nie możesz mnie widzieć, on zabezpieczył obóz...

A jeśli akurat tej nocy Biały zrobił to niedokładnie? Bzdura, demony już by ją wyczuły. Jednak ten potwór wciąż się w nią wpatrywał! Długim i chudym językiem oblizał zęby. Akurat w tym momencie puściła ostatnia nitka. Magda była wolna, mimo to nie śmiała się poruszyć. Demon uniósł nieco łeb, jakby węszył, i po chwili, która wydała się wiecznością, zawył rozdzierająco, a następnie odbiegł w noc.

Szelest ubrań i ciche chrapnięcie. Magda spojrzała na Białego, który wyglądał, jakby już zaraz miał się przebudzić. Wiedziała, że w walce wręcz nie ma z nim większych szans, więc planowała zaatakować go tuż przed świtem. Tyle że właśnie zdała sobie sprawę, że taka okazja jak ta nie wydarzy się już nigdy.

W ułamku sekundy podjęła decyzję. Rzuciła się wprost na potępienca, wyszarpnęła zza jego paska nóż, uniosła ostrze i opuściła prosto na jego skroń. Nagle jej przedramię trafiło na przeszkodę twardą jak kamień. To była jego pięść. Magda ujrzała czarne oczy wpatrzone

prosto w nią.

Zamarkowała cięcie na klatkę piersiową. Zbił jej dłoń, pewny, że będzie celowała w serce, jednak ostrze pędziło już w zupełnie innym kierunku. Uderzyło od boku w jego kolano, ześlizgnęło się po rzepce, ale i tak uszkodziło staw.

Potępieniec wrzasnął. Jego ręka wystrzeliła w stronę Magdy, ale dziewczyna, niewiele myśląc, zerwała się z ziemi i rzuciła do ucieczki.

– Nie!!! – krzyknął, gdy przekroczyła granicę bezpiecznego obozu.

Może i była to głupia decyzja, która mogła skończyć się dla niej tragicznie, ale przecież nawi również prowadził ją na śmierć.

Całkiem niedaleko rozległo się wycie.

Szlag, szlag, szlag... – myślała, nie zwalniając ani na chwilę.

Nagle usłyszała szuranie z tyłu. Zaryzykowała obejrzenie się za siebie. Ten przeklęty potępieniec biegł za nią, kuśtykając. Krew z jego nogi lała się na ziemię, ale nie zamierzał tak szybko się poddać.

Niespodziewanie Magda dotarła do skalnego rumowiska. Ledwie wyhamowała przed stromym urwiskiem. W dół posypały się małe kamyczki. Dziewczyna gwałtownie skręciła i ruszyła wzdłuż krawędzi. Biały miał niestety więcej czasu niż ona na skorygowanie kursu i zaczął zataczać łuk, niebezpiecznie się do niej zbliżając.

Magda pędziła przed siebie, jednym susem wskoczyła na wysoki głaz i wybiła się, a następnie przeleciała nad dość szeroką szczeliną w skale. Wylądowała miękko po drugiej stronie i biegła dalej. Łudziła się, że potępieniec

będzie miał problem z pokonaniem tej przeszkody, jednak on sprawnie ją ominął i coraz bardziej zbliżał się do dziewczyny.

Znów rozległo się wycie, a tuż po nim gardłowy warkot.

Magda czuła, że słabnie. Ostatnie dni były wykańczające, a szaleńczy bieg wykorzystał już prawie całą jej rezerwę energii. Brakowało jej tchu, mięśnie zaczęły palić, potwornie kłuło ją w boku.

Nagle coś łupnęło, poczuła uderzenie między łopatkami, a po jej ciele rozlał się ból. Potknęła się i poleciała do przodu, z hukiem padając na ziemię. Na chwilę straciła orientację, ale szybko doszła do siebie, kiedy poczuła uścisk na kostce. To Biały jakimś cudem dopadł do niej i ją złapał. Jednak ona nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Zaczęła kopać na oślep. Uchwyt rozluźnił się, ale już po chwili zacisnął się na nowo.

Kopiąc i krzycząc, wyrzuciła rękę w bok. Zacisnęła palce na ostrym kamieniu i rzuciła w przeciwnika. Trafiła go w głowę, lecz on również nie zamierzał odpuścić.

Wtem zza skał wyskoczyło coś wielkiego i ciemnego. Magda usłyszała warkot i wrzask potępieńca, który szarpnął jej stopą. Już po sekundzie ją puścił. Jego ciało uniosło się i z hukiem opadło na ziemię. Olbrzymia bestia miotała nim niczym szmacianą lalką. A Magda nie miała najmniejszego zamiaru czekać, aż przyjdzie kolej na nią.

Odczołgała się i wstała na chwiejne nogi. Zataczając się, ruszyła w stronę czarnej plamy między głazami. Za sobą słyszała warczenie i trzask łamanych kości, ale nie

śmiała się obejrzeć.

Dopadła wąskiej szczeliny w skałach. Nie była w stanie już biec, a więc musiała się schować. Wpełzła do niewielkiej jamy, w której nie mogłaby nawet się wyprostować, ale która dawała złudne poczucie bezpieczeństwa.

Dźwięki z zewnątrz ucichły. Wielki demon musiał rozprawić się już z potępieńcem i teraz ruszył za nią. Gorączkowo zaczęła przeszukiwać kieszenie, aż zacisnęła dłoń na mieszance soli i suszonych ziół, które zawsze nosiła ze sobą. Dzięki Bogu, nie zgubiła ich podczas ucieczki. Drżącymi rękoma usypała linię od jednej ściany szczeliny do drugiej. Wcisnęła się w najdalszy kąt i ledwie śmiać oddychać, zaczęła nasłuchiwać.

Usłyszała szuranie piasku na skałach, zgrzyt pazura o kamień i ciężkie dyszenie. Demon węszył za nią. Magda miała wrażenie, że całe pustkowia słyszą bicie jej serca, ale nie potrafiła go uspokoić. Jej mięśnie drżały, oddech był płytki i przyspieszony, a oczy szeroko otwarte. Nagle wielki cień przesłonił wyjście z jamy. Dziewczyna cicho jęknęła.

Błysk czerwonych ślepi, gdy bestia dotarła do linii z ziół i soli. Wielki, kudłaty łeb obrócił się najpierw w jedną stronę, potem w drugą, jakby stwór zastanawiał się, czy dać sobie spokój i odejść. *Idź, idź sobie* – modliła się w duchu dziewczyna. Stwór zbliżył łapę tuż do granicy, a potem gwałtownie ją cofnął. Stęknął głucho i położył się na ziemi, zasłaniając wyjście.

Magda objęła ramionami kolana i z rezygnacją oparła głowę o zimną, wilgotną skałę. Wystarczy dożyć do

rana...



Tosia z podziwem obserwowała Janinę. Staruszka w kilka godzin zorganizowała spotkanie emerytów z Wiatrołomu. Zgarnęła kilkoro staruszków spod kościoła, kiedy wychodzili z popołudniowej mszy, i zaciągnęła ich do baru, gdzie poczęstowała ich ciasteczkami i kawą. Bo przecież kto odmówi darmowej kawy?

Nastolatka zebrała brudne filiżanki i przeszła do kuchni.

– Chciałabym mieć choć połowę jej bezczelności i pewności siebie – szepnęła Klara, wstawiając kolejny czajnik z wodą na gaz.

– To się wyrabia z wiekiem – powiedział Waldemar, któremu już od dwóch godzin udawało się ukrywać w kuchni z flaszka. Jego przyjaciel nie miał tyle szczęścia i musiał zabawiać nowych znajomych Janiny jako „szlachetny człowiek, który w obliczu katastrofy od razu przyjechał do Wiatrołomu, aby pomóc potrzebującym”.

– No nie wiem. – Tosia pokręciła głową. – Reszta staruszków wydaje się całkiem przez nią zdominowana.

– Bo Janina ma z dwieście lat, tylko dobrze się z tym kryje – stwierdził lekarz. – Strzygi już tak mają.

Tosia pochyliła się nad zlewem, usiłując ukryć uśmiezek.

– Co się tak chichracie? – Do kuchni wpadła Janina. Zmierzyła wzrokiem Waldemara, który profilaktycznie

schował za siebie butelkę, ale jako że lekarz nie pasował do jej wizji świata, postanowiła i tak go zignorować. – Potrzeba jeszcze dwóch kaw. Dziewczyny, nie objajcie się tak!

– Ale ja nie bardzo rozumiem, co my właściwie tutaj robimy – odezwała się Klara. Tosia jej przytaknęła.

– Wy tak mało wiecie o świecie – westchnęła Janina. – Tamci ludzie to prawdziwa skarbnica wiedzy i plotek. – Wskazała palcem drzwi. – A do tego są spragnieni towarzystwa i kogoś, kto ich wysłucha.

To zabawne, że ona nigdy nie identyfikuje się z innymi starszymi osobami – przemknęło przez myśl Tosi.

– Ja zaś dowiem się od nich wszystkiego, co chciałabym wiedzieć. A kawa jest po to, żeby byli naszymi dłużnikami. W końcu trudniej odmówić komuś, kto w czarnej godzinie zaoferował ci ciepły napój i poczęstował ciastkami. Na jutro ściągnę kuchnię polową i będziemy rozdawać ludziom gorący żurek. – Uśmiechnęła się do własnych myśli, a chwilę później mina jej zrzedła, kiedy w końcu spojrzała na Waldemara. – Ogarnij się pan, za jakąś godzinę pojedziecie z Bronisławem do jakiegoś większego miasta po zakupy.

Lekarz zmarszczył brwi, jakby nie wiedział, o kim mowa.

– Gauza naprawdę ma tak na imię? – zdziwił się, lecz Janina go zignorowała.

– Woda nam się kończy – wtrąciła Tosia, wlewając do czajnika resztkę zapasu. – Mogłabym skoczyć do studni albo do beczkowszu, ale nie za wiele przyniosę sama...

Janina pokręciła głową.

– Trochę więcej pomysłu i przebojowości,

dziewczyno. Bierz puste butle i chodź. – Złapała ją za rękę i wyprowadziła przed bar.

Przeszła kilkanaście metrów i rozejrzała się, aż jej wzrok padł na trzech młodych mężczyzn.

– Panowie, jak dobrze, że was widzę! – powiedziała głośno, przechodząc na ton, który Tosia nauczyła się już rozpoznawać; w myślach nazywała go: *jestem biedną staruszką i potrzebuję pomocy*.

Niski, rudy facet ze zdziwieniem wskazał na siebie.

– Tak, wy, potrzebujemy wody, a ja stara, schorowana, nie mogę dźwigać, moja wnuczka to z kolei takie chucherko... – Wypchnęła przed siebie zażenowaną Tosię. – Beczkowóz jest tuż za rogiem. Wyglądacie na uczciwych młodych kawalerów. Pan Bóg na pewno wynagrodzi wam za waszą pomoc.

Nastolatka ledwie powstrzymała się od ironicznego parsknięcia. Cała trójka wyglądała, jakby poprzedniego dnia brała udział w ustawce. Mimo to, słysząc słowa Janiny, rudy oraz chudy wypięli dumnie klatki piersiowe. Tylko ten największy zmarszczył brwi.

– Jak pani chce darmowych pracowników, to radzę poszukać gdzieś indziej – odezwał się w końcu.

– Chłopcze, ja właśnie opiekuję się grupką staruszków, o których każdy zapomniał w obliczu klęski żywiołowej. Może nawet tam jest wasza babcia albo dziadek. Przyznajcie się, sprawdziliście, czy wszystko u nich w porządku po wicherze?

Rudy zrobił głupią minę. Chudy podrapał się po głowie.

– Moi dziadkowie nie żyją – powiedział ten największy.

– A na cmentarzu byłeś, żeby uprzątnąć z grobu skutki wichury? – naskoczyła na niego Janina. Sądząc

po jego wyrazie twarzy, nawet o tym nie pomyślał i teraz dopadły go wyrzuty sumienia. – Tak myślałam. – Wzięła puste butle od Tosi i wręczyła je mężczyznom. – To teraz macie szansę zadbać o żyjących. No już, sio!

Tosia, cała czerwona na twarzy, ruszyła tuż za nimi.

– Niezłą masz babcię, mała – odezwał się ten największy.

– To nie moja babcia – westchnęła nastolatka. – Tymczasowo tylko z nią mieszkam. Poza tym jestem Tosia.

– Siwy – odparł mężczyzna. – Ten to Mamut. – Wskazał rudego. – A to Tytus. – Chudy skinął głową. – To co za sabat macie?

– Pani Janina postanowiła... eee... zaprosić do siebie starsze osoby, żeby... nie były samotne w takie dni?

Tragarze z przymusu pokiwali głowami, a dziewczyna odetchnęła z ulgą, że kłamstwo przeszło.

Wkrótce napełnili przy beczkowie wszystkie butle i ruszyli z powrotem.

– Poczekaj chwilę. – Siwy zatrzymał się, kiedy znaleźli się przed barem. – Ty prowadzisz nas do knajpy Wojnów?

Tosia pokiwała głową.

– Znacie Feliksa? – zapytała.

Mężczyźni wymienili zaniepokojone spojrzenia; jakoś nie kwapili się do odpowiedzi.

– Wreszcie – przywitała ich Klara, kiedy tylko weszli do kuchni. – Janina już szafu dostaje, że tyle czasu wam to zajęło.

– Dzięki za pomoc. – Tosia uśmiechnęła się do nowych znajomych. Ulotnili się z baru, zanim zdążyła cokolwiek dodać.

- A im co? - zainteresował się Waldemar.
- Albo mają coś do rodziny Wojnów, albo wystraszyli się, że zostaną zaprzęgnięci do kolejnej roboty - odparła nastolatka.



Magda otworzyła oczy. Czarna noc zamieniła się w szary poranek. Przez wąską szczelinę do skalnej jamy wlewało się słabe światło dnia. Ostrożnie rozprostowała nogi; wszystko ją bolało od spędzenia kilku godzin w skulonej pozycji. Ale żyła. Bardzo powoli wysunęła głowę na zewnątrz. Włochaty demon, który czatował na nią tuż za granicą usypaną z soli i ziół, zniknął.

Wspięła się na wysoki głaz i powiodła dookoła wzrokiem. Pustkowie nadal nie zachwycało wszystkimi odcieniami szarości. Magda znów była sama, spragniona, głodna i bez broni. Jednak tym razem wiedziała, gdzie się znajduje i kim jest. A to już duży plus.

W oddali ujrzała coś ciemnoczerwonego, bardzo niepasującego do tej krainy. Zeskoczyła z głazu. Plecy zaboląły ją w miejscu, w które poprzedniego dnia została uderzona kamieniem przez Białego.

Wciąż uważnie się rozglądając i nasłuchując, czy potępieniec się gdzieś na nią nie czai, podeszła do zaschniętej kałuży, której czerwień aż raziła oczy. Wnioskując po jej rozmiarach, powłoka Białego najprawdopodobniej nie żyła. A jeśli Magda miała szczęście, to i sam demon nie przetrwał ataku rozwścieczonej bestii. Jednak te ponad dwa miesiące -

o ile dobrze to policzyła – które spędziła w Nawii, nauczyły ją już, żeby zawsze zakładała najgorsze. Ile czasu minie, zanim szczur znajdzie jakąkolwiek żywą istotę, którą będzie mógł zabić i zbudować z niej nowe ciało? Magda wzruszyła ramionami. Na tych pustkowiach na pewno trochę mu to zajmie.

W nocy uciekała przed siebie na oślep, raniony przez nią potępieniec zostawiał jednak za sobą ślady krwi doskonale widoczne wśród wszechobecnej szarości. Podążając za nimi, Magda szybko odnalazła ich obóz. Był zupełnie nietknięty.

Pospiesznymi ruchami przejrzała wszystkie rzeczy, zapas ziół, soli i jedzenia spakowała do swojego plecaka. Znalazła nóż, który Biały wytrącił jej z ręki. Zmartwiło ją, że zostało tak niewiele wody – w końcu ten przeklęty potępieniec nie planował przecież zapasów na drogę powrotną. Sięgnęła po oparty o kamień łuk i kołczan ze strzałami. Żyvia trochę uczyła ją, jak strzelać... cóż, teraz dalszą nauką Magda będzie musiała zająć się sama, i to w przyspieszonym tempie. Na samą myśl o przyjaciółce ścisnęło jej się serce. Jakim cudem mogła nie zauważyć momentu, w którym Biały zaczął się pod nią podszywać? Kiedy to się stało? Może na samym początku ich znajomości? Była przecież tak spragniona ludzkiego towarzystwa... A może stało się to w któryś zwykły dzień, kiedy mieszkały razem w chacie?

Czy kiedy bestialsko ją mordował, Magda siedziała bezpiecznie w obozowisku, nawet nie przypuszczając, że jej przyjaciółka potrzebowała pomocy?

Kolejny dzień poszukiwań. Michał zdążył już zapomnieć, dlaczego tak naprawdę to robił. Teraz już chyba tylko dla samej idei.

– Ona wie, co tu się dzieje – powiedział do siebie na głos.

Słyszał o kolejnych zgonach. Ktoś lub coś mordowało ludzi, Wiatrołom zmienił się z nudnego, spokojnego miasteczka w scenę brutalnych zabójstw, a tylko Magda sprawiała wrażenie, że potrafi to wszystko wytłumaczyć. Musiał ją odnaleźć, żeby świat odzyskał sens. Żeby Aśka wyszła z żałoby i żeby wiedzieli, przed czym muszą się bronić.

Bez większych nadziei zaczepił staruszkę karmiącą kaczkę nad rzeczką. Ona również nie potrafiła mu pomóc. Z rezygnacją usiadł na ławce i zapatrzył się przed siebie. W oddali przejechały dwa wojskowe samochody. Było ich w Wiatrołomie coraz mniej, podobnie jak wozów transmisyjnych. Bo ileż można karmić ludzi tymi samymi wiadomościami? Dziennikarze z całego kraju zjechali się tu dzień po wichurze, posiedzieli dobę, nakręcili materiał i się po prostu zwinęli. Żołnierze obsługiwali zaś beczkowsy i usuwali przewrócone drzewa, ale zdawało się, że robili to z coraz mniejszym entuzjazmem.

Michał oparł łokcie na kolanach i zwiesił głowę. Kartkę ze szkicem trzymał między palcami resztką sił. To było jak szukanie igły w stogu siana. Powinien dać sobie spokój. Nic już nie wskóra. Tym bardziej że zbliżał się wieczór, a on nie zamierzał po zmroku włóczyć się po mieście. Może kiedy indziej...

Rozprostował palce i patrzył, jak rysunek powoli opada na ziemię. Wtem ktoś stanął tuż przed nim, zasłaniając słońce.

– Mogę to zobaczyć? – usłyszał.

Podniósł głowę i zobaczył chłopaka trochę młodszego od siebie. Sięgnął po kartkę i podał mu ją. Młody blondyn zapatrzył się na szkic, kącik jego ust uniósł się nieznacznie.

– Widziałem cię już wcześniej, ale nie byłem pewien, czy to jej szukasz – powiedział.

– Znasz ją? – Michał natychmiast się ożywił.

– Chodzi ci o Magdę, prawda?

Osiemnastolatek poderwał się z ławki.

– Ciemne, puste oczy, długie jasne włosy, trochę uszczypliwa. – Z każdym kolejnym słowem Michał kiwał głową. – Szła przed siebie, jakby cały świat do niej należał?

– Tak, to musi być ona!

Chłopak westchnął ze smutkiem.

– Magda nie żyje.

Michała zatkało.

– Ale że jak? – wydusił z siebie po chwili.

– Zginęła w drugą noc po wichurze – wyjaśnił ze smutkiem chłopak.

– Niemożliwe... – Michała opuściły wszelkie siły i z powrotem opadł na ławkę.

– Przykro mi. Długo ją znałeś? – Chłopak usadowił się obok niego i położył mu rękę na łopacie.

– Z godzinę.

– To żałuj, że tak krótko, była naprawdę ekstra.

– Uratowała życie mnie i mojej siostrze.

Chłopak pokiwał głową, jakby to było takie oczywiste.

– A ty skąd ją znałeś? – Michał spojrzał na niego.

– Chodziła z moim kuzynem – wyjaśnił. – On też nie żyje.

Co z tymi ludźmi...? – przemknęło Michałowi przez myśl.

– Ale liczę, że jeszcze wrócą – dodał chłopak, wpatrując się w przestrzeń przed sobą. – Wszyscy mówią, że to już niemożliwe, ale ja wciąż mam nadzieję.

– Jak to: wrócą?

– Opowiedz mi o tym, jak poznałeś Magdę, a ja ci wyjaśnię, kim była.



Magda czuła, że umiera. Cóż, miała w tym już pewne doświadczenie. Choć do tej pory każda jej śmierć była gwałtowna, tym razem jednak miało być inaczej.

Wlekła się noga za nogą, bo gdyby tylko się zatrzymała, nie byłaby w stanie już ruszyć. Z wycieńczenia do głowy przychodziły jej same absurdalne myśli. Wszystkie mięśnie ją bolały, a jednocześnie były jak z waty. Wystarczyłby lekki podmuch wiatru, a przewróciłaby się i już nigdy nie wstała. Żołądek skurczył się i miała wrażenie, że jeszcze chwila, a jego ścianki zlepią się ze sobą i strawią same siebie, o ile w ogóle coś takiego było możliwe. Ale najgorsze było pragnienie. Usta jej popękały do krwi i piekły boleśnie, język był zdrętwiały i spuchnięty. Oddałaby wszystko za odrobinę wody.

Nie potrafiła nawet powiedzieć, kiedy skończyły jej się zapasy. Dni, a może tygodnie temu? Miała wrażenie,

jakby na pustkowiach była od zawsze. Inny świat w ogóle nie istniał.

Umrze tu, nigdy już nie zobaczy błękitu nieba, nie poczuje smaku wody ani jedzenia w ustach, nie stanie bosą stopą na miękkiej trawie. Nigdy nie wydostanie się z Nawii ani nie dowie się, czy jej rodzina przeżyła trzynasty księżyc.

Kolejny niewielki krok, taki sam jak tysiąc poprzednich. I następny, równie chwiejny. Nagle ziemia usunęła się spod jej stóp, a Magda miała wrażenie, że leci. Wznosi się wysoko ku szaremu niebu.

I wtedy boleśnie uderzyła całym ciałem o coś twardego.



Maja wciąż przyciskała bok do rogu ściany. Przez cały czas słyszała mlaskanie, przeżuwanie i dźwięk rozdieranej skóry. A to coś, ten stwór co chwilę wzdychał z zadowoleniem. Dziewczyna uchyliła powiekę i zerknęła na niego kątem oka. Przeżuwał właśnie wielki kawał zakrwawionego mięsa i wyglądał jak najszczęśliwszy diabeł na świecie.

Z gardła Mai wydobył się szloch. Ile czasu jeszcze potrzeba, żeby to coś znudziło się zwłokami mężczyzny i rzuciło się na nią? Jak się przed tym obronić? Tak wiele dałaby za to, żeby mieć nóż albo chociaż pałkę. Dyskretnie rozejrzała się wokół. Promienie wschodzącego księżyca docierały do jej ziemianki na tyle, że metr dalej zdołała dostrzec kamień, który musiał wypaść ze ściany. Wyciągnęła w jego stronę

rękę, był jednak zbyt daleko. Zerknęła na stwora, którego w myślach zaczęła nazywać ścierwojadem. Właśnie wsadził cały łeb w dziurę powstałą w klatce piersiowej zmarłego i zamachał tylnymi łapami, jakby usiłował dostać się jeszcze głębiej. Maja ledwie powstrzymała wymioty. Starając się nie zwrócić na siebie uwagi, nieznacznie przesunęła się i wychyliła jeszcze dalej. Opuszkami dotknęła chropowatej krawędzi kamienia. Szybkie spojrzenie na stwora. Wciąż był zbyt zajęty, żeby zwracać na nią uwagę. Zacisnęła palce na kamieniu i natychmiast wróciła do swojego kąta. Otworzyła dłoń, patrząc na kamień. Da radę roztrzaskać czaszkę temu czemuś, kiedy się na nią rzuci? Nie będzie miała innego wyjścia.

Nagle usłyszała hałas gdzieś u góry. Zamarła w bezruchu, nasłuchując. Ktoś wreszcie przyszedł jej na ratunek... a może to porywacz wrócił z kolejnym ciałem?

Mały stwór zdawał się niczego nie słyszeć albo po prostu to ignorował. Wielki cień pojawił się nad krawędzią ziemianki, zasłaniając księżyc. Maja miała wrażenie, że słyszy świst powietrza wciąganego do płuc, owionął ją smród zgniłego mięsa.

Ścierwojad uniósł zakrwawiony łeb, jego oczy się rozszerzyły. Zaskowyczał, zbiegł ze zwłok i zaczął wspinać się po ścianie. Jednak to coś u góry było szybsze. Jednym susem przeskoczyło nad ziemianką i znalazło się po drugiej stronie, gdy tylko mały stwór sięgnął krawędzi. Uniosło wielką łapę i opuściło ją na ścierwojada. Rozległ się pisk.

Potem ten wielki potwór cofnął łapę, zbliżył łeb wielkości głowy konia do swojej ofiary, chwycił ją

zębami, podrzucił, a następnie złapał w powietrzu. Wszystko wydarzyło się w przeciągu kilku sekund, a Maja nie potrafiła oderwać wzroku od przerażającego widoku, nawet gdy usłyszała dźwięk miażdżonych kości.

Wielka bestia przeżuła ścierwojada, a potem go wypluła. Postawiła wielkie łapy na krawędzi ziemianki, długie pazury wbiły się w zaprawę w ścianie. Ciemnoczerwone cielsko opadło bliżej ziemi, kiedy wielki łeb zniżył się w stronę dziewczyny.

Maja odruchowo zacisnęła palce na kamieniu, aż pobielaly jej kostki. Starala się jeszcze bardziej wcisnąć plecami w ścianę, zlać się z nią, stać się niewidzialna. To coś nie miało oczu! Na ich miejscu znajdowała się tylko gładka skóra wyglądająca, jakby ktoś na siłę naciągnął ją na za dużą czaszkę. W miejscu nosa ziały dwie poszarpane dziury. Wielka paszcza rozchyliła się, w powietrzu chlapnął długi jęzor.

Maja wrzasnęła.



– Mówiłem, że ona tam jest! – syknął Tomek.

Bliźniacy spojrzeli po sobie. Ratowanie dziewczyny to jedna sprawa, ale rzucanie się na coś tak wielkiego graniczyło z czystą głupotą.

Ona i tak już nie ma szans – pomyślał Sebastian. Teraz to tylko kwestia tego, czy będzie jeden trup, czy cztery.

Adrian pokręcił głową; najwyraźniej i on wolał się wycofać. Powinni zadzwonić po Feliksa, pozwolić

źniwiarzom się tym zająć. Bo kim niby byli bliźniacy?

Wrzask Mai zamienił się w szloch.

– Proszę, nie, proszę... – powtarzała w kółko, płacząc.

Demon wielkości konia zniżył łeb tak, że było widać jedynie jego czerwony grzbiet nabrzmiały od ludzkiej krwi.

Sebastian już otworzył usta, żeby zaproponować dyskretną ucieczkę z tego miejsca i zadzwonienie po Feliksa, kiedy spojrzał na Tomka. Chłopak z oczami jak spodki kręcił lekko głową i powoli się wycofywał.

Kurna, nawet jej facet nie chce jej ratować...

Adrian sapnął ze złością, diabli wiedzą, czy na demona, barmana, czy może na samego siebie.

– My odwrócimy jego uwagę, a ty wyciągniesz ją z tego dołu – powiedział.

Tomek zatrzymał się i po kilku chwilach skinął głową.

– Tylko się streszczaj – dodał Sebastian.

Demon wciąż sterczał nad dziurą w ziemi, jakby bawił go płacz dziewczyny. A może wcale nie był głodny? Zachowywał się jak kot, który wolał bawić się myszą niż ją zjeść? Co wcale nie znaczyło, że jeśli znudzi się swoją ofiarą, nie zmiażdży jej czaszki.

Bliźniacy zaczęli okrążyć potwora. Sebastian zerknął kątem oka na kij w rękach brata.

– A mówiłem ci: też kup sobie maczetę – warknął cicho. – Ale nie, bo to zabawka dla gadźeciarzy!

– Pogadamy, jak rozwalę mu tym łeb.

Zatrzymali się i skinęli głowami Tomkowi, choć nie byli pewni, czy w ciemnościach ich widzi. Równy wzięli głęboki wdech i z krzykiem na ustach ruszyli na demona.

Sebastian wbił maczetę w udo demona. Stwór

gwałtownie uniósł łeb i zaskrzeczał. Zanim mężczyzna wyjął z niego broń, został uderzony potężną łapą, aż huknęło. Z głuchym stęknieniem zwałił się na ziemię.

Łup! Łup!

To Adrian zaczął okładać bestię kijem, jednak efekt jego starań nie był zadowalający. Drewno zamiast łamać kości ledwie zagłębiało się w ciele i odbijało od niego jak od gumy.

– O cholera – sapnął bliźniak, kiedy wielki, łysy łeb bez oczu odwrócił się w jego stronę. Długa łapa poszybowała wprost na jego głowę, ale zdążył się uchylić.

Dumny z siebie, wyprostował się, ale nagle świat wokół zawirował – mocne uderzenie wycisnęło mu powietrze z płuc. Wylądował na ziemi, a demon przycisnął łapą jego klatkę piersiową.

Adrianowi oczy niemal wyszły z orbit; dusił się, nie mogąc złapać oddechu, a potężna łapa coraz mocniej na niego napierała. Jeszcze chwila, a strzaska mu wszystkie żebra.

W międzyczasie Sebastian pozbiierał się na chwiejne nogi. W uszach mu szumiało, wszystko wokół było lekko rozmazane. Zobaczył demona pochylającego się nad Adrianem i krew w nim zawrzała. Co jak co, ale nie zadziera się z bliźniakami. Wyszarpnął z uda stwora maczetę, na ziemię chlusnęła szaroczerwona posoka. Może choć na tego demona zadziała odcięcie głowy?

Jednym susem dopadł do łba demona, uniósł wysoko maczetę, spiął wszystkie mięśnie i opuścił ją na odkryty kark nawiego, który wciąż był zajęty wciskaniem drugiego bliźniaka w ziemię. Ostrze maczety wbiło się głęboko w ciało, a łeb stwora opadł i uderzył w Adriana.

Sebastian ku swojemu przerażeniu usłyszał chrupnięcie. Bez chwili zastanowienia rzucił się całym ciałem na demona, obejmując go ramionami. Nie poszło tak, jak by sobie tego życzył, ale udało mu się ściągnąć nawiego z brata, który odwrócił się na bok i zaczął walczyć o oddech; po jego twarzy lała się krew.

Demon przewrócony na bok dostał szału. Zrzucił z siebie Sebastiana i stanął na czterech łapach. Jego głowa była nieco przekrzywiona, maczeta wciąż tkwiła w karku, ale poza tym cios, który miał być śmiertelny, nie wywołał większych efektów.

Sebastian odskoczył poza zasięg młócających powietrze łap.

Tym razem mamy przerąbane – pomyślał, patrząc na wściekłą bestię, która miotła się dookoła. Miał tylko nadzieję, że Tomek zdążył wyciągnąć z dołu Maję i zabrał ją z tego przekłętego lasu. Bo tym razem bliźniakom nie uda się uniknąć śmierci tak łatwo.

Wtem nawi znieruchomiał. Obrócił łeb prosto na Sebastiana. Już go wyczuł i postąpił w jego stronę. Może uda się sięgnąć maczetę i odrąbać mu ten łeb? Albo chociaż wbić nóż w mózg, o ile ten w ogóle go miał. Bliźniak sięgnął do paska i zacisnął palce na rękojeści.

Nagle z boku pojawił się cały zakrwawiony Adrian z przekrzywionym nosem. W rękach trzymał swój kij bejsbolowy. W ułamku sekundy uniósł go i przyłożył demonowi prosto w pysk – jednak było to za mało, żeby powstrzymać potężną bestię.

Bracia stanęli ramię w ramię, żeby razem stawić czoła śmierci.

Wtem coś łupnęło. Demon zarzucił łbem, z głębi jego gardła wydobył się skowyt. Z jego pleców tuż pod

łopatką sterczało zaś drzewce włóczni.

Bliźniacy spojrzeli ponad grzbietem nawiego i zobaczyli wyprostowanego Feliksa z ręką wciąż wyciągniętą przed siebie po udanym rzucie. Żniwiarz mógł na co dzień wyglądać jak niedoświadczony łupek, ale kiedy stawiał czoła demonom, coś w jego postawie zmieniało się tak, że nawet bracia, którzy górowali nad innymi wzrostem i siłą, czuli przed nim respekt.

Zanim zdążyli w jakikolwiek sposób zareagować, zza ich pleców wypadła Wanda. Sypnęła czymś białym prosto w bezoki łeb. Demon wydał z siebie całą gamę wysokich dźwięków, usiłując wytrzeć pysk o zeschnięte liście na ziemi. Kobieta wyskoczyła wysoko, jedną stopą odbiła się od karku stwora, złapała drzewce, obróciła się w powietrzu i wylądowała miękko na ugiętych nogach, trzymając przed sobą włócznię.

– Drugie jest moje! – krzyknęła do nadbiegającego Feliksa.

Żniwiarz skinął głową, nawet się nie zatrzymując. Rzucił się na ziemię i ślizgając się po liściach, wsunął się pod wielkie cielsko, trzymając nad sobą długi nóż. Rozharatał kawał brzucha demona, uniknął miażdżących łap i przetoczył się w bok. Pozbierał się na nogi i tym razem on sypnął w demona białym proszkiem.

Stwór odwrócił się, a wtedy Wanda wbiła włócznię w jego klatkę piersiową po prawej stronie. Nawi miotał się jeszcze przez kilka sekund, aż padł na ziemię. Bardzo szybko zatracił swój kształt, tak jakby teraz stał się workiem przepelnionym szaroczerwonym płynem, który zaczął wyciekać przez rany i wsiąkać w ziemię.

– Co wyście, do cholery, sobie myśleli?! – wybuchnął

Feliks.

Bliźniacy spojrzeli po sobie. Opieprz to była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewali.

– No... my... tego... szukaliśmy... – zaczęli się jąkać. – Maja i Tomek!

– Są w samochodzie – powiedziała Wanda. – Spotkaliśmy ich po drodze, to oni nas tu skierowali.

– Gdybyśmy spóźnili się zaledwie minutę, zastalibyśmy tu wasze zwłoki! – wściekał się dalej Feliks. – I co niby miałbym powiedzieć waszej babci?!

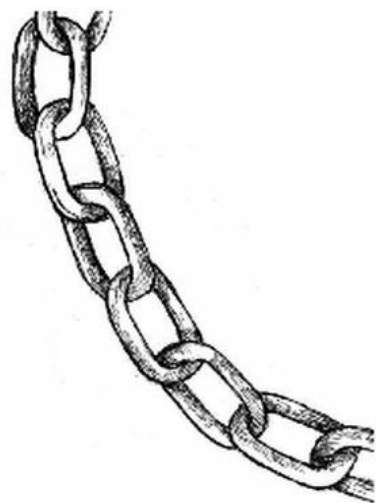
– Że zginęliśmy bohaterką śmiercią? – podpowiedział Adrian. Jego głos brzmiał komicznie przez zapuchnięty i zakrwawiony nos.

– Wyglądasz okropnie – podsumowała Wanda.

– Fpoko, nie pierwfy i nie oftatni raz mam złamany nof.

Odwrócił się do brata, który obiema dłońmi sprawnie przesunął jego chrząstkę na miejsce, do wtóru jego przekleństw.

Rozdział 13



Poczuła chłód. Czyżby nastąpiła już noc? I dobrze, demony się obudzą, a jej męka wreszcie się skończy. Leżała w bezruchu kilka minut, a może godzin, i nic się nie stało. Żadne szpony ani zęby nie zaczęły rozszarpywać jej ciała. A prawa dłoń zdrętwiała z zimna, co było dość dziwnym uczuciem, gdy dotyczyło tylko jednej części ciała.

Z olbrzymim trudem otworzyła oczy. Leżała na szarej ziemi, widziała lewą rękę. Delikatnie poruszyła palcami. Tak, to była jej dłoń. Nieco dalej zobaczyła coś czarnego, ale nie potrafiła zogniskować na tym wzroku. Podźwignęła się nieco i odwróciła głowę w drugą stronę. Prawa ręka leżała w wodzie. To dlatego tak zmarzła...

Woda!

W Magdę wstąpiły nowe siły – przeczołgała się po ziemi i zanurzyła obie dłonie w wartkim strumieniu. Bez zastanowienia złożyła je, nabrała szarawego płynu i zbliżyła ręce do ust. Pierwszy haust przyszedł jej z trudem, zupełnie jakby jej ciało oduczyło się przełykać, ale następne okazały się o wiele łatwiejsze. Piła i piła, aż zaczęło jej chlupotać w brzuchu, a żołądek ją rozboleł. Nie minęła chwila, a prawie wszystko zwymiotowała. Od tego czasu była już ostrożniejsza i gdy doszła do siebie, brała tylko małe łyki.

Kiedy zaspokoili pragnienie, odwróciła się, ale cokolwiek czarnego znajdowało się za nią, zniknęło. Może miała omamy? W końcu padła na plecy, rozłożyła szeroko ramiona, spojrzała na szare niebo i zaczęła się śmiać. Znow cudem uniknęła śmierci.

Skoro znalazła wodę, znajdzie i jedzenie.

A jeśli strumień na pustkowiach jest zatruty? – zapytał podstępnie umysł. Jeśli to woda tylko dla demonów?

– Jestem po części demonem i przeżyję – obiecała sobie. – A potem zapoluję.



Feliks i Wanda odwieźli najpierw Tomka i Maję na pogotowie, zostawili ich tam, a potem wrócili na obrzeża lasu po bliźniaków. Żniwiarz przez cały ten czas był wściekły na braci.

– Jeden głupszy od drugiego – narzekał. – Co wyście sobie myśleli?! Bezkost prawie zabił was obu. Zachciało wam się odgrywać pogromców demonów! Jakby nie można było poprosić nas o pomoc!

– I tak masz dużo na głowie – burknął urażony Sebastian.

– Wystarczy, że przedwczoraj musiałem pochować Magdę i nie chcę tego robić z kolejnymi członkami rodziny!

– Najważniejsze, że nic się nie stało. – Wanda spróbowała załagodzić sytuację.

– Wcale że nie! Bo nagle wszystkim wokół się wydaje, że mogą bawić się w żniwiarzy!

– Takie czasy – odezwał się Adrian.

– Że co?!

– Jesteśmy w trakcie wojny z demonami. Musimy jakoś sobie radzić, skoro na świecie zostało już tylko dwoje żniwiarzy.

Feliks ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Facet miał trochę racji.

Dalej przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Co, do jasnej... – zaczął żniwiarz, kiedy jechali przez centrum Wiatrołomu.

Nie musiał kończyć przekleństwem, bliźniacy zrobili to za niego.

– Chyba powinniśmy sprawdzić, co tu się dzieje – powiedziała powoli Wanda.

Feliks zaparkował na chodniku i cała czwórka ruszyła w stronę baru, pod którym zebrał się tłum ludzi. Jakoś przepchnęli się pomiędzy mieszkańcami Wiatrołomu, aż dotarli do wielkiej kuchni polowej, przy której stały Tosia i Klara, wydając ludziom zupę w plastikowych miskach.

– Co wy wyprawiacie? – syknął żniwiarz.

– Pani Janina nam kazała – odparła szybko Tosia, umywając ręce od tego wszystkiego.

– A wy?! – Feliks dopiero teraz zauważył Mamuta i Siwego, którzy tuż obok dziewczyn rozdawali chleb.

– To ta starsza pani nas zdybała... – zaczął się tłumaczyć rudzielec.

– Babcia znów wpadła na genialny pomysł – westchnął ciężko Adrian.

Wówczas z tłumy wyszła sama Janina.

– Mieliśmy nie zwracać na siebie uwagi! – syknął Feliks, łapiąc ją za łokieć. – Coś ty wymyśliła?!

– Ocieplam właśnie wizerunek Wojnów w Wiatrołomie – oświadczyła.

– Ale po jaką cholere?! –

– Bo jeżeli cokolwiek spieprzycie na tej wojnie z demonami i sprawa się rozejdzie, chcę, żeby pamiętali, kto pomógł im po kataklizmie.

– I co to niby za pomoc? – syknął.

– Wielu z tych ludzi nie jadło ciepłego posiłku od trzech dni. Poza tym nie mają czasu gotować. No i zebrałam już grupę ochotników, którzy zobowiązali się pomóc w usuwaniu szkód wichury tym, do których jeszcze nie dotarła straż pożarna.

– Babcia, jak się sanepid do nas przypierniczy... – odezwał się Sebastian, ze zgrozą obserwując ludzi krążących wokół z miskami z żurkiem.

– To odeślesz ich do mnie. Poza tym sprawdziłam, jak nie będą chcieli na siłę się przyczepić, to nie mają do czego. Bo kto będzie na tyle bezczelny, żeby wlepić mandaty dwóm młodym mężczyznom, którzy postanowili uratować przed głodem swoich sąsiadów? A tobie co się stało? – Spojrzała na Adriana z zapuchniętym nosem i siniakami pod oczami.

– Ratowałam naszą kelnerkę przed demonem.

– I udało się? – zapytała, a wnukowie pokiwali głowami. – To dobrze, bo się już denerwowałam, że ta leniwa mątna nie raczyła pojawić się w pracy. W środku jest ten lekarz z bożej łaski, niech cię obejrzy.

Feliks pokiwał bliźniakom głową i już miał iść za nimi, kiedy Janina złapała go za łokieć.

– Pocztą pantoflową rozesłałam wieść, że lokalny proboszcz jest niespełna rozumu. – Zakręciła młynek palcem wskazującym tuż przy swojej skroni. – Dziś na porannej mszy zaczął szukać kozła ofiarnego, kogoś, kogo można obwinić za całe zło tego świata. I nie trafiło na satanistów.

– Akurat to mnie nie dziwi. Sataniści są kiepską wymówką – wtrąciła Wanda.

Janina posłała jej spojrzenie, w którym pogarda mieszała się z irytacją.

– Problem polega na tym, że ludzie naprawdę potrzebują tego kozła ofiarnego – powiedziała w końcu.
– A przed satanistami czuli strach i pewien respekt.

– Przed każdym mordercą będą czuli strach – oświadczyła Wanda.

– Ale nie na każdego pójdą nocą z widłami i pochodniami.

Feliks wreszcie zrozumiał, do czego dążyła staruszka. Wróg o znajomej twarzy nie był już taki straszny i teraz tylko czekać, aż w mieszkańcach Wiatrołomu obudzi się potrzeba samosądu na kimś, kto znajdzie się w złym miejscu o złym czasie.

– Pójdę do tego księdza – postanowił, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył przez tłum ludzi zajądających się żurkiem.

– Czekaj! Nie o to mi chodziło! – zawołała za nim Janina, jednak nie zamierzał się zatrzymać.



Magda w pośpiechu zrzuciła z siebie ubrania i weszła do lodowatej rzeki. Woda obmyła jej łydki i kolana, wyżej niestety nie sięgała, ale dziewczyna nabrała jej w dłonie i z rozkoszą ochlapała nią twarz. Chciała zmyć z siebie krew, pot i kurz z pustkowi. Nabrała garść jasnego piasku i zaczęła szorować nim skórę. Od popołudnia rozglądała się za mydlnicą, jednak nie mogła jej znaleźć, a marzyła o tym, żeby umyć tłuste już włosy.

Poprzedniego dnia jeszcze na pustkowiach zaczęła dostrzegać ślady życia. Z twardej ziemi wyrastały

pojedyncze kępki trawy i chwastów, a raz przeleciał nad jej głową wróbel. Niestety noc musiała jeszcze spędzić wśród demonów, lecz z samego rana ruszyła przed siebie pełna nowej energii i nadziei, że wreszcie opuści to piekło.

Wyszła na brzeg, wytarła się kocem i zaczęła pospiesznie wkładać ubrania na wychłodzone ciało. Jej skóra zaczerwieniła się i piekła po szorowaniu piaskiem, ale wreszcie była czysta. Zaburczało jej w brzuchu – ostatni kawałek mięsa z upolowanego małego demona zjadła poprzedniego dnia w południe. Woda zaś skończyła jej się kilka godzin później. Napełniła bukłaki i rozejrzała się po zielonym lesie. Co teraz? Nie była pewna, ponieważ do tej pory nie wybiegała myślą dalej niż poza wydostanie się z pustkowi. Tak naprawdę nie do końca nawet wierzyła, że uda jej się przetrwać.

Może powinna wrócić do jedyne go znanego jej miejsca, czyli chatki Żywii? Będzie tam w miarę bezpieczna, ale co potem? Tkwić tam w nieskończoność? Nieskończoność – w Nawii słowo to nabierało zupełnie innego znaczenia i było bliższe prawdy niż gdziekolwiek indziej. A może udać się do domku nad jeziorem? Niestety, jeżeli jakimś cudem okaże się, że Biały żyje, są to pierwsze miejsca, w jakich będzie jej szukał. Co nie zmienia faktu, że powinna tam zajrzeć i zabrać wszystko, co może jej się przydać, żeby przetrwać.

Tego wieczoru było już za późno, żeby coś upolować, znalazła jednak starą jabłoń z kwaśnymi jabłkami, którymi wypełniła plecak. Potem odszukała miejsce na nocleg i zawinięta w koc, usiadła na ziemi, opierając się o pień drzewa. Nie rozpałała ogniska, ponieważ obawiała

się, że jest jeszcze zbyt blisko pustkowi; nie chciała ryzykować. Wkrótce zapadła w sen pełen demonów.

Obudziła się, gdy poczuła dym. Przez chwilę była zupełnie zdezorientowana. Zaraz potem dotarł do niej zapach pieczonej ryby, aż pociekła jej ślinka, a w brzuchu donośnie zaburczało. Nie mogło jej się to wydawać – najwyraźniej w okolicy był ktoś, komu nie przeszkadzało sąsiedztwo pustkowi i setek demonów. Lub też był to kolejny podstęp mający zwabić ją w pułapkę.

Przez dłuższy czas zastanawiała się, co robić. Wreszcie przywiązała plecak do wysokiej gałęzi, nałożyła cięciwę na łuk, przyszykowała strzałę i ruszyła przez las, kierując się zapachem. Już z daleka dostrzegła ogień mrugający między drzewami.

Wciąż ukryta w cieniu, wyjrzała ostrożnie zza pnia. Przy ognisku, plecami do niej, siedział samotnie mężczyzna. Przynajmniej jego rozmiary sugerowały, że to mężczyzna, ale Magda postanowiła, że w Nawii nie będzie już niczego z góry zakładać. Tak więc stała wciąż ukryta w cieniu i obserwowała.

Przez pół godziny nic się nie wydarzyło. Mężczyzna piekł nad żarem ryby. Jego ruchy były powolne i spokojne, jakby znajdował się na biwaku, a demony nie istniały. A może sam był demonem? Może to Biały jakoś ją prześcignął i teraz czekał, aż wydostanie się z pustkowi? A może... może to zwykły człowiek?

Głupia – ofuknęła samą siebie. Nic się nie uczysz na własnych błędach i jesteś wciąż tak samo naiwna...

W Nawii nie ma przyjaznych ludzi, są tylko demony.

Opuściła nieco strzałę i zaczęła ostrożnie się wycofywać.

- Długo jeszcze zamierzasz siedzieć w tych krzakach?
- usłyszała tak nagle, aż po jej ciele przebiegł prąd.



Feliks wziął kilka głębszych wdechów i nacisnął dzwonek. Odpowiedziała mu cisza, jakby plebania była wymarła. Zerknął na zegarek – do południowej mszy było jeszcze sporo czasu. Zapukał, ale ponownie nic. W głowie kłębiły mu się czarne myśli. Jeśli ksiądz zorganizuje to czuwanie, wierni na nie przyjdą i będą przez całą noc wchodzić do kościoła i z niego wychodzić, a to wprost wymarzona sytuacja dla demonów. Jeżeli zaś będą kolejne ofiary, panika może popchnąć ludzi do naprawdę strasznych czynów. Szczególnie gdy będą przekonani, że bronią własnych domów i rodzin.

Ponownie uniósł rękę. W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież, a w nich stanął proboszcz. Zmierzył żniwiarza wzrokiem od stóp do głów i wyszedł na zewnątrz.

- Kancelaria parafialna jest czynna wieczorem – powiedział.

- Ja w sprawie czuwania.

- Zaczynamy o dwudziestej drugiej. Zapraszam.

- Nie o to mi chodzi...

Ksiądz machnął ręką, jakby odpędzał natrętną muchę, a Feliks właśnie zdał sobie sprawę z tego, że nie ma żadnych argumentów, które nie miałyby nic wspólnego z demonami. Głupotą było takie pochopne działanie, ale skoro i tak już tu jest...

– Chciałbym, żeby ksiądz przemyślał ten pomysł – odezwał się żniwiarz, wiedząc, że już dawno temu stracił uwagę proboszcza, który ruszył żwawym krokiem w stronę samochodu. – To naprawdę nie jest dobry pomysł... Po okolicy krążą mordercy...

– Dlatego właśnie będziemy się modlić, żeby policja szybko ich złapała.

– To nic nie da! – Feliks czuł, że jeszcze chwila, a puszczą mu nerwy. – A ludzie krążący w nocy po mieście będą jak owce na rzeź!

– Już postanowiłem. – Kapłan otworzył drzwi samochodu. – Dlaczego myślisz, że możesz zmienić moje zdanie?

Żniwiarza drażnił jego ton, jego spojrzenie i ta głupota. Bez udziału świadomej woli, z siłą pchnął drzwi, zatrzasnąwszy je z hukiem.

– Jak ksiądz chce, to niech sam wystawi się mordercom – wycedził. – Ale niech nie naraża niewinnych ludzi.

– Grozisz mi, synu? – Duchowny postąpił w jego stronę. – Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Że nie wiem, co się dzieje w domu na końcu miasta? Że wiecznie będę przymykał na to oko? Koniec z tym!

Feliks cofnął się, mocno zaciskając pięści. Gdyby tylko zechciał, powaliłby księdza na ziemię zaledwie jednym ciosem. Ale wtedy by przegrał. Nie powinien był nawet podnosić na niego głosu.

Przez dłuższy czas mierzyli się wrogim spojrzeniem, aż żniwiarz ustąpił.

– Po prostu martwię się o mieszkańców Wiatrołomu – powiedział cicho, nim odszedł.

Za plecami usłyszał jeszcze prychnięcie i ponowny

trzask drzwi samochodu.

Wyszedł na ulicę, a gdy tylko znalazł się za rogiem, z wściekłością uderzył pięścią w drzewo. Co się z nim działo? Cała ta demoniczna apokalipsa zmieniła go w idiotę. Stał się nieuważny, działał zbyt pochopnie, a to prowadzi tylko do jednego – śmierci. Taka właśnie była Magda, on zaś nie potrafił jej zmienić. I jak to się skończyło?

Mimowolnie uderzył kolejne mijane drzewo. Zabolało, po palcach zaczęła ściekać mu krew. Dwie staruszki wychodzące właśnie z domu spojrzały na niego ze strachem.

Pierwszy miał rację, jestem beznadziejnym żniwiarzem – pomyślał, a potem aż w nim zawrzało. Miał teraz dwa wyjścia. Albo dopadnie księdza, zwiąże go i przetrzyma w piwnicy, aż wywietrzeją mu z głowy głupie pomysły, albo przez całą noc będzie próbował uratować idiotów, którzy opuszczają własne domy.



Magda nie śmiała nawet drgnąć. Obcy odwrócił się od ogniska i spojrzał prosto w jej stronę, choć była prawie pewna, że w ogóle jej nie widać.

– Zapraszam do ogniska, jest zimna noc – powiedział spokojnym, chłodnym tonem.

Dziewczyna wahała się. Ale skoro i tak zdradziła mu już swoją obecność, mogła równie dobrze wyjść z tych krzaków i dowiedzieć się, z kim ma do czynienia.

Napięła cięciwę, wycelowała grot w obcego i powoli wyszła z cienia. Jej uwadze nie uszedł fakt, że facet –

teraz już była pewna, że to nie kobieta – dyskretnym ruchem wyjął zza paska nóż i również był gotów zaatakować ją w każdej chwili. Lecz tym razem to ona miała przewagę.

Stała w kręgu światła rzucanego przez ogień i nie przestawała celować do obcego. Zmierzyła go wzrokiem od całkiem muskularnego ciała, przez przystojną twarz, ciemne włosy i czarne oczy, aż po całkiem współczesny jej strój. *Szabrownik* – oceniła w myślach. *Tak jak Żywia*.

Mężczyzna również jej się przypatrywał, ale jego reakcja była zgoła inna. Zamiast chłodno przeanalizować sytuację, gwałtownie poderwał się na równe nogi.

– Nawet nie drgnij – wycedziła przez zęby Magda, jeszcze mocniej napinając cięciwę.

Jednak facet zachowywał się co najmniej podejrzanie. Przestał zwracać uwagę na strzałę wycelowaną prosto w jego serce, tylko zapatrzył się w jej oczy i wysoko unióśł brwi.

– Magda? – odezwał się po chwili. – Co ty tu, do cholery, robisz?!

Zaskoczył ją. Nie spodziewała się, że będzie znał jej imię, ale dopóki nie dowie się skąd, nie zamierzała opuszczać broni.

– Skąd wiesz... – zaczęła, ale jej przerwał.

– To ja poświęciłem własne życie dla ciebie, a ty, głupia dziewucho, dałaś się zabić?!

W głowie Magdy panował mętlik.

Nie, to niemożliwe... – przemknęło jej przez myśl.

– Pierwszy? – odezwała się z niedowierzaniem.

– A niby kto inny? – prychnął. – I odłóż tę zabawkę, bo

znów przez ciebie zginę.

Nieco opuściła strzałę i zluzowała cięciwę. On z kolei, nie widząc już zagrożenia z jej strony, na powrót rozsiadł się przy ognisku.

– Jak... skąd...? – zaczęła, ale nie potrafiła dokończyć pytania.

– Co ja tu robię? – odpowiedział. – Zabił mnie upiór, to wylądowałem w Nawii. Niby gdzie indziej mogłoby mnie wywiać? Dobrze, że tamten jest zajęty szturmowaniem świata żywych, to nie zdaje sobie sprawy z tego, co dzieje się tuż pod jego nosem.

– Nija? – upewniła się.

– A kto inny?

Wzruszyła ramionami. W świecie, w którym nastolatki okazywały się demonami, wszystko jej zdaniem było możliwe. Nawet to, że przed nią siedział ktoś, kto tylko udawał Pierwszego.

– Na bogów, dziewczyno, siadaj i przestań tak się we mnie wgapić.

Nie był podobny do żadnego wcielenia Pierwszego, jakie знаła, ale z całą pewnością brzmiał jak on.

Powoli, nie zdejmując strzały z cięciwy, usiadła przy ognisku z zachowaniem bezpiecznego dystansu.

– Wyglądasz inaczej – odezwała się.

– A ty wcale. Od razu widać, że to słodka Madzia z zaściankowego Wiatrołomu.

Miała ochotę mu dogadać, ale ugryzła się w język.

– Nie wiesz, jak to działa, co? – zagadnął, więc pokręciła głową. – Gdy zwykły człowiek po śmierci wyląduje w Nawii, wygląda tak, jak za życia. Ale ty nie miałaś jednego życia. Miałaś, *wow*, aż dwa. – W jego głosie zabrzmiała drwina.

– Więc wyglądam częściowo jak ja, a częściowo jak Oliwia – wypowiedziała to, czego od pewnego czasu się domyślała. – Za to ty, jak wnoszę, mogłeś sobie przebierać w najróżniejszych „garniturach”.

Skinął głową i przekręcił piekące się nad żarem ryby, a Magdzie donośnie zaburczało w brzuchu. Zerknął na nią, zdjął z ognia jeden kij i przyjrzał się, czy jego zdobycz jest dopieczona, po czym wysunął ją w stronę dziewczyny.

– Najpierw sam spróbuj – poleciła.

Uśmiechnął się, jakby zadowolony z jej reakcji, oderwał palcami kawałek mięsa, zjadł i podał jej resztę.

– Od kiedy jesteś w Nawii? – zapytał, kiedy jadła.

– Długo. – Wzruszyła ramionami.

– Kiedy zginęłaś?

Spuściła głowę i wlepiła wzrok w jedzenie.

– Następnej nocy po mnie – ocenił po jej zachowaniu, co jakoś zadziało jej na nerwy.

Czy ten przekłety drań potrafił czytać jej w myślach? Tylko on znał ją tak dobrze, a to znaczyło, że przed nią rzeczywiście siedział Pierwszy. Poczowała ciepło na sercu. Jeszcze za życia planowała zemścić się za jego śmierć; była mu wdzięczna, że się dla niej poświęcił, i żałowała, że odszedł, zanim zdążyła więcej się od niego nauczyć. Teraz mogła to nadrobić.

– Nawet nie wyobrażasz sobie, co działo się w Wiatrołomie – odezwała się. – Pojawiły się takie demony, o których nigdy nie słyszałam. Nawet Feliks nie miał pojęcia, że istnieją.

– Czy my czasem nie ustaliliśmy, że twój kochany wujaszek ma znikomą wiedzę na temat nawich? – zapytał, marszcząc brwi.

– Większą niż ja. – Postanowiła bronić Feliksa.

– Już nie. – Pokręcił głową. – Praktycznie wszystkie demony z Nawii mogą teraz przedostać się do świata żywych. Prawdziwy precedens.

– Jak można sobie z tym poradzić? – zapytała. Teraz, kiedy siedziała przy ognisku z Pierwszym, wstąpiły w nią nowe siły. Zupełnie inaczej, niż gdy była z Żywią. Wtedy po prostu cieszyła się, że miała kogoś bliskiego. Teraz mogła dowiedzieć się, jak uciec z Nawii i pokonać Niję.

– Trzeba zabić go tutaj i w świecie żywych.

Zmarszczyła brwi.

– Nie można zabić bóstwa – powiedziała to, co on wiele razy jej powtarzał.

– Ano nie, ale można zabić jego powłokę, a kiedy to zrobimy, powinien przejść w stan spoczynku, taki, w którym tkwił do tej pory.

– No dobra, ale co to znaczy: „tu i w świecie żywych”? On jest w dwóch miejscach równocześnie? Jak to możliwe?

– Nie próbuj ogarnąć bóstwa swoim małym rozumkiem...

– Czy on jest jak, dajmy na to, taki uśpiony bezkost? – przerwała mu.

Pierwszy z zainteresowaniem uniósł brwi.

– Kiedy się naje i przejdzie w ten swój letarg, wydaje się wtedy trochę nierzeczywisty w naszym świecie, bo jest tak jakby w obu światach naraz?

Żniwiarz z uznaniem skinął głową, a Magda uśmiechnęła się do siebie. Wszystkie puzzle w jej głowie zaczęły powoli trafiać na miejsce.

– Powiedz mi, złotko, tylko jedną rzecz – odezwał się

po chwili lekkim tonem. – Co robisz tutaj, na granicy jego terenów?

– Właśnie uciekłam z pustkowi – powiedziała z pewną dumą w głosie.

– A po cholereż żeś tam poszła?

Westchnęła ciężko, a potem zaczęła mówić. Opowiedziała o tym, jak trudno było jej na początku odnaleźć się w Nawii, że prawie zginęła. Zdradziła, jak poznała Żywie i jak jej zaufała, a nastolatka okazała się potępieńcem.

– I nie wzbudziła twoich podejrzeń? – zapytał z niedowierzaniem.

– Wszystko wokół było dla mnie nowe i obce – burknęła. – Jak mogłam się zorientować, że kłamała?

– Ty zawsze byłaś naiwna – stwierdził.

– Już taka nie jestem – wycedziła.

– Bo w końcu dotarło do ciebie to, czego cię uczyłem.

– Ty mnie uczyłeś?! Ty?! – wybuchnęła. – Ty tylko mnie wykorzystywałeś, żeby osiągnąć własne cele!

– To też – przyznał ze spokojem. – Ale nie powiesz, że nie dowiedziałaś się ode mnie więcej niż od twojego wujka.

– Czy ty jesteś o niego zazdrosny, że ciągle usiłujesz go zdyskredytować w moich oczach?

– Daj spokój, kotku. I tak wiem, że mnie uwielbiasz.

– Bynajmniej – mruknęła. – A co ty robisz tak blisko pustkowi?

– Jak to co? Poluję. Tu jest najwięcej demonów, a trucizna na Niję sama się nie robi.

Długo jeszcze rozmawiali, aż powieki Magdy zaczęły jej ciążyć, a głowa opadać na bok.

– Dobra, złotko, pora spać – zarządził Pierwszy. –

Jutro czeka nas pracowity dzień.

– Nas? – zapytała sennie. – Od kiedy to działamy razem?

– Już od dawna i nie wiem, czy zauważyłaś, ale całkiem zgrany z nas duet.

Nie kłóciła się. Wiedziała, że wszelkie dyskusje z Pierwszym są bezcelowe. On i tak zawsze myślał swoje i swoje robił, nie przejmując się innymi ani nie pytając ich o zdanie. A tak przynajmniej mogła oszczędzić sobie nerwów. Poszła po swoje rzeczy, a potem usnęła przy ognisku.



Proboszcz Seweryn Wieczorek zasiadł do kolacji. Wciąż był zły, że komendant potraktował go tak obcesowo, ale trzeba mu przyznać, że miał trochę racji. Czuwanie nie było najlepszym pomysłem. Nie przy krążącym po mieście mordercy. A to z kolei przypomniało księdzu inną bardzo nieprzyjemną rozmowę.

– Pani Aniu – zwrócił się do gospodyni. – Co może mi pani powiedzieć na temat tego nowego chłopaka od Wojnów?

Starszej pani aż oczy się zaświeciły, gdy usłyszała to pytanie. Była mistrzynią w wyłapywaniu wszystkich plotek z okolicy. O każdym wiedziała niemal wszystko. Przysiadła na krześle i zacmokała.

– Oj, źle się dzieje w rodzinie Wojnów – oświadczyła w końcu. – Krążą o nich takie historie... A wszystko zaczęło się od zaginięcia starego Feliksa Wojny. Mówią,

że ten młody to jego syn z nieprawego łoża, który go zamordował w akcie zemsty.

– Za co? – Kapłan był dość sceptyczny.

– Tego nie wiem. – Pokręciła głową. – No ale to nie jest normalne, sam ksiądz przyzna, że pewnego dnia znika stary Feliks, a do jego domu wprowadza się młody chłopak o tym samym imieniu.

– Cóż, różne przypadki chodzą po ludziach...

– Ale to tylko początek. – Gospodyni zaczęła się rozkręcać. – Nad całą rodziną zawisło fatum. Chociażby śmierć Jadwigi.

Ksiądz zmarszczył brwi, przywołując w pamięci starszą kobietę.

– Mówią, że to był wypadek, zwykłe zatrucie gazem, że przecież była stara i zniedołężniała. Ale ja rozmawiałam z nią zaledwie dwa dni przed jej śmiercią. Umysł miała ostry jak brzytwa! Takie osoby nie odkręcają gazu i nie zasypiają potem w fotelu!

Proboszcz upił łyk herbaty, nic nie mówiąc. Nie chciał się kłócić, a doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że pani Ania uwielbia wszelkie teorie spiskowe.

– A śmierć młodej Magdy? Wystarczyło, żeby tylko na kilka miesięcy wprowadziła się do starego domu Wojnów, i zginęła w dziwnych okolicznościach.

– Budynek się zawalił... – odezwał się nieśmiało duchowny.

– Może i tak, ale to kolejny dziwny przypadek. Mija zaledwie rok, a umiera ich sąsiad.

– Grzegorz Jabłoński? Toć to był zawał!

Pani Ania wzruszyła ramionami.

– No i od jakichś trzech tygodni nikt nie widział tego chłopaka od Wilków, który tak dużo czasu spędzał

z Wojnami. A Sandra i Krzysztof zachowują się, jakby byli w żałobie po bratanku.

Ksiądz ponownie sięgnął po filiżankę, żeby zamaskować wrażenie, jakie zrobiła na nim opowieść gosposi. Wiedział, że w życiu zdarzają się najróżniejsze i najdziwniejsze przypadki, ale musiał przyznać, że nad rodziną Wojnów rzeczywiście zawisło widmo śmierci, a podejrzane wydarzenia były tam na porządku dziennym.

– Nie wspominając już o aferze ze spadkiem. – Głos gospodyni wyrwał go z zamyślenia.

– Wszystko ponoć się wyjaśniło. A czy ta starsza pani nie zamieszkała czasem w domu Jadwigi?

– Dostała zaledwie taki ochłap... A dziś rozdawała wraz z wnukami ludziom jedzenie.

– To chyba dobrze?

– Niby tak – przyznała niechętnie – ale wciąż coś mi tu nie gra... Była tak bardzo nastawiona na zwycięstwo, kiedy spotkałam ją na samym początku, jak tu przyjechała. Ta kobieta wyglądała, jakby chciała zawojować cały świat. A teraz nagle zupełnie zmieniła front...

– Bo dogadała się z rodziną? – podpowiedział proboszcz.

Gospodyni energicznie pokręciła głową.

– To na pewno tak się nie odbyło. Założę się, że mają na nią jakiegoś haka.

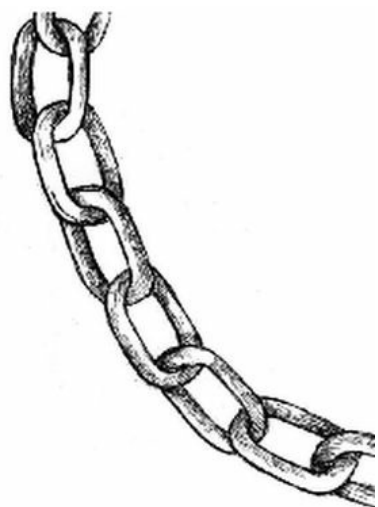
– Pani Aniu, to już chyba przesada.

– Jak ksiądz nie chce, nie musi mi wierzyć, ale ja tam swoje wiem.

Czy to możliwe, że to wszystko to zwykły zbieg okoliczności? – zamyślił się Wieczorek i im głębiej się

nad tym zastanawiał, tym bardziej nie potrafił znaleźć jednoznacznej odpowiedzi.

Rozdział 14



Magda otworzyła oczy. Była zupełnie sama. Przez kilka chwil zastanawiała się, czy poprzednia noc i spotkanie z Pierwszym jej się nie śniły. Jednak tłące się ognisko i koc zwinięty na ziemi sugerowały coś innego. Przeciągnęła się, ziewając. Do rana niewiele spała, przez większość czasu czuwając. To, że ucieszyła się na widok innego człowieka, a w szczególności żniwiarza, nie znaczyło, że tak od razu zacznie mu ufać.

– Dzień dobry, księżniczko – usłyszała.

Pierwszy, najwyraźniej już po kąpieli w rzece, przykucnął przy ognisku i dmuchnął kilka razy w żar, aż buchnął z niego płomień.

– Całkiem dobry – przyznała. – Zważywszy na to, że obudziłam się cała i zdrowa.

– Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to już dawno temu. – Wstawił na ogień garnek z wodą, wrzuciwszy do niego jakieś zielsko.

– Już raz to zrobiłeś. Choć z tego, co pamiętam, nasza przygoda w hotelu i dla ciebie skończyła się marnie. – Nie mogła odmówić sobie drobnej złośliwości.

Wstała z ziemi, wytrzepała swój koc i zaczęła go zwijać.

– To tylko dowodzi, że jako człowiek potrafiłaś mnie zaskoczyć – przyznał.

– A jako żniwiarz? – Przeszyła go spojrzeniem.

– Jesteś nieobliczalna. Na przykład nie śmiałybym nawet marzyć, że tak szybko dołączysz do mnie w Nawii. Czasem się zastanawiam, skąd biorą się takie pomysły w tej uroczej główce.

– Po pierwsze nie jestem tu z własnej woli, a po drugie najwyraźniej nie doceniasz kobiet.

Pierwszy prychnął cicho. Zdjął garnek z ognia, nalał brązowo-zielonej cieczy do kubka i zakręcił nim.

– Mylisz się. Bardzo często największe problemy sprawiały mi właśnie kobiety, bo były najbardziej waleczne. Jak sobie pomyślę o Nadii... – Pokręcił głową i upił łyk herbaty.

Magda zacisnęła pięści, ale nie dała się sprowokować.

– Aż mi żal, że musiałem ją zabić.

– Masz tutaj znacznie lepsze ciało – rzuciła. – Nie szło zmienić charakteru?

– A po co? – Wzruszył ramionami i podał jej kubek.

– Żeby ktoś cię wreszcie polubił? – Podmuchała w gorący płyn i napiła się czegoś, co okazało się paskudną herbatą ziołową.

– Nikt nie ma mnie lubić. Przecież jestem tym złym.

Pomimo tego, że uważał się za czarny charakter, na śniadanie podzielił się z Magdą rybami z poprzedniego wieczora.

– Co będziemy dziś robić? – zapytała podczas jedzenia.

– Podbijać świat.

Wywróciła oczami.

– A tak na serio?

– Zapolujemy na boginki.

Trybiki w głowie Magdy zaczęły działać. W książkach były dziesiątki demonów, w których istnienie nie wierzyła, na które ani Feliks, ani żaden inny znany im zniwiarz nigdy się nie natknął. Boginki należały właśnie do tego grona. I jeżeli jest cokolwiek, czego dziewczyna nauczyła się po swojej śmierci, to właśnie tego, że o setkach rzeczy nie miała pojęcia.

– No, oświeć mnie – powiedział nagłaco Pierwszy.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Prawie para ci z uszu idzie – stwierdził. – Co wiesz o boginkach?

– Mieszkały nad rzekami i tam prały coś kijami – odparła, przywołując wiedzę przyswojoną tak dawno temu. – Pamiętam, że czytałam o takim przypadku, kiedy ludzie w pewnej wsi byli przekonani, że nad pobliską rzeką mieszkają boginki, bo co noc słyszeć było tam charakterystyczny klekot. I jeden chłop przesiedział całą noc w krzakach, żeby przyłapać te boginki, a zobaczył jedynie klekoczącego ptaka.

– Miał szczęście, że to był tylko ptak.

– Wrócił do wsi i opowiedział wszystkim o tym, ale nikt mu nie uwierzył. Ludziom łatwiej było przyjąć do wiadomości, że to demony hałasowały, a nie zwykły ptak. Zupełnie na odwrót niż obecnie.

– Wspaniała anegdotka – rzucił ironicznie Pierwszy. – A coś bardziej sensownego pamiętasz?

– Boginki mają oczy wielkie jak talerze, świńskie kły, mogą zamienić się w zwierzę, a ich wzrok zabija – wyrecytowała jednym tchem.

– I to wiesz z książek, tak?

Pokiwała głową, ale Pierwszy już się więcej nie odezwał. Zaczął się pakować, a kiedy Magda nawet nie drgnęła, posłał jej spojrzenie typu: „zamierzasz tu zostać sama?”, więc pozbierała swoje rzeczy, upchnęła je do plecaka i ruszyła za nim w nieznane.



Po południu dotarli do malowniczego jeziora. Pierwszy jak gdyby nigdy nic zrzucił plecak na ziemię

i zrobił głęboki wdech.

– Wspaniała okolica – powiedział.

Magda stanęła obok, ale nie podzielała jego entuzjazmu.

– Co teraz? – zapytała.

– Rozpal ognisko, ja idę na ryby.

Zanim się obejrzała, Pierwszy wyciągnął z plecaka haczyk oraz żyłkę nawiniętą na drewnienko i zniknął za krzewami. Zdjęła więc plecak i usiadła na nim z rezygnacją. Pierwszy budził w niej najgorsze instynkty. Cokolwiek powiedział, ona zawsze miała ochotę zrobić mu na przekór, chciała się z nim sprzeczać jak pięciolatka, która wie, że i tak przegra wszelkie utarczki słowne. Dlatego tym razem kilka razy głęboko odetchnęła, wstała z plecaka i rozejrzała się za suchym drewnem.

Godzinę później siedziała już przy ognisku i grzebała patykiem w żarze. Wtedy wrócił, niosąc za skrzela kilka sporych ryb. Pomogła mu je oskrobać i wypatroszyć, a potem nabili je na długie patyki i zaczęli piec nad ogniem.

– Tęsknię za twoimi czasami – odezwał się Pierwszy. – Jedzenie było dostępne wszędzie, człowiek nigdy nie chodził głodny, w ostateczności mógł wyżebrać pod sklepem pięć złotych, które wystarczyło na kawałek kiełbasy i chleba...

– No istna sielanka, naprawdę – rzuciła uszczypliwie.

– I jedzenie smakowało jak jedzenie – rozmarzył się.

– Co masz na myśli? – zainteresowała się.

– Wiesz, dlaczego demony atakują ludzi jak oszalałe? Dlaczego w ich poczynaniach nie ma ani logiki, ani sensu? Zachowują się jak dzieciak w dziale

z cukierkami...

Nawi od zawsze zabijali ludzi, byli spragnieni ich krwi. Magda nigdy nie poświęciła nawet chwili, aby zastanowić się, dlaczego tak jest, więc tylko wzruszyła ramionami. Skóra na jej rybie zaczęła się brązować i wyglądać coraz bardziej smaczkowicie.

– Bo tutaj, w Nawii, wszystko smakuje im jak wata – powiedział.

Podniosła na niego zaciekawiony wzrok.

– Nie mów, że nie poczułaś różnicy.

– Myślałam, że tylko ja tak mam...

– Nie, moja droga, nie tylko ty. A ty jesteś tylko po części demonem, więc możesz wyobrazić sobie ten wieczny głód, który odczuwają. I tę radość, kiedy uda im się przedostać do świata żywych.

Słyszając ostatnie zdanie, Magda się ożywiła.

– No właśnie, jak one to robią? Jak my możemy to zrobić?

– To nie takie proste – uśmiechnął się niemal przyjacielsko. – Gdyby było, już dawno temu bym stąd zniknął.

– A więc? – Nie zamierzała odpuścić.

– Musisz zebrać wystarczająco energii...

– Jak? – przerwała mu.

– Po prostu. – Wzruszył ramionami, przekręcając swoją rybę nad ogniem. – Będiesz wiedziała, kiedy będziesz gotowa.

– Czyli jest szansa, że się stąd wydostanę? – zapytała ostrożnie, pełna nadziei.

– Być może, zależy...

– Od czego?

– Od tego, czy będziesz grzeczna i będziesz mnie

słuchać.

Wypuściła powietrze z płuc. Jaką miała chęć, żeby przywalić mu trzymanym kijem w tę jego okropną gębę...

– A potem kieruj się drogą dusz – zakończył.

– Że niby co?

– Czyżby twoje książki na ten temat milczały?

– Chodzi ci o Drogę Mleczną? – oświeciło ją. – Ale według wierzeń to dusze zmarłych kierowały się nią, żeby trafić właśnie do Nawii.

– I jeszcze się nie nauczyłaś, że tutaj wszystko działa tak samo, tylko na odwrót? – Zacmokał, jakby miał do czynienia z niegrzecznym dzieckiem.

– Ale co to znaczy: kierować się? – dociekała.

– Przyjdzie ten czas, będziesz wiedziała. Albo i nie. I utkniesz tu po wsze czasy.

– No to żeś mnie pocieszył – mruknęła, dmuchając na swoją rybę, żeby przestygła.

– Ja ci nie kazałem ginąć.

Magda zajęła się jedzeniem. Jak zwykle było mdłe i nijakie, pomimo tego, że pachniało naprawdę apetycznie.

– Jak dobrze umiesz z tego strzelać? – zainteresował się Pierwszy po zjedzonym posiłku. Brodą wskazał łuk.

– Wystarczająco – odparła. Skoro on wciąż posługiwał się niedopowiedzeniami, ona również mogła sobie na to pozwolić.

– A, myślałem, że lepiej – westchnął.

Znowu mnie podpuszcza – pomyślała. I całkiem nieźle mu to idzie.

Dokończyła swoją rybę, wstała i nałożyła cięciwę na łuk.

Naprawdę nie musisz tego robić – przekonywała samą siebie. Nie musisz nic mu udowadniać. Szkoda tylko, że naprawdę tego chcę.

Wyjęła strzałę z kołczanu i wcisnęła cięciwę w rowek na jej końcu, a następnie delikatnie przejechała opuszkami palców po lotkach. Odnalazła wzrokiem duży liść, który zaczepił się o korę drzewa, i napięła cięciwę. Przyłożyła ją do policzka, wypuściła powietrze z płuc i rozprostowała palce. Strzała pomknęła prosto przed siebie i... wbiła się z głuchym stuknięciem w pień, zupełnie mijając swój cel. Magda zerknęła na Pierwszego.

– Nieźle – podsumował.

Dziewczyna dopiero teraz zobaczyła, że strzała wbiła się w jedyny kawałek pnia, który był obdarty z kory. Skinęła głową, jakby tak właśnie miało być. Co z tego, że jej cel znajdował się co najmniej kilkanaście centymetrów dalej?

Poszła po strzałę, z trudem wyciągnęła ją z pnia i usiadła z powrotem na ziemi, robiąc dobrą minę do złej gry.

– Dlaczego boginka? – zapytała.

Nie odpowiedział, jakby wszystkie jego myśli skupiały się wyłącznie na pieczonej rybie.

– Dobrze by było, gdybym wiedziała, dlaczego to właśnie ją mamy zlikwidować. Żeby w trakcie polowania czasem się nie okazało, że musi być żywa, kiedy będziesz wyjmował jej serce z piersi – stwierdziła z przekąsem. – Tak jak mnie załatwiłeś kiedyś z bezkostem.

– Potrzebujemy jej kija.

Magda uniosła brwi w oczekiwaniu na coś więcej, ale

Pierwszy znowu zamilkł.

– A po co nam ten kij?

– Zobaczysz.

Wypluł ość do ogniska, po czym położył się na ziemi, podkładając pod głowę chudy pień.

Magda ze zniecierpliwieniem rzuciła spojrzeniem na boki, po czym legła na miękkiej trawie i zapatrzyła się na błękitne niebo. Skoro Pierwszy ją ignorował, równie dobrze mogła się chwilę przespać. Po ostatniej nocy była wykończona.

Obudził ją chłód ciągnący od ziemi. Ognisko dawno temu wygasło, a świat spowiła wieczorna szarówka. Uniosła się na łokciach i zobaczyła Pierwszego ostrzącego nóż na kamieniu.

– Boginkę przede wszystkim należy wyciągnąć z wody – odezwał się, jakby byli w trakcie konwersacji. – Na lądzie jest słabsza. A zabić ją można przede wszystkim ogniem.

– Okej. – Skinęła głową. – A jak to zrobimy?

– Znajdę ją i ci ją wystawię. Skoro jesteś takim wybornym łucznikiem, bez problemu przeszyjesz jej serce.

Magda z powagą pokiwała głową. Nie była ani wybornym, ani łucznikiem, ale w tej chwili za nic by się do tego nie przyznała.

– Nie zabije jej to, ale ją spowolni – kontynuował Pierwszy. – A wtedy ja wyciągnę bestię na ląd. Przyjdiesz mi z pomocą, zwiążemy ją i rozpalimy ogień.

– A nie możemy tego ognia przyszykować wcześniej?

Pokręcił głową.

– Wyczuje podstęp i się nie pokaże. Jest bardzo wyczulona na tym punkcie.

Magda nie potrzebowała wiedzieć więcej. Zresztą podejrzewała, że Pierwszy i tak by jej nie powiedział. Przypięła kołczan do paska od spodni, nałożyła cięciwę na łuk i wyprostowała się, gotowa do stawienia czoła demonowi.

Jej towarzysz zwinął grubą linę i przewiesił ją sobie przez ramię. Do kieszeni schował krzesiwo i hubkę, a do ręki wziął włócznię, po czym uśmiechnął się do dziewczyny.

– Jak za starych dobrych czasów.

Gdyby to nie był Pierwszy, mogłaby uwierzyć, że naprawdę cieszył się z jej pomocy.

Nie oglądając się na nią, ruszył przed siebie wzdłuż jeziora. Z każdym ich krokiem świat pogrążał się w ciemnościach. Chudy księżyc wyłonił się zza drzew, oświetlając okolicę. W pewnym momencie żniwiarz zatrzymał się, odwrócił do dziewczyny i przyłożył palec do ust na znak, żeby zachowała ciszę. A potem zapatrzył się na wysokie trzciny porastające gęsto brzeg.

Magda podążyła za jego wzrokiem, jednak nic nie zauważyła. Za to po chwili dotarł do niej cichy, ale bardzo charakterystyczny dźwięk. Brzmiał, jakby ktoś uderzał jednym patykiem o drugi. W innym świecie, gdyby była człowiekiem, uznałaby, że to jakiś ptak, może nawet bocian.

Pierwszy na migi dał jej znać, żeby weszła do wody i ruszyła wzdłuż brzegu. Wydało jej się to dość dziwne, bo niby jak miała dostrzec demona w tej gęstwinie trzciny i jeszcze do niego strzelić? Jednak zazwyczaj plany Pierwszego działały, więc postanowiła się nie sprzeczać.

Powoli weszła do jeziora. Woda natychmiast wdarła się do jej butów, podeszwy zatoneły w mule. Trzciny zaszeleściły, kiedy wykonała krok naprzód. Lewą rękę zaciskała na majdanie łuku, lekko przytrzymując palcem strzałę skierowaną w dół. Opuszki prawej opierały się delikatnie na cięciwie, w każdej chwili gotowe, aby ją napiąć.

Wkrótce Magda straciła Pierwszego z oczu, zresztą wysokie trzciny bardzo ograniczały jej widoczność. Chudy sierp księżyca dawał zaledwie odrobinę światła, sprawiając, że świat miał wszystkie odcienie szarości. Ostrożnie posuwała się naprzód. Rozchylając rośliny, trąciła pokąźną pajęczynę, wprawiając ją w drgania. Duży pająk wybiegł nerwowo na jej środek w poszukiwaniu obfitej kolacji, jednak spotkało go wyłącznie rozczarowanie.

Krok za krokiem Magda szła coraz dalej; klekot nasilił się i wiedziała, że była coraz bliżej. Stała tuż przed granicą, gdzie kończyły się trzciny, i ostrożnie wyjrzała spomiędzy nich, trzymając broń w pogotowiu.

Kilka metrów dalej tyłem do Magdy stała boginka. Była wyższa niż dorosły człowiek i przeraźliwie chuda, przywodziła na myśl zmore, jednak podczas gdy tamta była prawie przezroczysta, ta wyglądała, jakby ktoś wylał na nią wiadro smoły. Pochylała się nad taflą, grzbiet wygięła w pałak, kościsty kręgosłup uwydatniał się pod skórą. Nawet nie drgnęła, w pełnym skupieniu obserwując coś pod wodą.

Magda, nadal ukryta w zaroślach, bezszelestnie napięła cięciwę i tylko grot strzały wystawał spomiędzy nich. Zawahała się. Gdzie, u diabła, był ten Pierwszy? Ona miała ranić demona, on wyciągnąć go z wody.

A jeśli coś go powstrzymało? Jeśli wcale nie czeka ukryty gdzieś na brzegu? Co wtedy?

Na chłodno przeanalizowała swoją sytuację. Nawci zdawał się bardzo zajęty swoimi sprawami. Mogła poczekać jeszcze minutę, dwie, aż Pierwszy da sygnał do ataku. Jeśli nie, Magda będzie musiała zabić demona sama. Nieco poluzowała cięciwę, nie spuszczać baczno wzroku ze stwora.

Nagle boginka drgnęła gwałtownie. Magda przyciągnęła do siebie cięciwę i wycelowała w jej plecy. Ta rzuciła się jednak do przodu, zanurzając w wodzie długie i kościste ramiona. Po chwili wyprostowała się i ruszyła w stronę wielkiego kamienia wystającego z wody. W rękach trzymała całkiem sporą, szamoczącą się rybę. Złapała ją za ogon i trzasnęła nią o głaz. Ryba znieruchomiała. Boginka odłożyła ją z pewnym namaszczeniem i sięgnęła po długi kij wbity w dno jeziora. Uniosła go i zaczęła nim okładać rybę.

Magda nie mogła oderwać od niej wzroku. Było coś niezwykłego w jej zachowaniu, szczególnie dla zniwiarza, który rzadko miał okazję zastanawiać się, co demony robią w czasie wolnym od atakowania ludzi.

Kiedy z ryby została dosłownie miazga, boginka zaczęła zbierać z kamienia krwawe resztki, a potem zlizywała je długim językiem z chudych palców.

Magda skrzywiła się z obrzydzeniem. W jej głowie pojawiło się pytanie, czy demon robi tak samo ze swoimi ludzkimi ofiarami.

Nagle poczuła na plecach delikatny podmuch wiatru. Kosmyki jej włosów połaskotały ją po twarzy, a trzciny zaszumiały cicho. Wiatr poniosł jej zapach w stronę nawiego.

Boginka odwróciła się. Wielkie żółte oczy rozżarzyły się, patrząc wprost na dziewczynę. Po świńskich kłach wystających z ust ściekała krwawa miazga, w której pobłyskiwały srebrne łuski.

Magda w ułamku sekundy wycelowała i puściła cięciwę. Strzała przemknęła nad wodą i wbiła się w klatkę piersiową stwora. Dziewczyna, nie czekając na nic, wypuściła kolejne dwie. Każda trafiła do celu, jednak wbrew temu, co mówił Pierwszy, rany wcale nie spowolniły boginki, która ruszyła do ataku.

Nie było już czasu, żeby sięgnąć po kolejne strzały. Magda odrzuciła więc łuk i od razu się pochyliła, unikając uderzenia kijem. Drewno zaświszczało nad jej głową, kosząc wysokie trzciny. Dziewczyna sięgnęła do paska po nóż i płynnym ruchem przeciągnęła ostrzem po brzuchu demona. Na jej rękę połała się czarna posoka. Nagle poczuła uderzenie w ramię, które zważyło ją z nóg. Boginka okazała się diabelnie szybka. Zanim Magda zorientowała się, co się dzieje, znalazła się pod wodą. Długie palce zacisnęły się wokół jej szyi i przycisnęły jej plecy do dna. Widziała bąble powietrza wędrujące do góry i sierp księżycy odbijający się w jeziorze. Dźgnęła nożem trzymając ją ręce. Najwyraźniej trafiła, bo uścisk na szyi zelżał na tyle, że zdołała unieść głowę ponad powierzchnię wody. Nabrała tchu i już miała zaatakować ponownie, gdy demon złapał ją za nadgarstek i znów została przyciśnięta do dna. Czarny muł uniósł się i otoczył ją niczym chmura.

Ogarnęła ją panika. Zaczęła kopać na oślep, paznokciami drapała trzymające ją ręce, spróbowała odgiąć chude palce. Bez skutku, demon był zbyt silny

i szybki, aby mogła go pokonać jedna osoba.

Nagle Magdą szarpnęło do góry, a boginka ją po prostu puściła. Dziewczyna pozbierała się na czworaka, krztusząc się. Woda była tutaj płytka, zaledwie po kolana, ale i tak naprawdę niewiele brakowało, żeby Magda się utopiła. Gdy tylko odzyskała oddech, podniosła się i ujrzała szarpiącą się boginkę. Minęło kilka sekund, zanim dziewczyna zorientowała się, co się dzieje. Kiedy demon się z nią mocował, Pierwszy zarzucił na jego szyję pętlę, a teraz ciągnął go w stronę brzegu.

Boginka, przewrócona na grzbiet, wymachiwała w powietrzu chudymi nogami; jej ręce próbowały rozluźnić więzy na gardle, ale wciąż nieubłaganie przesuwiała się w stronę lądu. Z torsu stworzenia wystawały złamane strzały.

– Może byś... mi... pomogła... – sapnął Pierwszy.

W Magdzie uruchomiła się przekora.

– Ty też za bardzo się nie spieszyłeś – orzekła. Oparła dłonie na kolanach, oddychając ciężko.

Wtem dostrzegła, że stworowi udało się wcisnąć palce pod linę i odrobinę ją poluzować. Drobne złośliwości wobec Pierwszego to jedno, a pozwolenie, żeby demon, który usiłował ją utopić, uwolnił się, to zupełnie inna sprawa. Dopadła do nawiego i kopnęła go w przedramię tak mocno, aż zabolą ją stopa, ale dzięki temu pętla znów zacisnęła się na jego szyi.

Pierwszy szarpnął po raz ostatni i boginka znalazła się wreszcie na brzegu. Zdawało się, że tutaj rzeczywiście osłabła i stała się wolniejsza.

Magda przez chwilę miała ochotę przycisnąć but do gardła stwora i mściwie powiedzieć coś w stylu: „Teraz

role się odwróciły”, ale wiedziała, że po czymś takim Pierwszy nie dałby jej żyć.

Starszy żniwiarz puścił linę, błyskawicznie podniósł z ziemi włócznię i przeszył klatkę piersiową demona, przyszpilając go do ziemi. Po wodzie poniósł się rozpaczliwy klekot. Chude palce zacisnęły się na drzewcu, ale zabrakło im siły, aby się uwolnić.

– Pilnuj jej – polecił Pierwszy.

Magda skinęła głową i stanęła przy demonie. Widziała krople wody powoli spływające po jego ciele i wsiąkające w ziemię. Zdawało się, że wraz z nimi uchodzi z boginki życie. Jej pięty coraz wolniej żłobiły bruzdy w ziemi, palce coraz słabiej zaciskały się na włóczni, klekot był cichszy.

W międzyczasie Pierwszy w godnym podziwu czasie rozpałił ognisko krzesiwem. A kiedy płomienie rozgorzały na dobre, odpalił od nich kiepskiej jakości pochodnię, którą zrobił diabli wiedzą kiedy. Może wtedy, gdy Magda skradała się po kolana w lodowatej wodzie.

– Wyciągnij włócznię – rzucił.

Dziewczyna wykonała polecenie, a Pierwszy przyłożył pochodnię do boku boginki. Demon natychmiast zajął się ogniem. Jego plecy wygięły się w pałąk, ręce wykręciły się nienaturalnie. Płomienie rozeszły się po czarnym ciele, jakby było posypane prochem. Zdawało się, że było już po wszystkim, gdy nagle boginka poderwała się z ziemi i zanim żniwiarze zdążyli w jakikolwiek sposób zareagować, demon sam wyglądający niczym pochodnia wskoczył do wody.

– Łap ją! – wrzasnął Pierwszy.

Oboje rzucili się za stworem, który choć wciąż

znajdował się na płyciźnie, zdążył ugasić ogień. Kiedy płomienie zgasły, Magda miała wrażenie, jakby oślepla; ciemność okleiła ją niczym smoła i dziewczyna potrzebowała dobrych kilku sekund, żeby przyzwyczać do niej wzrok.

Zamrugala i ujrzała Pierwszego szarpiącego się w wodzie z demonem, który najwyraźniej zaczął odzyskiwać siły. Podbiegła do nich, złapała boginkę za nogę i zaczęła ciągnąć ku brzegowi. Kilka razy przysiadła w wodzie, tracąc równowagę, jej buty grzęzły głęboko w mule, wszystkie mięśnie zaczęły drżeć z wysiłku.

– No już! – sapnęła.

W końcu stanęła na twardym gruncie, ale boginka robiła wszystko, żeby tylko mieć kontakt z wodą. Pierwszy złapał ją za ręce i wspólnymi siłami wyciągnęli nawiego na brzeg, po czym do niego przypadli i nie dając mu czasu na nic, rzucili go prosto w ognisko.

Czarne ciało natychmiast ogarnęły płomienie. Pierwszy podniósł z ziemi włócznie i na wszelki wypadek zagroził drogę do jeziora, ale tym razem demon już nie wstał, a po kilku minutach zamienił się w stertę popiołu.

Magda oderwała wzrok od resztek boginki i spojrzała na Pierwszego. Uniósł kącik ust w tym swoim drażniącym półuśmiechu. Bez słowa podeszła do niego i uderzyła go pięścią w twarz.

– Czym sobie zasłużyłem na takie wyróżnienie? – zapytał, rozmasowując szczękę.

– Kłamstwem – warknęła.

– Wiesz, że twoje czasy były naprawdę niesamowite? Równouprawnienie i te sprawy...

Zmarszczyła brwi. Nie miała zielonego pojęcia, o czym gadał, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Była cała przemoczona i zmarznięta, a do tego zgubiła w mule but i wcale nie czuła się na siłach, żeby wysłuchiwać jego głupiej gadaniny.

– Ja też powinienem ci przyłożyć za to, że mnie okłamałaś – wyjaśnił, rozgarniając włócznią popiół.

– Niby kiedy?! – oburzyła się.

– Kiedy twierdziłaś, że potrafisz strzelać z łuku.

Nie może wiedzieć, że ściemniałam, tylko zgaduje – pomyślała.

– Wiem, że po południu nie celowałaś tam, gdzie trafiłaś – powiedział, jakby czytał w jej myślach.

– To nie powód, żeby robić ze mnie przynętę na demona!

– A zgodziłabyś się, gdybym cię o to poprosił?

Pomyślała chwilę.

– Oczywiście, że nie, bo ci nie ufam!

– I teraz dziękuję ci za szczerłość. – Skinął głową.

– Jesteś nienormalny – skwitowała.

Bez słowa odwróciła się na pięcie i weszła do wody, rozglądając się za swoim butem i łukiem, który upuściła podczas starcia z demonem. Pierwszy z kolei odszukał kij boginki, po czym oboje wrócili na miejsce, w którym za dnia jedli obiad.

– Rozbieraj się – rzucił żniwiarz, na powrót rozpalając ognisko.

Magda zapowietrzyła się. W jej głowie walczyły o pierwszeństwo najróżniejsze mniej lub bardziej wulgarne komentarze.

– Do niczego mi się nie przydasz, jak dostaniesz zapalenia płuc. – Sięgnął do jej plecaka, wyjął z niego

koc i rzucił go Magdzie. – I dobrze wysusz włosy.

Potem dorzucił do ognia kilka grubszych gałęzi.

Odwróciła się do niego plecami, rozebrała do bielizny, ubrania powiesiła na gałęzi, po czym zawinęła się w koc i stanęła tuż przy ogniu, grzejąc się. Zanim Pierwszy zrobił to samo, nabrał do swojego rondelka wody, wrzucił do niej jakieś zioła i ustawił na dwóch żarzących się pieńkach.

– Chciałabym ustalić pewne reguły – odezwała się Magda.

Uniósł na nią zaskoczone spojrzenie.

– Ale wiesz, że nasz związek jest czysto platoniczny?

Wywróciła oczami.

– Kołek – mruknęła.

– To jakie reguły chciałabyś ustalać? – zapytał rozbawiony.

– Nie okłamujemy siebie nawzajem – rzuciła jednym tchem.

– To ty zaczęłaś.

– No dobra, nie strzelam tak dobrze, jak bym chciała, ale musisz przyznać, że ani razu nie chybiłam, jeżeli chodzi o boginkę.

– Bo była od ciebie oddalona o pięć metrów – wytknął.

Zacisnęła na chwilę zęby, żeby znów mu nie przyłożyć, bo tym razem rzeczywiście mógłby jej oddać, a wtedy zbierałaby swoje jedyneki z ziemi.

– Jeżeli mamy razem polować na demony i razem wydostać się z Nawii, to powinniśmy być wobec siebie szczerzy. Nie rób ze mnie nieświadomej przynęty, a następnym razem pójdzie nam o wiele lepiej.

– A kto powiedział, że mamy razem wydostać się z Nawii?

Musiała zrobić naprawdę głupią minę, bo się roześmiała.

– Żartuję przecież – powiedział, zdejmując z ognia ronderek. Nalał herbaty do kubka i podał jej. – Pij, jutro czeka nas jeszcze bardziej emocjonujący dzień.

¢

Feliks wyszedł z piwnicy, niosąc cały karton pojemniczków z suszonymi ziołami. Jeszcze kilka takich nocy, a zużyje wszystkie. Dobrze, że Wanda przywiozła nowy zapas. We dwójkę robili właśnie inwentaryzację całego sprzętu, jakiego mogli potrzebować podczas polowań.

Sebastian siedział na kanapie z ostrzałką oraz maczetą i sprawdzał jej ostrość, usiłując golić włoski na ręce. Adrian z kolei oglądał w małym lusterku swój wciąż zapuchnięty nos.

– Ty młotku! – Do pokoju wpadła Janina. – Coś ty narobił?!

Bliźniacy instynktownie się skulili, gotowi na uderzenie kłapkami po głowach, jednak tym razem to nie oni byli przyczyną wściekłości babci.

– O co chodzi? – Feliks podniósł na nią spojrzenie.

– Po jaką cholerę żeś polazł do księdza?!

– Skąd wiesz, że tam byłem?

– Całe miasto już wie! I wiedzą też, że mu groziłeś!

– Nie groziłem mu! – zaczął bronić się jak uczeń przed nauczycielem.

– Nieważne, co zrobiłeś, ale ważne, co ich zdaniem zrobiłeś! Mówiłam ci, że ksiądz szukał kozła ofiarnego?

No to właśnie go znaleźli!

– Co masz na myśli? – zapytała poważnie Wanda.

– A to, że jeszcze chwila i ten idiota zostanie posądzony o wszystkie morderstwa!

– Daj spokój, nikt nic na mnie nie ma.

– I nie musi mieć! Jesteś stary, a głupi jak but. Nawet nie wiesz, jakie ploty puściła po mieście gospodyni proboszcza! To ja wciąż próbuję ocieplić wizerunek Wojnów, żurek rozdaję...! A ty idziesz do księdza i mu grozisz!

– Ja mu nie... – zaczął znużonym tonem.

– A czuwanie i tak się nie odbędzie!

Feliks wymienił zaskoczone spojrzenie z Wandą.

– Dlaczego?

– Bo lokalny komendant policji to trzeźwy i w miarę inteligentny człowiek, który na spokojnie porozmawiał z księdzem i zabronił mu organizowania jakiegokolwiek imprezy w kościele po zmroku!

– Przynajmniej tyle dobrego – westchnął Feliks.

Janina pokręciła z dezaprobatą głową, a potem skierowała spojrzenie na swoich wnuków.

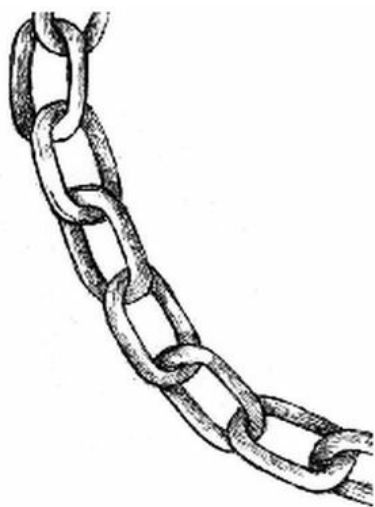
– A wy dlaczego nie w barze?! – huknęła.

– Dziewczyny tam ogarniają i nas wyrzuciły – zaczął się bronić Adrian.

– A tamten konował opróżnia barek! Wynocha mi stąd!

Bliźniacy posłusznie wyszli z domu. Ich babcia zmierzyła gniewnym wzrokiem żniwiarzy, a potem poszła szukać kolejnych ofiar gdzieś indziej.

Rozdział 15



W głowie Magdy kotłowały się najróżniejsze myśli, a każdy kolejny krok zamiast je rozwiewać, wręcz je potęgował. Szli właśnie do ludzi. Kiedy dwa dni wcześniej rano Pierwszy oświadczył jej, że pora, aby poznała tubylców, była przekonana, że to następna drwina. W końcu już raz wyruszyła w drogę, żeby poznać innych, i ledwie uszła z życiem.

– Niby taka bystra jesteś, a nie wpadłaś na to, że ludzie nie będą raczej mieszkać w pobliżu pustkowi – wytknął jej.

Teraz to i ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Cwaniak siedział w Nawii diabli wiedzą ile setek lat i na każdym kroku usiłował się wymądrzać.

Ale też stara się mnie czegoś nauczyć – musiała przyznać.

Już wiedziała, jakimi ziołami najlepiej okadzić dom, żeby chronić go przed demonami – na przykład bylica działa przeciw tym powiązanym z ogniem i burzą, a ziarenka zwykłego maku odstraszały upiory znacznie lepiej niż mieszanka, której używał Feliks. Pierwszy stwierdził ponadto, że skoro zdobyła już łuk, powinna przynajmniej nauczyć się dobrze z niego strzelać, i za każdym razem, kiedy zatrzymywali się na odpoczynek, kazał jej ćwiczyć. Zademonstrował jej, jak naprawiać zniszczone strzały, i obiecał, że gdy tylko zdobędą potrzebne rzeczy, zrobią razem nowe.

– Nie trafiłaś – oświadczył, kiedy znów chybiła.

W myślach policzyła do dziesięciu i zdołała powstrzymać się od komentarza. Gdyby nie to, że naprawdę chciała umieć dobrze strzelać, już dawno temu rzuciłaby tym przeklętym łukiem w Pierwszego.

Kiedy tylko zjedli na obiad trochę suszonego mięsa, on rozłożył się na trawie i zaczął wymyślać coraz to mniejsze i bardziej oddalone cele.

– Nie mogę się skupić, kiedy ciągle do mnie gadasz – powiedziała gniewnym tonem. – I nie rzucaj we mnie tym dziadostwem!

Uchyliła się przed kolejną szyszka. Pierwszy z nudów albo ze złości co jakiś czas ciskał w nią małymi kamykami, patyczkami i wszystkim innym, co akurat miał pod ręką.

– Bo kiedy będziesz chciała ustrzelić demona, wszystko wokół zastygnie w bezruchu, żeby tylko ci nie przeszkadzać, prawda? – zapytał uszczypliwie.

– Jakoś polowałam wcześniej bez twojej asysty i dobrze mi szło!

Spojrzał na nią wymownie. Kiedy spotkali się zaledwie przed kilkoma dniami, on był czysty, najedzony i zrelaksowany, jakby właśnie wybierał się na biwak, a ona głodna, brudna i wyczerpana, jakby uciekła z piekła, co w sumie nie było zbyt dalekie od prawdy.

Bez słowa napięła cięciwę, zignorowała patyk, który właśnie wpadł jej we włosy, wypuściła z płuc powietrze i strzeliła.

– Czy ty jesteś jedynym żniwiarzem na świecie, który ma kiepski wzrok? – zapytał złościwie, kiedy strzała minęła cel i poszybowała daleko w las.

– Jak jesteś taki cwany, to sam strzel lepiej – powiedziała nieco urażonym tonem.

– To nie ja chcę być pierwszym łucznikiem Nawii.

– Ani ja – mruknęła, ruszając po zaginioną strzałę.

Wróciła po dobrych pięciu minutach.

– Mam dosyć. – Niedbale położyła łuk na ziemi

i usiadła na przewróconym pieńku.

– Nie, moja droga, dopiero zaczynasz – oświadczył Pierwszy.

Dopiero teraz zauważyła, że wszystkie ich rzeczy były już spakowane, a plecaki wisały na wysokiej gałęzi.

– Co znowu? – jęknęła.

– Dzisiaj ty zadbasz o kolację.

Wstał i nie oglądając się na nią, ruszył w las. Magda wiedziała, że nie poczeka i każda chwila zwłoki oznaczała, że będzie musiała za nim biec. Z ciężkim westchnieniem wzięła łuk oraz strzały i dogoniła go szybkim krokiem.

Po niecałej godzinie dotarli nad maleńki staw ukryty w środku lasu. Śmierdział bagnem i zgnilizną. Kiedy Pierwszy przykucnął na brzegu, uważnym wzrokiem obserwując szuwary po drugiej stronie zbiornika, Magda zaczęła się zastanawiać, czy żniwiarz miał jakiś szósty zmysł, o którym nie wiedziała. Z tego, co do tej pory zdołała zaobserwować, zawsze wiedział bezbłędnie, w którą stronę iść, żeby trafić tam, dokąd chciał. Tak jak przed chwilą: znajdowali się na zwykłej, losowej łące podobnej do setki innych, a Pierwszy ruszył prosto przed siebie i bez problemu odnalazł tak mały staw. Podejrzewała, że gdyby tylko o to zapytała, udawałby zdziwionego, że ona nie ma takich zdolności.

Albo przez te setki lat swojego karnego pobytu tutaj zdążył zwiedzić Nawię wszereż i wzdłuż i wszędzie teraz czuje się jak na własnym podwórku – uznała.

Z zamyślenia wyrwało ją ciche chrząknięcie. Zamrugła, skupiając się na tym, gdzie była i co miała robić. Pierwszy rzucił jej spojrzenie pełne dezaprobaty, po czym wskazał palcem przed siebie.

Z odległych szuwarów wypłynęły właśnie trzy kaczki.
On chyba żartuje! Jak ja niby mam je trafić?!

Mimo wszystko nie chciała dawać mu satysfakcji, że poddała się bez próbowania. Napięła cięciwę, wycelowała, strzeliła i... nie trafiła. Przestraszone ptaki wzbiły się do lotu.

Magda bez zastanowienia puściła za nimi następną strzałę i nie czekając na rezultat, jeszcze dwie. A potem z niemym zachwytem patrzyła, jak dwie kaczki spadają prosto do wody z głośnym pluskiem. Dziewczyna nie mogła się powstrzymać przed wydaniem okrzyku radości. Odwróciła się do Pierwszego, dumnie wyprostowana.

– Gdyby to był demon, po pierwszej strzale już byś nie żyła – oświadczył.

– Ty wszystko musisz zepsuć – burknęła.

Jego złośliwe komentarze nie były jednak w stanie pomniejszyć jej satysfakcji.

– Połowa zadania, i to ta przyjemniejsza, za tobą.

Spojrzała na niego pytająco.

– Musisz popłynąć po naszą kolację.

– A co ja, jakiś labrador jestem?!

– Do dzieła, a ja poszukam chybionych strzał. – Ruszył wzdłuż brzegu.

– Cóż za wielkoduszna propozycja – utyskiwała, rozbierając się do bielizny.

Woda okazała się zaskakująco ciepła. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że była całkiem przyjemna, gdyby nie fakt, że cuchnęła. A kiedy dziewczyna zapadła się do połowy łydki w muł wymieszany z patykami i zgniłymi liśćmi, smród stał się jeszcze gorszy.

– Dostanę jakiegoś uczulenia – mamrotała, płynąc w kierunku dryfujących na powierzchni kaczek.

Kilka minut później wróciła na brzeg ze swoim trofeum i ze zgrozą odkryła trzy pijawki na łydkach. W pierwszym odruchu miała ochotę zacząć wrzeszczeć, na szczęście w porę się opanowała. Złapała za tylną część pierwszej pijawki i oderwała ją, krzywiąc się z obrzydzenia. Od razu wrzuciła pluskwę głęboko do wody, po czym zabrała się do kolejnych dwóch.

Pospiesznie się ubrała, a wtedy nadszedł Pierwszy z dwiema strzałami. O dziwo obie były całe. Wrócili na łąkę i zgodnie uznali, że tego dnia nie ma sensu ruszać dalej w drogę.

– Oskub kaczki, ja rozpalę ognisko – poleciał żniwiarz.

– A nie mogę ich najpierw sparzyć? Będzie łatwiej...

– Teraz zastanów się nad swoim pytaniem i pomyśl, dlaczego moja odpowiedź brzmi: nie.

Wzruszyła ramionami.

– Dziewczyno, użyj czasem wrodzonej inteligencji. Nikt nic nie poradzi na to, w jakich czasach się urodził, ale nie możesz wciąż myśleć jak człowiek dwudziestego pierwszego wieku.

– Dobra, pewnie pióra na coś się nam przydadzą? Lotki do strzał?

Skinął głową, a Magda zaczęła ostrożnie wyrywać lotki i odkładać je na bok. Potem oskubała resztę kaczek, opaliła je nad ogniskiem i umyła w jeziorze. Chciała wcisnąć patroszenie Pierwszemu, ale stwierdził, że także takie rzeczy ona musi umieć wykonywać sprawnie i szybko. I nie była pewna, czy to wynikało z dbałości o poszerzanie jej horyzontów, czy ze zwykłego lenistwa.

Kiedy kaczki były gotowe, Pierwszy owinął je sznurkiem i powiesił dość wysoko nad ogniem na zaimprovizowanym stelażu z patyków. Zaznaczył przy tym, że w świecie żywych natarłby je solą i ziołami, ale skoro tutaj wszystko było mdłe, doprawianie mięsa nie miałyby sensu.

Cztery godziny później kolacja była gotowa. Jak zwykle posiłek pachniał cudownie podczas przygotowywania, ale ostatecznie okazał się mdły jak wszystko inne w zaświatach.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – odezwała się Magda po kolacji. Wrzuciła do ogniska ostatnią kostkę kaczki.

– Tylko jedna?

Zbyła jego uszczypliwe pytanie machnięciem ręki.

– Skoro okadzanie domów tak dobrze działa na demony i... wiem, bo widziałam na własne oczy, jak zwid nie mógł przekroczyć tej magicznej granicy, to dlaczego Biały chodził sobie wte i wewte, niczym się nie przejmując? O ile podszył się pod Żywieć w dniu, kiedy upolował łanię...

– Rzeczywiście chodził? – Pierwszy uniósł brwi.

Skinęła głową, a starszy zniwiarz się zamyślił.

– Mówimy oczywiście o jego ludzkiej powłoce, tak?

– No raczej domyśliłabym się, że mnie oszukuje, gdyby choć raz przyjął postać szczura – rzuciła zgryźliwie.

– W takim razie sama sobie odpowiedziałaś na pytanie.

– Antydemoniczne środki nie działają na potępieńców w ludzkim garniturze, tak?

– Nie wszystkie, ale rzeczywiście można tak powiedzieć – przyznał.

Magda przetarła dłońmi twarz. Gdyby była

w normalnym świecie, pewnie od razu by się zorientowała, że Żywia była tak naprawdę potępieńcem, ale w Nawii nic nie było takie, na jakie wyglądało.

– Jutro powinniśmy dotrzeć już do osady – powiedział Pierwszy.

Płomienie odbijały się w jego czarnych oczach, tworząc olbrzymi kontrast z bladą twarzą. Magda skinęła głową.

– I w myśl naszej umowy o szczerości chciałbym cię ostrzec.

Dziewczyna natychmiast skupiła na nim całą swoją uwagę.

– To jest zamknięta społeczność dziwaków. Nikomu nie ufają. Inaczej zresztą nie dożyliby tych czasów.

– Rozumiem.

– I nie przepadają za mną – wyrzucił z siebie Pierwszy.

Magda z zainteresowaniem uniosła brwi.

– Nie gadaj! Ktoś cię nie lubi? Przecież ty zdobywasz przyjaciół wszędzie, gdzie tylko się pojawisz!

– Też tego nie pojmuję. Ale jak już wspomniałem, są nieufnymi dziwakami, więc to wyjaśnia pewne kwestie.

Magda pokręciła głową z niedowierzaniem. Czy on naprawdę był takim narcyzem?

– W każdym razie bądź gotowa na to, że mogą powitać nas dość szorstko, ale szybko zrozumieją, że mamy te same cele.

– Zobaczymy – westchnęła, przykrywając się kocem.

Ułożyła się plecami do ognia i przymknęła oczy.

Zobaczymy, co przyniesie kolejny dzień – pomyślała sennie. Na pewno będzie ciekawy. Z Pierwszym nigdy nie można się nudzić. W sumie przez większość czasu to człowiek ma ochotę go udusić...

Waldemar był na najlepszej drodze do fula i pożałował, że to tylko runda próbna na zapałki. Oczywiście nie chciał grać z dziewczynami na pieniądze, zresztą nie był do końca pewien, czy są pełnoletnie, ale gdyby tak za każdą wygraną dostawał drinka...

Trzeba będzie to zaproponować, zresztą za uczenie ich też coś mi się należy – uznał, gdy do baru wkroczyli bliźniacy z ponurymi minami.

– Stało się coś? – Klara poderwała się z krzesła.

– Nie, tylko babcia nas wygoniła z domu. – Adrian machnął ręką.

– A wy nie chciałyście czasem sprzątać? – zapytał Sebastian, patrząc na stolik zasłany kartami.

– Już dawno skończyłyśmy, a panowie uczą nas grać w pokera – oznajmiła radośnie Tosia. – No i nie ma co się spieszyć z wracaniem do domu. Wasza babcia ma dziś zły humor.

– Nam to mówisz? – westchnął Adrian, dosiadając się do nich.

– Jak twój nos? – zapytała z troską Klara.

– Boli jak diabli, ale to nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Mam nadzieję, że jednak ostatni – stwierdziła.

– Nooo, bo jeszcze trochę, a braciszek będzie wyglądał, jakby miał kartofla na gębie – zarechotał Sebastian, za co oberwał od Adriana łokciem po żebrach.

– Przynajmniej będzie można was rozróżnić – mruknął Waldemar.

W myślach zaczął już oceniać bliźniaków i ich

zdolności karciane.

– Do wieczora jeszcze sporo czasu, może zagrać z nami? – zaproponował Gauza.

– Z ust mi to wyjąłeś. – Lekarz poklepał przyjaciela po łopacie.

– Ee, jak to tak... – Sebastian podrapał się po szczecinie na głowie. – Na zapałki? Bez sensu...

– To zagrajmy, że każda zapałka to kieliszek – zaproponował Waldemar. – Pełen – dodał tak na wszelki wypadek, gdyby bracia byli tak bystrzy, na jakich wyglądali.

– No ale alkoholu mamy sporo, nie potrzebujemy więcej – stwierdził Adrian.

– Właśnie o to chodzi. – Lekarz się uśmiechnął.

– Czekaj pan, ty chcesz grać z nami z naszą wódką jako walutą?

– To bez sensu! – Sebastian zaczął obracać w palcach asa.

– Tchórzycie? Boicie się, że opróżnię wam cały barek? Bliźniacy wymienili się spojrzeniami.

– Umowa stoi. – Adrian wyciągnął do lekarza wielkie łapsko.

– Sumienia nie masz – burknął Gauza.

– Nie, nie, starszy pan ma rację, nie damy się tak łatwo ograć. – Sebastian rzucił asa na stół. – A jak dobrze pójdzie, to przez najbliższy miesiąc będzie nam dostarczał zapasy.

Zniszczę cię za tego starszego pana – pomyślał Waldemar.

– To zanim zaczniemy, zrobimy z dziewczynami herbatkę, co? – Gauza wstał od stołu. – Chłodne popołudnie się zrobiło, to może z prądem?

– A może być sam prąd bez herbaty? – zapytał z nadzieją lekarz, za co został zgromiony spojrzeniem przez przyjaciela.



Serce Magdy biło w przyspieszonym tempie, krew szumiała jej w uszach. Widziała wrogie spojrzenia, ostre groty wycelowane prosto w jej serce, ręce zaciskające się na broni, w każdej chwili gotowe zadać śmierć.

Jej dłoń drżała lekko, napinając cięciwę do granic możliwości, strzała zataczała niewielkie półkola, gdyż dziewczyna nie wiedziała, w kogo celować. Otaczało ich siedmiu potężnych mężczyzn, takich, jakich prawie wcale nie spotyka się w świecie żywych. W ich oczach odbijały się te wszystkie czyny, które popełnili, żeby przetrwać. Z całą pewnością nie należeli do miłych ludzi.

– Madzia – odezwał się powoli Pierwszy. – Opuść, proszę, łuk, bo tylko niepokoisz tych panów. A taka zdolna to ty nie jesteś, żeby zabić wszystkich jedną strzałą.

Z wahaniem poluzowała cięciwę, grot wycelowała w ziemię.

– Witajcie, przyjaciele! – Pierwszy rozłożył szeroko dłonie i uśmiechnął się, jakby cała ta sytuacja go bawiła. – Dawno się nie widzieliśmy. Na pewno jest wiele rzeczy, o których chcielibyśmy podyskutować nad kubkiem wina.

Sądząc po minach „przyjaciół” żniwiarza, była to ostatnia rzecz, na jaką mieli ochotę. Z większą

przyjemnością wypruliby z niego flaki, ale nie Magdzie to oceniać.

Spojrzała ponad ich ramionami na odległe bryły chat, znad których unosiły się wąskie smużki dymu. Byli już tak blisko, kiedy nie wiadomo skąd pojawili się ci mężczyźni i jasno dali do zrozumienia, że nie życzą sobie jakichkolwiek gości. Człowiek, który przetrwał w Nawii po tym, jak jego potomkowie o nim zapomnieli, siłą rzeczy musiał być wyjątkowo twardą jednostką o niespotykanym instynkcie przetrwania.

Niczym karaluch – przymknęło jej przez myśl, kiedy jeden z nich wyrwał jej z rąk łuk.

Zanim się obejrzała, oboje zostali skrupulatnie przeszukani, zabrano im całą broń i przetrzepano zawartość plecaków. Potem zostali związani i dość brutalnie poprowadzeni w stronę osady. Jednak zanim dotarli do chat, gwałtownie skręcili w prawo, gdzie wyrastały z ziemi wielkie głazy. Weszli na nie i stanęli nad czarną szczeliną między kamieniami. Jeden z mężczyzn rozwiązał Pierwszego, po czym bez słowa pchnął go w kierunku otworu.

– Do zobaczenia na dole – rzucił żniwiarz.

Magda drgnęła nerwowo, kiedy zniknął w szczelinie. Teraz ona została rozwiązana i pchnięta. Spojrzała w dół, ale ciemność panująca w dziurze była zbyt nieprzenikniona. Dziewczyna nie miała nawet pojęcia, jak była ona głęboka.

Zawahała się. Spojrzała po wrogich twarzach i uznała, że nie ma nawet najmniejszego sensu błagać ich o litość. Zachowując resztki godności, wskoczyła do czarnego otworu.

Otoczyła ją ciemność, po czym uderzyła stopami

w twarde podłoże, straciła równowagę i wylądowała na boku. Jęknęła z bólu. Będzie miała siniaka na biodrze. Pozbierała się i powiodła wzrokiem po miejscu, w którym się znalazła.

Była to niewielka pieczara, o średnicy nie większej niż pięć metrów. Z tego, co na razie zaobserwowała, jedyne wyjście znajdowało się wysoko w górze. Nawet gdyby została podsadzona, nie miałyby szans choćby dotknąć krawędzi otworu. Wyszła ze słupa światła wpadającego przez szczelinę w obawie, że jeszcze zrzucą jej coś na głowę.

Pierwszy z iście akademickim zainteresowaniem przechadzał się wzdłuż kamiennych ścian.

– Nie przepadają za tobą?! – wybuchnęła Magda. – Nie przepadają?! To jest niedomówienie wszech czasów! Oni najchętniej rozerwaliby cię na strzępy!

– Nie przesadzaj – zachnął się. – W końcu jeszcze żyjemy, prawda?

– Ty jesteś szalony – stwierdziła, z niedowierzaniem kręcąc głową. – I po jaką cholere my tu przyszliśmy? Żeby wylądować w jakimś przeklętym dole?!

– Potrzebujemy ich pomocy. Ale nie denerwuj się, po prostu muszą okazać swoją wyższość, zanim przejdziemy do rozmów.

– Na pewno będą chcieli z tobą gadać – mruknęła.

Ze złością usiadła na ziemi i skrzyżowała ramiona na piersi. Wszystko się w niej gotowało, ale jedno musiała przyznać – każda wyprawa, każde polowanie w towarzystwie Pierwszego z początku zdawało się bardzo nieprzemyślane i niebezpieczne, ale jak do tej pory wszystkie kończyły się zwycięsko. Może i w tej sytuacji to się sprawdzi? Może to, że wylądowali

w dziurze w ziemi, również było jakimś szczegółowo opracowanym planem? Pokręciła głową. Z Pierwszym nigdy nie miała takiej pewności.

Popołudnie zamieniło się w wieczór. Choć niebo dopiero poszarzało, w pieczarze zapanowała ciemność. Magda była już obolała od siedzenia na kamieniach i krążyła teraz niespokojnie po ich więzieniu. Pierwszy z kolei rozsiadł się wygodnie pod ścianą, oparł o nią plecy, skrzyżował ramiona i zdawał się przysnąć.

– Zagłodzą nas, zobaczysz – stwierdziła Magda, nie zatrzymując się. – A wcześniej padniemy z pragnienia.

Od kiedy znaleźli się w pieczarze, nikt tutaj nawet nie zajrzał, nie dochodziły tu też żadne dźwięki z zewnątrz, a cisza denerwująco dzwoniła w uszach.

– Może powinniśmy wymyślić, jak zbierać deszczówkę? – zastanawiała się dziewczyna. – Kiedyś na pewno będzie padać...

– Słonko, musisz tak dreptać tam i z powrotem? – Otaczała ich ciemność, ale była niemal pewna, że otworzył jedno oko, zerkając na nią.

– Dlaczego mam wrażenie, że ciebie to wszystko bawi?! – znów wybuchnęła.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, jestem trochę rozbawiony – przyznał.

– Ale dlaczego? – jęknęła, osuwając się na ziemię. – Zamknęli nas pod ziemią bez jedzenia i wody, nie mamy szans się stąd wydostać!

– Wolę być rozbawiony niż zdenerwowany – odparł spokojnie.

– Jesteś niemożliwy.

Znalazła sobie kawałek skały, który był najgładszy, i tam się położyła. Może rzeczywiście warto

zregenerować siły przed czymkolwiek, co ich czeka.

Wkrótce skrawek nieba widoczny w szczelinie stał się podobny do czarnego aksamitu, na którym ktoś rozrzucił drobinki srebra. Magda spróbowała usnąć, ale zdołała zapaść tylko w męczący letarg, z którego co chwilę się budziła. I za każdym razem, kiedy otwierała oczy, wpatrując się w ciemność, nasłuchiwała spokojnego oddechu Pierwszego. Skoro on mógł sobie spokojnie spać, dlaczego ona nie potrafiła tego zrobić? Ponadto do szafu zaczął doprowadzać ją pełny pęcherz. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a pęknie.

Po omacku dotarła do najbardziej odległego załomu w pieczarze, znieruchomiła i przez minutę nasłuchiwała, czy Pierwszy nadal śpi.

W tak ekstremalnych warunkach nie mam innego wyjścia – uznała, zsuwając spodnie.

Po chwili, czując olbrzymią ulgę, wróciła na swoje miejsce. Zapadła w twarde sen dopiero nad ranem, nawet zdołała na moment zapomnieć, gdzie się znalazła. Niestety – zanim niebo rozjaśniło się zupełnie, obudziło ją burczenie w jej własnym brzuchu. Była obolała po spaniu na skale i z każdą chwilą czuła coraz bardziej narastające pragnienie.

Miała nadzieję, że wraz z nastaniem dnia odzyska swój optymizm, jednak czarne myśli wciąż kłębiły jej się w głowie niczym chmury burzowe. Odniosła też wrażenie, że nawet Pierwszy zaczął się odrobinę niepokoić, choć na siłę udawał, że nic nie jest w stanie go zmartwić.

Mniej więcej koło południa u góry rozległ się hałas. Magda natychmiast poderwała się z ziemi. Pierwszy powoli wstał i się przeciągnął. W szczelinie pojawiła się

twarz.

– Tylko dziewczyna – usłyszeli.

Potem ktoś zrzucił drabinkę skleconą z liny i patyków.

Magda spoglądała to na nią, to na Pierwszego, który wyglądał, jakby jego plany wcale nie obejmowały takiego scenariusza. Wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na linie. Później wiele razy wspominała, jaką minę zrobił zniwiarz. Przez ułamek sekundy w jego oczach ujrzała, albo jej się wydawało, że zobaczyła, prawdziwy niepokój, może nawet o nią.

Pewnymi ruchami zaczęła wspinać się po drabince. Gdy była tuż przy krawędzi, ktoś złapał ją za nadgarstek, ktoś inny za bluzę na ramionach i chwilę później znalazła się na powierzchni. Popołudniowe słońce poraziło ją w oczy, aż musiała przesłonić je dłonią. Jednak ktoś brutalnie pochwycił jej ręce i je związał.

– Jestem pod wrażeniem – odezwała się, kiedy zaczęli prowadzić ją w stronę sadyb. – Ktoś wysłał aż czterech mężczyzn po jedną dziewczynę. Muszę naprawdę groźnie wyglądać.

Zdawali się w ogóle jej nie słyszeć, a ona ugryzła się w język. Za długo przebywała z Pierwszym i udzieliło się jej to jego głupie poczucie humoru. Za takie teksty w najlepszym przypadku dostanie w łeb. A swoją drogą, to ciekawe, czy dałaby radę ich pokonać. W końcu była zniwiarzem. Mimo to zdążyła się już dość boleśnie nauczyć, że w Nawii nie miała żadnych dodatkowych zdolności.

Zachowując milczenie, dała się poprowadzić do osady. Składało się na nią około dwudziestu chat. Na płotach wisiały gliniane dzbany, suszyła się sieć, gdzieś

rozszczeakały się psy, zamuczała krowa. Ludzie wylegli na drogę i przypatrywali się dziewczynie z podejrzliwością. Na szczęście była to jedynie podejrzliwość, a nie wrogość. Przez cały czas dyskretnie rozglądała się do boki i coś jej nie pasowało w całym obrazie osady. Było jak fałszywa nuta w nieznanym utworze.

Nie, to z całym utworem jest coś nie tak – myślała.

I wtedy przyszło olśnienie. Była w stanie zrozumieć wioskę z pogańskich czasów, średniowieczną osadę, a nawet taką sprzed pierwszej wojny światowej. Jednak tutaj wszystko było jakby wymieszane, a granice pomiędzy epokami historycznymi nie tyle się zatarły, ile w ogóle nie istniały! Jedna chata zdawała się zaledwie lepianką, inną zbudowano z grubych bali, a jeszcze następna była podmurowana. Tak samo wyglądała sprawa z ludźmi. Byli poubierani praktycznie i wygodnie, ale ich strojów Magda nie mogła przypisać do żadnych czasów.

Poprowadzono ją do największego domu z murowanymi fundamentami. Jeden z mężczyzn otworzył przed nią ciężkie drzwi, a kiedy zawahała się w progu, bezczelnie ją popchnął. W chacie panowały półmrok i duszący zapach ziół. Kiedy zerknęła w górę, zobaczyła dziesiątki pęków suszących się u powały. A przed nią, przy wielkim drewnianym stole, siedział stary mężczyzna bez oka. Jego twarz była pomarszczona jak rodzynek, rzadkiej siwej brodzie przydałoby się porządne czesanie, a tak po prawdzie to golenie byłoby chyba najlepszą opcją. Podobnie sprawa się miała z poplątaną siwą czupryną. Zdrowe oko w odcieniu błękitnej zatoki przy jakiejś rajskiej plaży

zdawało się przewiercać dziewczynę na wylot. *Ten facet na pewno nigdy nie musi stać w kolejce po piwo w barze* – przemknęło jej przez myśl.

Magda rzuciła spojrzeniem na drzwi, których pilnowało dwóch osiłków. Dwóch pozostałych stanęło jakiś metr za starcem. Starali się sprawiać wrażenie bardzo groźnych mężczyzn, ale wcale nie musieli tego robić. Mogłaby się założyć, że nawet przy pieleniu grządek wyglądałoby na równie niebezpiecznych. O ile nie bardziej.

Starzec za stołem poruszył się, jakby uznał, że dał jej już wystarczająco dużo czasu na oględziny nowego terenu.

– Czego szukacie w naszej osadzie? – zapytał.

I właśnie wtedy Magda zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma bladego pojęcia, dlaczego tutaj przybyli. Pierwszy, mistrz niedomówień, jak zwykle zataił przed nią swoje pobudki, a ona głupia już się do tego tak przyzwyczaiła, że nawet nie zakwestionowała sensu tej wyprawy.

– Potrzebujemy waszej pomocy – odparła prosto z mostu.

Starzec uniósł krzaczaste brwi.

– Doprawdy? A w jakiej sprawie?

Facet wygląda, jakby urwał się prosto z drużyny pogańskich wojów, a mówi całkiem jak Pierwszy.

– Tego dokładnie nie wiem – powiedziała cicho, decydując się na prawdę.

Widziała, jak ci dwaj stojący za swoim szefem wymienili się spojrzeniami.

– Na pewno ma to związek z zabiciem Niji – wypaliła.

Za plecami usłyszała chrząknięcie wyrażające

niedowierzenie.

– A jak zamierzasz sama tego dokonać? – przepytował ją dalej starzec, najwyraźniej bawiąc się przy tym w najlepsze.

Wzruszyła ramionami. Bardziej chyba i tak się nie pogąrzy.

– Pierwszy ma plan.

– Masz na myśli mężczyznę, który ci towarzyszył?

Skinęła głową.

– Albo kłamiesz, albo jesteś na tyle głupia, że uwierzyłaś w jego kłamstwo.

– No dobrze, może i nie jestem pewna tego, czego naprawdę chce Pierwszy, ale ja zamierzam zabić Niję.

Spojrzała mężczyźnie hardo w oko i nie spuściła wzroku, choć poczuła się bardzo nieswojo. Starzec machnął ręką i jeden z osiłeków położył przed nim na stole łuk Magdy.

– Skąd go masz? – zapytał.

– Dostałam – skłamała, ale widząc niedowierzenie na jego twarzy, dodała: – Tak jakby.

– Co to znaczy: „tak jakby”? – dociekał.

I jak niby miała mu to wszystko wytłumaczyć? Ale skoro zdecydowała się na szczerłość, to postanowiła nadal się jej trzymać...

– Kilka miesięcy temu poznałam pewną dziewczynę...

– Jak miała na imię? – przerwał jej.

– Żywia. – Starzec ewidentnie się ożywił, osiłkowie stojący za nim zaszurali butami po podłodze. – Uratowała mnie przed upiorem, a potem zaprowadziła do swojej chaty. Mieszkałam z nią przez pewien czas, nawet razem polowałyśmy...

Atmosfera w chacie zmieniła się diametralnie.

Dziewięcioro oczu wpatrywało się w nią, wręcz spijając kolejne słowa z jej ust. Wiedziała, że ta historia jest bardzo ważna, nie miała tylko pojęcia dlaczego ani jak powinna ją kontynuować.

– Mimo wszystko nikt, kto żyje na tym świecie wystarczająco długo, nie oddałby komuś obcemu swojej broni.

Magda westchnęła ciężko.

– Bo i nie oddała – przyznała. – Zginęła, a ja zabrałam jej rzeczy.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza. Dziewczyna mogła słyszeć przyspieszone bicie własnego serca oraz skrobanie, możliwe, że myszy, gdzieś pod sufitem.

Starzec wykonał ręką gest, po którym jego ludzie drgnęli nerwowo. Magdę ogarnęły najgorsze przeczucia.

– No już! – warknął mężczyzna.

Czterech osiłeków po chwili wahania opuściło chatę.

Starzec sięgnął po dwa gliniane kubki stojące na stole i nalał do nich czegoś z bukłaka.

– Usiądź – rozkazał.

Magda wykonała polecenie, ale kiedy przesunął w jej stronę kubek, nawet do niego nie zajrzała.

– Wino – wyjaśnił mężczyzna.

Dałbyś lepiej wody...

Starzec westchnął ciężko, sięgnął po jej kubek, upił łyk i oddał naczynie dziewczynie.

– W tej chwili jesteś moim gościem, a gościa nie otruję własnym winem – wyjaśnił.

W końcu pragnienie wzięło górę i Magda napiła się. Alkohol był słaby i cierpki.

– Wiem, że nie kłamałaś – odezwał się gospodarz. – Potrafię takie rzeczy wyczuć u ludzi. Ale wiem też, że

nie powiedziałaś mi całej prawdy.

– Kim była dla pana Żywia? – zapytała bez ogródek.

– Mam na imię Władysław. I może powinienem był zacząć od przedstawienia się. A ty, dziecko, jak masz na imię?

– Magda – odparła, nie do końca zadowolona z tego, jak ją nazwał.

Skinął głową usatysfakcjonowany.

– Żywia była moją córką – powiedział. – Nie prawdziwą, przyszywaną, ale opiekowałem się nią przez wiele lat.

Teraz sprawy nabrały nieco więcej sensu.

– Przykro mi, że twoja córka nie żyje – odezwała się Magda. – Była dobrą osobą, choć tak naprawdę nie jestem pewna, czy poznałam prawdziwą ją...

Teraz Władysław zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

Pierwszy zabije mnie, jak wszystko mu wygadam – przemknęło jej przez myśl. Ale Pierwszego tu nie ma i to on wpakował nas w ten przekłety dół...

Zaczęła mówić. Słowa wylewały się z niej niczym rzeka pełna uczuć. Były w niej radość, przyjaźń, złość i zawód. Przede wszystkim zawód, który pojawia się, gdy ktoś, dla kogo ryzykuje się własne życie, okazuje się zdrajcą.

Władysław słuchał jej bardzo uważnie, kiwał głową i nie przerywał, a błękitne oko wpatrywało się wciąż w jej usta.

– Podejrzewam, że Biały napadł na nią tamtego wieczoru, kiedy tak długo nie wracała z polowania. A może podszył się pod nią tuż przed tym, jak opuściliśmy jej chatę? Nie wiem. – Pokręciła głową i wytarła wilgotne oczy. – Jestem wściekła na siebie, że

nic mnie nie zaalarmowało, nie dostrzegłam żadnej niepokojącej zmiany w jej zachowaniu...

– Potępieńcy są sprytni – przyznał starzec.

Magda opanowała się i powstrzymała łzy.

– Sądzę, że Biały nie przeżył spotkania ze zwidem, o ile to w ogóle był zwid – zakończyła. – Inaczej odnalazłby mnie i znów usiłował zabić. Wtedy wystarczyło tylko wydostać się z tych przeklętych pustkowi. A kiedy to zrobiłam, spotkałam Pierwszego.

W chacie zapadła cisza. Władysław ponownie napełnił kubki. Magda ze zdziwieniem odkryła, że były puste.

No ładnie, a mama zawsze mówiła, żebym nie piła na pusty żołądek... Nawet jeśli to taki rozcieńczony sikacz. I co się dziwić, że język mi się rozwiązał...

Ale w tej chwili nie była pewna, czy tego żałowała.

– Skoro Żywia była twoją córką, dlaczego odeszła z osady? Dlaczego nic nie wiedziałeś o jej losach? – odezwała się. To pytanie nurtowało ją od dawna.

Władysław uśmiechnął się pod nosem.

– Ona była wolnym duchem. Była jedną z najstarszych...

– Ale jak to? – zdziwiła się Magda.

– Miała młode ciało, ale żyła w bardzo dawnych czasach. Ja z kolei jestem jednym z młodszych mieszkańców naszego świata.

Dziewczyna zamilkła na chwilę, usiłując oswoić się z nową koncepcją postrzegania Nawii. Wypite wino nieco to utrudniało.

– Raz na jakiś czas wyruszała do tej swojej chaty – podjął opowieść starzec. – Nikomu nie zdradziła, gdzie to było. Nawet mnie. Czasem po prostu chciała być sama. Szukała pustek. Była taka zaradna i sprytna...

Nigdy się o nią aż tak nie martwiłem. Aż do teraz, kiedy zobaczyłem obcą dziewczynę z jej łukiem. Łukiem, który dla niej zrobiłem.

Magda zamrugwała powiekami, odpędzając podstępne łzy.

– Czy jest szansa, że ona żyje? – zapytała. – Że nigdy jej nie poznałam, a potępieniec pożarł kogoś innego, a jej ciało skopiował, bo była taka... taka, że od razu wzbudziła moje zaufanie? Że ona poluje sobie teraz w jakimś odległym lesie, nawet nie wiedząc, co się wydarzyło?

– Nie sądzę. – Władysław pokręcił głową.

Dziewczyna podupała na duchu. Jednym haustem opróżniła kubek i odstawiła go na stół.

– Mogę prosić o wodę? – zapytała, kiedy starzec chciał dolać jej wina.

Mężczyzna skinął głową i wstał zza stołu. Okazało się, że jego ciało wcale nie wyglądało, jakby należało do starszej osoby. Władysław był wysoki i żyłasty, pod szarą lnianą koszulą na pewno skrywały się mięśnie twarde jak stal. To ta jego broda i oko zmyliły dziewczynę, że ma do czynienia ze staruszkiem.

Podszedł do drzwi, uchylił je i wydał kilka poleceń, a kilka minut później ktoś przyniósł dzban z wodą, bochen chleba i smalec ze skwarkami. Magda bez wahania wypila cały kubek i zjadła kilka kromek. Gdyby chcieli ją otruć, zrobiliby to już wcześniej. Chyba.

– Co teraz będzie? – zapytała, napelniwszy żołądek. Jej głowa zrobiła się ciężka, powieki zaczęły ciążyć.

– Jesteś bardzo interesującą młodą osobą – odparł Władysław. – Chciałbym omówić z tobą jeszcze kilka

kwestii, które mnie nurtują. Ale z tego, co widzę, musimy tę rozmowę odłożyć na później.

Magda wzdrygnęła się; wcale nie miała ochoty wracać do twardej i zimnej pieczary.

– Ktoś zaraz odprowadzi cię do chaty, w której będziesz mogła odpocząć. Tylko bardzo proszę, żebyś nie próbowała uciekać ani żebyś nie zrobiła czegoś jeszcze głupszego.

Pokiwiała głową. Niby dokąd miałyby uciec? Zresztą i tak potrzebowali pomocy tych ludzi, a o ile mogła stwierdzić, chyba przekonała do siebie Władysława.

Wstała z krzesła i ruszyła do drzwi, odprowadzana przez gospodarza.

– A co z Pierwszym? – zapytała w progu, patrząc w błękitne oko.

– A co ma być z Pierwszym?

Zawahała się; oni naprawdę go nie lubili.

– To jest bardzo zły człowiek – odezwał się Władysław.

– Wielu zginęło przez niego, zasługuje na to, żeby zgnieć w pieczarze.

– Jeszcze do niedawna bym się z tobą zgodziła. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale ostatnio mam wrażenie, że się zmienił.

– Dziecko, tacy jak on nigdy się nie zmieniają.

– Uratował mi życie w świecie żywych i sam przy tym zginął. A z tego, co wiem, nie miał najmniejszej ochoty wracać do Nawii.

– Takie rzeczy powiadasz? – Władysław westchnął. – Zatem wasza historia sięga tamtego świata? Jutro będziesz musiała mi o wszystkim opowiedzieć.

Pokiwiała głową.

– Nie musicie od razu go wypuszczać – powiedziała. –

Może trochę spokojnie, jak posiedzi sam w jaskini. Tylko dajcie mu, proszę, wodę i trochę jedzenia.

Gospodarz przez dość długi czas rozważał jej prośbę, wreszcie skinął głową. Magda zaś w poczuciu spełnienia dobrego uczynku pozwoliła się poprowadzić przez osadę. Tym razem towarzyszył jej tylko jeden mężczyzna.

Najwyraźniej jestem całkiem niezła w rozmowach dyplomatycznych – pomyślała, choć jej uwadze nie umknął fakt, że dwóch innych wojowników szło pięć metrów za nimi.

Kilka minut później została zamknięta w niewielkiej izbie chaty w samym środku osady. Jej strażnik został za drzwiami w towarzystwie kobiety z czarnym warkoczem poprządkanym siwymi nitkami.

Wiedziała, że Władysław, jakiegokolwiek plany wobec niej miał, był na tyle zainteresowany usłyszeniem innych jej historii, że przynajmniej w teorii tego dnia nic jej nie groziło. Nie zdejmując ubrań, rzuciła się więc na siennik pachnący sianem i kurzem. Od dawna nie spała w tak komfortowych warunkach. Było jej miękko i ciepło, a deszcz nie kapał na głowę.

Czego chcieć więcej? – pomyślała sennie.



Johnny Nowak w zamyśleniu otwierał i zamykał metalową zapalniczkę. Było coś uspokajającego w tym dźwięku i zapachu benzyny. Poza tym uważał, że taka zapalniczka pasuje do wizerunku, jaki starał się stworzyć – gangstera z klasą. Na pewno była lepsza niż

zwykły plastik.

– A może powinniśmy dać sobie siana z tymi haraczami? – zapytał Brutus.

– Nie – powiedział zdecydowanym tonem Johnny. – Będzie prąd, spróbujemy znowu.

No i jak zejdzie mi opuchlizna z gęby – dodał w myślach.

– Nie możemy wrócić do wytapiania miedzi? To była dobra, stała robota.

Kumpel miał trochę racji. Już od dawna kradli okablowanie z okolicznych zakładów. Wystarczyło namierzyć te, które nie miały kamer, zakraść się w nocy i zwinąć kable. Czasem włamywali się do środka, bo na zabezpieczenie obiektu składały się stare drewniane drzwi z byle jakim zamkiem. Tam, gdzie zainstalowano kamery, było trochę trudniej – najpierw musieli rozwalić je kamieniem, ale potem droga wolna. Jak dobytku strzegł pies, rzucali mu przez płot kiełbasę nafaszerowaną trutką na szczury. Potem wystarczyło kable obrać, miedź przetopić, żeby nikt się nie przyczepił, i sprzedać na złomowisku. Nowak zawsze był na bieżąco co do kwoty, która wyznaczała granicę pomiędzy wykroczeniem a przestępstwem. Lokalna policja bardzo często przymykała oczy na drobne kradzieże. Nie obchodziło go, że większość psów nie przeżywała otrucia, a po takiej kradzieży produkcja w zakładach stawała, a to kosztowało właścicieli grube tysiące.

– A benzyna z ciężarówek? – zaproponował Brutus.

– Nie myślisz przyszłościowo – orzekł kumpel.

– Janek, słuchaj...

Nowak spiorunował go spojrzeniem. Bardzo długo

forsował nazywanie go Johnnym i nie zamierzał pozwolić, żeby ktokolwiek używał innego. *Janek to gówniarz pracujący na polu, a Janusz to stary przegryw z wąsami* – tak często powtarzał.

– Johnny, to poczekajmy chociaż, aż skończą się te morderstwa. Słyszałeś o tym łepku, którego znaleźli w lesie? Mówią, że psy rozwlekły jego ciało na dobrych kilka metrów. Wiesz, tu noga, tam ręka, na drzewie flaki. Ale co go zabiło?

– Tchórzysz?

– Nie, pewnie, że nie, ale...

– Słuchaj, każdy wymięknie, jak spotka nas w nocy na ulicy. To nas powinni się bać! – Dźgnął kumpla palcem wskazującym w pierś.

– Chyba za słabo dostałeś w tym barze – mruknął Brutus.

– Co powiedziałaś? – Johnny zmrużył oczy i zacisnął pięści.

– Nic. – Kumpel machnął ręką. – Jutro rano przyjdę do ciebie i powiesz, co robimy. – Oddalił się w boczną uliczkę.

Johnny pokręcił głową. Tchórz i menda był z tego Brutusa, ale wykonywał praktycznie wszystkie polecenia. A w razie jakiejś wpadki zawsze będzie można wykorzystać go jako tarczę. Bo gdyby zaczęło się walić i palić, Nowak nie zamierzał iść do pierdła.

Wciąż bawiąc się zapalniczką, ruszył przed siebie. W głowie miał wizję świetlanej przyszłości, pełnej łatwych pieniędzy. No dobra, ostatnio dali się trochę głupio podejść. Lechu wylądował nawet w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu, założyli mu kilka szwów. Ale tamci mieli przewagę i element zaskoczenia. A Johnny

szybko uczył się na błędach. Następnym razem to on będzie górą.

Kopnął przydrożny kamyk i patrzył, jak ten odtacza się w ciemność. Swoją drogą rzeczywiście ciekawe, kto zamordował tych ludzi. Pewnie jakiś świr. Mało to ich łązi po Wiatrołomie?

Coś huknęło w oddali. Johnny odruchowo się skulił, ale już chwilę potem szedł przed siebie wyprostowany. To pewnie jakiś idiota walnął autem w słup czy barierki. Lampy uliczne nie świeciły, więc takie rzeczy zdarzały się ostatnio non stop.

Ktoś wrzasnął w bramie jednej ze starych kamienic. Nowak zatrzymał się, ale z tej odległości brama była po prostu czarną plamą, w której nic nie mógł dostrzec. Zresztą tam i tak mieszkała taka patologia, że masakra. Nachlali się i teraz w tych cholernych ciemnościach nie mogą trafić do własnego mieszkania.

Wzruszył ramionami, splunął na chodnik i odpalił papierosa. Zaciągnął się dymem i wpatrzył w rozżarzoną końcówkę. Najwięksi mafiosi zaczynali od zera. Za kilka lat zbuduje swoje imperium i jeszcze będzie się śmiał z kradzieży tych przeklętych kabli.

– Johnny... – usłyszał szept tuż przy swoim uchu.

Gwałtownie się odwrócił, ale nikogo nie dostrzegł. Potrząsnął głową. Wydawało mu się.

– Johnny...

Serce podeszło mu do gardła, sięgnął do kieszeni po pałkę teleskopową i gwałtownie nią machnął, chcąc uderzyć intruza. Trafił jednak tylko powietrze. Nikogo nie było w pobliżu.

– Brutus, jeżeli robisz sobie ze mnie jaja, to jak ci wyprostuję zęby na krawężniku...!

– Johnny! – Tym razem głos był bardziej natarczywy, a po nim rozległ się dziecięcy chichot.

Nowak otarł pot z czoła. Pora wracać do domu.

Szybkim krokiem ruszył przed siebie, ale śmiech przez cały czas mu towarzyszył, odbijał się echem od murów kamienic, rozbrzmiewał w bramach. Czasem go wyprzedzał, a wtedy rozlegał się tupot uciekających małych stóp.

– Johnny... Johnny! Johnny! Johnny!

– Zamknij się! Zamknij! Zamknij! – Zatkał uszy, po czym zerwał się do biegu.

Słyszał, jakby wraz z nim biegł cały tłum ludzi; głośno stawiali kroki i ciężko dyszeli. Nowak machnął pałką w bok, potem drugi, ale nikogo nie trafił. Ktoś zaczął krzyczeć, miał wrażenie, jakby to był wrzask wydobywający się z setek gardeł.

– Przestań! – jęknął rozpaczliwie.

Nagle nastąpiła cisza. Johnny obrócił się wokół własnej osi. Był sam, a otaczały go ruiny miasta. Z przerażeniem powiódł wzrokiem po zburzonych domach, poprzewracanych drzewach, rozbitym szkłem lśniącem w słabym blasku księżyca.

– Co jest, do... – zaczął.

Potrząsnął głową i apokaliptyczna wizja natychmiast zniknęła. Wiatrołom był pogrążony w ciemnościach odrobinę rozświetlonych przez księżyc, ale wyglądał tak nudno i spokojnie jak zawsze. Nowak, dając upust swoim nerwom, kopnął pobliski kosz, aż ten się przewrócił. Na ziemię wysypały się śmieci.

Johnny poprawił kopniakiem, nie wypuszczając pałki z ręki. Chciałby potem móc powiedzieć, że zachował zimną krew jak prawdziwy facet, groźny bandzior...

A potem zobaczył cień w bocznej alejce.

– Coś ty za jeden? – rzucił, siląc się na groźny ton.

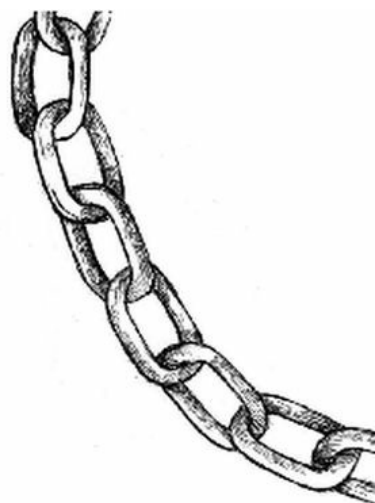
Ciemna, wysoka postać nie odpowiedziała, tylko wciąż powoli kroczyła w jego stronę. Nowak zmarszczył brwi, zmrużył powieki, wpatrując się w nią. Widział długie chude ręce i błyszczące oczy.

– Czego chcesz?! – Pewność siebie ulatywała z Johnny'ego w stanowczo zbyt szybkim tempie.

Intruz nie zatrzymał się, ale wciąż był tylko ciemnym zarysem ludzkiej sylwetki. Nowak się cofnął; wtem potknął się o przewrócony kosz i runął na plecy. Pałka wypadła mu z ręki i potoczyła się po chodniku poza jego zasięg. Nie wyciągnął po nią ręki ani nawet nie spróbował się podnieść. Z niemym przerażeniem wpatrywał się w tę postać, to coś, co wylazło z cienia i stanęło nad nim.

Johnny zapatrzył się na długie, ostre pazury będące przedłużeniem palców. Sięgnęły ku niemu, chwyciły koszulę na piersi i uniosły. Stopy Nowaka zadyndały w powietrzu, gdy spojrzął w oczy samej śmierci. Chciał krzyczeć, wzywać pomocy – pal sześć, że ktoś uzna go za tchórza – ale z jego gardła dobywał się tylko cichy pisk. Potwór wyszczerzył zęby. Ten makabryczny uśmiech był ostatnią rzeczą, jaką Johnny zobaczył w swoim życiu.

Rozdział 16



Pierwszy usłyszał szuranie, a potem głucho łupnięcie. Otworzył jedno oko i zobaczył na środku pieczary niewielki pakunek. Znowu łupnęło i tuż obok wylądował skórzany bukłak.

– Hmmm.

Zadarł głowę, ale w szczelinie nic więcej już się nie pojawiło. Ktokolwiek przejawiał chęć odegrania dobrego gospodarza, odszedł. Żniwiarz niespiesznie podniósł się z ziemi i podszedł do tego niespodziewanego prezentu. Odwinął niezbyt czystą szmatkę i zobaczył pół bochenka ciemnego chleba oraz kilka plastrów suszonego mięsa. Ponownie zerknął w górę, jakby zaraz na głowę miały mu się posypać kolejne produkty żywnościowe.

– Co ta mała im nagadała? – zastanowił się.

Usiadł w swoim ulubionym kącie, gdzie spożył pierwszy posiłek od ponad doby. O dziwo nie był aż taki zły.

Musiał ponownie przemyśleć wszystkie swoje plany. Zawsze był gotowy na najróżniejsze scenariusze, ale – jak się okazuje – Magda nawet jego potrafiła zaskoczyć. Na przykład nie spodziewał się, że tak szybko zginie i wyląduje w Nawii. Tak po prawdzie, to miał nadzieję, że w ogóle nie da się zabić. Ale to zmieniało wszystko. Dzięki niej jego życie stanie się nieco prostsze.

W jaskini pociemniało. Na zewnątrz był jeszcze dzień, ale tutaj przez większość czasu panowała noc. Szczerze mówiąc, Pierwszy był trochę zaskoczony impulsywną reakcją tubylców na ich przybycie. Mieli wspólną historię, popłynęło trochę krwi, ale miał nadzieję, że to dla nich stare dzieje, tak samo jak dla niego. Po co

roztrząsać to, co wydarzyło się setki lat temu, jeżeli teraz wszystko wyglądało inaczej? Owszem, spodziewał się groźnego potrząsania bronią, robienia gniewnych min i udawadniania wyższości na każdym kroku, ale po kiego czorta od razu zamykać go w jaskini? Ludzie, nawet ci martwi, bawili go. Tak długo potrafili chować urazę, nie bacząc na to, czy mieli wspólne interesy. Oczywiście potem wszystko może odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, ale i wtedy należy przestawić się odpowiednio do nowej sytuacji.

Jeszcze trochę, a nawet Madzia się tego nauczy. W każdym razie jest już na dobrej drodze. Dzięki bogom, że została odseparowana od swojego wujka. Ten to jest uparty jak kołek. Nie potrafi iść z duchem czasu. Żaden ze żniwiarzy nie potrafi.

– O ironio – westchnął, składając chustkę na kolanie. Pierwszy i ostatni żniwiarz okazali się do siebie tak podobni, jak nikt inny.



– Szybciej! – wrzasnął Feliks. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, po ramieniu spłynęła strużka ciepłej krwi. Mocno zaciskał palce na włączni, którą przyszpilił łąpkiego do muru ze starych cegieł.

Nawi szarpał się i wymachiwał wszystkimi kończynami, usiłując się uwolnić. Drzewce wystawało spomiędzy jego żeber, wyraźnie zarysowanych pod brązową skórą. Na wklęsłym brzuchu i chudych ramionach widniały liczne cięcia zadane przez żniwiarzy. W pustych oczodołach odbijała się

wściekłość.

Wanda drżącymi rękoma podpaliła szmaty nasączone benzyną, zawiązane na końcu grubej gałęzi, po czym przyłożyła je do ciała demona. Sucha skóra natychmiast zajęła się ogniem. Łepi wrzeszczał wniebogłosy, a Feliks ani trochę nie poluzował chwytu na włócznie. Wkrótce demon zapłonął cały, zamieniając się w człekokształtną pochodnię. Biło od niego gorąco, płomienie huczały.

Żniwiarz odsunął się nieco i zasłonił ramieniem twarz. Kiedy demon znieruchomiał, wyszarpnął włócznie z jego ciała i patrzył, jak stwór się dopalał.

– Skurczysyn... był... zawzięty – wydusiła z siebie Wanda. Oparła łokcie o kolana i oddychała ciężko.

Feliks usiadł na krawężniku i powiódł wzrokiem po ciemnych oknach. Było dawno po północy, miał nadzieję, że mieszkańcy Wiatrołomu już spali. Na szczęście nikt jeszcze nie zaczął wrzeszczeć ani nie nadjechała policja.

– Dał nam w kość – sapnął, strzepując z palców kropelki krwi.

– Pokaż – poleciała przyjaciółka.

Podwinął rękaw bluzy. Na dłoni miał zdartą skórę, łokieć był obity, a na ramieniu widniała krwawa szrama. Wanda przyłożyła do niej gazę nasączoną krwią Świętego Jana i sprawnie owinęła ją bandażem.

– Chcesz iść do Waldemara? – zapytała.

Pokręcił głową. Był w stanie walczyć, a coś miał wrażenie, że to będzie jeszcze długa noc. Sięgnął do plecaka po butelkę z wodą i wypił prawie całą. Od zapadnięcia zmroku pozbyli się już łepiego, spaleńca i zwida. Ledwie stali na nogach, ale nie potrafili

zrezygnować z dalszego polowania. Dopóki istniał choć cień możliwości, że inne demony kogoś zaatakują, nie mogli udać się na spoczynek.

W oddali rozległ się klekot.

– No nie, nawet oddechu nie dadzą nam złapać – jęknęła Wanda, podnosząc się.

Feliks również podźwignął się z krawężnika, ale przyjaciółka zatrzymała go gestem dłoni.

– Zmora jest moja – powiedziała.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale kobieta wyjęła już z plecaka szklaną butelkę.

– Ty odsapnij chwilę, następny demon jest twój – rzuciła i skierowała się w stronę charakterystycznego dźwięku.

Żniwiarz nie zamierzał jednak pozwolić jej mierzyć się z nawim samej. Wziął swoją broń i powoli ruszył za Wandą. Może to tylko zmora, ale oboje byli zmęczeni, a wtedy najłatwiej popełnić błąd. Na wszelki wypadek będzie osłaniał przyjaciółkę.

Na chwilę zniknęła mu z oczu za zakrętem, ale wciąż słyszał klekot. Nagle coś czarnego przemknęło mu pod stopami. Zerknął w dół i ujrzał dym kłębiący się w okolicach jego kostek. Zmarszczył brwi. Co to, u licha, było?

Rozejrzał się i nagle okazało się, że dym jest dosłownie wszędzie. Niczym gęsta mgła wił się po chodnikach i ulicy, opływał pnie drzew, ławki i kosze na śmieci. Żniwiarz przykucnął i zanurzył w nim dłoń, a potem ją uniół. Kilka strzępów spłynęło z jego palców.

Tylko jedna znana mu istota była zbudowana z czegoś takiego. Wyprostował się i gorączkowo sięgnął do plecaka. Miał tam dosłownie odrobinę trucizny na Niję.

Ostrożnie, aby nie uronić ani kropli, polał nią grot włóczni.

– Gdzie jesteś? – szepnął.

Uważnie obserwując dym, zauważył, że ten zdawał się dążyć w jednym kierunku.

Feliks obejrzał się za siebie. Słyszał wściekły klekot; to zmora pewnie została pochwycona przez Wandę, która właśnie recytowała egzorcyzm. Miał nadzieję, że przyjaciółka mimo wszystko poradzi sobie sama. On miał inne zadanie.

Brodząc w dymie, który sięgał mu już kolan, ruszył przed siebie.

Może właśnie dziś to wszystko się skończy – pomyślał z nadzieją.

Z każdym krokiem dym stawał się gęstszy, coraz szybciej się kłębił.

– Co jest? – zdziwił się żniwiarz, kiedy czarna mgła zaczęła wyglądać, jakby za rógiem ktoś włączył olbrzymi odkurzacz i ją wciągał.

Feliks zerwał się do biegu; nie mógł pozwolić sobie na to, aby stracić ją z oczu. Wypadł za róg i ku swojemu przerażeniu zobaczył dym wspinający się po ścianach jednego z domków jednorodzinnych. Piał się coraz wyżej i wyżej, aż otulił cały budynek.

Żniwiarz zwolnił. Co robić w takim przypadku? Spojrzał na swoją włócznię, która prezentowała się naprawdę mizernie wobec takiego wroga. Czy dźgnięcie samego dymu da cokolwiek? Czy w ten sposób ma szansę na to, aby chociażby ranić Niję?

Powoli zbliżył się do domu, gdy nagle dym po prostu... wsiąknął w budynek.

– Cholera – rzucił Feliks.

W tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć, kto tam mieszkał, ale ktokolwiek to był, groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Bez zastanowienia dopadł do drzwi. Już miał sięgnąć do plecaka po łom, ale dla pewności nacisnął klamkę, która o dziwo ustąpiła. Powoli przestąpił próg, gdy nagle usłyszał głuchy łomot. Wpadł do przedpokoju i ruszył nim aż do schodów. U ich stóp leżała starsza kobieta w szlafroku. Tuż obok jej dłoni znajdowała się zgaszona świeczka.

Feliks strzelił spojrzeniem w górę, a kiedy nie dostrzegł bezpośredniego zagrożenia, przypadł do kobiety. Delikatnie odwrócił ją na plecy i odgarnął siwe włosy z twarzy. Teraz ją rozpoznał. Nazywała się chyba Gołębecka i kiedyś miała warzywniak niedaleko księgarni Emilii. Przyłożył policzek do jej ust, ale nie oddychała.

– Nie, proszę – jęknął, zaczynając masaż serca.

Poczuł, jak żebro pękło pod naciskiem jego dłoni, ale nie przestawał uciskać jej klatki piersiowej. Kolejna ofiara Niji...

– Oddychaj! – krzyknął.

Jednak kobieta była już w podeszłym wieku, a upadek ze schodów okazał się dla niej śmiertelny.

Żniwiarz usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Niewidzącymi oczami wpatrywał się w pomarszczoną skórę na twarzy, rozsypane na dywanie siwe włosy, wąskie usta. Następna osoba, której nie był w stanie pomóc, której nie uratował.

Przez otwarte drzwi do środka wdarł się chłodny podmuch wiatru, który otrzeźwił Feliksa. Podniósł się, wziął do ręki włócznię i ruszył do wyjścia. Nie wzywał

pogotowia. Dla pani Gołębeckiej było już za późno, a nie zamierzał się tłumaczyć, co robił w środku nocy w jej domu. Kobieta miała rodzinę, znajomych. Ktoś na pewno zorientuje się w ciągu dnia, że coś musiało się stać.

Zamknął za sobą drzwi i spojrzał przed siebie. Na samym środku drogi stał Nija. Tym razem był znacznie niższy niż ostatnio, choć i tak górował wzrostem nad żniwiarzem. Błyszczące czerwone oczy wpatrywały się w Feliksa, usta z dymu rozciągnęły się w uśmiechu.

– I co? – odezwał się żniwiarz. – Bawi cię zabijanie bezbronnych staruszek?

Nija wciąż się uśmiechał. Przypominał dziecko z lupą stojące nad mrowiskiem, jakby to wszystko było dla niego tylko zabawą!

Feliks gwałtownie uniósł włócznie, wziął zamach i cisnął nią prosto w przeciwnika. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, a i tak okazało się zbyt wolne. Włócznia przeleciała przez dym i wbiła się w trawnik kawał drogi za nim.

Nija uniósł palec do ust, jakby nakazywał żniwiarzowi ciszę, a potem po prostu rozpląnął się w powietrzu.

– Niech cię *szlag* trafi! – wykrzyczał Feliks.

Nie był pewien skąd, ale wiedział, że Nija nie pokaże się już tej nocy. Wziął więc swoją włócznie i ruszył szybkim krokiem w stronę miejsca, w którym ostatni raz widział Wandę.

Nie słyszał już klekotu, co znaczyło, że przyjaciółka musiała sobie poradzić z nawim. Jeszcze jeden zakręt i ujrzał ją opierającą się o ścianę budynku.

– Wanda! – sapnął i natychmiast do niej przypadł.

Złapał ją za ramiona, gdy nogi się pod nią ugięły; jej

jasne włosy były rozczochrane, otaczał ją zapach krwi.

– Co się stało? – zapytał, zarzucając sobie jej rękę na barki. – Idziemy do Waldemara.

Zawisała na nim prawie jak szmaciana kukiełka.

– To była ta zmora?

– Czy ja wyglądam na kogoś... kogo pokonałaby zmora? – wydusiła z siebie.

– To co się stało? – Poprawił rękę, którą trzymał na jej łopatkę, a ona syknęła z bólu.

– Coś... coś rzuciło mi się na plecy...

– Coś?

– Nie wiem... latało... miało skrzydła...

Szli bardzo powoli i niecałą godzinę później znaleźli się w barze.

Waldemar bez słowa złączył dwa stoliki, zrzucił z nich małe świeczniki i wszelkie śmieci, po czym razem z Feliksem ułożył na nich Wandę. Rozciął bluzkę, odsłaniając dwie rany ciągnące się w poprzek pleców.

– Źle jest? – zapytała, krzywiąc się z bólu.

– Widziałem gorsze – zapewnił lekarz.

Gauza zaczął rozpakowywać jego torbę i podawać mu potrzebne rzeczy.

Waldemar oczyścił rany Wandy i uznał, że są na tyle płytkie, aby wystarczyły na nie zwykłe stripy.

– Jutro trzeba wysłać któregoś z tych byczków poza miasto do apteki – stwierdził. – Jeszcze trochę, a wykończycie wszystkie moje zapasy.

Kolejną godzinę później do baru wpadły pierwsze promienie słońca, a lekarz skończył opatrywać Wandę.

– Ale jutro w nocy to ty będziesz siedzieć w domu – zastrzegł.

Kobieta mruknęła coś niezrozumiale, po czym zapadła

w sen.

– A ty? – Waldemar zwrócił się do Feliksa.

– Widziałem go, wiesz? – odezwał się żniwiarz, wyglądając przez okno.

– Kogo?

– Niję. Już drugi raz... I on... On się tu dobrze bawi. Jest jak dziecko w wesołym miasteczku. A my nie mamy najmniejszych szans go pokonać.

– Coś wymyślisz, zawsze tak jest – orzekł lekarz.

Feliks wzruszył ramionami. Nie był tego wcale taki pewien.

¢

– Władysław chce cię widzieć.

– Uhm – mruknęła Magda, odwracając się na drugi bok.

– Wstawaj, dziecko, bo cię zrzucę z tego siennika.

Dziewczyna gwałtownie usiadła, przypominając sobie, gdzie była. Przetarła ręką oczy i spróbowała wygładzić rozczochrane włosy. Nad nią stanęła kobieta w średnim wieku z ciemnym, długim warkoczem. Ubrana była w skromną lnianą suknię.

– Jest szansa, żebym najpierw mogła się ogarnąć? – zapytała bez większych nadziei Magda.

Kobieta westchnęła ze zniecierpliwieniem i wyszła. Magda wzruszyła ramionami, ziewnęła i spróbowała strzepnąć ręką ze spodni kurz.

Gospodyni wróciła z pełnym wiadrem. Z rozmachem postawiła je na ziemi, aż kilka kropel wody wylało się na klepisko.

– Dziękuję. – Magda uśmiechnęła się do niej, a kiedy została sama, spróbowała doprowadzić się do porządku. – Przydałyby się jeszcze mydło i szczoteczka do zębów – rozmarzyła się. – I szampon, o odżywcze do włosów nawet nie wspominając...

Kilka minut później dziewczyna opuściła ciemną, duszną chatę i została zaprowadzona pod dom Władysława. Wciąż czuła na sobie spojrzenia mieszkańców osady, ale tym razem były bardziej zainteresowane niż podejrzliwe. *Jest postęp...*

– Masz ochotę na spacer? – zapytał przywódca wsi... a przynajmniej Magda odniosła wrażenie, że mężczyzna pełnił taką funkcję.

Pokiwała głową. Ruszyli razem udeptaną dróżką, kilka metrów za nimi podążali dwaj strażnicy.

– Ile ludzi tu mieszka? – zapytała, przerywając ciszę.

– Około setki.

– Czy w okolicy są inne osady?

– W okolicy? Niestety nie.

– Ale kiedyś były, prawda? – Magda bardzo wiele nauczyła się o Nawii od Żywii, a może od Białego, tylko nie miała pojęcia, co z tego było prawdą.

Władysław pokiwał głową. Jego spojrzenie zaszło mgłą, gdy wspominał najwyraźniej znacznie lepsze czasy.

– Wtedy mieliście wszystkiego pod dostatkiem?

– Tak, do takich zaświatów każdy chciał trafić.

– Ale skądś nadal czerpicie współczesne rzeczy? – Wymownie spojrzała na ciemne, brudne dzinsy, które wyglądały całkiem nieźle do pary z lnianą koszulą.

– Co to znaczy „współczesne”? – Prześwidrował ją błękitnym okiem. – Dla nas wszystko jest współczesne.

Oni operują zupełnie innym czasem...

Zmarszczyła brwi.

– Takie z moich czasów? – zapytała.

– A co, jeśli twoje czasy właśnie przeminęły?

Pokręciła głową. Jej czasy nie mogły przeminąć, musiała wrócić do domu, do Wiatrołomu, i pomóc Feliksowi uporać się z demonami oraz Niją. Nie przyjmowała do wiadomości faktu, że świat żywych może wyglądać po jej powrocie zupełnie inaczej.

– Są ludzie, którzy przeszukują dla nas pustki. – Władysław najwyraźniej postanowił oszczędzić jej wywodów o zawirowaniach czasu.

– Pustki – powtórzyła. – Co to takiego?

Stanęli na skraju osady i zapatrzyli się na dojrzewające zboże.

– Kiedyś do Nawii trafiali po śmierci prawie wszyscy.

Skinęła głową. To się akurat zgadzało.

– Z czasem jednak było nas coraz mniej. Teraz została nas zaledwie garstka. Ale nadal zdarza się, że przychodzą tu nowi ludzie, a oni sprowadzają ze sobą część swojego świata.

Ci, którzy wierzą w Nawię. Ilu ich tak naprawdę jest?

Nie sądziła, że w jej czasach ktoś szczerze wierzył w dawnych bogów i pogańskie zaświaty, choć ludzie przecież zawsze potrafią zaskakiwać.

A ilu tak naprawdę wierzy w chrześcijańskiego Boga i jego niebo?

Potrząsnęła głową. To były pytania na inny dzień, inny świat.

– To gdzie oni są teraz?

– Nie żyją.

– Ponoć nie można tu zginąć, jeśli w świecie żywych

o tobie pamiętają – wytknęła.

– Owszem, ale ta zasada nie dotyczy ofiar Niji, który został wyrwany ze swojego snu.

Ten świat był zbyt skomplikowany, żeby ogarnąć go w tak krótkim czasie. Rządził się zupełnie innymi prawami.

– I tutaj właśnie przechodzimy do twojego przyjaciela.

– Władysław odwrócił się do niej, jakby oczekiwał jakiejś konkretnej reakcji.

– On nie jest moim przyjacielem – powiedziała, zresztą zgodnie z prawdą. – Mamy wspólne interesy i tyle.

– On nigdy nie ma z nikim wspólnych interesów.

– Chcemy unieszkodliwić Niję – powtórzyła niczym mantrę.

– Jesteś pewna, że on rzeczywiście zamierza to zrobić? Nie była. Miała tylko nadzieję.

– Co takiego Pierwszy wam zrobił, że najchętniej zostawilibyście go na śmierć w tej jaskini? – zapytała.

– Dawno temu, kiedy było nas jeszcze wielu, on... rozpętał małą wojnę.

– To do niego akurat podobne – mruknęła.

– Na szczęście przegrał ją z kretelem i został wypędzony. Ale on jest niezwykłą istotą, która mogła w końcu przejść do drugiego świata, niczym...

– Półdemon – dokończyła za niego.

Zapadła cisza, a Magda zaczęła sobie wyrzucać, że nie trzymała języka za zębami. Zastanawiała się, ile ten facet tak naprawdę wie. Może wszystko i tylko ją sprawdza? Albo niewiele, a jest na tyle cwany, że resztę bez problemu potrafi od niej wyciągnąć? W domu wszystko było prostsze albo przynajmniej takie się wydawało.

Zmierzyła wzrokiem swojego rozmówcę. Chronologicznie był jednym z najmłodszych w osadzie, przynajmniej zgodnie z tym, co twierdził, ale został ich przywódcą. Ponadto tylko ci najsprytniejsi przeżyli do tej pory.

Co zatem z tego wynika?

– A to jest najgorsze połączenie, demon i żniwiarz – podjął Władysław, zerkając na nią.

Magda poczuła, że to jest ten szczególny moment, od którego zależy to, jak potoczą się jej losy. Nikt tu nie lubił żniwiarzy, ponieważ odsyłali do Nawii głodne i wściekłe demony.

– Ja też jestem żniwiarzem – wypaliła.

– Tak podejrzewałem – odparł, kiwając głową.

On wiedział! Od początku wiedział!

– Mało kto przeżyłby samotnie na pustkowiach. A potępieniec nie prowadziłby tam zwykłego człowieka.

– Co teraz? – zapytała. – Dogadamy się? Pomożecie nam?

Władysław nie odpowiedział.

– Wiesz, co znajduje się za tymi polami? – Wskazał palcem przed siebie. – Wilcze doły. Na każdym rogu pola zaś wisi końska czaszka. Przy drogach wiodących do osady stawiamy słupy z magicznymi symbolami...

– Jakie to symbole? – przerwała mu, zanim ugryzła się w język.

– Na przykład czarny krzyż. – Narysował patykiem na ziemi cztery przecinające się linie, przypominające podstawę do gry w kółko i krzyżyk.

Magda zawiodła się; symbol wyglądał mało antydemonicznie. Ale skoro działał, a ludzie wierzyli w jego moc... Przecież prosty chłop sprzed wieków nie

rysowałby bardzo skomplikowanych znaków.

– Nasze tereny są zabezpieczone przed demonami pod każdym możliwym względem. – Władysław powrócił do głównej myśli. – A mimo to ostatnio zdarzyło się kilka razy, że jakiś się prześlizgnął do samego środka osady. Ponadto i my musimy czasem opuścić naszą bezpieczną przystań. Na razie nie jest tak źle, ale to tylko kwestia czasu, zanim Nija zwróci swoje spojrzenie na nas. A wtedy nikt go nie powstrzyma.

Magda wiedziała już, że wygrała. A może to Władysław odniósł zwycięstwo i właśnie rzucił jej kość, żeby myślała, że jest górą? Pal sześć, to jest w tej chwili najmniej ważne.

– Chyba pora uwolnić zło wcielone z jaskini – powiedział mężczyzna. – A po drodze opowiesz mi, co cię z nim łączy.

Nie spieszyli się, powoli mijali ludzi i chaty, Magda przybliżyła Władysławowi swoją historię, ale kątem oka wciąż patrzyła na życie toczące się w zaświatach i nie mogła się nadziwić, jakie było ono prozaiczne. Ludzie umierali, a potem trafiali tutaj i żyli tak samo jak do tej pory. Ubierali się tak jak za życia, korzystali z tych samych narzędzi i tylko czasem pozwalali sobie na taką ekstrawagancję, jaką były przedmioty z innej epoki.

Kiedyś myślała, że po śmierci człowiek zyskuje odpowiedź na wszystkie nurtujące go pytania. Czy ci ludzie wiedzieli więcej niż za życia? I dlaczego kraina mlekiem i miodem płynąca zamieniła się w świat, w którym przez cały czas musieli walczyć o przetrwanie? To nie było w porządku.

Magda skończyła mówić i resztę drogi pokonali w milczeniu. Gdy stanęli nad otworem w skałach,

Władysław skinął głową na dwóch strażników, którzy wciąż towarzyszyli im niczym cienie. Umocowali jeden koniec drabinki do pręta wbitego między głązy, a drugi zrzucili do dołu.

Nic się nie wydarzyło. Władysław dał znak Magdzie, żeby przejęła pałeczkę. Przykucnęła więc przy szczelinie i zajrzała w dół. Na początku zobaczyła tylko ciemność.

– Możesz wyjść – powiedziała.

Na dole nastąpiło poruszenie, aż ujrzała na środku pieczary twarz Pierwszego. Bez słowa wspiął się po drabince i chwilę później stanął przed nią, mrużąc lekko oczy.

– Wiedziałem, że dobrze się spiszesz – odezwał się.

– Nie ściemniaj, że właśnie taki miałeś plan – burknęła. – Bo i tak ci w to nie uwierzę.

Ale on tylko uśmiechnął się tajemniczo. Strażnicy związali jego nadgarstki i wszyscy wrócili do osady.

– Tyle lat, a u was nic się nie zmieniło – odezwał się konwersacyjnym tonem Pierwszy.

– Kultuwujemy dawne tradycje – odparł oschle Władysław.

– I to w was szanuję. – Ku zgrozie Magdy żniwiarz związaną ręką klepnął mężczyznę w łopatkę.

Jeden ze strażników natychmiast przypadł do niego i szarpnął go za więzy.

– Spokojnie – powiedział żniwiarz. – Nie rozumiem, jak długo można chować urazę.

– Trudno chować urazę do robaka – rzucił chłodno dowódca.

Pierwszy się roześmiał.

Jest na powierzchni zaledwie od kilku minut, a już przynosi mi wstyd – pomyślała Magda. A ja poręczyłam

za tego klauna...

Weszli do domu Władysława. W środku panował półmrok, w powietrzu czuć było duszący zapach ziół. Za stołem siedziało kilka osób; była wśród nich kobieta, u której dziewczyna nocowała. Wszyscy mieli ponure miny, jakby znaleźli się tu za karę, a spotkanie z Pierwszym było ostatnią rzeczą, na jaką mieli ochotę.

Kilka kobiet przygotowało posiłek. Władysław nalał do kubków rozcieńczonego wina.

– W pewnym sensie rozumiem poczynania żniwiarzy – odezwał się w końcu. – Mają swoje pobudki i myślą, że postępują dobrze. Czego nie jestem w stanie pojąć, to żniwiarz mordujący innych.

Przeszył spojrzeniem Pierwszego.

– Ach, o to ci chodzi! – Na twarzy jeńca odmalowało się zadowolenie. – Miałem nadzieję, że się nie domyślicie.

Obecni w chacie wymienili ponure spojrzenia, kobieta z warkoczem szepnęła coś do siedzącego obok mężczyzny.

– Trudno się nie domyślić, że mordujesz żniwiarzy, skoro sam Nija się obudził i pożarł ich dusze – powiedziała na głos.

– Mój błąd, przyznaję.

Magda miała ochotę kopnąć go pod stołem. Mówił o tym, jakby to była zwykła pomyłka. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że bestialsko zabijał innych.

– Poza tym miło cię widzieć w zdrowiu, Rosławo. – Skinął jej głową, na co poruszyła się nerwowo na krześle.

Wokół stołu podniosła się wrzawa. Każdy chciał wykrzyknąć jakieś groźby pod adresem żniwiarza.

– Cieszę się, że tak licznie przeżyliście – powiedział głośno Pierwszy, najwyraźniej bawiąc się w najlepsze. – Wasz widok naprawdę raduje moje serce.

– Twój za to wręcz przeciwnie – burknął ktoś inny.

– Masz szczęście, że była z tobą Magda – powiedział Władysław. – Gdyby nie ona, na miejscu byśmy cię zabili.

Pierwszy skinął jej głową, unosząc kącik ust w tym swoim półuśmiechu.

– Rozumiem wasz żal, ale tym razem przychodzę do was skruszony, prosić o pomoc w naprawieniu moich złych czynów.

Nawet w takiej chwili kpi ze wszystkich i wszystkiego wokół...

– Potrzebujemy waszego kowala – powiedział. – W moich rzeczach na pewno znaleźliście kij boginki. Zdobęde jeszcze metal i ogień, a on wykuje dla mnie broń.

Jak on chce zdobyć ogień? Co on sobie myśli, że jest jakimś pieprzonym Prometeuszem?

Magda chciała zadać na głos swoje pytania, ale jakoś nikt inny nie wydawał się zaskoczony dziwną prośbą, więc postanowiła z tym poczekać, aż znajdzie się w mniejszym gronie.

Obecni przy stole zaczęli szeptać między sobą. Magda zerknęła na Pierwszego, który puścił do niej oko, a potem wrócił do obserwowania ludzi. Na jego twarzy wciąż błąkał się słaby uśmiech.

W końcu głos zabrał niezbyt wysoki mężczyzna bez trzech palców. Jego dłonie były nienaturalnie wielkie w porównaniu do reszty ciała.

– Założmy, że się zgodzę. Co oferujesz w zamian?

– Powrót dawnego porządku. – Żniwiarz rozłożył ręce.
– Tego chyba pragniecie najbardziej? Żeby Nija znów zapadł w sen.

– I jak sam zamierzasz tego dokonać?

– Nie będę sam, pomoże mi ta oto Magda. – Położył dłoń na jej ramieniu. Natychmiast ją strąciła, a wokół rozległy się pomruki niedowierzania.

– Czego jeszcze chcesz? – odezwał się Władysław. – Bo jak znam życie, nigdy nie kończy się na jednej prośbie.

– Miło byłoby na jakiś czas zatrzymać się w waszej osadzie.

Patrząc na miny zebranych, Magda miała wrażenie, że jeszcze chwila, a Pierwszego po prostu stąd wykopią. Jak nic potrafi zdobywać przyjaciół.

– Aha, i będę wdzięczny, jak na jakiś czas przestaniecie okadzać pola świńskim łajnem – dodał, kiedy wychodzili.

Magdzie przemknęło przez myśl, że tym razem przegiął. Dlaczego plótł takie głupoty? Jednak Władysław, zamiast posłać go do diabła, z ociąganiem skinął głową.

Nic nie wiem o tym świecie – podsumowała.



– Nie ruszaj się, z łaski swojej – burknął Waldemar.

Feliks syknął z bólu.

– To bądź delikatniejszy – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Lekarz nałożył ostatni szew na ranę w ramieniu, polał ją obficie krwią Świętego Jana i nałożył opatrunek.

Niestety dla żniwiarza zabrakło już stripów.

– Nic się nie uspokoiło? – zapytał Waldemar.

Żniwiarz pokręcił głową.

– Piąta noc – westchnął. – Piąta noc taka sama jak poprzednie albo nawet gorsza. Naprawdę miałem nadzieję, że to wszystko skończy się wraz z trzynastą pełnią.

Gauza pokręcił głową i ciężko westchnął.

– Z Wandą dwoimy się i troimy, ale nie możemy być wszędzie – kontynuował Feliks, zerkając na koleżankę, która usnęła na kanapie w rogu. – Nawet nie wiem, ile osób zginęło tej nocy. Bo że te przeklęte demony zabiły kogoś jeszcze oprócz Gołębeckiej, to bardziej niż pewne. Dobrze, że przynajmniej nie włączą do domów, które są zabezpieczone ziołami i solą. Ale na jak długo to wystarczy?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Chwilę później do baru wmaszerowała Janina i powiodła wzrokiem po wszystkich.

– Jest i sabotażysta – stwierdziła.

Feliks dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że patrzyła prosto na niego.

– O co chodzi tym razem? – zapytał zmęczonym głosem.

Staruszka podeszła do niego żwawym krokiem i rzuciła na stół lokalną gazetę.

– Jakim cudem oni to teraz wydają? – zdziwił się Gauza, patrząc na datę.

– Właściciel gazety to bogaty facet, uwielbiający wszelkie teorie spiskowe – powiedziała Janina. – Oczywiście, że ma własne źródło zasilania. Ale to jest nieważne, patrz tu. – Postukała palcem w pierwszą

stronę. Feliks nie miał pojęcia, jak lokalni dziennikarze to robili, ale każdy z nagłówków zdawał się krzyczeć do odbiorcy: „Przeczytaj mnie! Awantura! Bijatyka! Zdrada!”.

Zamrugał oczami, skupiając się na tym, co pokazywała mu Janina.

– „Lokalny sklep zdemolowany” – przeczytał na głos. – Chyba nie mają żadnych świadków?

– Nie to – fuknęła.

– „Kim są mieszkańcy Wiatrołomu?” – Feliks spojrzał na kolejny nagłówek. – No i? – Podniósł na nią wzrok.

Staruszka energicznymi ruchami otworzyła gazetę na odpowiedniej stronie.

– „Jakie mroczne sekrety skrywają?” – czytał dalej Feliks. – „Kto ile trupów trzyma w szafie? Kogo powinniśmy się tak naprawdę obawiać? Do Wiatrołomu nigdy nie zawitał żaden satanista, ale mieszka tu wielu podejrzanych typów. Kto wie, jakie praktyki odprawiają za zamkniętymi drzwiami”... O cholera...

– O co chodzi? – Wanda podniosła się z kanapy, krzywiąc się z bólu. – Przecież to tylko głupi artykuł ze zwykłego szmatławca.

– Który przeczytają wszyscy w promieniu dziesięciu kilometrów – powiedziała staruszka. – Tym bardziej teraz, kiedy nie ma prądu i innych rozrywek. Zaledwie przed dwoma dniami rozpisywali się szczegółowo o satanistycznych praktykach. Ludzi ogarnęła panika. Ale to już się przejadło. Szukają nowego kozła ofiarnego.

– Panie i panowie – odezwał się Waldemar, unosząc pusty kieliszek. – Polowanie na czarownice czas zacząć!

Chyba po raz pierwszy, odkąd go poznała, Janina nie

skwitowała jego słów lekceważącym prychnięciem, tylko pokiwała głową.

– Nikt nie ma na nic dowodów – odezwał się uspokajająco Feliks. – A my musimy być po prostu ostrożni.

¢

Magda grzebała patykiem w ognisku. Pierwszy leżał tuż obok na kocu i wpatrywał się w gwiazdy. Pozwolono mu zatrzymać się w granicach osady, ale nikt nie zamierzał gościć go w swoim domu.

– Nie spieszyłaś się z wyciągnięciem mnie z tej dziury – odezwał się.

– Ty nas do niej wpakowałaś, więc uznałam, że chcesz posiedzieć w tej jaskini jak najdłużej. – Wzruszyła ramionami. – Ciesz się, że dostałeś wodę i jedzenie.

– Mimo wszystko...

– Nie! – przerwała mu gwałtownie. – Żałuję nawet, że nie poprosiłam Władysława, aby potrzymał cię tam jeszcze dłużej. A wiesz dlaczego? Bo nie powiedziałeś mi, że cię tu nienawidzą, ani nawet nie wspomniałeś, dlaczego w ogóle tu przyszliśmy. Dziś po raz pierwszy usłyszałam o tym przeklętym kowalu! Tak naprawdę jesteś zadufanym w sobie pajacem, który uwielbia pławić się w swoim małoszkowym poczuciu wyższości nad innymi!

– Gdybyś wiedziała, że potrzebujemy kowala, sama przeprowadziłabyś te jakże fascynujące negocjacje, a ja siedziałbym w jaskini.

– Ty na wszystko masz odpowiedź, co?

Zastanowił się chwilę.

– Tak, praktycznie na wszystko – oświadczył.

– To jeszcze mnie oświeć, o co chodzi z tym metalem i ogniem – powiedziała zrezygnowanym tonem.

– Potrzebujemy demonicznej broni. Sól, okadzanie chat dymem, zioła w oknach... to wszystko dobre środki zaradcze przeciw zwykłym demonom, ale my znów potrzebujemy czegoś mocniejszego.

– A co z trucizną?

– Nią nie musisz zawracać sobie głowy.

– Bo...?

– Kiedy przyjdzie czas, zdobędę ją.

Ale tak naprawdę wcale nie mamy czasu – pomyślał.

– Jeżeli to coś pomoże, to mam łańcuch zwiada – odezwała się. – O ile miejscowi jeszcze go nie ukradli.

Uniósł się na łokciu. Znów udało jej się go zaskoczyć.

– Bardzo dobrze, to nam trochę ułatwi sprawę.

– Dlaczego w ogóle zwid się nie spalił, jak odpięłam mu ten łańcuch?

– Dobre pytanie. – Pokiwał głową.

– Więc...?

– Któż to wie? – zastanowił się. – Poza tym podejrzewam, że mało kto miał okazję zdjąć żywemu zwidowi łańcuch w Nawii. Tutaj demony nie umierają tak jak w świecie żywych.

– A co z tym ogniem? – dociekała.

– Wykujemy broń w ogniu demona.

– Ty chyba nie chcesz łapać spaleńca? – Jeśli sądzić po jej minie, wcale jej się taka perspektywa nie uśmiechała.

– Nie, mam jeszcze lepszy pomysł.

– Mianowicie?

– Jutro ci powiem. – Na powrót ułożył się na kocu, patrząc w gwiazdy.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami i wstała.

– Gdzie idziesz?

– Spać. W przeciwieństwie do ciebie mnie zaproponowano nocleg w cywilizowanych warunkach.

Odeszła dwa kroki od ogniska, ale wtedy zatrzymała się i odwróciła.

– Jakim cudem oni mówią w tym samym języku co my? – zapytała. – Żywią nie do końca chciała mi to wyjaśnić, potem uznałam, że to dlatego, że Biały był w moich czasach i nawet używał pewnych wyrażeń, które brzmiały podejrzanie współcześnie w jego ustach... A tutaj...

– A jeśli wcale nie mówimy w tym samym języku? – odezwał się Pierwszy.

– Jak nie mówimy? Przecież... – zamilkła, zastanawiając się. – Kiedyś słyszałam, że osoba płynnie posługująca się kilkoma językami może czasem używać ich nieświadomie. Kiedy ktoś będzie mówił do niej w jednym języku i nagle przeskoczy na inny, ta osoba w pierwszej chwili może nawet tego nie zarejestrować, ale i tak zrozumie przekaz... No ale ja przecież nie znam starosłowiańskiego, prasłowiańskiego czy innego, w jakim powinni się porozumiewać!

– Wiara to potężna rzecz – powiedział Pierwszy.

– Wiem, wiele razy już mi to mówiłeś – westchnęła.

– Czy myślisz, że kiedy powstawał koncept zaświatów, ktoś przejmował się tym, że będą w nich lądować ludzie z tak odległych od siebie czasów, że będą używali innej mowy?

Przez chwilę rozważała jego słowa.

– Wierzysz w istnienie demonów z ludowych opowieści. Dlaczego tak trudno ci pojąć istnienie wspólnej mowy?

– Bo pochodzę ze świata, w którym ludzie starają się wszystko wytłumaczyć logicznie.

Odwróciła się i odeszła, a on słuchał jej kroków cichnących w ciemnościach. W porównaniu z tutejszymi ludźmi była taka młoda. Dla nich sprawiała wrażenie zaledwie dziecka, aż dziw, że Władysław potraktował ją poważnie. Jednak stary był mądrym człowiekiem.



Magda zerwała się z siennika równo ze wschodem słońca. Sama nabrała wody ze studni i przytargała wiadro do pokoju, choć Rosława obserwowała jej poczynania nieco krytycznym okiem. Pewnie codzienne ablucje były dla niej marnotrawstwem zarówno wody, jak i czasu. Gdy tylko dziewczyna wylała brudną wodę, gospodyni zaproponowała jej śniadanie.

Po posiłku Magda poszła do obozowiska Pierwszego, jednak go tam nie zastała.

– No i znowu gdzieś polazł, nic mi nie mówiąc – mamrotała pod nosem, wracając do osady. Może był zły, że ona spała w domu, zamiast mu towarzyszyć? Nawet jeżeli tak było, to nie zamierzała się tym przejmować.

Odwiedziła zatem Władysława i odzyskała swój plecak.

– To też ci się przyda – powiedział mężczyzna,

wręczając jej łuk Żywii. Jednak w jego postawie kryło się wahanie. Nie tak łatwo było mu rozstawać się z bronią swojej córki.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się. – To Żywia nauczyła mnie strzelać... to znaczy... – zająknęła się.

– Rozumiem. Cieszę się, że ktoś będzie tego łuku używał.

Magda zaniósła swoje rzeczy do domu Rosławy i dokładnie wszystko sprawdziła, ale wyglądało na to, że nic jej nie zginęło. Zważyła w dłoniach ciężki łańcuch. Tyle czasu niosła go na własnych plecach; dobrze, że chociaż teraz się przyda.

Pierwszy nadal nie wrócił, więc postanowiła samotnie wykonać kolejny krok w stronę unieszkodliwienia Niji i pomaszerowała do kuźni, która znajdowała się za osadą. Kowal siedział przed podmurowanym budynkiem i pociągał z glinianego antałka.

– Da się coś z tego zrobić? – Magda podała mu czarny łańcuch.

Mężczyzna wziął metal do ręki, w której miał tylko trzy palce, przyjrzał mu się, a potem spojrzał z zaskoczeniem na dziewczynę.

– Skąd to masz? – zapytał.

– Ze zwida.

– Ale jak...? I po co?

– Demoniczna stal – odparła, czując dumę.

Nie zamierzała wspominać, że ledwie uszła z tego z życiem i oczywiście miała pomoc.

– Mogę go przetopić, ale nie wiem, czy warto – odparł mężczyzna, oddając jej łańcuch. – Coś takiego jest na wagę złota.

– Dziękuję. Przemyślę jeszcze sprawę.

Przez całe popołudnie pomagała Rosławie w jej ogródku warzywnym, a wieczorem wybrała się poza osadę. Już z daleka dostrzegła delikatną łunę w obozowisku Pierwszego.

– Gdzie byłeś?! – naskoczyła na żniwiarza.

– Na rozeznaniu terenu – odparł, zdejmując buty. Wystawił stopy do ogniska. – Czyżbyś się nudziła beze mnie?

Rzuciła mu pod nogi łańcuch.

– Kowal może go przetopić, tylko musi wiedzieć na co.

Sięgnął po czarny metal.

– Dobrze, to ułatwi nam sprawę.

– Na co chcesz go przetopić? – powtórzyła pytanie.

– Co powiesz na groty do strzał?

Ostrożnie skinęła głową.

– Dla ciebie – dodał, jakby czytał w jej myślach. – Skoro jesteś takim dobrym strzelcem, musimy to wykorzystać.

Dlaczego pochwała w jego ustach brzmi jak ironia? – zastanowiła się. Albo na odwrót? Z nim nigdy nie wiadomo...

– A swoją drogą, po co im kowal? – zapytała.

– Żartujesz sobie?

Zrobiło jej się głupio, ale skoro zaczęła, to powinna skończyć.

– Skąd mają metal? W pobliżu nie widziałam kopalni...

Pierwszy pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A o rudzie darniowej panna słyszała?

– Coś tam w podstawówce... – bąknęła.

– Uwielbiam wasze czasy, naprawdę, ale nie macie podstawowych wiadomości o świecie.

– A po co mi to wiedzieć? Nigdy tego nie potrzebowałam – zachnęła się.

– Do dziś – wytknął. – No dobrze, mam pomysł, jak to naprawić. W ciągu najbliższych dni ja będę i tak szukał demona, którego potrzebujemy, a ty byś mi tylko przeszkadzała.

Już otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, ale uniósł dłoń, uciszając ją.

– Ty zaś zostaniesz tutaj. Będziesz obserwować miejscowych, pracować razem z nimi i wyniesiesz z tego jak najwięcej wiedzy.

– Chyba sobie... – zaczęła.

– A kto wie, może dowiesz się czegoś, co okaże się przydatne dla naszej dwójki.

– Zbywasz mnie.

– Trochę tak. Jednakże sędzę, że tobie miejscowi zdradzą więcej niż mnie.

Pokiwała głową. Było w tym sporo racji.



Przez kolejne dni – zgodnie z przykazaniem Pierwszego – Magda pozostawała w osadzie. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o zwyczajach miejscowych i ich historii. Niestety nie było to wcale takie proste. Jako żniwiarz była dla nich kimś obcym, kimś, kto znajduje się po przeciwnej stronie barykady, jeżeli chodzi o walkę o przetrwanie. Nie obchodziło ich to, że jeszcze za ich pierwszego życia to żniwiarze chronili ich przed demonami. Nie, dla ludzi z Nawii tamten świat był tak odległy i mało realny, jak dla żywych wydawały się

zaświaty. Zapytani o to, jak długo tutaj już są, zazwyczaj wzruszali ramionami; nie obchodziło ich, kiedy umarli, skoro i tak nie istniał nikt, kto by o nich pamiętał. Ale pewne rzeczy mogła łatwo wywnioskować – każdy wolał ubrania i sprzęty, które były mu współczesne. Gdy czasem na nich patrzyła, miała wrażenie, że to niewielki zlot amatorów rekonstrukcji historycznej, tylko organizator nie poinformował ich, jakie wieki powinni odtwarzać. Jednak ich małe społeczeństwo działało, w jakiś dziwny, pokrętny sposób dawali sobie radę, hodowali zwierzęta, uprawiali rolę, czasem wybierali się na pustki w poszukiwaniu tego, czego sami nie mogli wyprodukować, a było tych rzeczy naprawdę niewiele.

Znacznie chętniej dzielili się swoją wiedzą na temat praktyk antydemonicznych. Każdy miał swoją teorię, co było najlepszą obroną przeciw dowolnemu stworowi. Pokazywali swoje talizmany ochronne, na które składały się różne zioła, kwiaty, kamienie z naturalnymi otworami, przewiercone na wylot kości, krzemień, pióra kaczora czy kły i pazury drapieżników takich jak wilki i niedźwiedzie. Niektórzy codziennie nacierali się czosnkiem, inni nosili jego ząbki zaszyte w odzieży.

– I to wszystko działa? – zapytała Władysława, kiedy siedzieli na progu jego chaty, obserwując leniwe życie osady.

– Na tyle, na ile każdy talizman może działać – odparł.

A Magda zdała sobie sprawę z tego, że świat demonów jest znacznie większy i bardziej skomplikowany, niż przypuszczała. Miała wrażenie, że w ciągu kilku dni dowiedziała się więcej niż przez całe swoje

dwudziestoletnie życie. I dopiero teraz dostrzegła, że echo nowo zdobytej wiedzy pobrzmiwało w sposobie, w jaki wraz z Feliksem walczyła z demonami w świecie żywych.

Rozdział 17



Pewnego poranka Magdę zbudziły podejrzone szmery. Sennie otworzyła jedno oko, a gdy zobaczyła, co zakradło się do jej izby, gwałtownie się poderwała, ze świstem wciągając powietrze do płuc. Sięgnęła po nóż, w każdej chwili gotowa odeprzeć atak. Ten jednak nie nastąpił.

Czarne stworzenie podobne do wielkiej zmokłej kury łytało na nią paciorkowatymi oczami, obracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Było tak brzydkie i wyleniałe, że zrobiło jej się go żal. Przez co musiało przejść, żeby tak wyglądać?

Zagdakało cicho i podrapało kurzą łapą klepisko.

– Czym ty jesteś? – zapytała cicho.

W odpowiedzi stworzenie pochyliło łeb i dziobem popchnęło w stronę dziewczyny mały, okrągły przedmiot. Błysnęło złotem. Paskudna kura spojrzała na Magdę wyczekująco, przestąpiła z nogi na nogę, a potem znów szturchnęła monetę o nierównych krawędziach.

– Co do... – zaczęła, powoli wyciągając rękę w stronę złota.

Drzwi nagle otworzyły się i trzasnęły o ścianę z drewnianych bali. Kura odskoczyła w bok.

– Nie dotykaj tego! – huknęła Rosława.

Magda natychmiast cofnęła rękę.

– Bo się od ciebie nie odczepi. – Kobieta machnęła miotłą tuż przed czarnym dziobem. – Sio! Czego tu szukasz? Poczujesz świeżą krew? Już! Poszedł!

Stwór łypnął zawiedzionym wzrokiem na Magdę, po czym chybcząc się na boki, czmychnął w stronę paleniska i zniknął w kominie.

– Co to było? – zapytała dziewczyna, patrząc w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżała złota moneta; została po niej zaledwie kupka kurzu.

– Kłobuk. – Gospodyni odstawiła miotłę i rozpałała ogień.

Magda, teraz już zupełnie rozbudzona, usiadła przy stole. W jej głowie pojawiały się stare stronicie ksiązek, które kiedyś czytała. Było wiele wersji opowiadających o narodzinach kłobuka. Jedna dotyczyła poronionych płodów zakopanych pod progiem chaty, które stawały się bóstwem opiekuńczym domu. Następna mówiła o przygarnięciu i nakarmieniu zmokłego kurczaka wyglądającego jak nieszczęście. Według innej z kolei, gdy siedmioletni kogut zniesie jajo, należało nosić je pod pachą przez siedem dni, aby z niego wykluł się demon. Jednak wszystkie źródła były zgodne co do jednego: kłobuk przynosił swoim gospodarzom bogactwo, zabierając je innym. A takie rzeczy zawsze prowadziły do sąsiedzkich sporów. Gdy się kłobuka obraziło, uciekał przez komin, zabierając wszystkie skarby albo zamieniając je w kupę łajna.

– No pięknie – westchnęła. – Co by było, gdybym wzięła tę monetę?

– Ciągle przynosiłby ci coś nowego – odparła Rosława, przynosząc z kurnika kosz z jajami. – Zboże, kolorowe tasiemki i różne błyskotki.

– Które ukradłby innym, tak?

Gospodyni pokiwała głową, przygotowując jajecznicę na maśle. Magdzie aż pociekła ślinka.

– Dlaczego nie wypędzicie go z osady?

– Bo mógłby się zemścić, podpalić dom albo stodołę.

Dziewczyna naszykowała miski. Rzeczywiście,

w książkach było też coś o ognistym ogonie... Zmarszczyła brwi... i o pokazywaniu gołego zadka przelatującemu kłobukowi, jeśli chciało się odebrać mu jego bogactwa.

– Daj jeszcze jedną miseczkę – poprosiła Rosława.

– Ktoś przychodzi na śniadanie?

Gospodyni podzieliła jajecznicę na trzy równe porcje.

– Zanieś jedną na zewnątrz i postaw przy drodze – poleciła.

– Dlaczego? – Magda wzięła cudnie pachnące śniadanie i pożałowała, że nie będzie jej dane poczuć jego wspaniałego smaku.

– Pogoniłam go miotłą; jak nie dostanie czegoś dobrego, to zrobi się nieznośny.

Dziewczyna wyszła z domu, zostawiła miseczkę na poboczu i rozejrzała się. Jednak nie widziała nawet śladu po demonie. Wzruszyła ramionami i wróciła do stołu.

Wieczorem, gdy kładła się spać, znalazła w swojej izbie kupkę zboża, a rano nausznice, lecz nawet ich nie tknęła, więc kłobuk dał jej spokój. Choć jeszcze kilka razy mignęły jej gdzieś w osadzie zmokłe, czarne pióra znikające za rogiem.

Trzeciego dnia Magda pomagała Rosławie przygotować prowiant dla trzech mężczyzn, którzy wybierali się na pustki. Zapakowały suszone mięso, chleb oraz zmieloną suszoną wołowinę w krowim pęcherzu. Kobieta wyjaśniła, że wystarczyło przegotować w wodzie garść tej mieszanki, aby powstał odżywczy bulion.

– Daleko to w ogóle jest? – dopytywała dziewczyna.

– Różnie, ale poszukiwania zajmują zazwyczaj kilka, kilkanaście dni – odpowiedziała gospodyni.

Gdyby nie to, że Pierwszy kazał jej siedzieć w osadzie, bo w każdej chwili mógł potrzebować jej pomocy przy polowaniu, z wielką chęcią sama wybrałaby się na taką wyprawę. Może znalazłaby coś dla siebie – na przykład komplet nowych ubrań, bo jej obecne wołały o pomstę do nieba.

Przekręciła głowę, rozmasowując kark. Do południa zbierała z Rosławą zioła na łąkach i całe plecy jej zeszywniały. Teraz efekty ich pracy suszyły się w niewielkich bukietach u powały, zalewając chatę intensywnym zapachem.

– Blisko na zachód są duże pustki, ale tam nie wolno nikomu chodzić – odezwała się gospodyni, odrzucając na plecy warkocz.

– Dlaczego? – Natychmiast zainteresowała się dziewczyna.

– Bo tam grasują nieumarli.

Zombie? Nawet w Nawii? Bez przesady...

– Czym są ci nieumarli?

– Złe istoty, bardzo groźne, wysłane przez samego Niję.

– Jak wyglądają?

– Ja ich nie widziałam. – Pokręciła głową. – Ale jak tylko jedna z nich się pojawiła, zabiła dwóch ludzi, trzeci ledwie uszedł z życiem.

Serce Magdy zabiło trochę szybciej.

– A te pustki pojawiły się tam razem z nią?

– Nie, one już tam były od dłuższego czasu.

I podupała na duchu. Nadzieja, która gwałtownie się w niej obudziła, została równie szybko zmiażdżona.

Po południu poszła z kilkoma kobietami nad rzekę, gdzie najpierw prały ubrania, a potem wykapały się

w lodowatej wodzie.

Zanim zapadł zmierzch, wyprosiła od Rosławy trochę twarogu i zaniósła go w kamionkowym garnku do obozowiska Pierwszego. Co prawda żniwiarz jeszcze nie wrócił, ale rozpałała ogień i usiadła przy nim, wpatrując się w płomień.

– Mam nadzieję, że odgrzewasz mi kolację – usłyszała jakąś godzinę później.

Z cienia wyszedł Pierwszy. Rzucił na ziemię swój plecak i usadowił się na kocu.

– Chyba śnisz. Ciesz się, że przyniosłam ci choć trochę twarogu.

Bez słowa podziękowania wyciągnął rękę po garnek i zaczął jeść.

– Czym są nieumarli? – zapytała Magda po chwili.

Podniosła wzrok na Pierwszego i przez ułamek sekundy ujrzała na jego twarzy zaskoczenie.

– Gdzie o nich słyszałaś? – Jego mimika wróciła do normalnego stanu i dziewczyna zaczęła się nawet zastanawiać, czy to zdziwienie jej się po prostu nie wydawało.

– Rosława mówiła o pustkach na zachodzie, gdzie grasują.

– Być może.

– Nie słyszałam nigdy o takich demonach.

– Co nie jest wyznacznikiem tego, czy demon istnieje, czy nie.

– W takim razie oświeć mnie.

Pierwszy nabrał łyżkę twarogu, wsunął ją do ust i przeżuwał znacznie dłużej, niż to konieczne.

– To raczej ty mnie oświeć w kwestii latawicy – powiedział w końcu.

– Ja ci powiem wszystko, co wiem z ksiązek, a ty łaskawie raczysz wytkać mi błędy? Nie, dziękuję.

– Jeżeli chcesz iść na polowanie na latawicę, to muszę wiedzieć, co wiesz, a czego nie. Chyba że wolisz ciągle tkwić w osadzie.

Magda wlepiła spojrzenie w płomienie. Z Pierwszym nigdy nie wygra.

– Latawice powstawały z dusz poronionych dzieci albo kobiet zmarłych podczas wesela – powiedziała jednym tchem. – Możliwe, że kiedyś były duchami wiatru czy wirów powietrznych i dopiero chrześcijaństwo przerobiło je na wrogie demony, które wiodły niewinnych mężczyzn na pokuszenie. Czasem przybierały postać wielkich czarnych ptaków.

Na chwilę zamilkła, zaskoczona tym, że Pierwszy ani razu jej nie przerwał.

– No, dalej – zachęcił. Z jego twarzy nie mogła wywnioskować, czy to, co mówiła, było poprawne.

– Jako demonów latających, często wiązano ich wygląd z ogniem czy iskrzeniem się. Mitolodzy twierdzą, że latawice były po prostu spadającymi meteorytami.

Pierwszy nadal słuchał uważnie.

– O, na Pomorzu *latalëca* była duchem opiekuńczym zboża – przypomniało jej się. – Jak ktoś zaprzedał duszę diabłu, to mógł korzystać z jej usług. Mówili wtedy, że *latalëca sporzy*, a to znaczyło, że dzięki niej miał lepsze plony i zdrowsze zwierzęta. W przeciwieństwie do jego sąsiadów, którym wtedy zaczynało wieść się gorzej. Przybierała postać ognistej miotły albo płonącego snopka słomy.

– Albo...? – odpowiedział.

Magda zastanowiła się. Płonąca miotła lub snopek

łatwiej zapadały w pamięć, ale było coś jeszcze...

– Czytałam kiedyś, że pewien chłop widział, jak ze stodoły pewnego gospodarza wyleciał wrzecionowaty syczący ogień. A kiedy opowiedział o tym w karczmie, wszyscy zgodnie pokiwali głowami, że tak, że w tych rejonach rzeczywiście pojawia się *latalëca*. Możliwe, że wiara w nią zaczęła się od wirów powietrznych, które mogły rzeczywiście porywać zboże podczas siewu. Więcej nie pamiętam.

Pierwszy niespiesznie pokiwał głową. A ona, jak głupia uczennica, poczuła radość, że jest zadowolony z jej wypowiedzi.

– To jak to w końcu z nią jest? – zapytała, kiedy cisza zaczęła się przedłużać. – Która wersja jest prawdziwa?

– A czy któraś musi być?

– Zawsze jest jedna wersja.

– A jeżeli jest wiele odmian latawicy? Jeżeli granice między nimi są płynne? Jeżeli demonów nie można podzielić na gatunki jak zwierząt? Pies zawsze jest psem, a krowa krową. A czy upiór zawsze jest taki sam?

Magda mimowolnie potarła bliznę na ramieniu, gdzie ugryzł ją upiór w postaci niby bezbronnej staruszki. A ten bezgłowy stwór z długimi szponami, który zabił ją w świecie żywych?

– Tak przynajmniej było kiedyś – powiedziała. – Zanim ty się pojawiłeś.

– Czyżbym wprowadził trochę urozmaicenia do życia żniwiarzy wciąż tkwiących w stagnacji?

– Jeżeli tym urozmaiceniem jest brutalna śmierć, to tak. I możesz nie uśmiechać się tak głupkowato za każdym razem, kiedy wspominam o twoich zabójstwach? – zdenerwowała się.

– Wybacz, to jest silniejsze ode mnie.

Były chwile, kiedy patrzyła w jego czarne, głębokie oczy, widziała jego przystojną twarz, umięśnione ciało i choć na parę sekund zapominała, kim naprawdę był.

Morderca, kłamca, istota zła do głębi serca...

Lecz trudno jej było pamiętać o wszystkich jego zbrodniach, skoro to właśnie on uratował ją przed upiorem, poświęcając dla niej własne życie, a teraz uczył ją o Nawii i demonach.

Nie zapominaj ani nie ufaj – przykazała sobie. Dopóki jesteś dla niego użyteczna, będzie dla ciebie względnie miły, a potem znów spróbuje cię zabić.

Wstała z ziemi i otrzepała spodnie.

– Opuszczasz mnie już? – zapytał z zawodem.

– Na dziś mam już dość twojego towarzystwa – stwierdziła zgodnie z prawdą. – Daj znać, jak przyjdzie czas na upolowanie latawicy.

Powolnym krokiem ruszyła do domu Rosławy. Na czarnym niebie widziała szare smużki dymu unoszące się z kilku kominów. Kopała niewielką szyszkę, którą musiał upuścić tu jakiś ptak. Zza płotu zawarczał na nią pies. Gdzieś w kurniku obudził się kogut i zapiał głośno.

Powiodła wzrokiem po uśpionej osadzie. Nic nie zmieniało się tu od setek lat, tylko kolejni ludzie ginęli, a nie pojawiali się nowi, nie rodziły się dzieci, nikt się nie starzał. Nic nie szło naprzód. Jeżeli tak miało wyglądać niebo, to wołałaby nigdy nie umierać.

Do Nawii trafiali wszyscy, źli i dobrzy...

Źli i dobrzy, piekło i niebo... a wszystko to kiedyś przeminie.

Pchnęła drzwi, które skrzypnęły na zardzewiałych

zawiasach. Rosława westchnęła przez sen i przewróciła się na drugi bok. Magda przeszła na palcach po klepisku, ominęła duży stół i zamknęła się w swojej izbie. Nie potrzebowała świecy, żeby zobaczyć swój plecak leżący w kącie, stary siennik, taboret nadjezdzony przez korniki, drewniany nocnik, z którego wołała nie korzystać, i metalową miskę z obtłuczoną emalią, jakby żywcem wyjętą z czasów komuny.

Zdjęła buty, położyła się na sienniku i przykryła kocem. Wdychając zapach kurzu, słomy i wilgotnej wełny, zatęskniła za czystą pościelą i pachnącą pidżamą.

Wpatrując się w ciemne bale na suficie, przypomniała sobie mimikę Pierwszego podczas rozmowy. Znów coś ukrywał. Był miły, a coś takiego prawie nigdy mu się nie zdarzało. Często zachowywał pewną wiedzę tylko dla siebie, żeby mieć poczucie wyższości nad innymi, bo go to po prostu bawiło. Lecz tym razem chodziło o coś innego. Wiedziała to. I zamierzała się wkrótce dowiedzieć, czego jeszcze jej nie mówił.



Feliks uchylił drzwi i ostrożnie zajrzał do pokoju. Wanda wciąż spała. Rano Gauza odwiózł ich z baru do domu i od razu padła na łóżko – Waldemar dał jej chyba naprawdę mocne środki przeciwbólowe i nasenne. Żniwiarz delikatnie przykrył ją kocem, pogładził koniuszkami palców po policzku i wyszedł na korytarz. Do wczoraj miał wrażenie, jakby Wanda była niezniszczalna; tyle razy w ciągu ostatnich tygodni

ratowała go z najróżniejszych opresji, zawsze pojawiając się w odpowiednim miejscu, w odpowiedniej chwili. Jednak pomimo tego, że była znakomitym żniwiarzem, trzynasty księżyc nadwyreżył także jej siły. Dobrze, że skończyło się na niezbyt poważnych ranach. Niestety dziś w nocy żniwiarz będzie zdany sam na siebie.

Wszedł do kuchni i przegonił kota z blatu. Rudzielec prychnął na niego, po czym ruszył do salonu, gdzie najpewniej usadowi się na kanapie.

Feliks usiadł na krześle, oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. To wszystko go przerastało. Mógł tropić i zabijać demony, nie był jednak stworzony do walki z władcą zaświatów. Chyba nikt nie był. No, może Pierwszy, ale i on poległ, tak samo jak inni żniwiarze. Wojna wzdrygnął się. Gdy poprzedniej nocy Nija znów z niego zakpił, a później Feliks zobaczył ledwo stojącą na nogach Wandę, przestraszył się, że ponownie przybył za późno. Jego serce na chwilę przestało bić, gdy tylko pomyślał, że mógłby stracić przyjaciółkę, która była ostatnią osobą na ziemi potrafiącą go zrozumieć.



Konrad Gajewski, komendant policji w Wiatrołomie, przechylił kubek, ale nic w nim nie było. Z zaskoczeniem zajrzał do środka i zobaczył wyschnięte fusy. Nawet nie wiedział, w którym momencie wypił piątą tego dnia kawę. Skrzywił się – i tak była paskudna. Zastanowił się, czy zaparzyć sobie kolejną, ale zrezygnował. Jeszcze padnie na zawał, jak

przepowiadała jego żona. A może to by nie było aż tak źle? Na kilka minut pozwolił sobie odpłynąć w krainę marzeń. Jakby miał zawał, ale taki mniejszy, toby wywieźli go z Wiatrołomu do lepszego szpitala i mógłby spędzić tam kilka spokojnych dni. Nikt nie zawracałby mu głowy, nie musiałby się martwić klęską żywiołową ani morderstwami...

Przeczesał palcami rzadkie włosy. Na biurko posypał się łupież. Lokalny szmatławiec skończył roztrzasać kwestię satanistów i zaczął szukać mordercy wśród spokojnych mieszkańców, ale nie trzeba dużo czasu, żeby to jemu dobrali się do dupy. Nie miał nic, żadnych podejrzanych, a to już trzy zabójstwa! Od czterdziestu pięciu lat nie było tu żadnego morderstwa! I musiało trafić akurat na niego. Nie mogli poczekać parę lat, aż przejdzie na emeryturę?

Rozległo się pukanie do drzwi. Komendant przez kilka sekund miał ochotę nic nie odpowiadać i jak małe dziecko schować się pod biurkiem przed całym złem tego świata.

– Wejść – powiedział głośno.

Do gabinetu wmaszerował aspirant Czajka.

– Rozmawiałeś z tym patologiem? – zapytał od razu komendant.

W Wiatrołomie oczywiście nie było żadnego patologa, ale tego przysłali im aż z Gdańska. Nie żeby wyglądał na specjalistę w swoim fachu. Dobrze, że chociaż szpital miał prąd i facet nie musiał przeprowadzać sekcji przy świeczkach.

– Ofiara zmarła wskutek uderzenia tępym narzędziem w czaszkę.

Komendant wznosił oczy ku sufitowi. Tyle to i on

wiedział już w pierwszej chwili, kiedy tylko zobaczył zwłoki ze zmiążdżoną głową.

– Ale znaleźliśmy coś ciekawego na miejscu zbrodni.

Czajka położył na biurku mały srebrny przedmiot w strunowej torebce.

Komendant wziął do ręki zapalniczkę benzynową i obejrzał ją z każdej strony. A kiedy zobaczył grawer, zagwizdał cicho.

– No to mamy pierwszego podejrzanego – powiedział z satysfakcją. Może akurat tego dnia los się do niego uśmiechnął?

– Wezwać go na przesłuchanie?

Komendant zastanowił się, a potem pokręcił głową.

– Na razie to nam wystarczy, żeby go aresztować – odparł, machając w powietrzu torebką strunową. Wreszcie będzie mógł pochwalić się, że ma jakieś wyniki w sprawie morderstw. Jak się postarają, to na pewno powiążą go z innymi zabójstwami.

Komendant ponownie spojrzął na wygrawerowane imię i nazwisko. Wszyscy wiedzieli, że z tymi Wojnami było coś nie tak. A ten za sam wygląd powinien iść siedzieć. Od razu widać po nim, że to typ spod ciemnej gwiazdy.

– Tylko sprawdźcie jeszcze odciski palców – polecił, kiedy Czajka skierował się do drzwi. – Wszystko musi być załatwione podręcznikowo, wielu ludzi będzie patrzeć nam na ręce.

¢

Magda wstała wraz ze wschodem słońca i zajrzała do

obozowiska Pierwszego, ale go tam nie zastała. Powoli zaczynało ją drażnić to siedzenie w osadzie. Miała wrażenie, że czas przecieka jej przez palce, a ona nie jest ani odrobinę bliżej zabicia Niji ani powrotu do świata żywych. Odkąd tylko spotkała Pierwszego, miała wielką nadzieję, że wszystko się zmieni, ale wciąż kręciła się w kółko.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej denerwowała się na żniwiarza i na samą siebie. Żeby dać upust emocjom i nie nakrzyczeć na pierwszą osobę, jaka jej się napatoczy, uciekła do lasu, gdzie ćwiczyła strzelanie z łuku. Raz, gdy szukała strzały, która minęła cel, dostrzegła w krzakach coś czarnego. Ruszyła to zbadać, ale zwierzę czy demon uciekło. W drodze powrotnej zaś natknęła się na bażanta, który musiał być chyba głuchy, skoro jej nie usłyszał. Błyskawicznie nałożyła strzałę na cięciwę i strzeliła, a już chwilę później maszerowała w stronę osady z martwym ptakiem. Będzie mogła odwdziaczyć się Rosławie za gościnę.

Wieczorem jak zwykle wybrała się do obozowiska Pierwszego i rozpałała ogień, jednak żniwiarz się nie pojawił. Czekala na niego, aż księżyc wzniósł się wysoko ponad lasem, a potem z rezygnacją samotnie wróciła do domu.

Przez cały następny dzień towarzyszyła Władysławowi w obchodzie terenów należących do osady. Sprawdzili wilcze doły i z powrotem umieścili na wysokim słupie końską czaszkę chroniącą pola. Sznur, na którym uprzednio wisiała, wypłowiał i po prostu pękł.

– Mak? – zapytał Władysław, kiedy poprawili węglem magiczne symbole wyryte na kołkach wbitych w ziemię wokół pól.

– Mak działa na upiory i latające demony, szczególnie pod postacią ptaków – wyrecytowała.

– Co przeciw piorunom?

– Leszczyna.

– Demony powietrza?

– Okadzanie bylicą.

– Tylko?

– Jeszcze piołun, tojad, mięta, ruta...

– Na boginki?

– Krzyżowe ziele. Dziurawiec w ogóle jest bardzo przydatną rośliną w walce z demonami.

Z początku zdziwiło ją, że jedna roślina może mieć tak wiele właściwości antydemonicznych, ale przecież tak samo było z ziołami i chorobami oraz urazami. Na przykład taki dziurawiec pomagał na oparzenia, nerwobóle, problemy skórne, a nawet trądzik!

– Bagno?

– Odurza niektóre demony.

Władysław z zadowoleniem pokiwał głową. Dla Magdy niezwykle było to, że Feliks od lat używał suszonego bagna przeciw spaleńcom, ale nigdy nie wspominał, jakie ma ono właściwości. Może sam nie wiedział?

Odkąd powiedziała przywódcy osady, że chce nauczyć się od nich tak wiele, jak tylko zdoła, nieraz wybrali się już na taki spacer, podczas którego Władysław pokazywał jej różne rośliny, opowiadał o ich właściwościach, a potem ją przepytował.

Kiedy zakończyli obchód, Magda spróbowała wypytać go o nieumarłych, ale mężczyzna nabrał nagle wody w usta. Denerwowało ją, że ta kwestia była owiana taką tajemnicą.

Kolację zjadła u Władysława i znów udała się do

obozowiska Pierwszego.

Noc stała się ciemna i pochmurna, gwiazdy zniknęły z nieba i tylko gdzieś w oddali słychać było pohukiwanie sowy, która bardzo szybko umilkła. W jej miejsce pojawił się zaś bardzo niepokojący skowyt. Magda tak na wszelki wypadek nałożyła cięciwę na łuk, upewniła się, że miała przy pasie nóż. Znała dobrze zwykłe odgłosy lasu z zaświatów, a ten dźwięk do nich nie należał.

Zawodzenie powtórzyło się. Demon wyszedł na żer. Czy słusznie pokładała wiarę w moc zabezpieczeń ludzi Władysława? Po plecach przeszły jej ciarki. Delikatnie rozgrzebała ognisko, żeby nie dawało aż tyle światła. Po kieszeniach miała pochowane suszone zioła, Rosława zaszyła w jej bluzie kawałek szakłaku, twierdząc, że to najlepszy talizman. Magda pogładziła włosy, zaskakująco puszyste jak na to, że zostały umyte w korzeniu mydlnicy. Brakowało jej wianka, który zrobiła wraz z Żywią. Nie podnosząc się, przeczołgała się między wysokimi trawami, byle dalej od ogniska. Kiedy była pewna, że ogień jej nie oświetli, wyprostowała się i wpatrzyła w ciemną granicę lasu. Słyszała trzaski gałęzi i ochryple zawodzenie, ale nic nie widziała. Demon najwyraźniej bał się opuścić bezpieczny cień lub po prostu nie mógł przekroczyć granicy między lasem a ziemią ludzi.

Magda stała w gotowości, nasłuchując i wypatrując stwora, ale ten w końcu zrezygnował i odszedł. Nastąpiła dzwoniąca w uszach cisza, która była jeszcze bardziej niepokojąca. Nagle w zupełnie innym miejscu zamrugały czerwone ślepie, ale i one szybko zniknęły.

Dziewczyna wróciła do dogasającego ogniska,

zawinęła się w koc i położyła, wciąż nasłuchując. Obudziła się cała zmarznięta i mokra od rosy. Słońce świeciło wysoko nad lasem, odbijając się w kroplach wiszących na pajęczynach w trawach. Magda przetarła wilgotną twarz i otworzyła oczy.

– Nie mów, że aż tak tęskniłaś za mną, że spałaś na moim miejscu – odezwał się Pierwszy, siedzący po przeciwnej stronie ogniska.

Nie do końca obudzona, rozejrzała się błędnym wzrokiem.

– Coś hałasowało w lesie – powiedziała, ziewając. – Nasłuchiwałam tego, a potem usnęłam.

– Żniwiarz jak zawsze czujny – rzucił ironicznie.

– Gdzie byłeś? – naskoczyła na niego.

– Skarbie, może najpierw śniadanie?

– Gdzie byłeś i co robiłeś? – wycedziła. – Mogłeś mnie uprzedzić, że znikniesz na tak długi czas.

– Czyżbyś się martwiła?

– Tak, że zostawisz mnie samą w walce przeciw Niji.

– Nie śmiałbym.

Magda przyjrzała mu się. Nie wyglądał najlepiej, był blady i miał podkrążone oczy, a jego ubrania wręcz błagały o porządne pranie.

– Jesteś ranny? – zapytała, widząc plamy krwi na rękawie.

Jakby z zaskoczeniem spojrzął na własne przedramię.

– To? Nic takiego. – Machnął ręką, po czym skrzywił się nieznacznie.

– Pokaż – rozkazała.

Przysiadła się do niego i wcale nie starając się być delikatna, podwinęła rękaw. Na przedramieniu znajdowała się brzydka, poszarpana rana. Nie była zbyt

głęboka, ale na pewno wymagała opatrunku.

– Poczekaj tu – rzuciła.

Szybkim krokiem skierowała się do osady. Znalazła Rosławę pracującą w ogródku warzywnym. Kiedy poprosiła ją o coś na rany, musiała wysłuchać całej tyrady o tym, że Pierwszemu nic się nie należy, a poza tym „pies mu mordę lizał”, po czym dała jej odrobinę krwistoczerwonego oleju z dziurawca i kawałek w miarę czystej szmatki. Magda przemyła ranę Pierwszego, nasączyła materiał olejem, który przyspieszał gojenie, owinęła przedramię, a potem delikatnie zacisnęła dłoń wokół prowizorycznego bandaża.

– Gdzie byłeś? – zapytała, powoli zwiększając nacisk.

– Nigdy się nie ożeniłem, właśnie żeby nie słyszeć takich pytań z samego rana. I to jeszcze przed śniadaniem!

– Szukałeś nieumarłych – stwierdziła, uważnie obserwując jego reakcję.

Jego twarz pozostała nieruchoma, niczym z kamienia.

– Wiedziałam.

Z czystej złośliwości ścisnęła mocniej, wywołując u niego syknięcie bólu, po czym puściła jego rękę i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Dowiem się, gdzie są te pustki, i sama odnajdę nieumarłych – orzekła.

– Zabraniam ci. – Poderwał się.

Wybuchnęła sztucznym śmiechem.

– Jesteś ostatnią osobą, która może mi czegokolwiek zabraniać.

– Magda, wysłuchaj mnie. – Stał tuż przed nią, a następnie delikatnie złapał ją za oba łokcie. – Przyznaję, że nie wiedziałem, czym są ci nieumarli.

Dlatego poszedłem tam sam.

– Jasne – burknęła, wyrywając się.

– Proszę, uwierz mi choć ten jeden raz. Musiałem się przekonać, czym są.

Skrzyżowała ramiona na piersi i uniosła jedną brew.

– To są demony na wzór upiorów – kontynuował. – Bestie są tak dzikie i krwiożercze... – Spuścił wzrok.

Próbuj dalej, coraz mniej ci wierzę.

– Ale jak się upierasz, to możemy tam pójść. – Podniósł głowę i uśmiechnął się drwiąco jak zawsze. – Najwyżej stracimy cenny czas, który powinniśmy poświęcić na zabicie latawicy.

– Kogo?

– Namierzyłem latawicę i dziś wieczorem idę ją upolować. Dołączysz?

Z ociąganiem skinęła głową.

– Tylko załatw mi dwa kamionkowe garnki z naparem z wonieja, stulika i lastowicznika.

– Że co?

– Rosława będzie wiedziała – westchnął, jakby znużyła go jej ignorancja. – Napar działa na latawce i na latawice. Tak na przyszłość: żeby się przed nimi chronić, warto sięgnąć też po czosnek i okadzanie dymem z palonego suchego łajna świńskiego.

A więc kolejna zagwozdzka rozwiązana. Magda sięgnęła po swoje rzeczy i odeszła, a w głowie szumiało jej od najróżniejszych myśli.

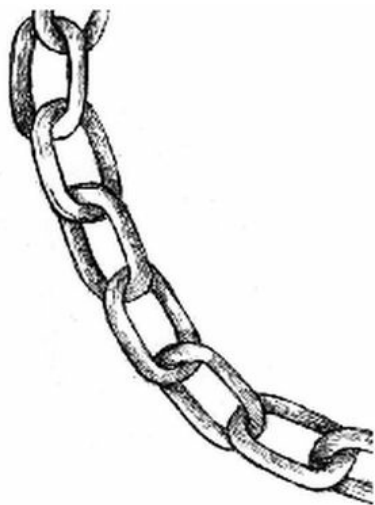
¢

Pierwszy z satysfakcją odkrył, że Magda zostawiła dla

niego kawałek pieczonego bażanta. Ręka bolała go jak diabli, ale warto było się poświęcić. To, czego się dowiedział, okazało się nad wyraz interesujące. Świat umarłych potrafił go jeszcze zaskoczyć. Ale wszystko jak zwykle powoli układało się po jego myśli. Uwielbiał być sobą.

Zastanawiał się jedynie, do którego typu ludzi należała Magda – czy jest już na tyle dojrzała, żeby nie sprzeciwić się jego wyraźnemu i całkiem sensownemu zakazowi, czy z kolei znów zachowa się jak dzieciak i zrobi mu na przekór w pierwszej możliwej chwili?

Rozdział 18



Zanim zaszło słońce, Magda i Pierwszy ukryli się w wysokiej pszenicy na polu najbardziej odległym od osady, tuż przy dwóch krzyżujących się wąskich drózkach. Zapowiadał się ciepły i pogodny wieczór. Nie mieli ze sobą broni, tylko dwa garnki z naparem. Stulik okazał się zwykłym nagietkiem, ale pozostałych dwóch składników dziewczyna nie знаła.

– Dość trudno było ją namierzyć – odezwał się zniwiarz. – Większość demonów jest teraz zainteresowanych przedostaniem się do świata żywych. Zazwyczaj w Nawii aż się od nich roi. Na szczęście dzięki trzynastemu księżycowi mamy ułatwione zadanie.

Serce Magdy struchlało. Tak łatwo było jej zapomnieć, że istnieje jeszcze świat żywych. Wiedziała, że musi się stąd wydostać, pomóc Feliksowi, uratować rodzinę, ale z każdym dniem miała wrażenie, że coraz bardziej należy do tego świata. Powoli Nawia stawała się jej domem. A potem słyszała taką uwagę lekko wygłoszoną przez Pierwszego i znów ogarniał ją strach o bliskich. Minęły długie miesiące, odkąd zginęła. W świecie żywych może być już jesień, a nawet zima. Jak przetrwali? Kto jeszcze zginął? Czy rodzice są bezpieczni?

Mocno zacisnęła pięści, skupiając się na swoim tu i teraz. Do niczego się nie przyda, jeżeli podczas polowania będzie roztrząsać rzeczy, na które w tej chwili nie miała wpływu.

Rozluźniony Pierwszy skubał gruby kłos. On mógłby stanąć oko w oko ze śmiercią, a pewnie nadal wyglądałby, jakby był na pikniku.

– Czy jest możliwe, że kiedyś latawica rzeczywiście była duchem opiekuńczym? Albo po prostu demonem wiatru, nieszkodzącym nikomu? – zagadnęła.

Żniwiarz przytaknął, przeżuwając ziarno.

– Ty pamiętasz te czasy?

– Nie ja jeden. – Skierował wzrok w kierunku odległej osady.

– Oni wszyscy...?

Pokręcił głową.

– Coś mam wrażenie, że Władysław zna przepis na proch strzelniczy, tylko nie chce się przyznać.

– Jak długo po nadejściu nowej wiary ludzie kultywowali starą? – zastanowiła się na głos. – W świecie żywych, bo skoro Władysław pochodzi z tak bliskich nam czasów...

– Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek naprawdę przestali. Wtedy nie byłoby nas.

– Wciąż żyją według zasady: Panu Bogu świecę, diabłu ogarek...

Magda przypomniała sobie pewien obrazek z Wiatrołomu. Młoda matka pochodząca z rodziny, która nie uznawała istnienia demonów i dla której zabobony były objawem ciemnoty, pchała wózek z niemowlakiem. Nie byłoby w tym nic zastanawiającego, gdyby nie czerwona wstążka, według dawnych wierzeń mająca chronić przed urokiem lub porwaniem maleństwa przez demony, oraz wiszący na niej medalik ze świętym Krzysztofem.

– A ta latawica, na którą teraz czekamy? Jaka jest?

– Ta akurat jest ognistym wirem.

– Dlaczego? Dlaczego duch wiatru jest złym demonem? Przecież w pogańskich zaświatach powinien

być taki, w jakiego kiedyś wierzyli ludzie. Skąd chrześcijańskie wpływy?

– A dlaczego ludzie w Nawii giną?

Sapnęła ze zniecierpliwieniem. Oczywiście, że nie mógł odpowiedzieć wprost.

– Bo nikt ich nie pamięta – odparła.

– Dlaczego duch stał się demonem?

– Bo nowa wiara zamieniła go w diabła.

– Skoro demony wychodzą z Nawii do świata żywych i mają na niego wpływ, to dlaczego żyjący ludzie nie mogliby mieć wpływu na zaświaty?

– Ale oni nawet w te zaświaty nie wierzą!

– W demony też nie wierzą, a co noc giną w ich szponach.

To wszystko było zbyt pokręcone, żeby tak od razu to ogarnąć. Wychodziło na to, że wiara była dużo bardziej płynna, a jej granice bardziej rozmyte, niż Magda kiedykolwiek mogłaby przypuszczać.

– Jak tam twój egzorcyzm? – zapytał ni z tego, ni z owego Pierwszy.

– Ten po łacinie? Normalnie... – Wzruszyła ramionami.

– Pamiętasz go?

– Obudzona w środku nocy wyrecytuję ci go bez jednego zająknięcia.

– Dobrze. – Skinął głową. – Tym ją załatwisz.

– Może więcej szczegółów?

– Złapiesz ją, powiesz egzorcyzm i zamkniesz w garnku z naparem.

Spojrzała na swoje dłonie, zgięła i rozprostowała palce. Czułaby się pewniej, gdyby miała na nich sznur wisielca.

– Nie potrzebujesz go – powiedział Pierwszy, jakby odgadł jej myśli. – Nie ty. Spójrz. – Uniósł głowę i zapatrzył się w ciemne, rozgwieżdżone niebo.

Magda podążyła za jego wzrokiem. Z początku nie wiedziała, czego ma szukać, ale już po chwili ujrzała spadającą gwiazdę. Sekunda mijała za sekundą, a gwiazda nie zniknęła tak, jak powinna. Wręcz przeciwnie, jaśniała coraz bardziej i zbliżała się do ziemi. Dziewczyna drgnęła niepewnie.

– Nie ruszaj się – syknął Pierwszy.

Okazało się, że to wcale nie była spadająca gwiazda, tylko wielki wrzecionowaty ogień. Z głośnym huczeniem przeleciał nad polami. Wyglądał jak pozioma płonąca trąba powietrzna. Kiedy znalazła się tuż nad nimi, Pierwszy chlusnął wprost na nią naparem.

Ogień zasyczał i wylądował na skrzyżowaniu drózek, przybierając postać dużego, czarnego ptaka. Najwyraźniej nieco otumaniony po niespodziewanym prysznicu, potrząsał głową i rozpostarł skrzydła, krzesząc iskry.

– Łap go – poleciał Pierwszy.

Magda zerwała się z ziemi i zanim ptaszysko zorientowało się, co się działo, zacisnęła palce na jego chudej szyi. Czarne pióra były wyjątkowo gładkie i bardzo ciepłe.

– *Exorcizámos te ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas...* – zaczęła dziewczyna, a z każdym kolejnym słowem demon stawał się coraz gorętszy.

Mówiła dalej, a ptak bił wielkimi skrzydłami; wokół tryskały iskry.

– Nie przestawaj! – krzyknął Pierwszy.

Czuła, że jeszcze chwila, a na dłoni zaczną

wyskakiwać jej bąble. Jej włosy powiewały od gorących podmuchów, zboże falowało, nad drogą wzniósł się pył.

– *Recéde ergo in nómine Patris et Fílii, et Spíritus Sancti!*

Demon zaczął się kurczyć. Wkrótce był nie większy od gołębia i naprawdę gorący.

Pierwszy podbiegł do Magdy z drugim garnkiem z naparem.

– Wrzuć go tu!

Od razu wykonała polecenie. Cała dłoń ją piekła, podmuchała na nią, ale niewiele to pomogło. Przyłożyła ją do chłodnego garnka, zerkając do środka. Na dnie żarzył się węgielek mniejszy niż pięść.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że on będzie parzył?! – wybuchła.

– Nie powiedziałem? – zdziwił się Pierwszy. – Najwyraźniej zapomniałem.

Miała ochotę mu przyłożyć, ale nagle poklepał ją po łopacie.

– Dobrze się spisałaś. Możesz iść odpocząć. Ale przyjdź z samego rana, będziesz miała kolejne zadanie.

– Zdobę nową odznakę skauta? – burknęła pod nosem.

– Coś lepszego.



– Dziękuję, nie trzeba było. – Uśmiechnęła się Maja, przyjmując wielki bukiet kwiatów. – Jest przepiękny. – Podała go Tomkowi, żeby wstawił go do wazonu.

– Ja myślę, jechaliśmy po niego ponad trzydzieści

kilometrów – burknął Adrian.

– Jak się czujesz? – zapytał Sebastian.

– W porządku, jutro powinni mnie już wypisać.

Jednak nie wyglądała za dobrze. Na jej twarzy wciąż widniały ślady podrapań, spod koszuli nocnej przebijały siniaki na szyi i ramionach, cała noga była w gipsie, a nadgarstek zabandażowany.

– Jakbyś czegoś potrzebowała, dawaj znać.

– Dzięki, ale Tomek o mnie dba.

Bliźniacy wymienili spojrzenia. Niby taki chudy, niby bić się nie umie, a jakimś cudem zdobył dziewczynę.

– Jak wróci prąd, to otworzymy bar, ale ty nie musisz się spieszyć, weź tyle wolnego, ile potrzebujesz – zapewnił Adrian.

– Taa, Tomek sobie poradzi. – Sebastian klepnął barmana w łopatkę tak mocno, że ten pochylił się do przodu.

– I kotem też się nie martw. Tośka o niego dba.

– Jesteście najlepszymi szefami na świecie – zapewniła.

– A jakbyś kiedykolwiek chciała pogadać o... o tym... no wiesz... wypadku...

Dziewczyna niespodziewanie spoważniała.

– Ja wiem, to było głupie – powiedziała. – Nie wiem, po co szwendałam się po lesie. Muszę być chyba ślepa, skoro wpadłam do tego dołu. Dobrze, że mnie znaleźliście.

Bracia spojrzeli na Tomka, który wzruszył ramionami w geście: „a co ja mogę powiedzieć?”. Niedługo potem się pożegnali i opuścili szpital.

– Ty, ona tak gadała, bo jakiś lekarz mógł podsłuchiwać czy bo...? – zaczął Adrian.

– Bo jest w takim szoku, że prawie nic nie pamięta? – dokończył Sebastian. – Nie mam pojęcia. W razie czego to Tomek będzie jej wszystko tłumaczył, nie my.

Wsiedli do samochodu i ruszyli prosto do baru. Musieli sprawdzić, czy wszystko tam w porządku i czy ten szurnięty doktor nie obalił już całego barku. Po wczorajszej sromotnej klęsce w pokera okazało się, że będą go pić chyba do końca życia.

– Co jest? – zdziwił się Adrian, widząc dwa radiowozy pod ich przybytkiem.

Sebastian stłumił chęć pojechania dalej. Ale przecież kroczyli po ścieżce uczciwości, byli praworządnyimi obywatelami, a tacy nie powinni bać się policji, tak przynajmniej wydawało się bliźniakom.

Spokojnie zaparkowali samochód i pewnie weszli do baru, lecz widok ziścił ich najgorsze obawy. Błada babcia siedziała przy stoliku wraz z dwoma policjantami. Kolejnych dwóch stało przy barze, Gauza podawał im właśnie herbatę. W rogu sali siedział Waldemar i sprawiał wrażenie, jakby chciał stopić się ze ścianą. Dobrze, że chociaż Feliks i Wanda zdążyli już dawno temu wrócić do domu.

Gdy tylko skrzypnęły zamykane drzwi, wszystkie oczy zwróciły się na braci.

– Co się dzieje? – zapytał Adrian.

– Panowie są tu, bo... – zaczęła Janina, ale głos uwiązł jej w gardle.

Dwóch policjantów zerwało się z krzesel, pozostała dwójka odłożyła na ladę filiżanki.

– Sebastian Wojna? – zapytał jeden z nich.

W Sebastianie mieszały się dwa sprzeczne uczucia. Wszystko mówiło mu, wręcz wrzeszczało, żeby

obezwładnił najbliższego psa i uciekał. *Nie mają za co mnie aresztować!* – musiał w myślach nakrzyczeć na samego siebie, żeby przytrzymać własne stopy w jednym miejscu. Teraz naprawdę był uczciwym człowiekiem i nawet nie przeszło mu przez myśl, że mogą chcieć go aresztować za jakieś dawne przewinienia.

– O co chodzi? – zapytał.

– Jest pan aresztowany z zabójstwo Jana Nowaka – powiedział grobowym tonem policjant. Im bliżej był Sebastiana, tym bardziej dostrzegalna była różnica w ich wzroście i masie.

– Że co?

– Zabójstwo Jana Nowaka – powtórzył mniej pewnym tonem.

– A kto to, kur... de, jest?!

– Jeżeli będzie pan stawiał opór, będziemy zmuszeni zastosować środki bezpośredniego przymusu... – dodał drugi policjant, prawie chowając się za plecami kolegi.

– Sebastianek, bądź grzeczny – odezwała się Janina. – To na pewno jakieś okropne nieporozumienie. Panowie zabiorą cię na posterunek, tam wszystko się wyjaśni i zanim się obejrzysz, wyjdiesz wolny.

Jednak Sebastian wiedział, jak działa prawo. Tacy jak on nigdy nie wychodzą wolni, zawsze jest coś, za co można ich skazać. Mimo wszystko wysunął nadgarstki w stronę policjantów.

– Niech panowie robią, co muszą – powiedział.

– Musimy najpierw pana przeszukać – powiedział ostrożnie jeden z mundurowych.

– No tak, logiczne. Proszę bardzo. – Sebastian odwrócił się do ściany i oparł na niej dłonie. Cieszył się,

że do szpitala nie uzbroił się w maczetę albo coś jeszcze gorszego.

Pozwolił się przeszukać, potem zakuć i wsadzić do radiowozu. A gdy spojrzął przez szybę na brata, widział po jego minie, że tak samo uważa, że to było beznadziejne posunięcie. Cholera wie, kim był ten Nowak. Sebastian wciąż gorączkowo przeszukiwał pamięć. Może kiedyś pobił kogoś, a ten później zszedł? Albo ktoś się mścił diabli wiedzą za co?

Rok temu w takiej chwili od razu by uciekł. Ba, nawet by nie dopuścił do takiej sytuacji. Jednak teraz był innym człowiekiem. Miał rodzinę, o którą musiał się martwić. Co prawda wcześniej też miał, ale brat zawsze był w tym samym bagnie, a babcia nic nie wiedziała. Zresztą była uroczą staruszką, na którą nigdy nie padał nawet cień podejrzenia.

Lecz tu, w Wiatrołomie, byli ludzie, którzy na nim polegali. Musiał zachować się porządnie.



Magda niewiele spała tej nocy. Bolała ją ręka; na szczęście rano Rosława zrobiła jej okład z żywokostu. Przy okazji opieprzyła ją za łapanie latawicy gołymi rękoma.

– Skąd mogłam wiedzieć, że będzie parzyć? – broniła się dziewczyna.

– Przecież to ognisty demon! Czego się spodziewałaś?!

Gospodyni wcisnęła w nią śniadanie i Magda poszła do obozowiska Pierwszego. Żniwiarz wręczył jej złoty kolczyk.

- I co niby mam z tym zrobić? – zapytała.
- Podarujesz temu ich kłobukowi.
- Po co? – Potrząsnęła nim, patrząc, jak odbijają się w nim promienie słońca.
- Poprosisz go, żeby dał ci swoje pióra na lotki do strzał.
- Jak mam go niby poprosić? – oburzyła się.
- Normalnie: „Daj mi, proszę, pióra”.
- Nabijasz się ze mnie. – Wzięła się pod boki.
- Ja? – Uderzył się pięścią w pierś. – Gdzieżbym śmiał...

Obróciła kolczyk w palcach.

- Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć? Żeby nie było tak jak wczoraj.

Pomachała mu przed nosem zabandażowaną dłońią.

- Poradzisz sobie. Zwab go kaszą jaglaną. A jak już będziesz miała pióra, pójdziesz z tym do kowala. – Przesunął w jej stronę garnek, na którego dnie wciąż tkwiła latawica. – On będzie wiedział, co z tym robić.

Magda wróciła do osady. Nie zastała Rosławy w domu, więc mając nadzieję, że gospodyni się nie pogniewa, odszukała w jej zapasach kaszę jaglaną i ugotowała garść na ogniu. Potem ustawiła miseczkę z parującą jeszcze kaszą w tym samym miejscu, w którym ostatnio zostawiła jajecznicę, i położyła się na trawie kilka metrów dalej.

Przysnęła na chwilę, a kiedy się obudziła, kłobuk właśnie kończył jeść. Usiadła gwałtownie, a demon łypnął na nią okiem. Ostrożnie przysunęła się do niego. Mając nadzieję, że nikt jej nie widzi, a tym bardziej nie słyszy, wyjęła z kieszeni kolczyk.

- Mam coś dla ciebie – powiedziała. Pomachała

błyskotką, od razu zyskując pełną uwagę nawiego. –
Podoba ci się? Będziesz mógł go wziąć.

Kłobuk przekręcał głowę, zerkając na nią raz jednym,
raz drugim okiem.

– Potrzebuję tylko kilku twoich piór.

Wyglądał, jakby wcale jej nie rozumiał.

– Proszę? – dodała.

Przestąpił z łapy na łapę. Magda położyła kolczyk
przed nim, modląc się, żeby go nie zwinął i nie uciekł.

W końcu demon sięgnął dziobem do swojego skrzydła
i zaczął wyskubywać z niego pióra. Nie wyglądał przy
tym na zachwyconego, ale najwyraźniej chciał się
poświęcić, żeby zyskać nową błyskotkę.

Kilka minut później Magda wzięła do ręki kilkanaście
pięknych, czarnych piór, które na kłobuku wyglądały
przecież paskudnie, a demon sięgnął dziobem po
kolczyk i odmaszerował chwiejnym krokiem.

– Mam nadzieję, że pióra ci odrastają! – zawołała za
nim.



Wszyscy patrzyli na odjeżdżający radiowóz.

– A teraz: czy raczysz mi wytłumaczyć, o co tu, do
diabła, chodziło?! – wybuchnęła Janina.

Adrian wciąż miał wielkie oczy.

– Nie mam pojęcia...

– Kim, do cholery, był Jan Nowak?!

– W życiu o facecie nie słyszałem... Co babcia robi? –
zapytał, kiedy staruszka wyjęła telefon z torebki.

– Dzwonię do Feliksa – ofuknęła go. – Jeżeli trzeba

dokładniej zakopać trupa, to właśnie to zrobimy. A ty będziesz siedział tu na tył... Jan Nowak, mówi ci to coś? – zapytała, kiedy żniwiarz odebrał telefon.

– Nie, co to za koleś?

– Jeżeli to jakaś kretyńska zmowa milczenia, to najwyższa pora ją przerwać!

– Janina, opanuj się, o co chodzi?

– Właśnie aresztowano Sebastiana za zabójstwo – rzuciła grobowym tonem.

– Zabójstwo kogo?

– Jana Nowaka! Jesteś żniwiarzem! Dlaczego więc zachowujesz się jak półgłówek?!

W słuchawce zaległa cisza.

– Nie kojarzę nikogo takiego – odezwał się po chwili. – Nie wiem, co twoi wnukowie robią w wolnym czasie, ale...

– Dobrze, mniejsza z tym, porozmawiamy w domu – rzuciła i się rozłączyła.

Kiedy wstawiała z krzesła, przywodziła na myśl ruch płyt tektonicznych. Powolny, ale nieuchronny i przede wszystkim niszczyielski. Podeszła do Adriana, który usiłował stać się mniejszy, niż w rzeczywistości był.

– Czy. Zabiliście. Jana. Nowaka. – Każde słowo wycedziła przez zęby niczym osobne zdanie.

– Nie, nie mam pojęcia, o kogo chodzi – powiedział cienkim głosem.

– Wiesz, że jeżeli kłamiesz, to babci będzie bardzo przykro?

Skwapliwie pokiwał głową.

Janina odwróciła się od niego i spojrzała na ludzi, których zesłał jej los. Lekarz alkoholik i nauczyciel schizofrenik. Cóż, mogło być gorzej.

– Musimy dowiedzieć się, kim był denat oraz dlaczego ktokolwiek powiązał jego śmierć z Sebastianem – powiedziała.

Nikt nawet nie drgnął.

– No już! – huknęła. – Przydajcie się do czegoś!

¢

Magda w skupieniu obserwowała, jak kowal coraz delikatniejszymi uderzeniami młotka nadaje grotowi kształt. Kiedy skończył, rzucił swoje małe dzieło dziewczynie.

– I jak? – zapytał.

Ostrożnie dotknęła opuszką palca ostrego końca i uśmiechnęła się do mężczyzny. Co prawda nie знаła się na tym, ale jej zdaniem był to kawał dobrej roboty.

Osadziła grot na promieniu, a potem zabrała się do lotek, wykorzystując pióra zdobyte niedawno na kaczkach. Kiedy nowe strzały zapełniły kołczan, skinęła głową kowalowi. Ich współpraca ułożyła się całkiem nieźle. Pora przygotować to, po co tak naprawdę tu była. Sięgnęła trzy czarne brzechwy wykonane z kija boginki oraz po lotki z piór kłobuka. Mężczyzna zaś wyjął szczypcami węgielek z latawicy z kamionkowego garnka. Kiedy ułożył go na palenisku, ten zapłonął jasnym ogniem, którym zajęły się pozostałe węgle. Na nim właśnie kowal przetopił kawałek łańcucha zwiada i zrobił trzy ostre groty.

Było coś uspokajającego w ich pracy. Magda z namaszczeniem nasmarowała kawałek promienia strzały klejem kostnym i przykleiła do niego lotki, po

czym zaczęła ostrożnie owijać je lnianą nicią. Ta broń miała jej pomóc w pokonaniu Niji; wreszcie posunęła się do przodu. Była już coraz bliżej swojego celu.

Drzwi od kuźni były otwarte, wlewało się przez nie wilgotne, świeże powietrze. Po południu zaczął siąpić deszcz, ale od paleniska promieniowało przyjemnym ciepłem.

Późnym popołudniem Magda opuściła kuźnię i ruszyła do domu Rosławy. Ziemia rozmiękła od deszczu, wszędzie pojawiło się błoto. Mimo tego, że było chłodno, dziewczyna zdjęła kaptur i chłonęła wzrokiem znajome widoki. Chciała wyryć w pamięci obraz spokojnej osady, każdy jej szczegół. To było ważne, musiała pamiętać, że świat to nie tylko Wiatrołom i że nic nie było czarno-białe.

– Zapraszam na kufelek wina – usłyszała.

Władysław stał na progu swojej chaty. Magda wahała się tylko przez chwilę. Już nigdy nie planowała tutaj wracać, nieważne, czy ich misja się powiedzie, czy nie. Powinna przyzwoicie pożegnać się z człowiekiem, który jej zaufał, choć nie miał ku temu praktycznie żadnego powodu.

– Zatem jutro wyruszacie? – zagadnął, nalewając to swoje rozcieńczone wino do dwóch, o dziwo całkiem współczesnych, kubków. – Mogę? – Wyciągnął rękę w stronę kołczanu.

Magda wyjęła jedną strzałę z czarnymi lotkami i mu podała.

– Jest w niej wielka moc – powiedział.

– Mam taką nadzieję.

– Niech łuk Żywii dobrze ci służy.

– Dziękuję.

Wypili po łyku wina w ciszy. Mocniejszy deszcz zaczął bębnić w dach kryty gontem.

– Jesteś pewna, że on cię nie zdradzi? – zapytał gospodarz. – Ufasz mu?

– Byłabym naprawdę głupia, gdybym mu ufała. Zbyt długo go znam. Ale wierzę, że wspólne interesy łączą nas bardziej niż jakakolwiek lojalność.

Władysław pokiwał głową, oddając jej strzałę.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.



Magda wstała jeszcze przed świtem. I tak nie mogła przez większość nocy spać, a teraz tylko przewracała się z boku na bok. Ubrała się, spakowała swoje rzeczy i przeszła do głównej izby. Rosława była już na nogach.

– Trzymaj, dziecko. – Wręczyła jej pakunek z prowiantem.

– Dziękuję za gościnę. – Magda, ku jej wyraźnemu zaskoczeniu, uściskała ją.

– I nie daj się zabić, bo tym razem to będzie już koniec.

– Wiem. Do widzenia.

Opuściła chatę z dziwnie lekkim sercem. Na zewnątrz panowała poranna szarówka. Nikt więcej już jej nie żegnał i miała wrażenie, że większość mieszkańców osady, szczególnie ci, którzy unikali jakichkolwiek kontaktów z nią, byli szczęśliwi, że w końcu ich opuszczała. Żniwiarze budzili w nich same złe skojarzenia.

Gdy dotarła do obozowiska, zza lasu wystrzeliły

pierwsze promienie słoneczne.

– Gotowa? – zapytał Pierwszy, zamykając swój plecak.

Skinęła głową, po czym po raz ostatni obejrzała się na osadę, pewna, że już nigdy do niej nie zawita. W końcu ruszyli w stronę pustkowi.

– Martwi mnie, że nadal nie mamy trucizny – odezwała się po drodze Magda. – W świecie żywych była dla ciebie taka ważna, a tutaj co? Może w ogóle jej nie potrzebujemy?

– Potrzebujemy – odparł, nawet na nią nie patrząc.

– Ale tak długo zajęło nam przygotowanie jej! A nie mamy czasu, żeby zmarnować kolejne miesiące!

– Aż tak ci się spieszy do świata żywych? – Obejrzał się na nią.

– A tobie nie? A nawet jeśli to jest niemożliwe, to choć pokonajmy szybko tego Niję, żeby...

– Żeby nie zabił twojego Feliksa? Zapewniam cię, że nie musisz się o niego martwić. Twój wujek ma więcej szczęścia niż rozumu. My oboje w ciągu ostatniego roku zdążyliśmy zginąć już dwa razy, a on jakoś nie dał się zabić.

Magda wzięła butelkę z wodą i napiła się. Coś było w tym, co mówił Pierwszy. Nieważne, z jakich przyczyn, ale nie tak łatwo było zabić Feliksa. Poczwała dumę z krewnego.

– Ale możesz się martwić o innych – odezwał się żniwiarz.

Zakręciła butelkę i spojrzała na niego pytająco.

– Nie wszyscy z twojej rodzinki mają takie szczęście głupiego. Pewnie już niejeden padł.

Magda zerwała wysoką trawę i zaczęła ją skubać palcami, próbując się uspokoić. Pierwszy właśnie taki

był. Rozmawiał z nią jak równy z równym, a chwilę potem wbijał jej szpilę. A ona przyłapywała się na tym, że zaczyna mu ufać, choć przecież obiecała sobie, że nigdy już tego nie robi.

Zawsze spodziewaj się, że wykręci ci jakiś numer – upomniała siebie. Najwyżej pozytywnie cię zaskoczy.

– Co wiesz o mamonie? – zapytał konwersacyjnym tonem, jakby chciał wymazać ostatnie minuty ich rozmowy.

– Porywa dzieci, jest ruda i ma wielki biust – wyrecytowała jednym tchem i zerknęła na niego kątem oka. – Od niemowlaka miała ją odstraszać czerwona wstążka przywiązana do łóżeczka.

Pokręcił głową.

– Mamon, nie mamuna.

Wysiliła pamięć. Kiedyś o nim czytała, ale to było tak dawno temu...

– Było tam coś chyba o błędnych ognikach na Śląsku, wodzących ludzi na bezdroża...

– I co jeszcze? – zachęcił.

– Gdzieś indziej z kolei to był demon, który warował przy zakopanych skarbach. W zamian za duszę człowieka strzegł jego bogactwa.

– A skoro wierzenia są płynne, w głowach ludzi powstał między innymi stwór, który strzeże skarbów, a żeby pozbyć się wszelkich intruzów, tworzy diable ślepiea, czyli błękitne ogniki, które odwracają uwagę od bogactwa i sprowadzają podróżnych na manowce.

– No dobra, i co z tym demonem? – zapytała.

– Przydałaby nam się skóra z niego.

– Po co?

– Żeby ukryć się przed potworami na pustkowiach.

– Czyli że ma działać jak wianek?

– Lepiej.

Magda wyrzuciła reszkę trawy, która została jej w rękę. Rzeczywiście jakoś nie wyobrażała sobie Pierwszego w wianku na głowie. Chociaż z pewnością byłby to ciekawy widok.

Szli przez cały dzień i zatrzymali się na nocleg dopiero, gdy zaczęło się zmierzchać.

– Jak już będziemy na tych pustkowiach – odezwała się Magda, kiedy siedzieli przy małym ognisku – to jak znajdziemy Niję?

– Będzie w samym sercu pustkowi. Zresztą nie da się go przeoczyć.

– Coś o tym wiem – mruknęła, przypominając sobie olbrzymią ognistą postać, z którą tak niedawno przyszło im się mierzyć i przegrać.

– Potem wystarczy tylko przebić jego serce.

– Tak po prostu – rzuciła ironicznie.

– Tak po prostu – powtórzył głucho.

Przez chwilę zdawało się, jakby zupełnie odpłynął do innego świata. Zadarł głowę i zapatrzył się na gwiazdy rozsypane na nocnym niebie. Przez ułamek sekundy Magda miała wrażenie, jakby stał się mniej wyraźny, lekko zamazany. Przetarła dłonią oczy i wszystko wróciło do normalnego wyglądu. Musiała być naprawdę zmęczona, skoro wzrok płatał jej takie figle.

Pierwszy opuścił głowę i rzucił z uśmiechem:

– Maleńka, będziemy tworzyć historię.

Pewnie zrobiła głupią minę, ponieważ od razu pospieszył z wyjaśnieniami:

– Zobaczysz, rozegramy epicką walkę, o której usłyszysz cały świat.

– Nie. – Pokręciła głową. – Żniwiarz zawsze trzyma się w cieniu. Nie tworzy historii, tylko robi to, co do niego należy. Nawet jeśli to oznacza unieszkodliwienie władcy zaświatów.

– Ach, wujaszek nakładł ci do głowy żniwiarskich ideałów. Może to i dobrze, nie jesteś przynajmniej tak zdegenerowana przez wiek jak ja. Pogadamy za kilkaset lat, czy masz takie same poglądy. O ile przeżyjesz i w ogóle wydostaniesz się z Nawii.

Wydostanę; nie wiem jak, nie wiem kiedy, ale wiem, że się wydostanę.



Coś było nie tak. Gwałtowny niepokój wyrwał Magdę ze snu. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą twarz Pierwszego. Przyłożył palec do ust, nakazując jej ciszę, a potem odsunął się, pozwalając jej usiąść.

– Weź broń – polecił szeptem.

– Co się dzieje? – zapytała równie cicho.

– Idziemy na polowanie.

Przetarła ręką oczy, próbując się dobudzić. Przyczepiła pochwę z nożem do paska, upewniła się, że ma zawiązane sznurówki w butach, wzięła do ręki łuk i kołczan.

– Te nie. – Pierwszy wyjął z niego trzy czarne strzały i ostrożnie wbił je grotami w ziemię.

Chwilę później skradali się bezgłośnie przez las. Magda była przekonana, że jej towarzysz znacznie wcześniej zaplanował sobie to polowanie, ale celowo nic jej nie mówił. Tak jakby budzenie jej w środku nocy

dawało mu nad nią jakąś władzę. Poza tym od dłuższego czasu był dla niej miły i wyglądało na to, że musiał nadrobić wszelkie zaległości w drobnych złościwościach.

Bezszelestnie wyciągnął rękę w bok, zatrzymując dziewczynę, po czym wskazał palcem na coś przed nimi. Magda musiała nieźle wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć w oddali malutkie, niebieskie światełko. Powoli zbliżyli się do niego. Delikatne, o chłodnym odcieniu, krążyło między drzewami, zdawałoby się, że bez celu.

Dwójka żniwiarzy zapatrzyła się na nie. Było w nim coś pociągającego, coś, co sprawiało, że chciało się za nim podążać. Magda wpatrywała się w nie jak urzeczona, a potem podniosła wzrok na Pierwszego. Odbijało się w jego czarnych oczach, nadając im zupełnie inny, niesamowity wygląd.

– Idziemy – odezwał się cicho, ale w tej absolutnej ciszy otaczającej ognik jego głos zabrzmiał jak grom.

Magda skinęła głową i ruszyła za nim. Światełko przez chwilę krążyło wokół nich, jakby zachęcało ich do zmiany obranej drogi, a potem odpłynęło w ciemność.

– Zawsze idź w przeciwnym kierunku niż diable ślepia – pouczył szeptem Pierwszy.

Wkrótce pojawiły się przed nimi kolejne dwa ogniki. Znowu zdawały się usilnie próbować gdzieś ich zaprowadzić. A im dalej zapuszczali się w coraz gęstszy las, tym więcej widzieli błysków błękitu.

Potężne czarne świerki szumiały w górze w rytm własnej melodii, miękkie poszycie lekko ugięło się pod butami. Magda wciąż musiała się upominać, żeby nie wpatrywać się jak zauroczona w ogniki.

Jesteś żniwiarzem, nie dasz się zaprowadzić na bagna

– powtarzała w myślach jak mantrę. *Jesteś żniwiarzem, nie gap się tak na nie...*

Światełek było coraz więcej i więcej. Żniwiarze przecisnęli się między gęstymi gałęziami młodych świerków, aż tuż przed sobą dostrzegli w niebieskiej poświacie drzemiącą na mchu bestię. Magda patrzyła na czarne, włochate stworzenie, którego klatka piersiowa powoli się podnosiła i opadała w rytm oddechu. Demon poruszył się przez sen, znajdując sobie wygodniejszą pozycję. Dziewczyna nie pamiętała, żeby kiedykolwiek natknęła się na opis tego nawiego, a nawet gdyby, to pewnie i tak nie byłaby w stanie wyobrazić sobie tak dziwnego stworzenia. Wyglądało jak skrzyżowanie psa i wołu. Porastała go długa, zmierzwiona sierść, tylne nogi miały kopyta, przednie z kolei były dużymi łapami uzbrojonymi w ostre pazury. Z łba wyrastały wielkie rogi. Chudy ogon bił delikatnie w ziemię. Było coś w tym, jak nawi spał, że przywodził na myśl smoka z książek fantastycznych, który spał na górze złota. Wokół niego krążyły błękitne światełka.

Pierwszy usunął się nieco w bok i dał Magdzie sygnał, aby nałożyła strzałę na cięciwę.

Dziewczyna wypuściła powietrze z płuc, poczuła delikatne łaskotanie na policzku, gdzie dotykały ją lotki, przymknęła jedno oko i...

– Celuj prosto w serce – usłyszała szept tuż przy uchu.

Zadrzała, palce puściły cięciwę, a strzała zagłębiła się w czarnym futrze na grzbiecie. Zanim dziewczyna zdążyła cokolwiek zrobić – a najbardziej to miała ochotę zwyzywać Pierwszego – demon poderwał się na równe nogi i powiódł wokół gniewnym spojrzeniem. Zaryczał

głośno i pogrzebał w ziemi łapą. Magda miała wrażenie, że jeszcze chwila, a z nozdrzy buchnie mu dym. Jednym ruchem wyciągnęła kolejną strzałę, napięła cięciwę i strzeliła, a ułamek sekundy później usłyszała trzask łamanej brzechwy, która uderzyła w potężne rogi.

Bestia ruszyła do ataku. Magda chciała ponownie strzelić, ale nagle zdała sobie sprawę, że nawet jeśli trafi, to bestia i tak na nią wpadnie. Było już za późno na jakikolwiek ruch. Poczwała, że Pierwszy złapał ją za ramię i pociągnął w bok. Poleciała w jego stronę, straciła równowagę, ale uniknęła śmiertelnego dźgnięcia.

– Uważaj – syknął ze złością żniwiarz. – Martwa do niczego mi się nie przydasz.

Demon przebiegł jeszcze kilka metrów, łamiąc małe drzewka na swojej drodze, po czym zatrzymał się i odwrócił w stronę ludzi, mierząc ich gorejącym spojrzeniem.

– Kiedy powiem, rzucisz się w bok – powiedział Pierwszy.

Magda pokiwała głową, nie odrywając wzroku od bestii, nad którą wciąż krążyły błędne ogniki. Wyrwany ze snu mamon nie przypominał już smoka strzegącego skarbu. Zamienił się w przebiegłą, złośliwą bestię, która będzie zabijać tylko dla zabawy. W jego spojrzeniu kryły się zawiść i zapowiedź szybkiej śmierci dla każdego, kto zakłóci jego spokój.

Nawi prychnął gniewnie, łapą oderwał od ziemi kawał mchu, obniżył łeb i zaszarżował.

– Już!!! – wrzasnął Pierwszy.

Oboje rzucili się w przeciwne strony, unikając rogów.

Magda zahaczyła ramieniem o drzewo, gwałtownie się odwróciła i częściowo ukryta za pniem, znów wycelowała w bestię. Tym razem strzała wbiła się tuż pod łopatką, ale najwyraźniej nie sięgnęła serca poprzez zwały mięśni. Demon ponownie zaszarżował, tym razem prosto na dziewczynę.

Wszystko wydarzyło się w przeciągu zaledwie kilku sekund, ale zdążyła zauważyć Pierwszego, który wychylił się zza świerkowych gałęzi i wbił włócznię w potężne ciało. Nawi jednak się nie zatrzymał. Magda wykonała półobrót i znalazła się za grubym pniem, gdy lasem wstrząsnęło głucho łupnięcie. Z drzewa posypały się igliwie i szyszki.

Dziewczyna wychyliła się i ujrzała potwora potrząsającego lekko łbem. Znów ukryła się za świerkiem, oddychając szybko. Co robić? Jak go zabić? I gdzie, do cholery, podział się Pierwszy?!

Korzystając z tego, że stwór był skołowany, przedarła się przez nisko zwieszające się gałęzie na niewielką polankę. Tutaj przynajmniej będzie łatwiej oddać strzał.

Nagle, nie wiadomo skąd, tuż obok niej pojawił się Pierwszy.

– Dajesz radę? – zapytał.

– Uhm. – Nałożyła cięciwę na strzałę i czekała.

Słyszała gniewne prychnięcia i trzask łamanych gałązek, gdy demon rozglądał się za intruzami.

– To bardzo dobrze, ale na mnie już czas – powiedział starszy żniwiarz. W jego tonie zabrzmiała podejrzana nuta, aż Magda musiała na niego spojrzeć. Ku jej zaskoczeniu znów stał się niewyraźny.

– Co ty...?

Zadarł głowę, wpatrując się w niebo. Droga Mleczna

tej nocy była wyjątkowo jasna.

– Do zobaczenia – rzucił, uśmiechając się.

– Nie! Nie zostawisz mnie teraz!

– Przecież zawsze mówiłem, że jestem tym złym – stwierdził, a jego głos brzmiał jakby przez watę.

Jego kontury się rozmyły. Widziała przez niego drzewa na drugim końcu polany.

– Nie! – krzyknęła i wyciągnęła rękę w jego stronę, ale jej dłoń przeleciała przez niego, jakby nie należał już do tego świata.

A potem zniknął.

– Ty draniu! Obiecałeś!

Spomiędzy młodych świerków wyszedł mamon. Powiódł gniewnym wzrokiem po polance, wreszcie zatrzymał się na dziewczynie stojącej na samym środku z opuszczonym łukiem.

Jak mam zabić bestię o tak grubej skórze? – myślała z rezygnacją. A jak stoi do mnie przodem, nawet nie trafię w jego serce...

I wtedy ją olśniło. Mamon ruszył do ataku. Magda sięgnęła do kieszeni i wyszarpnęła z niej mały przedmiot. Demon był coraz bliżej, ziemia dudniła pod jego kopytami, łapy zostawiały głębokie bruzdy w ziemi. Dziewczyna uniosła wysoko metalową zapalniczkę – odbiło się w niej światło księżyca i gwiazd. Stwór zwolnił, zapatrzył się na błyszczący przedmiot.

– Ładne? – zapytała cicho Magda. – Lubisz błyskotki, co?

Powoli poruszyła ręką na boki, jakby chciała zahipnotyzować demona. Jego wzrok podążał za jej dłonią.

Wypuściła powietrze z płuc, wcale nie mając

pewności, że jej plan się powiedzie. Wzięła zamach i rzuciła zapalniczkę daleko w bok. Mamon obserwował jej lot, aż upadła w trawę. A potem odwrócił się do dziewczyny bokiem i bardzo powoli ruszył w stronę błyszczącego metalu.

Magda wycelowwała w miejsce pod łopatką. Ale zawahała się – przecież już jedna strzała nie sięgnęła serca.

Raz kozie śmierć. A jak przeżyję, to zamorduję Pierwszego.

Zmieniła cel i wypuściła strzałę. Miała wrażenie, że leciała ona całą wieczność; wreszcie wbiła się głęboko w czarne oko.

Mamon szarpnął łbem i zawył. Rzucił się w bok, uniósł łapę do pyska i złamał strzałę. Magda zaś patrzyła na niego ze strachem, pewna, że nie ucieknie przed rannym i rozwścieczonym demonem. Nagle błękitne ogniki zgasły, a nawi zwałił się z hukiem na ziemię.

Absolutna cisza zalała polanę. Magda nie była w stanie się ruszyć i tylko wpatrywała się w truchło. Nadal nie wierzyła, że go zabiła. A potem podniosła głowę, spojrzała w jasną Drogę Mleczną i zaczęła krzyczeć.

– Zabiję cię! – wrzasnęła. – Zostawiłeś mnie! Mało co sama nie zginęłam! Już nie żyjesz! Wrócę do świata żywych i cię dopadnę!

Kilka minut później zabrakło jej tchu, a głos ochrypl. Osunęła się na miękką trawę. Wiedziała, przecież wiedziała, że Pierwszy ją zdradzi. A jednak przez cały czas łudziła się, że może tym razem będzie inaczej. Że połączył ich wspólny cel i będą razem walczyć

z demonami przynajmniej do czasu, aż zlikwidują Niję. Spodziewała się jakiegoś paskudnego zagrania z jego strony, lecz nie tak szybko, nie w takiej chwili, gdy walczyli na śmierć i życie z demonem.

Siedziała na ziemi i tępo wpatrywała się w przestrzeń. Polana wydała się pusta i mroczna bez krążących w powietrzu błękitnych ogników. A może to był żart? Jakiś głupi test? Wobec tego zdała go czy oblała z kretesem? Może Pierwszy zaraz pojawi się tuż obok niej i...

– Na pewno – parsknęła głośno.

Znów poczuła się samotna i rozgoryczona, tak jak po zdradzie Żywii. Tym razem jednak nie była tak zagubiona. Wiedziała, dlaczego tu była i co miała do zrobienia. Zniknięcie Pierwszego nie wpływało na jej plany. Nadal musiała zlikwidować Niję. Teraz jednak robi to trochę inaczej, niż zamierzali. Otarła wierzchem dłoni łzy i podeszła do truchła. Spróbowała je przesunąć. Diabelec ważył pewnie ponad sto kilogramów. Ale ona przecież była żniwiarzem. No i знаła się choć odrobinę na fizyce.

Do najbliższego drzewa o grubych, rozłożystych gałęziach było nie więcej niż dwa metry. Wystarczyło wrócić do obozowiska po rzeczy i plecak, w którym Pierwszy miał linę. Jeden koniec przywiązała do tylnych nóg demona, drugi przerzuciła przez konar.

Godzinę później wypatroszone truchło wisiało na drzewie z rozciętą skórą i się studziło. O dziwo, jego anatomia przypominała zwykłe zwierzę. Magda zaś siedziała przy małym ognisku i gotowała kilka kawałków mięsa w rondelku. Jakoś przeżyła na pustkowiach na demonicznej diecie, więc już dawno

temu przestała się przejmować pochodzeniem upolowanego przez nią pożywienia.

Jej wzrok powędrował do wielkich rogów nawiego. Szkoda, że nie będzie w stanie zabrać ich ze sobą. Były naprawdę imponujące i mogłaby wymyślić co najmniej kilka sposobów na wykorzystanie ich, poczynając od zwykłego trofeum, kończąc na paleniu ich w celach ochronnych.

Następnego dnia oskórowała mamona tak, jak pokazywała jej kiedyś Żywia na koziołku. Skórę rozciągnęła na dwóch prostych gałęziach, których końce związała, zostawiając sobie pętlę wystarczająco dużą, aby zmieściło się w niej jej ramię. Więcej nie była w stanie zrobić w terenie, a skoro narażała życie dla tego przeklętego futra, nie zamierzała go wyrzucać. Za to знаła kogoś, kto będzie w stanie jej pomóc.

Rozdział 19



Pierwszy uwielbiał to uczucie, gdy znajdował nowe ciało. Miał wrażenie, że był wtedy niezwyciężony. Co prawda na co dzień niewiele brakowało, żeby taki był, ale jednak tak drobne mankamenty jak upierdliwi zniwiarze czy władca zaświatów potrafiły utrudnić mu życie.

Czuł, jak wszystkie jego rany i schorzenia znikają, pozostawiając czystą siłę. Na próbę zacisnął i rozprostował pięści oraz wziął głęboki wdech. W Nawii tego nie zauważał i dopiero po powrocie tutaj odkrywał, jaką niesamowitą czynnością było samo oddychanie. Powoli otworzył oczy. Przez ciemny brezent prześwitywało niewiele światła.

Umarłeś tak, jak żyłeś...

Nie było mu żal poprzedniego właściciela tego ciała. Sam się prosił o śmierć.

Całkiem niedaleko słyhać było stłumioną rozmowę. Przekleństwa, narzekanie oraz odgłos kopania ziemi.

To się chłopaki zdziwią...

Zamknął oczy, gdy rozległy się kroki tuż obok. Ktoś zdjął brezentową płachtę z jego twarzy.

– Mówiłem ci, że w końcu dostanie za swoje i będziemy musieli zakopać jego ciało.

Pierwszy lekko rozchylił powieki, akurat w odpowiedniej chwili, żeby zobaczyć but lecący wprost na jego głowę. Błyskawicznie podniósł się, złapał przeciwnika za kostkę i wykręcił ją tak, że ten wylądował z krzykiem na ziemi.

– Panowie, zwłoki powinno się traktować z szacunkiem – powiedział spokojnym tonem, wstając.

Powalony przed chwilą zbir wciąż wrzeszczał. Drugi

stał jak oniemiały nad dołem, ze szpadlem w rękach.

– Ty... ty... – wyjąkał. – Ty...

– No, wyduś to wreszcie z siebie.

– Ty nie żyjesz! – krzyknął.

Pierwszy spojrział po sobie.

– Jak widać, mam się jednak całkiem nieźle. Na litość boską, ucisz się – zwrócił się do tego na ziemi, jednak męczyzna zdawał się go nie słyszeć.

Żniwiarz kopnął go w twarz, aż ten stracił przytomność.

Bardzo często zdarzało się, że żniwiarze dokonywali zemsty na zabójcach poprzedniego właściciela ciała. Jednak tych dwóch było zwykłymi pionkami, zaledwie chłopcami na posyłki, którym kazano go zakopać.

– Kluczyki od waszego auta poproszę. – Pierwszy wyciągnął rękę do drugiego faceta, który zasłonił się szpadlem niczym tarczą. – Kluczyki. – Pospieszająco poruszył palcami.

Tamten ani drgnął.

– Słuchaj, mogę albo was zabić i zakopać w grobie, który sami wykopaliście, albo po prostu odejść. Swojemu szefowi powiecie, że leżę dwa metry pod ziemią, a ktoś ukradł wam auto. Nigdy się już nie zobaczymy i wszyscy będą szczęśliwi.

Zbir szybko przemyślał propozycję, sięgnął do kieszeni i rzucił kluczyki. Pierwszy złapał je i skierował się do samochodu.

– A tak na przyszłość, to zakopywanie ciała w lesie jest słabym pomysłem – rzucił przez ramię. – Lepiej rzucić je świniom, a kości zmielić na proch.

Usiadł za kierownicą. Otworzył skrytkę naprzeciw fotela pasażera. W środku były jego telefon, portfel

i zwitek pieniędzy. Odpalając silnik, uśmiechnął się do siebie. Lepiej być nie mogło.



Magda spotkała dwóch strażników przed osadą.

– Muszę zobaczyć się z Władysławem – powiedziała szorstko.

Mężczyźni wahali się przez chwilę, ale ona nie była w nastroju, żeby czekać, aż przemyślą sprawę. Była brudna i zmęczona ciągnięciem tego przekłętego, cuchnącego futra przez szmat drogi.

– I z łaski swojej może byście mi pomogli. – Wcisnęła bliższemu strażnikowi prowizoryczne prawidła, na których była rozciągnięta skóra, po czym ruszyła w stronę domów.

Wartownicy najwyraźniej nie dostali żadnych rozkazów, co robić w razie jej powrotu, więc powlekli się za nią, starając się robić wrażenie, że to oni ją prowadzą.

A miałam już nigdy tu nie zawitać – pomyślała, uderzając pięścią w drzwi przywódcy osady.

Odczekała kilka sekund, a potem po prostu weszła do środka. W twarz buchnęło jej niezbyt świeże powietrze wymieszane z ciężką wonią ziół. Zamrugowała kilka razy, przyzwyczajając wzrok do półmroku panującego w chacie. Przy wielkim stole siedzieli Władysław, Rosława i kilkoro innych mieszkańców. Kiedy wszystkie oczy spoczęły na niej, Magda się zawahała. Co miała im powiedzieć?

– Magda! Jak miło znów cię widzieć! – Władysław

podniósł się z krzesła. Jego postawa zdradzała, że wcale jednak nie cieszy się na jej widok.

– Możemy porozmawiać na osobności?

Mężczyzna skinął pozostałym głową.

– Rosławo, czy ty też mogłabyś zostać? – poprosiła, przypomniawszy sobie, że do kobiety też ma pewien interes.

Kilka chwil trwało, zanim wszyscy opuścili chatę. Nie wyglądali na szczęśliwych.

– Pierwszy wystawił mnie do wiatru – wypaliła Magda, siadając.

– Co masz na myśli? – zapytał Władysław.

– Zostawił mnie w samym środku polowania na mamona...

– A nie mówiłam? – burknęła Rosława. – Jesteś mi dłużny antałek twojego wina.

– O nie, moja droga, nasz zakład dotyczył tego, że on zdradzi, w wyniku czego Magda zginie. A jak widać nasza znajoma ma się całkiem nieźle, choć przydałaby się jej porządna kąpiel.

Magda zmarszczyła brwi.

– Serio? Robiliście zakłady?

– Nie możesz nas za to winić, odrobina rozrywki należy się każdemu, nawet martwym.

– Dobra, mniejsza z tym. – Machnęła ręką, jakby odpędzała natrętną muchę. – Cieszę się, że wygrałeś. – Bez zastanowienia sięgnęła po jeden z glinianych kubków stojących na stole. Nie miała chęci ani siły, żeby bawić się w uprzejmego gościa. Wypiła solidny łyk i skrzywiła się nieco. Znów to samo rozwodnione wino.

– Czy wiesz, gdzie on może teraz być? – zapytał gospodarz.

– Jak znam życie, to w Wiatrołomie – powiedziała, ale na twarzach jej rozmówców pojawiło się niezrozumienie.

– Wrócił do świata żywych.

– Tym lepiej dla nas – ucieszyła się Rosława. – Nie podoba mi się, kiedy on krąży po Nawii. Nigdy nie wiadomo, co planuje.

– Skoro już jesteśmy przy planach... – Władysław zawiesił głos wyczekująco.

– Moje się nie zmieniły, tylko trochę zmodyfikowały. I mam jeszcze jedną prośbę do was, a właściwie do ciebie, Rosławo.

Kobieta skinęła ostrożnie głową.

– Przed chatą stoi strażnik ze skórą ściągniętą z mamona. Chciałabym, żebyś ją dla mnie wyprawiła.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Chciałabym też jeszcze jeden raz u ciebie przenocować. A jutro powiecie mi, gdzie szukać nieumarłych.

– Nie – sapnęła Rosława.

– To bardzo niebezpieczne – przestrzegł Władysław.

– W tej chwili to ja jestem niebezpieczna – mruknęła.

– Ale dlaczego chcesz tam iść?

– Bo Pierwszy stanowczo mi tego zabronił.

Mam też pewne podejrzenia, ale nie zamierzam wypowiedzieć ich na głos, bo jeszcze zapeszę i się nie sprawdzą.



Pierwszy zatrzymał się w pierwszej mijanej knajpie i zamówił tak dużo, że kelnerka dorzuciła mu na deser

ciasto na koszt firmy. Chyba założyła się z innymi pracownikami restauracji, że nie da rady go zmieścić w żołądku. Ale on pochłonął je w kilku kęsach, zostawił spory napiwek, a potem ruszył do samochodu. Zanim wsiadł do środka, przejrzał się w szybie. Podobało mu się to ciało – młode, silne, nawet przystojne. A to nie były wszystkie jego zalety. Miał szczęście jak diabli. Puścił oczko do swojego odbicia i usiadł za kierownicą. Wyjął z kieszeni telefon, uruchomił aplikację z mapami i wpisał jedno słowo. Pięć godzin jazdy.

– Wszystkie drogi prowadzą do Wiatrołomu – powiedział, odpalając silnik.

Musiał się spieszyć, ale tym razem nie było potrzeby bawienia się w żadne podchody. Jechał tam, żeby zabić.



Magda po raz kolejny opuszczała osadę. Tym razem jednak nie wzdychała, że już więcej jej nie zobaczy. Przecież planowała wrócić tu po skórę mamona. Poprzedniego wieczoru, kiedy przyszła do nich z samymi prośbami, gdy Władysław poczęstował ją kolacją, a Rosława pozwoliła jej znów spać u siebie, dziewczynę ogarnęły wyrzuty sumienia, że nadużywa gościnności miejscowych, ale szybko się zmytygowała. Jakoś żadne z nich nie kwapiło się, żeby unieszkodliwić Niję. Za to ona planowała to zrobić dla nich wszystkich. Miała więc prawo do miski ciepłej zupy i wiadra wody z mydlnicą.

Przez cały dzień maszerowała we wskazanym kierunku. Przekroczyła niewielki strumień i szła wzdłuż

niego, aż dotarła do wielkiego omszałego głazu i ponownie skręciła na zachód. Obiad zjadła w drodze, na noc zatrzymała się pod rozłożystym dębem.

Kolejny dzień wstał ponury i zapowiadający się na deszcz. Ciemne chmury wisiały nisko nad ziemią, odzwierciedlając samopoczucie Magdy, która prawie nie zmrużyła oka z nerwów. Obawiała się tego, co na nią czekało, a jeszcze bardziej, że nie czekało na nią nic. Że ta nikła nadzieja, którą zachowała gdzieś w głębi siebie, legnie w gruzach.

Jeszcze przed południem natknęła się na pierwsze ślady pustek – miejsc, które powstawały w Nawii wraz z pojawieniem się nowych ludzi. Na razie niewiele mówiły o osobach, które je tu sprowadziły za sobą. Ot, kawałek kamiennego murka czy jakiegoś powyginanego metalu.

Z każdym kolejnym krokiem serce Magdy biło coraz szybciej. Czuła całą sobą, że była coraz bliżej, aż ujrzała w oddali między drzewami wielki, szary kształt. Zatrzymała się i przez chwilę nie była w stanie się ruszyć, aż na jej twarz padły pierwsze krople deszczu.

– Przecież nie mogę mieć wciąż pecha – powiedziała na głos z przekonaniem. – Do trzech razy sztuka.

Liczyła, że teraz nie zawiedzie się tak, jak po zdradzie Żywii i Pierwszego. Uczyniła pierwszy krok, a potem następne, wreszcie zobaczyła trzy bloki mieszkalne. W samym środku lasu wyglądały tak nienaturalnie, jak to tylko możliwe. Ale przecież były budynkami z innego świata.

Im bliżej nich się znajdowała, tym lepiej dostrzegała, w jak opłakanym stanie były. Większość okien nie miała szyb, tynk osypał się dawno temu i zalegał na

ziemi grubą warstwą, część jednego bloku się zawaliła. Nagle Magda zdała sobie sprawę z tego, że ścieżka, którą kroczyła, jest znacznie twardsza – między kępami trawy widziała popękane fragmenty asfaltu. Minęła przewróconą latarnię porośniętą bluszczem, pod butem zachrzęściło potłuczone szkło. Miejsce to przywiodło jej na myśl obrazy z Prypeci, miasta na Ukrainie opuszczonego po katastrofie w Czarnobylu, które kiedyś widziała na zdjęciach.

Deszcz padał jednostajnie na ponure miejsce. Magda wkrótce przemokła do suchej nitki. Dlaczego pojawiły się tutaj takie ruiny? A może były tu już od dawna i niszczały zapomniane przez wszystkich? W rękach trzymała lekko napięty łuk. Nadzieja nadzieją, ale nie zamierzała dać się zaskoczyć przez jakiegoś demona.

Wkrótce przeszła całe pustki, wyglądające jak malutki fragment współczesnego osiedla. Wróciła na środek i zatrzymała się. Co teraz? Spodziewała się wielu rzeczy, wyobraziła sobie chyba każdy scenariusz i naprawdę wolałaby być zaatakowana przez demony niż zderzyć się z tą ścianą ciszy. Opuszczone budynki powodowały u niej gęsią skórkę. A może był to tylko lodowaty deszcz? Co dalej? Wrócić z podkulonym ogonem do osady? Szukać... czegokolwiek?

Zadrżała z zimna. Najpierw postanowiła znaleźć schronienie w jednym z bloków. Rozpali ognisko, ogrzeje się, może znajdzie też jakieś przydatne przedmioty. I dopiero wtedy zadecyduje o kolejnym ruchu.

Zadarła głowę i powiodła wzrokiem po najwyższych piętrach szarych brył. Nagle wydało jej się, że dostrzegła ruch w jednym z okiem. Natychmiast napięła

łuk i wycelowwała, jednak nic się nie stało. Przez dłuższy czas bacznie obserwowała budynek. W końcu opuściła broń i się odwróciła.

I wtedy serce podeszło jej do gardła.

Ktoś stał na drugim końcu zarośniętej ulicy. Ciemna postać w obszernym płaszczu przywiodła jej na myśl cienistego. Magda wycelowwała w nią; czuła lodowate krople na dłoniach i twarzy, a jej serce się uspokoiło. Miała wrażenie, że widzi i słyszy wszystko, co ją otacza, i wiedziała, że jeśli strzeli, to nie spudłuje. Jednak nie chciała tego jeszcze robić. Obcy po prostu stał i się w nią wpatrywał, w rękę trzymał skierowaną ku ziemi maczetę. Jeżeli to nie demon, to może uda się z nim porozmawiać? Dowiedzieć się czegoś o tym przeklętym miejscu?

Nagle poczuła jeszcze czyjaś obecność. Ktoś zaszedł ją od tyłu. Błyskawicznie się odwróciła i wycelowwała w intruza. Już miała strzelić, ale spojrzała prosto w zielone oczy. Pomimo tego, jak dawno je widziała, od razu je poznała.

Rozpoznanie było najwyraźniej jednostronne, bo przeciwnik spróbował dźgnąć ją nożem. Magda uderzyła go w przedramię, zbijając broń. Upuściła łuk i zablokowała drugą rękę, następnie zaś odepchnęła przeciwnika, a raczej przeciwniczkę, która chciała ją kopnąć.

– Czeka! – krzyknęła.

Uchyliła się przed wściekłym ciosem i uniosła nieco dłonie, cofając się przed kolejnymi atakami.

– Nadia! To ja!

Kobieta stanęła jak wryta.

– Znasz mnie?

Dziewczyna pokiwała z zapalem głową.

– To ja, Magda!

Nadia wzdrygnęła się, ale chyba wciąż węszyła w tym podstęp. No tak, kiedy się poznali, kobieta była ranna i niedługo potem zmarła. Mogła nie pamiętać dziewczyny, która ją opatrywała, a potem pomogła ją pochować.

– Bratanica Feliksa – wyjaśniła Magda.

– Tego Feliksa? Feliksa Wojny?

W odpowiedzi uśmiechnęła się szeroko. Wszystkie możliwe scenariusze, jasne – pomyślała z ironią. Na taki nie była absolutnie przygotowana. A skoro znalazła się tutaj Nadia, to możliwe, że...

Za plecami usłyszała kroki. Odwróciła się, a jej serce zabiło szybciej. Tuż za nią stał Mateusz. Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie, nie wierząc, że to w ogóle możliwe. Deszcz wygrywał melodię na kawałku zardzewiałego metalu leżącego na ziemi. Nadia schyliła się po swój nóż, niebo w oddali rozświetliła błyskawica, zagrzmiało. Jednak oni nie widzieli ani nie słyszeli nic. Maczeta wysunęła się z palców Mateusza i uderzyła o ziemię.

Nagle, jakby na jedno hasło, przypadli do siebie. Magda chciała go objąć, on ujął w dłonie jej twarz i wpatrzył się w nią z niedowierzaniem.

– To naprawdę ty? – szepnął.

Pokiwała głową.

– Wiedziałam, że cię znajdę.

Przywarła do jego ust, a w pocałunek włożyła całą tęsknotę, smutek i strach, że już nigdy go nie zobaczy. Po chwili odsunęła się na kilka centymetrów, jakby chciała się upewnić, że to naprawdę on.

Roześmiała się, a jej łzy mieszały się z deszczem.

– Nie uwierzysz, co się... mam ci tyle do opowiedzenia...

– Ja tobie też. – Złapał ją w pasie, uniósł i okręcił w powietrzu. A gdy ją postawił na ziemi, ukrył twarz w jej mokrych włosach.

Teraz wszystko już na pewno będzie dobrze.

– Dobra, skończyliście już? – odezwała się nieco zgryźliwym tonem Nadia. – Bo tu trochę zimno.

– Chodź do domu – szepnął Mateusz do ucha Magdy.

Skinęła głową. Za nim poszłaby wszędzie.



Pierwszy zostawił samochód na parkingu pod małym osiedlowym sklepem, a potem ruszył w stronę najstarszego i najbrzydszego domu w całym Wiatrołomie. Zatrzymał się w pewnej odległości i zaczął obserwację. Zdawało się, że po trzynastym księżycu Feliks zaczął przygarniać pod swój dach, kogo tylko się dało. Na podjeździe stał błyszczący samochód tych dwóch wielkich przygłupów, ktoś ciągle wchodził i wychodził – dwie młode dziewczuchy, jeden z bliźniaków, stary, znerwicowany, sądząc po jego ruchach, facet, a nawet ta jędba, tym razem w żółtej garsonce.

Królowa Anglii się znalazła – skwitował ironicznie.

Wiedział, że musi się spieszyć, ale jednocześnie chciał mieć pewność, że wykona swoje zadanie. Ukrywał się w krzakach przez dobre cztery godziny, nim wreszcie w domu została ta jedna jedyna osoba, na której mu zależało. Myślał, że będzie musiał uganiać się za nią po

ulicach, lasach czy diabli wiedzą gdzie jeszcze. A tak wszystko da się załatwić w domowym zaciszu.

– Lepiej być nie mogło – skwitował z zadowoleniem.

Opuścił swoje stanowisko i lekkim krokiem ruszył w stronę domu. Zapukał, a kiedy drzwi się otworzyły, przywołał na twarz szeroki uśmiech.

– Dzień dobry – powiedział. – Tak się cieszę, że zastałem cię w domu.

Wanda zmrużyła powieki, najwyraźniej nie kojarząc jego twarzy. To była wielka zaleta bycia Pierwszym. Nawet żniwiarze nie potrafili go rozpoznać.

– Musimy poważnie porozmawiać.

– Kim jesteś?

Była blada i miała podkrążone oczy. Na jej dłoniach widniały otarcia, spod bluzki na karku wystawał wielki siniak. Widać, że nie próżnowała przez ostatnie noce. Tym łatwiej będzie się z nią rozprawić.

– Mogę wejść? Wszystko ci wytłumaczę, chodzi o trzynasty księżyc.

Wanda po chwili wahania przepuściła go w drzwiach. Pierwszy od razu skierował się do salonu i rozsiadł na kanapie. Lekko utykając, podążyła za nim do pokoju.

– Zatem słucham. – Stała dokładnie pomiędzy nim a wyjściem, najwyraźniej woląc zachować wszelkie środki ostrożności.

Rozejrzał się po pokoju, jakby niepewny, od czego zacząć.

– Przyszedłem do ciebie, bo wiem, że Feliks by mi nie uwierzył – powiedział w końcu. – Nie chciałby nawet ze mną rozmawiać.

– I...? – Znacząco zerknęła na zegarek. – Nie mam całego dnia.

Mimo wszystko wiedział, że rozbudził jej ciekawość. Wstał z kanapy i przeszedł się po pokoju, z roztargnieniem powiódł wzrokiem po papierach rozrzuconych na stole, zerknął na grzbiety książek ułożonych na komodzie. Wanda włożyła ręce do kieszeni i odchrząknęła ze zniecierpliwieniem.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

– Domyślam się – odparła chłodno.

Był przekonany, że powiedzieli jej o jego śmierci, a wszyscy dobrze wiedzieli, że nikt już nie wraca. Tak więc blefowała, chyba że naprawdę знаła jego możliwości.

– Wiem, jak pokonać Niję – odezwał się.

Nie odpowiedziała, zachowując kamienny wyraz twarzy i patrząc mu prosto w oczy. Jeszcze chwila, krok, dwa, a znajdzie się zaledwie na wyciągnięcie ręki.

– Jednak to wymaga pewnych poświęceń – kontynuował. – A nie jestem pewien, czy Feliks byłby w stanie podjąć się tego przedsięwzięcia.

– Ostrzegał mnie przed tobą, wiesz? – powiedziała w końcu. – Że jesteś kłamcą i oszustem dbającym jedynie o własne interesy.

Czyli domyśliła się, kim był.

– Tylko że tym razem jesteśmy po tej samej stronie barykady. Chcę pokonać Niję tak samo jak wy, bo jakoś nie uśmiecha mi się życie w ciągłym strachu, że w końcu mnie dopadnie. A dopadnie nas wszystkich.

– To dlaczego nie poszedłeś z tym do Magdy? – zapytała oschłym tonem.

Też była niezłą aktorką.

– Bo wszyscy wiemy, że Madzia opuściła ten padół łez.

– Uśmiechnął się. – Ale przejdźmy do konkretów. Mam

nadzieję, że nie wyrzuciliście trucizny, która została wam po naszym ostatnim wypadzie.

Nie odpowiedziała, jakby nadal wahała się, czy może mu choć odrobinę zaufać.

Postąpił kolejny krok w jej stronę. Nie cofnęła się, ale po jej minie widać było, że cała ta sytuacja jej się nie podoba.

Dobra, trzeba szybko załatwić sprawę, zanim ktokolwiek wróci do domu – postanowił Pierwszy.

Błyskawicznym ruchem wyciągnął zza paska nóż i dźgnął, jednak Wanda się tego spodziewała. Cofnęła się, jednocześnie uderzając go w przedramię. Ostrze tylko drasnęło ją w bok. Natychmiast wyprowadziła cios. Uchylił się przed nim, więc wykonała kopnięcie, ale złapał ją za kostkę i pociągnął do siebie. Straciła równowagę, po czym zaparła się dłońmi o komodę. Złapała wazon i rzuciła w niego. Pierwszy skulił się, unikając uderzenia, lecz puścił wtedy jej kostkę. Stała pewnie na nogach. Dwa razy zablokowała rękę z nożem; za trzecim razem ostrze przejechało po jej przedramieniu. Syknęła z bólu i odskoczyła do przedpokoju. Krew bezgłośnie skapywała na podłogę.

Pierwszy ruszył za nią. Nie mógł pozwolić jej uciec.

Wanda wystrzeliła lewą ręką w bok, sięgając do komody, na której walały się najróżniejsze rzeczy, i zaczęła nimi ciskać w żniwiarza. Uchylił się przed plecakiem, rolką do zdejmowania sierści z ubrań, a nawet metalowym świecznikiem. Kiedy skończył się zapas „amunicji”, Pierwszy przystąpił do kolejnego ataku. W jej spojrzeniu dostrzegł iskrę strachu. Nie miała już zamiaru go pokonywać, teraz chciała po prostu się stąd wydostać żywa. Zamarkował cios

nożem, którego uniknęła, ale dzięki temu nie zauważyła jego drugiej pięści; ta uderzyła ją w szczękę, aż kobieta się zatoczyła. Pierwszy przypadł do niej, złapał ją za włosy i uderzył jej czołem w ścianę. W gładzi pojawiło się wgłębienie, a Wanda osunęła się na podłogę.

Te kobiety żniwiarze są niezwykle wytrwałe i uparte – pomyślał, patrząc, jak się odczołgiwała.

Dopadł do niej jednym susem, przycisnął kolano do jej łopatek i pochylił się.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła – szepnął jej do ucha. – Musisz tylko umrzeć.

Zdecydowanym ruchem wbił nóż po samą rękojeść w gładką szyję. Jej ciało wyprężyło się, jakby to miał być ostatni rozpaczliwy zryw po życie. Chciała zaczerpnąć tchu, ale z jej ust wydobyło się tylko głuche stęknienie. Pierwszy podniósł się, gdy zupełnie znieruchomiała. Na podłodze rozlała się wielka kałuża krwi.

– Wybacz – odezwał się. – Też wolałbym, żeby to nie było konieczne.

Nagle coś usłyszał – jakieś trzaski dochodzące z jej kieszeni. Sięgnął tam i wyjął telefon.

– Drobną komplikacją – stwierdził, rozłączając się.

Nawet nie zauważył, w którym momencie wsunęła rękę do kieszeni i zadzwoniła do Feliksa. Ciekawe, ile ten ciemniak usłyszał i czy doda dwa do dwóch. Chociaż, jak Pierwszy go znał, żniwiarz pewnie jest już w drodze na ratunek.

– Na to starcie chyba wszyscy oczekiwaliśmy już od długiego czasu – uznał, unosząc kącik ust.

Magda siedziała na miękkich poduszkach. Miała na sobie suche, czyste ubrania, co ostatnio zdarzało się bardzo rzadko. Od kominka biło przyjemnym ciepłem. Z garnka wydostawał się kuszący zapach. Ale najważniejsze, że była tutaj z Mateuszem. Przywarła do niego i nie potrafiła wypuścić jego dłoni z rąk w obawie, że po prostu zniknie.

Nadia podała im trochę poobtłukiwane kubki z parującą herbatą miętową.

– Wybacz moją bezpośredniość, ale jakim cudem ty żyjesz? – zapytała Magda.

Kobieta usadowiła się na materacu przykrytym kocem, podłożyła sobie pod plecy poduszkę i oparła się o ścianę.

– Byłam na tyle cwana, żeby nie dać się zabić.

– Myślałam, że Nija zamordował wszystkich. Tak mówił... – Była jeszcze zbyt wściekła, żeby wymienić jego imię. – A może jeszcze ktoś przeżył! Może więcej zniwiarzy jest w Nawii! – Gwałtownie się wyprostowała.

Nadia pokręciła ze smutkiem głową.

– Tylko ja. I nieumarły. – Wskazała brodą Mateusza.

– Tak cię nazywali w osadzie. – Magda odwróciła się do Mateusza. – Ale używali liczby mnogiej. To oni mi powiedzieli, gdzie mieszkanie.

– Byłaś u pogan? – Uniósł brwi w zaskoczeniu. – Oni najchętniej zabiliby wszystko, co się rusza.

– I nienawidzą zniwiarzy – dodały równocześnie Magda i Nadia.

– Cóż, ja też nie mam najlepszych skojarzeń ze zniwiarzami – stwierdził Mateusz.

Nadia rzuciła w niego poduszką.

– Gdyby nie ja, już dawno byś nie żył. Tym razem naprawdę.

– Gdyby nie inny żniwiarz, w ogóle by mnie tu nie było. Wiódłbym spokojny żywot w nieświadomości.

– Co się stało po tym, jak zaatakowałeś Niję? – zapytała Magda.

– Kiedy na niego wpadłem, zatopiłem w nim cały nóż, łącznie z rękojeścią – powiedział. Jego wzrok się zamglił. – Potem on jakby się rozplynął. Otoczył mnie czarny dym, miałem wrażenie, jakbym leciał wraz z nim przez całą nieskończoność. Czułem jego nienawiść i wściekłość. Miałem wrażenie, że to trwało wieki, zanim znalazłem się tutaj...

– A trzeba chłopakowi przyznać, że ma wejście smoka – dodała Nadia. – Ja wciąż ukrywałam się przed poganami, demonami, a przede wszystkim Niją. Gdy pewnego dnia niebo zrobiło się zupełnie czarne, wszystko wokół zdawało się zbudowane z pyłu. W gęstych chmurach ciągle błyskało i grzmiało. To wyglądało na prawdziwą apokalipsę. Wyszłam z mojego ukrycia, bo musiałam to zobaczyć, zresztą myślałam, że to koniec wszystkiego. Nawet nawi zaniemówili. Tuż obok mnie stanął upiór i wpatrywał się w niebo z przerażeniem na tej swojej paskudnej gębie, poza tym prawie zostałam stratowana przez uciekającego w popłochu bezkosta. Wieszczy spojrział na mnie i po prostu mnie zignorował. A potem niebo zważyło się na ziemię. Demony uciekły. Czarny dym uderzył we mnie jak fala po wybuchu... Wtedy ruszyłam w stronę samego epicentrum.

– Huki, błyski, wszędzie dym – wtrącił Mateusz,

udając poważny ton. – I wtedy wchodzę ja, cały na biało...

– Chciałbyś! – Nadia się roześmiała. – Myślałam, że to jakiś nowy demon. Ale on zamiast atakować, padł jak długi na ziemię. I miał szczęście, bo gdyby zrobił cokolwiek innego, zabiłabym go na pniu. Przecież w jego ciele widziałam po raz ostatni Pierwszego.

Magda pokiwała głową. Czasem sama zapominała, że żniwiarz kiedykolwiek przejął ciało Mateusza.

– Niestety kilku tubylców było w okolicy na polowaniu, zbyt blisko mnie... i ta fala uderzeniowa zabiła prawie wszystkich.

– To się wcale nie dziwię, że się was boją. Oni myślą, że to ty ich zamordowałaś – odezwała się Magda.

– Wiem. – Pokiwał głową ze smutkiem. – Chciałem im to wyjaśnić, ale nie byli skłonni do rozmów. Dla nich byłem czymś gorszym niż demon. Jedynym takim przypadkiem w historii, kiedy ktoś nie umarł, a trafił do Nawii.

– I tak sobie żyjemy tu spokojnie – powiedziała Nadia. – Nie jest to bajka, ale przynajmniej nie zginęliśmy. Władcy zaświatów nie ma, większość demonów zniknęła razem z nim...

– Warto było się poświęcić, żeby go unicestwić. – Mateusz zacisnął pięści.

Do Magdy dopiero po chwili dotarł sens jego słów. Zesztywniała i odsunęła się od niego. On myślał, że...

– Mateusz – odezwała się cicho. – Ty go wcale nie... ty go nie zabiłeś.

Nagle spoważniał.

– Jak to nie? Dźgnąłem go ostrzem z trucizną. On odszedł.

– Ukrył się... A wraz z nadejściem trzynastego księżyca rozpętał w Wiatrołomie piekło. To tam są teraz nawi.

Widziała, jak na jego twarzy odbijają się najróżniejsze emocje. Od niezrozumienia poprzez niedowierzanie aż do zaprzeczenia.

– Nie, to niemożliwe.

– Dlatego zginęłam – dodała Magda. – Na ziemi pojawiły się demony, o jakich nigdy nie słyszeliśmy. Jeden z nich zabił mnie w drugą noc niebieskiej pełni.

W mieszkaniu zapadła cisza. Tylko deszcz szumiał na zewnątrz, uderzał w szyby w oknach za grubymi zasłonami i wygrywał werble na parapetach. Magda powiodła wzrokiem po ciepłym, przytulnym pokoju, wyposażonym w dawne i współczesne sprzęty, a zatrzymała się na twarzach przyjaciół. Oboje byli niczym weterani, którzy przetrwali wojnę. Tak wiele ich kosztowała, ale do tej pory uważali, że warto było poświęcić wszystko, co mieli. Mateusz przez długi czas wierzył, że ocalił świat żywych. A teraz to przekonanie legło w gruzach.

Polano w kominku przełamało się z trzaskiem, wrywając wszystkich z odrętwienia.

– Ale wiem, co zrobić dalej – powiedziała Magda. – Wiem, jak unieszkodliwić Niję.

¢

Magda słyszała szepty z sąsiedniego pokoju. Do późna opowiadali, co się z nimi działo, aż wszystkich zmogło zmęczenie i położyli się spać. Jednak dziewczyna nie

mogła usnąć. Najwyraźniej jej towarzysze również. Pewnie dyskutowali o niej, o tym, co planowała i czy powinni jej pomóc. W Nawii coś działo się z ludźmi. Zupełnie jakby świat żywych przestawał dla nich istnieć. Poganie, jak ich nazywali, w ogóle nie chcieli rozmawiać o drugiej stronie. A Mateusz i Nadia zachowywali się, jakby powoli zapominali o tym, że gdzieś tam żyją jeszcze ich rodziny, istnieje prawdziwy świat... Właśnie, który świat był prawdziwy?

Magda miała wrażenie, że tylko ona i Pierwszy wiedzieli który i zamierzali do niego wrócić. Zresztą ten drań już to zrobił.

Chciała zasnąć, nie miała zamiaru podsłuchiwać, ale jakkolwiek by się starała, wciąż docierały do niej strzępy rozmowy.

– ...to zbyt ryzykowne...

– ...już zrobiliśmy swoje... teraz zginiemy naprawdę...

– ...to nie ma sensu... na pewno się nie powiedzie... ale może...

– Ona znów daje mu się wodzić za nos! – Tym razem szept Nadii był bardzo wyraźny. – A nawet go tu nie ma!

Czyli Mateusz powiedział jej o wszystkim. O tym, że współpracowała z Pierwszym i że on tego wcale nie pochwalał. Nadia najwyraźniej też nie. Ale czemu się dziwić, Pierwszy ją zabił i wylądowała tutaj.

Nie podoba mi się ta ich zażyłość – pomyślała, a potem zganiła samą siebie za takie stwierdzenia. Oczywiście, że byli ze sobą blisko! Razem przebywali w Nawii diabli wiedzą jak długo, mogli liczyć tylko na siebie, zupełnie jakby byli ostatnimi ludźmi na świecie, bez perspektyw na zobaczenie jakiegokolwiek znajomej twarzy. Mimo wszystko to trochę bolało.

Magda usnęła wciąż targana wątpliwościami. Rano obudził ją tak cudownie znajomy zapach, że od razu odrzuciła koc, którym była przykryta, i pomaszerowała do kuchni.

– Nie wierzę własnym oczom – westchnęła.

Mateusz stał przy starodawnej kuchence, w której paliło się drewnem, i smażył jajecznicę.

– Skąd macie jajka? – Magda usiadła za stołem, a Nadia podsunęła jej kubek z parującą kawą.

– Najwyraźniej są na świecie jeszcze ludzie, którzy o nas pamiętają – odparła.

– I co, ot tak, magicznie zjawia się u was jedzenie, ubrania i wszystko?

– Czasem musimy nieźle się tego naszukać, ale mniej więcej tak. – Mateusz zaczął nakładać jajecznicę na talerze. – Wygodniej by było, jeśli wszystko pojawiałoby się już elegancko ułożone w szafkach. Trzeba tylko wystarczająco długo tkwić w jednym miejscu.

– I ty narzekasz? – westchnęła Magda, która zbyt dobrze jeszcze pamiętała, jak przymierała głodem.

Wzięła do ust pachnące śniadanie, jednak jak zwykle spotkał ją zawód. Jajka smakowały jak wata.

– Co, zepsute? – zdziwił się Mateusz, widząc jej minę.

– Nie, w porządku – dodał, jedząc.

– Czyli jajecznica smakuje wam jak jajecznica? – chciała się upewnić.

Oboje wymienili zaskoczone spojrzenia, a potem pokiwali głowami.

– A co, tobie nie?

– Nie, w porządku, jest dobra.

Jakoś nie miała ochoty tłumaczyć im, dlaczego wszystko jest tutaj dla niej bez smaku. Może Mateusz

jeszcze by ją zrozumiał, ale Nadia chyba nie byłaby zachwycona, słysząc, że jej znajoma jest po części demonem.

– Co wczoraj uradziliście? – zmieniła temat.

Mateusz spuścił wzrok, jakby zrobiło mu się głupio.

– Pomożemy ci – odezwała się Nadia. – Mam tylko nadzieję, że naprawdę wiesz, co robisz.

– Muszę tylko odebrać coś z osady – powiedziała. – Później przeniesiemy się w pobliże pustkowi, tam najłatwiej będzie znaleźć odpowiednie demony do zrobienia trucizny. A potem tylko odnaleźć Niję i przebić jego serce.

Cholerny Pierwszy – pomyślała kolejny już raz. *Miał jakiś pomysł na szybkie zdobycie trucizny, pewnie już ją miał i gdzieś ukrył. Szkoda tylko, że nic mi nie powiedział na ten temat.*

– To będzie naprawdę czasochłonne – uprzedził Mateusz.

– Wiem, ale nie mamy innego wyjścia.

– A jesteś pewna, że to działa? – Nadia nadal była sceptyczna. – W końcu za pierwszym razem nie udało wam się go unieszkodliwić.

– Wydaje mi się, że Nija wtedy zorientował się, co Mateusz zamierzał zrobić. – Spojrzała na chłopaka. – I tak naprawdę nie zdążyłeś go nawet drasnąć, kiedy ten się rozplynął.

– Cóż, liczyłem na to, że będę bohaterem całego świata, choć nikt by o tym nie wiedział – westchnął. – Wystarczyło, że ja wiedziałem. Najwyraźniej czas na powtórkę z rozrywki.

Feliks pędził jak oszalały przed siebie. Mocno ścisnął łom w dłoni. Ludzie się za nim oglądali, ktoś chyba nawet go zawołał, lecz on nie miał czasu choćby spojrzeć w tamtą stronę. Wciąż w głowie huczały mu niewyraźne fragmenty rozmowy Wandy z... z... nim. Może gdyby się zatrzymał choć na chwilę i to przemyślał, uznaliby, że to niemożliwe, on nie mógł wrócić. Jednak w głębi duszy doskonale wiedział, że to on.

Dopadł do furtki i zwolnił ten szaleńczy bieg. Teraz musiał działać spokojnie. Wyrównał oddech i ostrożnie podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę i pchnął je, zostając wciąż na zewnątrz. Nic się nie stało. Nikt na niego nie wyskoczył. Poczował za to metaliczny zapach krwi. Spodziewając się najgorszego, powoli przekroczył próg.

I wtedy ją zobaczył. Leżała w przedpokoju w czerwonej kałuży. Wszystko wokół było zdemolowane, na podłodze wałały się najróżniejsze rzeczy, w ścianie widniała dziura.

– Wanda! – Od razu do niej przypadł.

Jego serce pękło na dwoje. Spóźnił się. Znowu się spóźnił.

Za jego plecami rozległ się szelest. Zamknął oczy, wziął głęboki wdech, zacisnął palce na łomie. Pomimo krwi szumiącej w uszach usłyszał cichy oddech. Jeszcze sekunda... Z krzykiem zerwał się z podłogi, jednocześnie odwracając się w stronę intruza. Zatoczył łodem półokrąg. Młody mężczyzna odskoczył, ledwie unikając uderzenia. A potem uniósł kącik ust, jakby

zadowolony z reakcji Feliksa.

– Ty naprawdę nie potrafisz umrzeć – warknął młodszy żniwiarz.

– Wybacz, jeżeli cię rozczarowałem – odparł tamten lekkim tonem.

W Feliksie wszystko się zagotowało z wściekłości. Oto stał przed nim morderca żniwiarzy. Zabójca Magdy, Nadii i... i Wandy. Uosobienie wszelkiego zła na ziemi, prawdziwy wróg, którego należało zlikwidować.

W tamtej chwili, z rozpaczą pochłaniającą go jak czarna dziura, z dłońmi naznaczonymi krwią przyjaciółki, Feliks podjął decyzję, że albo zabije Pierwszego, albo sam zginie. A na świecie pozostanie tylko jeden żniwiarz, nieważne który.

Nikt nigdy nie walczył z taką zaciętością. Wiedział, że nie dorównuje Pierwszemu. Jednak wypełniała go nienawiść, która pożerała mu serce i dodawała sił. Łom stał się rozmazaną smugą, gdy Wojna raz po raz zadawał ciosy, zmuszając przeciwnika do wycofania się. Jednak w oczach Pierwszego zamiast strachu wciąż błyskały iskierki rozbawienia, gdy uchylał się lub blokował ciosy, co jeszcze bardziej doprowadzało Feliksa do wściekłości.

Żniwiarz zacisnął mocno szczękę, jego skupiony wzrok prześlizgiwał się po przeciwniku, wciąż szukając słabego punktu. Chciał zadać mężczyźnie ból, chciał go zniszczyć, zmiażdżyć raz na zawsze.

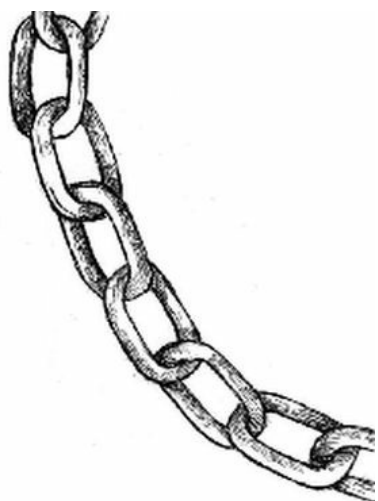
Pierwszy wycofał się do kuchni, sięgnął ku meblom, gdzie leżała solidna drewniana deska do krojenia. Złapał ją za wąski uchwyt i zablokował łom. Huknęło głucho. Kolejne uderzenie i kolejna blokada. Drań jeden zdawał się czytać w myślach Feliksa, jakby za każdym

razem doskonale wiedział, gdzie ten zaraz zaatakuje.

Chwila nieuwagi, nierozsądnie wyprowadzone uderzenie... Pierwszy zablokował ręką przedramię Feliksa i uderzył go kantem deski po żebrach. Na ułamek sekundy przed oczami młodszego żniwiarza rozbłysło światło. Zanim doszedł do siebie, silna pięść wbiła się w jego żołądek. Odruchowo się pochylił, a wtedy ta sama pięść wzniosła się, aby uderzyć w jego podbródek. Zęby żniwiarza zadzwoniły o siebie, głowa poleciała do tyłu. Nagle usłyszał huk, a ułamek sekundy później ból rozbłysnął w okolicach jego potylicy.

A myślałem, że mam szansę – pomyślał, widząc lecącą mu na spotkanie podłogę. Miał wrażenie, że minęły całe wieki, zanim w nią uderzył i zgasła w nim świadomość.

Rozdział 20



– Jesteś zupełnie sama – usłyszała Magda. – Jak chcesz pokonać go w pojedynkę?

Pogładziła dłonią grube futro z mamona i dopiero po chwili spojrzała na Władysława.

– Możesz zamieszkać u nas – zapewnił ją po raz wtóry.

– Zbudujesz sobie dom, będziesz mogła przyłączyć się do moich wojowników. Demony odeszły, więc nasze życie jest o tyle spokojniejsze...

Pokręciła głową z uśmiechem.

– Dziękuję, to bardzo kusząca propozycja, ale nie mogę tego zrobić. Tam w świecie żywych są ludzie, którzy na mnie liczą, a przynajmniej liczyliby, gdyby wiedzieli, że jestem w Nawii.

Rosława wywróciła oczyma. Najwyraźniej heroizm nie był w jej stylu.

– Skóra po wyprawieniu wygląda wspaniale.

Dziewczyna nie była już sama, więc poprosiła o przecięcie jej na dwie części. Mniejszą zarzuciła sobie na plecy. Drugą, zwiniętą i związaną sznurkiem, wzięła pod pachę.

– Gdybym miała więcej czasu, byłaby lepsza – stwierdziła kobieta.

– Nie ruszaj się – polecił Władysław.

Podszedł do Magdy, złapał końce skóry na jej ramionach i złączył je metalową fibulą. Magda pogładziła palcami skromną ozdobę.

– Niech ci przyniesie szczęście.

Skinęła głową.

A gdyby tak rzucić wszystko w diabły i rzeczywiście zostać?

Przez kilka sekund ta wizja stała się całkiem realna.

Sprowadziłaby tutaj Mateusza i Nadię, w końcu dogadaliby się z miejscowymi. I wszyscy żyliby w pogańskiej osadzie, aż świat żywych by o nich zapomniał. Ile czasu potrzeba, żeby wspomnienie o niej zatarło się w pamięci jej rodziny? Jak długo kolejne pokolenia będą wspominać zniwiarza, który dostał tylko jedną szansę?

Pewnie nie za długo.

Władysław podarował jej jeszcze kilkanaście strzał, po czym wraz z Rosławą odprowadził ją na skraj osady.

– Powodzenia – odezwał się gospodarz.

– Dziękuję za wszystko. – Uścisnęła jego dłoń. – A poza tym nie będę sama. Towarzyszą mi nieumarli. To znaczy jeden nieumarły i jeden zniwiarz.

Miejscowi skrzywili się na samą wzmiankę o nich.

– I naprawdę nie są to źli ludzie – dodała. – Nie musicie się ich obawiać.

Magda lekkim krokiem ruszyła przez złote pole.

Czy oni nie mieli już zbiorów? – zastanowiła się.

Wszystko w Nawii dojrzewało w swoim tempie – bardzo szybkim albo z kolei ślimaczym. Kiedyś, jak dorwie Pierwszego, zapyta go o to, zanim oczywiście go zabije.

Planowanie jego śmierci chyba już stało się moim hobby – pomyślała z przekąsem.

Na plecach czuła ciężar skóry demona. W jakiś dziwny sposób dawał jej poczucie siły. A do zabicia tych wszystkich nawich, którzy byli na jej liście, będzie potrzebowała jej całkiem sporo.

– I jak poszło? – Mateusz poderwał się z ziemi, gdy tylko się zbliżyła.

Wraz z Nadią ukryli się w lesie daleko poza osadą,

żeby nie drażnić miejscowych.

– Jak widać. – Poklepała się po ramieniu, na którym wisiało futro mamona, po czym rzuciła chłopakowi drugi tobołek. – Szkoda, że nie wystarczyło na trzy – westchnęła. – A teraz w drogę, przed nami kilka dni marszu, zanim chociażby zbliżymy się do pustkowi.



Pierwszy pochylił się, oparł dłonie o uda i dyszał ciężko. Feliks musiał nieźle się wkurzyć, bił się jak szalony. Było kilka takich chwil, kiedy najstarszy żniwiarz zaczął wątpić we własne zwycięstwo.

Zerknął na nieruchome ciało przeciwnika.

– I co się dziwić, że Madzia cię uwielbiała – powiedział, po czym wyszedł z kuchni.

Musiał się spieszyć, zanim wróci ktokolwiek inny z szacownej rodziny Wojnów.

Zbiegł do piwnicy. Co prawda prąd nie działał, ale Pierwszy miał lepszy wzrok niż wszyscy żniwiarze. W kilka minut udało mu się odszukać skrytkę w ścianie. Tak jak podejrzewał, znalazł w niej to, czego potrzebował, choć myślał, że będzie tego więcej.

Przeskakując po dwa stopnie, wspiał się po schodach. Wyjrzał przez okno, ale nikogo nie było na ulicy. Pospiesznym krokiem poszedł po swój samochód i przeparkował go tuż pod dom. W aucie miał specjalnie przyszykowany na tę okazję brezent. Zawinął w niego ciało Wandy, zapakował je do bagażnika i niezatrzymywany przez nikogo odjechał.

To było takie proste. Gdyby nie niespodziewane

spotkanie z Feliksem, mógłby uznać, że aż nazbyt proste. Niecałe pół godziny później wjechał do niewielkiej, niemal zupełnie opuszczonej wsi o nazwie Grzmiąca. Niestety droga za nią była zupełnie nieprzejezdna – był to zaledwie trakt leśny, więc nikt nie miał jeszcze czasu oczyścić go z przewróconych drzew.

Ale nic to, pozostało już tylko kilkaset metrów, które mógł pokonać pieszo. Przerzucił sobie przez ramię ciało, wziął plecak oraz szpadel i ruszył przed siebie.

Gdy szedł po kocich łbach, obudziła się w nim pewna nostalgia. To właśnie w tym miejscu pomieszkiwał ponad rok temu wraz z Blankiem i potępieńcami. Tutaj realizował swój plan, układany przez całe stulecia w Nawii. Tutaj dokonał swojej zemsty. Szkoda tylko, że obróciła się ona przeciwko niemu.

Jego dawny dom zawalił się najprawdopodobniej podczas niedawnej wichury, podobnie jak wiele innych budynków. Stare drzewa owocowe połamały się niczym zapałki. Za wsią było jeszcze gorzej; dotarcie do starego, poniemieckiego cmentarza zajęło Pierwszemu więcej czasu, niż planował, ale uważał, że to było właściwe miejsce.

Gdy stanął wreszcie między kamiennymi grobami, złożył ciało na zielonym dywanie z barwinku płożącego się po ziemi między grubymi świerkowymi pniami. Wybrał odpowiednie miejsce i zaczął kopać. Zrobiło się ciemno, ale jemu w zupełności wystarczyła łuna powoli ubywającego księżyca.

Po północy grób był już gotowy. Pierwszy złożył do niego ciało tak delikatnie, aż sam się sobie dziwił. Po raz ostatni zajrzał do plecaka, umieścił go na klatce

piersiowej Wandy i przykrył ją brezentem, po czym zaczął zakopywać. Grudki gleby uderzały głucho o materiał. A potem było po wszystkim.

Pierwszy zabrał szpadel i ruszył z powrotem do wsi. Czuł na sobie zapach świeżej ziemi i krwi, drogę oświetlał mu księżyc. Gdy pod butami zachręścił piasek na kocich łbach i żniwiarz powiódł wzrokiem po pustych, zniszczonych budynkach, ogarnęło go zmęczenie. W tej chwili miał już niewiele do zrobienia.

Namierzył dom w najlepszym stanie, wyważył drzwi i rozejrzał się po brudnym, zapleśniałym miejscu. Cóż, na razie będzie musiało wystarczyć. W jednym z pokoiów stała obleśna kanapa – ale przecież sypiał już w gorszych warunkach. Położył się na niej, wsunął dłonie za głowę i zawiesił wzrok na popękkanym suficie.

To była prawdziwa ironia losu, że po całym tym czasie znów tu wylądował i znów pochował kolejnego żniwiarza. Bez radości uniósł lekko kąciki ust, a potem zamknął oczy.



Magda została gwałtownie wyrwana ze snu. Zewsząd otaczała ją ciemność. Czuła własną wściekłość i strach, ale jednocześnie były one zupełnie obce. Poderwała się z ziemi i rozejrzała. Słyszała zawodzenie demonów. Gdzie ona, do diabła, była?! Powiodła wokół spojrzeniem; niedaleko znajdował się stary buk otaczający korzeniami olbrzymi głąz porośnięty mchem. Wespnie się na niego i może zobaczy coś więcej. Poprawiała właśnie szelki plecaka, gdy niespodziewanie

coś na nią wpadło z dzikim wrzaskiem. Sięgnęła do paska po nóż...

Dziewczyna poderwała się do pozycji siedzącej. Spojrzała na ognisko i siedzącego przy nim Mateusza. Nigdzie nie było demona.

– Miałaś zły sen? – zapytał.

Już chciała skinąć głową, ale... przecież to nie był sen. Tego, co stało się przed chwilą, nie oglądała własnymi oczami. Miała wrażenie, jakby na chwilę znalazła się w cudzym ciele. Ciele żniwiarza.

– Ktoś wylądował w Nawii – powiedziała cicho.

– Co masz na myśli?

– Jakiś żniwiarz pojawił się w Nawii – wyjaśniła nerwowo. Jak on mógł tego nie rozumieć?

A jeżeli to Feliks?! Bo niby kto inny?

– Muszę go znaleźć! – Poderwała się z ziemi, koc zsunął się z jej ramion. Natychmiast sięgnęła po łuk.

– Magda, poczekaj, co ty robisz? – Mateusz również wstał.

Hałasy obudziły Nadię.

– Atakują nas? – zapytała rzeczowo.

– Feliks zginął i trafił do Nawii. Napadł na niego jakiś demon. A ja wiem gdzie.

Nie czekając na odpowiedź, nałożyła cięciwę na łuk i już miała wymaszerować, kiedy Mateusz złapał ją za łokieć.

– Magda, poczekaj, jest noc – powiedział.

– Dlatego tym bardziej muszę się spieszyć.

– Ale skąd ta pewność, że to on? – nie ustępował.

– Po prostu wiem. Poczułam to. Tak jak ty wyczuwałeś kiedyś Niję.

Mateusz spojrzał pytająco na Nadię.

– Ja spałam jak dziecko. – Pokręciła głową.

– Ja mogłem tego nie poczuć jak ty – odezwał się spokojnie, puszczając jej łokieć. – Ale Nadia, jako drugi żniwiarz, chyba powinna?

– Nie, bo Nadia nie jest... po prostu nie.

Postąpiła krok przed siebie, poza obręb światła rzucanego przez ogień.

– A jeśli to Nija miesza ci w głowie?

Pytanie zawisło w powietrzu, podobnie jak stopa Magdy.

– A trzeba mu przyznać, że jest w tym dobry.

Dziewczyna cofnęła się i usiadła przy ognisku.

– Nie wydawało mi się – burknęła.

Mimo to Mateusz miał rację. W Nawii trzeba było być ostrożnym nawet w ufaniu samemu sobie.

Jak na szpilkach doczekała chwili, aż noc zamieniła się w poranną szarówkę. A gdy zza horyzontu wystrzeliły pierwsze promienie słońca, Magda była już gotowa do drogi.

– Idę z tobą – oświadczył Mateusz. – Daleko to?

– Nie, jakaś godzina marszu.

– Tylko się pospieszcie, bo nie załapiecie się na śniadanie – rzuciła za nimi Nadia.

Magda szła przed siebie pewnym i równym krokiem. Znała te okolice. Była kiedyś tu z Żywią, a potem z Pierwszym. Kiedy człowiek przestawił się na świat bez dróg i domów, w końcu zaczynał jakoś orientować się w terenie.

Niewiele rozmawiali, a Magda wciąż czuła podenerwowanie. Co, jeśli dotrą tam za późno? Albo w ogóle jej się to wszystko przyśniło? I im dłużej roztrząsała tę kwestię w myślach, tym mniej była

pewna swego. Jednak nie zamierzała się zatrzymać.

Po niecałej godzinie ujrzeni buk oplatający korzeniami omszały kamień. Był tak charakterystyczny, że nie można go było pomylić z żadnym innym drzewem. Magda rozejrzała się, jednak nie zobaczyła nic podejrzanego ani nawet odbiegającego od normy.

Powoli podeszła do głazu i oparła na nim dłoń. Miękki mech promieniował delikatnym ciepłem.

– I...? – odezwał się Mateusz.

– Powinien gdzieś tu być – odparła bez większych nadziei. – Od nocy minęło dużo czasu, może już odszedł?

Bezradnie rozłożyła ręce. A przecież była taka pewna! Nie, przecież to widziała, czuła... Nie mogła tego sobie wymyślić!

Okrążyła drzewo, uważnie mu się przyglądając. Przecież ten żniwiarz chciał się na nie wspiąć. Może zostawił jakiś ślad, cokolwiek... Niestety nie dostrzegła nic, co sugerowałoby, że ktokolwiek był tu poprzedniej nocy.

– Magda! – Mateusz pochylał się w trawie dwa metry dalej.

Pospiesznie do niego podeszła.

– Krew – szepnęła, kucając.

Na trawie widniało kilka ciemnych plam.

– Zaatakował go demon – dodała. Zrobiło jej się gorąco, a zaraz potem zimno. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

– To może być równie dobrze posoka nawiego – pocieszył ją Mateusz. – A nawet jeśli człowieka, to jest jej stosunkowo mało.

Magda się wyprostowała. Dokąd mógł się udać? Gdzie

ona by uciekła? Przypomniała sobie swoją pierwszą noc w Nawii. Wtedy była jeszcze przekonana, że znalazła nowe ciało w świecie żywych, i ruszyła po prostu przed siebie, w żadnym konkretnym kierunku.

– Spójrz tam. – Wskazała ręką ledwie widoczną ścieżkę wydeptaną w trawie.

Zaprowadziła ich do lasu, a tam, na niewielkim zboczu, znaleźli niepełny odcisk buta. Na podeszwie znajdował się zdecydowanie współczesny wzór.

– Mówiłam – sapnęła Magda z satysfakcją. – Feliks! – wrzasnęła.

– Cicho – syknął Mateusz. – Ściągniesz na nas wszystkie demony czające się w pobliżu.

Machnęła ręką. To nie było w tej chwili takie ważne.

W lesie łatwiej było namierzyć ślady; ktokolwiek tędy szedł, nie przejmował się tym, że ktoś mógłby go tropić. Co kilka kroków znajdowali odciśnięty w miękkiej ziemi fragment obuwia, gdzieś indziej znajdowały się poruszone suche liście.

– Feliks! – krzyknęła ponownie, na co Mateusz się skrzywił.

– Jak Boga kocham, kiedyś nas zabijesz – jęknął.

– Nie zapominaj, że ja już nie żyję – wytknęła, pochylając się nad kolejnym śladem. – Czy ta stopa nie jest trochę mała jak na Feliksa? – zastanowiła się.

– Nie mam pojęcia, jaki on miał rozmiar buta. – Wzruszył ramionami.

Wspięli się na niewielkie wzniesienie. W dole przed nimi płynął wartki strumień, przewrócone drzewo przecinało go w jednym miejscu, a tuż obok, na kamieniu, siedziała skulona postać i myła ręce.

Magda nałożyła strzałę na cięciwę, Mateusz wyjął zza

paska nóż. W Nawii trzeba było zachować wszelkie środki ostrożności. Powoli zaczęli schodzić ku rzeczce, w której bystra woda szumiała na tyle głośno, że ktokolwiek znajdował się na dole, na razie nie mógł ich usłyszeć.

Od człowieka dzieliło ich zaledwie kilka metrów, kiedy ten wstał i się odwrócił.

– Wanda? – zdziwiła się Magda.

Nawia znów ją zaskoczyła.

Kobieta zmierzyła wzrokiem dwójkę przybyszów. Po Magdzie zaledwie się prześlizgnęła, ale w Mateusza wlepiała uważne spojrzenie.

– Ty przecież... ty nie żyjesz – wykrztusiła w końcu.

– Ty najwyraźniej też – odezwała się Magda.

Wanda zmarszczył brwi i dopiero w tej chwili dziewczyna zdała sobie sprawę, że znajoma jej nie rozpoznała. Ale przecież wszyscy żniwiarze potrafią rozpoznać siebie nawzajem nawet w innych wcieleniach.

Jestem bardziej podobna do Pierwszego, niż mogłabym przypuszczać.

– To ja, Magda.

Wanda nawet nie drgnęła.

– Ale przecież ty... gdzie my jesteśmy?

– W Nawii – odparła głucho dziewczyna.

– Nie. – Wanda pokręciła głową. – Żniwiarze nie trafiają do Nawii... Jesteśmy na ziemi... To moje nowe wcielenie... – Wskazała na siebie.

– A jak wspomnienia osoby, do której należało to ciało? – zapytała nieco zgryźliwie Magda.

– Ja...

– Pusto? Nie masz żadnych wspomnień, w głowie jest

pustka, bo to nie jest nowe ciało. To jesteś ty, a raczej mieszanina twoich wszystkich wcieleń.

Wanda spojrzała na swoje dłonie, zgięła palce i wyprostowała je.

– Zabił mnie – szepnęła. – Ten drań mnie zabił! A nikt już nie wraca!

Podniosła wściekłe spojrzenie na swoich znajomych.

– Kto cię zabił? – zapytała Magda, choć tak naprawdę znała odpowiedź.

– Pierwszy, a kto niby? – To imię wyrzuciła z siebie niczym jakąś obelgę.

Magda usiadła na zboczu, kręcąc głową.

– Czyżby wrócił do swojego pierwotnego planu zabicia wszystkich żniwiarzy? – odezwał się Mateusz.

– W takim razie całkiem nieźle mu idzie, bo został już tylko Feliks – burknęła Wanda.

– U niego wszystko w porządku? – Magda się ożywiła.

– Załamał się po twojej śmierci. Ale żyje.

– A pozostali? Moja rodzina? Tosia? Bliźniacy?

– Wszyscy żyją, jak na razie. Choć w Wiatrołomie dzieją się iście dantejskie sceny. Wciąż nie ma prądu, co noc rozpętuje się piekło, było już kilka ofiar śmiertelnych. Na razie policja podejrzewa jakąś grupę świrów, ale... – Pokręciła głową.

W głowie Magdy zapaliła się czerwona lampka. Uruchomiło ją coś, co powiedziała Wanda, tylko które słowa to były?

– Jak to: wciąż nie ma prądu? – zapytała po chwili.

– Też uważam, że mogliby już go podłączyć. Ale wichura była zbyt niszczycielska. Brakuje też wody, ale ponoć służby robią wszystko, co w ich mocy...

– Brakuje wody – powtórzyła głucho Magda. – Ile

czasu minęło od mojej śmierci?

– Niecały tydzień.

Magda przyłożyła palce do skroni. Czy naprawdę dobrze usłyszała?

– Tydzień?

Wanda pokiwała głową.

– Przecież ja tu już jestem od miesięcy!

– Niemożliwe. Zginęłaś dwudziestego siódmego czerwca, a ja... matko, który to był? Chyba pierwszy lipca.

– Dziewczyny – odezwał się Mateusz. – To kiedy ja zaginałem?

– Dwa tygodnie i dwa dni przede mną – odparła Magda, na co on wybuchnął śmiechem. – Co jest?

– Jestem tu od jakiegoś roku.

Dziewczyna dokonała w głowie szybkich obliczeń.

– To się nie zgadza. – Pokręciła głową. – Skoro ja tu jestem od kilku miesięcy, na pewno dłużej niż pół roku, a minął tylko tydzień, to ty nie możesz być od roku. Powinno być więcej.

– Bo chyba czas działa tu zupełnie inaczej niż w świecie żywych. Raz wolniej, a raz szybciej? – zasugerował. – Albo przyspieszył, jak Niji tu nie ma?

Magda machnęła ręką. To nie było teraz takie ważne. Właśnie dowiedziała się, że jej rodzina nadal jej potrzebuje, że wciąż nie zdążyli się uporać ze skutkami trzynastego księżyca. Że wszystko mogła jeszcze naprawić. Uśmiechnęła się szeroko.

– Wracajmy do obozu – powiedziała. – Bo Nadia nie poczeka ze śniadaniem.

– Nadia? – zapytała Wanda.

– Najwyraźniej wszystkie drogi prowadzą nie do

Wiatrołomu, jak myślałam, tylko do Nawii.



Przez całą drogę powrotną Magda usiłowała ogarnąć umysłem to, co się wydarzyło. Pomijając kwestię zawirowań czasu, zastanawiała się, dlaczego Pierwszy zamordował Wandę. Przecież potrzebował innych zniwiarzy, żeby zniszczyć Niję w świecie żywych. Co on znowu wymyślił? Był nieobliczalny i zawsze o krok... nie, o cały maraton przed innymi. Zdawało się, że cokolwiek robił, wciąż improwizował, ale tak naprawdę szedł po trupach i to dosłownie, w kierunku, który znał tylko on.

Zabawne – pomyślała, patrząc na Wandę, kiedy już wrócili do obozu i jedli spóźnione śniadanie. *W świecie żywych wszyscy pewnie świrują, że ona nie żyje, a my szczerze ucieszyliśmy się na jej widok. Jej śmierć jest tu raczej dobrą nowiną. Swoją drogą, to całkiem niezłe wygląda...*

Nawia nie zdążyła jeszcze jej sponiewierać. Dwie godziny wcześniej Wanda była przekonana, że znalazła nowe ciało w świecie żywych. *No i Feliks lepiej spisał się przy jej pochówku.* Poczowała delikatne ukłucie zazdrości. Znajoma miała na sobie wygodne ubranie, dobre buty, kurtkę. Była wyposażona w nóż, zapalniczkę, toporek, plecak...

Magda potrząsnęła głową. Nikt o zdrowych zmysłach nie pochowałby jej z plecakiem!

– Skąd to masz? – zagadnęła.

– Był przy mnie, jak się ocknęłam – odparła Wanda.

– A co w nim masz? – zapytała dziewczyna. Jej serce przyspieszyło, zaschło jej w ustach.

Kobieta otworzyła plecak i wyjęła z niego kilka batonów, butelkę z wodą, mały śpiwór, nawet paczkę chusteczek higienicznych.

Magdzie aż ślinka pociekła na widok słodyczy.

– Chcecie? – Wanda podała po jednym każdemu.

Najmłodsza spośród żniwiarzy chciała swój oddać – przecież wiedziała, że nie będzie jej smakował – ale nie mogła się powstrzymać. Wgryzła się w baton z orzechami i karmelem, grubo oblany czekoladą... i nic. Smakował jak wszystko inne w Nawii. Z zazdrością spojrzała na Mateusza i Nadię, którzy w milczeniu rozkoszowali się smakiem słodyczy.

– Kto cię pochował? – zapytała Magda między gryzami i dokładnie w tej samej chwili zdała sobie sprawę, jak głupie było jej pytanie.

– Chyba nie sądzisz, że to pamiętam? – powiedziała nieco uszczypliwie Wanda.

– No nie, przepraszam. I nie masz tam już nic więcej?

Kobieta pokręciła głową.

Na cholerę ją zabijać i wyposażać w podręczny zestaw survivalowy? – tłukło się po głowie Magdy. Feliks na pewno jej nie grzebał. O co tu chodziło?

– A nie, poczekaj, coś jest zawinięte w śpiwór – odezwała się Wanda, po czym wyciągnęła małą plastikową butelkę wypełnioną czarnym, gęstym płynem.

Magda wzięła ją do ręki i poderwała się z ziemi.

– Nie wierzę! – wykrzyczała. – On wiedział! I to było jego tajemne źródło?! Nie mógł mi wcześniej powiedzieć?!

– Ale o co chodzi? – zapytała Nadia, marszcząc brwi.
– Nasze życie właśnie stało się o wiele prostsze. –
Uśmiechnęła się szeroko dziewczyna. – Wiesz, co to
jest? – Magda rzuciła buteleczkę Mateuszowi.

Chłopak odkręcił korek i powąchał cuchnący płyn.

– Trucizna, prawda?

– Tak! Teraz możemy iść prosto na pustkowia! Dzięki
Pierwszemu! – Magda miała wrażenie, jakby wewnątrz
niej zapaliła się latarnia, która oświecała wszystko
wokół.

*Nie zostawił mnie ze złościwością! Wiedział, że
będziemy potrzebować trucizny, i wiedział też, gdzie ją
zdobyć! Bo polowanie na te wszystkie demony zajęłoby
nam długie miesiące!*

– Przepraszam bardzo – odezwała się zgryźliwie
Wanda. – I to właśnie dlatego musiał mnie zabić? A nie
mógł sam siebie poświęcić?

– Pierwszy? Poświęcić samego siebie? Przecież go
znasz – rzucił Mateusz.

– Nie, nawet jakby popełnił samobójstwo, znalazłby
się w Nawii bez niczego. Ty musiałaś być pochowana
z tymi wszystkimi rzeczami.

– Wystarczyło poprosić – powiedziała. –
A z przyjemnością bym go zabiła i nawet pochowała
z całą tą wyprawką.

Magda skinęła głową. Trochę racji w tym było, ale
Pierwszy na pewno obawiał się, że zarówno Wanda, jak
i Feliks mogliby nie wykonać jego instrukcji dokładnie.
Przecież nawet by mu nie uwierzyli, gdyby oświadczył,
że wrócił z Nawii, gdzie spotkał Magdę.

Patrząc na twarze swoich towarzyszy, stwierdziła
jednak, że nie podzielają jej entuzjazmu.

– W takim razie czy ktoś łaskawie mi wytłumaczy, co będziemy z tym robić? – Wanda potrząsnęła buteleczką, która wróciła do jej rąk.

Magda pokrótce wyjaśniła jej cały plan.

– A potem będziemy mogli wszyscy wrócić do domu – zakończyła.

Miny pozostałych były co najmniej sceptyczne.

– O co chodzi? – zapytała.

– Magda, stąd się już nie wraca – powiedział grobowym tonem Mateusz.

– Żniwiarze potrafią, więc ty na pewno też – zapewniła.

– Żniwiarze wcale tego nie potrafią – odezwała się Nadia.

– Jak to nie? A Pierwszy?

– To jest pierwszy żniwiarz, najpotężniejszy z nas wszystkich. Potrafi więcej. A my powinniśmy się cieszyć, że w ogóle tu jeszcze jesteśmy.

Magda miała wrażenie, jakby jej wewnętrzna latarnia nagle zgasła, zostawiając ją w ciemności. Wszystko opierało się na tym, że po całym tym ryzyku czeka ich nagroda, którą miał być powrót do domu.

– Ale i tak pomożemy naszym rodzinom. – Mateusz usiadł obok niej i objął ją ramieniem. – Oni nie będą o tym wiedzieli, ale ich uratujemy.

¢

Sebastian nerwowo krążył po celi. Wyrzucał sobie, że nie uciekł, jak tylko zobaczył ten przeklęty radiowóz przed barem. Policja zawsze lubiła się czepiać

bliźniaków. Najwyraźniej coś było nie tak z ich twarzami, że od razu podejrzewano ich o wszystko. Zawsze potrafili się z tego wykręcić, nigdy jednak żaden z nich nie został posądzony o morderstwo. A przecież Sebastian nawet nie znał koleś! Sielanka się skończyła, oskarżą go o wszystkie podejrzane zgony w mieście, bo głupim psom nie będzie się chciało szukać kolejnych winnych. A nawet gdyby, to i tak ich nie znajdą. Jakoś nie wyobrażał sobie policji usiłującej zaaresztować jakiegoś demona. Jak nic dostanie dożywocie.

A to ich przesłuchanie...? Prychnął cicho. Przez cały czas traktowali go jak mordercę. To, że poprzedniej nocy był w domu z bratem, babcią i dziewczynami, wcale zdawało się do nich nie docierać.

Od śmierci Magdy wszystko zaczęło się sypać.

Odruchowo podrapał się po mostku i natychmiast skrzywił z bólu – oparzenie po spaleńcu nadal się nie zagoiło. Oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy. Tylko cud może go stąd wyciągnąć.



– Za żyjących – powiedziała Nadia.

– Za żyjących – przytaknęli pozostali.

Trzy kobiety żniwiarze i jeden nieumarły stali na granicy pustkowi. Przed nimi rozciągał się szary krajobraz. Nic tam nie rosło, nie było widać żadnych zwierząt.

– To miejsce przyprawia mnie o ciarki – powiedziała Wanda.

Wyglądała ładnie w wianku na głowie. Ani ona, ani Nadia nie były przekonane co do jego ochronnych właściwości. Wiedziały oczywiście o magicznym kole, o właściwościach tojadu, piór i zębów dzikich zwierząt, jednak wianek nie wydawał się wystarczającą ochroną przed nawimi.

Z kolei na czoło Mateusza wystąpiły kropelki potu. Było stanowczo zbyt gorąco na to, żeby nosić futro demona. Magda czuła dokładnie to samo. Poprawiła fibulę od Władysława i zrobiła pierwszy krok do szarej krainy. Pozostali wkrótce podążyli za nią.

Kiedy szare słońce zawisło nisko nad horyzontem, Magda zarządziła postój.

– Możemy jeszcze kawałek przejść – powiedziała Nadia. – Zmierzch zapadnie dopiero za jakiś czas.

– Tutaj ciemność nadchodzi nagle, bez ostrzeżenia. – Magda pokręciła głową.

– Jak poetycko to brzmi – stwierdził Mateusz.

– Poetycko czy nie, możesz mi wierzyć, że zanim się obejrzysz, nastanie noc.

Nikt się nie kłócił. W końcu ona jedyna była już na pustkowiach. Wyjęła z kołczanu strzałę.

– Stań tu i tylko się obracaj – poleciła chłopakowi.

Złapała go za rękę, wbiła lekko grot strzały w ziemię i okrążając Mateusza, wyrysowała na niej duży okrąg. Później wyryła jeszcze trzy krzyże. Wyjęła z plecaka suszone zioła, wysypała je na miseczkę, podpaliła i natychmiast przykryła deseczką, gasząc ogień. Gdy delikatnie odchyliła drewnienko, na zewnątrz uleciał gryzący dym. Magda przeszła wzdłuż granicy okręgu, mamrocząc egzorcyzm po łacinie. Co prawda Władysław używał innych słów, ale przecież sens miały ten sam.

– Nie mamy drewna na ognisko – odezwała się Nadia, reperując swój wianek. Na wszelki wypadek zarówno ona, jak i Wanda miały zapas kwiatów zawiniętych w wilgotne szmatki.

– Przykro mi, ale tutaj nie będziemy palić ognia. – Magda pokręciła głową.

Gdy obozowisko było już zabezpieczone, dzień nagle zmienił się w noc, a wraz z nią z ukrycia wyszły demony. W mroku rozbrzmiewały wrzaski, zawroźnienie, rżenie, powarkiwanie. Wzrok ludzi nie sięgał daleko poza bezpieczny okrąg, ale wyobraźnia podsuwała najbardziej koszmarnie obrazy tego, co prześlizgiwało się tuż obok nich. Słyszeli tupot, powolne kroki i dudnienie łap albo kopyt czegoś naprawdę wielkiego.

Magda widziała w mroku blade twarze towarzyszy. Podejrzewała, że tej nocy żadne z nich nie pośpi za dużo. Pustkowiec wywoływały w ludziach – i na dobrą sprawę w żniwiarzach też – najczarniejsze myśli. Po raz pierwszy w życiu spotkali się z tak wieloma bestiami w jednym miejscu. A będzie jeszcze gorzej. Dopiero co tu weszli, a przed nimi jeszcze długa droga do samego środka.

Kolejny ranek wstał szary i ponury. Wszystkich drażnił wszechobecny pył, znalazł się w ubraniach, włosach, ustach, nawet oczach. A był tak drobny, że bardzo trudno było się go pozbyć. Towarzysze Magdy mieli podkrążone oczy. W milczeniu zjedli trochę suszonego mięsa i popili wodą, którą musieli gospodarować bardzo oszczędnie.

Przez cały dzień zagłębiali się coraz bardziej w pustkowiec. Umysł wręcz błagał o jakąkolwiek rozrywkę dla oczu, ale wszędzie wokół znajdowała się

tylko szarość i księżycowy krajobraz.

– Tutaj zawsze tak jest? – zapytała Wanda.

– I nigdy nic się nie zmienia – odparła Magda.

– Ześwirować można – dodała Nadia. – Przez pół nocy nie spałam, bo co chwila miałam wrażenie, że nas atakują.

Pozostali pokiwali głowami ze zrozumieniem.

A wy nie jesteście sami – pomyślała Magda. Gdy ona uciekała z pustkowi, była już przekonana, że straciła rozum. Niewiele brakowało, a poddałaby się, pozwoliła, żeby demony rozszarpały ją na strzępy.

– Jak to się stało, że zostałam zniwiarzem? – zagadnęła kolejnego wieczoru Nadia.

Siedzieli wewnątrz kręgu, czekając na noc. Brakowało ogniska, które rozproszyłoby wszelkie ponure myśli.

Magda ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że jej znajoma została zamordowana, zanim rozpętało się całe to piekło z Pierwszym i Niją.

– Za długo to też nim nie pobylam – odezwała się. – Wydaje mi się, że to wszystko było z poczucia winy, że nie przejrzałam planów Pierwszego, oraz z chęci zemsty. Jestem chyba jedynym człowiekiem, który został zniwiarzem w nagrodę, żeby móc wyrównać rachunki.

– Nie powiedziałabym, żebym cieszyła się z takiej nagrody. – Wanda zatoczyła rękoma półokrąg w powietrzu.

– Też o tym nie marzyłam, ale cóż, jesteśmy tu i możemy zrobić coś dobrego dla ludzi.

– Wieczna optymistka – orzekł Mateusz, obejmując ją ramieniem.

Pocałował ją w czoło, a ona poczuła wyrzuty sumienia. Znow go okłamywała. A przecież to przez kłamstwa

znalazł się w Nawii. Gdyby tylko wszyscy byli ze sobą szczerzy, ich losy mogły potoczyć się zupełnie inaczej.

– Zastanawiała mnie jeszcze jedna rzecz – odezwała się po chwili Wanda. – Dlaczego nie mogłam cię rozpoznać?

– Co masz na myśli? – Magda zmarszczyła brwi.

– Ja też nie mogłam! – dodała Nadia. – Ale myślałam, że to dlatego, że nie poznałam cię jako żniwiarza, tylko jeszcze jako człowieka.

Wszystkie trzy spojrzały na Mateusza.

– Wyglądasz jak mieszanka starej Magdy i Oliwii – powiedział. – Od razu wiedziałem, że to ty. Chociaż jest coś nie tak z twoimi oczami.

– Jak to coś nie tak? – zaniepokoiła się.

– Są takie...

– Inne – dokończyła Wanda.

– Dokładnie. – Nadia pokiwała głową.

Żniwiarze zawsze potrafili rozpoznać siebie nawzajem. Nawet gdy zmieniali ciało. Magda odkryła to, gdy wróciła do domu w nowym ciele. Gdy patrzyła na zdjęcia, na których był między innymi żniwiarz Antoni w różnych wcieleniach, od razu potrafiła namierzyć go na fotografii. Wtedy odniosła wrażenie, jakby to była ta sama osoba, tylko czasem trochę wyższa albo szczuplejsza czy z innym kolorem oczu albo włosów.

– On też tak miał – szepnęła Nadia. – Jego oczy były zupełnie inne niż u pozostałych żniwiarzy.

Widać było, że i ona nawet nie chciała wymówić imienia Pierwszego. Dla niej wciąż był przerażającą istotą, która po kolei mordowała wszystkich żniwiarzy. Nawet jeśli Mateusz opowiedział jej o jego zmianie taktyki gry i o tym, że czasem miał przebłytki dobrej

duszy, nie uwierzyła w to.

– Bo jest coś jeszcze, co powinniście wiedzieć – odezwała się po chwili Magda.

Czuła na sobie ich spojrzenia i bała się reakcji, jaką wywoła tym, co zamierzała im powiedzieć, ale uznała, że koniec kłamstw i mijania się z prawdą.

– Nie jestem zwykłym żniwiarzem – wydusiła z siebie.

Wanda uniosła pytająco brwi, Mateusz cicho parsknął ze śmiechu.

– Mówię serio – obruszyła się. – Po części jestem też demonem.

Wewnątrz kręgu zapadła cisza.

– To całkiem ładny demon z ciebie – zażartował chłopak.

– Nie można być „po części” demonem – stwierdziła Nadia.

– Urodziłam się w przesilenie letnie podczas innego trzynastego księżyca, z dwiema duszami.

– Niemożliwe, po śmieci byłabyś wtedy...

– Demonem – dokończyła. – Dwie dusze to nie jest bardzo rzadkie zjawisko, sami o tym wiecie. Stąd zwyczaj nadawania dwóch imion na chrzcie. Obie dusze trzeba ochrzcić, obu nadać imię. Bo jeśli nie, to po śmierci biedaka jedna zamieni się w demona.

– No ale ty masz chyba dwa imiona? Twój rodzice nie byliby na tyle nieostrożni...

– Tak, mam – przyznała. – Ale ta druga dusza była zbyt silna, żeby chrzest pomógł... A pierwsza została żniwiarzem...

– To trochę skomplikowane jak na tę chwilę – odezwał się Mateusz, zachowując pogodę ducha. Poza bezpiecznym okręgiem nadal szalały demony. – Nad

takimi kwestiami powinniśmy się zastanawiać w barze nad kuflem piwa.

Magda była mu wdzięczna za taki komentarz. Może i nie był górnych lotów, ale zdawał się mówić: *Okej, nie jest kolorowo, ale ze wszystkim damy sobie radę.* Poza tym chłopak wydawał się zupełnie inny w Nawii. Przestał być taki spięty i nerwowy. Najwyraźniej widział już najgorsze, więc los miał niewielkie pole do popisu w kwestii wszelkich niespodzianek. W końcu trudno zaskoczyć człowieka, który za życia wylądował w pogańskich zaświatach.



Komendant patrzył na drżącą rękę staruszki odstawiającej filiżankę na spodek. Porcelana zabręczała cicha, a w oczach Janiny Wojny pojawiły się łzy.

– To naprawdę grzeczni chłopcy – przekonywała łamiącym się głosem. – Oni by czegoś tak straszego nie zrobili. Wczoraj rozdawali głodnym sąsiadom żurek.

Żona Gajewskiego poklepała ją pokrzepiająco po dłoni. A komendant nadal zastanawiał się, jak to się stało, że babcia podejrzanego o zabójstwo wpakowała się do jego domu, a teraz piła herbatę i płacząco wyjaśniała, że jej wnukowie mają alibi na noc zabójstwa.

– Cały czas byli ze mną, mam co najmniej czterech świadków, którzy to potwierdzą – mówiła. – Zresztą zabroniłam im wychodzić z domu w nocy, bo teraz to jest zbyt niebezpieczne.

Gajewski zerknął na swoją żonę, a ta wzruszyła ramionami. Nie wpuściłaby do domu nikogo obcego, a tym bardziej powiązanego z zabójstwem, ale to przecież była przestraszona staruszka. Takim wszystko uchodzi na sucho. Konrad Gajewski zastanawiał się tylko, czy to jest ta sama kobieta, która wypowiedziała wojnę całej swojej rodzinie, aby odzyskać to, co jej się należało. Wychodziło na to, że plotki, które do niego dotarły, bardzo zniekształciły prawdę... albo ta staruszka była znakomitą aktorką.

– Proszę pani – odezwał się. – Na razie nie oskarżamy o nic Sebastiana Wojny. Przedmiot należący do niego został znaleziony na miejscu zbrodni, musieliśmy więc zatrzymać pani wnuka...

– To musi być jakaś pomyłka – oświadczyła.

– Sprawdziliśmy odciski palców, wszystko się zgadza.

– Zatem ktoś musiał podrzucić tę... rzecz – zdecydowała. – Ktoś chce zrobić mojego wnuka w zabójstwo.

Przez następny kwadrans staruszka wypytywała go o szczegóły. Nic jej nie zdradził, ale miał wrażenie, że i tak dowiedziała się tego, co chciała. Po kolejnych kilku minutach wreszcie udało mu się ją wyprosić.

– Biedna kobiecina – westchnęła jego żona. – Przeżywa pewnie załamanie nerwowe. Jesteś pewien, że ten jej wnuk jest winny?

– Facet wygląda, jakby urodził się winny wszystkiego – burknął Gajewski.

Ale co, jeśli ta cholerna zapalniczka została rzeczywiście podrzuciona? Albo znalazła się tam przez przypadek? Pokręcił głową. Nie ma takich zbiegów okoliczności. Ale też takie morderstwa nie zdarzały się

do tej pory w Wiatrołomie. Jeżeli nie znajdą więcej dowodów, będzie musiał wypuścić go z aresztu. I znów zaczną błądzić po omacku w tych ciemnościach, jakie ogarnęły jego miasto.



Kolejny szary dzień w szarym świecie. Umysł popadający powoli w depresję, żołądek buntujący się na samą myśl o suchym, paskudnym prowiancie, pragnący coraz więcej i więcej wody, wysuszona skóra, pękające usta, oczy piekące od pyłu i ciągły strach. Obawa, że w nocy ktoś przez sen przypadkiem przerwie granicę okręgu, że wianek spadnie z głowy albo skóra zsunie się z pleców, a wtedy wszystkie demony dowiedzą się o czwórce śmiałków, którzy wyruszyli na straceńczą wyprawę, by unicestwić pana zaświatów. A im głębiej w pustkowie, tym więcej demonów. Niektóre zaczęły nawet pojawiać się za dnia.

– Co to, do diabła, jest? – skrzywiła się Wanda.

Wszyscy w osłupieniu patrzyli na wyglądającego groteskowo demona, który wspiał się na pobliski głaz. Miał postać końskiej czaszki na sześciu pajęczych nogach. Jego ruchy były szybkie, nerwowe, na chwilę przystawał zupełnie nieruchomo, żeby zaraz zerwać się do krótkiego biegu, po czym znów zastygał, wpatrzony czarnymi oczodołami w nie wiadomo co. Co jakiś czas wydobywał się z niego dziwaczny klekot, kiedy gwałtownie zamykał i otwierał szczękę.

– Tutaj mnie chyba już nic nie zaskoczy – stwierdziła Nadia.

Ominęli szerokim łukiem dziwnego demona. Ten nagle zeskoczył ze swojego głazu i ruszył prosto na nich. Chude pajęczne nóżki przebierały w szybkim tempie. Nawi prawie wpadł na Nadzię, która na szczęście zdążyła odskoczyć, za to przywalił w piszczele Wandy, która nie była już tak szybka.

Kobieta straciła równowagę i z głuchym łupnięciem wylądowała na ziemi. Z kolei nóżki demona rozjechały się i czaszka walnęła podstawą o kamienie. Szybko jednak pozbierała się i zaczęła walecznie rozglądać się za wrogiem. Wszyscy znieruchomieli, nikt nie wydał nawet najmniejszego dźwięku. Demon w podskokach obracał się wokół własnej osi, nie mogąc namierzyć intruza. Zaklekotał głośno.

Mateusz przytknął palec do ust, ostrożnie podszedł do kreatury i trącił ją lekko butem. Nawi nastroszył się, o ile można tak powiedzieć o czaszce na nóżkach. Chłopak natychmiast się wycofał, ale nadal pozostał niewidoczny dla tej pokraki. Magda skinęła mu głową, więc ponownie się do niej przybliżył i wbił swoją maczetę w sam środek białej kości.

Stwór zatrzeszczał, jego nogi gwałtownie się wyprostowały, a potem podkuliły. Kiedy Mateusz wyszarpnął maczetę z jego czaszki, przeturlał się kilkadziesiąt centymetrów i znieruchomiał, leżąc na boku.

– Co za dziwadło – skwitowała Nadia.

– Słyszałam już kiedyś o takich demonach – odezwała się Wanda. – Pojawiały się przy drogach i straszyły podróżników. Nie były raczej niebezpieczne, ale wystarczył sam ich widok, a zawał murowany. Matko, czy wy też jesteście tak zmęczeni?

Magda wzruszyła ramionami, Nadia i Mateusz spojrzeli po sobie w zastanowieniu.

– Przepraszam was, ale mój refleks pozostawia wiele do życzenia – kontynuowała kobieta. – W tej przeklętej Nawii czuje się taka ślamazarna.

– Chyba wszyscy mieliśmy tak na samym początku – powiedziała Magda. – Ale można się przyzwyczaić.

Tego dnia doszli do szarego strumienia. Woda w nim cuchnęła, ale ich zapasy były na wykończeniu, więc nie mieli innego wyjścia, jak napełnić nią puste butelki.

– Jesteś pewna, że się nie otrujemy? – zapytała Nadia, krzywiąc się na sam zapach rzeczki.

– Ja piłam już tę wodę i jakoś żyję – odparła Magda. – Mam tylko nadzieję, że to nie dzięki tej demonicznej części.

– My też – stwierdziła Wanda, poprawiając na swojej głowie uschnięty już wianek.

Chociaż woda była paskudna w smaku, nikt na szczęście się od niej nie pochorował.

Z każdą godziną byli coraz bliżej celu. Pustkowia stały się jeszcze bardziej ponure, zewsząd otaczały ich demony i musieli być coraz ostrożniejsi. Chociaż nawi ich nie widzieli, wystarczyło, żeby żniwiarze i Mateusz przez przypadek zderzyli się z jakimś stworem, aby zostali zdemaskowani, o czym przekonali się podczas spotkania z końską czaszką na nóżkach. Ale tamta kreatura, choć szkaradna i pokraczna, nie stanowiła wielkiego zagrożenia. Gorzej mogłoby to się skończyć, gdyby wpadli na przykład na upiora.

– Mówiłam już, że coraz mniej mi się tu podoba? – odezwała się szeptem Nadia.

– Tak, kilka razy – rzucił Mateusz.

Poruszali się coraz wolniej, a ich marsz przypominał raczej slalom między włóczącymi się dookoła demonami. Noc i dzień zlały się ze sobą w wieczną szarówkę i jedynym sposobem, aby je rozróżnić, było obserwowanie nawich, którzy przez połowę czasu wykazywali nieco mniejszą aktywność.

Mimo wszystko nerwy czwórki ludzi były napięte do granic możliwości. Jeden niewłaściwy ruch mógł rozpętać piekło. Okolica stała się bardziej skalista, musieli wciąż wyszukiwać bezpieczne ścieżki pomiędzy ostrymi jak brzytwa głazami. Szary pył jakby pociemniał, każdy krok wzbijał w powietrze całe jego tumany. Wszyscy musieli wciąż mieć zasłonięte usta, gdyż dostawał się do płuc i wywoływał męczący suchy kaszel.

– Dziś powinniśmy zabezpieczyć trucizną naszą broń – odezwała się Magda czwartego dnia rano.

Po jej towarzyszach było widać zmęczenie. Nie mogli spać i niechętnie wstawali, wyglądali, jakby byli chorzy.

Choć ze mną wcale nie jest lepiej.

– Myślisz, że to już dziś? – zapytał konkretnie Mateusz.

– Nie wiem. Ale wokół jest tyle demonów, że coraz gorzej się idzie między nimi. Musimy być gotowi na zabicie ich.

Wanda wyjęła butelkę z szarą cieśzą. Magda ostrożnie polała nią groty wszystkich strzał, Mateusz swoją maczetę, Nadia i Wanda ostrza włóczy. To samo zrobili

z każdym nożem.

Jak co rano pozbierali swoje rzeczy i z coraz większą niechęcią ruszyli w drogę. Najgorzej znosiła to wszystko Wanda. W Nawii była najkrócej z całej czwórki, co odbijało się na jej sile i szybkości. Starali się odciążać ją, jak tylko mogli, ale przecież nikomu nie było łatwo.

– Albo mi się zdaje, albo coś nas śledzi – odezwał się w pewnej chwili Mateusz.

– Też to widziałam – powiedziała Magda.

Już od dłuższego czasu gdzieś na horyzoncie przewijał się czarny, włochaty grzbiet, w mroku błyskały czerwone ślepie.

– Ale przecież nas nie widzi, prawda? – zaniepokoiła się Nadia. – Te przekłete wianki są w coraz gorszym stanie. Nawet ciągle naprawianie ich nie pomaga. Co, jak się rozlecą albo stracą swoje właściwości?

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie. – Magda wciąż wypatrywała śledzącego ich demona, który nagle zniknął za kawałkiem skały.

W końcu wzruszyła ramionami i postąpiła krok do przodu.

– Stój! – rozkazała Wanda.

Ale było już za późno. Postawiła stopę na czymś ciemnym, co tkwiło w zagłębieniu terenu. Nagle rozjarzyło się, a płynna magma rozlała się między poczerniałymi płatami zwęglonego mięsa.

Spalenić podniósł się z chrzęstem pękającej nadpalonej skóry. Jego czarne oczodoły rozjarzyły się, kiedy spojrział wprost na Magdę. Dziewczyna natychmiast pożałowała, że nie miała przy sobie suszonego bagna. Musiało minąć kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, że nawi tak naprawdę patrzył przez

nią. Wiedział, że coś wyrwało go ze snu, ale nie miał pojęcia co.

– Proponuję powoli się wycofać – odezwał się Mateusz.

Każdy ostrożnie zrobił krok do tyłu. Spalenić wciąż usiłował namierzyć nową ofiarę. Niespodziewanie odwrócił gwałtownie głowę i ruszył wprost na Nadię. Pozostali za późno zdali sobie sprawę z tego, że akurat w tej chwili jej wianek pękł i zaczął zsuwać się z głowy.

– Uważaj! – krzyknęła Magda.

Nawi cisnął w Nadię ognistą kulą. Uchyliła się przed nią, ale właśnie wtedy wianek spadł na ziemię. Magda błyskawicznie nałożyła strzałę na cięciwę i strzeliła prosto w klatkę piersiową stwora. Brzechwa wystająca z ciała zajęła się ogniem.

Demon zdawał się nawet nie zauważyć tego, że został trafiony. Znacznie szybciej, niż wskazywałby na to jego wygląd, ruszył do ataku na Nadię, która spróbowała dźgnąć go włócznią. Jednak gdy tylko ostrze dotknęło ciała nawiego, ogień przeszedł na drzewce. Kobieta natychmiast cofnęła broń.

– Hej, tu jestem! – zawołała Magda, zdejmując z siebie futro mamona.

Spalenić natychmiast odwrócił się w jej stronę.

– Naprawcie ten wianek! – poleciła, skupiając wzrok na demonie.

Drewno zajmowało się ogniem, a więc pozostawał tylko metal. Odrzuciła łuk i wyciągnęła zza paska nóż. Uchyliła się przed ognistą kulą. Na szczęście nie latały bardzo szybko. Kątem oka widziała, jak Wanda przypada do Nadii i razem próbują naprawić rozerwany wianek. Jednak nie było to zadanie, które łatwo wykonać w nerwach i pośpiechu.

Mateusz zerwał z siebie futro i narzucił je na Nadię.

– Chodź tu! – krzyknął.

Spaleniec odwrócił się w jego stronę.

– Pospieszcie się! Zanim zlecą się tu wszystkie demony! – zawołała Magda.

Jakby na zawołanie tuż przed nią pojawił się wieszcy.

Odskokczyła do tyłu, unikając ostrych czarnych pazurów. Mateuszowi z kolei udało się odrąbać spaleńcowi rękę. Demon wpadł w szal. W powietrzu zaczęły się unosić ogniste kule.

Magda przypadła do ziemi, kiedy potężna łapa przeleciała jej nad głową. Złapała łuk, który wcześniej odrzuciła, napięła i strzeliła, trafiając wieszczego w ramię. O dziwo strzała wbiła się głęboko w ciało. Najwyraźniej trucizna działała całkiem nieźle.

Demon zaszarżował. Dziewczyna schowała się za wielkim kamieniem przylegającym do skalnej ściany, a potem się na niego wspięła.

Wypuściła jeszcze jedną strzałę w nawiego.

– Gotowe! – wrzasnęła Nadia, wkładając na głowę wianek.

Wanda ściągnęła z niej futro Mateusza, podbiegła do chłopaka i zarzuciła mu je na plecy. Spaleniec już go nie widział, ale zdawał sobie sprawę z tego, że wróg musi być gdzieś blisko, więc zaczął na oślep miotać swoimi kulami i wymachiwać rękoma. Mateusz próbował go powstrzymać.

Wieszcy usiłował wspiąć się na kamień Magdy. Dziewczyna zaklęła. W całym zamieszaniu za bardzo oddaliła się od swojego futra. Spięła mięśnie i wyskoczyła wysoko nad demonem. Oparła stopę na niewielkiej półce w skalnej ścianie, była ona jednak za

wąska i dziewczyna natychmiast straciła równowagę. Wylądowała na ziemi, przeturlała się przez bark i podniosła się niepewnie. Nawi odwrócił się do niej. Zerknęła na niego i na futro, a potem zerwała się do biegu. Stwór ruszył za nią.

Rzuciła się na ziemię i już dotykała koniuszkami palców miękkiego futra, kiedy silne palce zacisnęły się na jej kostce i szarpnęły z mocą. W dłoni została jej jedynie kępka czarnego włosia. Przeszorowała brzuchem po ziemi. Odwróciła się na plecy i spróbowała kopnąć napastnika, ale był zbyt daleko. Piętą uderzyła w jego palce trzymające jej nogę, ale nie wywarło to większych skutków.

Pozostali byli od niej oddzieleni wściekłym spaleńcem i nie mogli przyjść jej z pomocą. Magda wyrzuciła rękę w bok, złapała ostry kamień i cisnęła nim w łeb demona. Nie pomogło.

Nagle kątem oka zobaczyła coś czarnego. Nie, tylko nie kolejny – pomyślała z rozpaczą.

Wówczas włochaty demon rzucił się... na wieszczego. Wskoczył mu na plecy i wgryzł się w bark. Ten zaczął się szarpać i wrzeszczeć, a co najważniejsze, puścił Magdę. Dziewczyna odturlała się jak najdalej od tej kotłowaniny czarnej sierści i sino-szarej skóry. W kilku krokach dopadła swojego futra i zarzuciła je na plecy, spinając fibulą. Obejrzała się na przyjaciół. Przed nimi leżało dogasające ciało spaleńca wyginające się w konwulsjach, a kawałek dalej znajdowała się jego głowa.

Tuż obok Magdy rozgrywała się natomiast walka na śmierć i życie. Widziała czerwone ślepie, ostre pazury. Wieszczy zrzucił z siebie napastnika. Olbrzymi pies

wylądował miękko na łapach i obnażył wszystkie zęby. Przez dłuższy czas mierzyli się wrogimi spojrzeniami, aż ten pierwszy prychnął głośno, odwrócił się i odszedł. Nie wyczuwał już ludzi, więc wyglądało na to, że postanowił sobie odpuścić.

Magda stanęła metr przed zwidem.

– To ty, prawda? – zapytała.

Nadia syknęła głośno.

– Uważaj – ostrzegł Mateusz.

Pies nadal stał i patrzył w przestrzeń.

– Co ty robisz?! – odezwała się Wanda, kiedy Magda postąpiła krok w stronę demona.

– Spokojnie, nic mi nie zrobi – odparła. – Chyba – dodała ciszej.

Wiedziała, że nawi jej nie widzi, a mimo to miała pewne obawy. Powoli wyciągnęła przed siebie rękę. Demon drgnął, więc cofnęła się, ale już po chwili dotknęła palcami nieco lepkiego futra za uchem.

– To ja, poznajesz mnie? – szepnęła.

Zwid nie poruszył się. Podrapała go, a wtedy usiadł.

– Magda... – odezwał się niepewnie Mateusz.

Powoli sięgnęła drugą ręką do fibuli i ją odpięła. Futro zsunęło się na ziemię, a demon zogniskował spojrzenie czerwonych ślepi na dziewczynie.

– To z ciebie zdjęłam łańcuch, prawda? – zapytała. – Dlatego za mną chodzisz? I to ty zabiłeś Białego...

Zwid dał się pogłaskać po zmierzwionej, paskudnej sierści.

– W każdym razie dziękuję – powiedziała.

Mateusz podszedł do niej, schylił się po futro i bez słowa zarzucił je jej na plecy. Demon wstał i po prostu odszedł.

- Chcesz nas o zawał przyprawić? – zapytał chłopak.
- Musiałam się przekonać – odparła, patrząc w ślad za nami. – To on za nami szedł. Ale najwyraźniej nie ma zamiaru nas pozabijać.
- Oby – powiedział Mateusz z pewną obawą w głosie.



Zdawało się, że jedyna droga prowadziła przez niezbyt głęboki wąwóz. Wysoko nad nimi zaś piętrzyły się ostre skały.

- Górą raczej nie da rady. – Mateusz zeskoczył z ostatniej półki skalnej.

Magda zadarła głowę. Nie podobało jej się to. Wolałaby wspiąć się wyżej i przynajmniej widzieć, co mogło ich czekać. A wąwóz wyglądał co najmniej podejrzanie.

- Dziewczyny? – Odwróciła się i spojrzała na umazane czarnym pyłem twarze.

- Raczej nie mamy innego wyjścia – westchnęła Wanda. – Ale jesteś pewna, że to dobry kierunek?

Pokiwała głową. Czuła gdzieś w głębi siebie, że byli coraz bliżej. Podejrzewała, że to zasługa jej demonicznej części, która szóstym zmysłem potrafiła namierzyć choć mniej więcej władcę zaświatów.

- Zatem do dzieła. – Nadia weszła do wąwozu.

Z początku był on dość szeroki i niezbyt głęboki, jednak z czasem skały po bokach zaczęły piętrzyć się coraz wyżej, a ściany zawężać. Coś chrupnęło pod butem Magdy. Schyliła się i nabrała garść pyłu, a gdy przepuściła go przez palce, na dłoni zostały jej resztki połamanych, szarych kości.

Wyrzuciła je i wytarła rękę o spodnie.

– Myślicie, że wielu było tu przed nami? – zapytała Wanda.

– Nie sędzę, żeby znalazło się aż tylu takich świrów – odparł Mateusz.

Im dalej w wąwóz, tym gorsze uczucia ogarniały wszystkich. Szarówka, przez którą nie odróżniali dnia od nocy, wpędzała ich w ponury nastrój, jednak tutaj w dole było jeszcze gorzej. Mieli wrażenie, jakby znaleźli się w pułapce bez wyjścia, ściany zacieśniały się coraz bardziej, a na końcu czekała ich śmierć.

Opanuj się – przykazała sobie Magda. Jak wpadniesz w depresję, to będzie to koniec.

Z każdą chwilą ich misja zdawała się coraz trudniejsza do wykonania, wręcz niemożliwa. Dlaczego porwali się na unicestwienie samego władcy zaświatów? Przecież to bez sensu! Żadne z nich nie ujdzie stąd z życiem. Powoli zapominali, dlaczego to robili, twarze ich bliskich były coraz bardziej rozmyte we wspomnieniach. Czy w ogóle jeszcze istniał jakikolwiek świat żywych?

– Bez jaj – sapnęła nagle Nadia.

Magda stanęła obok niej i spojrzała na nową przeszkodę. Na jej widok jeszcze bardziej podupadła na duchu. Zdawało się, jakby pustkowia wciąż rzucały im kłody pod nogi.

– Bezkost? Serio? – szepnął Mateusz.

Demon spał zwinięty na samym środku ich ścieżki, swoim zwalistym cielskiem zajmując ją praktycznie całą.

– W życiu nie widziałam takiego wielkiego okazu – stwierdziła ze znużeniem Wanda.

– Bo te cholerne demony są tu bardziej przypakowane
– mruknęła Magda.

– Co robimy? – zapytała Nadia.

– Musimy przejść obok niego – odparła dziewczyna. – Jak się cofniemy, to stracimy pół dnia, a górą nie da się przejść, więc minie kolejny dzień, zanim znajdziemy inną drogę. A na ściany też się nie wespniemy.

– Przynajmniej jesteśmy niewidoczni, więc może prześpi całą akcję – powiedział z nadzieją Mateusz.

– Może – powtórzyła Magda. – Dziewczyny, wasze wianki się trzymają? Bo jak to dziadostwo się obudzi, to w tej wąskiej przestrzeni będziemy bez szans.

Nadia i Wanda upewniły się, że ich ochrona jest nadal skuteczna i nie spadnie im z głów w najmniej odpowiednim momencie.

Magda ruszyła pierwsza. Zbliżyła się do wielkiej, szarej bestii bez oczu. Nawi był większy niż koń, leżał zwinięty na szarej ziemi, przylegając bokiem do czarnej skały. Magda widziała chude kończyny i czarne szpony. Duże, poszarpane nozdrza rozszerzały się, kiedy demon oddychał.

Policzyła w myślach do pięciu, oparła się dłonią o przeciwległą ścianę i zrobiła krok nad długą łapą, dotykającą skały. Poruszała się powoli i bezgłośnie. Bała się nawet oddychać.

Jeszcze kawaleczek... Zaledwie metr...

Minęła dwie łapy, ale został jej jeszcze jeden krok nad wielkim, łysym łbem. Wychyliła się do przodu i zahaczyła palcami o pęknięcie w ścianie. Była już zmęczona wędrówką i obawiała się, że w całym tym napięciu straci nagle równowagę. Serce tak jej waliło, że dziwiła się, że jeszcze nie obudziło potwora.

Delikatnie postawiła stopę na palcach po drugiej stronie, powoli się przechyliła...

Nagle bezkost się poruszył. Zamarła. Demon przez sen zmieniał pozycję. Jeżeli przesunie swój łeb jeszcze kawałeczek, to podetnie jej nogi! Przeniosła ciężar ciała na lewą stopę i znalazła się po drugiej stronie. Prawie się przewróciła, chcąc znaleźć się jak najdalej od bestii.

Odetchnęła dopiero dwa metry dalej. Dała przyjaciołom znak, że kolej na następną osobę.

Błada jak papier Wanda zbliżyła się do bezkosta. Oglądanie jej przeprawy z drugiej strony było chyba jeszcze gorsze niż samodzielne jej pokonywanie. Magda przygryzła w napięciu własną pięść. Starła się nawet nie mrugać, obserwując zarówno demona, jak i kobietę.

Wanda, podobnie jak jej poprzedniczka, dla zachowania równowagi opierała się o ścianę. Wykonała ostatni krok i cofnęła dłoń, a za nią posypały się na ziemię drobne kamyczki.

Magda w niemym przerażeniu patrzyła, jak kawałki skały uderzają o ziemię, a bezkost podnosi łeb. Wanda nie wytrzymała chyba napięcia i zamiast stanąć nieruchomo, rzuciła się do przodu, robiąc przy tym sporo hałasu. Wykonała przewrót i z hukiem wylądowała na swoim plecaku. Demon poderwał się na równe nogi i zaczął węszyć.

Wszyscy byli prawie pewni, że nie mógł ich wywąchać, jednak niepokój pozostał.

Magda złapała za ramiona Wandę, która wpadając na nią, niemal się przewróciła.

Nawi wciąż stał, niezdecydowany, co robić. Zaparł się przednią łapą o skalną ścianę. Nadia najwyraźniej zobaczyła tutaj przejście dla siebie, tuż pod jego pachą.

Magda kręciła głową, żeby tego nie robiła. Chciała krzyknąć, żeby koleżanka się zatrzymała, ale ona pewnie szła przed siebie. Zdawała się tańczyć, kiedy mijała demona. Jej stopy dotykały ziemi tylko palcami, było coś magicznego w jej ruchu. Jeszcze chwila, kilka centymetrów, a jej się uda.

I wtedy bezkost opuścił łapę. Magda obserwowała to jak na spowolnionym filmie. Widziała, jak Nadia uchyla się przed kończyną. Może i wyszłaby z tego bez szwanku, ale czarne szpony zahaczyły o włosy związane w kucyk. Ześlizgnęły się po nich i gwałtownie zacisnęły, ale kobiety już tam nie było.

Bezkost rozprostował łapę i trafił ją w plecy. Poleciała do przodu.

W jednej chwili stało się kilka rzeczy. Magda nałożyła strzałę na cięciwę, Nadia uderzyła w ziemię, wzbijając tumany pyłu, a Mateusz prześlizgnął się pod zwalistym cielskim demona. Podniósł z ziemi włócznię, którą upuściła jego przyjaciółka, wbił ją prosto w serce nawiego i gwałtownie wyszarpnął. Bezkost z dzikim skowytym wyprostował się, a wtedy strzała ugodziła go w drugie serce. Po czym zwałił się martwy wprost na dwójkę ludzi.

Magda i Wanda podbiegły do nich i pomogły im się wydostać spod demona.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, wszyscy łapali oddech. To, co się przed chwilą wydarzyło, było wręcz niemożliwe. Nikt nigdy nie zabił bezkosta, i to tak wielkiego, w tak krótkim czasie.

– Wszyscy żyją? – zapytał Mateusz.

– Pieprzę całą tę Nawię, pustkowia i Niję! – wybuchnęła Wanda.

– Wnoszę więc, że tak – zażartował chłopak.

– O nie – jęknęła Magda.

Właśnie dostrzegła złamany kawałek brzechwy z czarnymi lotkami leżący na ziemi nieopodal demona. Podbiegła do niego i go podniosła.

Rzuciła wiązanek przekleństw, zaglądając do swojego kołczanu. W pośpiechu zamiast złapać zwykłą strzałę nasączoną trucizną, wybrała czarną. A przecież miała je tylko trzy.

– Nie, nie, nie! – wściekała się.

– Co jest? – Mateusz podszedł do niej.

– Wiesz, co to takiego? – Machnęła mu ciemnymi lotkami przed oczyma. – To są specjalne strzały na Niję! Tylko na niego, nie na zwykłego demona!

– A co jest w nich takiego odmiennego? – zainteresowała się Nadia.

– Grot jest z łańcucha zwida przetopionego na ogniu latawicy, promień z kija boginki, a lotki z piór kłobuka!

– Cholera. Może i upolujemy tu taki zwierzyniec, ale wolałabym nie ryzykować...

– Ale masz jeszcze dwie. – Mateusz ostrożnie wysunął je z kołczanu. – Na dobrą sprawę powinna wystarczyć jedna, więc i tak jesteśmy do przodu. A trzeba im przyznać, że mają moc. Wbiła się w bezkosta jak w masło. No i gdyby nie to, nawi mógłby zabić kogoś z nas.

Magda ze zniechęceniem pokiwała głową, wciąż zerkając do kołczanu. Zapas jej zwykłych strzał również malał w zastraszającym tempie.

– Damy radę – stwierdził chłopak. – Przed nami jeszcze tylko kawałek. Czuję, że jesteśmy już naprawdę blisko.

Rozdział 21



Feliks czuł nieprzyjemny nacisk na klatkę piersiową. Coś go dusiło, nie pozwalając zaczerpnąć tchu. Z wielkim trudem powoli uniósł powieki i spojrzał prosto w wielkie, bursztynowe oczy.

– Co...? – zaczął; w tej samej chwili dotarło do niego, że siedzi na nim wielkie, rude kocisko. – Sio! – Machnął ręką, zganiając je z siebie.

Był w salonie. Usiadł na kanapie, opuszczając stopy na podłogę. W głowie tak mu łupało, jakby gdzieś tam pod czaszką znajdował się kamieniołom. Przetarł ręką oczy, a kot wskoczył na fotel i rzucił mu obrażone spojrzenie. Żniwiarz przyłożył palce do szczęki i poruszył nią. Bolała jak diabli.

Wtedy napłynęły wspomnienia... Czasem człowiek dociera na sam skraj rozpacz i beznadziei i patrzy przed siebie, a tam już nic nie ma. Czarna pustka.

– Feliks? – Do pokoju weszła Tosia. – Jak się czujesz? Co się stało? Skąd ta krew w przedpokoju?

Spojrzał na nią, ale nie potrafił znaleźć słów. Podała mu woreczek z lodem, zawinięty w ścierkę, który przyłożył do pulsującej szczęki.

– Wróciliśmy na noc do domu i zastaliśmy cię nieprzytomnego w kuchni – wyjaśniła. – Na początku przestraszyliśmy się, że nie żyjesz...

Ja też myślałem, że tym razem to już koniec. – W jego umyśle pojawiła obojętna myśl. Wcale nie cieszyło go to, że się obudził.

Do pokoju wmaszerowali Klara i Adrian.

– Nie wiedzieliśmy, czy zawozić cię na pogotowie – odezwała się dziewczyna. – Ale ta krew... baliśmy się, że kogoś zabiłeś. No i po tym, co się stało w barze,

uznaliśmy, że to nie jest dobry pomysł...

Wymieniła spojrzenie z bliźniakiem.

– A Sebę przecież aresztowali – odezwał się Adrian. – Za zabójstwo jakiegoś kolesia. Nawet nie wiemy, kto to! Babcia jest teraz na posterunku.

Skoro był w areszcie, to znaczyło, że żył. To więcej, niż można powiedzieć o...

– Feliks? – odezwała się Tosia. – Gdzie jest Wanda? Nie wróciła rano do domu. Szukaliśmy jej, ale nigdzie jej nie ma.

Zwlekał z odpowiedzią. Słowa nie chciały przejść mu przez gardło.

– Pierwszy wrócił i ją zabił – powiedział w końcu.

W pokoju zapadła cisza tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

– Przecież koleś miał już nie wrócić! – wybuchnął Adrian. – Sam mówiłeś, że umarł na dobre!

Feliks nie odpowiedział.

– No i po co miałby ją zabijać? Przecież współpracowaliście! Mielicie wszyscy razem zlikwidować tego Niję! – Podniósł kota, usiadł na fotelu i posadził sobie zwierzaka na kolanach, a następnie automatycznie zaczął go głaskać wielkimi dłońmi.

W oczach dziewczyn zalśniły łzy.

– Myliliśmy się – odezwał się po chwili pustym głosem Feliks. – Magda się myliła. I ja. Pierwszy nadal zabija żniwiarzy. I prawie dopiął już swego. Zostałem tylko ja.

Podniósł się i odłożył ścierkę z lodem na stół.

– Dokąd idziesz? – zapytał Adrian.

– Znajdę go i zginę, próbując go zabić.

Wiedział, że nie był dla niego godnym przeciwnikiem. Ale skoro ta historia i tak ma się skończyć śmiercią

wszystkich żniwiarzy, to po co odwlekać nieuniknione?

– Nie idź! – Tosia poderwała się z krzesła i złapała go za rękę. – Nie rób tego. – W jej oczach znów pojawiły się łzy, tym razem bezsilności. – Co będzie z nami? Demony...

– Jeżeli jakimś cudem przeżyję, to wy i tak zginiecie w ciągu mojego życia – powiedział. – Jak wszyscy.

Wyrwał rękę z jej uścisku i skierował się do piwnicy. W salonie zaległa cisza. Zbyt wielkie nadzieje w nim pokładali. A może bez niego będą bezpieczniejsi? Ludzie w jego otoczeniu wciąż umierali w tragicznych okolicznościach. Gdy odejdzie, może przerwie to fatum?

Wyjął cegłę ze ściany, zajrzał do swojej skrytki i wyjął z niej pistolet. Sprawdził magazynek, a po chwili wahania sięgnął po pudełko z nabojami. Przekona się, czy Pierwszy jest kuloodporny.

Już miał odłożyć cegłę na miejsce, kiedy coś przykuło jego uwagę... a raczej brak czegoś.

Magda, Mateusz i Wanda nie żyli. A tylko oni mogliby zabrać truciznę, w której działanie szczerze zaczął już wątpić.

– I jeszcze mnie okradł – powiedział na głos. – Tylko po co?

I dlaczego zostawił mnie przy życiu, skoro mógł mnie też zabić? – kołatało mu się w głowie. Czyżby Pierwszy lubił dozować sobie tę przyjemność, jaką jest mordowanie żniwiarzy? Miał wykopany wcześniej tylko jeden grób? Dlaczego zabrał jej ciało?!

Jak go dopadnie, zada mu te wszystkie pytania. Może wreszcie cokolwiek zrozumie.

Noc spędzili na dnie wąwozu. Na szczęście była to ścieżka w większości wolna od demonów, więc choć raz mogli spać, nie słysząc zwykłych odgłosów pustkowi. To miejsce wysysało z nich wszelkie chęci do życia, ale wciąż starali się dawać z siebie wszystko.

Magda przylgnęła do Mateusza. Tak miło było znów czuć jego ciepło, silną rękę oplatającą ją w talii, jego ciepły oddech w jej włosach. Miała wrażenie, jakby był sterem trzymającym ją na odpowiednim kursie. Bo gdyby nie on, możliwe, że już dawno porzuciłaby ten straceńczy pomysł zniszczenia Niji. A może wreszcie odezwałaby się w niej jej demoniczna część? Może zupełnie poddałaby się szaleństwu i ruszyła przed siebie, zabijając nieważne kogo, ludzi czy demony? W jakimś sensie była to bardzo kusząca wizja.

– Kocham cię, wiesz? – szepnęła, kiedy myślała, że wszyscy byli już pogrążeni we śnie.

Poczuła, jak jego ramię mocniej ją obejmuje, zupełnie jakby ją usłyszał. Przesunęła się nieco i spojrzała w cienki pasek szarego nieba pomiędzy krawędziami wąwozu. Nie widziała żadnych gwiazd. Czy to prawda, że nikt już nie wydostanie się z Nawii? Jeżeli przeżyją, to czy całą czwórką zamieszkają gdzieś razem? Może nawet w osadzie pogan. Ale czy to będzie prawdziwe życie? Wydawało jej się, jakby jej towarzysze byli bardziej zakotwiczeni w tym świecie niż ona. Czy w tej kwestii była taka jak Pierwszy? A jeżeli zdoła wrócić do świata żywych, kiedy to nastanie? W końcu ostatnim razem Pierwszy spędził tu dobre kilkaset lat. Warto wracać do innego już świata z przyszłości, gdzie nie

spotka ani jednej znanej jej osoby?

Targana wątpliwościami usnęła, a obudziła się, gdy poczuła chłód na plecach. To Mateusz już wstał i wraz z Nadią przeglądał ich zapasy.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy Magda otworzyła oczy.

– Jesteście pewni, że to dzień? – zapytała, ziewając.

– Nie mamy pojęcia – odparła Nadia. – Ale wydaje nam się, że pora ruszać.

– Niedługo skończy nam się jedzenie – odezwał się Mateusz. – A wody wystarczy tylko na dwa dni. I tyle samo dzieli nas od ostatniego strumienia, jaki mijaliśmy. Może powinniśmy zawrócić?

– Bez sensu – orzekła Nadia. – Wtedy z kolei padniemy z głodu.

– Wszystko skończy się dziś – odezwała się Magda.

– Co? – zapytali równocześnie.

– Mam przeczucie, że jesteśmy już naprawdę blisko. Trzeba obudzić Wandę.

Kobieta wyglądała najgorzej z nich wszystkich. Obawiali się, że w takim tempie się wykończy. A kiedy zupełnie padnie z sił, co wtedy? Dlaczego w ogóle ciągnęli ją na pustkowia, nie zastanawiając się nad tym, że na początku każdy jest w Nawii słaby jak szczenię?

– Kochani... – odezwała się Wanda, pakując się.

Jej blada twarz była teraz wręcz zielonkawa.

Bardzo ostrożnie wyjęła coś z plecaka. Była to pęknięta plastikowa butelka. Na jej dnie zachlupotała odrobina szarej cieszności.

– Chyba zgmiotłam ją jak... jak poleciałam na plecy przy tym bezkoście...

W jej oczach zalśniły łzy. Magda miała ochotę wrzeszczeć i przeklinać.

– Jesteś pewna, że to już dziś? – Mateusz delikatnie złapał ją za ramię.

Pokiwała głową.

– Dobrze, w takim razie nic się nie stało – kontynuował. – Ta resztką wystarczy, żeby ponownie nałożyć ją na naszą broń.

– Tak, damy radę – przytaknęła Magda. – W końcu Niję mogą zabić tylko czarne strzały, a mam ich aż dwie. A skoro reszta broni też będzie zabezpieczona... Tak, damy radę – powtórzyła głucho.

Wanda uśmiechnęła się słabo z wdzięcznością.

Po jakiejś godzinie marszu coś dziwnego zaczęło dziać się z otoczeniem. Szary pył stał się czarny i unosił się w powietrzu niczym strzępy mgły. Było w nim coś niepokojąco znajomego. Magda spróbowała złapać go w rękę, ale natychmiast się rozplynął. Uniosła wzrok i napotkała porozumiewawcze spojrzenie Mateusza. Z podobnej materii byli zbudowani cieniści – wysłannicy Niji.

A więc jesteśmy naprawdę blisko.

W końcu ściany wąwozu obniżyły się, aż zupełnie zrównały się z gruntem, a czwórka ludzi stanęła przed wielką doliną usianą ostrymi skałami, oskarżycielsko skierowanymi ku szaremu niebu. Wszędzie wokół unosiły się strzępy czarnego pyłu, który zgęstniał, stał się bardziej kleisty.

– Widzicie to... coś, co łączy skały? – zapytała Nadia.

Wysilili wzrok; rzeczywiście wszystko tam zdawało się połączone czymś czarnym przywodzącym na myśl liany z tropikalnej dżungli. Gdzienigdzie były cienkie jak

nitki, gdzieś indziej grube niczym pnie drzew. A każda z nich prowadziła w jedno miejsce – w sam środek mrocznej doliny.

– Jakby ktoś się jeszcze zastanawiał, czy dobrze idziemy, to chyba nie ma już wątpliwości? – rzuciła Magda, chcąc rozładować atmosferę, jednak niewiele to pomogło.

– Czy mi się wydaje, czy tam w dole wszystko się rusza? – odezwała się Wanda.

Rzeczywiście, wszystkie ścieżki między czarnymi skałami zdawały się aż roić od demonów.

– Przecież jakby było za łatwo, to co weekend ktoś zasadzałby się na pana zaświatów – powiedział Mateusz, siląc się na wesoły ton.

Magda uśmiechnęła się tylko z grzeczności.

Zeszli w dół. Dolina z tej perspektywy przypominała olbrzymi labirynt. Wiele razy musieli zawracać albo szukać równoległej drogi, bo poprzednia była dosłownie zawałona przez nawich lub rumowiska skalne. Jednak nie obawiali się, że się zgubią. Czarna, smolista substancja oblepiająca wszystko swoimi nićmi prowadziła ich w odpowiednim kierunku.

Raz na ich drodze pojawił się upiór w towarzystwie dwóch zmor, a kiedy chcieli zawrócić, okazało się, że za ich plecami stanęło jeszcze więcej demonów.

– Co teraz? – zapytała Wanda umęczonym głosem.

Magda wymieniła spojrzenie z Mateuszem.

– Idziemy do przodu – postanowili równocześnie.

Ona wyjęła z kołczanu strzałę, on pewniej złapał swoją maczetę.

– Pilnujcie tych z tyłu – powiedział do Nadii.

Magda z trudem napięła cięciwę. Futro ciężące jej na

ramionach ograniczało ruchy. Wypuściła strzałę, która wbiła się prosto w łeb upiora. Zmory nie widziały ludzi, ale wyczuły, że coś jest nie tak, i ruszyły powoli w ich stronę. Rozległ się głośny klekot. Wystarczyła jedna strzała i cięcie maczetą, by padły martwe.

– Musimy iść – powiedziała twardo Nadia.

Magda obejrzała się za siebie i zobaczyła nawich powoli kroczących w ich stronę.

– Spadamy – powiedziała.

Szli dość szybko, ale demony były coraz bliżej, wiedzione w ich stronę jakimś szóstym zmysłem. Magda odwróciła się i posłała kilka strzał w te, które znajdowały się niebezpiecznie blisko.

– Mój kołczan niedługo będzie pusty – ostrzegła.

Nawich wciąż przybywało, aż w końcu czwórka ludzi stanęła przed niemożliwym. Próbowali kilku różnych ścieżek, ale z każdą było to samo – aż roiło się na niej od demonów. Nie mieli szans przejść obok nich.

– To koniec – odezwała się Wanda.

Odwrócili się do niej. Już od dłuższego czasu wlekła się w tyle.

– Nie przejdziemy, a on tam jest.

– Jakoś damy radę, przeszliśmy nad śpiącym bezkostem, a to już coś – powiedział Mateusz, próbując dodać jej otuchy.

Wanda pokręciła głową ze smutnym uśmiechem.

– Możemy odwrócić jakoś ich uwagę – dodała Nadia.

– Kiedy spotkałam cię po raz pierwszy, odniosłam wrażenie, że jesteś osobą, która sama pisze scenariusz swojego życia, nieważne, jak szalony by on był. – Wanda zwróciła się do Magdy. – Zabij go – poprosiła zdecydowanym głosem, po czym... zdjęła swój wianek

z głowy.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna.

– Włóż to z powrotem! – Nadia dopadła do niej, ale nie była w stanie wyjąć z jej ręki wianka, nie rozrywając go przy tym.

– Ona to zrobi – powiedziała spokojnie Wanda. – W końcu to bratanica Feliksa. I... trochę demon.

Odwróciła się na pięcie i po prostu odeszła. W oddali rozległo się wycie demonów, które złapały trop.

– Wanda! – krzyczała Magda. – Nie!!! Wracaj!

Nadia z kolei spojrzała na Mateusza. Postąpił krok w jej stronę, ale pokręciła głową.

– Pomogę jej, a wy to załatwcie.

Ruszyła truchtem za Wandą, w drodze zdejmując wianek.

– Nie – jęknęła Magda. – Głupie baby, co wy robicie?!

– Uwaga! – Mateusz wpadł na nią i przycisnął ją do najeżonej ostrymi krawędziami skalnej ściany. Spojrzała ponad jego ramieniem na tabuny demonów pędzące za ich przyjaciółkami. Tak musiało wyglądać piekło. Widziała setki gorejących oczu, czarne szpony i pazury, kły głodne ludzkiego mięsa, futro, pióra, skórę, łuski. Połowy z tych nawich nawet nie potrafiłaby nazwać.

Przez kilka minut trwali tak przytuleni do siebie, aż zapadła cisza dzwoniąca w uszach.

– Chyba wszystkie pobiegły za nimi – odezwał się Mateusz. Jego głos brzmiał dziwnie głucho.

Magda pokiwała głową, nie była w stanie dobyć z siebie głosu.

– Chodźmy. – Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

W marszu otarła łzy. To, co zrobiły, było bohaterskie,

ale zarazem głupie. Obie podpisały na siebie wyrok śmierci. A w związku z tym oni nie mogli zawieść. Śmierć Wandy i Nadii nie mogła pójść na marne.



Otaczał ich gęsty, smolisty dym; zwieszał się ze skał, rozścielał na ziemi, był jak pajęczyny pokrywające wszystko wokół. Magda i Mateusz wiedzieli, że nie mają zbyt wiele czasu. Jak długo Wanda i Nadia zdołają uciekać przed demonami? A kiedy bestie je zabiją, wtedy same wrócą na swoje zwykłe stanowiska, znów zagradzając im drogę.

Nie odzywali się do siebie, co jakiś czas tylko stykali się dłońmi, jakby dla upewnienia się, że obok ktoś jest. Żeby choć przez chwilę poczuć ciepło drugiego człowieka.

Magda wspięła się na barki Mateusza i jedną stopą oparła się o ostrą krawędź skały. Przed nimi znajdował się lej, do którego wiodła czarna substancja. To właśnie tam musiał się ukrywać Nija. *Strzel prosto w jego serce* – przypomniała sobie słowa Pierwszego.

Zeskoczyła na ziemię.

– Jeszcze kilkadziesiąt metrów i on tam będzie – powiedziała.

Mateusz skinął głową, a ona automatycznie pogładziła lotki dwóch ostatnich strzał.

– Kiedy dotrzemy na miejsce, ja odwrócę jego uwagę, a ty ukryj się na jakiejś dobrej pozycji – powiedział. – Tak, żebyś mogła oddać celny strzał. Postaram ci się go wystawić. Jak znam życie, to znów będzie wielki, więc

powinnaś trafić bez problemu. W ogóle to szacunek za to, że w tak krótkim czasie nauczyłaś się tak dobrze strzelać.

Mimowolnie się uśmiechnęła.

– Szarmancki nawet na progu piekieł – stwierdziła.

– Dla ciebie wszystko – odparł i puścił do niej oko.

Ruszyli wąską ścieżką między poszarpanymi skałami.

– Wolne żarty – odezwał się po chwili Mateusz.

Przed nimi było dwóch łepich. Krążyli niespokojnie w poprzek korytarza.

– Nie masz już strzał, prawda? – zapytał chłopak.

Zerknęła do kołczanu. Tylko dwie czarne.

– Obejdziemy ich – postanowiła, ale on pokręcił głową.

– On jest tuż za nimi. Ty się schowaj, a ja odciągnę ich uwagę...

– Nie! – syknęła. – Nie pozwolę ci poświęcić się tak jak im!

– Ej, spokojnie, przecież obiecałem, że wystawię ci Niję tak, żebyś miała czysty strzał. Zdejmę futro i odbiegnę kawałek. Oni na pewno ruszą za mną. A ty schowasz się o tu. – Wskazał szczelinę w skale. – Kiedy się oddalą od ciebie, włożę futro i wrócę.

Nie była przekonana.

– A może ja...

– Raczej nie biegasz szybciej ode mnie, ale na pewno celniej strzelasz. Ja bym sam siebie postrzelił z łuku.

Delikatnie popchnął ją w stronę szczeliny.

– Mateusz, ja...

Pocałował ją długo i namiętnie, jakby to miał być ich ostatni pocałunek.

– Je też cię kocham – powiedział, a następnie zdjął z ramion futro i wsunął je pod pachę. – Hej, wy!

Pokraki! Tutaj jestem!

Obaj łepi zaczęli biec prosto na niego.

– Do zobaczenia za chwilę. – Zerwał się do biegu.

Gdy tylko demony minęły Magdę, wyskoczyła ze swojej kryjówki. I wtem zobaczyła coś, czego żadne z nich się nie spodziewało. Trzeci łepi wyszedł zza załomu, a Mateusz wpadł prosto na niego. To zaś oznaczało śmierć.

Magda zadziałała instynktownie.

Demony, które goniły chłopaka, były jeszcze od niego dość oddalone, najbardziej zagrażał mu ten, z którym się zderzył. Bez namysłu nałożyła strzałę na cięciwę, ale się zawahała. Jeżeli chybi, nie ocali ukochanego, a jedynie pomniejszy swoje szanse na unicestwienie Niji. Zawiedzie wszystkich, zarówno żyjących, jak i martwych. Może nawet sama zginie. Ale czy naprawdę chciała żyć w świecie bez Mateusza?

Odpowiedź była prosta. Wyprostowała palce i wypuściła strzałę. Patrzyła, jak ta leci i zagłębia się w klatce piersiowej łepiego, który już miał zadać śmiertelny cios.

Demon padł martwy. Mateusz nie zdążył nawet spojrzeć na dziewczynę – od razu zerwał się do biegu, żeby umknąć goniącej go dwójce. Skręcił za załom i już go nie widziała.

Zaczęła liczyć w myślach. Minuta, dwie, trzy... powinien już wrócić. Cztery... A jeśli go dopadły? Pięć... Nie mogła już dłużej czekać. Sześć...

– Kocham cię – szepnęła, po raz ostatni oglądając się za siebie.

Łykając łzy, ruszyła na spotkanie władcy zaświatów. Tę walkę będzie musiała stoczyć sama.

Nikt ani nic już jej nie zatrzymywało. Jej stopy same odnajdywały drogę między ostrymi skałami; kilka razy poślizgnęła się na czarnej mazi, ale szybko odzyskiwała równowagę. Co chwilę przystawała, nasłuchując. Tak bardzo chciała usłyszeć za sobą kroki, jednak żaden dźwięk nie zmącił otaczającej jej ciszy. Wreszcie dotarła prawie do samego środka kotliny. W dole przed nią, niczym pająk uśpiony na pajęczynie utkanej z czarnej nici, znajdowało się czarne serce.

Wyglądało jak ludzkie, tylko było sto razy większe.

Prosto w serce.

Było lśniące i biło w bardzo wolnym rytmie. Czy to miało być aż takie proste?

Ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli to wcale nie o to chodziło? Jeśli swoim godnym pożałowania atakiem tylko rozwścieczy Niję? W głowie wciąż miała obraz wielkiej ognistej postaci wyłaniającej się ze studni. Pan zaświatów był zbyt potężny, aby mogli go kiedykolwiek pokonać. Jednak rozkazy Pierwszego były proste: przebij jego serce. Przez wiele tygodni przygotowywał ją właśnie na tę chwilę. Może nawet pokładał w niej swoje nadzieje.

Wyjęła ostatnią strzałę z kołczanu. Delikatnie przejechała palcami po czarnych lotkach, były ciepłe w dotyku. Stała pewnie w lekkim rozkroku. Naciągnęła cięciwę do samego policzka, wypuściła powietrze z płuc i wycelowała. Dystans był dość spory, ale bijące serce nie uciekało ani nie atakowało.

Co jeśli chybię? A może to wcale nie jego serce?

Wzrok władcy zaświatów jest skierowany na świat żywych – przypomniały jej się słowa wypowiedziane przez... nawet nie pamiętała kogo. Może Żywie,

Pierwszego albo Władysława. Miała wrażenie, jakby od tamtych chwil, kiedy z nimi przebywała, minęły długie lata spędzone na pustkowiach w otoczeniu demonów.

Przecież i ona była po części demonem. Przymknęła oczy. To musiało być serce Niji – czuła to całą sobą. Opuściły ją wszelkie wątpliwości. Miała wrażenie, jakby urodziła się właśnie po to, aby go pokonać.

Wyprostowała palce i obserwowała czarną strzałę w locie. Zdawało się, że trwało to całe wieki, aż grot przebił lśniąca powierzchnię wciąż bijącego serca i strzała zagłębiła się w nim aż po same lotki.

Na ułamek sekundy zapadła cisza, a potem serce eksplodowało czernią. Upiorny wrzask poniósł się po całej Nawii. Magda poczuła falę wybuchu, która ją przewróciła i przygniotła do ziemi. Dym ogarnął ją i całą dolinę, po czym nagle się zatrzymał. Tak jakby ktoś wcisnął pauzę w filmie.

Dziewczyna poruszyła ręką. Pył opadł na ziemię pod jej dotykiem. Podniosła się i powoli, odgarniając przed sobą ścieżkę, ruszyła w dół. Musiała się przekonać, że serce przestało bić. Starła się nie wdychać pyłu, omijała ostre skały.

Wreszcie dotarła na sam dół. Przed nią znajdowały się smętne resztki rozsadanego organu, a w samym środku nich tkwiła czarna strzała. Magda nie ruszała jej w obawie, że serce mogłoby się odrodzić, i wróciła przez tunel w pyle, który sama zrobiła. A potem jeszcze dalej.

Musiała odnaleźć Mateusza, jeśli przeżył spotkanie z łepimi.

Zdjęła cięciwę z łuku, schowała go do pokrowca z lnu i przewiesiła przez ramię. Bez strzał był bezużyteczny.

Wyjęła zza paska nóż, mając nadzieję, że nie będzie musiała stawać z nim naprzeciw demonom.

Zrobiłam to, zabiłam go... – powtarzała w myślach, choć i tak nie mogła w to uwierzyć. *Teraz trzeba wykończyć go w świecie żywych.*

Ręką wciąż rozgarniała przed sobą pył. W pewnym momencie o coś się potknęła. Usłyszała głuche jęknięcie i odskoczyła, mierzając nożem w niewidocznego przeciwnika. Gdy nic się nie stało, postąpiła krok naprzód. Coś leżało jej na drodze. Ostrożnie schyliła się i dotknęła tego ręką. Poczowała ciepło. To był człowiek!

– Mateusz?! – Dopadła do niego, szukając twarzy, a gdy ją odnalazła, poklepała go po policzkach. – Mateusz!

Jęknął nieco głośniej.

– Mateusz!

– Co? – Ocknął się.

– Żyjesz? Wszystko w porządku? – Śmiała się, a po policzkach lały jej się łzy, mieszając się z pyłem na twarzy. – Tak się martwiłam!

– Co się stało? – zapytał nieprzytomnie.

Zamachała rękoma, odgarniając dym, który opadł na ziemię.

– Ty żyjesz – westchnęła, tuląc się do jego torsu.

– No, chyba. – Uniósł się na łokciach. – Co to, do diabła, jest? – Poruszył dłonią w pyłe.

– Na dnie doliny było jego serce. Serce Niji. Żywe i bijące. I trochę obrzydliwe. Strzeliłam do niego, a potem wszystko wybuchło. I teraz wszędzie jest ten pył.

– Zabiłaś go? – ożywił się.

– Tak, razem go pokonaliśmy! – Wciąż na przemian

śmiała się i płakała.

– Jesteś najlepsza! – Mocno objął ją ramionami. – Przepraszam, że do ciebie nie dołączyłem, ale chyba jeden z tych łepich przyłożył mi w głowę.

– Wiesz, gdzie oni są teraz? – zapytała z pewną obawą. Pokręcił głową, a następnie oboje się rozejrzeli. Jednak dolina zdawała się cicha niczym grobowiec.



Feliks szczerze nienawidził tego miejsca. Wiązało się tylko ze złymi wspomnieniami. Było też pierwszym i jedynym, jakie przyszło mu do głowy. Grzmiąca wyglądała po wicherze znacznie gorzej niż Wiatrołom, ale kilka domów nadal stało.

Gdybym był morderczym sukinsynem, gdzie bym się ukrył? – zastanowił się Feliks.

Wszedł do jednego z zapuszczonych ogrodów. Przywarł plecami do ściany budynku i odbezpieczył broń. Dotarł do wybitego okna i zajrzał do środka, ale nie zauważył nic podejrzanego. Bez trudu wspiął się na parapet i już kilka sekund później znalazł się w zrujnowanym pokoju. Zachowując ostrożność, przemierzył cały budynek, nie znalazł jednak żadnych śladów po Pierwszym.

Wyszedł przez okno, przeszedł nad przewróconym przez drzewo płotem i zakradł się do następnego domu.

Pół godziny później ze złością uderzył pięścią w ścianę ostatniego budynku, w którym mógł się ukryć ten morderca. Przepęłniały go rozgoryczenie i wściekłość – taka, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Czuł się

bezsilny wobec tego przeklętego żniwiarza, który nawet nie zasługiwał na to miano. Wrzasnął, dając upust swoim emocjom, ale nic to nie pomogło. Oparł się plecami o ścianę i osunął po niej, siadając na podłodze. Łokcie oparł o kolana.

Pierwszy w dziwnych kwestiach był dość sentymentalny, istniała możliwość, że właśnie tutaj się ukrył. Poza tym byłby wtedy stosunkowo blisko centrum wydarzeń, jakim był Wiatrołom. Niestety okazało się, że Feliks nie znał go tak dobrze, jak miał nadzieję.

Nikt go tak naprawdę nie znał. Drań każdemu pokazywał inną twarz. Tośka była w nim wręcz zakochana i uważała go za człowieka, który w głębi duszy był dobry, choć niezrozumiany przez innych. Dla Mateusza był złem wcielonym. A Magda zdawała się znać oba jego oblicza – nie ufała mu, ale coś ją wciąż do niego ciągnęło. Feliks nie chciał przyznać tego przed samym sobą, ale już od dawna o tym wiedział.

Żniwiarz wyszedł na brukowaną drogę. Nikła nadzieja, że go znajdzie, legła w gruzach. Drań mógł zabunkrować się w tysiącu innych miejsc i nie było szans, żeby w pojedynkę go namierzyć. Jedyne, co można było teraz zrobić, to czekać na kolejny atak. I nie było wątpliwości, że to nastąpi pewnego dnia. Pierwszy jak zwykle pojawi się w najmniej oczekiwanym momencie i znów zabije. A nikt, kto znajdował się w otoczeniu Feliksa, nie był bezpieczny. Żniwiarz nie potrafił ocalić upartej Magdy ani Wandy, ale może uda mu się to z innymi.

Wsiadł do samochodu i wrócił do domu. Kiedy tylko przekroczył próg, do przedpokoju wypadła blada Tosia.

Najwyraźniej się martwiła. O niego! To nie on potrzebował ochrony.

– Wszystko w porządku? – zapytała nieśmiało.

Nie odpowiedział, kierując się do kuchni, gdzie siedzieli Klara z Adrianem. Osiemnastolatka poczłapała za nim.

– Ty i ty – wskazał na dziewczyny – jeszcze dziś się stąd wyprowadzicie i wróćcie do swoich domów.

– Nigdzie nie jadę – oświadczyła Tosia.

– Wystarczy ci już zabawy w pomocnika żniwiarzy – powiedział ostro, patrząc na nią z góry. – Nic tak naprawdę nie pomagasz, a człowiek tylko się denerwuje, czy nie wplątałaś się w kolejne kłopoty. Ty to samo. – Spojrzał na Klarę.

– Ej, koleś. – Adrian wstał z krzesła. – Dziewczyny naprawdę robią, co mogą...

– Ty też się stąd wyprowadzisz. – Żniwiarz dźgnął go palcem w mostek, z powrotem go usadzając. – Zapakujesz swoją babcię do samochodu i za dwie godziny nie chcę was już tu widzieć.

– Przecież mamy dziurę w dachu!

– To ją załatasz! – wybuchnął Feliks.

– Mogę ci pomóc odnaleźć Pierwszego – wtrąciła cicho Tosia. – Znam go, wiem, gdzie mógłby być.

– Czy do ciebie nic nie dociera?! – krzyknął na nią. – Głucha jesteś czy co?! Tak naprawdę tylko nam zawadzacie! Magda zginęła, bo was ratowała!

Dziewczyna cofnęła się, jakby rażona piorunem. W jej wielkich oczach zaśniły łzy, broda zaczęła drżeć. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z kuchni. Na schodach rozległo się tupanie.

– Nie musiałeś tego mówić – zachnęła się Klara.

– Powiedziałem tylko prawdę – mruknał. – A teraz wynocha się pakować. Oboje!

Do kuchni wmaszerował Burbon, nic sobie nie robiąc z ludzkich kłótni.

– I zabierzcie ze sobą tego przeklętego kota!



Magda pomogła Mateuszowi wstać i wspierając się nawzajem, ruszyli w drogę powrotną.

– Myślisz, że dziewczyny...? – odezwała się.

– Są sprytne, może im się udało – powiedział słabym głosem.

Jednak żadne z nich w to nie wierzyło. Magda nie wiedziała, jak długo przedzierali się przez czarny pył wciąż wiszący w powietrzu. Chcieli znaleźć się jak najdalej od tego przeklętego miejsca.

Niedługo potem zabrakło im sił, ledwie wlekli się noga za nogą.

– Potrzebuję... przerwy – sapnął w pewnej chwili Mateusz. Puścił Magdę i zwalił się na ziemię.

Dziewczyna chciała zabezpieczyć antydemonicznie miejsce, w którym się zatrzymali, ale nie była już w stanie tego zrobić. Upewniła się tylko, że oboje byli przykryci futrem mamona, a potem położyła się obok Mateusza i zapadła w niespokojny sen.

Obudziła się kilka minut, a może całą wieczność później. Pragnienie nie dawało jej spokoju, dopadła plecaka i wyciągnęła z niego butelkę. Nie za wiele wody im pozostało.

– Mateusz, pora wstać – powiedziała, delikatnie

głaszcząc go po ramieniu.

Gwałtownie otworzył oczy; dopiero po chwili dotarło do niego, co się dzieje.

– Już? – jęknął.

Pokiwała głową. Podała mu wodę i się wyprostowała.

– Zaszliśmy tak daleko... – odezwała się. – Nie możemy teraz ot tak sobie umrzeć. Nie tutaj. Nie wiem jak ty, ale ja chciałabym jeszcze zobaczyć słońce, poczuć trawę pod bosymi stopami...

– Marzycielka – rzucił z lekkim uśmiechem.

Nagle tuż za nimi rozległ się dźwięk osypujących się kamyków. Mateusz poderwał się na równe nogi i stanął obok Magdy, gotów do odparcia ataku.

Coś się zbliżało. Słyszeli ostrożne kroki, nieco stłumione przez wszechobecny pył. Zza załomu wyłoniła się człekokształtna postać. Błysnęło ostrze...

– Magda?!

– Nadia?!

Obie opuściły broń, z niedowierzaniem wpatrując się w siebie. A potem wpadły sobie w ramiona.

– Myśleliśmy, że nie żyjecie! – Magda czuła, jak po jej policzkach znów leją się łzy.

– A widzieliście ten wybuch?! – Nadia oderwała się od niej i objęła Mateusza. – Byłam pewna, że niebo zaraz zwali mi się na głowę!

– Zabiła go – powiedział chłopak. – Magda przebiła serce Niji!

– A więc się udało – szepnęła.

– Gdzie jest Wanda? – zapytała Magda.

Nadia spuściła wzrok.

– Dogoniłam ją – powiedziała. – A za nami pędziły dziesiątki demonów. Chciałyśmy odciągnąć je jak

najdalej od was. I chyba się udało... Ale w pewnym momencie Wanda upuściła swój wianek. Chciała po niego wrócić, jednak tam już byli nawi. Ona... Ja... Nikt nie zasługuje na taką śmierć. – Pokręciła głową. – Kiedy demonów było już zbyt dużo i były zbyt blisko mnie, nałożyłam swój wianek. Myślałam, że i tak mnie rozerwą na strzępy. Wcisnęłam się w zagłębienie w skałach i czekałam, ale one wciąż za mną węszyły. A potem świat wyleciał w powietrze i nawi po prostu uciekli, byle jak najdalej od centrum pustkowi.

Magda poczuła smutek. Wanda dostarczyła im truciznę, dzięki której ich misja miała szanse powodzenia, ale od samego początku znajdowała się na straconej pozycji. Była słabsza i wolniejsza, a oni zabrali ją na straceńczą misję. Może powinni byli kazać jej zostać przed pustkowiami? Ale czy bez jej pomocy zdołaliby dotrzeć aż tak daleko?

Zamrugęła powiekami, odpędzając łzy. Jeszcze nie czas na opłakiwanie zmarłych.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała pewnym głosem.

Pozostali pokiwali głowami.

Nie za wiele zapamiętali z drogi powrotnej. Mieli wrażenie, jakby parli naprzód tylko dzięki silnej woli. Skończyły im się woda oraz jedzenie. Byli wykończeni, a mimo to krok za krokiem szli przed siebie.

Rozdział 22



Magda powoli obracała nad ogniem płótkę nabitą na patyk. Poprzedniego dnia opuścili pustkowia i oddalili się od nich tyle, ile zdołali. W drodze powrotnej nie gnębiły ich żadne demony, tylko co jakiś czas na horyzoncie pojawiał się duży zwid, jednak ani razu ich nie niepokoił. Bez przeszkód dotarli do zielonej kotliny z błękitnym jeziorem, w którym zmyli z siebie czarny pył, wyprali ubrania, złowili kilka ryb, a teraz po prostu odpoczywali.

– No dobra, nie sądziłam, że to może się udać – przyznała Nadia.

Magda pokiwała głową. Ona też miała poważne wątpliwości.

– Ach, kobieto małej wiary – westchnął Mateusz.

– Wanda już nie wróci, prawda? – zapytała.

– Nie sądzę – odparła ze smutkiem Magda. – Ale jeśli jednak pojawi się w Nawii, będę o tym wiedziała.

Teraz, gdy opuściła pustkowia, czuła się silna jak jeszcze nigdy. Nie było nic, co mogłoby stanąć jej na drodze. Tylko dokąd ta droga miała ją zaprowadzić? Czy zrobiła już wszystko, co do niej należało, i teraz była wolna? Westchnęła cicho. W Nawii chyba już zawsze będzie się czuła uwięziona, zawieszona między życiem a śmiercią. Będzie martwić się o Feliksa i wszystkie inne bliskie jej osoby. Zadarła głowę i spojrzała na czyste, nocne niebo. Gwiazdy świeciły tak jasno. Droga Mleczna ciągnęła się niczym srebrna wstęga na czarnym aksamicie. Przyzywała ją, kusiała tym, że zaprowadzi ją w nieznanne. Magda miała wrażenie, jakby zrobiła się lekka jak piórko i mogła wznieść się wysoko ponad drzewa, wyżej niż najwyższe góry, i sięgnąć

samych gwiazd. W życiu nie doświadczyła takiego uniesienia; gdyby tylko wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć...

– Magda? – usłyszała jak przez mgłę. – Magda!

Poczuła silny uścisk w ramieniu. Opuściła głowę i zamrugła, po czym ujrzała dwie blade twarze.

– Co ty zrobiłaś? – naskoczył na nią Mateusz.

– Co? – zapytała nieprzytomnie.

– Wyglądałaś, jakbyś miała zaraz rozpuścić się w powietrzu.

– Nie gadaj bzdur – prychnęła.

– On ma rację – powiedziała poważnym tonem Nadia.

– Byłaś półprzeźroczysta.

– Nie... niemożliwe...

I właśnie wtedy wszystko zrozumiała. Świat żywych przyzywał ją tak, jak przyzywał wszystkie demony spragnione ludzkiej krwi. A droga dusz mogła ją przeprowadzić przez granicę między światami. Mogła wydostać się z Nawii.

Mimowolnie się uśmiechnęła; zaczęła ją rozpierać niewypowiedziana radość. Poderwała się z ziemi, upuściła patyk z rybą, która zajęła się ogniem.

– Mogę wrócić!

– Jak? Dokąd?

– Do domu – szepnęła. Znów zadarła głowę. Już nie widziała gwiazd, tylko srebrzystą drogę prowadzącą tam, gdzie najbardziej chciała być.

Wtem poczuła dłoń Mateusza zaciskającą się na jej nadgarstku, co sprowadziło ją na ziemię. Spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy. Jak ubrać myśli w słowa? Jak mu wytłumaczyć?

Okazało się, że wcale nie musiała tego robić.

– Możesz się stąd wydostać, tak jak Pierwszy? – zapytał.

Skinęła głową. Usłyszała, jak Nadia z sykiem wypuściła powietrze z płuc.

Mogła opuścić Nawię, spróbować uratować rodzinę i zlikwidować Niję w tamtym świecie... Mogła opuścić Mateusza i możliwe, że już nigdy więcej go nie zobaczyć. Z rezygnacją usiadła na ziemi. Jej ryba zamieniła się w czarny, spalony skwarek, ale dziewczyna nie czuła już głodu. Była rozdarta. Jak miała wybrać?

– Spójrz w niebo, powiedz, że też widzisz drogę do domu – poprosiła łamiącym się głosem.

Mateusz wykonał prośbę, a potem pokręcił głową.

– My zostaniemy tutaj na zawsze, a przynajmniej do dnia, aż żyjący nas zapomną, a demony zabiją.

– I co ja mam zrobić? – zapytała, choć w zasadzie znała odpowiedź.

– Tak naprawdę to chyba nie masz wyboru – odparł, starając się uśmiechnąć.

Poczuła łzy napływające jej do oczu. Czy tylko po to odzyskała Mateusza, żeby teraz musieć go opuścić? Czy ich związek był naprawdę skazany na porażkę? A jeszcze tak niedawno jak głupia cieszyła się, że teraz wszystko będzie już dobrze, że na zawsze będą razem. Razem stawiają czoła wszystkim przeciwnościom. Jednak jej misja jeszcze się nie skończyła. Niestety dalej musiała iść sama.

– Daj mi jeszcze tylko jeden dzień – poprosiła.

Gdy wstało słońce, Nadia oświadczyła, że idzie na polowanie i wróci wieczorem.

Magda przywarła do Mateusza. To był ich ostatni wspólny, leniwy poranek.

– Przydałyby się jeszcze kawa i śniadanie do łóżka – westchnęła.

– Nie masz czasem za dużych wymagań? – Mateusz bawił się kosmykiem jej włosów.

– No to chociaż kąpiel. – Pocałowała go, po czym zerwała się z koca.

Zrzuciła z siebie ubrania i weszła do zimnej wody.

– No chodź! – zawołała.

Po chwili dołączył do niej. Podpłynęła do niego, zarzuciła mu ręce na ramiona, opłótła go nogami i pocałowała. Pogładziła palcami jego barki. Chciała wyryć w pamięci jego obraz, każdy skrawek jego ciała, kolor oczu, na zawsze zapamiętać ton głosu, jego śmiech. Był tym jedynym. Połączyła ich chęć zemsty i ratowania świata. Mieli tak mało czasu dla siebie, a mimo to zrodziło się między nimi uczucie twarde jak skała i wieczne jak śmierć. Może gdyby poznali się w innych czasach, innych okolicznościach, ich życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Może wzięliby ślub i założyli rodzinę. Może byłiby dwójką zwykłych, szczęśliwych ludzi.

Ale świat miał dla nich zupełnie inny plan.

– Kocham cię – szepnął Mateusz, wciąż stojąc w głębokiej wodzie.

– Ja ciebie też. I zawsze będę. – Oparła czoło o jego czoło.

Ten dzień miał należeć tylko do nich. Taka była umowa. Mieli nawet nie wspominać o Nawii ani

o świecie żywych, nie zastanawiać się, gdzie będą ani co będą robili następnego dnia. Liczyło się tylko tu i teraz.

Po kąpieli ubrali się i złowili kilka ryb na śniadanie, używając haczyka i żyłki, które zostały im po Pierwszym. Narwali mięty rosnącej przy brzegu i zaparzyli herbatę. Później udali się na pobliską łąkę, gdzie nazbierali różnych roślin i porozwieszali je w słońcu, żeby się suszyły. Zapasy były na wyczerpaniu, więc przydadzą się później, kiedy Magdy już nie będzie. Jednak żadne z nich nie powiedziało tej myśli na głos.

Po południu znaleźli starą gruszę i nazbierali mnóstwo owoców. Z pełnymi żołądkami położyli się na łące i patrzyli w niebo, rozmawiając o najbardziej błahych sprawach, wciąż trzymając się za ręce. Później kochali się w wysokich trawach, chłonąc każdą sekundę, każdy oddech i każdy dotyk, jakie były im dane. Razem oglądali zachód słońca nad jeziorem, a gdy zapadł zmrok, usiedli przy ogniu przytuleni do siebie. Czuli, jak czas przelatywał im przez palce. Kolejne minuty uciekały coraz szybciej, a oni byli coraz bliżsi rozstania. Niedługo później wróciła Nadia z dwoma już sprawionymi zajęcami.

– Zaopiekujesz się nim? – poprosiła Magda, gdy Mateusz oddalił się na chwilę.

Nadia skinęła głową.

– Jesteś najsprytniejszym żniwiarzem, jakiego znam. Wierzę, że we dwójkę przeżyjecie tutaj wszystkich znanych wam ludzi na ziemi.

– Zobaczymy.

– A gdybyście... – zaczęła, ale nie wiedziała, jak ubrać w słowa to, co chciała powiedzieć. – Bo będziecie zdani

tylko na siebie nawzajem... i... jeżeli mielibyście być razem szczęśliwi...

– Dobra, dobra – przerwała jej. – Nie musisz tak szybko pchać swojego faceta do mojego łóżka.

Magda zaczerwieniła się.

– Ale dziękuję za przyzwolenie – dodała Nadia nieco zbyt wesołym tonem.

Mateusz wrócił do ogniska. Było zbyt wiele słów, które chcieliby powiedzieć, więc po prostu zachowali milczenie. Gdzieś daleko w cieniu krążył wielki pies. Na niebie pojawiły się gwiazdy i z każdą chwilą świeciły coraz jaśniej. Coraz bardziej też kusily i przyzywały ją do siebie.

– Już czas – szepnęła Magda, wstając.

Podeszła do Nadii i uściskała ją.

– Pozdrów ode mnie swojego wujka – powiedziała przyjaciółka. – I możesz przyznać mu rację w moim imieniu. Żaden żniwiarz nie powinien być sam.

– Do zobaczenia.

Chwilę później znalazła się w objęciach Mateusza. Mogłaby przeciągać ten moment w nieskończoność i już na zawsze zostać w jego ramionach.

– Jeszcze się zobaczymy – powiedział.

– Tak – odparła, łykając łzy. – Jeżeli istnieje sposób, żeby cię stąd wyciągnąć, znajdę go – obiecała.

Uniosła wzrok, zapatrzyła się na drogę dusz i ruszyła w jej kierunku. Miała wrażenie, jakby gdzieś zniknęło jej ciało. Nie miała już rąk ani nóg, była samą świadomością pędzącą ku srebrnej wstędze. Zostawiła za sobą śmierć i życie, smutek i radość, miłość i nienawiść. Wszystko nagle straciło znaczenie. Liczyła się tylko ta migocząca droga tuż przed nią.

A gdy do niej dotarła, rozbłysło światło, zupełnie ją pochłaniając.



– I co, już po wszystkim? – odezwała się cicho Tosia, ściskając w ręku bilet.

Klara nie odpowiedziała, tylko lekko wzruszyła ramionami. Kilka osób kręciło się po peronie, z głośników popłynął niezrozumiały komunikat. Stado kawek poderwało się z zadaszania i przeleciało nisko nad głowami podróżujących.

Wiatrołom nadal był w rozsypce, ale w miasteczku oddalonym o zaledwie sześćdziesiąt kilometrów życie toczyło się normalnym rytmem. To właśnie tutaj Klara odwiozła przyjaciółkę na pociąg. Feliks dał im jasno do zrozumienia, że ich „przygody” z demonami się skończyły. Padły słowa, których kiedyś wszyscy będą żałować.

– Ciężko będzie teraz wrócić do normalnego życia. – Nastolatka uśmiechnęła się smutno, pogodzona z losem.

– Będziemy do siebie dzwonić, a jak zajadę kiedyś w okolice Warszawy, odezwę się – obiecała Klara.

Na stację wtoczył się pociąg jadący w przeciwną stronę. Dziewczyny patrzyły na wysiadających ludzi, każdy spieszył się gdzieś w swoich sprawach. Cudze problemy zdawały się teraz nic nieznaczące. Gdy skład odjechał, na peronie znów zapadła umiarkowana cisza.

– Nie martwisz się o niego? – zapytała Tosia.

– To jest dorosły facet, starszy niż my dwie razem

wzięte. Wie, co robi. A przynajmniej powinien. My zaś rzeczywiście nie powinniśmy płatać się w jego sprawy. I nie jesteśmy mu nic dłużne.

– Co teraz będziesz robiła?

– Pojadę do domu, poczekam, aż wszystko się uspokoi, i wrócę pomóc Adrianowi w barze. Jeżeli Sebastian nie wyjdzie... ktoś będzie musiał być przy nim.

– A jak się nie uspokoi? Jak Wiatrołom zostanie zniszczony? Jak...?

– To nie nasza sprawa i nie nasza wina – przerwała jej Klara.

Tosia ze smutkiem pokiwała głową. Na stację wjechał jej pociąg do wtóru pisku hamulców i zgrzytu metalu.

Przyjaciółki uściskały się, nastolatka zarzuciła na ramię plecak i wskoczyła na pierwszy stopień.

– Do zobaczenia! – krzyknęła.

Klara pomachała jej ręką, po czym Tosia weszła do środka i zaczęła szukać miejsca.

Wepchnęła bagaż na półkę i opadła na niewygodne siedzenie. Wagonem szarpnęło, a następnie skład niespiesznie ruszył. Stacja zniknęła gdzieś z tyłu, miasteczko powoli przepływało za oknem, w końcu przemieniając się w wiejski krajobraz. Żłote łany zboża falujące na wietrze, łąki, na których pasły się krowy, mała rzeczka...

Tosia pociągnęła nosem i otarła z policzka łzę. To, co działo się od maja, to był jakiś szalony rollercoaster. Tyle śmierci, tyle strachu... A jednocześnie dziewczyna po raz pierwszy czuła, że tak naprawdę żyje. Szkoła i dawni przyjaciele zbledli w jej wspomnieniach. Kim byli dla niej znajomi, których spotykała codziennie

przez ostatnich kilka lat? Czy którykolwiek z nich zaryzykowałby dla niej życie? Czy rzuciłby się jej na ratunek, gdyby zaatakował demon? Szczerze w to wątpiła. Tylko ludzie, których poznała w Wiatrołomie, byli gotowi na takie poświęcenia. To była prawdziwa przyjaźń.

Wciąż czuła się winna, że zostawia Feliksa. Może i był dorosły, może był doświadczonym żniwiarzem, jednak to, co wydarzyło się od trzynastego księżyca, zupełnie go złamało. Zagubił się. Tylko Magda potrafiłaby mu pomóc. A skoro i jej zabrakło, Tosia miała wrażenie, że teraz to jej obowiązek. Tylko kim ona dla niego była? Zwykłą, głupią dziewczyną, która chciałaby się bawić w łowcę demonów.

Szkoda, że Klara jej nie rozumiała. Nastolatka miała wrażenie, że jej przyjaciółka najchętniej powróciłaby do niewiedzy, jeżeli chodzi o demony, pod warunkiem, że nadal mogłaby być z Adrianem. I chyba miała żal do Feliksa i Magdy o to, co spotkało Mateusza. Niby nie byli parą, ale Tosia wiedziała, że Klara, choć dobrze to ukrywała, ciężko przeżyła jego śmierć.

Był jeszcze Pierwszy... Wrócił, choć wszyscy postawili na nim krzyżyk. Naprawdę zamordował Wandę? A może to był tylko wypadek?

Tosia prychnęła cicho. Brutalne morderstwo rzadko kiedy bywa wypadkiem. Ale dlaczego? I dlaczego nie zabił od razu Feliksa? Przecież facet był nieprzytomny przez naprawdę długi czas! Coś tu się nie zgadzało. A Tosia jako jedyna z nich wszystkich poznała inną twarz Pierwszego i nie wierzyła, że chodziło tylko o zabicie wszystkich żniwiarzy.

Pociąg zaczął zwalniać.

Pierwszy nie jest taki zły, jak o nim mówią – pomyślała. Nie jest zły...

Za oknem pojawiły się zabudowania niewielkiej wsi, a chwilę później długi peron wyłożony ciemnoszarymi płytkami, pomiędzy których wyrastały kępy trawy i chwastów.

A jeśli to wszystko to jakiś sensowny plan?

Tosia zobaczyła stary, wyniszczony budynek kolei z czerwonej cegły.

Pociągiem szarpnęło, kiedy się zatrzymał.

Serce dziewczyny biło tak szybko, jakby stanęła oko w oko z demonem. Bez zastanowienia ściągnęła z półki plecak i popędziła do wyjścia, uderzając bagażem w mijane fotele. Szarpnęła ciężkie drzwi. Naparła na nie całym ciałem, aż ustąpiły. Rozległ się gwizdek konduktora, kiedy wypadła na zewnątrz. Zatrzasnęła za sobą drzwi i patrzyła, jak pociąg odjeżdża.

– To jest chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam – powiedziała do siebie, patrząc za oddalającym się składem. – Wliczając w to poszukiwania zmarłej siostry.

Z wciąż bijącym sercem usiadła na ławce i włączyła mapę w telefonie. Dobrze, że zdążyła go naładować w samochodzie Klary. Wystarczyła chwila, żeby odnalazła miejsce, do którego chciała się udać. Prawie dwieście kilometrów.

– Cóż, mogło być gorzej – westchnęła.

Przez kilka minut sprawdzała różne opcje dojazdu. Niestety znajdowała się we wsi najwyraźniej zapomnianej przez Boga i większość ludzi, skąd nie było tak łatwo się wydostać. Mogła wysiąść gdzieś dalej, bo kolejny pociąg będzie przejeżdżał tędy dopiero

następnego dnia.

Uniosła wzrok i powiodła nim po fasadzie starego budynku stacji. Nigdzie nie zauważyła kamer.

Permanentna inwigilacja, jasne – pomyślała z przekąsem. *Lokalnie nadal żyjemy w przeszłości.*

Jeżeli cokolwiek by się stało, jeżeli będzie potrzebowała pomocy albo zginie, nikt jej nie znajdzie. Wszyscy będą przekonani, że dojechała do Warszawy. Nie będą nawet wiedzieli, gdzie jej szukać. A jej ciało skończy w nieoznakowanym grobie...

– Ogarnij się – nakazała sobie, potrząsając głową.

Nie mogła nikomu powiedzieć, gdzie zmierzała ani jakie miała plany, bo ktoś na pewno by ją powstrzymał. Może wysłać wiadomość z opóźnieniem? Jak dużym?

Rozważając swoje opcje, zarzuciła plecak na ramię i opuściła stację. Niedaleko znajdował się wiejski sklep, w którym kupiła wodę i coś do przekąszenia. A kiedy zobaczyła w oknie charakterystyczny symbol Poczty Polskiej, już wiedziała, co robić.

Dokupiła jeszcze znaczek i pocztówkę z jakimś lokalnym widoczkiem i skreśliła na niej kilka słów. Zaadresowała i wrzuciła do czerwonej skrzynki.

Wspomagając się nawigacją w telefonie, ruszyła w stronę wylotu ze wsi. Gdy usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu, odwróciła się i wyciągnęła kciuk.

– Kij ci w oko – mruknęła, kiedy auto minęło ją bez zwalniania.

Minęła godzina i przejechało pięć aut, nim wreszcie jedno się zatrzymało.

Droga zajęła dużo więcej czasu, niż dziewczyna się spodziewała. Musiała się przesiadać sześć razy, ale

wreszcie dotarła do celu.

– Jesteś pewna, że to tam? – zapytał starszy, uprzejmy i niezwykle rozgadany pan. Z powątpiewaniem patrzył w bok, gdzie odchodziła szutrowa droga, ledwie widoczna w ciemnościach.

– Tak, rodzice przyjaciółki uwielbiają mieszkać na tym odludziu – zapewniła. Ostatnio kłamanie przychodziło jej nadspodziewanie łatwo.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To udanej zabawy – powiedział, kiedy wysiadła i otworzyła tylne drzwi, sięgając po plecak.

– Dziękuję. Do widzenia!

Samochód wreszcie odjechał. Chwilę stała jeszcze na drodze, patrząc na oddalające się czerwone światła. Potem odwróciła się w stronę ciemnej leśnej drogi. Wielkie świerki zaszumiały złowieszczo, a dziewczyna poczuła się naprawdę samotna.

Policzyła do dziesięciu i ruszyła przed siebie. Nie uszła daleko, kiedy uznała, że musi włączyć latarkę w telefonie, bo jeszcze chwila, a połamię nogi na wyrwach w drodze.

To nie była głupia decyzja – przekonywała samą siebie z każdym krokiem. To, co robię, ma sens...

Piasek chrzęścił pod jej butami, świerki wciąż szumiały, a dźwięk ten przywodził jej na myśl arktyczną zimą; księżyc skrył się za chmurami.

W lesie nic nie ma – kontynuowała samookłamywanie. Wszystkie demony są w Wiatrołomie.

Las w końcu się przerzedził, przechodząc w zarośniętą chwastami polanę. Została tylko chwila, kilkadziesiąt metrów, a znajdzie się u celu.

W końcu ujrzała w oddali ciemną bryłę opuszczonego

domu.

Jeszcze możesz się wycofać, wrócić do Warszawy...

Ale tak naprawdę nie potrafiła zawrócić. Musiała tu przyjść, musiała się przekonać. W najlepszym przypadku nikogo tu nie zastanie, prześpi się na zbutwiałej kanapie i rano złapie stopa do domu. W najgorszym... Nawet nie potrafiła wyartykułować najczarniejszego scenariusza.

Z daleka budynek zdawał się opuszczony. Zresztą tak samo z bliska, jednak ona doskonale wiedziała, że to mogą być tylko pozory. Stała na progu z głośno bijącym sercem. Jakby z idealnym wyczuciem czasu, księżyc na chwilę wyjrzał zza chmur i oświetlił zardzewiałą klamkę. Tosia przez chwilę się jej przypatrywała, po czym ją nacisnęła. Była lodowata w dotyku.

Wewnątrz okazało się jeszcze ciemniej niż na dworze. Powoli przestąpiła próg. Odnalazła dłonią na ścianie włącznik światła, ale najwyraźniej nie było prądu. Zresztą czego innego mogła się spodziewać?

Oświetliła latarką przedpokój. Wyglądał tak samo jak w dniu, w którym opuściła ten dom. Jej oddech stał się płytki i przyspieszył, mięśnie drżały z nerwów. Zajrzała do pokoju – pusto. Powoli przeszła do kuchni, a jej serce na chwilę stanęło.

Ktoś tam był!

Zobaczyła ciemną postać. Błada twarz odwróciła się do niej, błysnęły czarne oczy. Tosia mimowolnie wrzasnęła, a intruz natychmiast do niej przypadł, wytrącił jej telefon i zatkał jej usta dłonią.

– Nie drzyj się – nakazał. – I nie świeć po oczach.

Tyle że ona nie potrafiła zapanować nad własnym

ciałem. Nogi jej drżały, dłonie zacisnęły się w pięści, gotowe do ataku.

– Będziesz cicho? – zapytał niski, męski głos.

Po chwili wahania pokiwała głową.

– Adam? – zapytała cicho, kiedy zabrał rękę. – Pierwszy? To ty?

– Jesteś upartą dziewczyną – odparł. – Wiesz, że ciebie spodziewałem się tutaj najmniej?

Odsunął się od niej. W ciemnościach niewiele widziała poza tym, co oświetlała latarka z leżącego na ziemi telefonu.

– I zgaś to diabelstwo – polecił.

Schyliła się po telefon i wyłączyła latarkę; kuchnia na chwilę pograżyła się w zupełnym mroku. Dziewczyna usłyszała dźwięk zapałki pocieranej o draskę i zobaczyła wąty płomyk, od którego Pierwszy odpalił knot świecy. Gwałtownym machnięciem ręki zgasił zapałkę, po czym spojrzał na Tosię.

– Zmieniłaś się przez te kilka tygodni – ocenił.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. W ogóle nie miała pojęcia, co powiedzieć. Jej plan kończył się na dotarciu do tego domu.

– Ale cieszę się, że jesteś. – Ledwie ujrzała uśmiech na jego twarzy, która była dla niej zupełnie obca. – Naprawdę się cieszę.

Płomień świecy zabłysnął odbity w ostrzu noża lecącym w jej stronę. Tosia zaczęła wrzeszczeć.

¢

Feliks siedział w ciemnym, cichym domu. Tak właśnie

miało być od samego początku. Nie powinien był robić z tego miejsca azylu dla innych. To właśnie był problem ze zwykłymi ludźmi. Zobaczyli raz czy dwa demona i od razu wydawało im się, że mogą stawić mu czoła.

Skrzypnęły otwierane drzwi, w przedpokoju rozległy się kroki, jednak Feliks nawet się nie poruszył. Pierwszy nie byłby taki głośny. Chwilę później dotarł do niego zapach papierosów i wódki.

– Czy ciebie Bóg opuścił?! – usłyszał, a w drzwiach stanął Waldemar.

– Tak, dawno temu – odparł.

Lekarz zaklął, kiedy – jeśli oceniać po odgłosach – kopnął przypadkiem nogę od krzesła. Kilka razy przesunął dłońmi po stole w poszukiwaniu świecy. A gdy ją znalazł, odpalił od własnej zapalniczki i usiadł naprzeciw Feliksa.

– Dlaczego wyrzuciłeś wszystkich z domu?

– Bo mi przeszkadzali.

– „Bo mi przeszkadzali”! – prychnął Waldemar. – Czy ty sam siebie słyszysz?!

– Tak, i żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej.

– I co niby, teraz samotnie staniesz przeciw hordzie demonów? – zakpił lekarz.

– Właśnie to robiłem od chwili mojej pierwszej śmierci. Więc byłbym wdzięczny, jakbyś mnie nie pouczał.

– Zawsze wiedziałem, że zniwiarze są uparci, ale ty bijesz wszystkich na łeb, na szyję.

– Trudno pobić kogoś, kto nie żyje.

– Chłopie, weź ty się ogarnij, bo wszyscy na ciebie liczą!

– A niby co ja robię?! – wybuchnął Feliks. – Ludzie w moim otoczeniu zaczęli padać jak kawki! Co według

ciebie miałem z tym zrobić?! Jestem ostatnim żniwiarzem!

– A ja lekarzem alkoholikiem. I czy płaczę z tego powodu?!

W salonie zapadła cisza. Wąły płomyk świecy zatańczył w delikatnym przeciągu. Feliks nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Dobrze, że przynajmniej obaj zdajemy sobie sprawę z naszych problemów – powiedział.

Atmosfera rozluźniła się nieco.

– Co chcesz teraz zrobić? – zapytał Waldemar.

– Zapolować na demony, może kogoś uratować i czekać na Pierwszego.

– Myślisz, że on wróci?

– To jest bardziej niż pewne.

– I co wtedy?

– Nic. – Żniwiarz wzruszył ramionami. – Spróbuję go zabić, choć pewnie on wcześniej zabije mnie.

Waldemar przez dłuższy czas zdawał się rozważać jego słowa.

– Masz działający telefon? – zapytał w końcu.

– Naładowałem dziś w aucie.

– To idź, poluj i zabijaj. I ustaw sobie mój numer w szybkim wybieraniu, żeby łatwiej ci było zadzwonić, jak będziesz się wykrwawiał w jakimś rynsztoku.

– Dzięki. – Żniwiarz skinął głową.

– To powodzenia. – Lekarz wstał z kanapy i skierował się do wyjścia.

– Mam nadzieję, że przyjechałeś tu samochodem i nie chcesz wracać do baru na pieszo w tych ciemnościach – odezwał się na pożegnanie żniwiarz.

– Spokojnie, złego diabli nie biorą. A Gauza czeka

w aucie pod domem.

Nagle usłyszeli trzask zamykanych drzwi samochodu i pospieszne kroki na podjeździe. Ktoś zaczął się siłować z klamką.

– I jak zwykle nie mógł usiedzieć w miejscu przez kilka minut – rzucił z przekąsem Waldemar. – Co się znowu stało? – zapytał, kiedy do pokoju wpadł blady emeryt.

– Coś zobaczyłem! – sapnął.

Feliks poderwał się na równe nogi.

– Ale to było dziecko...

Żniwiarz zastygł, sięgając po nóż.

– Jak to dziecko?

– Dziewczynka w białej sukience. Wyglądała na zagubioną. Chyba potrzebuje pomocy...

– Czy ty nigdy horrorów nie oglądałeś?! – naskoczył na niego lekarz. – Co niby miałyby robić samotnie w nocy na ulicy?

– Oglądałem, dlatego przyszedłem najpierw po was.

– Zajmę się tym – powiedział Feliks.

Przytroczył do paska sierp, nóż podrzucił w dłoni, a po chwili wahania sięgnął po włócznię, która niegdyś należała do Magdy.

– Jak będziecie wychodzić, zamknijcie drzwi na klucz – polecił jeszcze, stając w progu.

Odwrócił się do przyjaciół. Ich blade twarze oświetlał nikły płomień świecy. Żniwiarz miał wrażenie, jakby widział ich po raz ostatni.

Wyszedł na ulicę i rozejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył dziecka. Może Gauzie coś się przywidziało? W końcu nie był najpewniejszym źródłem...

Bzdura – pomyślał Feliks. Facet może i miał lekką schizofrenię, ale jeśli widział demona, to na pewno ten

demon czai się gdzieś w pobliżu.

Wtem do uszu żniwiarza dotarł szelest. To jedno z drzew rosnących przy drodze, które przetrwało wichurę. Jego suche liście sypały się powoli na chodnik. Wyglądało to tak, jakby nagle w środku lata temperatura opadła poniżej zera i zupełnie zamroziło roślinę. Kawałek dalej przez trawnik wiodła brązowa ścieżka uschniętej trawy.

Feliks nigdy nie spotkał cichej, choć słyszał, że dawniej była prawdziwą zmorą wśród dzieci, ale nie tylko. Dobrze, że Magda opowiedziała mu o swoim polowaniu na nią. Dzięki Pierwszemu jego bratanica zdobyła naprawdę sporą wiedzę – szkoda tylko, że nie pomogło jej to przetrwać.

Tropienie nawiego było dość trudne w mieście pełnym asfaltu i betonu, ale kiedy wiedziało się, czego się szuka, można było odnaleźć tu uschnięty krzaczek, tam ścieżkę na kawałku zadbanego trawnika, a gdzieś indziej rabatkę zwiędłych kwiatów, które i tak nie wyglądały najlepiej po wichurze.

Dotarł do miejskiego parku. Tutaj śladów było znacznie więcej, jakby cicha bawiła się w chowanego z samą sobą. Wreszcie usłyszał szloch. Przeszedł jeszcze kilkanaście metrów, aż ujrzał dziecko o długich, czarnych włosach, z wiankiem maków na głowie. Skuliło się na ławce z twarzą ukrytą w rękach i płakało. Skraj białej sukienki powiewał na delikatnym wietrze. A metr dalej leżał na ziemi człowiek.

Feliks przeklął pod nosem. W tej chwili nie mógł nawet sprawdzić, czy ofiara demona żyła. Gdy cicha była tuż obok, udzielenie pomocy stawało się niemożliwe. Siedziała odwrócona plecami do żniwiarza,

widział, jak jej drobnymi, bladymi ramionami wstrząsa szloch. Uniósł włócznię, gotów wbić ją między łopatki, ale się zawahał. Żył już tak długo, widział, jakie okropne postaci przyjmowały demony, a mimo to nie potrafił wbić ostrza w plecy nawiego wyglądającego jak dziecko.

– Jestem tu, aby cię zabić – szepnął.

Nic się nie stało. Nawi zdawał się go nawet nie słyszeć. Gdyby tylko zaatakował, gdyby zrobił cokolwiek...

– Jesteś demonem! Rusz się! – powiedział znacznie głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Cicha w końcu uniosła głowę, odwróciła się i spojrzała na niego wielkimi, czarnymi oczami. Czerwone usteczka były wygięte w podkowę, po porcelanowej cerze wciąż spływały łzy.

Feliks trzymał włócznię w pogotowiu. Na razie nie widział stalowego pręta, ale wiedział, że nie może pozwolić, aby go nim dotknęła.

Nagle dziewczynka wstała, jej drobne stopy w białych pantofelkach zastukały cicho o drewniane siedzisko ławki. Uśmiechnęła się słodko do żniwiarza i otarła wierzchem lewej dłoni łzy, a potem zaczęła skubać palcami czerwoną szarfę, którą była przepasana. Feliks opuścił nieznacznie broń. Nie potrafił zdobyć się na to, aby ją zaatakować. A może to wcale nie był demon? A może...?

Usłyszał jęk. To mężczyzna leżący na ziemi spróbował się odczołgać. Cicha i żniwiarz równocześnie spojrzeli na niego, a potem sobie prosto w oczy. Znów się uśmiechnęła, jakby obiecał jej, że się z nią pobawi, po czym wysunęła zza siebie prawą rękę, w której dzierżyła pręt. Zanim zdążył się zorientować, co się stało,

postawiła stopę na oparciu ławki, wybiła się i skoczyła wprost na niego, unosząc swoją broń.

Feliks w ostatniej chwili wykonał obrót, unikając uderzenia. Cicha nie dała mu nawet sekundy na zastanowienie się, co dalej, od razu zaatakowała. Była szybka, chyba najszybsza ze wszystkich nawich, z jakimi przyszło mu do tej pory walczyć. Jej pręt zamienił się w szarą smugę, gdy atakowała. Żniwiarz ledwie zablokował jeden cios, a ta była już w trakcie wyprowadzania następnego. Miał wrażenie, jakby szermierki uczyła się od najlepszych mistrzów. Wkrótce zabrakło mu tchu, wciąż ustępował jej pola. Biała sukienka wirowała, płatki maków sypały się na ziemię. Musiał przyznać, że było coś pięknego w tym, jak się poruszała, jak jej stopy niemal nie dotykały ziemi, a czerwona szarfa falowała za nią.

Wciąż musiał upominać siebie samego, że to demon, ten, który niemal zabił leżącego nieopodal mężczyznę oraz atakował bezbronne dzieci. Który mimo niewinnego wyglądu był okrutny i krwiożerczy.

Ciszę parku przerywały szybki oddech żniwiarza, szuranie stóp i uderzenia stalowego pręta o drzewce włóczni. Feliks przez cały czas szukał luki, czekał na ten ułamek sekundy, kiedy cicha się odsłoni, a on będzie mógł przeszyć ostrzem jej serce. Z każdą chwilą jednak miał wrażenie, że prędzej on zginie.

Nagle wypadł z rytmu, okazał się wolniejszy, źle przewidział kolejny ruch, a broń demona uderzyła go prosto w ramię. Rozbłysnął w nim ból, po czym żniwiarza zamroczyło. Trwało to zaledwie sekundę, ale gdy się ocknął, okazało się, że leży na ziemi, a dziewczynka szykuje się do zadania ostatecznego

ciosu. Otworzył szeroko oczy i przeturlał się na bok. Pręt wbił się w ziemię.

Nagle usłyszał zduszony głos dobiegający z pobliskiego drzewa. Cicha podniosła wzrok i spojrzała w tamtą stronę, ale żniwiarz nie dał się rozproszyć. Kopnął ją pod kolanami, podcinając jej nogi, zerwał się z ziemi i wbił grot włóczni wprost w małe serce. Dziewczynka zrobiła wielkie oczy; jej usta rozchyliły się, pociekła z nich strużka krwi, na białej sukience pojawiła się zaś czerwona plama.

Feliks przypatrywał się cichej, aż jej ciało rozwiało się jak płatki kwiatów na wietrze. Zanim minęła minuta, po nawim nie było już śladu.

Żniwiarz oparł włócznię o obojczyk i prawą ręką dotknął lewego ramienia. Znów wybuch bólu; chyba miał połamaną kość. Nawet nie był w stanie poruszyć palcami. Może Waldemar jeszcze nie odjechał i da radę go poskładać.

Podszedł do faceta leżącego koło ławki. Oddychał, a więc żył. Kolejna niedoszła ofiara nawich uratowana. Nagle trzasnęła gałązka złamana pod butem. Feliks porwał do ręki włócznię, gdy zza drzewa wychylił się jakiś człowiek. To on niechcący odwrócił uwagę demona, ratując mu skórę.

– Żyjesz? – zapytał żniwiarz.

Starszy mężczyzna nie odpowiedział. Pewnie nadal był w szoku.

– Wezwij karetkę – polecił Feliks. – No już! – dodał głośno, gdy tamten nawet nie drgnął.

Dopiero po kilku sekundach żniwiarz zdał sobie sprawę, że mężczyzna może nawet nie mieć telefonu przy sobie, bo przecież nie było prądu... Gdy w końcu

wyjął z kieszeni komórkę i zaczął wybierać numer, Feliks pokiwał głową i odszedł. Nie chciał być w pobliżu, kiedy ratownicy będą zadawali pytania albo kiedy wezwą policję. Może powinien się zastanowić, ile tak naprawdę widział świadek tego zdarzenia, ale nie miał na to siły. Pewnie niewiele, ludzie bywali naprawdę ślepi na nawich i wyjątkowo dobrzy w wymyślaniu wymówek i logicznych wyjaśnień.

Obolały i słaby żniwiarz powlekł się do domu. Nikogo nie spotkał po drodze. Zresztą był przecież środek nocy. Niestety Waldemara nie było już u niego, a telefon się rozładował. Do rana nikt nawet się nim nie zainteresuje.

Cóż, będzie musiał poradzić sobie sam. Dokładnie tak, jak robił to wcześniej.

Nożyczkami rozciął koszulkę, gdyż nie był w stanie inaczej jej zdjąć. Jego lewe ramię było całe pokryte ciemnosinymi plamami. Zaciskając z bólu zęby, dokładnie pomacał palcami kość, ale chyba jednak była cała. Zwlekł się do piwnicy i odnalazł suszony, sproszkowany korzeń żywokostu. Ledwie wspiał się po schodach z powrotem i przeszedł do kuchni. Nasypał proszku do miseczki i dodał trochę podgrzanej wody ze studni oraz kilka kropel oleju, po czym uzyskaną pastę nałożył na sińce i niezgrabnymi ruchami owinął ramię bandażem.

Usiadł w fotelu w salonie i przymknął oczy. Przeżył, uratował kogoś, zabił demona. Dobry wynik. Jednak wciąż czuł, że to za mało, że powinien zrobić znacznie więcej. Teraz był zbyt zmęczony i obolały, żeby nawet o tym myśleć.

Musiał twardo przysnąć, bo nagle obudził go głośny

brzdęk tłoczonego szkła. Przez kilka sekund dochodził do siebie, nim usłyszał stłumione głosy. Zmarszczył brwi. Przecież kazał im wszystkim się wynieść! Dlaczego wrócili?! Ale w głębi serca poczuł ulgę, że ktokolwiek był w jego domu i właśnie stłukł część zastawy, postanowił się nim zainteresować. Z jękiem bólu włożył na siebie koszulkę i pomaszerował do kuchni. Jednak nikogo tam nie zastał, a na stole i podłodze leżały potłuczone fragmenty szyby.

– Co jest? – Zmarszczył brwi, wyglądając na zewnątrz.

Na ulicy stało kilkanaście, może ponad dwadzieścia osób, błyskały latarki, ktoś miał nawet pochodnię.

– Wyłaź! Ty tchórze! – usłyszał.

– Odbiło im? – zdziwił się.

Nie wyglądali, jakby zaraz mieli się rozejść, więc musiał do nich wyjść i dowiedzieć się, o co chodzi. W korytarzu zawahał się, czy wziąć broń, ale uznał, że lepiej dodatkowo ich nie drażnić.

Gdy stanął na progu, ludzie cofnęli się nieco, jakby zaskoczeni, że jednak opuścił dom. Zszedł powoli po schodkach i ruszył w stronę tłumu. Jego buty chrzęściły na piasku, pochodnia szumiała na wietrze. Minął bramkę i zatrzymał się na chodniku.

– O co chodzi? – zapytał, rozkładając ręce. Chciał, żeby widzieli, że jest bezbronny. W przeciwieństwie do nich.

Zauważył kij bejsbolowy, tasak do mięsa, a nawet siekiere. Nerwowo przełknął ślinę. Tak wyglądał tłum polujący na czarownice: broń niepewnie trzymana w rękach, gniewne spojrzenia; ludzie stojący ramię w ramię, trochę przestraszeni, jeszcze czekający, aż ktoś rozwiąże sprawę za nich, ale w każdej chwili mogli

przemienić się w tych, którzy sami załatwiali własne problemy.

– Więc? – odezwał się ponownie.

– Zabiłeś dziecko, a czegoś takiego w Wiatrołomie nie będziemy tolerować. – Na przód wystąpił wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce.

Feliks go znał, ale w tej chwili za diabła nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska.

– Nikogo nie zabiłem. – Pokręcił głową, siląc się na spokojny ton.

– I pobiłeś Karola Mierskiego! – odezwał się głos z tłumu.

Uniósł brwi; nie znał nikogo takiego, ale podejrzewał, że to ten nieprzytomny facet, którego dorwała cicha.

– Słuchajcie, jestem spokojnym człowiekiem, tak jak wy...

– Jesteś mordercą! – krzyknął ktoś.

– Ile trupów ukrywasz w piwnicy?!

– Wiemy, co zrobiłeś!

Ludzie zaczęli się burzyć. W końcu znaleźli odpowiedniego kozła ofiarnego.

– Policja nie ma nic na ciebie, ale my wiemy o wszystkich twoich morderstwach – powiedział ponurym głosem przywódca grupy.

Feliks zobaczył grubą linę w rękach faceta stojącego tuż za nim. Sytuacja zrobiła się niewesoła.

– Nie radzę – ostrzegł spokojnym tonem, który ciał jak ostrze.

Ludzie znieruchomieli, ale nie zamierzali odejść.

– To nie średniowiecze – powiedział Feliks. – Czasy samosądów się skończyły. Pójdziecie siedzieć za napaść.

Zawahali się. Prawie każdy z nich miał rodzinę, o którą chciał dbać... no właśnie, dbać i chronić przed psychopatami.

– Zabiłeś mojego męża! – Na czoło tłumu przecisnęła się starsza kobieta.

– Pani Droszczak, pani męża potrącił samochód – powiedział.

– A kto go prowadził?!

– Zamordowałaś własnego ojca!

Tym go zaskoczyli, nie miał przecież ojca...

– Stary Feliks Wojna był porządnym człowiekiem, ty niewdzięczny bękarcie!

Uniósł rękę i przetarł nią twarz.

– Ponosi was wyobraźnia...

Nawet nie zauważył pierwszego kamienia, który wyleciał z tłumu i uderzył go w obity bark. Syknął z bólu. Najwyższy czas się ewakuować; w tej chwili nie podziałają żadne sensowne argumenty. Cofnął się o krok, nie odwracając się do ludzi plecami. Poleciał kolejny kamień, który uderzył go w głowę. Żniwiarz stracił równowagę, przyklęknął.

Był zmęczony i poobijany, a mimo to wiedział, że pokonałby przynajmniej kilkoro z nich i gdy straciliby rezon, zdołałby uciec. Tylko... po co? Poczul ciepłą strużkę krwi spływającą po jego czole. Przez tyle lat chronił ich, ratował przed demonami, tak wielu z nich uratował życie, a kiedy wszystko zaczęło się walić, jak mu się odwdzięczali?

Dwóch rosyłych łebków chwyciło go za ręce i wykręcili mu je za plecy. W lewym ramieniu znów rozbłysnął ból.

Poprowadzili go w stronę starej czereśni w jego ogrodzie.

– Z zimną krwią mordowałeś kolejnych ludzi, unikając policji – powiedział przywódca grupy. Zaczął wymieniać nazwiska. Część z nich nic Feliksowi nie mówiła, część, z tego, co wiedział, padła ofiarą demonów.

– Zabiłeś własną kuzynkę i jej chłopaka!

– A co z Jadwigą Wojną?!

– Grzegorz Jabłoński!

– To był zawał – mruknął ktoś.

– Gównno, a nie zawał!

– Tym razem nie obronią cię te dwa karki!

– Zresztą jeden i tak już siedzi!

– Wyprałeś mózg biednej staruszce!

– Nawet nie potrafimy zliczyć wszystkich twoich ofiar, ale dziś to wszystko się skończy!

Bronił ich i ratował... Był gotów poświęcić własne życie... Magda zginęła za nich... Banda niewdzięczników!

Nie miał już siły ani tłumaczyć, ani się bronić. We własnych ciasnych głowach stworzyli sobie wizję młodego psychopatycznego mordercy i nic by ich nie przekonało.

Nikt już nie wraca...

Zabawne, zawsze myślał, że ten ostatni raz zginie w szponach demona. Nawet nie spodziewał się samosądu, nie w tych czasach.

Postawili go pod jedną z grubszych gałęzi. Skrępowali mu ręce za plecami. Ktoś zawiązał linę.

Porządni ludzie, a potrafili zapleść profesjonalną pętlę.

Wśród gniewnych twarzy mignęła ta należąca do mężczyzny, który ukrywał się za drzewem, kiedy Feliks walczył z cichą. Wychodziło na to, że widział więcej, niż żniwiarz przypuszczał. Zobaczył, jak Wojna przebił

serce cichej, i wyciągnął własne wnioski.

Poczuł, jak zarzucili mu linę na szyję.

Właśnie spełniały się marzenia Pierwszego – jeszcze chwila, a zostanie ostatnim żniwiarzem. Nikt już nie obroni ludzi. Ale czy oni na to zasługiwali? Ślepi i bezmyślni. Może otrzeźwieją, gdy zaatakują ich nawi. A na pewno to zrobią. Może nawet sam Nija...

Feliks popadł w dziwne odrętwienie. Nic go już nie bolało. Nawet nie czuł nienawiści do tych ludzi. Przynajmniej raz wzięli sprawy w swoje ręce, chociaż niestety się mylili.

A co z twoją rodziną? – zabłysnęła nowa myśl w jego głowie.

Poradzą sobie. Nauczył ich, jak zabezpieczać domy, jak bronić się przed demonami. Nie będą w stanie poradzić sobie z tymi najgroźniejszymi, ale przecież nic też nie mogli zrobić z chorobami i wypadkami. Taka kolej rzeczy, ludzie umierali. Niektórzy po prostu szybciej niż inni.

Ktoś zacisnął pętlę na jego szyi. Ciekawe, co teraz dzieje się ze żniwiarzami po śmierci...

Przerzucono drugi koniec liny przez gałąź. Nieraz umierał. Był gotów wreszcie odejść na zasłużony odpoczynek. Ogarnęła go ulga. Demony, Nija... to już nie był jego problem. Już nie musiał martwić się o wszystkich.

Zamknął oczy, gotów na ból.

¢

Feliks usłyszał głuchoe stuknięcie, a po nim nastąpiła

cisza. Lina poluźniła się.

– Czy wyście ochujali?

Otworzył oczy; wszyscy odwrócili się do niego plecami. Z pnia drzewa sterczała długa strzała z szarymi lotkami.

– Brak prądu zrobił wam z mózgow sieczkę?! – Żniwiarz słyszał gniewny damski głos, którego nie znał.

– Nie wtrącaj się! – Ktoś z tłumu oprzytomniał.

– To jest morderca!

– Banda kretynów! Ten człowiek bronił was przed demonami!

Kto to, u diabła, był?! Feliks otrząsnął się z otępienia. W kilka sekund poluźnił więzy na nadgarstkach i się uwolnił. Zerwał z szyi pętlę. Tłum, jakby przeczuwając, że się do nich zbliżył, rozstąpił się.

Po drugiej stronie stała młoda dziewczyna z napiętym łukiem. Grot strzały celował po kolei w każdego.

Żniwiarz nie rozpoznawał jej delikatnych rysów twarzy, w życiu nie widział tak płomiennych rudych włosów. W jej ciemnych oczach odbijało się srebrne światło księżyca. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z otchłani piekieł. I chyba zapomniała zamknąć za sobą drzwi, bo u jej boku stanął wielki czarny ogar o ognistych ślepiach.

Kilkoro ludzi syknęło ze strachu. Cofnęli się, widząc demona.

– Nazywam się Magda Wojna! – powiedziała donośnym głosem. – Tak, ta Magda – dodała, słysząc szmer wśród tłumu.

Zluzowała cięciwę i położyła dłoń na karku swojego olbrzymiego towarzysza, odruchowo głaszcząc zmierzwione futro. Biła od niej pewność siebie – taka,

jaką miał chyba tylko Pierwszy. Pies kłapnął wielką paszczą, po czym obnażył kły.

– Pora, żeby Wiatrołom się obudził! Najwyższy czas, żebyście uwierzyli, że demony istnieją!